

Saga, która stała się inspiracją dla twórców serialu

WSPANIAŁE STULECIE

DEMET ALTINYELEKLIOĞLU

TAJEMNICE
DWORU SUŁTANA

Nurbanu

SYNOWA ODALISKI

KSIĘGA V

Demet Altinyeleklioğlu

NURBANU. SYNOWA ODALISKI. KSIĘGA V

Tajemnice dworu sułtana

przełożyła Agnieszka Erdoğan



Tytuł oryginału: *Cariyenin Gelini Nurbanu*

Copyright © Demet Altinyelekliođlu

Copyright © Kalem Agency

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Erdođan, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Wenecja. 13 września 1570 roku

I. Stambuł. 11 października 1570 roku

II. Trzydzieści cztery lata wcześniej. Wenecja. Początek lata 1536 roku

III. Fondi. Sierpień 1536 roku

IV. Gdzieś na Morzu Tyrreńskim. Środek lata

V. Pałac Fondi. Tej samej nocy

VI. Galeon korsarzy. Tej samej nocy

VII. Pierwszy poranek w niewoli

VIII. Wenecja. Pałac Dożów

IX. Czerwona Galera Hajraddina Paszy

Gdzieś pośrodku Morza Śródziemnego

XI. Morze Egejskie. Czerwona Galera

XII. Pałac Alkazar. Hiszpania

XIII. Czerwona Galera Hajraddina Paszy

XIV. Stambuł. Nowy Pałac, harem

XV. Cieśnina Dardanele. Czerwona Galera

XVI. Stambuł. Przylądek Pałacowy

XVII. Nowy Pałac. Harem

XVIII. Hiszpania. Pałac w Toledo. Koniec jesieni

XIX. Nowy Pałac. Harem

XX. Nowy Pałac. Harem

XXI. Hiszpania. Pałac w Toledo

XXII. Nowy Pałac. Łazienka odalisek

XXIII. Manisa. Pałac księcia sukcesora Mustafy

XXIV. Stambuł. Nowy Pałac. Harem

XXV. Pewien dom w Stambule. Północ

XXVI. Nowy Pałac. Harem. Ogród różany

XXVII. Nowy Pałac. Komnaty sułtańskie

XXVIII. Nowy Pałac. Harem

XXIX. Konya. Pałac sandżakbeja w Karaman

XXX. Stambuł. Nowy Pałac. Harem

XXXI. Manisa – Seruhan. Pałac sandżakbeja

XXXII. Stambuł. Nowy Pałac. Harem

Przypisy

Na zawsze – Dzejhanowi

Nie interesuje mnie, co napiszą o mnie w kronikach. Historia opowiada o tym, kto trzyma w ręku pióro. Tych, którzy dziś są bohaterami, jutro nazwą przemieńcami. Ci, którzy dziś noszą piętno zdrajców, jutro będą zbierać oklaski. Nie obchodzi mnie też, jak osądzi mnie Imperium Osmańskie. Ani to, co mówi czy powie Wenecja. Szłam drogą, którą wytyczyło mi moje przeznaczenie. Czy miałam jakiś wybór? Czy mogłam postąpić inaczej? Los jest jak wiatr, a człowiek jak targany nim suchy liść. W którą stronę zawieje, w tę niesie człowieka. Razem z jego podmuchem przybyłam tutaj. Czy to moja wina? Niech historia pisze, co chce. Niech Imperium Osmańskie powie, co wie. Niech potępi mnie Wenecja, która sama nigdy nie zdejmuje maski. Wszystko to jest lepsze od powrozu, ostrza i topora kata. Prawdę znają ci, którzy ją przeżyli. Ja ją przeżyłam. Z Wenecjanki Cecylia Baffo stałam się Nurbanu. Z odaliski stworzyłam władczynię. Z pijaka władcę...

Niech wszyscy tak o tym myślą. Jestem sultanką Nurbanu, która dała Imperium Osmańskiemu dwóch padyszachów.

Wenecja

13 września 1570 roku

Cztery postacie bezgłośnie ześlizgnęły się do morza. Gdyby nie białka ich oczu, byłiby całkiem niewidoczni w nocnych ciemnościach. Chociaż natarli oliwą swoje nagie torsy, chłód wody przenikał ich do szpiku kości. W tamtej chwili nie przyszło im nawet do głowy, że będą jeszcze wiosłować w tym zimnie przynajmniej przez godzinę.

Ich towarzysze, którzy zostali na pokładzie, spuścili na morze długą łódź o lekko zaokrąglonym kadłubie. Czterej mężczyźni znajdujący się w wodzie podpłynęli w tamtą stronę. Liny zostały rozwiązane. Nie wydając żadnego dźwięku poza ledwie słyszalnym szelestem, z wprawą wsiedli na łódź. Teraz ich wilgotne ciała ziębił nocny wiatr. Wszyscy chwycili za krótkie wiosła i przeszli na swoje miejsca. Trzech z nich usiadło. Czwarty stanął na rufie.

Wszyscy wiedzieli, że z drogi, w którą wyruszyli, nie było odwrotu.

Mężczyźni w łodzi usłyszeli ciche głosy dochodzące z okrętu. Towarzysze broni, z którymi ramię w ramię walczyli w tak wielu bitwach, szeptał za nich Fatihe.

Głosy umilkły. Mężczyzna na rufie także usiadł. Cztery krótkie wiosła zanurzyły się w wodzie. Powoli odpłynęli w nocne ciemności.

Po pewnym czasie wiatr przywiał z oddali odgłos kościelnych dzwonów.

– Północ – wyszeptał jeden. – W takim razie już czas.

Jednocześnie wszyscy czterej ułożyli się w łodzi twarzą do dołu. Na zewnątrz wystawały tylko cztery wiosłujące ramiona.

Śmiertelna pułapka pośród ciemności i zimnych fal bezgłośnie zbliżała się do Wenecji.

Zimno i ból przeszywające do szpiku kości... Tylko to czuli czterej mężczyźni w łodzi. Niemożliwy do wytrzymania ból, który rozchodził się od nadgarstków do ramion, zaczęli już odczuwać w kręgosłupie. W palcach oplatających wiosła stracili czucie. Utrzymywali tempo dzięki głosowi, który rozbrzmiewał w ich głowach: „Cięgnij, jeszcze mocniej, ciągnij. Cięgnij, jeszcze mocniej, ciągnij”.

Ten, który był na dziobie, jako pierwszy zauważył, że na wzburzoną wodę padło światło.

– Niech to szlag! Zobaczą nas – mruknął.

Uniósł lekko głowę, nie przestając wiosłować. Najpierw, jakieś sto pięćdziesiąt sążni przed sobą, zauważył budynek. We wszystkich oknach paliły się światła. „Dotarliśmy”, pomyślał z radością. To musiał być pałac. Jednak za chwilę zamarł. Na wieży dokładnie naprzeciwko budowli strażnicy rozпалиły ogień. Blask płomieni padał na wodę, jakby czegoś poszukiwali. Musieli natychmiast wydostać

się z tego światła.

– Port – wyszeptał do pozostałych.

Odплыnęli jakieś czterdzieści sążni, zanim wydostali się z padającego na fale blasku. Nie mogli podплыnąć zbyt blisko, bo po tej stronie także czaiło się niebezpieczeństwo. Tutaj ruch na wodzie mogli zauważyć strażnicy pełniący wartę przed dużym kościołem z okrągłą kopułą.

– Bandera – powiedział cicho mężczyzna na przedzie, gdy wypłynęli ze złotego światła na ciemnym morzu.

Powoli unieśli głowy. Byli teraz przy ujściu wielkiego kanału. W smugach światła rzucanych przez latarnie na wodę ujrzeli, że kanał jest pełen ogromnych galer weneckich. Z radością ponownie ukryli się w łodzi. Wszyscy mieli w pamięci słowa kapitana Kemala, które powiedział, zanim wypłynęli: „Na co zdadzą się nocą pochodnie po tym, jak podpalą siedlisko giaurów?”.

Rozkaz był wyraźny. Wenecję miał pochłonać ogień! A oni mieli go podłożyć. Sądząc po pochodniach na rufach, było tu przynajmniej sto pięćdziesiąt galer. Ucieszyli się. Nie zginą na próżno. Ponownie chwycili za wiosła, zapominając o bólu i zmęczeniu.

Łódź sunęła do ujścia wielkiego kanału. Później nie będzie odwrotu. Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Ich serca zaczęły bić szybciej. Gdyby to było możliwe, gładziliby wodę dłońmi, żeby uspokoić zmałowane wiosłami fale. Bali się, że wróg usłyszy mocne uderzenia ich serc. Nie obawiali się śmierci ani tego, że zostaną złapani. Teraz, gdy byli już tak blisko, ich strach wzbudzało jedynie to, że nie uda im się rozświecić weneckiej nocy osmańską pochodnią.

Ciężko posuwali się naprzód. Na chwilę musieli się rozdzielić. Czterech śmiałków miało zanieść osmański ogień w cztery różne miejsca.

– Hej! A to co?

Głos znajdującego się na pokładzie wartownika dla płynących łodzią był jak wystrzał armatni.

Mężczyzna, wyciągając rękę, wskazał łódź i zwrócił się do swojego towarzysza na bocianim gnieździe.

– Emiliano, spójrz! Co ta gondola robi między galerami? I to o tej porze!

Strażnik Emiliano spojrział z platformy w tamtą stronę. Później przyłożył do oka długą, smukłą lunetę.

Ujrzał gondolę, a na jej pokładzie czterech ludzi. Jeden z mężczyzn, nie unosząc głowy, machnął ręką w stronę, z której dobiegał głos.

– Co się stało? – Wybuchnął śmiechem Emiliano. – Nie wszyscy są równie pechowi jak my, D’Angelo. Są też tacy szczęśliwcy, którzy wracają po tym, jak dobrze sobie popiwszy, znaleźli uciechę w kobiecych łóżach.

– Jesteś pewien?

– Tak.

„Idiota – pomyślał. – Co w tym dziwnego? Czterech marynarzy wracało z nocnej eskapady”.

Gdy Emiliano ponownie obrócił lunetę w stronę ujścia zatoki, rozległ się głos D'Angela:

– Godzina pierwsza... Wszystko w porządku.

Strażnicy nie zauważyli, że spośród czterech mężczyzn w gondoli jednego ubył. Po pięćdziesięciu sążniach w łodzi zostało dwóch mężczyzn. Później zniknął jeszcze jeden. Ostatni, zauważywszy stoczną, także wskoczył do wody. Gdyby ktoś teraz spojrział, pomyślałby, że w stronę doków płynie z nurtem odwiązana łódź. Tymczasem czterech mężczyzn przemieszczało się ku czterem różnym celom.

Każdy z nich miał rozpalić ogień. Pierwszy wskoczył do wody. Po blisko godzinie spędzonej przy wiosłach śmiałek opuścił łódź i wpłynął pomiędzy czarne cienie galer. Obrął sobie za cel tę, która wydała mu się największa. Zbliżył się do kotwicy. Wziął kilka oddechów, po czym położył się plecami na wodzie i objął rękami i nogami porośniętą wodorostami linę. Rozpoczął wspinaczkę. W tej samej chwili pojął, że popełnił śmiertelny błąd. Woda, która zebrała się na pokrywie małej beczułki, ściśle przytwierdzonej do jego pasa, z pluskiem wpadła do morza. Mężczyzna zawisł nieruchomo na linie. Był na tyle odsłonięty, że nie mógł się ukryć. Ktoś patrzący z galery, na którą się wspinał, lub z sąsiedniej, z łatwością by go zobaczył. Cekał, a serce tłukło mu się w piersi. Nie stało się jednak to, czego się obawiał. Znow podjął wspinaczkę. Wspinał się i wspinał. Wydawało mu się, że lina nie ma końca. Ręce oplatające linę coraz bardziej go bolały. Zaczynał tracić siły. Twarde, szorstkie włókna raniły mu łydki. Rany piekły pod wpływem morskiej soli. Wstrzymał oddech i zatrzymał się. Trwał tak, wisząc nad wodą.

– Muszę dotrzeć do końca tej piekielnej liny – mruknął i ostatkiem sił zaczął się podciągać.

Po chwili zobaczył duży otwór w burcie okrętu, z którego wyrzucono linę.

„Nareszcie!”, w duchu wydał z siebie okrzyk radości. Powoli zwolnił uścisk. Był teraz na statku wroga. Przez chwilę czekał, żeby wzrok przyzwyczaił się do nowych ciemności. Odwrócił się w stronę, gdzie znajdowały się pokrywy baterii dział. Przytrzymując się relingu, poruszał się naprzód w całkowitym mroku. Po pewnym czasie zauważył czarne ramiona dział skierowane w stronę morza.

Bateria dział!

Zobaczył, że nic nie stoi mu na drodze. Nie było strażnika! Całe jego ciało było napięte. Bezgłośnie padł na ziemię. Gdzie ten przeklęty typ? Przyłożył ucho do pokładu i nasłuchiwał. Gdy podniósł głowę, na jego twarzy malował się chytry uśmiech. Powoli się wyprostował. Zaczął ciężko posuwać się naprzód, wyciągając przed siebie ręce, żeby nie uderzyć o coś w bezkresnych ciemnościach i nie narobić hałasu.

Po kilku bezszelestnych krokach zobaczył światło. Musiało dochodzić z latarni znajdującej się na szczycie schodów, które prowadziły z pokładu do magazynu z amunicją. Mdłe światło latarni było dla jego przywykłych do ciemności oczu jak słoneczny blask. On też tam był. Strażnik. Stał przed drzwiami do zbrojowni, które znajdowały się dokładnie naprzeciwko schodów.

– Psi pies – mruknął. – Mógłby sobie drzemać gdzie indziej.

Wszystko, co następnie zrobił, wykonał bezszelestnie. Strażnik zbyt późno zauważył jego obecność. Osmański sztylet o wygiętym ostrzu wbił mu się w pierś. Z przerażeniem spojrzął na rękojeść i owinięte wokół niej silne palce. Chciał krzyknąć, ale z jego ust wydobyło się tylko stopniowo cichnące rżenie.

Był teraz u celu. W końcu nadszedł czas, żeby rozpaść osmańską pochodnię. Otworzył drzwi do składu. Wnętrze od podłogi po sufit pełne było prochu, kul i beczek z olejem. Roilo się tam od muszkietów, arkebuzów, szabel, kusz i innych przedmiotów. Musiał się spieszyć. W każdej chwili mógł przyjść ktoś, żeby zmienić wartę, i zauważyć, że przed drzwiami zbrojowni nie ma strażnika. Natychmiast zabrał się do pracy.

Baryłka, którą miał u pasa, wydawała się zbędna pośród tylu łatwopalnych i wybuchowych materiałów, mimo to rozpiął pas. Ściągnął okrywający beczułkę materiał nasączony woskiem, który miał zapobiec dostaniu się wody do środka. Przeniósł ją dokładnie na środek składu, gdzie stały beczki. Odblokował otwór na spodzie i na podłodze usypał w linii proch aż do gwoździa przytrzymującego deski.

Gotowe. Jedyne, czego było trzeba, to mała iskra. Wyciągnął sztylet, którym przed chwilą odebrał życie wartownikowi. Dokładnie wytarł z ostrza krew. Przykucnął. Przesunął sztylet po żelaznym gwoździu. Nic się nie wydarzyło. Przy drugiej próbie ze stalowego ostrza iskry spadły na proch.

Wyprostował się. Patrzył, jak iskry zmieniają się w płomień, który z sykiem przemieszczał się po usypanej z prochu linii w stronę beczek.

Nic już nie zostało. Szeroko otwarte oczy osmańskiego śmiałka płonęły.

– W imię Boga jedyne! – krzyknął.

Ogień dotarł do otworu na spodzie niewielkiej beczki.

I zapłonęła osmańska pochodnia.

Pierwszy wybuch przedarł się przez nocne ciemności.

Wenecjanie wyprostowali się w swoich łózkach, pytając się wzajemnie:

– Co się dzieje?

– Co to za hałas?

Jednak wybuch, który usłyszeli zaraz potem, zagłuszył ten pierwszy. Ci, którzy podbiegli do okien, pod wpływem wstrząsu spowodowanego serią wybuchów padli na ziemię.

– Wstawaj, Adriano! – krzyknął do żony jakiś mężczyzna. – Morze wybucha! Wenecja płonie!

Olbrzymie galery, przywiązane do siebie, jedna po drugiej z przeraźliwym hukiem wylatywały w powietrze, przywodząc na myśl setki, tysiące, miliony fajerwerków, po czym spadały do wody jako płonące resztki. Ogień ogarnął wszystkie okręty. A gdy płomień docierał do zbrojowni, także i one wybuchały.

Kilku marynarzy zerwało okrętowe liny i starając się dotrzeć do ujścia kanału, uwijało się w szaleńczym pędzie, żeby uratować się przed spadającym na nich z nieba ogniem. Okrzyki przerażenia, strachu i paniki ginęły w huku niekończących się wybuchów. Oglądający to piekło z daleka widzieli, jak setki marynarzy płonących jak żagwie rzucało się do morza. Nie minęło dużo czasu, gdy do trzech punktów, z których dochodziły wybuchy, doszedł czwarty. Jedenaście galer znajdujących się w dokach wyleciało w powietrze. Mnóstwo płonących odłamków spadło do wody. Legendarny wenecki Arsenał¹ przestał istnieć.

I

Stambuł

11 października 1570 roku

Jeździec jak wichur minął bramę murów.

– Wytrzymaj – wyszeptał mężczyzna do ucha srokacza.

Gorący jak płomień oddech zwierzęcia uderzył go w twarz. Puścił wodze wolno. Objął konia za szyję i pozwolił mu biec. Wielki gniadosrokaty koń mknął przez stopy, a wiatr rozwiewał mu grzywę.

Wyprostował się na widok meczetu, który sułtan Sulejman kazał wybudować dla swojego zmarłego syna księcia Mehmeda. Skręcił w lewo na niewielkim placu, który znajdował się zaraz za nim. Puścił konia w dół zbocza, w kierunku morza. Gdy zbliżał się do domostwa pod lasem, drogę zastąpiło mu czterech jeźdźców odzianych w czerwone szaty.

– Hooop! – krzyknął jeden z nich, unosząc rękę.

Ściągnął wodze.

– Zaraz, zaraz. A dokąd to się wybierasz?

Srokacz zatrzymał się rozsierdzony.

– Kim jesteś?

– Posłańcem kapitana Kemala! – krzyknął czausz, próbując zapanować nad koniem.

Po chwili wprowadzili jeźdźca do budynku. Służący, który wskazywał mu drogę, otworzył wielkie drzwi i usunął się na bok.

Dokładnie naprzeciwko, na sofie ustawionej pod oknem, siedział czarnobrody mężczyzna z kolanem przyciągniętym do siebie.

– Wejdz – mruknął.

„Zatem to jest zięć sułtana Selima, Pijal Pasza²”, pomyślał posłaniec.

– Jakie wieści przesyła Kemal, dżygicie? Ucieszysz nas czy zmartwisz tą wieczorową porą?

Jeździec nawet nie pomyślał, żeby skłonić się w pozdrowieniu.

– Ucieszę, czcigodny paszo. – Jego głos był zdecydowany. – Już dawno od kapitana Kemala nie ma niepomyślnych wieści, to dlaczego miałyby przyjść teraz?

Pijal Pasza opuścił kolano, które trzymał prawie pod brodą.

– No proszę. – W jego głosie bardziej niż gniew słychać było rozbawienie. – Kemal wybrał najbardziej wygadane go ze swoich chłopców?

Posłaniec chciał coś powiedzieć, ale Pijal Pasza uciszył go, unosząc dłoń.

– Mów lepiej, z czym przybywasz.

– Kapitan Kemal kazał przekazać, że zapłonęła osmańska pochodnia. Okryła czerwienią ciemną noc giaurów.

– Bogu niech będą dzięki. – Pasza wstał, ruszył w stronę posłańca

i zatrzymał się naprzeciw niego. – W takim razie idź. – Poklepał go po ramieniu. – Odpocznij.

– Niech natychmiast przygotują mojego konia! – rozkazał pasza po wyjściu czausza. – Mamy pomyślne wieści dla władcy.

Wiedział, że gdy dotrze do Nowego Pałacu, nie zastanie sułtana Selima samego. Z pewnością u boku padyszacha będzie Żyd z kozią bródką, mianowany księciem Naksos.

– Nędznik – mruknął, przemierzając długi korytarz w towarzystwie gwardzistów.

Nienawidził Yasefa Nassiego³. Ten mężczyzna podporządkował sobie syna wielkiego sułtana Sulejmana Selima Chana. Kto mógł uwierzyć, że władca osmański sułtan Selim stanie się zabawką w rękach Żyda? Jednak tak właśnie się stało.

– Nadjeżdża sułtanka Nurbanu!

Sułtański powóz nie zdążył jeszcze przekroczyć Bramy Cesarskiej Nowego Pałacu, a już cały harem stał w gotowości.

– Biegnijcie, dziewczęta. Nadjeżdża sułtanka Nurbanu!

Szept niczym burza zawładnął krętymi korytarzami haremu. Wszystkie służące i damy dworu biegały z kąta w kąt w bezgłośnym pośpiechu. Mimo gorączkowej krzątaniny panował porządek. Wszyscy wiedzieli, co zrobi sułtanka Nurbanu Haseki, gdy już przybędzie – co i skąd weźmie, co i gdzie położy. Sułtanka Nurbanu nienawidziła bałaganu.

Tego dnia nawet Dżabbar Aga był rozgorączkowany, a to nie było do niego podobne. Brzuch mu podskakiwał, gdy wyrzucał z siebie rozkazy, a jego czarną twarz pokryły kropelki potu. Dawno temu porzucił raptowność i porywczosć, które stały się przyczyną nadania mu tego imienia w dniu, w którym został agą haremu⁴. Teraz, zamiast sam uwijać się nerwowo, wydawał polecenia innym. Jednak tego dnia było inaczej. Przybywała sułtanka Nurbanu, której od miesiący nie było w Nowym Pałacu.

Nie widziano, żeby Dżabbar Aga choć na chwilę wypuścił z rąk swój dereniowy kij. Niedługo po tym, jak sułtanka Hürrem Haseki odeszła z tego świata, harem znów stał się dawnym harem. Później zaś żona padyszacha opuściła go i zamknęła się w Starym Pałacu. Teraz harem pełen był odalisek sułtana Selima. Odaliski zaś oznaczały zazdrość, kłótnie, krzyki i zgiełk. Dlatego właśnie wyciągnął swój dereniowy kij. Nie miał wyjścia. Ręka Dżabbara Agi była nieubłagana. Na widok choćby najmniejszego niedociągnięcia czy skrzywionej miny zadawał nią ciosy po nogach i plecach.

Jeśli ktoś znalazł w sobie odwagę, żeby powiedzieć: „Nie rób tego, to grzech”, odpowiadał: „Tak należy. Harem wymaga porządku, organizacji i dyscypliny. Jeśli pożałujesz odalisce razów dereniowym kijem, wejdzie ci na

głowę. Powstanie chaos”.

I właśnie tego dnia w haremie powstał chaos.

– Na pewno coś się stało – powiedział do siebie. – W przeciwnym razie dlaczego sułtanka Nurbanu tak nagle przybyłaby tu ze Starego Pałacu? Z pewnością coś się stało. Ale co?

Od chwili gdy po haremowych korytarzach zaczął odbijać się echem szept: „Nadjeżdża sułtanka Nurbanu”, wszyscy zadawali sobie to samo pytanie: „Co ją tu sprowadza?”.

Ten szept dotarł do uszu głównego pokojowca sułtana Selima, Hydyra Efendiego. Zupełnie stracił humor. „Czego ta kobieta tu chce? – mruknął w duchu. – Znow odbierze spokój naszemu panu”.

I co miał teraz zrobić? Stanąc przed drzwiami haremu i powiedzieć: „Nasz pan jest w tej chwili bardzo zajęty. Nie chce, żeby mu przeszkadzano”? Kto wówczas ochroni Hydyra przed jej gniewem?

Jakby sułtanka Nurbanu nie wiedziała, co kryje się za tymi słowami. Oznaczało to: „Padyszach jest w swoich prywatnych komnatach z tym przeklętym Żydem i dziewczętami”. Nieczęsto zdarzało się, aby padyszach przebywał gdzie indziej. Z tego właśnie powodu sułtanka przeniosła się do Starego Pałacu. Kobieta nie mogła znieść mężczyzny – nawet jeśli był padyszachem – od rana zasiadającego przy biesiadnym stole i bełkoczącego coś niewyraźnie, upojonego rozkoszą, której doznawał w ramionach jędrnych, młodziutkich odalisek.

„Niech to szlag!”, zaklął w duchu Hydyr. Musi powiadomić sułtana Selima.

Powoli uchyliwszy ciężkie drzwi do komnaty sułtana, wślizgnął się do środka. Już przy wejściu, w niewielkim holu uderzył go aromat wina. W powietrzu unosił się także dziwny zapach – tych dziwnych liści, z których dym kazał wdychać sułtanowi Yasef Nassi. Tłumił on nawet woń kobiecych ciał wypełniających komnatę.

Pokojowiec otworzył drzwi znajdujące się po lewej stronie i wszedł w chmurę dymu. Do jego uszu dobiegły przyciszone głosy dwóch mężczyzn. Stojąc za aksamitną zasłoną, padł na ziemię jak do modlitwy. Postąpił tak, na wypadek gdyby padyszach, usłyszawszy go, uniósł kotarę i zapytał: „Co jest? Czego chcesz?”. Chociaż tak naprawdę nigdy nic podobnego się nie wydarzyło.

– Panie?

Jego głos był tak cichy, że sam ledwo go słyszał, jednak w środku nastąpiła cisza.

– Wybaczcie waszemu słudze Hydyrowi...

Zamiast Selima Chana usłyszał głos Żyda, księcia Naksos.

– Czego chcesz, Hydyrze Efendi? Czyż nie mówiliśmy, że padyszach nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano?

„Obyś szczeł”, przeklął w duchu Hydyr, nie podnosząc się z miejsca.

Później, przesuwając czubkami palców po dywaniku, sięgnął do aksamitnej zasłony. Powoli ją uniósł i zjrzał do środka.

Leżeli rozłożeni na dwóch stojących naprzeciwko siebie wspianych sofach. Sułtan Selim wyglądał, jakby był w innym świecie. Turban ześlizgnął mu się na bok, a na jego twarzy malował się komiczny wyraz. Na sofie po drugiej stronie komnaty leżał Yasef Nassi, ale Hydyr mógł dostrzec jedynie podeszwy jego czerwonych safianowych⁵ cizem.

– Jestem gotów ponieść karę – powiedział cicho. – Jednak...

Jednocześnie nie przestawał obserwować tego, co działo się za kotarą. Przy wezglowiu sofy padyszacha siedziała dziewczyna w cieniutkich, tiulowych szarawarach. Była bardzo piękna. Ramiona miała odsłonięte. Nagą pierś przykrywała mała niebieska kamizelka. Dziewczyna sięgnęła do stojącego nieopodal stolika i wzięła z niego owoce. Gdy wkładała je do ust Selima, kamizelka rozchyliła się i wysunęła się spod niej wspiana pierś. Padyszach, mimo iż był pijany, pożądliwie patrzył na mlecznobiały kształt, który ukazał się jego oczom.

Dziewczyna, która siedziała przy sofie Yasefa Nassiego, była odwrócona do Hydry. Jej plecy także były nagie. Było jasne, że Żyd, słysząc jego głos, przed chwilą zdjął z siebie dziewczynę.

Nagle przed zasłoną ujrzał przechodzącą parę maleńkich, bosych stóp. Im bardziej zbliżały się do sułtana Selima, tym więcej mógł dostrzec. Najpierw ponad stopami ukazały się kostki, potem kolana, a później...

Mój Boże! Dziewczyna była naga.

Usługująca padyszachowi odaliska delikatnie uniosła kryształowy, posrebrzany kielich w stronę roznegliżowanej dziewczyny. Hydyr ujrzał sutki sterczące jak gołębie dzioby w całej swojej okazałości. Chciał przymknąć oczy, ale nie mógł. Usłyszał cichy dźwięk czerwonej cieczy wlewanej do kielicha. Dziewczyna odwróciła się i przeniosła naczynie do grubych warg sułtana Selima. Oczy padyszacha były zamknięte. Upił łyk wina. Odaliska zlizwała rubinowy płyn, który z ust sułtana spłynął po brodzie.

– Soki spijane z ust sułtana są dla jego niewolnicy niczym rajski nektar – zaświergotała rozkosznie.

Wargi Selima Chana rozciągnęły się w uśmiechu.

– To nie nektar, tylko najzwyklejsze cypryjskie wino – wtrącił się Nassi.

Główny pokojowiec usłyszał, jak obaj mężczyźni chichoczą. Nie mógł otworzyć ust i powiedzieć, dlaczego przyszedł. Musiał czekać, aż padyszach rozkaże mu, żeby przemówił.

Nagle pomyślał, że jeśli wyda się, że zagląda do środka, może stracić głowę. Natychmiast cofnął palce, które wsunął pod zasłonę. Pozostał skulony na ziemi. Przez chwilę nic nie słyszał.

Później do jego uszu dobiegła zalotna skarga odaliski:

– Ależ, panie, nie róbcie tak. Nie żal wam waszego sługi?

– Gdybyś tylko nie była taka ładna – usłyszał głos sułtana Selima.

Za kotarą coś się poruszyło. To pewnie padyszach wyprostował się na sofie.

– O co chodzi, Hydyrze Ago? – Głos Selima był ospały, jakby władca dopiero się obudził. – Skoro nachodzisz nas w naszych komnatach, musisz mieć dobry powód, który uratuje twoją głowę.

– Hydyr jest gotów nie raz, lecz po tysiakkroć oddać głowę za swojego sułtana – skłamał, wciąż przywierając do ziemi. – Jednak...

– Mówże, człowieku! Jednak co?

„Chcesz, to masz”, burknął w duchu Hydyr.

– Nadjeżdża sułtanka Nurbanu, panie.

Gdyby się nie bał, ponownie uniósłby zasłonę i zajrzał do środka. Usłyszał odgłosy kroków na dywanie. Szuranie pospiesznych ruchów małych stóp. Padyszach odprawił odaliski.

– To niemożliwe. – Głos Yasefa Nessiego był pełen skargi.

Padyszach powiedział coś cicho, ale Hydyrowi nie udało się tego dosłyszeć. Dziewczęta wyszły zza zasłony i szczebiocząc, pospiesznie się oddaliły. Tymczasem z dochodzących ze środka odgłosów dało się wywnioskować, że sułtan Selim także doprowadził się do ładu.

– Dlaczego pani Nurbanu opuściła Stary Pałac? – zapytał podejrziwym głosem Żyd.

– Nie wiem.

– Panie, musimy jeszcze omówić szczegóły kwestii cypryjskiej.

– Yasefie – zbeształ go padyszach – módl się lepiej, żeby nasza żona nie przybywała tu w związku z poczynaniami twoimi i mojego zięcia Pijala Paszy. Jeśli tak jest, obydwaj będziemy musieli przez jakiś czas zapomnieć o Cyprze. Miej to na uwadze.

Hydyr w ciszy powrócił do siebie. Nie mógł zapomnieć tego, co zobaczył. „Co za grzech – myślał zgorszony. – Hej, wielki Selimie Groźny, powstań i zobacz swojego wnuka Selima”.

Powóz wjechał na wewnętrzny dziedziniec. Jego drzwi otworzyły się, zanim służący zdążyli podejść. Ze środka wyskoczyła Meleknaz, dama dworu Nurbanu. Podczas gdy jeden z paziów wyciągnął rękę, żeby pomóc wysiąść swojej pani, podstawiono podnózek pokryty zielonym atłasem. Najpierw ukazał się trzewik wysadzany szmaragdami, po chwili opięte w kostce zielone szarawary. Później kobieta eleganckim ruchem wyciągnęła rękę do Meleknaz. Dziewczyna ujęła dłoń ozdobioną wielkimi błyszczącymi szmaragdowymi pierścieniami. W końcu z powozu wyłoniła się sułtanka *haseki* w zielonym hotozie ozdobionym białym szyfonem. Jej uroda, pomimo zasłaniającego jej twarz tiulu, rozświetliła

dziedziniec, który okrywał już mrok.

Armia służących, która wybiegła jej naprzeciw, z szacunkiem pokłoniła się pięknej żonie sułtana Selima, matce księcia sukcesora Murada.

Sułtanka Nurbanu miała sięgający do kolan żółtozielony kaftan ozdobiony złotą nicią, cekinami i diamentami. Zieleń była jej barwą. „Przypomina mi kraj, z którego przybyłam, Wenecję i nienasycony zielony płomień szkła z Murano⁶”, mawiała, wzdychając.

Nie lubiła długich kaftanów ciągnących się po ziemi, które nosiły inne damy. Wszystkie kazała sobie szyć tak, żeby ich poły nie były dłuższe niż do kolan.

Gdy tylko wysiadła z powozu, puściła dłoń Meleknaz. Dziewczyna pochyliła się i wygładziła fałdy na szarawarach swojej pani. Podbiegły do nich damy dworu, przybyłe w czterech powozach jadących za nimi.

Nurbanu wyprostowała się i uniosła głowę.

– Gdzie jest padyszach?

Doświadczone damy dworu i służące zadrżały. Był to znak zbliżającej się awantury. Mogły się tego domyślić. Mówiła o wielkim władcy jak o zwykłym chłopie, a to był znak, że jej gniew sięgnął zenitu.

Nikt nie miał odwagi, żeby się odezwać. Sułtanka Nurbanu weszła do haremu, mijając służące, które pierzchały spod jej stóp niczym młode jarząbki. Była zdecydowana i nie miała zamiaru ulec. Przybyła tam, żeby pociągnąć winnych do odpowiedzialności, i nie wyjdzie, dopóki tego nie zrobi. Nieważne, za jaką cenę.

Właściwie czuła się lepiej, odkąd przeniosła się do Starego Pałacu. Uwolniła się od pijactwa Selima, szeptów tego podstępnego węża Yasefa Nassiego, odgłosów igraszek jej męża z młodziutkami dziewczętami, które sprowadzał mu ten mężczyzna.

Tego dnia, gdy miarka się przebrała, także stanęła przed padyszachem jak burza.

– Odchodzę.

Nie mogła już patrzeć na to, jak wino rujnuje jej męża. Odkąd sięgała pamięcią, Selim miał jasną cerę, ale teraz był tak blady, że przypominał jej zimne posągi w Pałacu Dożów. Jego oczy także straciły kolor, a z natury były piękne. Jego matka mawiała, że są szaroniebieskie, ale według Nurbanu lśniły żółtomiodowym blaskiem. Teraz zniknął miód, a została żółć. Jakby patrzył zza mgły, zza kłębow dymu.

Tamtego dnia Selim nie powiedział nawet: „Nie odchodź”. Nurbanu próbowała wyczytać coś z jego oczu przesłoniętych alkoholowymi oparami. Przypomniała sobie, co wtedy pomyślała: „Ucieszył się, że się mnie pozbył”. Selim się cieszył! Był zadowolony, że dała mu wolność i od tej pory będzie mógł prowadzić jeszcze bardziej rozpustne życie, tak jak życzył sobie ten przeklęty Żyd.

– Odchodzimy. Kiedy nas tu nie będzie, będziecie mieli spokój. Widać, że moja obecność wam przeszkadza.

– Nic podobnego. – Chociaż nieznacznie, to jednak się sprzeciwił. – Jak mogłaby nam przeszkadzać obecność naszej pięknej sułtanki?

Gdy Nurbanu z wściekłością przemierzała niekończące się haremowe korytarze, wspomnienie tamtego dnia smagało jej gniew jak bicz.

– To oczywiste. Uwolnicie się od moich nieustannych napomnień: „Nie powinniście tyle pić, obawiam się, że to może zaszkodzić waszemu zdrowiu”, od moich narzekań, że zaczęliście coraz rzadziej odwiedzać naszą komnatę, od moich przestróg, że powinniście ograniczyć kontakty z tym Żydem. Nie będę już przyłapywać was na igraszkach z dziewczętami. Już przed nikim nie będziecie musieli się tłumaczyć. Nie ma mnie.

Był wielkim sułtanem Selimem, synem sułtana Sulejmana, władcą Wielkiego Imperium Osmańskiego, rządzącym na trzech kontynentach. Jednym słowem odbierał i dawał życie. Zapewne myślał: „Jeśli chcę, to piję. Na co sułtanowi jego sułtaństwo, skoro nie może każdej nocy brać do łóżka innej kobiety?”, tłumaczył się, jeśli w ogóle rozważał to w swoim sumieniu. Nie obchodziło go nawet, że lud przestał go nazywać *Żółtym Selimem* i nadał mu przydomek *Selim Pijak*.

W rzeczywistości Nurbanu też przestała się już tym przejmować. Jedyne, na czym jej zależało, to przyszłość jej syna. Pewnego dnia Murad zostanie padyszachem, a ona jako sułtanka matka zajmie miejsce po jego prawicy.

Minęła kolejny zakręt. „Wystarczy, że uda mi się dożyć dnia, w którym Murad wstąpi na tron”, pomyślała.

Długo znosiła pijactwo Selima i jego hulaszczcze życie, ale w dniu, w którym usłyszała, że dwóch młodych chłopców, których Yasef Nassi sprowadził z wyspy Mykonos, trafiło do komnaty padyszacha, miarka się przebrała.

Tydzień po tym, jak obwieściła, że odchodzi, zabrała wszystkich swoich służących i opuściła to miejsce. Od tamtej pory przebywała w Starym Pałacu. Selim odwiedził ją parę razy, lecz po kilku dniach znów wrócił do swojego rozwiązłego życia w Nowym Pałacu.

Gdyby nie dręczące ją lęki i płacz dziecka, stawiających w gotowości wszystkich dookoła, byłaby nawet szczęśliwa. Jedyne, co spędzało jej sen z powiek, to stale powiększająca się liczba nieślubnych synów Selima. Miał ich już siedmiu, a kto wie, ilu jeszcze miało się urodzić. Nie wyglądało na to, żeby Yasef Nassi zaprzestał sprowadzania mu dziewcząt ze wszystkich stron świata.

Selim ją kochał. Wiedziała o tym. Wciąż pisał dla niej wiersze, ale ta miłość nie powstrzymywała go przed braniem do łóżka dziewcząt, które często były jeszcze dziećmi. A każdy urodzony książę oznaczał niebezpieczeństwo dla niej i jej syna.

Już za chwilę miała ponownie stanąć przed swoim mężem. „Niech znajdą

bękartów Selima, którzy zagrażają życiu Murada”, mruknęła w duchu.

Zadrżała na wspomnienie syna greckiej odaliski Evdoksii. Później wzruszyła ramionami. „Co zrobić? – pomyślała. – Wszyscy żyją tak długo, jak jest im to pisane”. Każdej nocy modliła się, żeby zapomnieć, że to ona zdecydowała o tym, jak długo będzie żył chłopiec. Nie mogła zapomnieć jego czarnych oczu.

Mimo wszystko była jednak szczęśliwa. Aż do dzisiaj, dopóki nie przybyła ta kobieta i nie padła jej do stóp, zalewając się łzami...

Nie była zdziwiona, gdy poinformowano ją, że przyszła z wizytą donna Camicia, żona weneckiego ambasadora. Odwiedzała ją przynajmniej dwa razy w miesiącu i przekazywała wiadomości z Wenecji. Ucieszyła się nawet, sądząc, że Camicia i tym razem po to przyszła.

Jednak kobieta weszła do jej komnaty całkiem zdruzgotana. Twarz Camicii ściągnięta była bólem i cierpieniem. Oczy miała przekrwione od płaczu.

– Donno Camicio, witaj...

Żona ambasadora dopadła do jej stóp, krzycząc coś niezrozumiale i rozpaczliwie zawodząc.

Zaskoczona Nurbanu przez chwilę wpatrywała się w ramiona kobiety wstrząsane szlochem.

– Nie płaczcie, proszę. Co się stało? Złe wieści...

– Tragedia! – wyrzuciła z siebie kobieta. – Mój Boże, tragedia!

– Co się stało, Camicio? Czy możecie się uspokoić i o tym opowiedzieć?

– Uspokoić się?! – krzyknęła rozgniewana. – Uspokoić się?! Twój mąż podpalił Wenecję! Wenecja spłonęła!

– Co?

Opadła na sofę.

– Szpiedzy sułtana Selima wślizgnęli się do Wielkiego Kanału⁷. Wyszadzili w powietrze naszą flotę.

Do Nurbanu dochodziły tylko strzępki zdań.

– Setki okrętów... Wszystkie rozerwało na strzępy... Arsenal, magazyny z prochem... Wszystko legło w gruzach, wszystko, wszystko... Płomienie ogarnęły cały budynek... Nawet Pałac Dożów doznał zniszczeń... Plac Świętego Marka... spłonął. Zginęło ponad tysiąc Wenecjan. Żołnierze, cywile, wszyscy... Okryli czerwienią wenecką noc...

Gdy kobieta, dusząc się płaczem, ponownie padła do jej stóp, sułtanka Nurbanu poczuła, że ma wilgotne policzki. Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, a jednak łzy strugami płynęły jej z oczu. Jej matka i ojciec nie znieśli tego, co zgotował im los. Umarli jedno po drugim.

– A moja rodzina? – wyszeptwała. – Baffo... Czy oni też...?

– Nic im się nie stało – wydusiła z siebie żona ambasadora. – Spłonęła tylko letnia rezydencja nad kanałem... A teraz...

Serce Nurbanu w jednej chwili zamarło.

– A teraz co?

Spojrzała kobiecie w oczy.

– Przeklinają twój męża i ciebie! Przeklina cię cała Wenecja!

Te słowa zraniły ją jak sztylet. Dom, w którym się urodziła... Miejsce, w którym po raz pierwszy usłyszała swój głos... Okno, z którego patrzyła na płynącą kanałem wodę... Fontanna, wokół której biegała, i gdzie w jej sercu rozwinął się delikatny kwiat pierwszej miłości... A teraz rodzina, która ją przeklinała... Nawet nie pamiętała ich twarzy. Zerwała się, zostawiając leżącą na podłodze, zalaną łzami Camicię.

– Niech przygotują mój powóz! Jadę do Nowego Pałacu!

W jej głowie odbijały się echem dwa zdania: „Okryli czerwienią wenecką noc. Twój mąż podpalił Wenecję!”.

Słowa, które padły później, długo paliły jej duszę: „Przeklinają twój męża i ciebie”.

Sułtan Selim... Jej mąż! Podpalił prześwietną Wenecję! Piękną Wenecję...

Nurbanu przybyła tu właśnie po to, żeby rozliczyć się za Wenecję.

Jej mąż, widząc ją przed sobą z iskrzącymi oczami, udawał zaskoczenie i radość, próbując wstać.

– Nurbanu!

– A może powinieneś powiedzieć „Cecilio”?! W końcu twoja żona jest Wenecjanką. Córką Wenecji, którą podpaliłeś!

Nie myślała o pałacowych zwyczajach i pozdrowieniach.

– Boskie światło, moja piękna, blasku mojego serca. – Sułtan Selim próbował obłaskawić ją tkliwymi słówkami, ale nawet go nie słuchała.

– Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś pozwolić, żeby podpalił Wenecję?

– Ten, kto ci o tym powiedział, trochę to wyolbrzymił...

– Wyolbrzymił?

– Tak. Wenecja wcale nie spłonęła. Tylko okręty...

– Dlaczego? Wenecja i Imperium Osmańskie żyły w pokoju, bo dzielił tron z Wenecjanką. Dlaczego spaliłeś ziemię swojej królowej, Selimie Chanie?

– To sprawy państwowe.

– Sprawy państwowe?! Od kiedy państwo osmańskie załatwia sprawy państwowe zgodnie z wolą Żyda?

Sułtan Selim próbował coś powiedzieć, ale Nurbanu nie dała mu szansy.

– Dlaczego zburzyłeś pokój, Selimie?

– Nie ja go zburzyłem.

Było jasne, że padyszach chce jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i znów sięgnąć po kielich.

– Cypryjscy⁸ korsarze zaatakowali okręt przewożący dla mnie bardzo cenne

konie. Ukradli mi je.

– To byli cypryjscy korsarze...

– Ale Cypr należy do Wenecji.

– Wenecja zwróciła ci konie. Tak bardzo się ucieszyliśmy, że pokój został zachowany. Zapomniałeś?

– A kara dla Cypru? Miało ująć im to na sucho? Wysłaliśmy posła do Wenecji z żądaniem, aby oddali nam wyspę. Odmówili. Gdybyśmy lekceważyli własne słowa, nikt by nas nie słuchał. Czy sama tak nie mówiłaś, najdroższa? – Zamilkł na chwilę. W nadziei, że złagodzi jej wybuch, próbował naśladować Nurbanu. – „Selimie, nie pozwól, żeby ktoś powiedział słowo ponad twoje słowo”. Sama tak mówiłaś.

Kobiety nie rozbawiło to przedstawienie. Wręcz przeciwnie, ogarnęła ją jeszcze większa złość.

– Więc posłałeś swoich szpiegów i podpaliłeś Wenecję – podniosła głos. – Nie pomyślałeś o tym, że jestem Wenecjanką? Zapomniałeś, że to ojczyzna sułtanka, która urodziła ci następcę tronu? Nie pamiętałeś, że w każdą niedzielę tysiące ludzi modliło się o szczęście sułtana Selima i jego weneckiej królowej Cecilii Baffo?

Selim znów miał zamiar coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Nurbanu odwróciła się rozgniewana.

– W tej chwili ci ludzie przeklinają ciebie i mnie! – krzyknęła. – Możesz się cieszyć. Mam nadzieję, że ich klątwy dotkną tylko ciebie i mnie, a oszczędzą Murada.

Po tych słowach wyszła jak burza.

Teraz wpatrywała się w noc z okna swojej komnaty w Starym Pałacu. Patrzyła na gwiazdy. Być może w tej samej chwili ktoś w Wenecji uniósł głowę i też na nie patrzył. Spotykała się wzrokiem ze swoimi pobratymcami, ludźmi, którzy ją przeklinali.

„*Sułtan podpalił Wenecję!*”

„Okryli czerwienią wenecką noc, Cecilio”.

– Boże – jęknęła Nurbanu – nie pozwól mi zapomnieć tego głosu, który pali mój umysł, duszę i serce.

Nagle wydało jej się, że słyszy szept: „Nie płacz, Nurbanu”. Drgnęła. Rozejrzała się po ciemnej komnacie. Była sama. Wokół nie było nikogo. Może to pocieszające błaganie dobiegało z jej umysłu?

– Jaka „Nurbanu”? – wycodziła przez zęby. – Jestem Cecilia Baffo. Nazywam się *Cecilia Venier-Baffo* i jestem bratanicą potężnego doży weneckiego Sebastiana Veniera. Jestem Złotą Córką Wenecji. Ceciliją Baffo, która poprzysięgła zemstę za przeświątną Wenecję!

W tej samej chwili zdawało jej się, że widzi znajomą sylwetkę kobiety, która

przeszła przed nią energicznym krokiem.

Serce mocniej jej zabiło. Zobaczyła Julię Colonnę⁹, której podczas ceremonii zaślubin nadano przydomek Joanna Aragońska. To była najpiękniejsza kobieta świata. Przechodząc przed Nurbanu, odwróciła się i spojrzała na nią smutnym wzrokiem. Wyciągnęła do niej dłoń, zupełnie jak tej nieszczęsnej nocy, która stała się początkiem lub końcem wszystkiego.

– Bądź ostrożna, Cecilio Baffo – powiedziała. – Jesteś w niebezpieczeństwie.

Gdy Meleknaz bezgłośnie wślizgnęła się do jej komnaty, Nurbanu wciąż pochłaniały mroczne myśli. Serce jej płonęło.

– Posłaniec jest gotowy, sułtanko.

Ocknęła się pod wpływem głosu damy dworu. Nie można było przewidzieć, co stanie się po tej nocy. Musiała natychmiast ostrzec swojego syna. Podała dziewczynie białą chustkę, której jeden z rogów był zawiązany na supeł.

– Można mu ufać?

– Ufam mu jak sobie.

Kiwnęła głową, próbując się uśmiechnąć.

– Włóż tę chustkę do sakiewki. Niech natychmiast wyruszy w drogę.

– Pieczęć?

– Nie ma potrzeby.

Rzeczywiście to nie było konieczne. Nie miało też znaczenia, czy mężczyzna rozwiąże węzeł i przeczyta liścik. Było tam tylko jedno słowo. Jedno, pozbawione znaczenia słowo: „Tęsknię!”. Co mogło być bardziej naturalne niż tęsknota matki za synem przebywającym z dala od domu?

Prawdziwą wiadomością była chustka. Biała chusta symbolizowała niebezpieczeństwo. Węzeł na jednym z rogów oznaczał: „Bądź ostrożny”. Biała chusta z węzłami na dwóch rogach zapowiadała *śmierć*. „Uciekaj! Natychmiast uciekaj!”.

Sprawy nie miały się jeszcze tak źle.

Meleknaz wzięła białą chustkę i wyszła. Nurbanu powróciła do swoich mrocznych myśli. Sen pokonał ją dopiero nad ranem, gdy gwiazdy zaczynały blednąć. Nagle zobaczyła małą dziewczynkę. Piękną dziewczynę, która biegła, a włosy rozwiewał jej wiatr. Jakaś kobieta krzyczała za nią:

– Uważaj, Cecilio! Uważaj, córko! Nie biegnij, przewrócisz się!

Ale Cecilia biegła przez całe życie.

Znowu gdzieś z daleka dobiegł ją głos Julii Colonny:

– Uważaj, Cecilio. Jesteś w niebezpieczeństwie.

To niebezpieczeństwo nigdy nie opuszczało Cecili.

II

Trzydzieści cztery lata wcześniej

Wenecja

Początek lata 1536 roku

Cecilio Baffo! Do ciebie mówię. Wstawaj!

Leżała bez ruchu, udając, że nie słyszy.

– Dalej, młoda damo. Nie udawaj. Wiem, że już nie śpisz.

Nadal tkwiła nieruchomo w łóżku.

Matka otworzyła okno i odezwała się nieco głośniej:

– Do ciebie mówię, Cecilio Baffo! A może nie chcesz jechać do Fondi? Ach, gdybyś zmieniła zdanie. Gdyby kapitan nie czekał na ciebie i odpłynął. Gdyby ojciec zrezygnował z wysłania cię tam.

Fondi! Boże! Natychmiast wyskoczyła z łóżka. Oślepiło ją światło wpadające przez okno do pokoju. Odwróciła się do matki patrzącej na nią z miłością.

– Która godzina?

– Już prawie południe. Julia Colonna powiedziała wczoraj wieczorem, że statek wypływa o trzeciej.

– Najświętsza Panienko! – odezwała się Cecilia. – Czy Julia już wstała?

– Już dawno. Jest na dole i wydaje rozkazy. – Kobieta zbliżyła się do córki przeczesującej palcami fale czarnych włosów opadających jej na ramiona. – Boże, miej w opiece ten statek.

– Dlaczego tak mówisz, matko? Nie strasz mnie. Ojciec mówi, że będą nas eskortowały liczne okręty wojenne.

Kobieta machnęła ręką.

– Niech Bóg strzeże naszych statków przed osmańskimi korsarzami. Jednak nie to miałam na myśli. – Rozejrzała się, żeby mieć pewność, że nikt jej nie słyszy.

– To przez Julię. Tragarze i załoga od tygodnia ładują jej rzeczy. Barki pływają jedna za drugą. Rzeźby, obrazy... Nie wiem, jak mogła kupić to wszystko w ciągu dziesięciu dni. Mówili, że po śmierci męża poświęciła się sztuce. Zatem to prawda. Julia zmieniła pałac w Fondi w muzeum.

Radośnie zachichotały.

– Na twoje bagaże nie przyszła jeszcze kolej. Zobaczymy, co się stanie, kiedy je też zapakują. Bez pomocy Osmanów statek zatoni z przeciążenia.

– Ależ, matko. Skąd bierzesz te przerażające słowa?

– To nie moje słowa przerażają, Cecilio, ale twoje zachowanie ściągające wstyd na twój ojca.

– Co jest złego w moim zachowaniu?

– Od czego mam zacząć, moja droga? Od pozwalania na zaloty mężczyzn –

kawalerów i żonaty? Od nieustannego zsuwania sukien na ramiona i odsłaniania ich? – Matka wskazała ręką na piersi córki. – A może od niby przypadkowego upuszczania maski i pokazywania się mężczyznom?

Cecilia objęła matkę za szyję.

– Mario Baffo, powiedz mi, czy ty nie robiłaś tego samego, mając trzynaście lat? Pomyśl, Julia, wychodząc za mąż, była młodsza ode mnie.

– Gdy ja miałam trzynaście lat, młoda damo – odparła kobieta – chodziłam dwa razy dziennie do kościoła.

Dziewczyna zaczęła tańczyć wokół matki.

– Nie wierzę! Nie wierzę! Nie wierzę!

Nagle zatrzymała się na wprost niej.

Matka zmierzyła córkę pobłażliwym wzrokiem. „Szalona dziewczyna”, pomyślała.

– Chwileczkę – zachichotała Cecilia. – Czyżby moja piękna matka i jakiś młody ksiądz...

– Cecilio! – Matka zganiła ją, udając zagniewaną. – Jeśli nie przestaniesz paplać, obawiam się, że Joanna Aragońska, zamiast krzyczeć na tragarzy, wyładuje swoją złość na nas.

Cecilia podbiegła do schodów, śmiejąc się radośnie.

– Ile razy ci mówiłam, żebyś nie biegała po schodach?! – krzyknęła Maria Baffo, ale dziewczyna już dawno była na dole.

Piękna wdowa po księciu Wespazjanie zajęta była strofowaniem tragarzy, którzy próbowali przenieść wielki kufer przez szerokie wrota wychodzące na kanał. Odkąd Kościół nadał jej przydomek Joanna Aragońska, nikt nie zwracał się do niej prawdziwym imieniem. Oprócz Cecili. Była zaślubiona Kościołowi.

– Hej, ty! – wrzasnęła nagle kobieta. – Ile razy mam powtarzać, że w tym kufrze są delikatne przedmioty? Są więcej warte niż stu takich jak ty. Przestań obijać go o ściany!

Mężczyzna nie odpowiedział, ale nie trzeba być wyrocznią, żeby odgadnąć, że w duchu nie szczędził przekleństw.

– *Signora*.

Julia odwróciła się, słysząc jej radosny głos.

Cecili zaparło dech w piersiach. Była oczarowana, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. Boże, jaka ona jest piękna! Jej sięgające do pasa włosy poruszały się przy każdym ruchu, przywołując na myśl wodospad. Szerokie czoło, kości policzkowe uwidaczniające rysy jej smukłej, pociągłej twarzy, czarne, mieniące się granatem oczy. Gdy spojrzała na kogoś, aż odbierało dech. Miała cienkie, wygięte w łuki brwi, zadarty nos, pełne, nieustannie wilgotne usta, odbierające mężczyznom zmysły... i oczywiście duże piersi wyłaniające się z dekoltu.

– Moja słodka.

Cecilia, ugiąwszy jedno kolano, przywitała kobietę delikatnym dygnięciem. Głos Joanny Aragońskiej przywodził jej na myśl jedwabny szal. Obejmował człowieka, był miękki, pieszczący, balansujący między rzeczywistością a ułudą, a przy tym widzialny i wyczuwalny.

– Dziś rano jesteś piękniejsza niż wczorajszego wieczoru, Cecilio. Jeśli z każdym kolejnym dniem będzie przybywać ci urody, będziesz miała armię adoratorów.

– *Signora*. – Dziewczyna nawet nie próbowała stłumić chichotu zawstydzonego, a jednocześnie radosnego.

„Tak, jestem piękna”, myślała. Uroda Joanny Aragońskiej była niepodważalna, ale ona też była ładna, a do tego jeszcze młoda. „Kiedy dorosnę, będę piękniejsza od niej”.

Gdy osiągnie jej wiek, jej imię będzie wymieniane na wszystkich dworach. Cecilia Baffo! Największa piękność w Europie! Złota Córa Wenecji! Królowie i księżęta będą się ze sobą mierzyć, żeby móc ją poślubić. Będzie rozbijała przyjaźnie, z jej powodu będą wybuchały wojny. Panowie ze znakomitych rodów za jeden jej uśmiech będą składać u jej stóp swoje fortuny. Będą walczyć ze sobą, żeby móc zatańczyć z nią chociaż jeden taniec.

– Czy twoje rzeczy zostały wysłane na statek, moja słodka?

– Sądzę, że właśnie się tym zajmują.

Kobieta wierzchem dłoni odzianej w koronkową rękawiczkę otarła pot z czoła, po czym opadła na fotel stojący przy niewielkiej fontannie znajdującej się na środku dziedzińca. Dała dziewczynie znak ręką.

– Chodźcie, moja słodka. Wy także usiądźcie.

Cecilia zrobiła, co jej powiedziała.

– Wiecie, moja słodka – zaczęła Julia, pochylając się do jej ucha. – Młody Marcello jest w was zabójczo zakochany.

Oczywiście, wiedziała o tym. Mimo to spojrzała na kobietę, jakby chciała zapytać: „Marcello? A który to?”.

– Nie próbujcie mnie zwieść, moja piękna. Bardzo dobrze wiecie, kogo mam na myśli. Mówię o tym szlachetnym młodzieńcu ukrywającym się za maską orła.

Cecilia pochyliła głowę.

– To było aż tak widoczne?

– Jeszcze jak. Mężczyzna przez cały wieczór nie odstępował was na krok. A wy, ilekroć go zobaczyłyście, upuszczalyście maskę. Ach, oczywiście przypadkiem. On zaś toczył niemiłosierne walki z innymi młodzianami, żeby ją wam podać.

Dziewczyna milczała. Kiwnęła tylko głową.

– Nie pomyślałam o tym. Sprytna sztuczka.

Cecilia uniosła głowę i spojrzała na kobietę.

– Sprytna sztuczka? Jaka sztuczka?

Joanna Aragońska roześmiała się frywolnie.

– Sztuczka z rzucaniem maski, moja słodka.

Podniosła się i wyciągając obie dłonie, pomogła wstać Cecilii.

– Na waszym miejscu natychmiast napisałabym list.

– List? Do kogo?

– Oczywiście do szlachetnego Marcella. Przez cały wieczór tańczyłyście ze wszystkimi, tylko nie z nim. Najlepiej będzie, jeśli obłaskawicie serce ukochanego, pisząc mu, że pragniecie niezwłocznie spotkać się z nim w Fondi.

Ich spojrzenia się spotkały. Cecilia zdziwiła się, widząc grzeszny błysk w oczach Joanny Aragońskiej, którą cały świat chrześcijański uważał za świętą. Jednak nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Statek miał niedługo odpłynąć. Uwolniła dłonie z rąk Julii.

– Matko! – zawołała, biegnąc w szaleńczym pędzie w stronę schodów.

„W Fondi od Joanny Aragońskiej wiele się nauczę o miłości”, myślała, pokonując schody po kilka stopni naraz.

III

Fondi

Sierpień 1536 roku

Fondi... Fondi... Rajskie Fondi...”. Cecilia nie mogła zasnąć, nie skreśliwszy każdego dnia kilku linijek w swoim pamiętniku. Także i tego wieczoru opisała radość i szczęście, których doświadczyła. To musiał być raj, a Julia była aniołem. Była tego pewna. Pałac, który pozostał po jej zmarłym mężu, znajdował się w lesie, na zielonym wzgórzu wznoszącym się nad falami. Cecilia była dzieckiem nadmorskiego ludu. Można było nawet powiedzieć, że urodziła się w wodzie. Ale dopiero w Fondi po raz pierwszy ujrzała tak piękną barwę morza. Nie wiedziała, że zieleń może mieć tyle odcieni. Bliska czerni zieleń dużych liści w świetle słonecznym mieniła się żółcią, a wraz z wieczornym mrokiem okrywała się patyną. Zieleń sosen, szmaragdowa zieleń i jeszcze wiele innych odcieni, których nie potrafiła opisać. I te róże... Pnące róże, które okalały jej okno wychodzące na morze. Ogromne czerwone, różowe, białe i żółte róże... Pąki, które niebawem się rozwiną. Wiciokrzewy roztaczające wokół siebie zniewalający zapach pod wpływem najmniejszego podmuchu wiatru.

Największy podziw budziły w niej białe magnolie. Uwielbiała też kwiaty granatu, napełniające człowieka radością życia.

Gdy po raz pierwszy zobaczyła w Fondi deszcz, ogarnęło ją trudne do opisanego uczucie. Poczula jakiś nieznaną zapach. Dopiero później zrozumiała, co sprawiło, że miała ochotę krzyknąć ze szczęścia. To był zapach ziemi! Wenecjanom mieszkającym wśród kanałów był on obcy. Pełna uniesienia wybiegła na taras przed swoim pokojem. Rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć spadające krople, i wdychała zapach ziemi.

Nie tylko ze względu na piękno natury, zieleń lasu, błękit nieba, cudowne kwiaty, śpiew ptaków i zapach ziemi Cecilia Baffo uważała, że Fondi to prawdziwy raj.

Dobrze, że posłuchała rady Julii. Przed opuszczeniem Wenecji napisała list do Marcella. Dziesięć dni po tym, jak przybyły do Fondi, stanął przed nią Marcello Mancini, przystojny młodzieniec o czarnych jak węgle oczach i uśmiechniętej twarzy, którą okalały czarne, kręcone włosy. Wprawdzie Julia nie pozwalała zostawać im samym, ale Cecilia od czasu do czasu znajdowała jakiś sposób, aby wieczorem – chociaż na chwilę – rzucić się w ramiona Marcella.

Był jeszcze Sebastiano. Odkryła go pierwszego dnia, gdy wyszły na ląd. Do tej pory myślała, że weneccy mężczyźni są najprzystojniejsi. Sebastiano sprawił, że zmieniła zdanie. Wieczorem napisała w swoim pamiętniku: „Boże, jakież on wspaniałe!”. Przypominał jej rzeźbę Apolla. Jednak Apollo był z kamienia, marmuru, więc był zimny jak lód, a Sebastiano był żywy. Był Apollem o płonącym

wzroku, który sprawiał, że serce zaczynało bić szybciej.

Zanim przyjechał Marcello, zadowalała ją obecność Sebastiana. Prosiła Julię o pozwolenie i szła nad brzeg morza, żeby się z nim zobaczyć. Za każdym razem obierała tę samą taktykę. Stawała przy wyciągniętych na piasek łodziach i udawała, że wpatruje się w morze. Był to znak: „Tutaj jestem”. Natychmiast pojawiał się Sebastiano, rozciągając usta w uśmiechu, a biel jego zębów wybijała się przy ciemnej od słońca cerze.

– Piękny mamy dzień, prawda, *signorino* Baffo?

Ten głos... odbierał jej zmysły. Dopiero gdy usłyszała Sebastiana, dowiedziała się, że męski głos może wzbudzać taką burzę uczuć. Chociaż miała ochotę objąć go za szyję, zachowywała należyty dystans, jak przystało na pannę z dobrego domu.

– Piękny? Spójrzcie, nawet nie widać słońca.

– Będzie piękny, bo was zobaczyłem. Nie zauważyłem, że słońce ukryło się za chmurami.

Uwodziciel! Wiedział, że tymi słowami pieści jej serce.

Gdy przyjechał Marcello, sprawy nieco się skomplikowały. Cecilia cieszyła się z jego przybycia, ale czuła się rozdarta między dwoma mężczyznami. Szczególnie tego ranka, gdy powiedziała mu, że idą nad morze. Była przekonana, że Marcello zostanie w pałacu, ale później usłyszała, że pytał Julię:

– Czy uczynicie mi ten honor i pozwolicie towarzyszyć moim dwóm pięknym paniom?

Joanna Aragońska, inaczej, niż Cecilia się spodziewała, odparła, że sprawi jej to wielką radość.

W powozie siedzieli z Marcellem obok siebie. Uprzejmie odpowiadając na jego pochlebstwa, myślami była przy Sebastianie. Z pewnością ich zobaczy. Czy będzie zazdrosny o Marcella?

Stało się to, czego się obawiała. Sebastiano ujrzał ich, gdy spacerowali w otoczeniu całej armii służących. Wyszedł spomiędzy rozwieszonych do wyschnięcia sieci.

– Dzień dobry, *donno* Julio. Dzień dobry, *signorino* Baffo. Panie...

Uśmiech na jego twarzy był pełen napięcia. Cecilia jeszcze nigdy nie widziała, żeby miał aż tak ściągnięte brwi, tak jakby w myślach zadawał sobie pytania: „Kim jest ten mężczyzna? Czego szuka u boku Cecylii?”

Marcello miał wszystko, czym powinien się cechować dobrze urodzony, uprzejmy Wenecjanin. Wyjął koronkową chusteczkę zza mankietu plisowanej koszuli, wystającego spod rękawa satynowej marynarki, i zakrył nią nos. Z pewnością on także zastanawiał się, jak ten mężczyzna, przesiąknięty zapachem ryb, śmie wychodzić naprzeciw dwóm pięknym damom. Jego powitanie tak niewiele dla niego znaczyło, że nie chciało mu się nawet zapytać, kim jest ten

mężczyzna.

Tego wieczoru Cecilia była smutna, po raz pierwszy odkąd przybyła do Fondi. „Nie wiem, co zrobić”, zapisała w pamiętniku. Zapytała o to Julię, gdy wróciły z przechadzki.

Piękna kobieta o frywolnym spojrzeniu w jednej chwili zmieniła się w świętą Joannę Aragońską chrześcijańskiego świata.

– Na szczęście, moja słodka, Bóg stworzył dla nas, kobiet, dwa rodzaje mężczyzn.

– Dwa rodzaje?

– Tak, moja droga. Dwa rodzaje. Jedni to mężczyźni, za których wychodzi się za mąż.

– A drudzy?

Kobieta błyskawicznie wyszła z roli świętej i znowu stała się smukłą i powabną Julią.

– Mężczyźni, których się kocha.

Cecilia spojrzała na nią z szeroko otwartymi oczami. Słuchała uważnie.

– A dokładniej, moja słodka – szepnęła – mężczyźni, z którymi się sypia.

Cecilia oblała się rumieńcem. Ze wstydu nawet nie zapisała tego w pamiętniku. Ukryła to głęboko w pamięci jak największy sekret.

Julia była jeszcze dzieckiem, gdy wyszła za mąż za księcia Wespazjana. Mężczyzna nie okazał się zbyt żywotny – zmarł niespełna dwa lata po ślubie. Kobieta od trzech lat była wdową i wiodła życie wśród przepychu i bogactwa, które zostały jej w spadku po mężu. Czyżby w jej życiu byli mężczyźni, których kochała, a dokładniej – wstydziła się nawet o tym pomyśleć – z którymi sypiała?

„Do których należy Marcello?”, Cecilia zanotowała w pamiętniku tylko to jedno zdanie. I tak nikt oprócz niej nie zrozumie tego pytania. „A do których Sebastiano?”, dopisała po chwili.

Przypomniało jej się, jak szlachetny Marcello Mancini zakrył nos chusteczką. Piękna bratanica doży weneckiego Cecilia Baffo nie mogła poślubić śmierdzącego rybami wieśniaka. „W takim razie – zachichotała w duchu – Sebastiano należy do drugiego rodzaju”. Nagle poczuła, że policzki jej pąsowieją.

Wieczory w rajskim Fondi miały swój urok. Służący zapalali w ogrodzie mnóstwo papierowych lampionów. Pospiesznie wymieniali pochodnie, zanim zdążyły przygasnąć. Oprócz małych stolików rozsianych pod drzewami przed dużą fontanną ustawiony był wielki, długi stół. Joanna Aragońska jadła przy nim posiłki w towarzystwie elit Fondi, arystokratów pochodzących z miejsc, o których Cecilia po raz pierwszy słyszała, muzyków, malarzy, rzeźbiarzy, dam oraz oczywiście jej samej.

„Jest jeszcze ten ponury Hiszpan – zapisała w pamiętniku. – Podobno pisze książki. W ogóle mnie nie interesuje. Jest odpychający i łysy”. Nagle coś przyszło

jej do głowy. „Czyżby ten łysol był mężczyzną Julii należącym do drugiego rodzaju?”

„Przyjrzyj się uważnie tym dwojgu”, zanotowała. Tylko Cecilia wiedziała, kogo ma na myśli – Joannę Aragońską i łysego mężczyznę.

– Kim jest ten łysy brodac? – zapytała niespodziewanie pewnego wieczoru.

– Juan de Valdés¹⁰, moja słodka – odparła Julia bez mrugnięcia. – To reformator, przed którym drży Kościół. I pisarz. Rzym go nie lubi. Ten arystokrata był zmuszony opuścić Hiszpanię z obawy przed inkwizycją.

Cecilię przeszedł dreszcz na sam dźwięk tego słowa.

Podczas wieczornych spotkań dziewczyna z niecierpliwością wyczekiwała jednego – tańców. Julia unosiła rękę i pojawiali się muzycy. Najpierw dawały się słyszeć radosne dźwięki mandolin. Brzęk tamburynów ozdobionych kolorowymi wstążkami zapraszał wszystkich do tańca. Każdego wieczoru to ona tańczyła najwięcej.

I każdego wieczoru spotkanie kończyło się tak samo. Gaszono latarnie i pochodnie, a nocne ciemności oświetlały już tylko błyszczące na niebie gwiazdy. Ciepły letni wiatr przynosił znad morza lub z lasu nieopisane zapachy. Gdy tańczący unosili głowy, widzieli spadającą gwiazdę albo podziwiali księżyc w pełni.

I właśnie w tej chwili z lasu płynęły wzruszające dźwięki mandoliny. Po chwili dołączał do nich rzewny męski głos śpiewający pieśń pełną miłości... Żegnano gości, wszyscy rozchodzili się do swoich komnat, a wygrywana na mandolinie melodia cichła.

Takim właśnie rajem było Fondi. Jednak Cecilia uważała, że nikt, nawet Julia, tego nie zauważał. Nawet jeśli o tym nie mówiono, na wszystkich twarzach można było dostrzec ślady niepokoju. W powietrzu wisiał strach. Cecilia czuła go, zanim opuściła Wenecję.

Podobnie jak pozostali, ona też знаła imię tego lęku: *Osmanowie!*

Przed nimi wypłynęły w morze trzy weneckie galery. Za nimi płynęło dziewięć okrętów wojennych. Miało się wrażenie, że Joanna Aragońska nie wraca do domu z wizyty w Wenecji, ale płynie na wojnę.

Kapitan często wychodził na pokład. Podnosił lunetę i z niepokojem przeczesywał wzrokiem horyzont. Ponieważ Morze Śródziemne roiło się od osmańskich korsarzy, nie opuszczali wód Adriatyku i po dwóch dniach zeszli z okrętu. Na szczęście w tym czasie nie natknęli się na Osmanów. Jednak wszyscy wiedzieli, że gdzieś tam są i pewnego dnia przybędą.

Na brzegu wsiadły do czekającego na nie powozu i natychmiast wyruszyły w drogę. Cecilia nie była przyzwyczajona do tak długich podróży małym jak pudełko, nieustannie trzęsącym się powozem. Była córką morza. Piątego dnia, gdy słońce oświetliło domostwo za wzgórzami, widok Fondi zapał jej dech

w piersiach. Przed nimi, za nieopisaną zielenią, rozciągał się bezkresny błękit. Nawet teraz pamiętała, jak malujące się na twarzach zmęczenie w jednej chwili zniknęło.

IV

Gdzieś na Morzu Tyrreńskim Środek lata

Towarzysze broni, którzy walczyli ramię w ramię w wielu bitwach, wstrzymali oddech, gdy na mostek wyszedł ojciec kapitan. Większość z *levantów* nie pamiętała, od jak dawna walczyła pod jego żaglami przeciwko giaurom, ginąc i odbierając życie. W tym czasie nawet nie mieli jeszcze wąsów. Wielu spośród nich straciło życie, ale ci, którzy pozostali, byli pewni, że na zawsze będą im towarzyszyć. Wiedzieli, że gdziekolwiek na Morzu Śródziemnym uniosą ręce ku niebu i odmówią Fatihę, słowa modlitwy dotrą do ich dusz. Przecież oddawali życie za to, żeby całe Morze Białe uczynić swoją ojczyzną. A teraz to samo działo się na wielkim oceanie. W którąkolwiek stronę spojrzeć, wszędzie widać było czerwono-zielone bandery Wielkiego Imperium Osmańskiego. Gdy tylko nadstawić ucha, na jednej z galer słychać było ezan recytowany przez któregoś z *levantów* poruszającym głosem. Na całym Morzu Śródziemnym górowała potęga sułtana Sulejmana, napełniająca serca przyjaciół dumą, a wrogów – strachem.

Starzy to wiedzieli, młodzi dopiero się uczyli. Ojciec kapitan, odkąd został kapitanem Hyzyrem, nie był zbyt rozmowny przed bitwą. Patrzył na każdego z osobna swoimi płonącymi oczami, jakby obejmował ich spojrzeniem, całował ich w czoła i mówił:

– Co za szczęście. Jeśli przeżyjemy, będziemy gazi, jeśli umrzemy, umrzemy za padyszacha. Niech ci, którzy przeżyją, nie cieszą się, a ci, którzy odejdą, nie żałują. W raju czeka na nich nasz prorok Mahomet.

W ciągu dnia kryli się w cieniu wąskich zatok Morza Tyrreńskiego, w nocnym mroku wciągali żagle i nie zapalając ani jednego światła, kierowali się na północ. Gdy Hajraddin Pasza wyszedł na mostek, pojęli, że dotarli do celu. Nadszedł czas. Nareszcie *levenci* mogli zdjąć z siebie przebrania kupców i włożyć niebieskie spodnie wiązane w kolanach, a na nagie torsy – czerwone kamizelki.

Ojciec kapitan stał przez chwilę w milczeniu, głaszcząc się po rudej brodzie. Z jego oczu tryskały skry. Spojrzał na swoją załogę. Mimo ciemności widział wszystkich, nawet tych stojących najdalej. Nagle uniósł prawą rękę. Marynarze wstrzymali oddech. Na pokładzie zapadła cisza.

– Czterdziestu dżygitów!

Głos Hajraddina Paszy sprawił, że przeszedł ich dreszcz. Gdy czterdziestu mężczyzn w jednej chwili ustawiło boscie stopy na baczność, przysuwając je po deskach pokładu, rozległ się dziwny dźwięk. W ten sposób czterdziestu mężczyzn, gotowych na śmierć, pozdrowiało swojego kapitana.

– Od tej pory wśród giaurowów będą was nazywać *Czterdziestoma Gniewnymi Sulejmana Chana*. Choćby został tylko jeden z was, mój rozkaz jest niezmienny:

Wyrwicie serce giaurowi i przynieście mi je. Zróbcie to, żeby ci innowiercy poznali potęgę Imperium Osmańskiego. Niech się przekonają, jak zastawia się pułapki, jak się atakuje i przeprowadza zamachy. Nie wolno wam dostać się do niewoli, dżygici! Pamiętajcie o Ismailu z Alaiye. Wierzę w was. Dotrzymajcie przysięgi złożonej naszemu panu. Zarzućcie sobie na plecy honor Rzymu i przynieście go mnie. Modłę się za was! Niech wyruszy czterdziestu i czterdziestu powróci.

Ismail z Alaiye, człowiek kapitana Turguta, został uratowany po tym, jak przez lata gnił w hiszpańskich lochach. Wrócił do stolicy, gdzie umieszczono go w kwaterach *levantów*. Jadł z nimi z jednej misy. Jednak mimo że wydostał się z niewoli, to potężny jak góra Ismail cierpiał na ścinającą go z nóg chorobę – epilepsję.

W osmańskiej flocie nie było nikogo, kto nie słyszałby historii Ismaila. A ci, którzy jej nie słyszeli, poznawali ją od tych, którzy już ją znali. Mężczyzna zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Levenci wspominali go, gdy w długie noce kołysali się na falach. Istniał jednak pewien przeraźliwy sekret, o którym nikt z nich nie słyszał. Bo skąd mogli wiedzieć, że giaurzy zatruli umysł Ismaila i wysłali go, żeby zabił piękną córkę sułtana Sulejmana – Mihrimah?

W rzeczywistości choroba, która go nękała, nie miała nic wspólnego z epilepsją. Przyczyną tych straszliwych ataków był narkotyk, od którego uzależnili go giaurzy, trzymając w niewoli. W całym Wielkim Imperium Osmańskim tę prawdę znali tylko sułtan Sulejman i admirał Hajraddin Pasza z listu, który pozostawił Ismail. *Levenci* byli przekonani, że Ismail przepadł, chcąc zemścić się na giaurach.

Nikt nic więcej nie powiedział. Nie było żadnych pytań ani pożegnań. Czterdziestu dżygitów w ciszy przeszło przed Hajraddinem Paszą. Gdy widoczne w oddali światła Fondi zaczęły gasnąć, w nocnych ciemnościach czterdziestu marynarzy zjechało po linach zwisających z mrocznego galeonu w chłodne morskie wody.

V

Pałac Fondi

Tej samej nocy

Nie uratowałyby się, nawet gdyby Julia pospieszyła jej z pomocą. Cecilia czuła, że jej opór stopniowo słabnie. Z coraz mniejszym przekonaniem sprzeciwiała się Marcellemu. Słowa odmowy coraz bardziej przypominały zaproszenie. „W końcu ja też jestem człowiekiem – powtarzała sobie, czując niepokonaną żądzę ze strony mężczyzny. – Moja wytrzymałość i opór też mają swoje granice. Spójrz, dokąd sięgają ręce tego rozpustnika”.

Ale to nie ręce, lecz usta Marcella doprowadzały Cecilie do szaleństwa. Jego szorstkie, grube wargi. Usta mężczyzny były jak rozgrzane węgle. Paliły miejsce, którego dotknęły. Cecilia Baffo nie wiedziała, co zrobić, gdy odrzucił na bok maskę z gęsich piór i zaczął ją całować.

Kiedy jego usta schodziły coraz niżej w dół szyi, była bliska utraty zmysłów.

– Puść mnie, Marcello Mancini. – Jej szept zmienił się w jęk.

– Proszę, proszę... – Tylko to zdołał wydusić z siebie Marcello, nie licząc oczywiście urywanego oddechu przywodzącego na myśl gniewne powarkiwanie tygrysa.

– Puść mnie...

Małymi dłońmi próbowała się obronić przed dotykiem ust Marcella. Coraz mocniej oplatał ramionami jej talię, aż w końcu przywarła swoimi dużymi jak na jej wiek pierściami do torsu mężczyzny. Ten dotyk sprawił, że oboje stracili głowy.

Nawet gdyby powstrzymała jego rozpalone wargi, nie mogła odeprzeć jego rąk. Nie przypuszczała, że Marcello może być tak silny. Jego dłonie były jak stalowe cęgi. Pocierał nimi, ścisnął, szarpał, po czym nagle jego dotyk stawał się miękki i delikatny jak aksamit.

Ich oddechy i jęki były jak burza w ciemnym korytarzu.

– Do ciebie mówię, Mancini... Przestań! Jeśli ktoś nas zobaczy... Skandal...

– Nie obchodzi mnie to... Już...

Wiedziała, że jeśli nie ustąpi, za chwilę mu się podda. W końcu dała za wygraną: „Mnie też to nie obchodzi. Niech będzie, co ma być”.

W tej samej chwili miały miejsce dwa cudy.

Cecilia zauważyła, że trójgłaniasty kapeluszek Marcella Manciniego upadł na podłogę, a upudrowana srebrna peruka zsunęła się na bok. Peruka przewiązana na końcu wielką amarantową kokardą przesłoniła mu brwi, sprawiając, że młody mężczyzna przypominał błazna, jakiego widziała na kiermaszach. Jego ściągnięta pożądaniami twarz przybrała komiczny wyraz. Cecilia nie mogła się powstrzymać. Z jej ust wydobył się śmiech, aż oczy zaszły jej łzami.

Marcello nie wiedział, co się dzieje. Ręce na talii dziewczyny rozluźniły się.

– Dlaczego się śmiejesz?

Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Wskazała tylko palcem i dalej śmiała się do rozpuku.

Z jej ust wydobyła się tylko jedna sylaba:

– Ka... Ka...

Ogień namiętności zgasł równie szybko, jak się rozpałił. Żądza Marcella zamieniła się w popiół.

– Hej! Co tu się dzieje?

To był drugi cud. W ich stronę zmierzała szybkim krokiem piękna Julia w tiulowej sukni. Światło pochodni, znajdującej się na przeciwległym końcu korytarza, sięgało do każdego załamania i spiętrzenia tkaniny, ukazując kontury wspaniałego ciała Julii w najdrobniejszych szczegółach. Ten widok sprawiał, że krew w żyłach wrzała, i działał na wyobraźnię bardziej, niż gdyby kobieta była naga.

– Nic – rzuciła Cecilia pospiesznie. – Marcello opowiedział mi tak śmieszoną historię, że nie mogłam się opanować.

Widok przekrzywionej peruki Manciniego i jego ściągniętej pożądaniami twarzy oraz piersi Cecylia, które szybko podnosząc się i opadając, nieomal nie wyslizgnęły się z dekoltu, nie pozostawiał wątpliwości, co to była za historia.

– Doprawdy? Mam nadzieję, że pewnego dnia nam też ją opowiesz, młody Mancini – stwierdziła i zwróciła się do Cecylia: – Chodźmy, moja słodka. Czas spać.

Podążyła za kobietą, zostawiając Marcella samego.

Julia otworzyła drzwi i weszły do komnaty Cecylia.

– Bądź ostrożna, moja słodka – wyszeptwała. – Jesteś na niebezpiecznych wodach.

Później ucałowała dziewczynę w policzek i wyszła.

Ciało Cecylia wciąż drżało od uniesienia, jakie niedawno przeżyła. Zanim położyła się do łóżka, sięgnęła po pamiętnik. Ułożyła się na brzuchu, otworzyła zeszyt i zanotowała:

8 sierpnia, Fondi

Jestem na niebezpiecznych wodach...

– *Signorino Baffo... Signorino Baffo...*

Cecilia wyprostowała się w łóżku, słysząc dobiegający z zewnątrz szept. Zaczęła się wsłuchiwać. Cisza. „Musiało mi się wydawać”, przeszło jej przez myśl.

– *Signorino Baffo, to ja... Sebastiano...*

Sebastiano? Co on robi w pałacu?

Natychmiast wyszła na taras. Wiatr rozwiewał jej włosy i lubieżnie błędził

pod suknią. Księżyc dawno schował się za wzgórzem. Gwiazdy też jakby zniknęły. Na dole, w latarni pośrodku dziedzińca płonęła tylko jedna świeca, a i jej płomień nie był w stanie oświetlić nawet jej samej. W oddali, w miejscu, gdzie powinno znajdować się morze, była teraz czarna, atramentowa plama.

– *Signorino* Baffo...

To naprawdę był głos Sebastiana.

– Gdzie jesteście? Nie widzę.

– Tutaj... Pod różą pnącą się do waszego tarasu...

Gdyby nie błysk w jego oczach, nie dostrzegłaby go w tych ciemnościach.

– Postradaliście zmysły? Co tu robicie? Służba...

– Nie obchodzi mnie to, *signorino*. Musiałem was zobaczyć.

Jej serce biło jak oszalałe ze szczęścia i z ekscytacji. Mimo to skarciła go szeptem:

– Natychmiast odejdźcie. Odejdźcie stąd, zanim was złapią.

– Nie odejdę, nie zabrawszy was ze sobą.

„Mnie?”. Ten chłopak naprawdę oszalał. Bez niej! Ciemności Fondi były magiczne. Nie można było przewidzieć, co pojawi się pośród nich. Teraz właśnie tak się stało. Tym razem z mroku ukazał się Sebastiano, za którym podążały jej myśli, nawet gdy drżała w ramionach Marcella: „Ciekawe, jak on całuje”.

– Oszaleliście, Sebastiano. Zaraz ktoś was usłyszy. Natychmiast stąd odejdźcie. Jeśli was złapią... Błagam, odejdźcie stąd.

– Nie odejdę, nie zabrawszy was ze sobą.

– Dokąd?

– Do ogrodu... Proszę, *signorino* Baffo. Nie widziałem was od tyłu dni. Chwilka... Tylko chwilka. Proszę.

– Nawet jeślibym chciała, nie mogę, Sebastiano. Na wszystkich piętrach są straże. Nie wypuszczą mnie o tej porze.

Nastała cisza. Zrozumiała, że Sebastiano się zastanawia. „Niech to szlag. Nie pomyślałem o tym”. Jednak jego wahanie nie trwało długo.

– Dobrze, w takim razie was zniosę.

– Teraz mam pewność. Postradaliście zmysły. Nigdy w życiu.

– Proszę, Cecilio.

Nikt nigdy tak pięknie nie wypowiedział jej imienia.

– Spadnę.

– Przytrzymam was. Nie bójcie się.

„Mój Boże – pomyślała Cecilia, schodząc po balustradzie tarasu. – To Fondi jest szalone. Dwóch kochanków w jedną noc. Julia miała rację. Naprawdę jestem na niebezpiecznych wodach”.

Julia nie mogła zasnąć. Leżała w łóżu, wpatrując się w sufit. Chrapanie wyczerpanego namiętnością Armanna odbijało się echem wśród ścian. Przez

chwile w miejscu umięśnionego ciała rozciągniętego na łóżku zobaczyła swojego zmarłego męża Wespazjana Colonnę. Nie potrafiła nawet wyobrazić sobie mężczyzny, za którego wydano ją za męża, gdy miała zaledwie dwanaście lat. Przymknęła oczy. Był opasty, brzydki, ordynarny, nieczuły, zaciekły i surowy. To małżeństwo było dla niej torturą.

Ale Kościół był szczęśliwy, że zostanie żoną członka rodu Colonna, wspierającego Rzym złotem i swoimi okrętami. Ojcu Świętemu nawet przez myśl nie przeszło, żeby sprzeciwić się małżeństwu dziewczyny, która właściwie była jeszcze dzieckiem, z czterdzieści lat od niej starszym mężczyzną. Wręcz przeciwnie, pobłogosławił ich związek i w ciągu jednej chwili Julia Gonzaga stała się Julią Colonną. Teraz była poślubiona Kościołowi.

– Joanna Aragońska – zwrócił się papież do panny młodej, która siedząc na krześle, nie dotykała stopami podłogi. – Takie będziesz nosiła imię.

Od tamtego dnia Julia była na wpół święta.

Boże, jak bardzo się bała. Jak miała żyć z mężczyzną, który ją tak przerażał?

– Chodź! – powiedział pierwszej nocy.

Tak brzmiało jego miłosne zaproszenie. Jedna zachrypnięta sylaba „Chodź!”.

Wielkimi łapskami obłapiał przez tiule jej jeszcze nierozwinięte piersi. Później szybko zniżył się do bioder. Nawet jej nie pocałował. Choć właściwie Julia się z tego cieszyła. Przynajmniej nie musiała czuć odoru wydobywającego się z ust tego mężczyzny.

Później jego grube cielsko zważyło się na nią jak kłoda. Nie wiedziała, czy się z nią kochał, czy znęcał się nad nią. Po tej nocy pozostały jej ból i wstyd połączone z obrzydzeniem. Julia nawet nie rozumiała, co się dzieje. Wespazjan przygniótł ją, rżąc jak świnia.

Na szczęście serce Wespazjana Colonna nie było w stanie znieść burzy namiętności, którą wzbudzała w nim teraz już czternastoletnia żona. Pewnej nocy wdrapał się na nią i już nie wstał. Umarł, zostawiając jej tytuł szlachecki, pozycję pobłogosławionej przez Kościół, a przede wszystkim całe bogactwo Fondi.

A teraz Julia sekretnie próbowała ugasić płomień w jej wciąż niezaspokojonym ciele, leżąc u boku dowódcy straży Armanna. Ten mężczyzna był w łóżku jak huragan. Julia miała czasem wrażenie, że zachłyśnie się falą namiętności albo jak jej mąż umrze podczas cielesnego połączenia.

Była przekonana, że ten płomień namiętności pochodził z ognia piekielnego. Porywał człowieka i rzucał go w ramiona grzechu.

Nagle pomyślała o Cecilii Baffo. Dziewczyna miała dopiero trzynaście lat, ale szatan już wił się w jej ciele. Było jasne, że gdyby wtedy choć trochę się spóźniła, Cecilia oddałaby się Marcellowi Manciniemu. „Szkoda, że się nie spóźniłam – pomyślała. – W końcu ją też pewnego dnia wydadzą za tłustego, podstarzałego mężczyznę. Mogłam pozwolić, żeby najpierw zasmakowała

obezwładniającej żądy. Może uniosłaby ją pod niebo”.

„Wstydz się!”. Znała ten głos. Był to krzyk jej chrześcijańskiego sumienia. Przywoływał ją do porządku, ilekroć stąpała na krawędzi grzechu. „Natychmiast wyzwól się od grzechu. Wyrzuć z siebie szatana! Nie pozwól, żeby przejął twoją duszę i ciało. Jesteś Joanną Aragońską, błogosławioną panną rzymskiego Kościoła. Nie daj szansy wykiełkować w sobie ziarnom grzechu”.

Boże, jak bardzo cierpiała. Jej ciało płonęło z pożądania, a dusza drżała ze strachu przed grzechem. Była błogosławiona. Była dumą chrześcijaństwa, sercem Fondi, honorem Rzymu. Nie wolno jej było dopuścić do siebie szatana. Z pewnością diabeł wkradał się do jej łóżka pod postacią Armanna. Wyciągnęła krzyż.

– Wynoś się, szatanie – powiedziała cicho. – Wynoś się z mojego ciała.

Niech będzie przeklęty... Tak bardzo go pragnęła. Tak bardzo...

Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wskoczyć na mężczyznę. Podniosła się ogarnięta paniką. Okryła swoje spocone, drżące z podniecenia ciało cienkim tiulem i wyszła na taras. W ciemnościach i tak nikt nie mógł jej zobaczyć. Poczowała chłodny powiew nocnego wiatru. Joanna Aragońska wzniosła ramiona ku bezgwiezdnemu niebu.

– Najświętsza Panienko – wyszeptwała. – Miej mnie w swojej opiece.

Czterdziestu gniewnych Sulejmana Chana z czterdziestu miejsc wślizgnęło się do ogrodu. Nocne ciemności okrywały ich jak kołdra. Ogród z mrocznymi cieniami drzew był czarniejszy niż noc. Czterdziestu dzygitów, znając na pamięć nakreślony przez szpiega plan, zmierzało do celu, kryjąc się za grubymi pniami drzew.

Nagle dwóch z nich się zatrzymało. Mężczyzna na przedzie wyciągnął rękę do tyłu, drugi uciszył go, przykładając palec do ust.

Cecilia powoli podniosła się z liści, na których leżała.

– Ty też to słyszałeś?

Sebastiano pokręcił głową. On słyszał tylko bicie swojego serca.

Cecilia spojrzała na niego z uśmiechem. Obróciła głowę. To właśnie znaczyło „być pijanym z miłości”. Sebastiano pomógł jej zejść z tarasu do ogrodu i zaprowadził ją w ustronny zakątek. To, co wydarzyło się później – a może powinna powiedzieć to, co się nie wydarzyło – było jak sen z Fondi. Miłość była czymś niepojętym. Po tym, jak szlachetny Marcello obłapiał ją w prostacki sposób, delikatny, pełen uczucia dotyk zwyczajnego rybaka wstrząsnął nią. „Czy nie powinno być odwrotnie?”, zadawała sobie pytanie, gdy pod wpływem dotyku Sebastiana jej ciało przeszywał przyjemny dreszcz. Chłopak nie odrywał od niej wzroku. Głaskał ją po włosach, obsypywał pocałunkami jej twarz. I dwukrotnie jego wargi, niby przypadkiem, przykryły jej usta. Jedyne podobieństwo między tymi dwoma mężczyznami to płomienne usta. Wargi obydwu parzyły miejsce,

którego dotknęły. Przypomniała sobie ostrzeżenie Julii: „Jesteś na niebezpiecznych wodach, moja śliczna”.

Jednak Sebastiano nie zrobił nic, co mogłoby wzbudzić sprzeciw dziewczyny. Ona zaś postanowiła go nagrodzić za te pełne uczucia pieszczoty. Objęła ramionami jego silną szyję i oddała mu swoje usta. Powoli osunęli się razem na łożo z liści i kwiatów lipy.

– Ty też to słyszałeś?

Przez chwilę wsłuchiwali się w noc. Dochodziły do nich cykanie świerszczy i trele zbudzonego zbyt wcześnie skowronka.

– Muszę już iść.

– Zostańcie jeszcze trochę, *signorino* Baffo. Pro...

– Przestań nazywać mnie *signoriną* Baffo!

W jej głosie pobrzmiwała udawana złość.

Młody mężczyzna wyciągnął do niej dłoń. W chwili gdy Cecilia chciała ponownie objąć go za szyję i pociągnąć na łożo z liści, stało się coś okropnego.

Nagle Cecilia spod przymkniętych z rozkoszy powiek dostrzegła, że jej ukochany miota się trzymany przez czarnego olbrzyma. Gdy w panice próbowała się podnieść, od tyłu w żelaznym uścisku unieruchomiły ją jakieś ramiona. Ktoś zakrył jej usta.

– O Boże! O Boże! – Jej krzyk zniknął między potężnymi palcami.

„Kim oni są?”

Jej umysł znał odpowiedź. „Przybyli! *Korsarze!*”

Cecilia walczyła, żeby się uwolnić, ale na próżno. Mężczyzna był zbyt silny. Sebastiano! Gdzie jest Sebastiano? Rozejrzała się przerażona i zobaczyła go. Wielki Jezu! Leżał nieruchomo pod drzewem, pod którym jeszcze przed chwilą przeżywali wspólnie szczęście i rozkosz.

– Sebastiano!

Jej krzyk ponownie stłumiła dłoń trzymającego ją korsarza. Próbowała go ugryźć. Dopiero wtedy poczuła na szyi zimną stal. Sztylet... Był gotowy poderżnąć jej gardło. Mężczyzna zawlókł ją pod drzewo.

Z miejsca, w którym leżała, zauważyła innych mężczyzn poruszających się w ciemnościach. Jeden... Drugi... I jeszcze tam... Boże, ilu ich było? Musieli zostać zaatakowani. Zabijają ich wszystkich, jedno po drugim. A ona nie mogła nikogo ostrzec. Jeszcze raz próbowała krzyknąć, ugryźć... Na próżno.

Ktoś inny brutalnym, szybkim ruchem wcisnął jej do ust jakąś paskudną szmatę. Teraz już nie mogła krzyknąć. Olbrzym, który zasłaniał jej usta, skrępował jej dłoń.

W tej samej chwili usłyszała przeraźliwe wołanie:

– Atak! Zaatakowali nas!

W końcu ich zauważyli!

Później odezwał się inny sługa:

– Pani! Pani, uciekajcie!

Po chwili rozległ się kobiecy wrzask.

Cecilia natychmiast rozpoznała ten głos. Julia!

Usłyszała odgłos pośpiesznych kroków. Czarni mężczyźni wyszli z dających im schronienie ciemności. Nie było już sensu się ukrywać. Wystrzeliły arkebuzy strażników. Czarni mężczyźni szli na nich z szablami. Okrzyki i przekleństwa mieszały się ze sobą.

Nagle Cecilia zobaczyła powiewający w ciemnościach tiul. Julia Colonna! Joanna Aragońska uciekała. Marmurowa bladość jej nagiego ciała sprawiała, że bardziej niż świętą przypominała zjawę.

Później nastąpiła ciemność. Nałożono jej na głowę ogromny worek. Jakiś mężczyzna zarzucił ją sobie na ramię i zaczął biec.

Przestała się szarpać. Zaczęła płakać. I tak przecież nikt nie zobaczy jej łez. Wydawało jej się, że słyszy głos matki błagającej ojca:

– Nie wysyłaj tam mojej córki. Mówią, że roi się tam od osmańskich korsarzy. Co ona będzie robiła w Fondi?

– Nie mów głupstw, kochanie. Osmanowie nie będą mieli odwagi zaatakować weneckiej floty eskortującej Julię Collonę do Fondi. Będą pod ochroną co najmniej dwudziestu okrętów.

Ach, gdyby ojciec posłuchał matki.

Ani dwadzieścia okrętów, ani uzbrojone straże nie zdołały jej ocalić. Złota Córa Wenecji została uprowadzona przez osmańskich korsarzy.

Nie wiedziała, jak długo biegł mężczyzna.

Nagle usłyszała szum fal. Były też inne kroki. Do jej uszu dobiegły okrzyki w niezrozumiałym języku. Mężczyzna rzucił ją na ziemię. Łódź. Była teraz w łodzi. Usłyszała uderzanie wiosł o wodę.

Zabierali ją.

Wrogowie, którzy wyszli z morza, które uważała za przyjaciela, zabierali ją w jakieś nieznane miejsce.

Cecilia Baffo trafiła do niewoli.

Jakiś dźwięk. Łódź o coś uderzyła. Zatem dotarli. Poczuli, że mężczyźni się podnoszą. Jeden z nich ponownie zarzucił ją sobie na ramię. Ktoś krzyknął z góry. Przybyli na okręt. Na piracki statek. Za chwilę rozwiną żagle, a galernicy chwycą za wiosła. Zabiorą ją stąd i więcej już tu nie powróci.

Przypomniała sobie twarz matki, ojca... Wszyscy członkowie rodu Baffo stanęli jej przed oczami. Pomalowana na żółto rezydencja Baffo nad Wielkim Kanałem... Jej pokój... Księżyc wypełniający blaskiem jego wnętrze... Dźwięki mandoliny mieszające się z nocnymi pieśniami gondolierów... Wspaniałe bale w Pałacu Dożów... Wszystko... To wszystko odchodziło do przeszłości...

Była niewolnicą. Nieszczęsną, młodą niewolnicą. Po pewnym czasie wróciła do rzeczywistości. Ocknęła się przerażona tym, co się stało.

„Pamiętnik! Mój pamiętnik został w pałacu”. Jej wnętrze wypełnił ból. Przed jej oczami pojawiły się ogniste litery ostatniego zdania, które napisała na chwilę przed tym, jak stanęła twarzą w twarz z tym nieszczęściem. „Jesteś na niebezpiecznych wodach, Cecilio”.

Naprawdę tak było.

Te wody były niebezpieczeństwem.

Teraz niebezpieczeństwo stanie się jej towarzyszem.

Mężczyzna, który wniósł ją na statek, rzucił ją na pokład. Krzyczała z bólu. Ale tylko ona mogła usłyszeć ten krzyk w swoim umyśle. Zębami i językiem próbowała wypchnąć wypełniającą jej usta szmatę. Mimo że ręce i nogi miała związane, szarpała się, turlała się, niestrudzenie kopała nogami o pokład. Próbowała narobić jak najwięcej łośkotu. Nie przyniosło jej to nic oprócz wyczerpania.

Usłyszała jakiś hałas, a po chwili kolejny, głośniejszy. Każdy Wenecjanin rozpoznał ten dźwięk. Żagle! Wciągnęli żagle! Pokład zaczął drżeć. Zrozumiała, że wiatr wziął okręt w swoje objęcia. W tej samej chwili rozległy się dwa wybuchy. Boże, co to jest? Wyszadzili coś w powietrze? Mężczyźni wydawali z siebie okrzyki radości. Cecilia szeroko otworzyła oczy i zaczęła obracać głowę, zupełnie jakby w ten sposób mogła przedziurawić spojrzeniem worek i wszystko zobaczyć. Cecylii wydało się jedynie, że otaczająca ją ciemność nabrała odcienia czerwieni. To wszystko.

Po pełnych szczęścia nawoływaniach usłyszała uderzenia wiosł o wodę. Okręt odpływał. Korsarze ją uprowadzili. Fondi zostało w tyle.

„Ruszaj za nami w pogoń!”. Cecylii wydawało się, że to ktoś krzyknął, choć wiedziała, że to głos jej gasnącej nadziei. „Julia z pewnością wyśle za mną statki, gdy otrząśnie się z pierwszego szoku”.

Uśmiechnęła się na tę myśl.

Ciekawe, czy ona zdołała się uratować.

Przed oczami stanął jej obraz białego tiulu powiewającego w ciemnościach. Przypomniała sobie chwilę, gdy Julia, przemykając w cieniu drzew, uciekła do stajni. Jej lęk i strach stały się jeszcze większe.

Gdy Joanna Aragońska usłyszała pierwszy krzyk, nie od razu pojęła, co się dzieje. Być może stało się tak z powodu ociężałości po niedawnych rozkoszach, a może z zamyślenia.

– Atak! Zaatakowali nas! Korsarze! – dotarły do niej krzyki.

W tym pałacu te słowa nie niosły za sobą żadnego znaczenia. Co korsarze mieliby robić w pałacu chronionym przez tysiąc strażników? Kto odważyłby się na coś takiego?

Julia podbiegła do barierki tarasu. Wiatr, który przed chwilą przyjemnie chłodził jej spocone po przeżytej namiętności ciało, teraz sprawiał, że było jej zimno. Krzyki w ogrodzie stawały się coraz głośniejsze. Coś wybuchło w ciemnościach. Później usłyszała wystrzał. Wołania jeszcze bardziej się nasiliły. Na dole jakiś mężczyzna padł na ziemię, trzymając się za pierś.

Spojrzała w dół, przechylając się przez balustradę i przytrzymując rękami wysuwające się spod tiulu piersi. Zobaczyła ciemne sylwetki ludzi biegających po ogrodzie. Mój Boże! Jeszcze jeden wystrzał. Przez moment, gdy wybuch prochu rozświetlił ciemności, zauważyła mężczyzn z zakrzywionymi sztyletami. Zrozumiała, jak nedorzeczne było jej przekonanie o tym, że nikt nie odważy się zaatakować pałacu bronionego przez tysiąc strażników. Zaatakowali go Osmanowie z szablami w kształcie półksiężyca!

– Armanno! – wrzasnęła.

Odpowiedź nie nadeszła. Gdy odwróciła się i w świetle znajdującej się na korytarzu latarni ujrzała szeroko otwarte drzwi, pojęła, że jej kochanek już dawno umknął. Pobiegnęła na drugą stronę tarasu. W panice spojrzała w dół. Wtedy zrozumiała, że sama także musi uciekać. Dwóch czarnych mężczyzn wspinało się na taras, mając szable w zębach. „Uciekaj! – rozległ się głos w jej głowie. – Co tak stoisz?! Uciekaj! Natychmiast!”.

Gdy wybiegła na korytarz, nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest naga. Jedyne, o czym myślała, to, że musi uciekać.

Wybiegła do ogrodu na tyłach pałacu, gdzie znajdowały się stajnie i pomieszczenia dla służących i straży. Byli wszędzie. Czterdziestu mężczyzn wychodziło ze wszystkich zakamarków, biegli w stronę pałacu, tnąc szablami stróżów i strażników, którzy próbowali zagrozić im drogę.

Przypomniała sobie, że jest naga i bosa, gdy kamienie zaczęły wbijać jej się w stopy. Skrawek tiulu bardziej, niż krył jej nagość, podkreślał walory, czyniąc ją bardziej ponętną.

Jedyna nadzieja była w stajni. Tam był jej koń *Akwilon*¹¹. Z tej pułapki mógł uratować ją jedynie ukochany rumak, którego dostała w prezencie od cesarza Karola. Nie bez powodu nazwała go wiatrem północnym. Akwilon pomknie jak na skrzydłach i uchroni ją przed tym nieszczęściem.

Zbliżając się do dziedzińca otoczonego drzewami, ujrzała budynek stajni. Krzyki zbudziły także stajennego. Na widok nagiej zjawy biegnącej w jego stronę mężczyzna ze strachu wyciągnął krzyż.

– Wyprowadź mojego konia, przeklęty głupcze! Wyprowadź mojego konia! Nie stój tak! Pospiesz się!

Stajenny rozpoznał głos swojej pani.

– Wielki Jezu! – mruknął, wchodząc do stajni. – Joanna Aragońska jest naga!

Gdy Julia dotarła do budynku, mężczyzna dopiero wyprowadzał konia na dziedziniec.

– Zaraz go osiodłam, pani – bąknął niewyraźnie.

– Nie ma czasu! Wsiadaj!

– Ale siodło!

– Nie ma czasu! Wsiadaj!

Stajenny dopiero wtedy usłyszał przerażenie w głosie swojej pani, na którą nie miał odwagi spojrzeć z powodu jej nagości. W tej samej chwili zaczęły dochodzić ich odgłosy wystrzałów i złowrogich okrzyków. Posłusznie wskoczył na grzbiet Akwilona, przytrzymując się jego grzywy. „Dobrze, ale dlaczego ja? – przeszło mu przez myśl. – To ona musi uciekać. Czy nie ona powinna dosiąść konia?”

– Podaj mi rękę!

Co? Mieli jechać razem? „Najświętsza Panienko!”, westchnął. Chwytał kobietę i przyciągnął do siebie.

To musiał być cud. Pewnie teraz i on stał się świętym. Miał w ramionach najpiękniejszą kobietę Europy. I to naga! Z trudem stłumił jęk z powodu ognia, który ogarnął jego lędźwie, gdy zetknęły się z biodrami kobiety.

– Szybko! – krzyknęła Julia.

Pochyliła się ku końskiej grzywie i objęła rękami jego szyję. Bose pięty wbiła w boki zwierzęcia.

– Pędź! Wyratuj mnie z tego śmiertelnego kręgu!

Siwy koń zerwał się na tylne nogi. Przednie kopyta przez chwilę uderzały powietrze, po czym wyciągnął łeb do przodu i zerwał się z miejsca. Stajenny, który wciąż nie mógł się zdecydować, czy jest w niebie, czy w piekle, o mały włos nie zsunął się z jego grzbietu. Musiał się czegoś złapać. Akwilon mknął przed siebie. Mężczyzna, mając ręce w powietrzu, przez chwilę próbował przytrzymać się zwierzęcia, zaciskając kolana, ale to było niemożliwe.

Niespodziewany podmuch wiatru zerwał tiul okrywający Joannę Aragońską. „Wielki Jezu! Wielki Jezu!”, mężczyzna bezradnie spojrzął na swoje dłonie.

– Trzymajcie się!

To był głos Julii.

– Trzymajcie się!

Stajenny zamknął oczy i objął ogniste krągłości.

Wierzchowiec pędził. Julia prawie leżała na szyi Akwilona, a stajenny obejmował jej rozpalone, nagie ciało. Nikt mu nie uwierzy, że miał w ramionach całkiem nagą świętą Kościoła.

Usłyszeli dwa wystrzały, jeden po drugim. Ziemia zatrzęsła się, a koń zarżał ze strachu. „Boże, co się dzieje?”, pomyśleli jednocześnie. Las był tak gęsty, że niczego nie mogli dostrzec. Dopiero gdy dotrą na wzgórze, coś zobaczą.

Wybuchy rozległy się ponownie. Stajenny na chwilę uniósł głowę. Pomiedzy drzewami zauważył, że nocne niebo zaczyna się rozjaśniać.

– Świta! – zawołał.

– To nie słońce! – wykrzyknęła z całej siły Julia. – To Fondi płonie!

Po chwili drzewa się przeredziły. W tej samej chwili ujrzeli, co było przyczyną rozświetlającego niebo blasku. Przy brzegu dwie odcumowane fondyjskie galery stały w płomieniach.

Julia nie mogła powstrzymać łez. Popędziła konia. Akwilon ciężko wspinał się pod górę. W końcu wyjechali z lasu. W dole wciąż płonął ogień barwiący noc czerwienią.

Kobieta wyprostowała się i pogłaskała zwierzę.

– Prrr!

Wraz z nią wyprostował się siedzący za nią stajenny.

Płomienie odbijały się w ciemnych wodach złotem i szkarłatem. Zobaczyli, jak w fale wpada wielka kula ognia. To musiał być maszt jednego z okrętów. W miejscu, gdzie morze łączyło się z piaskiem, ujrzeli świecące punkty przywodzące na myśl świetliki. Pochodnie!

Julia, przyjrawszy się uważniej, dostrzegła, że kierują się one w stronę otwartego morza.

Odpywają!

Stajenny, siedzący za nią nieruchomo, także to zauważył.

– Uciekają!

Julia nie mogła tego zrozumieć. Mężczyźni wtargnęli do Fondi, pokonali mury, wspinali się nawet na jej taras, a teraz uciekali? To wszystko tylko po to, żeby podpalić dwie galery? W takim razie dlaczego zaatakowali pałac?

Nagle znalazła odpowiedź. „Osmanowie przybyli, żeby coś zabrać! Żeby coś ukraść! *Kogoś porwać!* Kogo? Juana de Valdésa? Co mieliby z nim zrobić?”, zastanawiała się. Ten nieszczęsny atak musiał mieć znacznie ważniejszy cel. Musiał być nim ktoś mający dla Osmanów większe znaczenie niż Valdés.

„Ty! – krzyknęła w duchu. – *Ty byłaś celem!* Osmanowie przybyli, żeby porwać Joannę Aragońską. Świętą pannę Kościoła. Honor Rzymu”.

Przeszedł ją dreszcz. To był znak. Bóg dał jej znak, ratując ją z rąk barbarzyńców. Bóg chciał, żeby dwunastoletnia dziewczyna poślubiła mężczyznę w wieku swojego ojca. Czy jej się to podobało, czy nie, jej mąż był zagorzałym chrześcijaninem. Książę Wespazjan był żołnierzem w służbie papieża, walczącym o wyrzucenie Osmanów z Europy. Uczestniczył we wszystkich działaniach, każdej zasadzce, każdym zamachu przeciwko Imperium Osmańskiemu. Wówczas nie rozumiała przesłania, jakie niosło ze sobą małżeństwo z kimś takim. Nie pojmowała, że swoją niewinnością ma sprowadzić oczyszczenie na tego ordynarnego, plugawego człowieka.

Nie tylko nie odczytała boskiego przesłania, ale zbuntowała się przeciw Stwórcy za to, że związał jej życie z tym odpychającym, brzydkim starcem. Wtedy nie potrafiła także pojąć, dlaczego papież pobłogosławił to haniebne małżeństwo. Teraz wiedziała, że nie bez powodu nadano jej przydomek Joanna Aragońska. Tej nocy odkryła tę tajemnicę. Bóg powierzył jej zadanie.

Zapomniała, że siedzi ze stajennym na końskim grzbiecie. O swojej nagości także. Nie zauważała, jak coraz gorętszy oddech mężczyzny owiewa jej nagie plecy, szyję i płatki uszu.

„Głupia! Nic nie zrozumiałaś – ganiła się w duchu. – Wręcz przeciwnie. Zbuntowałaś się przeciwko Kościołowi. Działałaś na szkodę Kościoła rzymskiego”.

Nie pojęła nawet, że Bóg uwolnił ją od piekła, odbierając jej mężowi życie. Odwróciła się plecami do świętego przesłania. Zmieniła Fondi w obóz reformatorów i wrogów papieża. Dlatego byli nawet tacy, którzy uważali, że powinno się ją ekskomunikować.

Poczucie winy ścisnęło jej serce. „Mimo wszystkich moich grzechów Bóg mnie nie opuścił”. Spojrzała oczami pełnymi łez w noc pomalowaną czerwienią płomieni wznoszących się nad dwiema galeriami podpalonymi przez korsarzy. Wzniosła głowę do nieba, jakby nasłuchiwała. W umyśle usłyszała głos Boga: „Panno Rzymu! Przepasana mieczem Joanno Aragońska, walcz o zwycięstwo krzyża nad półksiężycem!”.

Julia poczuła dotyk na swojej skórze. W tej samej chwili koń się poruszył. Zwierzę uderzyło kopytami o ziemię.

– Boże, wybac mi – jęknęła Julia, przypominając sobie, że jest naga.

Powoli ześlizgnęła się na ziemię. Święta panna nie może być zbrukana, powinna pozostać święta.

Stajenny starał się obrócić głowę w przeciwnym kierunku, żeby nie patrzeć na obnażone biodra kobiety. Na próżno. W duchu krzyczał bezgłośnie. Poczł suchość w gardle. Pochylił głowę, ale już dawno zobaczył wszystko, co było można.

– Zdejmij kurtkę i rzuć mi.

Mężczyzna natychmiast wykonał rozkaz. Rozpiął guziki. Przez chwilę pomyślał o tym, żeby wyjąć wetknięty za pas sztylet.

– Nie ociągaj się.

Stajenny pospieszył się. Nie wyciągając pasa, rzucił okrycie.

Julia nałożyła je na siebie ruchem zdradzającym obrzydzenie. Obciągnęła poły kurtki, ale ledwo okrywały jej biodra. Gdy zapinała pas, natrafiła ręką na sztylet. Odsunęła go na bok, zapięła sprzączkę i guziki.

– Chodź tutaj.

„Teraz będzie chciała spodnie – zastanawiał się mężczyzna, zsiadając

z konia. Pochylił głowę przed kobietą. – Dzięki niech będą korsarzom, którzy dali mi przeżyć tę niewiarygodną ucztę dla moich oczu, i Bogu, który ich tu przysłał”.

– Co rozkażecie.

Julia udała, że podskoczyła.

– Co to? Usłyszałam jakiś dźwięk. Ktoś nadjeżdża z dołu?

Stajenny podszedł na skraj zbocza i spojrzał w dół.

– Skąd, pani?

– Podejdź jeszcze trochę do przodu. Właśnie stamtąd. Z dołu. O tam, po lewej stronie...

Mężczyzna, który całą swoją uwagę skupił na tym, żeby zobaczyć to, co chciała mu pokazać jego pani, nawet nie zauważył, że kobieta zbliżyła się do niego od tyłu.

– Nic nie wi...

Nie starczyło mu czasu, żeby dokończyć. Sztylet, który przed chwilą chciał odpiąć od pasa, z przeraźliwym chrupnięciem wbił mu się między łopatki. Ostrze zatopiło się w jego ciele aż po rękojeść, sięgając do serca. Stajenny osunął się na kolana, po czym poturlał się w dół zbocza.

Julia patrzyła przez chwilę, jak pozbawione życia ciało mężczyzny, objijając się o kamienie i pnie drzew, znika w ciemnościach.

– Bóg nakreślił mu taki los – powiedziała cicho. – Jego raj stał się jego piekłem. Ten, kto zobaczył świętą pannę Kościoła nago, musiał umrzeć.

VI

Galeon korsarzy

Tej samej nocy

Nagle okrzyki ucichły. Pozostał tylko łopot wiatru w żaglach, stukot obijających się o siebie bloczków i plusk zanurzających się w fale wioseł. Głowy mężczyzn, stojących w rzędach na pokładzie, zwrócone były w stronę mostka.

– Czterdziestu Gniewnych Sulejmana Chana!

Levenci ocknęli się na dźwięk głębokiego głosu spoglądającego na nich Hajraddina Paszy. Zaciśnięte pięści uderzyły w piersi. Ten odgłos odbił się echem po pokładzie, sprawiając, że serca marynarzy zabiły szybciej.

– Wyruszyło czterdziestu dzygitów. Ilu wróciło?

Odpowiedź zabrzmiała w dole.

– Czterdziestu, ojcie kapitanie!

– Ilu przeżyło, a ilu zabitych?

Nastąpiła cisza.

Admirał Hajraddin Pasza oparł dłonie na barierce wokół mostka i pochylił się w stronę towarzyszy broni znajdujących się na pokładzie.

– Ilu przeżyło, a ilu zabitych? – Tym razem w głosie paszy słychać było napięcie.

– Dziewięciu przeżyło!

Mężczyzna nie powiedział nic więcej.

Nastąpiła gęsta, złowroga cisza. Po chwili pasza zapytał:

– W takim razie dlaczego odpowiedzieliście, że wróciło czterdziestu?

Nagle stojący w rzędach *levenci* rozstąpili się. Wtedy oczom kapitana ukazały się ułożone na pokładzie pozbawione życia ciała.

Hajraddin Pasza w milczeniu zaciągnął poły kaftana i skierował się w stronę schodów. Ciężkim krokiem zszedł na pokład. Wraz z trzema towarzyszącymi mu kapitanami zbliżył się do poległych. Zatrzymywał się przy głowie każdego z nich, bezgłośnie poruszając ustami. Wszyscy zrozumieli, że ojciec kapitan modli się za dusze swoich towarzyszy.

– Skoro przeżyło dziewięciu, czyż nie powinno leżeć tu trzydziestu jeden śmiałków? Brakuje trzech. Co więc miały oznaczać słowa: „Czterdziestu wyruszyło, czterdziestu wróciło”? Mam nazywać gazimi tych, którzy pozostawili twoich braci w rękach giaurów?

Wszyscy stali z pochylonymi głowami.

Pasza zatrzymał się przed stojącymi oddzielnie dziewięcioma mężczyznami odzianymi w czerń.

– Powiedźcie, czy można nazywać gazimi tych, którzy wrócili, pozostawiając na pastwę giaurów ciała swoich braci?

Nikt się nie odezwał. Kapudan pasza ponownie skierował się do schodów prowadzących na mostek, nie próbując ukryć smutku i gniewu. W tej samej chwili z miejsca, w którym stało dziewięciu śmiałków, dobiegł cichy głos przerywany łkaniem.

– Jest tu trzydziestu siedmiu z czterdziestu, ojcze kapitanie. Trzech brakuje. Jednak niech nasze dusze i ciała będą przeklęte, jeśli wróciliśmy, porzucając ich.

– W takim razie gdzie są moi trzej polegli bracia?

– Nie ma ich – odezwał się inny, nie unosząc głowy.

On także nie był w stanie dokończyć. Jednak wszyscy *levenci* wiedzieli. Spośród czterdziestu dzygitów, którzy dokonali ataku, wróciło dziewięciu. Trzech spośród trzydziestu jeden poległych dzygitów poświęciło się, żeby wysadzić w powietrze dwie galery! Pomiedzy płomieniami unoszącymi się nad okrętami były dusze trzech bohaterów.

Pasza odwrócił się i ponownie stanął przed dziewięcioma. Gdyby *levenci* unieśli głowy, zobaczyliby, że w nocnych ciemnościach oczy leciwego admirała napełniły się łzami.

Powoli uniośł rękę i położył ją na ramieniu jednego ze śmiałków.

– W takim razie – odezwał się głosem ściśniętym z bólu – dlaczego powiedzieliście, że wyruszyło czterdziestu i czterdziestu powróciło?

Wówczas marynarze, którzy razem widzieli wiele bitew, śmierci, zwycięstw, porażek, radości i cierpienia, jednocześnie unieśli głowy.

W jednej chwili rozległ się potężny męski głos:

– Są wśród nas, ojcze kapitanie!

Po czym zamilkli.

Hajraddin Pasza pokiwał głową, ważąc te słowa. Poklepał mężczyznę po ramieniu.

– To prawda – powiedział. – Zawsze tu będą. Nigdy nas nie opuszczą.

Pojedyncza łza spłynęła mu po policzku na rudą brodę. W tej samej chwili marynarze ponownie unieśli głowy i wszyscy jak jeden mąż zawołali w stronę rozgwieżdżonego nieba:

– Zawsze tu będą, ojcze kapitanie. Nigdy nas nie opuszczą.

Pasza ucałował w czoło każdego z dziewięciu śmiałków.

– Niech wasza wojna będzie uświęcona – pobłogosławił ich. – Co zrobić? Taki był rozkaz. Taka była wola boża. Wyruszyło nas czterdziestu, wróciło dziewięciu. I nie udało nam się wyrwać z piersi serca Rzymu.

Pasza zamilkł na chwilę. Spojrzał na stojących na pokładzie *leventów*.

– Bądźcie spokojni, dzygici. Przed nami jeszcze wiele bitew.

Cecilia, usłyszawszy głos mężczyzny, domyśliła się, że to dowódca. Miał głęboki, władczy ton. Gdy mówił, pozostali milczeli. „Co za szorstki, prostacki język. Nie było w nim harmonii, muzyki. Nie bądź głupia, Cecilio Baffo, korsarze

nie mieli nic wspólnego z delikatnością i muzyką, żeby mogły się pojawić w ich języku”, pomyślała.

Z powodu naciągniętego na głowę worka nic nie widziała, lecz jedynie słyszała. Wszystkie głosy miały ze sobą coś wspólnego. Smutek. Wyczuwała go wyraźnie. Mężczyźni byli przygnębieni. Co ich trapiło? Czyż nie spalili Fondi? Nawet przez worek wyczuwała zapach spalenizny.

Nagle korsarze wykrzyknęli coś jednym głosem. Nadstawiła uszu. Co się działo? Dowódca coś rzekł, a oni odpowiedzieli mu jednocześnie. Co robili ci parszywi korsarze? Czy to jakiś rytuał? Cecilia nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Może to jakaś ceremonia? Jakby nie wystarczyło, że związali ją i wcisnęli do ust jakiś brudny gałgan, a potem naciągnęli na głowę worek i rzucili w kąt, to jeszcze, pozostawiwszy ją tam, odprawiali jakieś obrzędy.

Głosy znów ucichły. Nie było słyhać nic oprócz łopotu żagli i skrzypienia desek.

„Co teraz będzie? – zastanawiała się Cecilia. – Zostawią mnie tu?”.

Poczuła, że ogarnia ją gniew. Była Baffo, nawet jeśli została porwana, poniżona i wzięta do niewoli.

Zaczęła się więc i z całej siły uderzać stopami o pokład. Robiła wszystko, żeby tylko zwrócić uwagę korsarzy. Mimo bólu próbowała się nawet podnieść.

Nagle usłyszała kroki. „Udało mi się! Idą”. Miotła się dalej.

Domyśliła się, że mężczyźni ją otoczyli.

Gdy tak walczyła, usłyszała ten sam głęboki głos co przed chwilą. Korsarz, którego uznała za dowódcę, stał tuż przed nią. Mężczyzna coś powiedział. Cecilia przez chwilę zastanawiała się, czy dać za wygraną, ale po chwili miotała się jeszcze bardziej niż wcześniej. Jeszcze mocniej uderzała stopami o pokład, gdy z dwóch stron chwyciły ją żelazne ramiona i uniosły do góry jak piórko, a potem opuściły na ziemię.

Ktoś zaczął rozwiązywać worek. Najpierw spod płótna ukazały się dwa krągłe, nagie ramiona. Później wylały się na nie pukle jedwabistych włosów. W końcu całkiem ściągnęli jej worek.

W tej chwili czas się zatrzymał. Ich spojrzenia się spotkały.

Cecilia zobaczyła marynarzy, a oni jej twarz oczarowującą wszystkich swoim pięknem.

Najpierw ujrzała wielkiego, starszego mężczyznę. Naprawdę był olbrzymem czy tak jej się wydawało za sprawą tej śmiesznej, ogromnej, białej czapki?

Marynarze osłupieli na jej widok. Była piękna. „Może to jakaś inna wymknęła nam się z rąk, a my przez przypadek schwytaliśmy przepiękną Julię”, myśleli niektórzy z nadzieją. Jednak dziewczyna była bardzo młoda.

„To on”, pomyślała Cecilia. To on musiał być mężczyzną o głębokim głosie. Dowódca korsarzy. Za nim stało jeszcze czterech ludzi wpatrujących się w nią.

Otaczało ich wielu półnagich marynarzy. Dwóch postawiło ją przed olbrzymem.

Wielkolud utkwiał w niej swoje czarne oczy. Nie było w nich wrogości, ale ciekawość. W spojrzeniu jego czterech towarzyszy także nie dostrzegła niechęci.

Jednak Cecilia zdawała sobie sprawę, że stoi oko w oko z barbarzyńcami, plugawymi korsarzami. Przecież ją porwali ją i poniżyli. Z jej oczu tryskały iskry. Patrzyła tak samo na mężczyzn, którzy pozwolili sobie na zbyt wiele. Zawsze pod wpływem jej spojrzenia niesforne dłonie natychmiast się cofały. Jednak tym razem nikt się tym nie przejął. Mężczyźni wciąż jej się natrętnie przyglądali.

Starzec miał na sobie rozpięty czarny kaftan. Nie mogła zaprzeczyć, że był bardzo elegancki. „Jest też bardzo przystojny”, zdawało się mówić jej serce. Pod kaftanem miał koszulę bez kołnierza w kolorze kwiatu granatu, ozdobioną od góry do dołu blisko dwudziestoma perłowymi guzikami. Mężczyzna miał czarny, gruby pas, do którego przytwierdzony był sztylet, z rękojeścią wysadzaną wielkimi błyszczącymi kamieniami.

Ich spojrzenia się spotkały. Miał czarne oczy. Wpatrywał się w nią intensywnie spod bujnych brwi. Odniosła wrażenie, że czyta jej w myślach. Cecilia nie była w stanie odwrócić wzroku. Patrzyła na niego ze złością. Przez chwilę miała ochotę się na niego rzucić. Powstrzymało ją dwóch mężczyzn, którzy przytrzymywali ją za ramiona.

Wielki Jezu! Broda mężczyzny była ruda.

– Barbarossa! – wykrzyknęła.

Na nic się to zdało. Gałgan zatykający jej usta stłumił krzyk. „Mój Boże – pomyślała przerażona. – Barbarossa. Rudobrody”. Pirat, przed którym drżała cała Europa! Najstraszniejszy z korsarzy zbierający haracz na Morzu Śródziemnym, atakujący ich statki i porywający ludzi. Najbardziej bezlitosny.

„Pomóż mi, Najświętsza Panienko”.

Mężczyzna odezwał się surowo. Jeden z przytrzymujących ją marynarzy wyciągnął z jej ust szmatę.

Cecilia głęboko odetchnęła, uwalniając z siebie tłumione od wielu godzin strach i gniew.

– Bądźcie przekłeci, podli piraci, złodzieje dzieci. Wypuście mnie. Natychmiast. Rozkazuję wam. W przeciwnym razie Wenecja każe wam za to zapłacić.

Wciąż słyszała różne okrzyki, ale mężczyźni stali w milczeniu. Nie rozumieli jej słów. Ona też nie mogła pojąć ich języka.

– Ty... – zawołała do stojącego przed nią leciwego mężczyzny.

Gdyby ją puścili, gotowa była go rozszarpać. To on był sprawcą całego zła. To on kazał ją porwać. To on wydał rozkaz, żeby spalić Fondi, a może nawet zabić Julię i wielu innych.

– Jesteś Barbarossa?

Przez chwilę mężczyzna nie odzywał się. Wciąż się jej przyglądał. Nagle stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewała.

– Kim jesteś, dziecko?

To był cud. *Rudobrody* zwrócił się do niej w jej języku.

Jego głos był miękki jak aksamit. Cecilia usłyszała w nim nawet współczucie. Jednak wcale jej to nie obchodziło.

– Popeliłam błąd, oczekując od korsarzy dobrych manier. Skąd mielibyście wiedzieć, że taktowny mężczyzna najpierw powinien sam się przedstawić?

Przez twarz starszego mężczyzny przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech. Odwrócił się do swoich towarzyszy i coś powiedział. Domyśliła się, że przetłumaczył im jej słowa. Niektórzy z nich roześmiali się, inni coś mruknęli pod nosem.

Cecilia nie zareagowała. Krzyknęła, próbując wyrwać się przytrzymującym ją marynarzom.

– Ty jesteś Barbarossa?

– Przypuśćmy, że nim jestem. A ty, kim jesteś?

Jego głos był równie miękki co wcześniej. Przypominał raczej ojca rozmawiającego z córką, a nie pirackiego dowódcę.

„Próbuje cię zwieść, Cecilio – ostrzegł ją wewnętrzny głos. – Bądź ostrożna!”. Uniosła głowę.

– Baffo – wydyszała. – Jestem córką weneckiego rodu Baffo, bratanicą potężnego doży weneckiego Sebastiana Veniera. Nazywam się Cecilia Venier-Baffo.

Przerwała, żeby zobaczyć, jak wielkie wrażenie jej słowa wywarły na Barbarossie i czterech czarnobrodych mężczyznach. Jednak nie stało się to, czego się spodziewała. Być może na twarzy Barbarossy pojawiło się na chwilę niedowierzanie, ale to wszystko. Nie tego oczekiwała. Miała nadzieję, że ujrzy zdziwienie, a nawet strach. Starając się ukryć rozczarowanie, dokończyła prezentację.

– Złota Córa Wenecji.

Sama zauważyła, że jej głos brzmiał teraz ciszej. Natychmiast wzięła się w garść. Utkwiła spojrzenie w rudobrodym mężczyźnie przyglądającym się jej z uśmiechem.

– A ty jesteś przywódcą korsarzy – syknęła. – Przywódcą korsarzy – Barbarossą.

Nagle sympatia w oczach mężczyzny zniknęła.

– Ty znasz mnie właśnie jako Barbarossę, dziecko – powiedział z dumą. – Pośród moich dżygitów – odwrócił się, wskazując otaczających ich mężczyzn – i na ziemiach panującego na trzech kontynentach sułtana Sulejmana Chana znają nas jako admirała Hajraddina Paszę. Prowadzimy przez fale *flotę sułtanki*

Mihrimah, córki Sulejmana Chana.

Nie dając jej szansy na powiedzenie czegokolwiek, odszedł. Poleciał coś swoim ludziom. Korsarze ruszyli w jej stronę. Nagle Cecilie ogarnął strach. Jednak marynarze minęli ją. Dopiero wtedy zauważyła, że za nią znajdowały się jeszcze cztery kobiety, którym podobnie jak jej nałożono na głowy worki. Spod pierwszego worka wyłoniła się piękna dziewczyna. Dwie kolejne były służącymi w pałacu. Jedna była damą dworu.

Korsarze ustawili je obok siebie i zaczęli popychać.

– Barbarosso!

Cecilia nie zdawała sobie sprawy, że jej głos może być tak potężny. Zagłuszył wszystkie inne dźwięki, nawet łopot żagli.

Leciwy mężczyzna kierujący się w stronę mostka nagle się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Zabierasz mnie, żeby mnie sprzedać?

Starzec zawrócił razem z czterema czarnobrodymi.

– Nie byłaś naszym celem. Nie było cię w naszym planie, córo rodu Baffo – wyszeptał. – Przybyliśmy do Fondi, żeby zabrać honor Rzymu. To twoje przeznaczenie postawiło cię na drodze czterdziestu dzygitom. Wola boska. A jeśli chodzi o to, co powiedziałaś – możesz być spokojna, kapudan pasza Wielkiego Imperium Osmańskiego nie ma nic wspólnego z targami i handlarzami niewolników.

– W takim razie dlaczego wciąż boisz się powiedzieć, dokąd mnie zabierasz?

– Do stolicy – oznajmił cicho. – Gdy tam dotrzemy, przekonasz się, czym jest dom doży w porównaniu z pałacem Sulejmana Chana.

Do pałacu! Zatem jej przeczucie było słuszne. Nawet jeśli nie zabiorą jej na targ niewolników, trafi do pałacu. Do haremu! Uczynią z niej nałożnicę. Będzie całkiem sama, opuszczona, bezbronna. Zostanie nałożnicą sułtana – podstarzałego, opasłego wilka o zdradzieckim spojrzeniu.

Wszyscy w Wenecji właśnie tak opisywali sułtana Sulejmana. Był barbarzyńcą, który nie mógł się nasycić przelewaniem chrześcijańskiej krwi. A teraz wepchną mu do łóżka piękną Cecilie.

– Nie pójdę!

Wszyscy na statku zrozumieli, co chciała powiedzieć.

– Nie pójdę!

Tym razem starzec ściągnął brwi. Zbliżył się do niej.

– Posłuchaj, córo rodu Baffo – odezwał się. – Wysłałem dziś czterdziestu dzygitów, żeby wyrwali serce Rzymu, a wróciło tylko dziewięciu. Ceną za ciebie było życie trzydziestu jeden dzygitów. Zamilcz i bądź grzeczna. Jeśli nie przestaniesz się wydzierać, wiedz, że skończysz tak jak one. – Wskazał cztery pozostałe dziewczyny uprowadzone z Fondi. – W łańcuchach w ładowni.

Rozumiemy się?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Cecilia zdała sobie sprawę, że zapomniała, że jest ich więźniem. Co mogła zrobić, jeśli nie być im posłuszną? Nic. W końcu była niewolnicą. Mogła uczynić tylko jedno – zabić się. Wiedziała, że mężczyzna od razu odczytał jej myśli. „Chcę żyć – jęknęła w duchu. – Jestem przecież bardzo młoda. Nie zaznałam jeszcze pełni szczęścia. Chcę dotrzymać słowa, jakie dałam sobie, gdy po raz pierwszy odwiedziłam Pałac Dożów”.

Na widok doskonałości pałacu obiecała sobie, że gdy dorośnie, będzie mieszkała w podobnym i jak żona doży będzie opływała w dostatki: perły, diamenty i jedwabie.

W jej umyśle rozległ się złośliwy chichot. Przecież właśnie udawała się do pałacu, żeby zostać nałożnicą...

„Ale ja obiecałam sobie, że zostanę królową – próbowała stłumić drwiący śmiech. – Co zrobić, Cecilio? Takie było twoje przeznaczenie. Zostaniesz królową odalisek...”.

Odwróciła zbolące spojrzenie od oczu Barbarossy. Jego słowa odbiły się echem w jej umyśle: „Ceną za ciebie było życie trzydziestu jeden dżygitów”. Spojrzała na leżące na pokładzie ciała. Nie zamierzała ich żałować. Jednak musi wziąć pod uwagę, że smutek piratów może zmienić się w gniew. W ich rękach znajdowało się pięć niewolnic, na których mogli się zemścić.

Zauważyła, że po raz pierwszy jej myśli zaprzętało coś innego niż miłość. Było to całkiem odmienne niż rozmyślanie o tym, jakie wrażenie wywrze na pałacowych bawidamkach, w co ubierze się na wielki bal, jak niby przypadkiem rozpętać miłosną burzę. W jej miłosnych planach zawsze dużą rolę odgrywały uroda, zuchwałość, bogactwo i duma. Jednak teraz nic takiego nie miało znaczenia. A w szczególności jej zadziorność. Cecilia podjęła decyzję.

– Bez niej nie pójdę.

Co? Sama nie wiedziała, co mówi.

Barbarossa także był zdziwiony. Spojrzał w kierunku, w którym zwróciła się Cecilia. Wskazywała palcem inną dziewczynę, którą uprowadzili z Fondi.

– Bez niej nie pójdę.

Pasza zastanawiał się przez chwilę, drapiąc się w brodę. Rozbawiony powiedział coś do stojących za nim mężczyzn. Później znów się obrócił.

– Powinienem był pomyśleć o tym, że Baffo dostają to, czego chcą. Jak inaczej staliby się tak bogaci?

Przyprowadzono służącą.

– Mój pierwszy sukces na przekór życiu – mruknęła, gdy dwóch korsarzy prowadziło je do kajut.

– Jestem waszą dłużniczką, pani – odezwała się dziewczyna idąca obok niej.

– Mam na imię Gabriella. Byłam waszą służącą. Czy coś mi rozkażecie?

Dumnie obróciła głowę. Spojrzała na dziewczynę nie jak niewolnica, ale jak królowa obdarzająca łaską swoich poddanych.

– Nie, Gabriello – powiedziała cicho. – Jeszcze nie teraz.

Cecilia otworzyła szeroko oczy. Było coś dziwnego w ciasnej, ciemnej kajucie, w której zamknięto ją z Gabriellą. Zaskoczyło ją to nagłe przebudzenie. Jak to? Czyżby zasnęła? Nie, to niemożliwe. Była pewna, że nawet na chwilę nie zmrużyła oka. Nie położyła się nawet na koi. Siedziały z Gabriellą na podłodze oparte plecami o ścianę. Zostały same ze swoimi lękami pośród gęstej ciszy. Jednak teraz było tam coś jeszcze. Coś, czego nie dostrzegały, ale wyczuwały. Jednocześnie spojrzały na siebie. W oczach dziewcząt błysnął strach.

Myszy!

Nie widziały ich, ale były pewne, że gdzieś tam są. Zerwały się z miejsca. Gabriella dopadła do jednego z posłań i podciągnęła kolana pod brodę. Cecilia natomiast usiadła na krześle przy stole znajdującym się pośrodku pomieszczenia.

Gdy zobaczyła stojący na stole gliniany dzban, przypomniała sobie, że od wielu godzin nic nie piła. Była okropnie spragniona.

„Nie, Cecilio – przestrzegła się dokładnie w chwili, gdy już miała sięgnąć po dzban. – Nie dotykaj niczego, co należy do piratów. Nie używaj niczego pochodzącego od tych bezbożników”.

Była wyczerpana. Bała się. Co gorsza, nie wolno jej było im tego okazać. „Nie zasypiaj, pod żadnym pozorem nie zasypiaj – napomniała się, czując, że jej powieki stają się coraz cięższe. – Myśl. Myśl, jak uratujesz się z tego piekła. Ułóż plan”.

Myślała. Godzinami obmyślała plan ucieczki. Wiedziała, że wszystko na próżno. Była więźniem w ciemnej celi na pirackim statku, pośrodku morza. Taka była prawda. Wiedziała, że nie było stąd ratunku. Jej jedyną nadzieją była wenecka flota. Jeśli silna flotylla zagrozi im drogę, może wtedy uda im się ją uwolnić.

Nagle zrozumiała, że i to na nic. Nawet jeśli weneckie statki przetną piracki kurs, miała niewielką szansę na ocalenie. Skąd wenecki admirał miał wiedzieć, że znajduje się na pokładzie napotkanego przez nich okrętu? Z pewnością, gdy tylko ich zobaczą, otworzą ogień.

Z bezradności zaczynało brakować jej powietrza. Zerknęła ponad ramieniem na Gabriellę. Dziewczyna łkała cicho. Gdy poczuła na sobie spojrzenie Cecylii, pospiesznie otarła wierzchem dłoni łzy płynące po policzkach.

– Co z nami zrobią, pani?

„Dobre pytanie – pomyślała Cecilia. – Co z nami zrobią?”.

Wzruszyła ramionami na znak, że nie wie.

Młoda służąca nie mogła się powstrzymać. Wybuchła głośnym płaczem.

– Zgwałcą nas i zabiją – wydusiła z siebie przerażona, szlochając.

– Nie gadaj głupstw.

– Tak mówiła pewna stara kobieta w naszej wsi.

Gabriella płakała jeszcze przez chwilę.

– Kiedy coś przeskrobałam, straszyla mnie: „*Mamma mia*, Turcy! Gdy nadejdą Turcy, wszystkich zgwałcą, a później zabiją”.

Cecilia nie sądziła, że może stać się to drugie, ale i ona wiedziała, że pierwsze jest wielce prawdopodobne. Jeszcze gdy miała worek na głowie, wyobrażała sobie sceny gwałtu. Kto ją zhańbi? Jeden, a może... Najświętsza Panienko, na statku było ich co najmniej stu! Stu pozbawionych kobiet korsarzy! Mimo rosnącej w niej paniki starała się uspokoić dziewczynę.

– Nie sądzę, żeby zrobili coś takiego.

– Dlaczego? Jesteście bardzo piękne. Jesteście młode... Ja...

Cecilia roześmiała się mimowolnie.

– Ty też jesteś bardzo piękna.

Dziewczyna próbowała się uśmiechnąć.

– Szkoda, że obydwie nie jesteście szkaradne jak czarownice.

Rozmawiały przez chwilę, jednak obie wciąż dręczyło to samo pytanie: „Co z nami zrobią?”.

– Są dwa wyjścia – odezwała się Cecilia.

– Wyjścia, pani? Jakie?

– Zatrzymają nas jako zakładniczki i zażądają okupu od Wenecji. – Spojrzała w zapłakane oczy dziewczyny doświadczonego wzrokiem. – Tak robią korsarze. Módlmy się, żeby tak postąpili. Jeśli zażądają okupu, jesteśmy uratowane. Żeby mnie uwolnić, Wenecja da im tyle złotych dukatów, ile będą chcieli.

Gabriella z rozpaczą kiwnęła głową.

– Za was tak... Ale za mnie? Nikt nie zapłaci okupu za Gabriellę.

– Nie bądź dzieckiem. Nie zostawię cię tu.

Dziewczyna ujęła dłoń swojej pani, ucałowała ją i spojrzała na nią z wdzięcznością.

– A drugie wyjście?

Cecilia Baffo zawahała się.

– Sprzedadzą nas handlarzom niewolników, a oni tym, którzy nas kupią.

– Boże, uchowaj.

Służąca westchnęła i znów zalała się łzami. Cecilia ze złością wyszarpnęła dłoń z rąk dziewczyny.

– Przestań już płakać, Gabriello. Nie wolno nam pokazać, że się boimy. Zakazuję ci się bać i płakać.

„A kto tobie zabroni bać się i płakać?”, pomyślała.

– Jesteśmy Wenecjankami – westchnęła.

– Ja jestem Neapolitanką.

– Nieważne. Jesteś jak Wenecjanka. Musimy być dumne, twarde jak skała.

Zobaczysz, uratujemy się.

Tęskniła za Wenecją. Za matką, ojcem i swoim pokojem co rano skąpanym w słońcu, którego okna wychodziły na Wielki Kanał. Za nieprzyzwoitymi przyśpiewkami gondolierów. Chciała iść na bal do Pałacu Dożów. Pragnęła zapomnieć się w szaleńczym tańcu wśród szelestu szyfonowych spódnic. Z kim? Z Marcellem Mancinim? Nagle przypomniała sobie Sebastiana. Ostatni raz widziała go leżącego na ziemi w pałacowym ogrodzie. Czy przystojny rybak nie żył? Żałowała, że przyszedł do pałacu, żeby się z nią zobaczyć. Nie chciała, żeby przypłacił to spotkanie życiem. „Boże, wybacz mu – modliła się. – Proszę, żeby nie umarł. Niech rankiem znów zejdzie na nabrzeże i zarzuci rybackie sieci”.

Później wyobraziła sobie, że korsarze jej pożałowali. W jej marzeniach piracki galeon zawrócił i pożegłował w stronę Fondi. Zobaczyła, jak wsadzają ją na łódź i płyną do niewielkiej kamiennej przystani. Pomiędzy łódkami śniady mężczyzna, zasłaniając oczy przed słońcem, próbował rozpoznać dziewczynę w sukni szarpanej wiatrem.

– Sebastiano! – krzyknęła Cecilia, machając do niego.

– Ukochana! – Sebastiano ruszył biegiem w jej stronę.

Cecilia rzuciła się w ramiona mężczyzny. Połączyli się w namiętym uścisku. Ich włosy i zapachy stały się jednością.

Wieczorem, gdy słońce zaszło, a gwiazdy zaczęły mrugać pośród nocnych ciemności, rybacy wydali ucztę na cześć powrotu Cecylii. Brzuchaty mężczyzna grał na mandolinie, jego żona – przynajmniej tak gruba jak on – śpiewała, wymachując rękami. Młody, przystojny rybak grał na tamburynie ozdobionym zielonymi, czerwonymi i białymi wstążkami. To uderzał w niego dłonią, to o kolana i podeszwę podniesionego w tańcu buta. Pośrodku Cecilia tańczyła z Sebastianem. Wszyscy na nich patrzyli i wyklaskiwali rytm. Niespodziewanie z tłumu wyszedł Marcello i wyciągnął do niej dłoń. Teraz Cecilia tańczyła ze szlachetnie urodzonym Marcellem...

Tak bardzo chciała, żeby to była prawda, że najcichszy dźwięk, delikatna zmiana kursu były dla niej jak radosna wiadomość o ocaleniu. To dlatego otworzyła szeroko oczy, słysząc jakieś poruszenie na pokładzie.

Wyprostowała się na krześle, na którym siedziała prawie nieruchomo od wielu godzin. Na górze coś się działo. Pospieszne kroki, wołania. Gabriella też je słyszała. Ona także wstała z miejsca, w którym leżała zwinięta w kłębek.

– Co się dzieje? Coś...

– Ciii...

Obie uniosły głowy. Cecilia była córką Wenecji. Znała odgłos lin świszczących na wietrze i łopotu żagli.

Liny nie gwizdały. Od strony dziobu rozległ się donośny huk.

– Główny żagiel! – wyszeptała Cecilia. – Spuścili żagiel.

W tej samej chwili okręt wykonał dwa ostre zwroty na prawą, a potem na lewą burtę. Wszystkie hałasy umilkły.

Słysząc było tylko jeden głos wydający rozkazy.

Cecilia natychmiast go rozpoznała. Barbarossa!

Nagle, dokładnie nad nimi – Cecilia przypuszczała, że są bardzo blisko głównego masztu – rozległ się dźwięk obracających się bloczków i ocierających się o siebie lin. Następnie z hałasem otworzył się główny żagiel. W tej samej chwili okręt ruszył do przodu, jakby coś z tyłu go popychało.

– Wstawaj! – Cecilia zerwała się z krzesła.

– Pani... Co to jest? Co się dzieje?

– To nasi!

– Co?

Tym razem Gabriella zaczęła płakać ze szczęścia.

– Przybyli nasi. A nie mówiłam? Zdażyli. Rudobrody ucieka. Musimy natychmiast wyjść na pokład. Muszą nas zobaczyć.

Jej modlitwy zostały wysłuchane. Bóg nie pozostawił samej Złotej Córy Wenecji. Wenecja zdażyła na czas. Pędzili, ile wiatru w żaglach, ile sił w rękach trzymających wiosła, żeby ocalić ją z rąk korsarzy.

Albo żeby zabić ją razem z piratami!

Ta myśl sprawiła, że wpadła w panikę.

– Biegnij! – rozkazała podążającej za nią dziewczynie. – Nasi nie wiedzą, że jesteśmy na tym okręcie. Kapitan w każdej chwili może otworzyć ogień, żeby zatopić korsarzy.

Gdy wyskoczyły na korytarz, nastąpiły trzy wybuchy, jeden po drugim.

„Boże! Odpalili działa! Zabiją nas!”

Okręt trzykrotnie się zakotyssał. Najpierw ruszył raptownie do przodu, później w tył, jakby go ktoś odepchnął.

W umyśle Cecylii rozległ się krzyk. „Strzelają! Nasi czy piraci?”

Gabriella w biegu wyciągnęła krzyż.

Gdy minęły prowadzące na pokład drzwi, ich oczom ukazała się scena, której zupełnie się nie spodziewały. Stojący wzdłuż relingu marynarze śmiali się w głos.

Ciemności oświetlał jedynie mdły blask dwóch pochodni trzymanyh przez jednego z marynarzy. Na wschodnim horyzoncie granatowe nocne niebo zaczęło się rozjaśniać. Zatem niedługo będzie świtać.

Nikt się nie obrócił, żeby na nie spojrzeć. Niektórzy przytwierdzali do pasów przeraźliwe zakrzywione szable, inni śmiali się i żartowali.

– Co się dzieje?! – zawołała Cecilia. – Co się dzieje?!

Jeden ze zgromadzonych odwrócił się. Wydawało się, że zrozumiał pytanie dziewczyny, chociaż nie znał jej języka. Wskazał palcem jakieś miejsce na morzu.

Wtedy Cecilia je zobaczyła. Nawet ciemności nie mogły ukryć trzech olbrzymów o rozwartych ramionach i skrzydłach.

Trzy galery! Trzy weneckie galery!

Słyszała nawet odgłos dziobu rozcinającego fale i odrzucającego je spienione na boki.

Właśnie miała wydać z siebie okrzyk radości, gdy zauważyła trzy czerwone latarnie na rufach statków. Okręty oddalały się od nich.

„Boże, nie atakują”.

Czyżby ich nie zauważyli?

Zaczęła krzyczeć i wymachiwać rękami. Nikt nie podbiegł do relingu, nikt nie próbował jej powstrzymać.

– Heeej! W tę stronę! Tu jesteśmy! Jestem Baffo! Cecilia Baffo! Heeej! Płyńcie tutaj! W tę stronę!

Nic się jednak nie stało. Niemożliwe, żeby ich nie widzieli. Poza tym korsarze wystrzelili za nimi trzy salwy. Wstrzymała oddech. Chwyciła się barierki, żeby się nie przewrócić.

„Uciekają! Mój Boże, oni uciekają! Uciekają!”.

W tej samej chwili niebo zagrzmiało jeszcze trzy razy. Korsarze wystrzelili z dział, a statkiem znów szarpnęło. Kule świsnęły w powietrzu i za trzema weneckimi galerami, które w oddali próbowały zniknąć we mgle, stanęły trzy kolumny wody.

Cecilia poczuła, jakby coś w niej pękło.

Uciekali jak na skrzydłach!

„Tchórze! – krzyknęła w duszy ze złością. – Tchórze! Tchórze!”.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek czuła się tak smutna, zawstydzona i poniżona.

„To koniec – powiedziała. – Nie została już żadna nadzieja”.

Wbiła paznokcie w rękę, żeby nie płakać.

– Wracaj do środka, córo rodu Baffo.

Odwróciła się z wściekłością. To był Barbarossa. Czuła, że jest napięta jak cięciwa łuku. Gdyby Rudobrody zaczął na nią krzyczeć, zrobiłaby to, czego nie były w stanie zrobić trzy weneckie galery pełne tchórzy. Nawet jeśli nie miała dział, arkebuzi ani szabli, to mogła użyć paznokci i zębów.

Jednak w czarnych oczach starca nie było ani śladu gniewu. Wręcz przeciwnie – były pełne smutku. Można nawet powiedzieć, że patrzył na nią ze współczuciem. Zupełnie jakby rozumiał cierpienie Cecilii.

– Jestem pewien, że – głos Hajraddina Paszy był miękki, ale głęboki – gdyby admirał Doria wiedział, że jesteście na tym okręcie, teraz bylibyśmy pod jego ostrzałem.

„Admirał Doria? – powtórzyła Cecilia w myślach. – Kto? Ten słynny

genueński tchórz?”

 Nie odezwała się. Wzruszyła ramionami i odwróciła się do schodów.

 – Chodź – zwróciła się do Gabrielli. – Więcej nie zniosę. – Gdy schodziła po schodach, przysięgała sobie: – Na miłość Chrystusa. W imię Najświętszej Maryi i wszystkich świętych bożych, nigdy więcej nie dam się stłamsić. Nie pozwolę, żeby mnie poniżano. Nigdy! Nigdy!

 Przeżyje życie takim, jakim przeznaczył jej Bóg – jako niewolnica czy jako królowa! Ale nie pozwoli, żeby nią gardzono.

VII

Pierwszy poranek w niewoli

Cecilia, odkąd po raz pierwszy zobaczyła korsarzy, czuła się bezradna. Pokonane wróciły do ciemnej kajuty pełnej myszy. Gabriella weszła na posłanie z boku. Usiadła z nogami podciągniętymi pod brodę. Cecilia tego nie widziała, ale słysząc, że dziewczyna pociąga nosem, domyśliła się, że płacze.

Tym razem nie kazała jej się uspokoić. „Za mnie też się wypłacz”, przeszło jej przez myśl. Usiadła na stojącym przy stole drewnianym krześle, które miało jedną nogę krótszą od pozostałych.

Podczas pierwszej nocy spędzonej w niewoli czuła wszechogarniający strach, przerażenie, panikę i niewyobrażalne rozczarowanie. Co przyniesie jej pierwsza noc w niewoli? Cecilia wykrzywiła usta. Co się wydarzy? Nic!

Nie była już w stanie utrzymać głowy. Czuła, jakby do jej powiek przytwierdzone były odważniki, znacznie cięższe od kul, które korsarze wystrzelili w stronę okrętów tchórzliwego Dorii.

„Nie zasypiaj, Cecilio Baffo – przestrzegają się. – Nie waż się zasypiać... Nie będę spać... Nie śpię... Nie...”.

Głowa opadła jej do przodu. Cecilia stoczyła się w bezdenną ciemność. Nie mogła się dłużej opierać.

Zdawało jej się, że słyszy głos. Jękliwy, błagalny, modlący się głos! Nagle otworzyła oczy. Było ciemno, a ona wciąż siedziała na krześle przy stole. Zasnęła. Czyżby słyszała ten głos w swoim śnie?

Był to przejmujący męski głos.

Słuchała.

– *Allahu ekber, Allahu ekber!*¹²

Znów ten sam głos. Zatem to nie był sen. Czy była to wzruszająca pieśń? Musiał ją śpiewać jeden z korsarzy.

Skupiła całą uwagę na tej melodii. Było to coś pięknego, ciepłego, słodkiego, zapraszającego, inspirującego i otulającego. Gdy odwróciła głowę do okna, zobaczyła, że nocne niebo zaczęło ustępować miejsca czerwieni.

Świtało.

Wstawało słońce pierwszego dnia niewoli.

Przejmujący głos zamilkł na chwilę, po czym zabrzmiał ponownie. Głos korsarza był teraz cieplejszy niż wcześniej.

– *Hayya ale-salah...*¹³

Ciekawe, co mówił.

– *Signorino?* Słyszycie?

– Tak.

– Ktoś śpiewa? O tej porze?

Nie, to musiało być coś innego niż pieśń. Nie wiedziała, co znaczą te słowa, ale melodia dawała człowiekowi ukojenie. Słuchała. To brzmiało jak psalm.

Głos marynarza był tak piękny. Cecilia nie mogła uwierzyć, że korsarz może wydobyć z siebie tak wzruszający i pełen uczucia ton.

Mężczyzna znów zamilkł. Dziewczęta czekały w ciszy, aż pieśń zabrzmie kolejny raz, ale tak się nie stało. Skończyła się. Zamiast tego rozległy się odgłosy kroków po pokładzie, miękkich i niespiesznych.

Nagle usłyszały, że otwierają się drzwi w sąsiednich kajutach.

Barbarossa!

Pieśń musiała zbudzić także starego kapitana. Zaskrzypiały schody prowadzące na pokład. Odgłos otwierania dwuskrzydłowych drzwi dotarł aż do nich.

„Co się dzieje?”. Z przejęcia nie mogła oddychać.

Gabriella także się wyprostowała, a potem utkwiała spojrzenie w suficie, jakby mogła ich w ten sposób zobaczyć.

– Coś się dzieje.

„Tyle to i ja wiem”, mruknęła w duchu.

Korsarze szli w kierunku dziobu.

Cecilia podjęła decyzję.

– Chodź ze mną.

– *Signorino*, nie...

Dziewczyna, która zrozumiała, co Cecilia zamierza zrobić, patrzyła na nią z przerażeniem.

– Zapomniałyście, że Rudobrody powiedział wam, żebyśmy więcej nie wychodziły na pokład? Teraz...

– Wyjdziemy i zobaczymy. Nie zamierzam umierać tu z ciekawości.

Drzwi... Naprawdę mogły wyjść i zobaczyć? Może zamknięto je na klucz, gdy spały? Może gdy je otworzą, drogę zastąpi im olbrzymi pirat i powie: „Nie wolno”?

Poruszały się powoli. Gdy Cecilia dotknęła klamki, miała wrażenie, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Ostrożnie ją nacisnęła.

Odgłos ustępującego zamka wydawał im się niczym huk.

Spokojnym ruchem pchnęła drzwi. Jednak po chwili zrozumiała, że ta ostrożność była zbędna.

Drzwi wydały z siebie tak donośne skrzypnięcie, że korsarze pewnie już dawno zerwali się na nogi, podnosząc alarm.

Korytarz, który w nocy spowijały całkowite ciemności, teraz w świetle poranka wydał im się mniej przerażający.

Pierwszy stopień... Znów to przeklęte skrzypienie. Wzięły się za ręce. Serca tłukły im się w piersiach.

Drugi stopień...

Gdy weszły na piąty schodek, przez szparę pod drzwiami zobaczyły rozgrywającą się przed nimi scenę.

Wszyscy korsarze siedzieli w rzędach na ziemi, zwrócenie w stronę lewej burty. Ponieważ byli skierowani do nich plecami, żaden z nich nie zauważył, że są obserwowani. Barbarossa znajdował się w pierwszym rzędzie. Nawet wśród tłumu piratów natychmiast rozpoznałaby jego rudą brodę.

Cecilia skierowała spojrzenie na czarnobrodego korsarza o ciemnej twarzy, siedzącego w rzędzie zaraz za Barbarosą. Przypomniała sobie, że gdy wieczorem rozmawiał z nią Rudobrody, widziała go, jak stoi za plecami starca. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego spotkała w życiu.

Nie mogła w to uwierzyć. „Milcz! – zbeształa się. – To pirat. Jeden z barbarzyńców, którzy zniszczyli ci życie! Może to właśnie on zarzucił sobie ciebie na plecy i porwał”.

Nagle pomiędzy ich ramionami zauważyła pozostałych. Ułożone jedno obok drugiego martwe ciała.

– Co oni robią? – szepnęła bezwiednie.

Gabriella wzruszyła ramionami.

– Wracajmy do naszej kajuty, *signorino* – wyszeptała dziewczyna. – Zobaczą nas.

Tym razem Cecilia pominęła jej słowa milczeniem. Trudno, niech zobaczą. Była ciekawa, co marynarze robili nad ciałami swoich zmarłych towarzyszy.

Trwali tak nieruchomo. Wszyscy siedzieli z twarzami zwróconymi trochę bardziej na południe od miejsca, w którym wschodziło słońce.

„Ceremonia pogrzebowa! Boże, korsarze odprawiają ceremonię dla swoich poległych towarzyszy”, domyśliła się w końcu.

Usłyszały odgłosy kroków kierujących się z mostka na pokład. Gdy Cecilia obróciła głowę, zobaczyła mężczyznę w długiej, czarnej marynarce z długimi rękawami. Ale jego stopy były białe! Jakie dziwne stroje nosili ci *bezbożnicy*.

Zauważyła, że marynarze z wielkim szacunkiem odnoszą się do nowo przybyłego. Utorowali mu drogę, żeby mógł przejść przed nimi. Nawet Rudobrody przesunął się, żeby go przepuścić.

Mężczyzna w czarnej szacie stanął na samym przedzie, po czym usiadł na kolanach. Położył ręce na udach. Przez chwilę wszyscy obserwowali, jak wschodzące słońce barwi czerwienią chmury. Siedzący samotnie z przodu mężczyzna wyprostował się, mówiąc coś niewyraźnie. Rzędy za nim zafalowały. To pewnie był jakiś znak. Wszyscy marynarze jednocześnie się podnieśli. Czekali z opuszczonymi ramionami i założonymi rękami.

– *Allahu ekber!* – zabrzmiał głos mężczyzny z przodu.

Cecilia zrozumiała, że to mężczyzna w czarnej marynarce śpiewał przed

chwilą tę przejmującą pieśń.

Gabriella także rozpoznała jego głos.

– To on – odezwała się, pociągając suknię swojej pani.

Z pierwszego rzędu po prawej stronie zabrzmiał inny głos.

– *Allahu ekber!*

Mężczyzna w czarnym stroju uniósł ramiona. Pozostali zgromadzeni zrobili to samo. Wszyscy dotknęli dłońmi płatków uszu. Później opuścili ramiona i splekli ręce na brzuchach.

Człowiek z przodu mruzczał coś niezrozumiale. Pewnie się modlił.

– *Allahu ekber!*

Opuścili ręce. Marynarze pochylili się. Opadli na kolana. Gdy wszyscy w tej samej chwili wykonali ten sam ruch, na pokładzie rozległ się dźwięk, który przepełniał człowieka jednocześnie spokojem i strachem. Głowy dumnych mężczyzn dotknęły ziemi.

Cecylii zaparło dech w piersiach. To musiała być jakaś piracka modlitwa.

Trzeba przyznać, że była bardzo wzruszająca.

Gabriella także była pod wrażeniem. Obserwowała tę scenę jak zaczarowana.

Marynarze kilka razy powtórzyli te ruchy. Podnosili się, klękali i oddawali pokłon.

Później wszyscy się podnieśli. Spoglądając po sobie, sprawdzili, czy wciąż stoją w równych rzędach. Wyrównali linie.

– *Allahu ekber!*

Ciekawe, co znaczyły te słowa.

Tym razem korsarze nie pokłonili się. Wciąż stali. Nagle wszyscy obrócili głowy, patrząc na prawe ramię, a później na lewe. Odziany w czerń mężczyzna na przedzie coś powiedział.

– Czy dajecie im swoje błogosławieństwo?

W odpowiedzi rozległy się głosy setek mężczyzn:

– Niech będą błogosławieni!

Znaczenie tych słów także było dla niej zagadką.

Mężczyzna w czerni usunął się na bok. Tym razem Barbarossa wyszedł przed szereg i odwrócił się twarzą do marynarzy. Cały był w bieli. Miał białą koszulę z długim rękawem, bez kołnierza, i białe szerokie spodnie. Cecilia nie widziała jego stóp, ale przypuszczała, że także są białe. Teraz spojrzenia korsarzy były zwrócone na dowódcę.

W tym samym czasie dwóch mężczyzn przyniosło wielką, długą deskę. Barbarossa przesunął się, żeby mogli przejść. Skierowali deskę z relingu w kierunku morza. Wzdłuż części deski, która pozostała na pokładzie, po obu stronach ustawiło się po czterech mężczyzn.

Rudobrody coś powiedział. Nie przemawiał ani zbyt długo, ani zbyt krótko.

Dziewczęta nic nie rozumiały. Jednak z tonu jego głosu, spojrzeń i pochylonych głów marynarzy pojęły ich sens. To było pożegnanie.

Barbarossa skończył swoją mowę. Marynarz odziany w czerń, który do tej pory z szacunkiem czekał z boku, uniósł prawą rękę do ucha i przejmującym głosem zaintonował wzruszającą pieśń. Miał jęklivy, podniosły, buntowniczy, błagalny, ale wciąż wysławiający głos.

Czterech mężczyzn wyszło z szeregu. Z powagą podnieśli jedno z martwych ciał rozłożonych na pokładzie. Bardzo powoli ułożyli je na przyniesionej desce. Cecilia zauważyła, że teraz oczy stojących po obu stronach ośmiu mężczyzn skierowane były na kogoś innego – na przystojnego, czarnobrodego marynarza. Mężczyzna pochylił głowę. Ośmiu korsarzy opuściło deskę w stronę wody, mocno ściskając drewno silnymi dłońmi. Ułożone na niej ciało ześlizgnęło się w dół, zatrzymało się na chwilę na końcu deski, po czym wpadło do morza skąpanego w złotym słonecznym blasku.

Dwudziestu ośmiu mężczyzn, którzy jeszcze wczoraj z radością podziwiali powstające z morza słońce, znalazło się w objęciach fal.

Cecilia postanowiła, że nigdy więcej nie nazwie korsarzy bezbożnikami.

VIII

Wenecja

Pałac Dożów

Okręt! Czarna flaga!

Tego ranka ludność Wenecji mieszkającą w pobliżu placu Świętego Marka obudziły okrzyki.

– Czarna flaga!

– Wołanie o ratunek!

– Zła wiadomość.

Słońce niedawno wstało. Nie zgaszono jeszcze nawet wielkiego płomienia rozpalanego w wieży naprzeciwko katedry jako znak wskazujący drogę przybywającym nocą okrętom.

Nagle niebo się rozdarło. Horyzont, próbując wydostać się spod panowania ciemności, najpierw zabarwił się czerwienią, stopniowo ustępującą miejsca różowi. Po chwili wszystko zalało się światłem, a rzeźba skrzydlatego lwa, wieńcząca kolumnę przed Pałacem Dożów, zaiskrzyła złotym blaskiem, obwieszczając całemu światu potęgę i bogactwo Wenecji. Zaczął się bezchmurny, pogodny i radosny letni dzień.

Właśnie w tej chwili strażnik zobaczył okręt, który wyglądał, jakby przed czymś uciekał. Podniósł lunetę, żeby przyjrzeć się banderze. Zauważył czarny trójkąt wciągnięty na przedni żagiel.

– Czarna flaga!

Natychmiast podbiegł do ogromnego dzwonu. Z wysiłkiem podniósł wielkie serce dzwonu i z całej siły nim uderzył. Dzwon zadrżał i wydał z siebie głośny dźwięk. Bam!

Strażnik ponownie uniósł serce i uderzył. Bam!

Później ruszył biegiem do mniejszego dzwonu. Pociągnął za sznur. Tym razem wybrzmiał ostrzejszy i wyższy ton.

Dzyń! Dzyń! Dzyń!

Jednocześnie zawołał:

– Okręt! Czarna flaga!

Podczas gdy dźwięki małego dzwonu niosły się falami, wielki dzwon zagrzemiał jeszcze dwa razy.

Bam! Bam!

Alarm wywołał natychmiastową reakcję. Pałacowe straże, wkładając zbroje, ruszyły biegiem na nabrzeże.

Wartownik na głównym żaglu zobaczył złoty krzyż na niebiesko-czerwonym tle.

– Galeon z Fondi!

Okręt minął wyspę prawą rufą i płynął dalej w stronę Wielkiego Kanału. W jednej chwili na brzegu wybuchło wielkie zamieszanie. Strażnicy próbowali zachować jakiś porządek, ale i oni biegali wzdłuż nabrzeża za posuwającym się statkiem. Gondole i łodzie ruszały za okrętem z wciągniętą flagą ostrzegawczą. Znajdujący się na pokładach chcieli natychmiast czegoś się dowiedzieć.

- Co się stało?
- Dlaczego wciągnęliście czarną flagę?
- Ktoś umarł?
- Wybuchła epidemia?

Odpowiedź nadeszła od marynarza, który wspiał się na główny maszt.

– Osmanowie!

Nagle całe poruszenie ustało. Wszyscy zamarli.

– Zaatakowali Fondi!

Ludzie byli tak przerażeni, że marynarz nie musiał mówić już nic więcej.

– Osmanowie! – wołali do siebie gondolierzy. – Zaatakowali Fondi!

Po chwili marynarz obwieścił im jeszcze jedno:

– Porwali Złotą Córę Wenecji!

Na brzegu rozległ się przeraźliwy krzyk.

– Wielki Jezu! Cecilię Baffo?

– To jeszcze dziecko – szlochał ktoś. – Biedna dziewczica!

– A Julia Colonna? – zapytał inny.

– Panna Kościoła ocalała!

– Uciekła... – Z tłumu wydobyło się westchnienie. – Dzięki Bogu! Joanna

Aragońska uciekła!

Później nadeszła kolejna wiadomość:

– Święta panna uciekła całkiem naga.

W okrzykach zgromadzonych słychać było teraz większy gniew niż wtedy, gdy usłyszeli, że Cecilia Baffo została porwana.

– Całkiem naga! Joanna Aragońska... Dobry Boże, święta panna uciekła naga.

Co za wstyd! Starcy zaczęli wyciągać krzyże. Kobiety płakały. Później wszyscy wykrzykiwali oszczerstwa.

– Bezbożnicy!

– Bezbożnicy rozebrali do naga Joannę Aragońską.

– Szubrawcy.

– Święta umknęła z ich łapsk całkiem naga.

Później przypomnieli sobie wieść o nieszczęściu, jakie spotkało ich krewniaczkę.

– Porwali piękną Baffo!

– Przeklęci bezbożnicy!

Prawda mieszała się z kłamstwem.

– Spalili Fondi!

Po każdym okrzyku wznosiły się przekleństwa i klątwy.

– Wszystkich pozabijali!

– Kobiety zgwałcili!

– Mężczyzn obdarli ze skóry!

– Obcięli głowy strażnikom zamku!

– Nadciągają tutaj!

– Dzieci powbijali na pale!

Nagle wydobył się krzyk, który stłumił wszystkie inne głosy:

– Zbrukali Joannę Aragońską!

Tłum pogrzyżył się w milczeniu pełnym rozpacz. Myśl o tym, że pozbawiono honoru świętą pannę Kościoła, była gorsza niż wszystko inne. Kobięcy wrzask przedarł się przez ciszę.

– Zemsta! Zemsta!

Po chwili krzyknęła inna kobieta:

– Pomścicie Joannę Aragońską!

Starszy mężczyzna wyciągnął krzyż.

– Ci, którzy nie pospieszają, żeby zemścić się za Joannę Aragońską, nie są chrześcijanami!

Na placu znów zaległa cisza. Dłonie zacisnęły się w pięści, oczy zaszyły krwią, a głowy pochylili. Całkiem zapomniano o okręcie z czarną flagą. Teraz myślano tylko o jednym.

Zbrukali świętą! Boże, zbrukali Joannę Aragońską!

Zgromadzeni odwrócili się w stronę arkadowego marmurowego muru i pozłacanych okien Pałacu Dożów. Setki ludzi w milczeniu patrzyło na pałac. Ta cisza była równie niebezpieczna co spokój ogarniający morze przed burzą.

I na tę nie trzeba było długo czekać. Młoda dziewczyna uniosła pięść i krzyknęła:

– Na co czekacie?! Myślicie, że niewychodzący z pałacu szlachetni panowie, którzy już dawno zmienili się w baryłki wina, pomszczą świętą?!

– Ma rację!

Bunt, jakiego nie było jeszcze w historii Wenecji, wisiał na włosku.

– Niech będą przeklęci! – wrzeszczał tłum.

– Dalej! Na co czekacie?! – huknęła dziewczyna, wymachując pięścią w kierunku okien pałacu. – Na przybycie Osmanów, którzy nas zabijają, podpalą nasze kościoły i nas zhańbią?

– Niech każdy, kto jest chrześcijaninem, rusza!

Tłum zaczął się przesuwać w kierunku straży stojących przed pałacem, mrużąc złowieszczo i pokrzykując.

– Hej, spójrzcie tutaj!

Zgromadzeni w jednej chwili zwrócili się w stronę, z której dobiegł głos przypominający ryk. Wszyscy utkwili spojrzenia w wartowniku z wieży, żeby następnie przenieść wzrok w miejsce, które wskazywał.

Zebrani pod kolumną z lwem, popychając się wzajemnie, rozeszli się w dwie strony, tworząc przejście.

– Joanna Aragońska.

Ludzie, widząc przed sobą piękną Julię całą i zdrową, wyciągali ręce, żeby dosięgnąć świętej panny Kościoła i móc jej chociaż dotknąć. Wzniosły się modlitwy. Pomimo koszmaru, jaki przeżyła Joanna Aragońska, pozdrowiały ją wszystkie dzwony bazyliki. Tysiące par oczu wpatrywało się w piękne oblicze świętej. Natychmiast zaczęto zgadywać, co kryje się za spojrzeniem Julii.

– Święta poprzysięgła zemstę.

– Barbarzyńcy nie byli w stanie jej tknąć.

– Skąd to wiecie?

– Nie widzicie? Jest niewinna jak anioł.

– Jest dumna jak cesarzowa.

Jakimś sposobem starsza, wątła kobieta przedarła się przez tłum i rzuciła się pod nogi Joanny Aragońskiej. Uniosła ramiona do Julii patrzącej na nią serdecznie. Staruszka zadała jej pytanie, które dręczyło wszystkich zebranych na placu, lecz którego nikt nie miał odwagi wypowiedzieć.

– Jesteś czysta i niewinna, dziecko?

Oklaski i okrzyki zamarły na chwilę. Wszyscy wpatrywali się w Julię.

– Co powiedziała? Co powiedziała? – niosło się przez tłum.

Z przodu do tyłu popłynęły słowa:

– Zapytała, czy jest czysta i niewinna.

Teraz miała przemówić Joanna Aragońska. Julia pochyliła się i pomogła wstać kobiecie, która wciąż czekała u jej stóp. Odwróciła się i spojrzała na zgromadzonych z ujmującym uśmiechem.

– Jestem czysta i niewinna, mateczko.

Inne słowa były zbędne.

Zgromadzeni jednym głosem zaczęli odmawiać *Pozdrowienie Anielskie*.

Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum;

benedicta tu in mulieribus,

et benedictus fructus ventris tui, Iesus.

Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatoribus,

*nunc et in hora mortis nostrae*¹⁴.

Sebastiano Venier-Baffo przeżywał chwile pełne przerażenia i bezradności. Z okrzyków dobiegających z zewnątrz zrozumiał, że Osmanowie zaatakowali Fondi, porywając jego bratanicę i zabijając pozostałych. Zapadł się głęboko w swoim fotelu z wysokim oparciem. Jego twarz to stawała się kredowobiała, to oblewała się rumieńcem. A gdy jeszcze dowiedział się, że Joanna Aragońska zmuszona była uciekać nago, poczuł, że na jego policzki wstępuje ogień.

„Czym powinienem się bardziej smucić? – zastanawiał się. – Co jest większym nieszczęściem? Porwanie jego niewinnej bratanicy czy czelność Osmanów, żeby zaatakować Fondi znajdujące się tuż pod ich nosem? Mój Boże, Julia całkiem naga...”. Wstyd nie pozwolił mu myśleć o niczym innym.

Wzdrygnął się, próbując odpędzić od siebie te myśli. Należało natychmiast stłumić wzmagający się na zewnątrz bunt. W przeciwnym razie ci ludzie to na nim wezmą odwet.

– Natychmiast wciągnijcie na maszt żałobną flagę!

Mężczyzna ruszył wykonać polecenie. Doża odezwał się za nim:

– Niech we wszystkich kościołach zadzwonią żałobne dzwony. Niech heroldzi ogłoszą, że ja i moja rodzina weźmiemy udział w wieczornej mszy. Zarządzam tygodniową żałobę. Niech ogłoszą, że przez tydzień ludowi będą rozdawane posiłki. Niech kuchnie w pałacu i domach szlacheckich ruszą do pracy. Biegnij, człowieku! Zróbmy coś, zanim ogień Fondi zajmie Wenecję. Biegnij!

– Skończ te bzdury, na miłość boską, Sebastiano!

Doża podskoczył jak dźgnięty szablą.

– Kto to? Cóż to za śmiałość?

Osoba, która wypowiedziała te słowa, wyszła z cienia arkadowego korytarza i weszła do sali o ścianach pokrytych bizantyjskimi mozaikami i rzadkimi gobelinami.

Joanna Aragońska!

Sebastiano Venier-Baffo nie wiedział, co zrobić. Zdał sobie sprawę, że wyobraża sobie kobietę nago, mimo iż miała na sobie ciężką pelerynę z kapturem. Co gorsza, dostrzegł w jej spojrzeniu, że się tego domyśliła.

– *Donna* Julia. – Postąpił dwa kroki w stronę kobiety. – Jakże mi przykro, że...

Przerwał w pół zdania. Joanna Aragońska rozwiązała węzeł pod szyją, a bordowa peleryna opadła jej do stóp. Sebastiano był zdumiony, widząc, że ubrana jest jak wojowniczką. Na białą koszulę z bufiastymi rękawami włożyła skórzaną kamizelkę, miała bardzo wąskie spodnie wetknięte w wysokie cholewy butów, a w talii przypasaną długą szablą.

– Czas na słowa już dawno minął – wycedziła Julia przez zęby. – Porwali

twoją bratanicę, Sebastiano. Złota Córa Wenecji jest w rękach korsarzy. Ja z trudem się uratowałam. Ale moja czystość została zbrukana. Ty natomiast wciąż lamentujesz.

– Kazałem wciągnąć żałobną flagę. Zarządziłem tygodniową żałobę. Wieczorem wraz z rodziną...

– Ta przeklęta żałobna flaga to najgłupsze, co można było zrobić!

– Ale, Julio...!

Kobieta ze złością obróciła się do głównego szambelana zajmującego miejsce na fotelu obok doży.

– Milcz, Magnani. To wszystko spotkało nas z powodu tego niedorzecznego planu zamachu twojego i mojego męża głupca.

Mario Magnani obrzucił ją wrogim spojrzeniem.

– Świętej nie przystoi wypowiadać się tak o zmarłym mężu – syknął. – Poza tym skąd wiesz, że właśnie dlatego zaatakowali nas korsarze Sulejmana Chana? Ja chciałem tylko zemścić się za Rodos i Belgrad. Chciałem, żebyśmy zabili Sulejmana. Gdybyśmy tego nie zrobili, twoje dzieci...

– A ten niedołężny starzec de Medici i szalony cesarz Karol przyjęli te brednie z otwartymi ramionami. Sądził, że uda wam się dotrzeć do Sulejmana albo jego haremu.

Nazwanie papieża, nawet jeśli już nie żył, niedołężnym starcem sprawiło, że dożę ogarnęło przerażenie. Rozejrzał się z niepokojem, upewniwszy się, czy nikt inny tego nie słyszał. Tymczasem Julia mówiła dalej.

– Co może być głupszego od nasłania tureckiego więźnia na Imperium Osmańskie, żeby zabił córkę sultana? Myśleliście, że umiecie wyczyścić umysł jeńca, a on uwierzy w to, że teraz jest Alejandrem z Sewilli powołanym przez Jezusa, żeby wypełnić święty obowiązek... Ha! – Julia spojrzała wściekle na obu mężczyzn. – Ha! – powtórzyła.

W jej głosie słychać było kpinę. Podeszła do doży, a towarzyszył temu szcęk przytwierdzonej do pasa szabli.

– Co się stało z fałszywym Hiszpanem? Zamiast zabić córkę sultana Sulejmana, zakochał się w niej. Miał zabić dziewczynę, a zgładził papieskiego posła w Konstantynopolu. Sam też przepadł. Oczywiście, jeśli to Osmanowie nie złapali go i nie dokończyli sprawy.

Kobieta gniewnym krokiem przemierzyła salę, po czym zatrzymała się naprzeciwko doży. Nagle nachyliła się nad nim, opierając ręce na podłokietnikach jego fotela.

Sebastiano Venier-Baffo zobaczył ogień w oczach Joanny Aragońskiej.

– Nadszedł czas zemsty, dożo!

– Powiedziałyście „zemsty”, *donno* Colonna?

– Dobrze słyszałeś, Sebastiano. – Głos Julii był coraz donośniejszy. –

Zemsty! Zemsty Fondi! Zemsty Złotej Córy Wenecji! Zemsty Joanny Aragońskiej!

Doża zadrżał na wspomnienie swojej bratanicy. Biedna Cecilia! Gdzie teraz była? Kto wie, co zrobili jej korsarze? Zabili ją? „Ależ nie – odparł w duchu z przerażeniem. – Czy ci zatracęcy byliby aż tak głupi, żeby zabijać tak piękną dziewczynę? Pewnie sprzedali ją na targu niewolników za cenę jej wagi w złocie”.

Sebastiano przez chwilę wyobrażał sobie porwanie dziewczyny. Poczuł, że jego wnętrze płonie. Tragedia, która spotkała nieszczęsną Cecilie, pogrąży cały ród Baffo. Mała, piękna Cecilia. Baffo sprzedana na targu niewolników.

Utkwił spojrzenie w Joannie Aragońskiej.

– Ale co możemy zrobić? – zapytał cicho. – Co możemy? Wszyscy wiemy, że nie zdołamy stawić czoła Osmanom.

Julia pochyliła się jeszcze bardziej.

– My – syknęła. Rozpalony oddech kobiety uderzył go w twarz. – My sami nie możemy stawić im czoła. Ale Bóg ich pokona. Staniemy przeciwko Sulejmanowi wraz z krzyżem.

– Z krzyżem? Co chcesz przez to powiedzieć?

Teraz jego głos, podobnie jak kobiety, przypominał syk.

– Postawimy Rzym przeciwko Sulejmanowi, synowi Osmana.

Główny szambelan Mario Magnani pstryknął palcami.

– I to jest to! – zawołał z radością. – Naprawdę jesteś świętą, Julio Colonna. Niech twój ukochany mąż, księżę Wespazjan, spoczywa w pokoju. To jedyna siła, która pokona Osmanów. Armia krzyżowa!

Julia zdjęła rękę z podłokietników. Wyprostowała się dumnie.

– Wystawimy przeciwko Sulejmanowi największe armię i flotę, jakie widziano w historii. Spalimy wszystkie jego okręty. Pogrzebiemy w Morzu Śródziemnym Rudobrodego i jego żołnierzy. Sułtan będzie błagał o pokój. Zażądamy Rodos. Odzyskamy Budę i Belgrad.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Zgodzi się. Sułtan nie jest głupi.

Na twarzy Julii pojawił się wspaniały uśmiech.

– Spójrz tylko, Sebastianie – powiedziała, zwracając się do doży – największa flota w historii, żeby odbić piękną Helenę z rąk Parysa, chwyciła za gardło Azję Mniejszą. Teraz jeszcze większa armada wciągnie na maszty żagle i ruszy na Troję, żeby ratować Złotą Córę Wenecji¹⁵.

Znudzony Sebastiano machnął ręką.

– To płonne nadzieje.

– Płonne nadzieje?

– Tak, *donno* Julio, niestety tylko płonne nadzieje. Cesarz Karol, odkąd tylko wstąpił na tron, zabiega o utworzenie armii krzyżowej. Nalega, żeby papież wezwał do walki. Ale kolejni ojcowie święci boją się gniewu Osmanów. Minęło

tysiąc lat, ale Rzym wciąż jeszcze nie zapomniał Attyli. Teraz obawia się, że Sulejman stanie pod bramami miasta. Jak w tej sytuacji przekonamy Ojca Świętego? Nigdy się na to nie zgodzi.

– Zgodzi się.

Julia wyniosłym krokiem obeszła stół.

– Najpierw rozkaż ściągnąć tę żałobną flagę. Wenecja nie pogrąża się w żałobie, tylko bierze odwet. Nad Pałacem Dożów nie powinna powiewać żałobna szmata, ale wenecki skrzydlaty lew. Każ powiesić wszędzie nasze proporce z wizerunkiem krzyża. Niech lud wie, że nastał czas wojny.

– Ale...

– Każ natychmiast poczynić przygotowania. Tej nocy wyruszam w drogę.

– W drogę? Dokąd?

– Tam, gdzie zasiada Ojciec Święty. Do Rzymu.

Doża zdziwił się.

– Co powiesz papieżowi?

– Kościół, którego honor splamiono, nie przetrwa. Rzym upadnie. Co stanie się z bezradnym Rzymem, który nie jest w stanie pomścić świętej panny Kościoła i Złotej Córy Wenecji?

IX

Czerwona Galera Hajraddina Paszy

Morze się mści – powiedziała cicho Cecilia.

Fale wściekle na nich napierały. Począwszy od nocy, której przenieśli się z małego statku na ten wielki okręt, morze było wzburzone. Tego wieczoru naprawdę oszalało. Ogromne fale od wielu godzin uderzały w burtę. Galera skrzypiała przeraźliwie. Ogluszające wycie burzy i huk siekących fal zagłuszały błaganie statku. Nie słychać też już było głosów znajdujących się na pokładzie marynarzy. Nie wiadomo nawet było, czy wciąż tam są. Może olbrzymia fala zmyła wszystkich, a dziewczęta zostały na tej Czerwonej Galerze całkiem same.

Cecilia spojrzała na Gabriellę, która siedziała na podłodze, kurczowo trzymając się nogi stołu. Ze strachu twarz dziewczyny stała się bielsza niż obrusy z egipskiego lnu, jakie pamiętała z domu.

„Spójrz lepiej na siebie”, mruknęła. Ona również, co najmniej tak bardzo jak Gabriella, bała się, że fale rozszarpią okręt. A może morski potwór, rodem z baśni, wznieci swoim gorącym oddechem wir i ich połknie. Pożałowała swoich myśli o zemście morza. „Wielki Jezu – modliła się w duchu. – Już dawno zasłużyli na Twój gniew. Masz prawo zsyłać na nich gromy. Ale nie zapominaj, że ja też jestem na tym statku”.

Próbowała uśmiechnąć się do dziewczyny wpatrującej się w nią oczami pełnymi łez. Jedyne, co je teraz różniło, to fakt, że Gabriella nie musiała ukrywać swojego strachu. Mogła płakać, krzyczeć, a Cecylii, mimo że się bała, a nawet była przerażona do szaleństwa, nie wolno było tego po sobie pokazać. Była Baffo.

Zdanie, które nieustannie powracało w jej myślach, chociaż tak usilnie starała się je odrzucić, wywoływało jej panikę. „To oddech śmierci”.

Nie mogło być inaczej. Wycie burzy, ryk fal, gwizd wiatru wdzierającego się przez okno i szparę pod drzwiami mogły być tylko posłańcami śmierci. Nie był to głos Boga, lecz szatana. Niewątpliwie tak właśnie było. Bóg nie mógł być tak bezlitosny, nawet wobec korsarzy, którzy ją porwali. To było niemożliwe. Szczególnie wtedy, gdy wszyscy znajdowali się na tym samym statku.

Właściwie, gdy przesiedli się na okręt Barbarossy, morze było spokojne. Nie było nawet wiatru, który mógłby napełnić żagle. Dlatego galernicy nieustannie uderzali wiosłami o wodę. Burza przyszła niespodziewanie. Nagle fale się rozszalały i w jednej chwili zaatakowały wielką galerę Barbarossy. Od tamtej pory uparcie uderzały. Czuli, jak wsiadając na grzbiet fali, wznosili się ku chmurom, po czym staczali się w bezkresną pustkę.

Latarnia, oświetlająca ciasną kajutę pojedynczą świecą, bujała się, skrzypiąc nad ich głowami. Cecilię przeszedł dreszcz. Jeśli latarnia zsunie się z haka albo wypadnie świeca, wybuchnie pożar! Wezbrała w niej panika, jakby płomienie

w jednej chwili ogarnęły statek.

– Boże – odezwała się przerażona. – Gabriello, wstań i natychmiast zgaś tę świecę.

Służąca podniosła się, przytrzymując stołu. Z trudem utrzymywała się na nogach. Nie odrywając jednej ręki od stołu, drugą starała się otworzyć latarnię bujającą się nad jej głową. Nie można tego było zrobić w ten sposób. Cecilia próbowała jej pomóc. Przytrzymała latarnię od dołu. Gabriella otworzyła ją i dmuchnęła z całej siły. Płomień wygiął się do tyłu, jakby uciekał przed napierającym na niego oddechem, ale wciąż płonął. Dopiero przy czwartej próbie Gabrielli udało się złamać jego upór. Pomieszczenie zatopiło się w gęstych ciemnościach.

Po szeleście materiału Cecilia domyśliła się, że dziewczyna, przytrzymując się stołowej nogi, ponownie usiadła.

– Jak myślisz, ile dni minęło?

– Dni, *signorino*? Nie sądzę, żeby minął choćby jeden.

– Nie pytam o burzę, Gabriello. Ile czasu minęło, odkąd opuściliśmy Fondi?

Gdy nie nadeszła odpowiedź, zrozumiała, że dziewczyna próbuje policzyć. „Zupełnie jak ja”, mruknęła w duchu.

– Drugiej nocy zmieniliśmy okręt. Nie mam pojęcia, ile czasu minęło od tamtej pory – powiedziała cicho służąca.

Cecilia też nie wiedziała. Czasami wydawało jej się, że to tylko jeden dzień, kiedy indziej miała wrażenie, że upłynęły setki lat. Odkąd została porwana z Fondi, miała mętlik w głowie.

Właściwie miała wrażenie, że coś idzie nie tak od chwili, gdy tamtej nocy, kiedy ich porwano, krzyknęła: „Bez tej dziewczyny nie pójdę”.

Nie działo się to, co powinno, lecz coś odwrotnego.

Na przykład zgoda Barbarossy na towarzystwo Gabrielli. To nie powinno się zdarzyć, ale się stało. Później także wydarzyło się wiele takich rzeczy.

Drugiej nocy wyprowadzili je na pokład. Cecilia zobaczyła cień wielkiej jak olbrzym galery. Marynarze przenosili się z galeonu, którym je porwali, na ten wielki okręt. Gdy wyszły na pokład, Rudobrody stał wyprostowany na mostku.

Teraz, pośród burzowych grzmotów, przypomniała sobie, jak tamtej nocy, prowadzone przez dwóch marynarzy o ściągniętych brwiach, szły do celi, w której miały pozostać. „Muszę zachowywać się tak, jak przystało na Baffo – przeszło jej wtedy przez myśl. – Z dumą i odwagą. Powinnam im pokazać, że nie zgadzam się na to, że jestem ich więźniem”.

Dwóch półnagich marynarzy kierowało je w stronę drzwi znajdujących się pod mostkiem. Nikt ich nie popychał ani nie ciągnął za sobą. Czy nie tak właśnie powinno być? Zmierzali do drzwi, za którymi zniknął przed chwilą Barbarossa.

Niech to szlag!

Nagle poczuła, że ogarnia ją gniew. Było jasne, co z nimi zrobią. Kończyła się już ta uprzejmość trwająca jedną noc. „Oczywiście – mruknęła do siebie – zabierają nas do Rudobrodego. Czyż nie ja byłam największą zdobyczą ataku na Fondi? Najcenniejszy łup przypada oczywiście dowódcy piratów”.

Kiedy doszły do drzwi, jeden z marynarzy pchnął skrzydło drzwi, po czym usunął się na bok, żeby zrobić im przejście.

Nie, to nie będzie takie proste. Nie przejdzie przez te drzwi. Powinna sprawić, żeby wrzucono je do ładowni jak pozostałe. Razem byłyby bezpieczniejsze. Zatrzymała się nagle i krzyknęła ze złością, wyciągając ramiona w stronę mężczyzny.

– Moje łańcuchy! Zapomniałeś o łańcuchach!

Ubranego tylko w sięgające do kolan, szerokie, niebieskie spodnie korsarza zdziwił ten nagły napad gniewu. Ściągnięte brwi poruszyły się. Na jego ponurej twarzy odmalowało się zdumienie.

Oczywiście nie zrozumiał. Przecież pirat nie znał jej języka. Jednak była zdecydowana. Zamiast posłusznie dać się zabrać do łóżka starca, zaatakuje mężczyznę, wydłubie mu oczy, umrze jak Baffo.

Tym razem, wyciągając ręce w kierunku patrzącego na nią nierozumiejącym wzrokiem pirata, wskazała na nadgarstki.

– Przeklęty bandyto! Załóż mi łańcuchy!

Myślała, że od krzyku zedrze sobie gardło.

Marynarz spojrzał na jej przyjaciółkę, jakby prosząc o pomoc. Gabriella przerażona tym, jak może skończyć się ten bunt, zrobiła się kredowobiała.

Cecilia wyciągnęła ręce do drugiego mężczyzny.

– Zakujcie mi ręce w łańcuchy! Załóżcie na nogi kajdany! Wy przekłęci barbarzyńcy! Zakujcie nas obie! Czy nie jesteśmy więźniami?

To zamieszanie sprawiło, że dwuskrzydłowe drzwi się uchyliły i wyrzał zza nich przystojny, czarnobrody mężczyzna. Ten sam, który pierwszej nocy stał za Barbarosą, a następnego ranka podczas ceremonii pogrzebowej zajmował miejsce w rządzie za starym kapitanem.

– Nie, *signorino* Baffo – odezwał się. – Nie jesteście więźniem, lecz naszym gościem. A teraz, proszę, idźcie za mną.

Nie mogła sobie teraz przypomnieć, co najbardziej ją wtedy zaskoczyło. Czy były to jego słowa, czy to, że był tak przystojny, a może to, że okazało się, że jeszcze ktoś rozumie ich język? „Boże – pomyślała – a może ci wszyscy piraci go znali?”.

Mężczyzna zauważył, że Cecilia się waha, i wtedy jego twarz rozświetlił niewiarygodny uśmiech.

– Proszę. Chodźcie, *signorino*. Nic wam nie grozi.

Cecilia szła dumnym krokiem.

– Uważajcie na schody – ostrzegł Czarnobrody, pochylając głowę i przechodząc przez drzwi. – Nie jest tu zbyt widno.

Policzyła dziewięć stopni. Gabriella szła za nią.

– To kajuta ojca kapitana – wyszeptał mężczyzna.

Cecilię zdziwił szacunek w jego głosie, gdy wspominał o dowódcy.

– Gdzie nasza cela?

– Cela, *signorino*? – zapytał szeptem i otworzył szeroko oczy.

„No tak, nie chce niepokoić Rudobrodego”, mruknęła w duchu Cecilia. Jednak ona była zdecydowana zrobić wszystko, żeby zakłócić jego spokój.

– Tak! – podniosła głos. – Chociaż nie zamknęliście nas w ładowni jak pozostałe nieszczęśnice, to wiem, że zamkniecie mnie w celi. – Jej głos był ostry jak nóż i pełen wrogości.

Jednak przystojny mężczyzna zupełnie na to nie zważał. Wręcz przeciwnie, uśmiechnął się.

– Nie wiem, co sobie wyobrażałyście, ale zostanieie w mojej kajucie.

„Twojej kajucie?”

Cecilia zaniemówiła. Tym razem pomyślała, że pchną ją w ramiona tego mężczyzny. „Głupia”, zrugła się. Ależ oczywiście. Dlaczego miała tak nie pomyśleć? *Wojenne łupy dla walczących.*

Gdy zrozumiała, że mężczyzna nie idzie za nimi, odwróciła się.

– Tędy.

Dumnie uniosła głowę.

– Wolimy ładownię lub celę.

– A to dlaczego?

Gdy zauważyła zaskoczenie w jego oczach, poczuła wyższość.

– Cela jest bezpieczniejsza. – Jej głos ciął niczym bat.

Marynarz odwrócił się. Przez chwilę stał bez ruchu, po czym ruszył w ich stronę. Podeszedł tak blisko, że Gabriella, która zaczynała już mieć za złe swojej nowej pani jej krnąbrność, schowała się za plecami Cecylii. Dlaczego tak się zachowywała? Przecież dobrze je traktowali. Przynajmniej na razie.

Cecilia poczuła oddech mężczyzny. Ich oczy spotkały się w świetle latarni. Czy światło w oczach marynarza było blaskiem latarni, czy ciskały one błyskawice? Patrzył prosto na nią. Czyżby był zły? Nie. Czy patrzył bez złości? Nie. Czy z jego twarzy można było wyczytać, że zaraz wybuchnie? Nie. Czy był zadowolony z jej sprzeciwu? Nie. Czy był przystojny? Ach, tak, tak! Gdyby ktoś jej powiedział, że barbarzyńca może być aż tak przystojny, nigdy by nie uwierzyła. Nie miał ani upudrowanej, ozdobionej wstążkami peruki, ani jedwabnej koszuli z ząbotem i koronkami przy rękawach. Nie nosił też wspaniałej marynarki z tkaniny w wielkie kwiaty ani trykotowych spodni wpuszczonych w jedwabne ciżmy. Na głowie miał śmieszny kawałek materiału. Białego materiału

zawiazanego tak, że jeden koniec opadał mu na kark. A także koszulę z szorstkiego płótna. Marynarkę rozpiętą prawie na całej długości i... Dobry Boże... To czarne coś na jego torsie... Cecilia wiedziała, że nazwanie tego, co widzi, a nawet myślenie o tym nie przystoi eleganckiej damie. Jednak nie mogła oderwać od tego wzroku. Na białej koszuli miał czerwoną, skórzaną kamizelkę, a na nogach dziwne, sięgające do kolan, szerokie, marszczone spodnie. Łydki miał nagie i pokryte tym czarnym czymś... Na stopach zaś buty z zadartym noskiem w kolorze kamizelki.

„Przeciętna Wenecjanka, byle służąca nie byłaby w stanie patrzeć na tę brzydotę, a co dopiero ja, arystokratka”, przeszło jej przez myśl.

Ale patrzyła.

Oboje mierzyli się wzrokiem. Nagle Cecilia zauważyła, że światło w oczach mężczyzny zmieniło się. Patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy. Na jej włosy, ramiona, piersi...

Moje piersi!

Mój Boże! Moje piersi!

Dopiero wtedy przypomniała sobie, że wciąż ma na sobie wieczorowy strój, z głębokim dekoltem odsłaniającym ramiona i piersi, który włożyła na przyjęcie ostatniej nocy w Fondi. Sukienka była ozobiona kołnierzem marszczonym na ramionach, próbującym zakryć koronką głębokie wycięcie z przodu. To była niezwykle ponętna sukienka z zielonego jedwabiu, która doprowadziła do szaleństwa Marcella, Sebastiana i kto wie, kogo jeszcze. Jej strój to był tak naprawdę jedynie obcisły gorset sięgający od piersi do niewiarygodnie wąskiej talii i długa, szeroka plisowana spódnica, która sprawiała, że patrzący na nią zastanawiali się, co pod sobą kryje. Właściwie była prawie naga. „Jeśli zaciągnie mnie do łóżka, nie będzie miał wielkich trudności”, pomyślała.

– Na waszym miejscu wolałbym moją kajutę. Nie jest duża. Nie znajdziecie w niej wielu rzeczy, do których jesteście przyzwyczajone, ale przynajmniej jest łóżko.

– Położymy się na ziemi.

Cecilia próbowała odwrócić się w stronę schodów, żeby wyjść na pokład, ale na próżno. Marynarz złapał ją za smukły nadgarstek.

– Proszę, *signorino*, nie róbcie trudności. To rozkaz ojca kapitana. Zostaniecie w kajucie.

Nie pociągnął dziewczyny, ale dał jej do zrozumienia, że robi to, jeśli będzie musiał.

„Przestań się upierać, Baffo – zbeształ ją wewnętrzny głos. – Idź i zobacz tę przeklętą kajutę”.

Marynarz przeszedł jeszcze cztery kroki wąskim korytarzem i otworzył drzwi. Cecilia obojętnie zajrzała do środka. Ta kajuta była większa od tej ciasnej, w której spędziły ostatnią noc. Pośrodku, na małym stole o grubych nogach, paliła

się pojedyncza świeca. Na drewnianej ścianie po prawej stronie tańczyły światła w rytm opadającego i unoszącego się na falach statku.

– Jesteśmy na rufie lewej burty – odezwał się cicho mężczyzna. – Okno jest małe, ale wpada przez nie słońce i powietrze.

Uderzając szorstkimi dłońmi w materac, rozłożony na drewnianym stelażu przed oknem, próbował go poprawić.

– To moje łóżko – oznajmił radośnie. – Nie przypomina takich, do których jesteście przyzwyczajone. Jest trochę twarde, ale wygodne. Szczególnie po męczącym dniu.

Cecilia stanęła w progu i wsunęła głowę do środka. Przypomniały jej się słowa marynarza o tym, że nie jest więźniem, ale gościem. Przystojny korsarz był prosty, ale faktycznie zachowywał się jak pan domu starający się podjąć swojego gościa.

„To ty zachowałeś się prostacko, Cecilio Baffo”, urągał jej wewnętrzny głos.

– Tu jest jeszcze jedno łóżko...

Mężczyzna wskazał stelaż przy prawej ścianie. Zamilkł, jakby nagle pożałował swoich słów.

– Czyje?

Nastąpiła gęsta cisza. Chociaż Cecilia niezbyt wyraźnie widziała twarz mężczyzny, zauważyła, że światło w jego oczach zgasło.

– Kapitana Iljasa.

– Ciekawe, czy zgodzi się odstąpić nam łóżko. A jeśli nie zechce?

– To niemożliwe.

W głosie mężczyzny słychać było smutek.

– Skąd to wiecie? A jeśli powie, że go nie odda? Jeśli przyjdzie tu w nocy?

– Nie przyjdzie.

– Jesteście pewni?

– *Nie może przyjść.*

Cecilia zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd została porwana, mówiła zalotnym głosem. Rozgniewało ją to.

– Dlaczego nie może przyjść?

– Nie może i już.

Sięgnęła do stołu po świecę. Zbliżyła ją do twarzy Czarnobrodego. „Wielki Jezu!”, westchnęła w duchu. Pomimo światła oczy mężczyzny były kruczoczarne. Nie było w nich ani blasku, ani żaru. Korsarz po raz pierwszy uciekł od niej spojrzeniem.

– Dlaczego? Dlaczego nie może przyjść? Jak on miał na imię? Il...

– Iljas.

– Tak. Dlaczego Il-jas nie może przyjść?

Marynarz wziął świecę z rąk Cecylii i odstawił na stół.

– Nie ma go tu.

– A gdzie jest?

Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę.

– Zostaniecie tutaj.

Skierował się do drzwi, żeby wyjść, ale Cecilia zastąpiła mu drogę.

– Gdzie jest?

Brzmienie jej głosu zdziwiło ją samą. Była w nim wyniosłość królowej oczekującej na odpowiedź od swojego sługi, a jednocześnie żądanie rozpuszczonej dziewczyny pragnącej zaspokoić swoją ciekawość.

Ich spojrzenia znów się spotkały. Zauważyła, że twarz mężczyzny spochmurniała. Zamiast odpowiedzieć, uniósł tylko głowę, przełykając ślinę. Przez chwilę Cecilia nie mogła tego zrozumieć. Gdy pojęła, że spojrzenie mężczyzny sięgnęło bezgwiezdneho nieba, zakryła ręką usta.

– Umarł?

Marynarz znów nie odpowiedział. Przymknął tylko oczy.

Boże, ten człowiek umarł. A teraz jedna z nich miała spać w łóżku *zmarłego korsarza*.

– Kiedy?

Całą sobą wyczekiwała odpowiedzi.

– Wczoraj w nocy – wyrzucił z siebie marynarz. – Kapitan Iljas zginął wczoraj w nocy.

Ten niespodziewany wybuch sprawił, że dziewczęta podskoczyły ze strachu. Cecilia powtarzała w duchu: „Boże! Boże! Boże!”. A więc był jednym z nich. Był jednym z barbarzyńców, którzy napadli na Fondi i ją porwali.

– I był wśród tych, których dziś rano wrzuciliście z małego statku do morza?

Marynarz zatrzymał się w proggu.

– Nie – westchnął tylko.

– Dlaczego? Twój towarzysze zostawili go w Fondi, uciekając przed naszymi bohaterskimi strażnikami?

Czarnobrody spojrzał na nią ponad ramieniem. Minął próg i cicho zamknął za sobą drzwi.

Cecilia sama sobie odpowiedziała:

– Żywa pochodnia!

Iljas musiał być jednym ze śmiałków, którzy wysadzili dwie galery na wybrzeżu. Nie zostało po nich nic.

Stojąc za drzwiami, czekała na odgłos łańcucha i klucza. Ale nic się nie wydarzyło. Nie zamknął ich na klucz?

Z pewnością postawili na zewnątrz strażnika.

Powoli nacisnęła na klamkę. Ustąpiła. Podobnie jak pierwszej nocy były w kajucie bez klucza. Wystawiła głowę i sprawdziła, co się dzieje na zewnątrz.

Nikogo nie było na korytarzu. Zobaczyła tylko marynarza, który szykował się do wyjścia po schodach na pokład.

– Hej! Posłuchaj!

Czarnobrody odwrócił się. Podeszedł do niej, starając się nie robić hałasu.

– Zapomniałeś zamknąć celi.

– Nie ma klucza.

– Przyjdzie strażnik?

– Nie ma strażnika.

– Więc co? Możemy wyjść, jeśli zechcemy?

– Dokąd?

No tak, dokąd miały iść dwie kobiety na środku morza? Cecilia nie dała po sobie poznać upokorzenia.

– Dobrze – mruknęła i zamknęła mężczyźnie drzwi przed nosem. – Niech to szlag! – bąknęła pod nosem i znów otworzyła drzwi. – Hej, ty!

Mężczyzna na schodach odwrócił się, pochylił i spojrzał na nią. Z jego wzroku Cecilia wywnioskowała, że zaczyna kończyć mu się cierpliwość, ale nie przejęła się tym.

– Masz jakieś imię?

Dziewczyna była pewna, że gdyby w korytarzu było światło, zobaczyłaby, jak oblewa się rumieńcem. Korsarz czuł się teraz tak jak ona przed chwilą. „Odegrałam się”, przeszło jej przez myśl. Poczowała dzieciinną radość.

– Wybaczcie. Mam na imię Ajdyn... *Ajdyn Reis*.

– Jak to?

Cecilia z przerażeniem zauważyła, że jej głos znów zabrzmiał zalotnie. Odchrząknęła, żeby nadać mu powagi.

– Które to imię? Ajdyn czy Reis? Reis to nazwisko twojego rodu tak jak Baffo?

Nagle zamilkła. Posmutniała.

– Il... Il... Nieważne. On. Ten, który zginął. Był twoim bratem? On też miał na nazwisko Reis, prawda?

Czarnobrody wyszczerzył zęby w uśmiechu.

„Ma na imię barbarzyńca”, powiedziała do siebie Cecilia, ale nie umknęło jej, że do twarzy mu z uśmiechem.

Nagle wyobraziła go sobie na balu. Nie trzeba było nasyłać pirackich statków, żeby porwać weneckie kobiety. Wystarczyło przysłać jego. Gdyby tylko się uśmiechnął, dziesiątki kobiet poszłyby za nim i dobrowolnie wsiadłyby na statek z korsarzami.

– Nie. Mam na imię Ajdyn. Reis w naszym języku oznacza „kapitan”. Kapitan Ajdyn. A jeśli chodzi o braterstwo... Macie rację, *signorino*. Byliśmy braćmi. Właściwie wszyscy tu jesteśmy braćmi. Mamy inne matki i ojców, ale

łączy nas wspólny cel i przeznaczenie. *Łączy nas wszystkich braterstwo dusz.*

Nic więcej nie powiedział. Bezgłośnie wspinał się po schodach. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy jego oddalające się kroki na pokładzie. Cecilia zamyśliła się, utkwivszy wzrok w świetle dwóch lamp wiszących po obu stronach drzwi do kajuty Rudobrodego.

– *Signorino Baffo!*

Pod wpływem głosu Gabrielli spojrzała w kierunku ciemnego pomieszczenia, które miało zostać ich kajutą. Dziewczyna padła na podłogę i kurczowo chwyciła się nogi od stołu.

– Co się stało, Gabriello? Co robisz?

– Boję się, *signorino*.

„Głupia! Zamiast powiedzieć: «Drzwi są otwarte, uciekajmy! Na co czekamy?», ona wciąż myśli o strachu”.

Chociaż w sumie miała rację. Skoro trzy pełne mężczyzn okręty admirała Dorii wystraszyły się i uciekły, dlaczego mała służąca miałaby się nie bać? Od teraz strach miał się stać ich towarzyszem.

– Czego się boisz?

– Że ktoś wejdzie do środka. – Gabriella pospiesznie wyciągnęła krzyż. – Że nas zaatakuje.

Gdzieś pośrodku Morza Śródziemnego

Mimo że nazywano je gośćmi, były zwykłymi więźniarkami i utknęły w tym wilgotnym, cuchnącym miejscu. Co gorsza, Cecilia nie miała nawet pojęcia, co wydarzy się za chwilę. Może ten przeklęty okręt niedługo pójdzie na dno.

Ogromny statek uniósł się pod wpływem olbrzymiej siły, z jaką uderzyła w nich największa fala, odkąd wybuchła burza. Przez chwilę jakby zawisł w powietrzu, a potem znów zanurzył się w spienionych odmętach i położył na prawą burtę.

Z ust Cecilii wydobył się jedynie zduszony krzyk. Już dawno odmówiła wszystkie znane jej modlitwy. Natomiast Gabriella powtarzała w kółko:

– Boże... Boże...

Jednak Cecilia wcale nie była pewna, czy Stwórca słyszy ich błagania, bo burza z każdą chwilą szalała coraz bardziej.

Okręt podniósł się na kolejnej fali. Na górze coś się przewróciło i przewlokło po pokładzie. Fale pewnie zabrały jakieś rzeczy, które marynarze ciasno przywiązali. A może ściągnęły do morza baterię okrętu?

Nagle Cecilia poczuła, że coś w niej drgnęło. Nadzieja. Jeśli tak się stało, korsarze byli teraz bezbronni... Gdyby wenecka galera...

Nadzieja na ocalenie zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Na wspomnienie ucieczki trzech okrętów ogarnęły ją wstyd i gniew. *Głupia!* Co miałyby się zdarzyć, gdyby ponownie natknęli się na weneckie galery? Admirał Doria zbiegł z trzema statkami przed małym galeonem. Miałyby zaatakować wielką galerę Barbarossy?

Niespodziewanie poczuli, że jakaś przerażająca siła wciąga okręt w głębiny. Jakby bóg morza Posejdon stanął gniewnie pośród fal, pochylił głowę dotykającą czarnych chmur, a zobaczywszy u stóp statek wielkości łupiny orzecha, wlokący się przez fale, ze złością opuścił w nich olbrzymią pięść. Cecilii wydawało się, że na dole otworzyła się jakaś dziura, która ich pochłaniała. „A więc to już koniec”, pomyślała w panice. Nie było możliwości wydostania się z tego wiru.

Galera skrzypiała przeraźliwie. W każdej chwili mogła się rozlecieć na kawałki. Ni stąd, ni zowąd Cecilia poczuła silne uderzenie innej fali, jakby tuż pod jej stopami. Najwyraźniej tym razem Posejdon wypychał ich od dołu. Statek miotał się na wszystkie strony w potężnych dłoniach morskiego bóstwa.

Gdy spojrzała w oczy Gabrielli, szeroko otwarte z przerażenia, przypomniała sobie pierwszą noc na tym okręcie. Gdy Czarnobrody wyszedł, zostawiając je same, służąca dokładnie tak jak teraz przywarła do stołowej nogi.

Pogłaskała włosy Gabrielli.

– Nie działamy nic, płacząc i użalając się nad sobą – oznajmiła. – Przynajmniej na razie. Odpocznijmy trochę.

– Zamierzacie spać? Ja nigdy nie zasnę.
– Przynajmniej się połóżmy. Musimy odpocząć. Jutro znów czeka nas ciężki dzień. Musimy być silne, Gabriello.

Wskazała dziewczynie łóżko przystojnego, czarnobrodego korsarza.

– Połóż się tutaj. Ja pójdę tam.

– Ale to łóżko jest większe. Tutaj będzie wam wygodniej.

– Nie, ty się tu połóż. Spójrz, widać stąd błękit fal.

Nie dając jej szansy na sprzeciw, podeszła do łóżka mężczyzny, który zginął jako żywa pochodnia. Usiadła i oparła się plecami o ścianę. Jej dłonie błądziły po płótnie. Nie wiedziała, dlaczego wybrała to łóżko. Niedawno spał na nim korsarz, którego twarzy nigdy nie widziała. A teraz go nie było. Nie zostało po nim nawet ciało. Pochłonęło go morze wraz z galerą, którą wysadził w powietrze. Jaki był? Czy równie przystojny co Czarnobrody? O czym myślał podczas wschodu słońca? Wiedział, że umrze, zanim nastanie kolejny świt? Czy stamtąd, gdzie się udał, widział, jak ona teraz siedzi na jego łóżku?

Gdy na miotanym burzą okręcie przypomniawszy sobie tamtą noc, w jej myślach znów pojawiło się to samo pytanie: „Dlaczego wybrałaś łóżko poległego korsarza, Cecilio?”. Może na poduszce wciąż był jego zapach. Może w płótno, którego teraz dotykała, wsiąkł jego pot. W takim razie skąd przyszło jej do głowy, żeby spać w łóżku zmarłego, położyć głowę na jego poduszce? Co to za głupota!

To była zemsta! „Właśnie”, ucieszyła się w duchu Cecilia. Powinna myśleć, że to, że śpi w łóżku mężczyzny, który wysadził się w powietrze razem z dwoma okrętami pełnymi marynarzy, nie daje spokoju jego duszy.

Z trudem kierowała się w tamtą stronę. Z powodu burzy nie można było utrzymać się na nogach. Doszła do łóżka. Mimo wszystko najlepiej było się położyć. Przynajmniej dopóki ogromna fala, przechylając statek, jej z niego nie zrzuci. Położyła głowę na poduszce. Poczowała na policzku chłód szorstkiego płótna.

„Mam nadzieję, że twoja dusza skręca się z bólu – pomyślała Cecilia, zaciskając zęby. – Dziewczyna tak piękna, że nawet nie mógłbyś sobie tego wyobrazić, śpi w łóżku, które zajmowałaś przed śmiercią. Kładzie swój różany policzek na poduszce, którą ocierała twoja parszywa broda. Mam nadzieję, że cierpisz, a twoja dusza zwija się z bólu”.

Obróciła głowę, patrzyła na światło, które pojawiała się i zniknęło na drewnianej ścianie tuż przy jej głowie. Posejdon ciskał nad nimi błyskawice. Mogła dostrzec tylko błyski, ponieważ wycie wiatru zagłuszało gromy.

– Gabriello?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

Przez chwilę patrzyła na jej poruszające się wargi.

– Boże – błagała Cecilia. – Wiem, że jesteś na mnie zły. Ale przyjmij modlitwy Gabrielli. Ocal nas!

Żeby zapomnieć o strachu, zatopiła się we wspomnieniach. Tańczyła w Pałacu Dożów. Zalotnie unosząc maskę, pokazywała swoją twarz szlachetnym panom, którzy jej się spodobali. Słyszała, jak wzdychają. Spacerowała z Marcellem za rękę po ogrodzie rezydencji. Z dołu niosły się dźwięki mandoliny. Później do jej uszu dobiegła pieśń gondoliera. Jakiś mężczyzna z gondoli wrzucił przez jej okno różę. Przyjrzała się uważniej... Czarnobrody!

– Matko! – krzyknęła. – Korsarze dotarli aż tutaj.

Nagle u jej boku pojawiła się matka. Odetchnęła jej zapachem i ponownie odwróciła wzrok na kanał.

– Spójrz, tam jest, w gondoli.

Ale Czarnobrody zniknął. Teraz z gondoli machał ktoś inny. Nie miał twarzy, ale nad jego głową błyszczał wielki krzyż.

– Burza ustaje, *signorino*.

Z krzyża nad głową postaci w gondoli tryskały czerwone i zielone iskry. Przy blasku krzyża nawet słońce zdawało się blade.

– *Signorino!*

Kopuła... Wielkie zgromadzenie... Morze... Fale... Burza...

– *Signorino* Baffo. Wszystko w porządku?

– Co? Słucham? Co się dzieje? Kim...

– To ja, *signorina*, Gabriella. Wołałam kilka razy, ale nie słyszałyście. Zaniepokoiłam się. Musiałam was trącić. Wybaczcie.

Cecilia patrzyła na nią zdziwiona, próbując wrócić do teraźniejszości.

– Co się stało, Gabriello?

– Burza, pani. Burza ustała. Jesteśmy ocalone!

Ocalone? To słowo wydało jej się zupełnie obce.

– Na razie – powiedziała cicho. – Wciąż jesteśmy na niebezpiecznych wodach.

XI

Morze Egejskie Czerwona Galera

Na pokładzie Czerwonej Galery Hajraddina Paszy, która bohatersko ocalała z burzy, tym razem szalał huragan wściekłości Cecylii. Młoda Baffo ciskała gromami. Rzucała w mężczyzn jedzeniem. Celowała w ich głowy talerzami i kielichami.

– Chcę wina! – wołała przez cały dzień.

– Muszę się wykąpać! – upierała się następnego dnia.

Przyniesiono balię, w której mogła się umyć. Wtedy woda okazała się dla niej za zimna.

– Chcę zrobić pranie. Przynieście mi indygo¹⁶, glinę i sodę – podniosła raban kolejnego poranka.

Gabriella uprała ich ubrania. Cecilia wcisnęła je jednemu z marynarzy.

– Rozwieś je na pokładzie. Niech wyschną! – rozkazała.

Kapudan pasza zszedł z mostka, widząc grupkę zaśmiewających się do rozpuku *levantów*. Gdy zobaczył jednego ze swoich ludzi, który z pochyloną głową, wśród drwin i dogadywań towarzyszy, wieszał pranie Cecylii i Gabrielli, jego twarz zrobiła się czerwona ze złości.

– Nie ma dziś wikt! – ryknął. – Młodej Baffo dajcie tylko dzban wody. To wszystko.

Co rano pukał do ich drzwi inny *levant* i przynosił ubrania. Cecilia zaś za każdym razem chwyciła je wszystkie i rzucała nimi w posłańca.

– Masz!

W powietrze poleciały żółte szarawary.

– Masz!

Za szarawarami podążył szkarłatny kaftan.

– To też weź! I to!

Wyrzucała wszystkie ubrania, które Barbarossa z uporem przesyłał jej każdego dnia. Była niezłomna. Mogła być więźniem, ale nie zapominała o swoim pochodzeniu. Była córką szlachetnego rodu. Nawet jeśli teraz była niewolnicą, nikt – nawet dzicy korsarze – nie mógł od niej żądać, żeby ubierała się jak barbarzyńcy. Więźniowie się buntowali. Ona też. To była wojna. Wojna, którą koniecznie musiała wygrać.

Wołała i krzyczała. Rzucała i tłukła wszystko, co wpadło jej w ręce. Mimo iż wiedziała, że kajutę obok zajmuje stateczny sędziwy Rudobrody, wykrzykiwała rzeczy nieprzystające eleganckiej damie.

Pewnego ranka ktoś znów zapukał do drzwi. Otworzyła je ze złością. U progu stał Ajdyn Reis, który odstąpił im swoją izbę.

– Znowu to? – zapytała Cecilia, wskazując na kolejną partię strojów.
– Ojciec kapitan chciał, żebyście to włożyli...
– Myślicie, że będę ubierała się jak barbarzyńcy?!
– Czcigodny pasza uznał, że będzie właściwiej, jeśli je włożycie.
– To źle uznał. Nie zamierzam włożyć tych... tych paskudnych szmat.
– W takim razie z przykrością jestem zmuszony stwierdzić, że w ubraniach, jakie macie, nie wolno wam już wychodzić na pokład.

– A to dlaczego?

– *Signorino*, ta galera to okręt wojenny. I...

– I co?

– Niektórzy już od dwóch lat pływają po morzu...

Cecilia zrozumiała.

– Chcieliście powiedzieć, że to dzikusy, którzy od dawna nie widzieli kobiety?

Kapitan Ajdyn milczał. Na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

Cecilia wpadła we wściekłość.

– W takim razie przekażcie Barbarossie... Nie włożę tego, nie wyjdę też na ten przeklęty pokład. Tyle. Teraz możecie odejść.

Czarnobrody odszedł bez słowa.

Nie tylko marynarze, których wysyłał z różnymi strojami ojciec kapitan, mieli dość Cecylii. Wszyscy dżygici, którzy brali udział w wielu wojnach, dla których śmierć była ukoronowaniem, a oddanie życia w walce – rajskim nektarem, złorzeczyli na gniew, język i głos młodej Wenecjanki.

Wieczorami, gdy słońce zachodziło, a nad ich głowami noc roztaczała swój czarny płaszcz, zbierali się i rozmawiali. Każdy z nich miał coś do powiedzenia o Cecylii i jej służącej.

– Krzyknęła: „Nie będę jadła tego świństwa” i wylała na mnie pyszny posiłek. Zupełnie jakby sam diabeł szeptał mi do ucha: „Zrób z nią porządek”. To ci dopiero.

– Jaki porządek, dżygicie?! Przełóż ją przez kolano i wymierz siarczystego klapsa w zadek!

– Nie smakuje jej chleb. To grzech. To boże błogosławieństwo, ale co gjaury mogą o tym wiedzieć. Rzuciła go na ziemię. Lepiej niech je kamienie.

– I dobrze, trzeba było dać jej kamień, Mustafu. Mówię wam, czy umrze w walce, czy odda ducha w swoim łóżu, ojciec kapitan jest aniołem. Naprawdę. Gdyby to ode mnie zależało, nie dałbym tej dziewczusze ani jeść, ani pić. Po co mamy karmić córę gjaurów?

– Myślicie, że jest nam wdzięczna?

– Dwa razy dziennie każe mi przynosić gorącą wodę. Niby że będzie się myć. Ma wszy czy co?

Gdy już wszystko z siebie wyrzucili, zamierali w ciszy. Spuszczali wzrok albo wpatrywali się w gwiazdy. Nikt na nikogo nie patrzył, zupełnie jakby się umówili. Nikt nie chciał być świadkiem cierpienia, samotności i marzeń pozostałych ani tego, żeby ktokolwiek odkrył jego słabości. Wszyscy wiedzieli. W tej chwili każdy z nich wyobrażał sobie tę dziewczynę, która zmieniała ich życie w torturę, kąpiącą się w balii pełnej ciepłej wody. W ich marzeniach Wenecjanka rozpuszczała włosy. Jej nagie ramiona błyszcząły jak kryształ. Dłonie dziewczyny błądziły po równinach, dolinach i wzgórzach, które pragnęli zobaczyć, a które nawet w snach pozostawały dla nich tajemnicą. Przed oczami mieli jedynie jej czarnozielone oczy w kształcie migdałów.

Cecilia Baffo była jedynie wstępem do marzeń większości z nich, a jej miejsce zajmowały pozostawione przez nich narzeczone. Od miesięcy byli na morzu. A nawet więcej. Ile lat już minęło? Od tak dawna nie widzieli swoich ukochanych.

Jeden myślał o Aisze, drugi o Firdevs, a jeszcze inny o Nebile. Cierpieli, spostrzegłszy, że twarze ich wybranek nikły nawet w ich wspomnieniach. Wtedy wyobrażali sobie twarz Cecilii. Ale jednocześnie marzyli o Aisze i Lejli. Tęsknota była przytłaczająca.

Jakaś gwiazda przeleciała po niebie z północy na południe, a może z zachodu na wschód, ale oni myślami wciąż byli na wschodzie. Na wschodzie pozostawili wszystko, co mieli, a kurs obrali na zachód. Wciąż tęsknili za wschodem, a płynęli na zachód. Przymykali oczy. Gdy któryś zauważył spadającą gwiazdę, w sekrecie wypowiadał życzenie.

Nieco dalej oparty plecami o reling z wyciągniętymi nogami siedział mężczyzna, który widział i przeżył więcej niż oni.

– I właśnie dlatego, przyjaciele – mruknął – dlatego mówią, że nie poślubia się morza i żony. To nie wróży nic dobrego. Kobieta miesza mężczyźnie w głowie. Nie zapominajcie o naszej matce Ewie. Sprowadziła naszego ojca Adama na złą drogę i wyrzucono ich z raju.

Nikt się nie odezwał.

Oczami duszy patrzyli na swoje wioski. Wyobrażali sobie posiwiąłą kobietę w białej chuście, przycupniętą na siedzisku z poduszek.

– To ja, matko! – wołali od progu.

– Mój dżygicie, mój dzielny synu! – odpowiadały ich matki i wyciągały do nich ramiona.

Nawet nie wiedzieli, czy wciąż żyją.

Później spomiędzy zarośli przybiegały narzeczone w czerwonych chustach. Szczęśliwe, a jednocześnie zawstydzone. Płomienne, ale tajemnicze panny.

Wiatr przemknął po pokładzie. Niektórzy pozostali w swoich marzeniach, inni wyrwani z nich nagłym podmuchem od nowa próbowali uchylić drzwi do

świata snów.

W tej samej chwili na pokładzie zabrzmiał wstydlawy męski głos.
Nie trzymajcie mnie, fale, nie trzymajcie.

Nie wzmagajcie tęsknoty, nie wzmagajcie.

Uczcie się, zdradzieckie wiatry.

Idę do ukochanej! Na drodze mej nie stawajcie...

Ktoś jeszcze dołączył do śpiewu. Później zaczęło śpiewać dwóch, trzech...
Aż w końcu zgodny chór męskich głosów przedarł się przez pełną goryczy nocną ciszę.

O czym krzyczycie, mewy?

Macie wieści od mej ukochanej?

Niech po mnie nie płacze, nie szlocha.

Nawet jeśli umrę, to na rozkaz Boga.

Nikt nie uwierzyłby, że te pełne uczucia głosy należą do mężczyzn, których okrzyki, gdy krzyżują szable z giaurami: „Dalej, dżygicie! W imię Mahometa!”, zagłuszają nawet wycie huraganu. Ten, kto uważałby ich za zimnych i zatwardziałych, byłby zaskoczony bogactwem uczuć przepelniających ich serca.

Cecilia też była zaskoczona. Dostrzegła melancholię, miłość i smutek, ukryte pod srogim spojrzeniem spod ściągniętych brwi. Mimo to była ich wrogiem i była zdecydowana zmienić ich życie w piekło. Wiało taką grozą, że Gabriella ze strachu nie wiedziała, co robić.

– Proszę, pani – błagała dziewczyna. – Rozgrzewacie barbarzyńców i zetną nas obie.

– Milcz. Niech się przekonają, co to znaczy porwać Wenecjanę.

Cecilia darzyła swoich oprawców nieprzejednaną, głęboką i nieubłaganą nienawiścią. Nawet tego przystojnego z czarną brodą.

Ze złości odchodziła od zmysłów.

– Ajdynie! – zawołała pewnego dnia do kapitana. – Módl się, barbarzyńco, żeby w moje ręce nie dostał się sztylet.

– Sztylet? Dlaczego? Co zrobicie ze sztyletem?

– Wyłupię oczy wam wszystkim, jednemu po drugim. Wyrwę wam serca.

Stało się wówczas coś, co wprawiło ją w zdumienie. Mężczyzna wyciągnął

swój sztylet i trzymając za ostrze, podał go jej.

– Proszę. Zaczynicie ode mnie.

Przez chwilę Cecilia z przerażeniem patrzyła na sztylet w ręku korsarza.

Gabriella, gdy zauważyła, że kapitan Ajdyn sięga po nóż, wpadła w panikę. Była przekonana, że ich zabije. Cała drżała ze strachu.

Przez chwilę Cecylii przeszło przez myśl, żeby chwycić sztylet i zatopić go w piersi Czarnobrodego. Jednak zaskoczyła ją jego pewność siebie. Upokorzył ją, pokazując, że nie jest w stanie tego zrobić. Jej gniew stał się jeszcze większy.

– Zabiję cię.

– Wiem.

– Nie wierzysz?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Przysięgam, że to zrobię.

– Wierzę. Zrobicie to.

– Nie boisz się?

Mężczyzna zamiast odpowiedzi obdarzył ją swoim niewiarygodnym uśmiechem.

– Przeklęty, nie szczerz się tak!

Jeszcze raz spojrzała na sztylet wyciągnięty w jej stronę.

– Rozumiem – odezwała się w końcu z przekonaniem. – Jeśli spróbuję wziąć sztylet, zabijesz mnie.

– Nie zrobię tego.

– Dlaczego?

– Mężczyzna nie podniesie ręki na kobietę.

Cecilia z prędkością błyskawicy chwyciła sztylet z ręki kapitana Ajdyna. Równie szybko uniosła ramię. We wpadającym przez okno świetle dnia trzymany przez nią kurczowo sztylet błysnął żółtozielonym blaskiem.

Gabriella wrzasnęła z przerażenia i przymknęła oczy.

Wtedy Cecilia zrozumiała. Nawet jeśli z całej siły zada cios, kapitan Ajdyn nawet nie drgnie. Mruknęła coś, czego sama nie rozumiała. „Chyba powiedziałam «głupi» – pomyślała. – *Głupi, dziki i... przystojny!*”.

Boże! Chyba nie powiedziałam tego wszystkiego? Ze wstydu zapadłaby się pod ziemię.

Palce zaczęły ją boleć od ściskania sztyletu. Ich spojrzenia się spotkały. W oczach Ajdyna nie było nawet cienia strachu. Niemal błagała Boga, żeby chociaż przez chwilę poczuł lęk.

Rozluźniła dłoń. Sztylet upadł na ziemię. Opuściła ramię.

– Odejdź – westchnęła. – Odejdź. Zostaw mnie samą.

Kapitan Ajdyn patrzył na nią jeszcze przez chwilę. Cecilia nie odwróciła wzroku. Co czuł ten mężczyzna? Podobała mu się? Czyżby się w niej zakochał?

„Ha! – zaśmiała się w duchu. – Dzikus zakochany w Baffo!” Czy w jego oczach kryło się pragnienie, czy złość? Czyżby drwił z niej, udowadniając, że nie będzie miała odwagi go zabić?

Nie, w jego oczach nic takiego nie było. Jego spojrzenie było głębokie, ale bez wyrazu. „Oni wszyscy są tacy sami”, powiedziała w duchu. Rudobrody starzec też tak na nią patrzył. Ani w Wenecji, ani w Fondi ludzie tak na siebie nie patrzyli. Z ich oczu można było wyczytać miłość, złość, zazdrość, nienawiść. Wszystko. Szczególnie z oczu mężczyzn. Cecilia wielokrotnie przyłapywała podstarzałych amantów na tym, jak rozbierali ją wzrokiem. Jednak w żaden sposób nie mogła zrozumieć, o czym myślą ci barbarzyńcy. Ich wzrok nie zdradzał żadnych uczuć.

– Odejdź – powtórzyła.

Mężczyzna pochylił się bez słowa. Podniósł z ziemi sztylet, wetknął go za pas i wyszedł.

Cecilia miała mętlik w głowie. A teraz jeszcze ta pieśń. Nie zdawała sobie sprawy, że to jej obecność wzbudzała w marynarzach tęsknotę i pragnienie miłości. Gdy po raz pierwszy usłyszała tę melodię, odwróciła się plecami do Gabrielli i obserwując błękitny blask na ścianie, bezgłośnie zapłakała.

XII

Pałac Alkazar

Hiszpania

Królowa Izabela¹⁷ z szelestem spódnic wstała z fotela z wysokim oparciem.

– Swoim przybyciem sprawiłyście mi wielki zaszczyt, moja słodka. Mężczyźni nie tylko są głupi, ale również zbyt ślepi, żeby to zauważyć.

Julia Colonna pięknym uśmiechem potwierdziła słowa Izabeli, żony Karola, władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego¹⁸.

Strapiona Izabela przechadzała się po sali audiencyjnej o ścianach ozdobionych draperiami z Grenady.

Julia kątem oka śledziła każdy jej ruch.

„Przynajmniej mój mąż jest taki. I głupi, i ślepy – westchnęła w duchu Izabela. – A do tego jeszcze tchórzliwy”. Jej mąż, zamiast wykorzystać atak na pałac tej dziewczki nazywanej świętą, żeby przywrócić koronie Rzymu dawną potęgę i pozbyć się islamu z Europy, był gotów niemal wrzucić ją do lochów za wspieranie uciekinierów przed inkwizycją.

– Już wcześniej słyszałyśmy o nieszczęściu, jakie was spotkało. Jednak to, co powiedziałyście, jest przerażające. Dziesięć tysięcy ludzi, tak, moja śliczna?

Julia spojrzała na nią z niedowierzaniem. Skłamała, żeby wyolbrzymić atak korsarzy, mówiąc Izabeli, że Fondi zostało zaatakowane przez setki barbarzyńców, którzy zabili ponad tysiąc chrześcijan, nie zważając na to, czy to kobiety, dzieci, czy starcy. Ale dziesięć tysięcy to więcej ludzi, niż zamieszkiwało wielki Neapol. Ich spojrzenia się spotkały.

Nagle pojęła. Kobieta wyolbrzymiała tę tragedię. Oczywiście tak było jeszcze lepiej. Z pewnością im większa liczba barbarzyńców, tym większy będzie gniew chrześcijan.

– Ach... tak. Może nawet jeszcze więcej. Natychmiast wyruszyłam do Rzymu, więc dokładna liczba nie jest mi...

Zadowolona królowa podeszła do stolika wykonanego z drewna z Nowego Kontynentu. To było magiczne drewno. Gdy przejechało się po nim dłonią, wokół roztaczał się cudowny zapach. Winem z karafki z ciętego szkła napełniła kielich, do połowy wysokości pokryty złotem, i podała go swojemu gościowi.

– Dziesięć tysięcy chrześcijan – odezwała się zamyślona. – Nawet w Jerozolimie nie przelano tyle chrześcijańskiej krwi.

Właściwie o tym, co wydarzyło się w Fondi, dowiedziała się jeszcze przed sekretnym przybyciem Julii do Sewilli. „Mój mąż jest głupcem”, jeszcze raz przeszło jej przez myśl. Izabela, gdy tylko te wieści doszły do jej uszu, zobaczyła w tym szansę. Cesarz też usłyszał o ataku, ale przypuszczała, że ten głupiec nie zrobi nic oprócz wyrażenia swojego głębokiego żalu. Im dłużej Karol uciekał,

chrześcijaństwo stawało się coraz bardziej stłamszone. Muzułmanie, którzy sto lat temu zostali wyparci z Andaluzji¹⁹, teraz zamierzali wbić swój sztandar w sercu Europy.

Jej mąż, uważany za bardzo pobożnego, może i był głupcem, ale Izabela Portugalska głupia nie była. Miała w sobie sól otwartych mórz. Jej ambicje były bezkresne jak Atlantyck. Tak jak Ferdynand i Izabela Kastylijska wypłenili z Hiszpanii Żydów i muzułmanów, tak teraz Karol V i królowa Portugalii Izabela pozbędą się islamu z Europy. Nawet jeśli mąż był nierozumnym intrygantem, ślepcem i tchórzem. Stała przed cesarzem, żeby usłyszał od niej, jaką okazję stworzył atak na Fondi.

Izabela przypomniała sobie tę noc. Włożyła czarną suknię. Bez słowa zniosła ból, gdy damy dworu rozczesywały jej włosy i zebrały je w piękny kok. Na koniec okryła włosy i nagie ramiona szalem z katalońskiej koronki. Aby jej jasne policzki wydawały się jeszcze bledsze, przyprószyła je szafranowym pudrem. Czerń jej stroju przełamowała tylko czerwień grenadyjskiej róży, którą przypięła do lewej piersi.

Gdy weszła do komnaty męża, pił wino ze złotego pucharu, trochę wylewając na brodę.

– Bądź pozdrowiony, *jedyny władco dwóch cesarstw rzymskich*²⁰!

Karol uniósł rękę, w której trzymał kielich.

– Co mówisz, kobieto?

– Pozdrawiam jedynego władcę dwóch cesarstw rzymskich.

Cesarz, cmokając, przełknął wino.

– Kto to?

„Niech Bóg chroni nas przed tym głupcem”, modliła się Izabela w duchu.

– Oczywiście mój mąż – powiedziała, podchodząc do niego zalotnym krokiem.

Uwagę cesarza przykuła czerwona róża na piersi kobiety odzianej w czerń. Izabela natychmiast to zauważyła. Mąż dawno już stracił zainteresowanie jej ciałem. W takim razie wpatrywał się nie w jej piersi, ale – dokładnie tak, jak chciała – w różę.

Odpięła kwiat wielkości dłoni i włożyła łodygę między zęby.

– Wiecie, dlaczego grenadyjskie róże są takie czerwone, Wasza Wysokość?

Karol, cmokając, upił kolejny łyk wina i wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że wiecie, panie – mówiła dalej. – To dlatego, że zostały podlane krwią niewiernych.

– Jeszcze wcześniej podlano je krwią chrześcijan. Nie zapominajcie o tym, moja królowo.

Jej męża znów ogarnął strach. Szukał pretekstu, żeby uciec. Izabela udała, że tego nie słyszała.

– Teraz nadszedł czas, żeby ponownie je podlać, Wasza Wysokość.

Mężczyzna nagle zaczął być podejrzliwy.

– Skąd nagle takie słowa? Jedyne władca dwóch cesarstw rzymskich, grenadyjskie róże... Co ty wygadujesz?

– Przyszłam przekazać radosną wiadomość, Wasza Wysokość. Bóg podaje nam na złotej tacy koronę dwóch cesarstw.

– Tylko nie mów mi, że znów widziałas we śnie Jezusa. Albo że jakaś święta przekazała ci wiadomość „z tamtej strony”.

Postanowiła zrezygnować z oficjalnego tonu.

– Nie widziałam żadnego snu – powiedziała zdecydowanie. – Korsarze Barbarossy zaatakowali Fondi.

– Spóźniłaś się. – Karol spojrział na żonę drwiąco. – Dowiedziałem się o tym dziesięć dni temu.

Izabela raptownie uniosła głowę. Dziesięć dni? Boże, ten głupiec od dziesięciu dni tak beczynie siedział?

– Sprawilo nam to ogromną przykrość. Ogarnęła nas prawdziwa rozpacz.

– Cierpiący są płodni, mówią starzy ludzie. Jeden cierpiący może wydać na świat tysiąc zwycięstw.

– Co ty wygadujesz, na litość boską?

– Bóg chce, żebyśmy przeszli do działania. – Izabela była pełna pasji. – Rozłóż nasz krzyżowy sztandar, Karolu – powiedziała nagle. – Zjednocz królów. Wezwij wszystkich wiernych. Ten, kto ma miecz, niech chwyci za miecz, ten, kto ma topór – za topór, i niech spieszą na pomoc chrześcijaństwu.

Karol upił kolejny łyk wina, nie odrywając wzroku od żony. Zdawał sobie sprawę, że ogień Izabeli powoli zaczynał rozgrzewać także i jego. Zapomniał otrzeć wierzchem dłoni krople, które popłynęły na jego brodę, jak miał to w zwyczaju. Słuchając słów żony, nawet zaczął sobie wyobrażać siebie idącego na Jerozolimę, na czele armii krzyżowej niczym królowie, którzy wpisali się w poczet świętych.

– Wyprzuj półksiężyc z Europy! – krzyczała Izabela. – Zjednocz obydwa cesarstwa. Wyratuj Konstantynopol z rąk Osmanów. Hagia Sophia od blisko stu lat jest osierocona. Ruszaj i pod kopułą Hagii Sophii nałóż na głowę laurowy wieniec wielkiego Konstantyna²¹. Niech gwiazda Rzymu na nowo zabłyśnie dla ciebie. Niech Sulejman i półksiężyc przestaną istnieć.

„Boże – westchnął Karol – naprawdę jest mi to pisane?”. Czy na murach świętego kościoła ma zostać wypisane jego imię jako Jedynego Władcy Dwóch Cesarstw Rzymskich? Tak bardzo chciał, żeby na jego cześć wyśpiewywano hymny, żeby wspominając jego imię, zapalano świece podczas modlitwy.

Ale nie wystarczyło tylko powiedzieć: „Otwórz krzyżowy sztandar”. W kim miał pokładać nadzieję, że do niego dołączy? Każdy król bił we własny dzwon.

Chrześcijańska Europa stała w ogniu zepsucia, podłożonym przez Marcina Lutra²².

– O jakiej armii i o jakim sztandarze mówisz? Bóg mi świadkiem, że zabiegam o to od lat. I co? Nawet sam papież się sprzeciwił. Zostawił mnie i mojego brata Ferdynanda samych przeciwko Sulejmanowi. Obecny papież Farnese²³ i wszyscy królowie Europy boją się najazdu osmańskiego władcy. Czego ode mnie oczekujesz, Izabelo? Mam zaufać temu stadu zdrajców i rzucić się na pastwę sułtana?

Zamilkł. Z gniewu pierś Karola unosiła się i opadała jak miech kowalski. Wspominanie o wyższości sułtana Sulejmana zawsze doprowadzało go do szaleństwa. Tylko za to skłonny był skazać swoją żonę na śmierć.

– Teraz sytuacja się zmieniła.

– Czyżby? Dlaczego? Co się stało, że się zmieniła? Czy wydarzyło się coś, co miałoby sprawić, że wrogowie staną się przyjaciółmi?

– Fondi zostało zaatakowane.

– I dobrze. To bicz, który zesłał na nas Bóg. – Przez chwilę przyglądał się żonie chytrze. – Ach, przepraszam. Nie powinien był mówić o woli Bożej?

Tym razem królowa się zdziwiła.

– Wola Boża, Wasza Wysokość?

– Tak. Wola Boża. Czy po śmierci Wespazjana jego pałac nie stał się twierdzą *świętej grzesznicy* otwierającej drzwi dla uciekinierów przed inkwizycją? Z tego, co słyszałem, nie ma już żadnego bezbożnika, który nie znalazłby się w łóżu tej kobiety. Dlatego Bóg zniszczył Fondi. Jak Sodomę i Gomore. Tym razem nie zesłał na grzeszników ognia, ale Osmanów.

„Ty głupcze – westchnęła w duchu Izabela. – Sekret zwycięstwa tkwi właśnie w tych dwóch słowach: «święta grzesznica». Jesteś zbyt głupi i ślepy, żeby to zrozumieć”.

A teraz właśnie ta nad wyraz piękna „święta grzesznica” stała przed nią. Pomimo wojennego stroju była naprawdę urodziwa. Nie było króla, którego by nie zdobyła, twierdzy, której by nie podbiła, dzięki swojej urodzie i roli świętej, jaką postanowiła odgrywać. Włącznie z jej mężem.

Żeby wyrwać się z zamyślenia i wymazać z pamięci obraz męża, powtórzyła swoje ostatnie słowa:

– Nawet w Jerozolimie nie przelano tyle chrześcijańskiej krwi.

– Zgadza się, *donno* Izabelo.

Julia celowo nie nazywała jej *królową* ani *cesarzową*. „Portugalska dziwka! – zaklęła w duchu Julia. – Dopóki nie nazwiesz mnie Joanną Aragońską, nie oczekuj, że będę cię wychwalać. Nie nabierzesz mnie na te aktorskie sztuczki, udając dewotkę, która wychwala Pana pod niebiosa. Jesteś równie pobożna jak ja święta. Kto wie, w którym łóżu się budzisz”.

– Tak, moja słodka – odezwała się nagle Izabela. – Opowiadałyście mi o tym

nieszczęściu.

Julia ubarwiła swoją historię, ale niczego nie pominęła.

– ...i Bóg mnie ocalił, *donno* Izabelo. Uciekłam z rąk barbarzyńców całkiem naga.

Naga? W głowie Izabeli zabrzmiały dzwony. O tym nie słyszała. Zamieniła się w słuch. Nawet się nie zastanowiła, z czyjego łóżka wyszła kobieta, żeby uciec. „Święta grzesznica. Naga święta grzesznica – powtarzała przez chwilę. – Zbrukana przez osmańskich korsarzy *naga święta!*”.

Naga święta grzesznica! To były słowa, które podburzą ducha chrześcijaństwa.

– Najświętsza Panienko – westchnęła, wyciągając ręce do Julii. – Wolno nam pokazywać nasze ciała tylko mężczyźnie, z którym łączy nas węzeł małżeński. Nie ma w tym waszej winy, ale...

„Zostałyście zbrukane”, chciała powiedzieć Izabela, jednak Julia ją uprzedziła.

– Zostałam zbrukana, *donno* Izabelo. Splamiono tajemnicę mojego uświęconego ciała.

– Musisz udać się ze mną na dzisiejszą wieczorną liturgię, moja słodka.

Julia Colonna przyjęła to zaproszenie skinieniem głowy. Teraz nadeszła krytyczna chwila tej rozmowy.

– Nie mogę żyć z tym wstydem – odezwała się cicho.

– Macie rację. Ta plama musi zostać zmaszana.

– To ja byłam ich celem. Wyobrażacie to sobie? Zamierzali porwać świętą pannę Kościoła. Mój Boże, na samą myśl odchodzę od zmysłów...

– Stało się coś jeszcze?

– Ach... Tak. Nie słyszałyście? Barbarzyńcy... zamiast mnie... – Pomyślała, że lepiej, jeśli będzie co chwila przerywała, jakby zmuszała się do wypowiedzenia tych słów. – Zamiast mnie... porwali nieszczęsną dziewicę.

– Dziewicę?

– Tak, *donno* Izabelo. Porwali bratanicę doży weneckiego, Cecilię Baffo, kryształowo czystą dziewczynę. Cecilia była niewinną dziewicą nieopuszczającą kościoła.

„Gdyby dziewczyna usłyszała, że tak o niej mówię, pewnie poczułaby wielką dumę”, powiedziała w duchu. Jednak musiała to odpowiednio ująć. Julia Colonna na targowisku zemsty próbowała jednocześnie sprzedać Joannę Aragońską i Cecilię.

Izabela przycisnęła ręce do piersi, jakby chciała stłumić cierpienie i walące jak oszalałe serce, jednak w rzeczywistości prawie podskoczyła z radości. „Boże – pomyślała – jak wielka jest dziś Twoja hojność. Jedna za drugą zsyłasz swojej wiernej córce dobre wiadomości”.

– Mój Boże! To... okropne! Tak przerażające jak wasza sytuacja. Nie wiem, co powiedzieć o takim losie. – Przez chwilę wysilała się, żeby nadać swojej twarzy jeszcze mroczniejszy wyraz. – Ile lat miało to maleństwo, Julio?

Z uporem zwracała się do niej po imieniu. Co to miało oznaczać – brak szacunku czy bliskość? Julia wolałaby to drugie.

– Trzynaście. Możecie w to uwierzyć, Izabelo? Trzynastoletnia chrześcijańska dziewczyna ze szlacheckiego rodu jest teraz w rękach barbarzyńców. Kto wie, co jej robią?

Izabela cierpiąca i zawstydzona pokiwała głową, jakby właśnie wyobraziła sobie, co się dzieje z Cecilią.

– A ty – podjęła – powiedziałaś przed chwilą, że natychmiast pospieszyłaś do Rzymu, prawda?

– Tak. Tak zrobiłam. Opowiedziałam o wszystkim Ojcu Świętemu. O całej zgrozie i nagości.

– Czego od niego chciałaś?

– Zemsty – odparła cicho Julia. – Chciałam, żeby Ojciec Święty powziął zemstę za Joannę Aragońską i wenecką dziewczynę.

Izabela zagotowała się w środku.

– I co odrzekł, moja słodka?

„Nastąpiła chwila śmierci – pomyślała Julia z zadowoleniem. – Zadaj śmiertelny cios”. Bez słowa ściągnęła z lewej dłoni rękawiczkę wykonaną z marokańskiej skóry i wyciągnęła ją do Izabeli, żony Karola, cesarza Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, pragnącego potęgi, armii i floty.

Kobieta natychmiast go zobaczyła.

Święty pierścień!

Królowa o mały włos nie zachłysnęła się na widok wielkiego pierścienia i wyrytych na nim papieskich symboli. Nie wiedziała, czy z powodu ekscytacji, czy z zazdrości. Teraz to i tak nie miało dla niej znaczenia. Ważne było to, że pierścień papieża był na palcu kobiety.

– „Joanno Aragońska – zwrócił się do mnie Ojciec Święty – trzeba zebrać pod krzyżem wojska. W marzeniach widziałem naszych żołnierzy u bram Konstantynopola i Jerozolimy. Na ich czele szedł nasz syn Karol w wieńcu Konstantyna. Ja poruszam się wraz ze słońcem. Wy też, święta panno, wyruszenie ze mną drogą zemsty. Nasze słowo jest słowem Boga. Przekażcie każdemu chrześcijaninowi, że jeśli ktoś, ujrawszy ten pierścień, nie pospieszy pod krzyż, bramy raju będą dla niego zamknięte. Zostanie usunięty z Kościoła”.

„Głupi, głupi, głupi Karol!”. Izabela musiała starać się z całych sił, żeby nie okazać swoich prawdziwych uczuć. Podczas gdy Julia się uśmiechała, w niej szalała burza. Farnese przeszedł już nawet do działania, żeby utworzyć armię krzyżową. Kobieta, którą jej mąż nazwał „świętą grzesznicą”, była teraz symbolem

zemsty całego chrześcijaństwa. Uśmiechnęła się słodko.

– Joanno Aragońska...

„Nareszcie – pomyślała Julia. – Przejdź do konkretów, Wasza Wysokość”.

– Ja też natychmiast przechodzę do działania – powiedziała Izabela. – Nie mam wątpliwości, że przekonam cesarza do objęcia przywództwa w tej wojnie.

– Związek Waszej Wysokości z Jezusem zawsze będzie dla mnie wzorem.

Na twarzy Izabeli pojawił się taki sam szatański uśmiech. „Boże – modliła się w duchu. – Dziękuję Ci za to, że postawiłeś przede mną tę kobietę, która rozświetliła moją drogę”.

Teraz w to wierzyła. Izabela Portugalska wraz z Joanną Aragońską miały obudzić chrześcijaństwo z beztroskiego snu. Miały zebrać pod uniesionym przez siebie krzyżem chrześcijan odwracających się plecami od królów i cesarzy. Bóg powierzył ten obowiązek im obu. Miały dokonać zemsty za nagą świętą grzesznicę i wenecką dziewicę ze szlchetnego rodu, Cecilię Baffo. Miały wziąć odwet za bezimiennych, którzy stracili życie od muzułmańskiego ostrza w Konstantynopolu, Mohaczu, Kosowie, Rodos i Belgradzie.

– W takim razie, moja święta – odezwała się królowa Izabela, posyłając jej znaczące spojrzenie – napnijmy łuk Kościoła i wystrzelmy boską strzałę!

XIII

Czerwona Galera Hajraddina Paszy

Oboje trwali w swoim uporze. Cecilia nieustrudzenie rzucała posłańcom w twarz stroje, które przesyłał jej Rudobrody.

– Córa Baffo prędzej umrze, niż włoży barbarzyńskie ubrania – ucięła.

Hajraddin Pasza zaś nie zniósł zakazu wychodzenia na pokład.

Cecilia wiedziała, że popełniła błąd. Co by się stało, gdyby je włożyła? Nawet jeśli nie były ładne, to przynajmniej czyste. Widać było, że są wygodne. Stroje zasłaniały biust. W końcu zrozumiała, że mężczyzna chciał uchronić ją przed głodnymi spojrzeniami i atakiem, ale nie mogła już się wycofać. Nie mogła dopuścić do tego, żeby Rudobrody złamał jej upór.

– Ty to włoż – powiedziała do Gabrielli.

– Wykluczone.

– Pozwalam ci. Włóż to i wyjdź. Odetchnij świeżym powietrzem.

Dziewczyna niby od niechcenia włożyła strój i roześmiała się, kiedy się zobaczyła. Cecilia nie mogła się powstrzymać. Śmiała się w nieskończoność, jakby stanął przed nią błazen. Przede wszystkim koszula była tak długa, że nie widać było spod niej nawet krótkich spodni. Wyglądało to tak, jakby nic pod nią nie miała, i gdyby ktoś faktycznie uniósł połę jej koszuli, wszystko by zobaczył. Kamizelka zaś była na nią za mała.

Następnego dnia Gabriella dostała zgodę na wyjście na pokład.

Cecilia czekała na nią niecierpliwie, a nawet była trochę zazdrosna. Ale gdy drzwi otworzyły się ze skrzyknięciem, o nic nie zapytała, zupełnie jakby to nie ona z ciekawości odchodziła od zmysłów.

Gabriella od wielu dni nie wychodziła z kajuty. Wystarczyło pół godziny, żeby jej policzki mocno się zaróżowiły. Podbiegła i ujęła dłoń Cecylii.

– Moja piękna pani, ty też to włoż. Przez wzgląd na mnie.

Cecilia pogłaskała po włosach dziewczynę, która klęczała przed nią i wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Nie.

– Przecież to nie wyrok śmierci.

– Ale porażka. Przegrana jest czasem gorsza od śmierci, Gabriello.

Sama się zdziwiła tym, co powiedziała. Słyszała takie słowa padające z ust doświadczonych mężczyzn podczas przyjęć w Fondi. „Przegrana jest czasem gorsza od śmierci”. Pożałowała, że nie ma przy sobie pamiętnika, bo wtedy mogłaby natychmiast je zanotować. Tymczasem obiecała sobie, że zachowa je w pamięci. „Przegrana jest czasem gorsza od śmierci, a ja nie mam zamiaru przegrywać”.

Gabriella też nie zamierzała nic odpowiadać. Wzdychała tylko, nie mówiąc

ani słowa.

W końcu Cecilia spytała:

– Jak było na zewnątrz? Jest chociaż ładna pogoda?

Na to dziewczyna rozpromieniła się jak słońce.

– Jeszcze jak. Pogoda jest piękna, pani – zaszczebotała. – Błękitne morze, przejrzyste powietrze. Słońce...

Cecilia wyobraziła sobie ten widok.

– Było chłodno?

– Nie, gorąco. Ale wieje wiatr.

– Tak, widać.

Dziewczyna się zdziwiła. Cecilia, widząc zaskoczenie służącej, uśmiechnęła się.

– Twoje włosy – wyjaśniła – potargały się od wiatru.

Gabriella w panice uniosła ręce do głowy i starała się poprawić fryzurę.

– Wiecie? – odezwała się podekscytowana. – Widziałam ryby, które się z nami ścigały.

– Ryby? Nie wierzę. Jak to?

– Dosłownie pędziły przy galerze. Co chwila wyskakiwały z wody i zanurzały się z powrotem. Patrząc z góry, widziałam je nawet w wodzie. Jest ich bardzo dużo.

– To delfiny?

Cecilia także i to sobie wyobraziła. Delfiny mknące przez niebieskie wody.

– Yhy. Musicie to zobaczyć. Są takie piękne, takie cudowne. Mają wielkie nosy. – Przyłożyła ręce do nosa, żeby to zademonstrować. – Patrzą tak, jakby się uśmiechały.

– Gabriello, widzę, że prawie zaprzyjaźniłaś się z delfinami.

– Zaprzyjaźniłam się. Z jednym spotkaliśmy się wzrokiem. Pruł fale i jednocześnie spoglądał na mnie.

– Jak się domyśliłaś, że na ciebie patrzy?

– Z jego oczu... Przeszłam się kawałek, żeby to sprawdzić, a on śledził mnie wzrokiem. Przysięgam.

– To z pewnością delfin samiec. Gdy zobaczył piękną dziewczynę...

Gabriella z zawstydzeniem pochyliła głowę.

– Biedny delfinek. Oczywiście nie widział, że jestem ubrana jak błazen. Gdyby to zobaczył, natychmiast by uciekł, prawda?

Spojrzała na Cecilę z powagą. Jej pani zrobiła to samo. Później ich wzrok złagodniał, usta się rozciągnęły, aż w końcu wybuchły śmiechem. Śmiały się do rozpuku. Jednak chwila szczęścia szybko się skończyła. Ich uśmiechy powoli zbladły. A potem nastąpiła długa, gęsta cisza.

Cecilia była niespokojna. Nie mogła się zdobyć na zadanie tego pytania.

– Widać było ląd?

– Ach... Tak! – Dziewczyna klasnęła w dłonie. – Ale jest daleko. Wciąż wygląda jak cienka linia.

„Głupia”, zezłościła się. Gabriella nie rozumiała, że dotarcie na ląd oznaczało koniec wszystkiego.

Cecilia, będąc na morzu, czuła bliskość swojego domu i kraju. Nieważne, po której stronie morza była, po drugiej leżała Wenecja. Gdyby wypuścili ją na pokład, mogła wieczorem spojrzeć w gwiazdy i krzyknąć: „Jest! Tam, gdzie wskazuje rąbek księżycy”. Jednak, gdy postawi stopę na lądzie, więź łącząca ją z Wenecją zostanie zerwana. Na drodze staną jej niezdobyte szczyty, nieprzebyte rzeki. Zgubi drogę do Wenecji i nigdy więcej jej nie znajdzie. Morze było przeszłością, a ląd napawającą strachem, nieznaną przyszłością.

– Spuścili wszystkie żagle?

– Tak. Żagle są tak nadęte, że galera niemal ślizga się na boku. Gdybyście zobaczyły, jak dziób przecina fale. Mknjemy, jakbyśmy unosili się nad pianami.

Nie było potrzeby pytać, czy galernicy siedzą przy wiosłach. Słyszały dźwięk, jaki wydają ich pióra, uderzając o fale.

– A... widziałaś go?

W tej samej chwili pożałowała tego pytania, ale było za późno. Dziewczyna spojrzała na nią z uwagą.

– Kogo, pani?

– No wiesz, jego... Rudobrodego.

– Nie, nie widziałam. Nie wiem, czy to dlatego, że wyprowadzili mnie na pokład, ale na górze prawie nikogo nie było. Przemknęło mi przed oczami trzech czy czterech marynarzy, a i tak większość z nich była na maszcie.

– A nie było tego, no?

– Kogo?

Co za pytanie?

– Tego barbarzyńcy, który nas tu umieścił. Jak mu było na imię?

– Aj-dyn Rej-is.

– Tak, właśnie. Jego. Nie widziałaś go?

Dziewczyna uniosła brwi.

– Nie widziałam.

Odwróciła wzrok, żeby jej kłamstwo nie wyszło na jaw. Próbowwała zmienić temat.

Cecilia poczuła, że w środku zaczyna doskwierać jej coś, czego nie potrafiła opisać. Próbowwała zrozumieć, co się dzieje, ale na próżno. Był to jakiś dziwny ból.

Od tej pory Gabriella każdego dnia wychodziła na pokład. Początkowo pozwolono jej spędzać tam około pół godziny, ale stopniowo ten czas się wydłużał. Gdy wracała, opowiadała Cecilii tylko o morzu i tym, jak żagle wypełniają się

wiatrem i statek mknie, przecinając fale. Delfiny zniknęły. To oczywiste, że musiały się zmęczyć. Tak się dzieje, gdy próbuje się prześcignąć wiatr. Nikomu jeszcze się to nie udało.

Korsarze nie namawiali jej, jak dawniej, żeby włożyła przyniesione przez nich ubrania, i nikogo nie widywała. Ani Barbarossy, ani Czarnobrodego.

Cecilia była zaniepokojona. Działy się rzeczy, których nie potrafiła zrozumieć. Słyszała, że starzec wychodzi na pokład. Rozpoznawała go po odgłosie kroków. Były ciężkie i pewne. Skoro Rudobrody wychodził na pokład, musiał też być tam gdzieś Czarnobrody. Czyżby chowali się, gdy pojawiała się Gabriella? To było dziwne. Bardzo dziwne.

Pewnej nocy zdała sobie sprawę, że odwrócona do niej plecami Gabriella nie śpi. Tego dnia, po powrocie z pokładu, prawie nic nie mówiła. Była spięta. Unikwała jej wzroku, jakby coś ukrywała i bała się, że to się wyda. A teraz sprawiała wrażenie, jakby czekała, aż głęboko zaśnie. Cecilia wciąż leżała bez ruchu. Wpatrywała się w światło morza, które odbijało się na ścianie.

Tej nocy na pewno coś się wydarzy.

Upłynęło jeszcze trochę czasu i dziewczyna powoli się podniosła. Cecilia natychmiast to poczuła. Zaraz się dowie, co się dzieje. Mocno zacisnęła powieki i nadstawiła uszu. Była czujna. Czekala.

Gabriella przez chwilę stała bez ruchu i wsłuchiwała się w ciszę. Cecilia oddychała głęboko, jakby spała. Kiedy służąca upewniła się, że śpi, ruszyła na palcach w kierunku drzwi.

Gdyby krzyknęła „Gabriello!”, dziewczyna pewnie by się przestraszyła i natychmiast zrezygnowała. Zamknęłaby buzię na kłódkę i zachowałaby wszystko w tajemnicy, a ona nigdy by nie zrozumiała, dlaczego wróciła.

Dziewczyna powoli uchylila drzwi. Mimo jej starań zardzewiałe zawiasy skrzypnęły. Na chwilę znieruchomiała i wstrzymała oddech. Czekala, żeby się przekonać, czy zgrzytnięcie nie obudziło Cecylii. Cokolwiek zamierzała zrobić, miało to pozostać tajemnicą. Jej pani nie mogła tego usłyszeć i zobaczyć.

Gabriella w końcu znów się poruszyła. Wyjrzała na zewnątrz przez szparę i wyszła. Zawiasy znowu skrzypnęły, zupełnie jakby chciały podnieść na nogi całą załogę. Cecilia, wciąż leżąc, uniosła głowę i nasłuchiwała. Miała wrażenie, że słyszy szepty dochodzące zza drzwi. Były to bezgłośnie śmiechy kobiety i mężczyzny. Następnie rozległ się dźwięk oddalających się kroków.

Podniosła się. Podeszła do łóżka służącej i podniosła kołdrę. Zobaczyła to, czego się spodziewała. Piracki strój Gabrielli. Dziewczyna wymknęła się w stroju służącej z pałacu Fondi, uwydatniającym biust, wąskim w talii i z szeroką spódnicą.

A pod drzwiami czekał na nią jakiś barbarzyńca. Który z nich? „No proszę. Znow jesteśmy na niebezpiecznych wodach”, pomyślała.

Ona nie zapytała, a Gabriella o niczym nie opowiedziała. Wróciła tak samo cicho, jak wyszła, i położyła się przekonana, że jej pani śpi.

Cecilia natomiast postanowiła zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Niestety, dręczący ją niepokój narastał. A wraz z nim wzrastał się jej gniew. Znalazła inną wymówkę, żeby codziennie wywoływać awantury.

Po tamtej nocy Gabriella więcej się nie wymykała. Dlatego też jej pani nie mogła się dowiedzieć, kim był ten barbarzyńca. Zastanawiała się, co by było, gdyby tamtej nocy, gdy dziewczyna wymknęła się przekonana, że nie została przyłapana, wyskoczyła za nią, otworzyła drzwi i złapała ją i tego barbarzyńcę na gorącym uczynku.

Ta dziwna tajemnica nie dawała Cecilii spokoju i nieustannie podsyciała jej gniew. Jednak wybuchy złości nie przynosiły nic oprócz chwilowej ulgi. Tak mijały dni i noce, a w życiu Cecilii nic się nie zmieniło. Aż do chwili, gdy któregoś dnia ktoś zapukał do drzwi.

– Co się dzieje? – odezwała się, wstając z posłania.

Gabriella natychmiast zerwała się z miejsca.

Ponownie rozległo się nieśmiałe pukanie.

– *Signorino?*

Od razu rozpoznała głos przystojnego marynarza z czarną brodą, którego nie widziała od wielu tygodni. Aj-dyn Rej-is! Ukradkiem zerknęła na służącą. Ona też rozpoznała ten głos.

Mimo iż Cecilia od wielu dni w tajemnicy, nawet przed sobą, wyczekiwała spotkania z Czarnobrodym, nie dała tego po sobie poznać.

– Co jest? Czego chcesz?

Gabriella spojrzała na nią błagalnie, jakby chciała powiedzieć: „Proszę, nie poniżajcie go”. Wewnętrzny ból, który czuła Cecilia, coraz bardziej dawał o sobie znać.

– Czy mogę otworzyć drzwi?

– Nie.

Od jak dawna go nie widziała? Chyba minął ponad miesiąc. A teraz dzieliły ich tylko drewniane drzwi. Mężczyzna prosił o pozwolenie, żeby je otworzyć, a ona się nie zgadzała.

„Głupia Wenecjanka!”, zrugwała się w duchu.

– Przyniosłem wiadomość od ojca kapitana.

Ucieszyło ją to. Nie obchodziła jej wiadomość od Rudobrodego, ale uradowała się, że nadarzyła się okazja, żeby wycofać się z tego, co powiedziała.

– W takim razie wejdz.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich majestatyczna sylwetka kapitana Ajdyna. Dopiero wtedy Cecilia uzmysłowiła sobie, jak bardzo za nim tęskniła. Ta myśl nią wstrząsnęła. Stęskniła się za barbarzyńcą? Dlaczego?

Nagle przeżyła jeszcze większy szok. Czarnobrody przywitał się z nią obojętnie, Gabrielli zaś przesłał ukradkowy uśmiech. Cecilia złapała dziewczynę na tym, że odwzajemniła mu się takim samym dyskretnym, ale pełnym uwielbienia uśmiechem.

W końcu poznała prawdę. Tamtej nocy tym tajemniczym barbarzyńcą był Ajdyn.

Aj-dyn i Gabriella! Niech to szlag!

A więc to był powód tego dręczącego ją nieokreślonego bólu. Czarnobrody przystojny pirat interesował się nie nią, ale służącą. Uwielbiał ją. To były miłosne spojrzenia. A jego uczucie było odwzajemnione. Gabriella wyglądała tak, jakby tylko strach powstrzymywał ją przed tym, żeby podbiec i rzucić się mężczyźnie na szyję.

Z pewnością to zrobiła. Może tamtej nocy obejmowała się z Ajdynem, a przystojny korsarz całował się ze służącą, podczas gdy jej pani marzyła o nim, tęskniła, żywiąc uczucia, które bała się nazwać.

W jej wnętrzu zapłonął ogień. Po raz pierwszy została odrzucona. Nie знаła wcześniej tego uczucia i nie zamierzała się do niego przyzwyczajać.

– Więc czego chce Barbarossa?

Czarnobrody z trudem oderwał wzrok od Gabrielli i odwrócił się do niej. Jak bolesna była myśl, że tego, który ją zauroczył, zachwyciła inna. Została pokonana, i to przez służącą. Naprawdę przegrana jest czasem gorsza od śmierci.

Twarz kapitana Ajdyna rozświetlił uśmiech. Cecilia nie chciała go więcej widzieć. Próbowała obrócić głowę w inną stronę.

– Ojciec kapitan was oczekuje.

Jej zdziwienie było zbyt duże, żeby mogła je ukryć.

– Naprawdę? Gdzie?

Jej głos ciął niczym bicz. O tym, że obiektem jej złości nie był Hajraddin Pasza, wiedziały tylko ona i Gabriella. Cecilia Baffo biczowała Ajdyna.

– Na pokładzie.

– Od dwóch miesięcy codziennie powtarzam temu przekłętemu barbarzyńcy, że nie włożę ubrań, które każe mi przynosić. Czyżby wciąż tego nie zrozumiał?

Ajdyn Reis uśmiechnął się ze spokojem.

– Nie, *signorino* Baffo. Nie musicie tego robić. Hajraddin Pasza powiedział, że możecie przyjść tak, jak jesteście.

– Czyżby? A to dlaczego? Kazał obiecać korsarzom, że mnie nie zaatakują? A może wszystkich zakuł w łańcuchy i wrzucił do ładowni?

– Ojciec kapitan chce wam coś pokazać, *signorino*.

Co miał jej pokazać Rudobrody?

Ale nie mogła przegapić tej okazji. „Wyjdź, zobacz słońce, poczuj zapach powietrza. Pozwól, żeby wiatr zaplątał ci się we włosy. Biegnij...”.

– W takim razie chodźmy. Zobaczymy, co ma do pokazania.

Ruszyła tak zdecydowanym krokiem, że marynarz musiał odskoczyć, żeby uniknąć zderzenia. Jednak gdy tylko go minęła, obrócił się z prędkością błyskawicy i okrył jej ramiona białym szalem, który do tej pory chował za plecami.

Cecilia się zatrzymała. Pod wpływem jedwabistego dotyku tkaniny na jej nagich ramionach przeszył ją przyjemny dreszcz. Zapomniała już, jaki miękki jest jedwab. Poglaskała szal. Musiał być bardzo drogi. Oczywiście mogli go ukraść z jednego z napadniętych przez nich weneckich statków, ale nie przeszkadzało jej to, bo uwielbiała dotyk jedwabiu. Przypominał jej o tym, że jest Wenecjanką i jest Baffo.

– Co robicie? Co to ma znaczyć?

Wtedy zrozumiała. Rudobrody w końcu pogodził się z tym, że cokolwiek zrobi, Cecilia nie włoży ubrań, z którymi wysyłał swoich marynarzy. Jednak nie chciał też, żeby półnaga wyszła na pokład, gdzie znajdowali się jego ludzie. Dlatego przesłał jej jedwabny szal.

– Na zewnątrz jest nieco chłodno – rzucił pospiesznie Ajdyn Reis. – Ojciec kapitan nie chce, żebyście zmarzły.

Wszyscy troje wiedzieli, że to nieprawda.

Mimo to Cecilia chwyciła oba końce szala i naciągnęła je na ramiona.

– Skoro na górze jest chłodno, powinnam się okryć.

Przytrzymując szal za jeden koniec, drugi przerzuciła przez ramię do tyłu. Odwróciła się, wyprostowała i ruszyła w stronę drzwi. W jej głowie rozbrzmiewały okrzyki zwycięstwa: „Nie przegrałam! Nie przegrałam! Wygrałam. Pokonałam Rudobrodego!”.

XIV

Stambuł

Nowy Pałac, harem

Gdy sułtanka Mihrimah weszła do komnaty matki, zastała ją krążącą po pomieszczeniu. Merzuka przysiadła na krawędzi sofy i obserwowała ją, czekając, aż się uspokoi.

– Wejdźcie, ukochana córko – odezwała się Hürrem, gdy tylko ujrzała córkę w progu, i ruszyła w jej stronę. – Wejdźcie, dowiedzcie się, co wasz starszy brat Mehmed zrobił bez naszej wiedzy.

Mihrimah nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy smucić, że wiadomość nie jest związana z jej małżeństwem z Rüstemem. Żeby pozbyć się mężczyzny, dziewczyna rozpuściła plotkę, że jest trędowaty. Hürrem zaś, żeby dowieść, że to oszczerstwo, poleciła medykom znaleźć u niego wszy. Kiedy je znaleźli, wyszło na jaw, że mężczyzna, którego wybrała na męża dla swojej córki, nie cierpi na trąd. Szkoda, że matka nie powiedziała: „Wejdźcie, ukochana córko. Razem oplakujmy Rüstema Paszę. Kandydat na waszego męża umarł. Wszy wykończyły mężczyznę, którego miałyście poślubić”. Wtedy nikt nie byłby w stanie powstrzymać Mihrimah. Ze szczęścia dostałaby skrzydeł i zatańczyłaby z radości.

– Matko – mruknęła oficjalnym tonem.

Zerknęła na Merzukę, jakby chciała zapytać, co się stało. Pierwsza dama dworu dyskretnym ruchem rąk pokazała, że też tego nie wie.

– Podczas gdy my byliśmy przekonane, że nasz syn, księżę Mehmed, dorasta pod opieką najlepszych wychowawców i hodźów, zdobywa wiedzę, osiąga mistrzostwo w fechtunku, jeździe konnej i strzelectwie, on zabawia się z huryskami w Meram Bağları²⁴.

Mihrimah nie mogła w to uwierzyć. Cherlawy Mehmed w wielkim turbanie? Przypomniała sobie dni, kiedy jej starszy brat biegał po ogrodzie Nowego Pałacu w turbanie, nigdy go nie zdejmując, chociaż był dla niego za duży. Mehmed biegał, a wielki turban kołysał się na boki. Służące i służący krzyczeli za nim: „Księżę! Księżę! Przewrócisz się!”.

Jednak za każdym razem z jego głowy spadał turban. Chłopiec nawet raz nie zapłakał. Ruszał w pościg za turlającym się turbanem i czym prędzej wkładał go z powrotem. Znów jego oczy i brwi znikwały pod wielkim zwojem.

Hürrem, widząc wyraz malujący się na twarzy dziewczyny, rozgniewała się przekonana, że pochwała jego rozpustę.

– Nie śmiecie się, córko. Nie ma w tym nic śmiesznego.

– Ależ, matko – odparła Mihrimah. Bezskutecznie próbowała nadać swojemu głosowi przekonujący ton. – Mehmed to już prawie szesnastoletni młody mężczyzna. Selim już teraz zajął się tymi sprawami. Słyszałyśmy, że porzucił

odaliski i nawet służące muszą się bronić przed rękami Selima.

– To jeszcze dziecko, Mihrimah.

– Dziecko pijące wino – mruknęła pod nosem Merzuka.

Hürrem odwróciła się do Merzuki, jakby przez chwilę to na niej zamierzała wyładować swój gniew. Jednak kobieta miała rację. Nie skończył jeszcze trzynastu lat, a już zaczął po kryjomu urządzić libacje.

– Tak – przyznała ze smutkiem Hürrem. – Ale i tak jest jeszcze dzieckiem. Poza tym Mehmed jest starszym księciem. To on, po synu Gülbahar, stoi w kolejce do tronu.

– Oczywiście, jeśli przyjdzie kolej po Mustafie – odezwała się tym razem Merzuka.

Mihrimah zadrżała ze strachu. Były to słowa, których pod żadnym pozorem nie należało wypowiadać przy matce. Jednak Merzuka zawsze mówiła to, co myślała.

Już samo napomknięcie o możliwości, że na tronie zasiądzie nie jej syn, ale książę Mustafa, syn sultana Sulejmana i jego wcześniejszej faworyty Gülbahar, wystarczyło, żeby doprowadzić Hürrem do szału. Najlepiej wiedziały o tym Merzuka i Mihrimah. Hürrem poprzysięgła sobie, że odmieni ten los. Zburzy kolejność, a następstwo tronu przejdzie z Mustafy na jej syna Mehmeda. Nie wiedziała, jak to zrobi, ale na pewno tak się stanie. *Będzie tak, jak mówi Hürrem, a nie jak dyktuje przeznaczenie.* W przeciwnym razie Mustafa nie pozostawi przy życiu żadnego z nich – ani Hürrem, ani jej synów, ani stojącej przed nią ukochanej córki.

Z wściekłością odwróciła się do Merzuki.

– Przyjdzie – syknęła. – Książę Mehmed najpierw zostanie spadkobiercą tronu, a później przytwierdzi do pasa szablę ojca i zasiądzie na tronie. Na tronie Imperium Osmańskiego zasiądzie zrodzony z Hürrem syn Sulejmana, Mehmed Chan.

Wyszeptała te słowa, ale dla Mihrimah i Merzuki wydały się płomiennym krzykiem.

– *Inszallah*²⁵ – wyszeptała Merzuka.

Mihrimah, która nie wiedziała, co powiedzieć, ilekroć rozpoczął się ten temat, skinęła jedynie głową. Nie potrafiła określić dlaczego, ale z jakiegoś powodu żądza władzy matki przerażała ją. Kilka razy nawet posprzeczały się o to.

– Nie bądźcie głupie, córko – zagrzmiała Hürrem. – Sądzisz, że syn Gülbahar pozostawi cię przy życiu, gdy wstąpi na tron? Twoi bracia ocaleją? Osmanowie nazywają to „porządkiem świata”. Dla dobra państwa dozwolone jest poświęcenie życia matki, ojca, braci i sióstr. Bękart Gülbahar wszystkich nas zabije. Albo my przeżyjemy, albo oni, a żebyśmy mogli przeżyć, potrzebujemy państwa. Jeśli państwo dostanie się w ich ręce, nam przypadnie całun.

Mihrimah dawno już pojęła, że na końcu tej drogi czyha śmierć, a ona także nie chciała być po stronie umarłych. Ani ona, ani jej matka czy bracia – nawet żółty Selim – nie mogą umrzeć. Czowała w duchu, że żeby przeżyć, musi wspierać matkę i pomagać jej, cokolwiek chodzi jej po głowie. W dniu, gdy w ogrodzie Nowego Pałacu oddała serce okrętom mknącym ponad niebieskimi falami, Mihrimah wybrała życie. Szczególnie wtedy, gdy weszła na pokład wielkiej galery kapudana paszy i słuchając pieśni, którą śpiewali dla niej *levenci*, pozwoliła, aby wiatr plątał jej włosy. Teraz czekała na wieści o zwycięstwie od swojej floty frunącej ponad morzami.

Poza tym Mihrimah miała też inne marzenia. Chciała doczekać dnia, kiedy galery, które za zgodą ojca poleciła wybudować, rozwiną żagle i ruszą z Morza Białego wprost na Nowy Kontynent. Pragnęła także zawiesić na niebie kopułę Mihrimah, podobną do ogromnej kopuły Hagii Sophii, o której tak często myślała. Mimo tego utrapienia, Rüstema, i bólu spowodowanego odrzuceniem przez Ismaila z Alaiye w jej sercu były pąki szczęścia, czekające, żeby rozkwitnąć. Nawet jeden z nich był wystarczającym powodem, żeby żyć. W takim razie *jej i jej braciom należał się tron, a Gülbahar i jej synowi Mustafie – calun.*

– Mehmed powinien siedzieć jak chan. – Słowa Hürrem wyrwały ją z zamyślenia. – Powinien dorastać jak chan. Powinien władać szablą, strzelać z łuku i jeździć konno jak chan. Powinien być odważny, sprawiedliwy, litościwy i okrutny jak chan. Jeśli kocha, powinien kochać, nie zapominając, że pisany jest mu tron padyszacha. Powinien kochać i pragnąć go bardziej niż kobiety.

Gdyby Mihrimah jej pozwoliła, matka wyjaśniłaby, jak jej syn krok po kroku powinien podążać drogą do tronu.

– Więc co słyhać u naszego brata, matko? – weszła jej w słowo. – Nasz brat Mehmed zakochał się w jakiejś piękności w Merem Bağları?

– I do tego w Czerkiesce – zachnęła się Hürrem. – Jak szybko nasz syn zapomniał, ile nieszczęścia jego matka doznała z rąk Czerkieski. Czy wie, że gdy jej bękart wstąpi na tron, ta zmija będzie pragnęła, żebyśmy wszyscy zostali zabici? Zamierza wcisnąć Czerkieskę w nasze ramiona? Bóg jeden wie, może dziewczyna jest szpiegiem Gülbahar.

Ruszyła gniewnym krokiem i zatrzymała się przed okratowanym oknem. Merzuka zauważyła, że jej pani prawą nogą wystukuje wściekły rytm. Oczami wskazała Mihrimah nogę jej matki. Ilekroć Hürrem wpadała w złość, rytmicznie uderzała prawą stopą o podłogę. Był to znak, że ma ochotę z szybkością strzały rzucić się na kogoś i rozszarpać go pazurami. Ani Mihrimah, ani Merzuka nie mogły zagwarantować, że nie zrobiłaby tego, gdyby w tej chwili stanął przed nią książę Mehmed.

– Wysłał do nas list. Dołączył do niego wiersze, które napisał dla tej Czerkieski. Jakiś słowik w różanym ogrodzie usiadł na gałęzi, strzała miłości

przeszyła jego pierś i tak z rąk ukochanej spotkała go śmierć!

Odwróciła się z wściekłością.

– Słyszaliście, córko? Widzicie, co pochłania waszego brata, podczas gdy my walczymy, żeby lada dzień został padyszachem? Zamiast skupiać się na knowaniach Mustafy i jego matki, nasz syn stał się niewolnikiem czarnych oczu. I jeszcze bezwstydnie o tym napisał. Nam! Swojej matce.

– To dobrze – powiedziała Mihrimah z ociąganiem. – Niczego nie ukrywa. Czyż nie wy mówiłyście, że nie wiadomo, kiedy i z którego kierunku wystrzeli strzała miłości? Mojego brata Mehmeda trafiła w Merem Bağları.

– Nie smuć się. Nie smuć się – odezwała się Merzuka, próbując złagodzić sytuację. – Ogień młodości szybko gaśnie. Widzi innego i zapomina o wcześniejszym.

– Nie zapomina – szepnęła Hürrem. – Nie zapomni. Napisał, że nie zapomni. Chce, abym przekonała jego ojca, żeby zgodził się na ślub z tą Czerkieską.

– Co?! – krzyknęły jednocześnie.

– Na ślub? – zapytała Mihrimah z przejęciem.

– To niemożliwe – ucięła Merzuka.

Hürrem była zadowolona, że jej córka i powierniczka także były przeciwne temu nedorzecznemu pomysłowi.

– Oczywiście, że niemożliwe – powiedziała. – Dziewczyna nie ma nikogo. Nie wiadomo nawet, z jakiej rodziny pochodzi. Tylko tyle, że jest Czerkieską, wyzwoloną niewolnicą. Ja dalej będę wypatrywać dla mojego syna, przyszłego padyszacha, dobrze urodzonej dziewczyny, która mogłaby zasiąść u jego boku, a on niech idzie i ułoży pożegnalny wers dla tej nędznej, pospolitej dziewczuchy.

Zamilkła na chwilę, gdy napotkała spojrzenie Merzuki.

– Nie patrz tak – rzuciła. – Ja też o mały włos nie trafiłam na targ niewolników, ale mój ród był znany. Jestem Aleksandra Anastazja Lisowska, córka popa Nikoli. Każdy to wie.

„A więc nie jestem sama”, pomyślała w pierwszej chwili Mihrimah. Matka chce ożenić Mehmeda.

– Znalazłyście kogoś, matko? – zapytała Mihrimah, kryjąc ironię pod słodkim spojrzeniem. – Oby tylko dziewczyna, którą znajdziecie dla mojego brata, nie była kulawa i zawszawiona jak mąż, którego dla mnie wybrałyście.

Hürrem puściła to mimo uszu.

– Ta dziewczyna – odetchnęła – natychmiast opuści Konyę. Pewnej nocy nagle stamtąd zniknie. To wszystko. A nasz syn niech do woli składa po niej wiersze. Mehmed poślubi nie tę, którą sam znajdzie, ale tę, którą ja mu wybiorę. Przedłuży mój ród z dziewczyną, którą ja wskażę. Po Mehmedzie na tronie osmańskim zasiądzie jeden z moich wnuków, które urodzi dziewczyna wyznaczona przeze mnie. Ród Aleksandry przedłuży ta dziewczyna.

Gdyby nie zamieszanie na zewnątrz, ta rozmowa z pewnością trwałaby dalej. Jednak nagle drzwi raptownie się otworzyły, a w progu ukazała się jedna z dam dworu Hürrem.

– Dobre wieści, pani! – zawołała dziewczyna. – Nasz pan wraca zwycięski.

Hürrem zerwała się z miejsca.

– Dzięki Bogu!

– Zwycięstwo! Zwycięstwo! – wykrzyknęła po niej dziewczyna w drzwiach.

– Co się stało? – Mihrimah radośnie pospieszyła do drzwi.

Dama dworu pozdrowiła córkę padyszacha, padając na kolana i kłaniając się głęboko.

– Flota Mihrimah – zaszczebiotała. – Rozgromiła wroga na morzu. Giaurzy nawet nie mieli odwagi stanąć przed waszymi galerami. Armia osmańska pod wodzą naszego sułtana przemierzyła wybrzeża Adriatyku, odnosząc zwycięstwo za zwycięstwem. Niejakie Korfu błagało o litość. Nasz pan zaś, uznając, że dość już wyzwań, dał rozkaz do powrotu. Nasz padyszach przybył już nawet do Edirne. Wieści o zwycięstwie dotarły do pałacu przez posłańców, których wysłał przodem.

Z tego natłoku słów w pamięci Mihrimah zostało tylko jedno zdanie: „*Flota Mihrimah rozgromiła wroga na morzu*”.

– A flota? – rzuciła. – Co robi flota Mihrimah?

– Wracają – obwieściła dziewczyna. – Hajraddin Pasza otworzył żagle. Flota Mihrimah wraca z łupami, jeńcami i ze zwycięskimi pieśniami na ustach.

Gdyby Mihrimah się nie powstrzymała, objęłaby damę dworu. Zamiast tego z radością podbiegła do Hürrem.

– Zostawmy to teraz, matko – powiedziała i rzuciła się matce na szyję. – Flota Mihrimah wraca z wojennej wyprawy. Nie czas teraz na smutek i żal, ale na radość i dumę.

XV

Cieśnina Dardanele

Czerwona Galera

Gdy Cecilia wyszła na pokład, wiatr uderzający w twarz sprawił, że zakręciło jej się w głowie. Idąca za nią Gabriella natychmiast podtrzymała ją za łokieć, próbując pomóc. „Przejrzałam cię”, pomyślała, ale gdy odwróciła się do dziewczyny, uśmiechnęła się. Była zaskoczona, że jeszcze przed chwilą miała ochotę rozszarpać ją na kawałki. Czyżby wiatr rozproszył gniewne chmury? „Nieważne – powiedziała do siebie – tą kwestią zajmiemy się później. Teraz są istotniejsze sprawy”.

Najpierw zauważyła ptaki. Oznaczało to, że ląd był niedaleko. Gdy odwróciła głowę w stronę prawej burty, dostrzegła wybrzeże. Jak blisko znajdowały się zielone wzgórza. Po lewej stronie też był ląd. Nawet jeszcze bliżej. Mogła dostrzec rybaków na wybrzeżu. Przepływali między położonymi niedaleko siebie dwiema częściami lądu, między zielonymi wzgórzami i równinami. Był to wielki kanał. Przypomniała sobie kanały Wenecji. Jej serce ścisnął ból. Przez chwilę pomyślała o tym, żeby rzucić się do morza. Nikt nie zdążyłby jej zatrzymać. Czy zdołałaby dopłynąć do brzegu, nie topiąc się? Może rybacy przybiegliby jej z pomocą. Wyciągnęliby ją na brzeg i uratowali od niewoli. „Nie mów głupstw, Cecilio”, rozgniewała się na siebie. Powiedzmy, że dopłynęłaby do brzegu, ale co potem? Dokąd by poszła, gdzie by się schroniła? Poza tym nie wiedziała nawet, gdzie jest.

Rudobrody czekał na nią na mostku, przy lewym relingu. Wiatr o mały włos nie zerwał jej szala okrywającego ramiona. Gdy ciężkim krokiem wspinała się po schodach, jej włosy były niczym żagiel. Złapała szal i okryła nim głowę, a żeby wiatr go nie porwał, mocno ścisnęła oba jego końce na piersi.

Oparty o barierkę Barbarossa patrzył na ląd. Cecilia zauważyła, że na wybrzeżu rybacy machają do przepływającej przed nimi Czerwonej Galery. Niektórzy z nich z całej siły wiosłowali, starając się jak najbardziej do nich zbliżyć. Barbarossa z dumą odpowiadał na ich pozdrowienia. Mężczyźni na lądzie i w łodziach wołali coś niezrozumiale. Marynarze Czerwonej Galery, wspinający się i schodzący z masztów, ześlizgujący się po linach, też do nich machali i krzyczeli.

Starzec, zauważywszy, że dziewczyna przyszła, odwrócił się nieznacznie. Cecilia nie widziała go jeszcze tak imponującego. Na głowie miał wielki biały turban. Jak oni to zawiązywali? Zauważyła, że zwój z białego płótna wcale nie wydawał się już taki śmieszny. Był ubrany w bardzo cenny, mieniący się granatem ciężki kaftan. Przód kaftana wyszywany był brokatową nicią. Pod spodem miał śnieżnobiałą koszulę bez kołnierzyka. Jej rękawy wystawały spod mankietów

rękawów kaftana, kończących się na wysokości łokci, i aż do nadgarstków były ciasno zapinane na guziki. Na nogach miał czerwone, szerokie spodnie. Talię miał wielokrotnie opasaną pasem z żółtozłotego jedwabiu. Przy pasie zauważyła szablę i sztylet. Ponieważ trzymał lewą rękę na rękojeści szabli, nie widziała drogocennych kamieni ją zdobiących, ale sądząc po rękojeści sztyletu, wysadzanej diamentami, rubinami i szmaragdami błyszczącymi w słońcu, także musiała być bardzo cenna. Koniec pochwy szabli wystający z rozcięcia w pole także pokryty był diamentami. Na stopach Barbarossa miał ciżmy z zadartymi czubkami w kolorze pasa.

– Podejź, dziecko.

Jego głos znów był ojcowski i łagodny. Gdy Barbarossa zobaczył, że przesłanym przez niego szalem okryła sobie głowę i ramiona, przez jego twarz przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech. Cecilia pojęła, że mężczyzna próbuje ukryć swoje zadowolenie. A ona tak pięknie się przygotowała. Rudobrody miał krzyczeć, a ona pospieszyłaby mu wówczas z odpowiedzią. Pokazałaby wszystkim wenecką dumę. „Za kogo ty się uważasz! – zawołałaby do starca. – W końcu jesteś dowódcą korsarzy. Sądziłeś, że włożę te szkaradne ubrania tylko dlatego, że tak rozkazałeś?”.

Dokładnie tak brzmiało zdanie, które po drodze ułożyła sobie w głowie. Nie pozwoli dzikusom podeptać swojego honoru. I już! Co mogliby jej zrobić? Co było gorsze od niewoli? Śmierć? To i tak prędzej czy później ją czeka. „Córka Baffo umarła z honorem”, śpiewaliby po niej hymny. Może Kościół nadałby jej święte imię.

– Pomyślałem, że chciałybyście to zobaczyć. – Rudobrody wskazał wzgórze naprzeciwko. Jego lewa dłoń wciąż spoczywała na rękojeści szabli. – Miałem nadzieję, że zwróci to waszą uwagę. – Zawahał się przez chwilę. – Zgoda, ja również pragnęłam, żebyście to zobaczyły.

– Co to za miejsce?

– Troja.

Cecilii zaparło dech w piersiach. Wzgórza, na które do tej pory spoglądała bez zainteresowania, nagle nabrały życia. Serce zaczęło jej bić z zachwytem. „Troja! Mój Boże! Troja! Kraj nieśmiertelnej miłości!”, pomyślała.

– Kraina miłości pięknej Heleny i Parysa, syna Priama. Ziemia miłości, w imię której poświęcono państwo – wyjaśnił Barbarossa.

„Ziemia miłości, w imię której poświęcono państwo”. Boże, jakie to piękne słowa. Gdyby miała ze sobą swój pamiętnik, zapisałaby je.

Cecilia wróciła myślami do czasów dzieciństwa. Była w Wenecji, w ogrodzie rezydencji nad brzegiem Wielkiego Kanału. Jej matka umościła się na szezlongu pod ogromnym drzewem magnolii. Cecilia zaś siedziała przed nią na kolanach i nawet na chwilę nie odrywając wzroku od jej ust, słuchała baśni

opowiadanej przez Marię Baffo. Była to baśń o pięknej Helenie i przystojnym Parysie.

Cecilia była jak zaczarowana. Z greckiego okrętu z pojedynczym żaglem i zadartym dziobem wychodziły armie Menelaosa i Agamemnona. Gdy matka opowiadała o walce między dzielnym Achillesem a odzianym w biały hełm księciem Troi, Hektorem, miała wrażenie, że mężczyźni ścierają się przed jej oczami. Widziała iskry tryskające z ich mieczy i czuła rozbryzgujące się dookoła krople potu. Dwie armie wstrzymały oddech. Czekwały na wynik starcia dwóch herosów. I nagle Achilles zatopił swój krótki, ale mocny miecz w brzuchu Hektora. Od strony oddziałów greckich niosły się okrzyki zwycięstwa, a z murów Troi – jęki porażki. Hektor najpierw opadł na kolana, a później legł twarzą do ziemi. Achilles przywiązywał jego pozbawione życia ciało do wojennego rydwanu i radośnie wywijając batem, włókł je przed wiwatującym wojskiem. Spaloną słońcem ziemię Troi zwilżała krew płynąca z rany Hektora.

Mała Cecilia okrutnie się smuciła. Oczy miała pełne łez. Nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała śmierci Hektora. Nie rozumiała też, z jakiego powodu pragnęła, żeby wygrała Troja, a Menelaos i Agamemnon wskoczyli na swoje okręty i odpłynęli. Baśń o Parysie i Helenie powinna kończyć się szczęśliwie, a Troja – triumfować.

Przecież mawiają, że baśnie kończą się, jak chcesz, ale tak nie było. Przynajmniej nie było tak w historii o Troi. Bogowie byli podzieleni. Niektórzy wspierali Troję, Parysa i Helenę, a inni stali po stronie Greków. Śmierć Hektora rozgniewała bogów Troi. Strzała, której drogę wskazali, trafiła szlachetnego Achillesa w piętę.

Ta część opowieści nie wydawała się Cecylii ani trochę wiarygodna. Natychmiast wykrzywiła usta i sprzeciwiała się: „Czy można zginąć od trafienia w stopę? To kłamstwo. Nie oszukuj mnie”.

Jeszcze przed chwilą Cecilia nie chciała śmierci Hektora. Teraz smuciła się z powodu śmierci najdzielniejszego z dzielnych, przystojnego Achillesa.

– Przecież Achilles miał być nieśmiertelny, mamusiu.

– Ale umarł. Sama nie wiem, przecież to baśń. Achilles był na wpół nieśmiertelny. Mógł zginąć tylko od ugodzenia go w piętę. Bogowie cisnęli strzałą w jego piętę, a on umarł²⁶.

Cecilia bardzo dobrze pamiętała, że w to nie wierzyła. Kochała Parysa, chciała być na miejscu Heleny. Marzyła o ich miłości. Może kiedyś Bóg postawi na jej drodze takiego Parysa. Ale co będzie z Achillesem? Jednocześnie serce Cecylii biło w sekrecie dla szlachetnego herosa.

Podczas gdy na nowo przeżywała opowiadaną przez matkę historię Troi, niespodziewanie usłyszała głos Julii: „Istnieją dwa rodzaje mężczyzn”. Mimowolnie na jej ustach pojawił się uśmiech. Parys, syn króla Troi, Priama,

pewnie należał do pierwszego rodzaju. Był bogaty i pochodził ze wspaniałego rodu. Wprost idealny mężczyzna do zamążpójścia. Achilles natomiast był z drugiego rodzaju. Mężczyzną, z którym się sypia!

A ona pragnęła ich obu – i mężczyzny do zamążpójścia, i takiego do łóżka.

– Tu walczyli Trojanie z Grekami – mruknął Barbarossa. – Nigdy wcześniej nie widziano tak długiej i krwawej wojny. Przyczynami wojen są ziemia i pieniądze. Jednak w przypadku Troi powodem nie była ani ziemia, ani skarby Troi, ale miłość.

Gdy Barbarossa zobaczył, że dziewczyna kiwa głową, jego twarz rozświetlił uśmiech. Utkwił spojrzenie w zboczach naprzeciwko.

Cecilia, zerkając, zauważyła, że Rudobrody patrzył tak, jakby wojna rozgrywała się w tej chwili, przed nim. Tam była trojańska twierdza. To na tym wzgórzu znajdowała się świątynia, z której siostra Parysa, Kasandra, biegła do miasta, wieszcząc nieszczęście. Tędy przejeżdżały wojenne rydwany Greków, wzniecając kłęby kurzu. Zamiast deszczu z nieba sypały się strzały i ogień.

– Znam tę baśń.

– To nie baśń, córo rodu Baffo – odparł Hajraddin Pasza, odwracając się do niej. – Historia to nie baśń. Skoro ją znasz, powiedz, co twoim zdaniem powinna była zrobić Troja. Powinna była podeptać miłość i rozdzielić kochanków? Powinna była przekazać piękną Helenę mężowi? Co powinna była zrobić Troja?

– To, co zrobiła.

Odpowiedź miała gotową, ponieważ odkąd usłyszała tę historię od matki, sama zawsze zadawała sobie to pytanie i zawsze udzielała takiej samej odpowiedzi. Troja powinna walczyć o miłość i o to, żeby ją ochronić. Wyrwanie Heleny z ramion ukochanego mężczyzny i oddanie jej temu, którego nienawidziła, żeby się uratować, byłoby niehonorowe. Oni wybrali honor. I umarli za niego.

Spojrzała mężczyźnie w twarz, żeby zobaczyć, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa. Wcześniej nie zauważyła, że jest taki przystojny, a nawet uroczy. W pamięci po tamtej pierwszej nocy pozostał jej obraz przerażającej twarzy o surowych rysach. Miał wygięte, miejscami posiwiałe, krzaczaste brwi, a spojrzenie ostre jak nóż.

Ale teraz tak nie wyglądał. To prawda, rysy jego twarzy były srogie, ale nie straszne. Z pewnością w młodości wyglądał zachwycająco. Z wiekiem zaś stał się wspaniałym admirałem. Uciekał przed nim nawet admirał Doria, wykrzykując: „*Mamma mia, Barbarossa!*”.

– Zatem według ciebie Troja postąpiła właściwie.

– Tak.

Rudobrody kiwnął głową, pokazując, że rozumie.

– Dobrze – ciągnął z zamyśleniem. – A co powinna była zrobić Helena?

– To, co zrobiła – odparła bez zastanowienia.

– Ale przez to Troja spłonęła, została zniszczona, została starta z kart historii. Gdyby porzuciła ukochanego mężczyznę i wróciła do męża, którego zdradziła, mogłaby ocalić Troję i tysiące ludzi. Czy naprawdę Helena postąpiła słusznie?

– Z całą pewnością. – Zamilkła na chwilę. – *Que sera sera*, mawiamy. Co ma być, to będzie – powiedziała przemądrzale. – Bóg zapisał w przeznaczeniu Heleny i Parysa wielką miłość. Helena dla miłości zdradziła męża. Miała jeszcze zdradzić ukochanego? Sądźcie, że gdyby jej wybór znów wiązał się ze zdradą, los Troi by się odmienił?

– Czyli wszystkich spotkało to, co było im pisane, tak?

– Tak. *Que sera sera*.

– A gdybyś była na miejscu Heleny, co byś zrobiła, Cecilio?

Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Cecilio sprawiło to przyjemność. Cały lud Wenecji, mieszkańcy Fondi i oczywiście Julia Colonna posądziliby ją o zdradę, gdyby poznali uczucia, które pojawiły się w jej sercu. Ale to nie zależało od niej. Nie uważała już dowódcy korsarzy za wroga, jak to było wcześniej.

Sama nie mogła uwierzyć w to, że rozmawiała z barbarzyńcą o sekretnych wydarzeniach, które zdobyły jej dziecięce marzenia.

Niespodziewanie w jej umysł niczym nóż wbiła się pewna myśl. Czy mogli się mylić? Czyżby to wszystko, co o nich wiedzieli, wszystko, co się mówiło, to, że są dzikusami, mogło nie być prawdą?

„Hej! – skarciła się. – Co się dzieje, Cecilio Baffo? Zdradzasz Wenecję, swój ród i religię?”

Nie zamierzała zdradzić. Starzec okazał wrażliwość po blisko dwóch miesiącach więzienia mnie w kajucie, chciał, żebym zobaczyła Troję, gdy przed nią przepływamy. Czy nasi rodacy zrobiliby to? Chcieliby dowiedzieć się, co myśli i co czuje? Nie sądziła. Tymczasem ten korsarz właśnie to zrobił. Zrezygnował ze swojej stanowczości, a nawet z upierania się, żeby włożyła te brzydkie, śmieszne rzeczy.

W przeciwnym razie Cecilia minęłaby to miejsce, nie zdając sobie sprawy, że przepływają przed krainą, w której rozegrała się baśń kształtująca jej dzieciństwo. Nawet nie marzyła o tym, że kiedykolwiek będzie mogła zobaczyć zielone doliny, góry, w których wciąż odbijały się echem pieśni Heleny. Barbarossa dawał jej to, o czym nawet nie śniła. Ta chwila była nawet piękniejsza od marzeń. Działo się teraz to, o czym pewnego dnia sama będzie opowiadać. Posadzi sobie córkę na kolanach i opowie jej historię Heleny Trojańskiej, tak jak to robiła jej matka. Z jedną różnicą. Powie: „Wiesz, córko, widziałam Troję. Przepływałam przed łąkami, po których biegła Helena”.

Rudobrody zapytał ją, co by zrobiła, gdyby była na miejscu Heleny.

– Jeśli tak byłoby mi pisane – zaczęła, utkwivszy wzrok w oczach starca – pozostałabym przy mojej miłości, choćby miało spłonąć, nie jedno, lecz tysiąc takich miast jak Troja. Gdyby nie takie było przeznaczenie, kto pamiętałby Troję? Kto słyszałby o Helenie, gdyby wróciła do męża, gdy tylko pojawiły się trudności? Która dziewczyna wówczas marzyłaby, żeby być na jej miejscu? Który mężczyzna pragnąłby takiej kobiety jak Helena?

Barbarossa słuchał uważnie, nie odrywając od niej wzroku. „Spójrz tylko na tę małą Baffo – mówił w duchu. – Jak to dobrze, że nasi chłopcy to ją zabrali, a nie Julię Colonnę”.

– Oczywiście – powiedział cicho. – Ale to przez pułapkę Troja została zniszczona.

– Bo tak było jej pisane. Bóg tak zdecydował.

– Czyli w życiu liczą się trzy rzeczy. Pierwsza to Stwórca, którego wy nazywacie Bogiem, a my Allahem. Druga to miłość zawierająca w sobie przyjemności, cierpienia i sekretne cuda życia. Trzecia to honor. Tak?

– Tak.

– Ostatnie pytanie, córo rodu Baffo. Co jest najważniejsze?

Na to nie była gotowa. Nie zastanawiała się, która z nich powinna mieć pierwszeństwo lub która z nich powinna być nieodzowna. Bóg, miłość czy duma?

Wiatr zawiął z szaleńczą siłą. Przesłany przez Rudobrodego szal zsunął się jej z głowy. Jeden koniec uwolnił się i tańczył na wietrze, szarpiąc się w stronę morza. Ukazała się nieskazitelna biel jej nagich ramion i piersi. Ich spojrzenia się spotkały. Zawstydzona Cecilia szukała w oczach mężczyzny śladu gniewu. Nie znalazła go. Patrzył na nią równie serdecznie, a nawet szelmowsko. Nie przypominał wielkiego korsarza, ale nauczyciela sprawdzającego swojego ucznia. Wyciągnęła rękę i złapała powiewający koniec szala, żeby okryć głowę i ramiona.

– To zależy – odparła, związując ze sobą oba końce szala. – Każdy może udzielić innej odpowiedzi. Ja wybrałabym honor.

– Jak to? Czyż nie rzekłaś przed chwilą, że jeśli pisana byłaby ci miłość, mogłoby spłonąć tysiąc takich miast jak Troja? Zapomniałaś?

– Nie zapomniałam. Jednak nie jestem wystarczająco dojrzała, żeby w jasny sposób wyrazić swoje myśli. Jestem zbyt młoda, żeby mieć wystarczającą wiedzę i obycie. Wy z pewnością znacie właściwą odpowiedź. Wiele już widzieliście i przeżyliście, prawda? Ja wybrałabym honor, bo bez honoru nie ma miłości. Przed odesłaniem Heleny z Troi tak naprawdę nie ocalała jej miłość, lecz honor. Helena także okazała dumę, zostając przy ukochanym mężczyźnie. Lud Troi też mógł się zbuntować i zmusić swojego króla, żeby wydał Helenę wrogom, a także starać się uratować od czekającej ich klęski. Ale to byłaby wielka hańba. Nie zrobili tego. Oni także wybrali honor.

Przez dłuższą chwilę stali obok siebie w milczeniu. Wiatr niósł w ich stronę

triumfalne okrzyki Trojan przekonanych, że Grecy uciekają, wskoczywszy na swoje okręty. Patrzyli, jak wprowadzają do centrum miasta olbrzymiego konia, którego pozostawił po sobie wróg. Byli świadkiem ich radosnych tańców. Piękna Helena, w wianku uplecionym z rumianków, biegła po przeciwnych zboczach, trzymając za rękę ukochanego mężczyznę. Później nastąpiła noc. Ostatnia noc Troi ogarniętej śmiertelnym snem. Obserwowali, jak nawet gwiazdy schowały się za chmurami, żeby nie widzieć tego haniebnego podstępu, do którego za chwilę miało dojść. Przypatrywali się, jak z brzuszyska konia pułapki wychodzą żołnierze i otwierają Grekom bramy Troi. Zatopili wzrok w płomieniach pochłaniających złote miasto, piękną Troję. Słyszeli ich krzyki. Zobaczyli czterech jeźdźców apokalipsy, którzy siedząc na końskich grzbietach ponad czarnymi chmurami unoszącymi się nad płomieniami, obserwowali to, co działo się na dole, zanosząc się śmiechem.

– Też chcę o coś zapytać. – Głos Cecylia był pełen powagi.

– Pytaj – odezwał się z uśmiechem Barbarossa, który na dźwięk jej głosu powrócił z odległych krain.

– A wy w co wierzycie? Troję zniszczyła miłość czy paskudna pułapka?

– Znasz odpowiedź, córo rodu Baffo. Ani jedno, ani drugie. Los. To było pisane Troi i tak się stało. *Que sera sera*.

Ucieszyła się.

– Więc przyznajecie mi rację?

Barbarossa kiwnął głową.

Cecilia całkiem się do niego odwróciła. Spojrzała w oczy mężczyzny.

– A dokąd mnie zabieracie?

Uśmiech na twarzy admirała stężał.

– Do miejsca, do którego wezwało cię przeznaczenie, Cecilio.

– Czyżbyście znali moje przeznaczenie, że wiecie, dokąd mnie wzywa?

– Oczywiście, że go nie znam. – Jego głos płynął z głębi serca. – Ale zabieram cię do miejsca, które może dać ci najlepszą przyszłość, jakiej ci życzę.

– Miejscem, które może dać mi najlepszą przyszłość, jakiej powinniście mi życzyć, jest Wenecja.

Rudobrody pokręcił głową.

– Dla ciebie Wenecja jest już przeszłością, dziecko. Twoje przeznaczenie zabiera cię do przyszłości. Do stolicy.

– Dokąd?

– Do serca Imperium Osmańskiego. Do haremu sultana sultanów, Sulejmana Chana.

Najświętsza Panienko!

Czar w jednej chwili przysł. Wszystkie marzenia legły w gruzach. Troja po raz kolejny została zburzona. Piękna Helena zalała się łzami. Kiełkujące w niej

poczucie bezpieczeństwa zniknęło. Ciepło, które między nimi powstało, ściał lód. Cecilii wydawało się, że zabierają ją pod pokład. Staczała się w wielką pustkę. Spadała. Nie, chyba mdlała.

Harem! Zamierzali wepchnąć ją do łoża starego, brzydkiego, paskudnego mężczyzny, osmańskiego sułtana.

Przez chwilę chciała przytrzymać się barierki, ale natychmiast zrezygnowała. Czy to nie ona mówiła o honorze i dumie? „Weź się w garść! – upomniała się w duchu. – Pod żadnym pozorem nie upokarzaj się przed tym korsarzem”.

W jej głowie nieustannie odbijały się echem trzy słowa, palące jak ogień, piekące jak rana posypana solą, odbierające życie jak strzała wbita w serce: „Harem sułtana Sulejmana... Harem sułtana Sulejmana...”.

Hajraddin Pasza ujrzał łzy w oczach dziewczyny.

– Cóż rodu Baffo – wyszeptał – jest w tobie zacyzn na królową. Jeśli odpowiednio wyrobisz ciasto, pochwycisz swoje przeznaczenie. Może będziesz kiedyś opowiadać swoim dzieciom i wnukom o pewnym starym marynarzu. A może nawet odmówisz za niego modlitwę.

Z powodu tej zaskakującej wiadomości, którą przed chwilą usłyszała, nie mogła odnaleźć w sobie siły, żeby zastanowić się nad słowami Rudobrodego. Cecilia czuła się oszukana, wciągnięta w pułapkę jak Trojanie. Rudobrody mówił do niej ciepłym głosem, opowiadał jej o pięknych rzeczach, stłumił rosnące w niej gniew i niechęć, a później powiedział jej, że wrzuci ją w śmiertelną przepaść. Tak, miejsce, które nazywano haremem, było w rzeczywistości bezdenną, śmiertelną przepaścią. „Okazuje się, że prawdziwe oblicze Barbarossy jest równie śmiertelne co koń trojański”, pomyślała Cecilia.

„Najświętsza Panienco – jęknęła w duchu. – Pomóż mi. Dopomóż małej Cecilii”. Musiała się stamtąd jak najszybciej oddalić z podniesioną głową.

– Dziękuję, że zaprosiliście mnie na obejrzenie Troi – oznajmiła. Jej głos był równie chłodny co przepelniające ją uczucia. – Jak powiedziałam, dzieje się tak, jak zostało nam zapisane przez Boga.

I w tej właśnie chwili stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Palce Rudobrodego wbiły się w jej ramiona. Z przerażeniem zauważyła, że twarz mężczyzny jest coraz bliżej. Znieruchomiała.

Prawie słyszał jej serce szamoczące się jak ranny ptak. Nie odrywając wzroku od jej roniących łzy oczu, pochylił się i... pocałował ją w czoło!

Tym razem nie da się wciągnąć w pułapkę. Ty rudobrody koniu trojański! Spojrzała na Barbarossę z wrogością.

Odwróciła się i nie zważając na to, czy idzie za nią, zeszła po schodach dumna i wyprostowana. Błagała Boga, żeby się nie potknąć ani nie zemdleć.

– Dziecko!

Wydawało jej się, że w uszach brzęczą jej tysiące pszczoł. Miała wrażenie,

że otacza ją ciemna pustka. Postąpiła jeszcze dwa kroki.

– Cecilio Baffo!

Odwróciła się.

– Ja zaś dziękuję za rozmowę – zwrócił się do niej Barbarossa. Jego głos znów był miękki jak aksamit. – W trudnych chwilach wspomnij Helenę. W haremie bądź równie dumna i harda, jak byłaś na mojej galerze. Zobaczysz, że jeszcze będzie z ciebie królowa. Nieszczęsna Helena Trojańska wesprze wenecką piękność, Cecilio.

Być może mówiliby dalej, ale zauważył, że dziewczyna ostatkiem sił trzyma się na nogach.

– Niech los ci sprzyja, dziecko – stwierdził i spojrzał na nią z uśmiechem. – Teraz idź, odpocznij. Za kilka dni przywita cię przeznaczenie.

Czy Rudobrody naprawdę to powiedział, czy sama to wymyśliła? Dopiero w kajucie spostrzegła, że Gabriella pomogła jej, ujmując ją pod ramię.

Opadła na posłanie.

We śnie zobaczyła piękną dziewczynę. Biegała po zielonych łąkach. Jej wzrok padł na wieniec z rumianków. Natychmiast ją rozpoznała.

– Hej! – zawołała. – Heleno! Heleno Trojańska!

Dziewczyna w wianku z rumianków usłyszała ją i odwróciła się. Na widok Cecylii jej twarz rozjaśniła się jak słońce. Pomachała do niej. Później znów się odwróciła i zaczęła biec. Nie, nie biegła, ona unosiła się w powietrzu. Wokół niej fruwały motyle, uderzając swoimi zdobnymi skrzydłami.

– Heleno Trojańska! – zawołała jeszcze raz. – Dokonałam wyboru. Słyszałaś mnie? Przeznaczenie mnie wzywa. Idę stawić mu czoła.

Obudziła się nagle. Jakby ktoś dotknął jej ramienia i wyszeptał jej imię.

– Co się dzieje? Kto tam jest?

Cisza.

Była już noc. Ostatnie, co pamiętała, to światło dnia. Teraz zaś otaczała ją ciemność. I jeszcze słowa Rudobrodego. Harem sułtana Sulejmana...

Obróciła się na plecy i wsłuchiwała w ciszę. Spojrzenie utkwiała w suficie. Jak tutaj przysła? W jednej chwili przemknęło jej przed oczami wszystko, co wydarzyło się od dnia, gdy w Wenecji wsiadła na statek Julii Colonny. Zupełnie jakby od tej chwili minęło sto lat. Na tamtym okręcie zostało jej dzieciństwo.

Przymknęła oczy i wyszeptała w ciemność: „Znów zastawili na ciebie pułapkę, Cecilio”.

Gdy się obudziła, kajutę wypełniał słoneczny blask. Obróciła głowę i zobaczyła Gabriellę. Dziewczyna siedziała przy jej łóżku. W jej oczach dostrzegła niepokój i strach. Nagle Cecilia przypomniała sobie wszystko, co się stało. Miała prawo się bać, bo gdyby tylko poczuła się lepiej, rzuciłaby się na nią.

Gabriella zauważyła, że jej pani się obudziła.

– Bogu niech będą dzięki. Doszłyście do siebie.

Cecilia próbowała się podnieść, ale zakręciło jej się w głowie. Natychmiast zamknęła oczy. Kiedy pojęła, że Gabriella próbuje jej pomóc, ze złością wyszarpnęła swoją rękę.

– Doszłam do siebie? Co masz na myśli?

– Odkąd wróciłyście do kajuty, nie byłyście sobą, pani.

– Jak to? Zemdlałam?

Gabriella bez słowa popatrzyła przed siebie.

Zemdlała!

– Zaraz tam zemdlałam! – oburzyła się. – Przez chwilę zakręciło mi się w głowie. To pewnie od świeżego powietrza. Od miesięcy stąd nie wychodziłam.

Gabriella znów wołała pominąć to milczeniem.

– Nie nastał jeszcze wieczór.

Służąca pokręciła głową.

Cecilia zrozumiała, że dziewczyna znowu próbuje coś ukryć. Tylko co? Starła się przybrać lekki ton.

– W takim razie to chyba najdłuższy poniedziałek w roku.

– Dziś jest czwartek. Niedawno wstał dzień.

Najświętsza Panienko! Czy Barbarossa nie zaprosił jej na pokład i nie powiedział, że trafi do haremu, w poniedziałek? To musi być jakieś nieporozumienie.

– Czyli od tamtej pory byłam nieprzytomna? Niemoż...

– Nie, nie – pospieszyła z wyjaśnieniami dziewczyna. – Gdy wróciłyście do kajuty, na chwilę zemdlałyście. On... – zawahała się przez chwilę. – On pobiegł i o tym powiadomił. Kapitan przysłał do was okrętowego medyka.

Cecilia zrozumiała, o kim mówi.

– Po pewnym czasie doszłyście do siebie – ciągnęła Gabriella. – Medyk coś tam pomieszał, podgrzał i napoił was tym. Polecił mi podawać wam przyrządzony specyfik dwa razy dziennie. Od tamtej pory nie...

– Nie byłam sobą, tak?

– Spałyście jak anioł.

– Przez trzy dni?

Skoro spała, czy coś nie powinno jej się śnić? Ale nie pamiętała żadnego snu.

Służąca zlekceważyła to pytanie.

– Jak się teraz czujecie, pani?

Miała ochotę odburknąć: „A co ciebie to obchodzi?”, ale nie zrobiła tego. To nie przystawało Baffo. Zamiast tego ujęła dziewczynę za rękę.

– Może chciałybyście to wiedzieć – podjęła służąca. – Gdy spałyście, przyszedł Barbarossa. Trzy razy...

Co?

– Słuchał waszego oddechu. Mruczeli coś między sobą z medykiem, ale oczywiście nie rozumiałam. „Nie martw się – zwrócił się do mnie Rudobrody. – Twoja pani wyzdrowieje. Ma silnych obrońców”. Dokładnie tak powiedział. Nie wiedząc, o czym mówi, zapytałam: „Kogo?”. Myślałam, że się zdenerwuje, ale on tylko się uśmiechnął: „Tych na górze”, szepnął. Ci na górze was chronią.

Dobry Boże.

Cecilia nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy złościć. Dowódca piratów, przed którym drżała cała Europa, mężczyzna, który ją porwał, wywracając jej życie do góry nogami, który później gawędził z nią jak dziadek czy ojciec, a teraz zabierał ją do haremu, wydając na nią wyrok śmierci, czuwał przy jej łóżku?

– Za każdym razem, gdy przychodził, siadał tu, gdzie teraz ja siedzę, i obserwował was przez pół godziny.

Przez chwilę próbowała zrozumieć przyczynę takiego zachowania starca. Czyżby miał wyrzuty sumienia? Żałował, że ją porwał i zabrał do haremu? Raczej nie.

– Oczywiście, że przychodził – odezwała się. Ponieważ Gabriella nic nie rozumiała, nawet na nią nie spojrzała. – To oczywiste, że interesuje się moim zdrowiem. Chyba nie chciałby, żeby dziewczyna, którą odda do haremu, zachorowała? Odaliska, którą zamierza sprzedać, powinna być zdrowa, żeby sułtan dał za nią kiesy pełne złota.

– Wy... Jak mam to powiedzieć?

– Mów, mów. Wiesz, że nic nie pozostaje ukryte. Wszystkie kłamstwa i tak w końcu wychodzą na jaw. Najlepiej od razu to powiedz, żeby nie musiała dowiadywać się o tym później.

Służąca nagle załapała się łzami.

– Gdy był tutaj, majaczyłyście coś o *Helenie* – wydusiła z siebie, szlochając.

– Barbarossa też coś powiedział...

– Przestań się w końcu mazać. Co powiedział?

Dziewczyna otarła nos wierzchem dłoni.

– Helena zawsze będzie przy was. Nie pozwoli, żeby drewniany koń zniweczył wasze przeznaczenie.

– Komu to powiedział? Tobie?

Gabriella nagle się zaniepokoiła.

– Ależ broń Boże. Cały czas rozmawiał z wami. Mówił do was „dziecko” albo „córo rodu Baffo”.

„Rudobrody koń trojański”, mruknęła Cecilia w duchu.

– Dzisiaj przed świtem znów przyszedł do was z medykiem. Wydawało się, że się uspokoił, dowiedziawszy się, że macie się lepiej. „Niech los ci sprzyja, córo rodu Baffo – oznajmił i dodał: – Dobrze zagnieć ciasto. Niech drożdże wyrosną”.

Nic nie rozumiałam.

– Nie musisz rozumieć.

Służąca jeszcze przez chwilę siedziała przy niej, głośno wzdychając. W końcu objęła Cecilie za szyję.

– Wybacz mi, pani.

Cecilia próbowała odsunąć od siebie dziewczynę, ale na próżno. Gabriella mocno obejmowała ją za szyję.

– Ty uratowałaś mi życie... A co ja zrobiłam? Ja...

Pewnie chciała powiedzieć: „Zdradziłam”, ale nie starczyło jej odwagi. Jednak Cecilia poczuła, że jej żal do dziewczyny zelżał.

– W porządku, przestań już.

– Wiem, że jestem winna. Nie wybaczycie mi. Ale co mam zrobić? Jestem tylko prostą służącą. Nie potrafię mówić tak pięknie jak wy. Nie wiem wszystkiego. Taki los.

Los! W ostatnich dniach zbyt często słyszało się to słowo i zbyt często je wymawiano. Przeznaczenie było sposobem, żeby uciec. Mówiąc: „Co zrobić, taki los”, można było wykręcić się od wszystkiego. Czy ona też nie robiła tego samego od nocy, w której została porwana? „Co zrobić? To mi było pisane”. Teraz zaś to Gabriella chowała się za przeznaczeniem. Jak Helena. Jak ona. „*Wszyscy jesteśmy niewolnikami losu*”, przeszło jej przez myśl.

– To po prostu się stało – jęknęła służąca. Nie planowałam tego. Jeśli teraz zapytacie, jak do tego doszło, przysięgam, że nie wiem. Ale się stało. Stało się tak nagle.

– Spałaś z nim?

Cecilia nie pamiętała, żeby kiedykolwiek wcześniej jej głos zabrzmiał tak złowieszczo. Twardy jak skała, ostry jak nóż, zabójczy jak syk żmii.

– Boże uchroni! – Dziewczyna wyciągnęła krzyż.

Chwyła swoją panią za dłonie i zamierzała je ucałować. Gdy Cecilia chciała się odsunąć, nie puściła jej.

– On jest tutaj – wyrzuciła z siebie. – Na zewnątrz.

Nie zapytała kto. On. Przeklęty Czarnobrody.

– Chce porozmawiać. Ma wam coś do powiedzenia.

Cecilia siedziała nieruchomo jak posąg.

– Dotarliśmy do kresu drogi, pani. Wysłuchaj go... Proszę, Cecilio...

Ponownie zalała się łzami. Dziewczyna po raz pierwszy zwróciła się do niej po imieniu.

– Niech wejdzie.

Gabriella spojrzała na nią z wdzięcznością i pobiegła do drzwi.

Cecilia przygotowała się do ważnego egzaminu. Zaraz się okaże, czy Cecilia Wenecjanka w trudnych chwilach potrafiła być równie dumna jak Helena

Trojańska.

Podniosła się. Nie wiedziała, w jakim stanie ma włosy. Poprawiła suknię. Wygładziła fałdy na biodrach. Niczym piękna kobieta na obrazie, który widziała w pałacu wuja w Wenecji, stanęła, delikatnie skręcając talię. Opuściła ręce. Splotła dłonie przed sobą i czekała. Wyglądała jak młoda dama czekająca na malarza, który miał namalować jej portret. Przymknęła oczy i znów je otworzyła. Jednak w drzwiach nie pojawił się malarz niosący farby, palety i szczotki, ale Czarnobrody, patrzący smutnym wzrokiem kapitan Ajdyn.

Gabriella to pojawiała się, to znikwała w drzwiach. Było jasne, że nie chciała być świadkiem tej rozmowy.

– Przykro mi z powodu waszej choroby, *signorino*.

– Słucham. – Boże, jej głos był zimny jak lód. – Gabriella powiedziała, że chcieliście ze mną porozmawiać. Mówcie. Słucham.

Kapitan Ajdyn, zrozumiał, że dziewczyna na niego nie spojrzy, skierował wzrok przed siebie. Zerknął na nią kątem oka. Jej twarz była tak samo chłodna jak głos.

Przez chwilę trwali w ciszy.

Kapitan Ajdyn, opuściwszy głowę, wiercił stopą w podłodze. W końcu odezwał się cicho:

– Panuje u nas pewien zwyczaj. Gdy nadchodzi czas rozstania, prosimy o błogosławieństwo.

– Błogosławieństwo? Co to znaczy?

– Jeśli czymś wam zawinił, wybaczcie. Jeśli jutro Bóg powoła nas do siebie, nie skarżcie nas. Wybaczcie nam i rozstańmy się ze spokojem w sercu.

– To niebezpieczny zwyczaj dla występnych i grzeszników, kłamców i oszustów.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Osoba, którą prosicie o błogosławieństwo, może nie wybaczyć.

– To możliwe. Jednak mamy jeszcze jeden zwyczaj.

– Zabijacie tego, który nie wybacza?

Urodziwą, zgaszoną twarz kapitana Ajdyna na chwilę rozświetlił delikatny uśmiech.

– Nie zabijamy, bo powiedzenie: „Bądź błogosławiony” temu, kto o to prosi, oznacza wielkość.

– „Bądź błogosławiony”? A co to znaczy? Czyżby „Wynoście się”? Sądzę, że to właściwa odpowiedź.

– Nie, *signorino*. Oznacza: „Nie masz win i przewinień, które miałbym ci wybaczyć. A nawet jeśli takie są, to puściłem je w niepamięć. Zostań w zdrowiu i podążaj swoją drogą. Niech los ci sprzyja. Pozostawiam cię z czystym sumieniem”.

– O rety, cóż to za długie życzenia. Podstępny, dwulicowym i knowaczom też się tak mówi? Jak to było? A! „Bądź błogosławiony”.

– Tak, tak się mówi. – Głos Czarnobrodego po raz pierwszy, odkąd wszedł do kajuty, jakby zhardział.

– Zgodnie z waszą tradycją należy wybaczać także takim obłudnikom jak wy?

Przystojny marynarz uniósł głowę.

– Nie jestem obłudnikiem, *signorino*. To znaczy my... My nie jesteśmy obłudni.

– Nie uważam tak... Wy, wy dwoje...

Gdy Cecilia poczuła, że głos jej drży, urwała.

– Chciałem powiedzieć jedno – wyszeptał Czarnobrody. – Pierwszej nocy... Pierwszej nocy, gdy was zobaczyłem... – zamilkł.

Cecilia starała się nie patrzeć w jego oczy. Wiedziała, że jeśli ich spojrzenia się spotkają, cały jej gniew i upór ustąpią. Bała się, że zacznie go błagać: „Nie zostawiaj mnie...”. Zobaczyła, że mężczyzna z trudem przełyka ślinę.

– Jesteśmy ludźmi o szorstkich dłoniach, kościach przeżartych solą i wyschniętych uczuciach. Jedyne, co umiemy, to walczyć. Nie lękamy się śmierci. Jednak tamtej nocy, po tym jak was tu zostawiłem i wyszedłem na pokład, długo myślałem. Po raz pierwszy spojrzałem w gwiazdy nie po to, żeby sprawdzić, czy jesteśmy na właściwym kursie, ale z potrzeby serca. Po raz pierwszy zauważyłem, jak mrugają. Po raz pierwszy poczułem, że mam ochotę zaśpiewać...

– I? – szepnęła Cecilia.

– Po raz pierwszy poczułem lęk przed śmiercią, *signorino*. „Co się z tobą dzieje, stary kapitanie? – zapytałem siebie. – Co to ma znaczyć?”. Pomyślałem, że to właśnie musi być to, co nazywają miłością od pierwszego wejrzenia.

Cecilia nagle przestraszyła się, że mężczyzna usłyszy, że serce wali jej jak wielki bęben. Cofnęła się o krok. Czowała, że iskry w jej oczach zaczynają topnieć i ustępować miejsca tęsknemu spojrzeniu. Dobrze знаła to spojrzenie. Patrzyła tak na Sebastiana tej nieszczęsnej nocy, na chwilę przed tym, nim została uprowadzona. I chwilę wcześniej na Marcella Manciniego... „Cóż na to poradzić – powiedziała w duchu, jak niesforna dziewczynka. – Jestem motylem, który uwielbia kochać”.

Gdy ujrzała tęsknotę w oczach mężczyzny, o mało nie zawołała: „Dobrze, więc jeśli to nie miłość, to co? Czy kochać jedną, a uganiać się za inną, to nie obłuda?”. W ostatniej chwili udało jej się ugryźć w język. Musiała natychmiast znaleźć jakieś wyjście. Nie powinna zapominać o Helenie. Czy patrząc na Troję, nie powiedziała Rudobrodemu: „Ja, podobnie jak piękna Helena, wybrałabym honor”? Czy próba uwiedzenia mężczyzny, w którym zakochała się Gabriella, to dla ciebie honor?

– A zatem? – odezwała się cicho.

Właściwie to pytanie oznaczało wszystko. Było w tym: „Czyli się we mnie zakochałeś. Widzisz, jesteś obłudny. Zalecanie się do innej, gdy w twoim sercu ktoś jest, to obłuda. Przekonywanie drugiej: «Właściwie nie kocham jej, ale ciebie», gdy ta pierwsza czeka na ciebie za drzwiami, to podwójna obłuda. My w Wenecji nie ufamy takim. Wyśmiewamy ich”. Na szczęście mężczyzna niczego się nie domyślił.

– Długo się zastanawiałem – wyszeptał marynarz. – Po tamtej nocy nie zaglądałem do waszej kajuty.

– Pewnie z tego powodu, że obawialiście się, żeby wasza obłuda nie wyszła na jaw.

– Nie, bałem się. Bardzo się bałem.

– Tchórzliwy pirat? Czy mogę zapytać, kogo lub czego się bałeś?

W rzeczywistości znała odpowiedź. „Ciebie, miłości do ciebie”, miał zamiar powiedzieć.

– Siebie.

– Co? – Cecilia nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Nic z tego nie rozumiała. – Siebie?

– Tak. Być może znów się rozgniewacie, *signorino*, ale mamy pewne przysłowie.

– Zdaje się, że nie ma u was wiele oprócz zwyczajów i przysłów. Co to za przysłowie?

Właściwie się nie kłócili, ale flirtowali ze sobą. A raczej Cecilia tak robiła. Aluzje, uszczypliwe uwagi... Niby się oddalać, a zbliżać, zbliżywszy się, uciekać...

Były to wybiegi, które stosowała na weneckich salach balowych wobec młodych, szlachetnie urodzonych – i oczywiście przystojnych – mężczyzn, żeby odwieść ich od zmysłów. Teraz robiła to samo mężczyźnie, który wił się przed nią. Zawstydzila się przed sobą.

– Mawiamy: „Nawet bęben gra do rytmu”.

– Nic nie zrozumiałam. Jaki bęben? Jaki rytm? Co to znaczy?

– Mężczyzna i kobieta muszą do siebie pasować!

Nastała między nimi cisza, która nie miała końca. Cecilia wciąż stała w tej samej pozycji. Zerknęła na mężczyznę. Na twarzy kapitana Ajdyna malowało się nieopisane cierpienie.

– Czy możecie to ująć prościej? – odezwała się. – Co ma z tym wspólnego bęben?

Czarnobrody uniósł głowę, żeby zobaczyć ten uśmiech przyprawiający serce o szybsze bicie. Tym razem z pewnością smutek z jej twarzy zniknie. Ale się nie uśmiechnęła.

Nie uważał jej za godną jego miłości. W tym cały problem. Był silnym mężczyzną. Zdała sobie sprawę, że patrzenie na to, jak stoi przed nią zawstydzony i zgnębiony, sprawia jej ból.

„To ty jesteś obłudna – zrugala się. Sądziła, że mężczyzna zakochał się w niej, bo kilka razy na nią spojrzął i się uśmiechnął. Próbowwała rościć sobie do niego prawo. A teraz bezwstydnie go uwodziła. Powinna zacząć myśleć logicznie.

– Jaką podjęliście decyzję?

Kokieteria zniknęła, a jej głos i spojrzenie znów stały się chłodne. O to chodziło. Podchodząc do sprawy logicznie, znalazła odpowiedni sposób. Wyrabiaj ciasto, Cecilio, niech drożdże wyrosną!

Ajdyn Reis uniósł głowę. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Marynarz jako pierwszy uciekł wzrokiem.

– Nie pasujemy do siebie.

Zadrzała, ale udało jej się tego nie okazać.

– Czyżby? – odparła obojętnie.

– Czy to kłamstwo? Tak. Wy jesteście przyzwyczajone do pałaców, ja do mórz. Wy podążacie za życiem, a ja za śmiercią. Wiemy, że wyruszymy na wojnę, ale nie wiemy, czy z niej wrócimy. Wy też to widzicie, *signorino*. Czasem nie mamy nawet gdzie przyłożyć głowy do snu. Te, które zostawiamy za sobą, miesiącami, a nawet latami czekają, wpatrując się w morze. Wróżą, czy wróci, czy zginie. Tylko takie życie możemy dać tym, które pokochamy.

Cecilia była zdziwiona. Te słowa wypowiadał korsarz, którego duszę wysuszyła sól? Czy oni wszyscy tacy byli? Rudobrody też złapał ją na takie słodkie słowa. Pięknymi słowami wciągnął ją w pułapkę, zabrał niechęć zatruwającą serce i gniew przesłaniający wzrok. Przynajmniej na chwilę. A potem powiedział, że zabiera ją do haremu.

„Tym razem to się nie uda”, otrząsnęła się. Nie da się złapać. Miała już dość pięknych słów. Kto wie, jaką nieszczęsną wiadomość przekaze jej na koniec.

Przekonywała się: „Ratujesz się, Cecilio. Zachowaj zimną krew, uciekaj. W końcu jesteś nie w ślepym zaułku twojego serca, ale na drodze, jaką wyznaczył ci los. Wytrwaj w tym”.

– Dwóch rzeczy nie zrozumiałam, Aj-dy-nie – powiedziała. W jej głosie nie pozostała nawet odrobina uczucia ani ślad smutku. – Czy zrobiłam coś, co dało wam powód oddania się takim uczuciom? Zachęciłam was? Czy tak myśleliście tamtej nocy? Czy sądziliście, że mi się podobacie, że poczułam zainteresowanie?

Mężczyzna był wyraźnie załamany. Ramiona mu opadły.

– Nigdy, ja...

– W takim razie nie ma mojej winy w tym, że obudziły się w was takie uczucia. Szkoda, że nie doszliście do tych wniosków wcześniej.

Ajdyn tylko skinął głową.

– Poza tym czy korsarze zawsze są tacy? To znaczy, czy zawsze sądzą, że piękne, szlachetnie urodzone kobiety, które uprowadzili, rzucają im się na szyję? Innych nie znam, ale Cecilia Baffo nie jest taka.

W chwili gdy skończyła to zdanie, poczuła, że jej serce krwawi. Był to ból taki, jakby ktoś zadał jej ranę nożem albo szablą.

Ajdyn uniósł głowę i długo patrzył Cecilii w oczy. Dziewczyna nie odwróciła wzroku.

– Nie, *signorino* – odparł, starając się, żeby w jego głosie nie odbił się zawód. – Korsarze nie mają serca ranić ukochanych. Wiążą się z tymi, które wiedzą, że nie dadzą im tego, czego potrzebują.

Cecilia poczuła, jak jej dłonie i stopy ścina lód. Te słowa wystrzeliły z ust Ajdyna jak pocisk.

– Nieważne – powiedziała pospiesznie. – To jaki był ten wasz zwyczaj? Co robiliście, gdy droga dobiegała końca?

– Prosiłiśmy o błogosławieństwo.

– A jaką odpowiedź dawała osoba, którą o to prosiłiście?

– Bądź błogosławiony.

– Dobrze. Bądź błogosławiony. We mnie nic po tym nie pozostanie, niech w tobie też nic się nie zachowa.

Przez chwilę patrzyli na siebie.

– Dobrze. Wyjdźmy teraz na pokład, *signorino* Baffo – odezwał się w końcu Ajdyn z wymuszoną radością.

– Dlaczego?

– Ojciec kapitan chce, żebyście coś zobaczyły.

Tym razem wiedziała, co Barbarossa chce jej pokazać. Lochy, do których ją wrzuci. Pałac Sulejmana.

– W takim razie chodźmy – oznajmiła głosem ostrym jak nóż. – Przekonajmy się, jak wygląda piekło, do którego chce mnie wrzucić Barbarossa.

Poszli. Miała wrażenie, że spadł jej z ramion wielki ciężar. „Teraz jestem jak ptak – przeszło jej przez myśl. – Uwięziony i ranny ptak!”.

XVI

Stambuł

Przylądek Pałacowy

Zatrzymała się przed drzwiami. Promienie wpadające w szparę między mostek a drzwi raziły ją w oczy. Gdy powoli otworzyła powieki, zobaczyła, że pokład skąpany jest w słońcu. Wszędzie panowało zamieszanie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że na okręcie jest tylu marynarzy. Wszyscy biegali.

Kapitan Ajdyn pchnął otwierające się na pokład drzwi. Usunął się na bok, żeby zrobić im przejście. Cecilia okryła głowę i ramiona szalem, który dostała od Rudobrodego. Trzymała oba końce szala lewą ręką, a prawą wyciągnęła do Gabrielli.

– Chodź – powiedziała do dziewczyny. – Zobaczmy moje piekło.

Gabriella z ociąganiem wspięła się na ostatni stopień i wyszła na pokład.

Dobry Boże! Zaparło jej dech w piersiach.

– A oto i laur sułtana Mehmeda Zdobywcy, miasto Stambuł.

– Konstantynopol – mruknęła Cecilia. – Skradzione serce wschodniego Rzymu.

– Jesteście w błędzie, *signorino* Baffo. To silne serce Wielkiego Imperium Osmańskiego.

Mężczyzna powiedział coś do Gabrielli i pospiesznie się od nich oddalił.

Piękno, jakie miała przed oczami, sprawiło, że zabrakło jej tchu. Nieważne, jak je nazywali, ze wszystkich stron otaczało ją nadzwyczajne piękno.

Okręt flagowy Barbarossy, w towarzystwie blisko stu okrętów, przy ciężkich uderzeniach wiosł, sunął w kierunku nabrzeża. Cecilia podbiegła do relingu. Spojrzała z przerażeniem. Tyle galer... Było ich tak wiele. Wygląda na to, że admirał Doria nie bez powodu uciekał. Kto, jeśli nie on, mógłby stawić czoła tak silnej flocie. Gdy płynęli wzdłuż brzegu, pozostałe okręty zaczęły niewiarygodne manewry. Wszystkie niczym wachlarz odwróciły się w prawo i w lewo. Dopiero wtedy Cecilia zobaczyła przed sobą mury zaczynające się w miejscu, gdzie kończyło się morze. Ktoś grzmiącym głosem wydał rozkaz, którego nie zrozumiała. W tej samej chwili wiosła uniosły się w stronę relingu. Czerwona Galera zmieniła kurs na główną przystań.

Cecilia spojrzała na zielone wzgórze naprzeciwko. Na samym szczycie zobaczyła coś nieprawdopodobnego. Czerwona kopuła. Wyglądała tak, jakby została zawieszona na niebie.

– Matko Boska – westchnęła z podziwem. – To Hagia Sophia! – Patrzyła jak zaczarowana. – Jest więźniem tak samo jak ja – dodała cicho.

Komendy padały jedna po drugiej. Galera wykonywała kolejne manewry. Coś ciężkiego wpadło do wody. Dotarli do celu.

Tak jak powiedział Barbarossa, Wenecja odeszła do przeszłości. Jej przyszłością był Konstantynopol. *Mroczną przyszłością.*

Czy powinna umierać z rozpacz? Tymczasem była przeszcześnieśliwa. W ostatnim czasie działały się naprawdę dziwne rzeczy.

Trzymając się barierki, szli w stronę dolnego pokładu lewej burty.

Tam czekał na nich cud.

Było to najpiękniejsze, co Cecilia widziała do tej pory w życiu. Niewyobrażalnie błękitne morze, zwięzając się przed nimi, ciągnęło się w nieznaną. Nigdy nie widziała, żeby błękit i zieleń tak się ze sobą łączyły. Sosny, cyprysy, akacje, magnolie, buki, topole, patrzące na wszystko z góry, porastały oba brzegi aż do linii wody.

Teraz rozumiała, z jakiego powodu na niedzielnych nabożeństwach modlono się o ocalenie Konstantynopola. Gdy modlono się słowami: „Wielki Jezu, zwróć nam nasze więzione miasto. Niech Twój wyznawcy spotykają się pod kopułą Hagii Sophii”, ona również ze wszystkimi odpowiadała „amen”, ale dla niej te słowa nie miały żadnego znaczenia. Aż do teraz.

Przymknęła oczy.

– Panie, który jesteś w niebie – modliła się cicho. – Ocal Złotą Córę Wenecji. Weź nas i oddaj nam nasze miasto.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Spodziewała się piekła, a trafiła do raju. Jaka szkoda, że w tym raju wrzucą ją do mrocznego lochu. Było jej pisane, żeby wiodła piekielne życie w niebie.

Gdy ponownie podbiegła do prawego relingu, jej wzrok przykuły kopuły i wieże znajdujące się w parku przy Hagii Sophii. Czy nie powinny wyglądać na przytłoczone wspaniałością katedry? Jednak wcale tak nie było. Stały pomiędzy drzewami i zdawały się przyzywać człowieka. A to co? Najpierw roztaczał się ogromny dziedziniec. Znajdowała się tu niezliczona ilość budynków. Budynków z okratowanymi oknami!

Boże! To tutaj! Jej lochy!

Odwróciła się z prędkością błyskawicy i spojrzała na mostek kapitański. Barbarossa tam był. Ich spojrzenia się spotkały. Rudobrody kiwnął głową, jakby chciał potwierdzić jej przypuszczenia.

Ze złością obróciła głowę.

– I co, rudobrody koniu trojański?

Nagle zauważyła, że zamieszanie na pokładzie ustało.

Wszyscy marynarze ustawili się w rzędach wzdłuż relingu. Wielu korsarzy stało na linowej drabince. Jeszcze raz spojrzała za siebie. Barbarossa także stał dumnie wyprostowany, odwrócony w stronę lewej burty. Oczy wszystkich skierowane były w ten sam punkt.

Podążyła za ich spojrzeniem. Wśród zieleni zobaczyła taras ze złotymi

kopułami. Byli tak blisko, że gdyby krzyknęli, mogliby się usłyszeć. Na tarasie stał mężczyzna. Na głowie miał ogromny biały turban, większy od tego, który nosił Barbarossa. Nawet stąd było widać, że kaftan był bardzo cenny.

„To on... Mężczyzna, do którego łoża mnie wepchną!”

Zmrużyła oczy, starając się lepiej go zobaczyć. Czy był brzydki? Nie oczekiwała przecież, że będzie przystojny. Był gruby? Patrząc stąd, nie mogła tego zauważyć, ale była pewna – to był on. Sułtan Sulejman, przed którym drżała Europa.

Obok niego stała dziewczyna w błękitnej sukni. Widać było, że bardzo piękna. „Chyba jest w moim wieku”, przeszło jej przez myśl. Na złotych włosach miała tylko lekko zarzucony jasnoniebieski tiul tańczący na wietrze.

„Sułtan i jego odaliska!”, zadrżała w panice. Boże! Ta dziewczyna była odaliską sułtana... W moim wieku... A zatem sułtan gustował w młodych dziewczętach.

W tej samej chwili wszyscy korsarze stojący wzdłuż relingu zawołali jednocześnie:

– Niech żyje nasz padyszach!

Wielotysięczna załoga z galery płynącej za nimi dołączyła do okrzyków:

– Niech żyje nasz padyszach!

Cecilia zauważyła, że sułtan wystąpił naprzód, trzymając za rękę dziewczynę w błękicie.

Pośród tego zgiełku usłyszała muzykę. Z jednego z okrętów popłynęły radosne dźwięki, które jej wydawały się zupełnie obce. Flety i bębny. Rozbrzmiały też wesołe dzwonki. Z Czerwonej Galery rozległ się donośny męski głos:

– *Ścigamy się z wiatrem, burzom rzucamy wyzwanie.*

Po chwili dołączył do niego zgodny tysięczny chór męskich głosów. Była to niewiarygodna pieśń. Cecilia nie rozumiała jej słów, ale czuła, że rozgrzewa jej serce. Była piękna, wzruszająca i dumna, a nawet trochę frywolna. To była kolejna rzecz, o którą zamierzała zapytać. Próbowała wyryć jej wersy w pamięci.

Morze jest naszym domem, przyjaciółmi fale.

Ścigamy się z wiatrem, burzom rzucamy wyzwanie.

Nie znając strachu, ruszamy na wroga.

Módl się za nami, Mihrimah, siostró nasza droga.

Okręty, jeden po drugim, przepłynęły przed sułtanem. Najwyraźniej w ten sposób świętowali zwycięstwo. A zatem uprowadzenie młodej dziewczyny było zwycięstwem. Korsarze machali, a złotowłosa dziewczyna w błękitnym kaftanie

niestrudzenie odpowiadała im tym samym. Pozdrawiała korsarzy wracających z porwania!

Galera zakotwiczyła. Podbiegł do nich kapitan Ajdyn.

– Wysiadacie, *signorino* Baffo.

– Wy zostajecie? To znaczy chodziło mi o Gabriellę.

Czarnobrody przystojny marynarz pokiwał głową.

Mężczyzna obrócił się i otworzył trap. Cecilia zaczęła schodzić w stronę łodzi, która przypominała jej łupinę na dnie przepaści. Starła się nie patrzeć w dół. Nagle się odwróciła.

– Kim był ten mężczyzna w wielkim turbanie, stojący na tarasie?

– To sułtan Sulejman Chan.

– Czyli piekielne monstrum.

Kapitana nagle jakby ogarnął gniew, ale starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Nasz władca jest najwyższym z najwyższych. Jest kalifem²⁷ naszego proroka. Jest panem trzech kontynentów.

– Mężczyzną, do którego łoża wepchnie mnie Barbarossa.

Tym razem Ajdyn nie zamierzał kryć złości.

– Nie traficie do łoża naszego pana, *signorino* Baffo.

– Ha! O niczym nie macie pojęcia. Starzec, którego nazywacie kapitanem, powiedział, że zabiera mnie do haremu. Nie myślcie, że nie wiem, co tam się dzieje. Ale myli się. Rudobrody nie wepchnie mnie do łoża szatana. Wszyscy zobaczą, jak żyje i umiera Baffo. – Widząc, że Ajdyn Reis wybuchnął gromkim śmiechem, zachnęła się: – Nie ma pośród waszych zwyczajów słów opisujących taką sytuację?

– Jakich?

– Na przykład: Człowiek, który bierze do łoża dziecko, nawet jeśli jest sułtanem, jest diabłem.

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź. Nadszedł czas rozstania. Cecilia zmierzała do piekła, Gabriella – do raju.

Wyszła na nabrzeże.

– Dalej! Zabierzcie mnie do piekła.

XVII

Nowy Pałac

Harem

Mogę postradać zmysły. Nie, najlepiej będzie umrzeć.

Pierwszej nocy w haremie Cecilia co chwila powtarzała te słowa. W końcu była w miejscu, do którego wezwało ją przeznaczenie. W haremie! Albo w piekle.

Podniosła się z posłania. W izbie, do której siłą ją wrzucili, czas jej się dłużył. Nie wiedziała, który to już raz, odkąd została tu przyprawiona, wstała i podeszła do drzwi. Spróbowała je otworzyć. Były zamknięte na klucz.

– Przekłęci! – wrzeszczała. – Czarne gęby! Wyciągnijcie mnie stąd. Rozkazuję wam. Natychmiast! Otwórzcie te drzwi!

Od krzyku zaczęła tracić głos, ale nawet nie próbowała przestać. Mimo to drzwi nadal były nie do pokonania. Dwa okna, znajdujące się w izbie, były zamknięte żelaznymi prętami wygiętymi w pięciokąty, w których też była kratka.

Nagle przypomniała sobie lwa sprowadzonego do Wenecji przez podróżników. Rozwścieczone zwierzę krążyło po klatce.

– Jestem jak ten lew – powiedziała. – Oboje jesteśmy w pułapce. Jesteśmy więźniami.

Policzyła odbijające się na ścianie pięciokąty. Ile jeszcze zostało do rana? Noc ciągnęła się w nieskończoność.

– Rano? – Uśmiechnęła się z goryczą. – Dla mnie nie będzie już żadnego poranka.

Ponownie podeszła do drzwi. Przystawiła ucho i słuchała. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Co to za dziwny pałac. Powinny być tu setki ludzi. Nie słyszała nawet szeptów. Panowała tu zaskakująca cisza. W tym pałacu chyba mieszkają same niemowy.

Dzień też sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie miał się skończyć. Zaczął się nieszczęśliwie, ale wydawało jej się, że będzie inaczej. Oczarowała ją świetność Konstantynopola, a później trafiła tutaj.

– Hej!

Sama przestraszyła się własnego głosu. Pośród tej ciszy jej krzyk był jak wybuch z działa. Trzykrotnie uderzyła pięścią w drzwi.

– Jest tam ktoś?!

Czekała, ale odpowiedź nie nadeszła.

Żołądek skręcał jej się z głodu. Żałowała, że rzuciła o ścianę tacą, którą przynieśli o zachodzie słońca. Z pragnienia popękały jej usta. Mały dzbanek, w którym znajdowała się woda, leżał teraz pod drzwiami, rozbity na trzy części.

– Hej! – zawołała znowu. – Otwórzcie te przeklęte drzwi!

Nic się nie wydarzyło.

Domyśliła się, że chcą ją złamać, aby zaczęła błagać.

– Długo sobie poczekacie – mruknęła.

Będzie głodna i spragniona, ale nie zniży się do błagania. Opadła na kolana w miejscu, gdzie leżały kawałki rozbitego dzbanka. Próbowwała je znaleźć, błędząc dłonią po podłodze. Szukała części, które pozostały po misie. Miała nadzieję, że w zagłębieniu zostało trochę wody. Przynajmniej tyle, żeby zwilżyć wargi. Ale nie było ani kropli.

Wyczerpana wróciła na posłanie, położyła się na brzuchu i oparła głowę na ramionach. Po raz kolejny pomyślała o tym, jak została oszukana.

Pomogli jej wysiąść z łodzi. Postawiła stopę na osmańskiej ziemi. W jej głowie, jak echem, odbijały się słowa wypowiedziane przez kapitana Ajdyna na chwilę przed tym, gdy miała opuścić okręt: „Nie traficie do łóża naszego pana, *signorino Baffo*”.

Skoro nie zamierzali wepchnąć jej do łóża sułtana, to co planowali? Przyszła jej na myśl złotowłosa dziewczyna w błękitnej sukni. Może chcieli zrobić z niej jej służącą? Miała zostać służącą młodziutkiej odaliski sułtana. Zupełnie jej to nie odpowiadało. Niespotykane było to, żeby członek rodu Baffo komuś usługiwał. Zapewne oni także to wiedzieli.

W takim razie dlaczego zabrali ją do haremu? Może miała nauczać sułtańskie dzieci? Zdecydowała, że to może być dla niej właściwe zajęcie. Każą jej uczyć ich języka. Myśl o tym sprawiła, że narodziła się w niej nadzieja, a raczej zakiełkowało jej ziarno. Z pewnością coś z tego wyrośnie. Skoro nie zostanie odaliską, to znaczy, że nie będzie też więźniem, prawda? Ale... Było tak wiele „ale”... Żeby uczyć ich swojego języka, musiała najpierw poznać ich język. Na szczęście wszystkiego uczyła się w okamgnieniu. Była mądrą dziewczyną. Była Baffo.

W miejscu, w którym wyszła na ląd, kazali jej czekać pod zadaszeniem. Czerwona Galera Barbarossy stała nieruchoma nieco dalej.

Przez jakiś czas nikt się nią nie interesował. Jednak Cecilia nie wzięła sobie tego do serca. Wydało jej się to dziwne, ale się nie odezwała. Tak to się wita dziewczynę, która ma nauczać sułtańskie dzieci? „Ich obyczaje są zupełnie inne – powiedziała do siebie. – Może takie są ich zasady”.

Nie rozmyślała nad tym długo. Wszystko, co widziała, każda barwa, każdy zapach były dla niej całkiem nowe. Miała wrażenie, że znalazła się w baśni. W każdej chwili zza rogu z kłębow dymu mógł wynurzyć się olbrzym.

– Jestem twoim dzinnem, piękna panno. Spełnię każde twoje życzenie.

– Zabierz mnie do domu.

Nawet nie zapyta, gdzie jest jej dom. Ukłoni się przed nią z szacunkiem i rozwinie przed nią dywan. Uprzejmie zaprosi ją, żeby na niego weszła, a ona oczywiście nie będzie mogła odrzucić takiego grzecznego zaproszenia.

Olbrzym skrzyżuje nagie ramiona na piersiach, usiądzie przy niej i dywan w jednej chwili uniesie się w przestworza. Polecą jak ptaki. Cecilia będzie głaskała dłonią chmury. Po drodze szybko pokonają morza, które przemierzali przez dwa miesiące. Gdy będą przelatywać nad ośnieżonymi szczytami, wyciągnie rękę i dotknie zimnego śniegu. „Hej! Patrzcie, latający dywan!”, będą krzyczały dzieci, które zobaczą ich z dołu. Z radością pobiegną za nimi. Cecilia posypie na nich śniegiem, żeby się pobawiły. W końcu olbrzym powie: „Jesteśmy”. Zobaczy Wenecję zwieńczoną tęczą. Matka do niej pomacha. „Cecilio Baffo! – zawoła, jak robiła to każdego dnia. – Ty psotnico, znów spóźniłeś się na kolację”.

Grupa ludzi, która wyłoniła się z naprzeciwka, wzniesając tumany kurzu, przerwała jej baśń w połowie. Na przedzie znajdowało się trzech jeźdźców, a za nimi powóz ciągnięty przez dwa konie. Wystawne końskie uprzęże miały dać wyraz temu, z jak szlacheckiego rodu pochodzi ich właściciel. Gdy biegły kłusem, ich grzywy miarowo się kołysały. Przy uprzężach były też małe dzwoneczki. Im bliżej byli jeźdźcy, tym donośniej rozbrzmiewał ich dźwięk.

Jeźdźcy i powóz zatrzymali się tuż przed nią.

– Pałac przysłał powóz, który ma mnie zabrać – stwierdziła ze spokojem.

Jeden z koni zarżał i stanął dęba.

– Hoo! Haa! – Jeździec ukarał zwierzę za nieposłuszeństwo, ściągając mu wodze.

Koń zatrzymał się, z bólu tocząc pianę z pyska. Kilka razy machnął łbem. W końcu się uspokoił.

Jakże wytworni byli ci mężczyźni. Czerwone stroje, kamizelki z brokatu, talie przewiązane szerokimi pasami... Jednak mimo tej wspaniałości i bogactwa barw wyglądali śmiesznie. Wszyscy mieli bujne, kruczoczarne, podkreślane na końcach wąsy i grube czarne brwi, a do tego przedziwne filcowe czapki. Nigdy w życiu nie widziała czegoś równie zabawnego. Nałożona na głowę okrągła miska przypominała stożek, który na górze miał dzyndzel przekrzywiony na bok. Ich nakrycia głowy Cecilii kojarzyły się z gruszką z ogonkiem.

Z trudem udało jej się powstrzymać śmiech. Na szczęście trzech mężczyzn o hebanowej skórze, uczepionych z tyłu powozu, zeskoczyło i podeszło do niej, dzięki czemu Cecilia nie wykazała się nietaktem już od pierwszej chwili. Taka swoboda nie byłaby mile widziana u dziewczyny mającej nauczać książąt. Dziwiła się sobie, że tak szybko przyzwyczała się do tego obowiązku.

W chwili gdy kapitan Ajdyn powiedział jej, że nie trafi do łoża sułtana, postanowiła skończyć z zajadłością. Będzie płynęła z prądem, dopóki nie przekona kogoś wpływowego w pałacu, żeby odesłał ją do Wenecji. Nie przychodziło jej do głowy inne rozwiązanie.

Jeden z czarnoskórych mężczyzn przeszedł przed nią, nawet nie zadając sobie trudu, żeby obrócić głowę i na nią spojrzeć. Podeszedł do marynarza stojącego

przy murach. Do tej chwili nic nie dał po sobie poznać, ale Cecilia wiedziała, że na nią czeka. Jeźdźcy, siedzący dumnie na końskich grzbietach, zerkali na nią. „To moja specjalność”, zaszczębiotała w duchu. Dobrze знаła te ukradkowe spojrzenia. Gdyby była w Wenecji lub Fondi, odpowiedziałyby na nie przeciągłym spojrzeniem.

Odwróciła się w stronę, w którą poszedł czarnoskóry mężczyzna, jakby rozdrażniona ich łypnięciami. Niech nie oczekują, że będzie pobłażała żołnierzom, którzy zostali wyznaczeni do przywitania i zabrania do pałacu nauczycielki ksiąząt.

Czarnoskóry rozmawiał o czymś z marynarzem. Mężczyzna spojrział w jej stronę i kiwnął głową. Służący zawołał coś do swoich towarzyszy i pobiegł do nich.

I wtedy wydarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewała.

Znów ją okłamano, znów została wciągnięta w pułapkę.

Czarnobrody przystojny marynarz oszukał ją tak samo jak Barbarossa.

Kiełkujące w niej ziarenko nadziei uschło.

Nagle pozostali czarni służący chwycili ją za ramiona i zawlekli do powozu.

– Hej! Co się dzieje?! – krzyknęła Cecilia. – Zostawcie mnie! Jestem pałacową nauczycielką!

Chociaż już zrozumiała, że wcale tak nie jest.

Była *miłosną niewolnicą*, a te czarne demony przybyły, żeby wrzucić ją do piekła chuci sułtana.

– Macie mnie zostawić!

Nie zwracali uwagi na jej krzyki. Do tego trzeci z nich podbiegł, otworzył drzwi powozu i pomógł towarzyszom usiłującym wsadzić ją do środka.

Jak mogli się tak zachowywać, nawet jeśli była więźniarką? Opierała się z całych sił. Odór ich potu przyprawiał ją o mdłości. W końcu udało im się podnieść ją na stopień. Jeden z nich silnym pchnięciem wtrącił ją do pojazdu. Kawałek jej sukni został w ręku mężczyzny.

Szybko zamknęli za nią drzwi. Wewnątrz było ciemno. Próbowwała znaleźć okna, ale na próżno.

Nie był to pałacowy powóz, ale więzienie na kółkach. Przewozili swojego więźnia jak skazańca i niewolnika.

Wciąż wołała i krzyczała, ale na próżno. Powóz ruszył naprzód, trzęsąc się. Gdy uderzyła się w głowę, szukając miejsca, gdzie mogłaby się przytrzymać, zaczęła płakać.

Kapitan Ajdyn nie dotrzymał słowa, podobnie jak Barbarossa. Skłamał. Oszukał ją i wepchnął w pułapkę. Barbarossa był koniem trojańskim z rudą brodą, Ajdyn zaś okazał się czarnobrodym koniem trojańskim. Ich dusze były pełne kłamstwa, zła i zdrady.

Jeszcze przez jakiś czas krzyczała i płakała. Skoro nie miała zostać

nauczycielką książąt, mogła im złożyć do woli. I tak też zrobiła.

W tamtej chwili podjęła nową decyzję. W haremie pokaże, na co ją stać. Sprawdzi, że naprawdę pożąają, że ją tam zabrali.

– Wielki Jezu – błagała – pomóż mi. Daj mi siłę, żeby zburzyła piekło, do którego mnie wrzuca.

Usiadła. Siedziała tak w ciemnościach, z uniesionymi ramionami, próbując zachować równowagę.

– Tak miało być, losie? – żaliła się. – Miałaś uczynić Cecilię królową. Ty też okazałaś się koniem trojańskim?

Podniosła się. Ręce miała mokre od łez. Matka mawiała zawsze, że: „Tak jak się coś zaczyna, tak trwa”. Swojej pierwszej nocy w haremie krzyczała i rozpaczała, wrzeszczała jak opętana, zrywała z siebie ubrania, biła się w piersi, a zatem później też tak będzie.

Od uderzenia pięściami czuła ból w piersiach.

Wciąż bolały ją łokcie i kolana.

Pewnie na czole miała ogromnego fioletowego siniaka. Czuła, jak pulsuje. Piękna Cecilia, Złota Córa Wenecji, była potwornie zmęczona.

Gdy ją porwano, ogarnął ją smutek i ciągle płakała. Na okręcie Barbarossy całymi dniami krzyczała rozgniewana, rzucała, czym popadnie, ale tutaj było inaczej. Tu było jej wieczne więzienie.

Ile godzin minęło, odkąd wsadzono ją do powozu, który ją tu przywiózł? Pięć? Dziesięć? Przez ten czas postarzała się o tysiąc lat.

Piękna róża Wenecji uschła.

„Miałam aż tyle łez?”, dziwiła się. Otarła policzki wierzchem dłoni. Od wielu godzin płakała i lamentowała, a mimo to z jej oczu wciąż płynęły łzy.

Oczy piekły ją od płaczu i niewyspania. Nie była już w stanie utrzymać powiek.

Musiała obmyślić plan. Była na niebezpiecznych wodach. Nie – natychmiast się poprawiła – była na wrogich wodach. Musiała mieć plan. Plan ucieczki. Plan, dzięki któremu się uratuje.

– Tak miało być, losie? – zapytała cicho.

Nie była w stanie dokończyć skargi. Pochłonęła ją ciemność.

XVIII

Hiszpania

Pałac w Toledo²⁸

Koniec jesieni

Panowie, otwieram naradę wojenną.

Cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego Karol V siedział na tronie umieszczonym u szczytu długiego stołu.

Po obu stronach stołu zasiadali ludzie wszystkich ras i nacji. Wyglądali na bardzo spiętych, a nawet rozgorączkowanych. Byli królami, książętami, diukami krajów wiodących prym w Europie. Zaraz za nimi na długich drzewcach umieszczone zostały flagi ich państw.

Gdy Karol zaczął mówić, nikt się nie odwrócił, żeby na niego spojrzeć. Oczy wszystkich skierowane były na dwa puste krzesła. Nie było króla Francji Franciszka i Henryka, króla Anglii²⁹.

Karol natychmiast wyczuł podenerwowanie mężczyzn.

– Jak widzicie – podjął – nie ma naszych dwóch drogich braci. Z pewnością Franciszek, podobnie jak jego matka, próbuje ubłagać sułtana Sulejmana, pisząc do niego listy³⁰. Przesłał posłańca, który powiadomił nas, że jest bardzo zajęty. Henryka zaś znacie. Po Annie Boleyn znalazł sobie nową królową, której każe ściąć głowę³¹. W tej sytuacji musimy zrozumieć, że nie opuszcza łoża.

Nikt się nie roześmiał. Rozległo się jedynie kilka ledwo słyszalnych pomruków.

– Spotkanie zostało rozpoczęte. Jak ustaliliśmy wcześniej, nie będzie protokołu. Każdy nieskrępowanie wyrazi swoją opinię. To, co zostanie powiedziane, wszyscy zapiszą tutaj. – Przyłożył palec wskazujący prawej dłoni do czoła. – I tutaj. – Tym razem wskazał serce. – Nie jest tajemnicą, dlaczego się tu spotkaliśmy: żeby wyrzucić Osmanów z naszych ziem, a dzięki temu uchronić Europę przed islamem i stanąć w obronie chrześcijaństwa. Taki jest nasz obowiązek. Dokończyć to, co zaczęli nasi przodkowie. Konstantynopol i Jerozolima...

Siedzący naprzeciwko cesarza w czerwonych szatach kardynał Toskanii Massimo Cagliari przesadnie głośno odchrząknął.

– Ojciec Święty polecił, żebym przedstawił wiadomość od niego, zanim rozpoczniemy obrady. Ma nadzieję, że to rzuci światło na podjęte przez nas decyzje.

„Zaczyna się”, ucieszył się Karol. Izabela mówiła, że papież wkrótce wygłosi wezwanie do wyprawy krzyżowej. „Spiesz się, Karolu – powiedziała. – Mężczyzna przeszedł już do działania. Spotkał się z kobietą, którą nazywasz kurwą. Dał jej swój pierścień. Julia Colonna jeździ po całej Europie i rozgłasza, że

papież podniesie krzyż. Uważam, że powinieneś, nie tracąc czasu, wezwać wszystkich królów na naradę wojenną. Odbierz mu przywództwo. Nie bądź władcą, który za nim podąża. Niech wszyscy widzą papieża jako człowieka, który cię wspiera”.

Z informacji, jakie dostarczali mu jego szpiegowie, także wynikało, że papież szykuje się do ogłoszenia wyprawy krzyżowej. Joanna Colonna, podróżująca w jego imieniu od miasta do miasta, już miała na sobie wojenny strój. Wieśniacy, obwoźni sprzedawcy w miastach, biedne kobiety – wszyscy przepychali się wzajemnie, żeby móc ucałować pierścień na jej dłoni.

– Do pasa przytwierdzony ma wielki, płaski miecz – powiedział jeden z jego szpiegów.

O tym mieczu tworzono baśnie. Podobno to ostrze, które teraz dzierżyła Joanna Aragońska, należało do niezwyciężonego króla Ryszarda Lwie Serce³². Ryszard, który zmarł w Azji Mniejszej, idąc na Jerozolimę, przed samą śmiercią przekazał swoją ostatnią wolę jednemu z żołnierzy: „Nadszedł już mój koniec. Weź mój miecz i zabierz go do Rzymu. Nadejdzie dzień, w którym Bóg ześle nam świętą. Niech dadzą jej mój miecz, gdy przysięgnie, że uratuje honor Jerozolimy i chrześcijaństwa. Mam tylko jedno życzenie: niech owa święta po ocaleniu Jerozolimy wbije mój miecz w ziemię na Wzgórzu Czaszki³³, gdzie został rozpięty na krzyżu Jezus Chrystus. Dopiero wtedy moja dusza zazna spokoju”.

Świętą, o której przybyciu mówił Ryszard, była Julia Colonna. Ludzie naiwnie wierzyli w tę przypowieść.

„Jak chcą, to niech wierzą – pomyślał Karol. – To działa na moją korzyść”.

– *Monsignor* Cagliari – spojrzał na mężczyznę z uśmiechem – z ekscytacją czekamy na rady Ojca Świętego. Niech jego światłe słowa rozjaśnią naszą drogę.

Kardynał wiedział, że Karolowi się spieszy, a jego celem wcale nie było ocalenie Jerozolimy. Jedyne, czego chciał, to zjednoczyć Europę pod jedną flagą – oczywiście własną i pod swoim dowództwem. W przeszłości dokonał tego Rzym. Karol pragnął tego samego. Massimo Cagliari był więcej niż pewien, że ten człowiek co rano patrzył w swoje srebrne lustro i mówił: „Jestem nowym Cezarem”.

Cesarz niczego nie ukrywał. Tysiące osób słyszało jego słowa: „Rzym musi zostać wskrzeszony, musi powstać. Ja tego dokonam. Rzym narodzi się na nowo. Dlatego chcę odzyskać wszystko, co do niego należy, chcę Konstantynopola”.

Massimo zachichotał w duchu. „Dobrze – powiedział do siebie – tam jest korona Rzymu. Idź i zabierz ją z głowy Sulejmana”.

A teraz z niecierpliwością czekał na przesłanie od Ojca Świętego. „Zdziwisz się, gdy je usłyszysz, marny cesarzyno”, zadrwił. Kilkakrotnie głośno odchrząknął.

– Taaak. – Przez chwilę zmagął się z bambusowym futerałem, w którym znajdowała się wiadomość od papieża. Kiedy już mu się to udało, powiedział: –

Wasze Wysokości, przekazuję waszej wysokiej radzie słowa czcigodnego Ojca Świętego Pawła III.

Następnie odczytał wiadomość bogato zdobioną licznymi łacińskimi słowami. Jedyne, co zasługiwało na uwagę, to stwierdzenie, że islam szerzony za pośrednictwem Osmanów stał się zagrożeniem dla Europy i całego chrześcijaństwa. Ojciec Święty wyrażał wiarę w to, że rada podejmie konieczne działania.

„Pestka!”, mruknął Karol. Zatem wypowie świętą wojnę? Uczestniczący w naradzie królowie i dowódcy także byli zdziwieni. Wszyscy patrzyli, jakby chcieli zapytać: „To wszystko?”. Tylko po to była ta żmudna, trwająca wiele dni podróż telepiącym się powozem? Żeby usłyszeć, że papież ufa europejskim władcom i chrześcijaństwu?

Cagliari przeczytał ostatnie zdanie:

– Drodzy synowie, nieustannie będę się za was modlił. Nie tylko ja, wszyscy ludzie będą się za was modlić. Bóg jest naszą pomocą. Ojciec i Syn i Duch Święty.

Kardynał zwinął zwój i ponownie włożył do futerału. Zachichotał, spojrzawszy na zgromadzonych. Na myśl o tym, co za chwilę pomyśli Karol, poczuł jeszcze większe zadowolenie.

Cesarz ukradkiem spojrzął na część oddzieloną zasłoną znajdującą się po prawej stronie. Stamtąd przysłuchiwały się obradom królowa Izabela i Julia Colonna. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. „Co kobiety robią w miejscu, gdzie dyskutuje się o wojnie?”, mógłby oburzyć się któryś z nich. Jednak to spotkanie było zbyt ważne, aby można było pozostawić Karola bez kontroli. Zza zasłony Izabela miała dawać mężowi odpowiednie wskazówki, używając szyfru, jaki między sobą ustalili.

Zasłona się nie poruszyła. Żeby zyskać na czasie, udał, że pije wodę. „Przeklęta baba – mruknął w duchu. – Daj w końcu znak. Mam milczeć w nieskończoność? Po durnej wiadomości od papieża mowa, którą wygłoszę, doprowadzi ich do szaleństwa. Zrozumieją, kto jest przywódcą chrześcijaństwa. Porusz wreszcie tą zasłoną. Mam mówić?”.

Kotara dwukrotnie nieznacznie drgnęła. Nadszedł czas, żeby wkroczyć na scenę. „Wykaż się, Karolu, opowiedz tym głupcom, jak odmieni się los Europy”.

– Skoro wysłuchaliśmy wiadomości od Ojca Świętego, teraz ja jako gospodarz...

Massimo Cagliari znów głośno odchrząknął.

– Wybaczcie, Wasza Wysokość. Przesłanie jeszcze się nie skończyło.

To była kompromitacja i brak szacunku. Nikomu nie pozwoli, żeby mu przerywał, nawet jeśli przemawia w imieniu papieża.

– Skończyło się. Wszyscy to słyszeliśmy.

– Mieście na uwadze, że przelewanie wszystkiego na papier jest niewłaściwe

i niebezpieczne.

Znudzone twarze zasiadających przy stole nagle się ożywiły.

Dokładnie w chwili, gdy Karol miał zamiar wykrzyknąć: „Gdy ja mówię, wszyscy mają milczeć”, kotara się poruszyła. „Milcz”. Żona nakazywała mu poczekać. „Zamknij się i słuchaj!”.

„Nie mam czasu czekać. Nie mam już cierpliwości”.

Mimo to zastosował się do polecenia.

– Jego Świątobliwość powierzył mi także ustną wiadomość.

– Tak – odezwał się ze znudzeniem jeden z królów. – Słuchamy. Powiedz i weźmy się do pracy.

– Ojciec Święty – zaczął Massimo Cagliari – oczekuje od was wszystkich, od wszystkich wierzących, że wzniesiecie krzyż.

Karol nieco się uspokoił. W końcu właśnie po to się spotkali. Nie było to nic, co mogłoby rzucić cień na plan, który zamierzał przedłożyć radzie.

Cagliari przekazał wiadomość, przed każdym zdaniem dodając z naciskiem: „Ojciec Święty”.

– Ojciec Święty uważa za właściwe powzięcie zemsty za Fondi.

W odpowiedzi zgromadzeni pokiwali głowami.

– Ojciec Święty sądzi, że honor Kościoła został zbrukany przez niewiernych. Wierzy, że żaden chrześcijanin nie może pozostać obojętny wobec bestialskiego, niemoralnego, bezwstydnego czynu wyrządzonego Joannie Aragońskiej. Ojciec Święty...

„Ty i ten twój Ojciec Święty”, Karol zdusił przekleństwo cisnące mu się na usta. Królowa Izabela widziała, że jej mąż jest bliski utraty panowania nad sobą. Znowu poruszyła zasłonę. Jeden ruch. „Milcz! Poczekaj! Nie odzywaj się!”.

– Ojciec Święty jest zdania, że porwanie niewinnej weneckiej dziewczyny Cecilii Baffo przez korsarzy jest niewybaczalnym atakiem.

Z lewej strony rozległ się drwiący śmiech. Był to król Szwecji, Gustaw Waza³⁴.

– Ale co z tego?

Karol też był znudzony. Przecież wszyscy tu obecni mówili to samo. Od miesięcy to powtarzali. Teraz doszli do miejsca, w którym należało wyciągnąć wnioski. „Jakie stanowisko zajmuje papież? To powiedz, głupi kardynale”.

– Ojciec Święty polecił mi przekazać wam, że za wyruszenie na wyprawę krzyżową przeciwko Imperium Osmańskiemu Bóg nagrodzi was niebem.

Karol się uradował. W końcu działało się to, o czym mówili jego szpiedzy. Papież był o krok od wypowiedzenia Sulejmanowi świętej wojny.

– Ojciec Święty...

Cesarz wziął puchar z winem stojący przed nim. Diabeł podpowiadał mu, żeby rozbić go na głowie łysego duchownego. Przekonajmy się, co jest bardziej

czerwone – jego szaty czy jego krew. W tej samej chwili Massimo Cagliari zburzył cały jego świat.

XIX

Nowy Pałac

Harem

Początkowo Cecilia sądziła, że to sen. Nie była pewna, czy się obudziła, czy śpi. Nie wiedziała nawet, czy oczy ma zamknięte, czy otwarte. Na twarzy poczuła lekki podmuch powietrza. Wędrował po jej czole, a gdy była przekonana, że przejdzie na prawy policzek, zsuwał się na lewy.

Może umarła i była w piekle? Może ciepło, jakie czuła na twarzy, pochodziło od płonącego tam ognia. Zdziwiła się. Czyżby naprawdę nie żyła? Skąd przyszła jej do głowy ta myśl? Czy zmarli mogli coś czuć?

„Nie bądź głupia – złażała się. – Zmarli nie czują, a przecież ty czujesz głaszczące cię po twarzy ciepło. To znaczy, że żyjesz”.

Ostatnie słowa odbiły się echem w umyśle Cecylii: „głaszczące po twarzy... Głaszczące!”.

„Najświętsza Panienko!”, stłumiła w sobie krzyk. Jej ciało zeszytniało. „Przyszedł”, zadrżała. Nie mógł poczekać nawet jednego dnia. Przyszedł.

Jeśli naprawdę nie umarła, to stanie się to teraz.

Serce, które biło jak oszalałe, za chwilę wyrwie jej się z piersi.

„Przyszedł, przyszedł, przyszedł... Dobry Boże, jest tutaj. Tuż przy mnie. Najświętsza Panienko, co ja teraz zrobię?”.

W jej głowie rozległ się śmiech. „Nie błagaj Maryi na próżno, moja śliczna. Ona nie wie, co należy zrobić w tej sytuacji”.

To musiał być głos szatana. Zatem w tej nieszczęsnej chwili czekał przy niej, aż zacznie się piekło, z zadowoleniem wymachując ogonem.

Cecilia poczuła, że pod wpływem jego oddechu delikatnie poruszyły się jej włosy.

Nagle zdała sobie sprawę, że nic nie widzi. Wszystko skrywał mrok. Dopiero wtedy zrozumiała, że ma zamknięte oczy. Unieś powieki! Jednak zrobiła odwrotnie. Mocno je zacisnęła. Nie powinna tego widzieć. Powieki zaczynały ją boleć i drżeć.

Jak szybko przybył. Później rozgniewała się na siebie. Oczywiście, że przyszedł. Wyczuł woń zdobyczy. Znalazł ją, podążając za jej zapachem, zupełnie jak głodny wilk. A teraz ją rozszarpie.

Może powinna otworzyć oczy? Znowu zrezygnowała. Kto zniósłby taki widok? Z pewnością jest odrażający. Ma wyłupiaste oczy i ogromny nos. Zapewne pozostało mu nie więcej niż pięć zębów. Jego obślinione wargi za chwilę dotkną jej policzka. Stamtąd sięgną jej ust.

Nagle zaczęła okropnie żałować. Szkoda, że nie pozwoliła całować się wszystkim zalecającym się do niej mężczyznom. Tego szczęścia dostąpiły tylko

dwie osoby. Marcello... i Sebastiano, na chwilę przed tym, jak korsarze wyrwali go z jej ramion. Taki był koniec jej niedostępności. Jej wargi, którym szczędziła pocałunków, teraz będzie całował i gryzł jakiś brzydki, stary kat o cuchnącym oddechu.

Odmówiła wszystkie znane jej modlitwy, żeby odszedł przekonany, że śpi. Szkoda, że nie знаła ich więcej. Bóg nie wysłucha kilku błagalnych wersów.

Miała rację. Nie wysłuchał. Teraz czuła oddech po drugiej stronie. Tym razem posuwał się od włosów w dół. Po prawym policzku, uchu, szyi... Boże, po piersiach...

Cecilia jeszcze mocniej zacisnęła powieki.

Nie miała już żadnych wątpliwości. To nie był żaden sen, żaden koszmar, tylko prawda. Przyszedł i za chwilę zacznie ją obłapiać swoimi wielkimi, włochatymi łapskami.

„Nie ma mowy! – krzyknęła w duchu. – Będę się opierać. Nie dostanie mnie tak łatwo. Przekona się, co to znaczy Wenecjanka. Może i jest Sulejmanem, ale ja jestem Baffo”.

Z ciałem napiętym do granic możliwości czekała na pierwszy dotyk.

Podmuchał jakby się oddalił.

Odchodzi!

„Bóg wysłuchał moich modlitw”, ucieszyła się. Jednak po chwili zrozumiała, że jej radość była przedwczesna. Poczowała, że ktoś wszedł na jej posłanie.

Szykował się, żeby się przy niej położyć. Za chwilę wszystko się skończy. Nawet jeśli będzie go gryzła i drapała, to w końcu i tak przegra. Może jej opór go rozgniewa, rzuci ją przed służące. Tak, z pewnością tak postąpi. Czyż nie była zabawką służącą do zaspokajania żądz?

Jeśli Matka Boska nie wiedziała, co zrobić w takiej sytuacji, to kto mógł wiedzieć? Oczywiście Julia Colonna. Ale jej tu nie było. Może nawet nie było jej już na tym świecie. W takim razie kogo miała wołać na pomoc? Wyobraziła sobie, jak podnosi ręce do nieba. „Kto przybędzie mi z pomocą? – lamentowała. – Pozwolicie, żeby obrzydliwy, garbaty starzec zbrukał taką młodą dziewczynę?”.

„Helena! – krzyknęło jej serce. – Helena Trojańska!”.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Co zrobiłaby piękna Helena, gdyby zamknięto ją w haremie? Pozwoliłaby, żeby zdradziecki mężczyzna wziął ją w ramiona i dotykał? A może zerwałaby się z miejsca i próbowała wyłupić mu oczy? Z pewnością to drugie.

„A ty? – zapytała siebie. – Skoro Helena Trojańska zaryzykowałaby życie, to czy Cecilia z Wenecji mogła zgodzić się, żeby zostać odaliską Sulejmana?”.

Jeśli miała umrzeć, to umrze, ale nigdy nie będzie żyła we wstydy.

Ciepły podmuch był teraz bliżej jej twarzy.

Nagle poczuła, że coś dotyka jej na wysokości talii. Jego kolana! Próbowała

wyobrazić sobie pozycję mężczyzny, żeby przygotować się do obrony. Wszedł na posłanie i usiadł na kolanach, a potem pochylał się w jej stronę. Jeszcze chwila, a będzie nad nią. Uwięzi ją w żelaznym uścisku i siłą weźmie to, czego chce.

Podjęła decyzję. Co ma być, to będzie. *Que sera sera*.

Czekała na właściwy moment. Wskoczy jak sprężyna i zatopi w jego oczach paznokcie ostre jak sztylety. Napięła się, poruszając palcami jak nożycami. Ulokowała w nich całą swoją siłę. Była gotowa.

Znowu poczuła blisko oddech.

Nagle sprężyna wystrzeliła. Błyskawicznie otworzyła oczy i zerwała się, żeby w tej samej chwili cofnąć się z przerażeniem.

– *Mamma mia!* – wykrzyknęła Cecilia najgłośniejszym, jak potrafiła.

W chwili gdy zerwała się z miejsca, pochylając się nad nią czarnoskóra dziewczyna też odskoczyła wystraszona.

– Dobry Boże!

Jej palce, których zamierzała użyć do wydłubania oczu sułtana Sulejmana, zastygły w powietrzu. Natomiast dziewczyna przyciskała ręce do serca, z trudem łapała powietrze i mówiła coś w swoim języku.

– O Boże! – wrzasnęła Cecilia. – A ty kim jesteś?

Nie rozumiała słów pospiesznie wypowiedzianych przez dziewczynę. Ona też z pewnością nie pojmowała tego, co wykrzyknęła Cecilia.

Obie przez chwilę patrzyły na siebie.

Dziewczyna pospiesznie zeszła z posłania, podbiegła do stołu, wzięła z niego ogromną tacę i postawiła przed Cecilią.

Miejsce strachu zajęła ciekawość i młoda Wenecjanka uważniej przyjrzała się przybyłej. „Jest w moim wieku”, przeszło jej przez myśl. A może nawet młodsza. Zauważyła, że dziewczyna jest bardzo ładna. Miała takie ogromne oczy jak wielkie czarne winogrona. Jej hebanowa skóra była nieskazitelna. Pomimo całego strachu i niepokoju uśmiechała się.

– Jecz – odezwała się.

– Jecz? – Cecilia próbowała powtórzyć usłyszane słowo.

Dziewczyna roześmiała się.

– Jecz. Jecz.

– Jecz.

Zaśmiała się perliście. Podniosła rękę do ust i udała, że je.

– Jecz.

Cecilia rozumiała.

Młoda dziewczyna była służącą. Przyniosła jej posiłek. Pewnie widząc ją leżącą nieruchomo, pochyliła się nad nią, chcąc sprawdzić, czy żyje. Ciepły podmuch, który czuła na twarzy, był oddechem służącej, a nie sułtana Sulejmana.

Dziewczyna, zauważywszy, że Cecilia wciąż ją obserwuje, zaczęła po kolei

zdejmować pokrywki z naczyń stojących na tacy. Jednocześnie wymieniła nazwy tego, co znajdowało się pod spodem.

– Jajka, ser, oliwki, morele.

Później wskazała szklanę.

– Mleko... Pij.

– Pij?

– Tak, pij.

Służąca udała, że bierze szklanę i podnosi ją do ust.

– Pij.

Nagle Cecilia poczuła spokój. Było to dziwne uczucie. Przebudziła się z koszmaru do rzeczywistości. Podczas gdy sądziła, że trafi do łoża piekielnego potwora, stanęła na jej drodze czarnoskóra służąca. Jej szczerść, serdeczność, radość, a nawet strach sprawiły, że choć na chwilę Cecilia zapomniała o tym, że trafiła do sultańskiego harem jako odaliska.

To uczucie ją zawstydziło.

Nie miała prawa zapominać o prawdzie. Zaakceptowanie jej oznaczało poddanie się, a ona nigdy się nie podda.

Odepchnęła tacę.

– Nie chcę.

Dziewczyna na chwilę spochmurniała. Później znów się uśmiechnęła.

– Jedz. Na pewno jesteś głodna.

Była głodna jak wilk, ale nie zamierzała niczego od nich przyjąć. Niczego. Nie będzie jadła, choćby miała umrzeć z głodu. Albo ją wypuszczą, albo umrze. Taką podjęła decyzję.

– *No.*

Chociaż dręczył ją głód, jeszcze dalej odsunęła tacę. Wykrzywiła twarz, udając obrzydzenie.

Dziewczyna ukloniła się delikatnie i poszła.

Rzuciła się za nią, próbując wydostać się na zewnątrz, zanim zamknie drzwi na klucz. Nie zdążyła.

– Otwórzcie. – Zaczęła uderzać w nie pięściami. – Wypuście mnie!

Nikt nie odpowiedział.

Osunęła się na podłogę.

– Pierwszy poranek w haremie. Baffo w haremie Sulejmana.

Wstyd i ból paliły jej wnętrze.

Jej wzrok przykuła taca. Jajka na talerzu. Białko tworzyło misę, w której znajdowało się złote żółtko. W powietrzu unosiła się ich zapraszająca woń. Później spojrzała na chleb. Sięgnęła po wielką kromkę. Nagle jej oczy wypełniły się łzami. Chleb przypomniał jej o domu. Rankiem budził ją jego zapach. Z dołu niósł się głos matki.

– Już południe, Cecilio Baffo. Wszystkie piękne dziewczęta znalazły sobie kawalerów, a ty nadal wylegujesz się w łóżku.

Kilka razy przymierzyła się, żeby ugryźć kromkę. Za każdym razem rezygnowała. „Chociaż jeden kęs – odezwał się głos w jej wnętrzu. – Oderwij wielki kawałek i zamocz go w żółtku...”

Zrobi to. Jeśli ta taca będzie tak przed nią stała, w końcu głód ją pokona. Był tylko jeden sposób, żeby się uratować.

Chwyciła talerz z jajkami i rzuciła nim o ścianę.

– Bądźcie przeklęci! Nie chcę waszego jedzenia!

Za talerzem poleciała szklanka pełna mleka. Zanim uderzyła o ścianę, rozbijając się z brzękiem, mleko rozprysło się dookoła. To, co pozostało, spłynęło po ścianie.

– Wyciągnijcie mnie stąd!

Następna poleciała miska z oliwkami. Później sery...

Na koniec ich los podzieliła wielka taca. Z pewnością odgłos tłuczonych naczyń odbił się echem we wszystkich zakątkach haremu. Podniosła się i wzięła tacę, po czym uderzając nią o drzwi i ścianę, zaczęła krzyczeć.

– Natychmiast mnie wypuście! Rozkazuję wam! Natychmiast!

Wołała, dopóki nie opadła z sił. Później uklękła przed posłaniem. Wzięła jedną z poduszek. Wysunęła się spod niej podpieczona kromka chleba. Nie była w stanie go wyrzucić. Jeszcze raz go powąchała. Otworzyła usta, żeby go ugryźć. Nie mogła tego zrobić. Błądząc po chlebie palcem, wyskubała niewielki okruszek. Wzięła go dwoma palcami i wrzuciła do ust.

Całe jej ciało przeszedł dreszcz.

Bardzo starała się powstrzymać łzy, ale na próżno. Nie chciała, żeby słyszeli, że płacze. Przycisnęła twarz do poduszki.

„Dzień dobry, poranku – powiedziała w duchu, jak to robiła każdego ranka w Wenecji. – Przekonajmy się, co dziś przyniosłeś pięknej Cecilii. Miłość? Szczęście? Bogactwo? Sławę i chwałę? A może śmierć?”

XX

Nowy Pałac

Harem

Drzwi powoli się otworzyły i czarnoskóra dziewczyna wsunęła głowę przez szparę. Gdy zobaczyła, że Cecilia siedzi na posłaniu, jej zaniepokojona twarz się rozjaśniła. Uśmiech tak bardzo do niej pasował.

Bez słowa weszła do środka. Przyklękawszy na podłodze, podniosła tacę, pobierała talerze, potłuczone kawałki szkła i porozrzucane jedzenie. Długo zajęło jej ścieranie z podłogi śladów, jakie pozostawiły jajka i mleko.

Robiąc to wszystko, co jakiś czas podnosiła głowę i zerknęła na Cecilię. Ilekroć ich spojrzenia się spotkały, uśmiechała się.

Zatem dziewczynę wyznaczono do usługiwania. To chyba dobry znak. Być może nie była zwykłym więźniem. Oczywiście, że nie. Jeśli jej przypuszczenia były słuszne, zamierzali ją wepchnąć do łóżka Sulejmana. Była więźniem, którego należało traktować szczególnie.

Dziewczyna kilkakrotnie wychodziła, wynosząc zebrane rzeczy. Jednak za każdym razem zamykała za sobą drzwi na klucz. Gdy doprowadziła wszystko do porządku, odsoniła zęby w uśmiechu. Właśnie miała wychodzić, gdy Cecilia odezwała się do niej.

– Hej! – To słowo musiało znaczyć to samo w każdym języku. – Posłuchaj.

Dziewczyna obróciła do niej promienną twarz.

Tym razem jej wieczny uśmiech rozdrażnił Wenecjankę. Tak bardzo cieszyła się z tego, że jest tu służącą? To wschód słońca tak ją rozweselał? Tymczasem Cecilia wcale nie była zadowolona, że obudziła się w haremie.

– Zawsze się tak szczerzysz?

Dziewczyna tak bardzo się ucieszyła, że Cecilia coś do niej powiedziała, że jeszcze szerzej się uśmiechnęła.

– Psiakość! Nieważne. I tak nie rozumiesz. Gadam jak głupia. Idź już.

Służąca zrobiła coś, czego się nie spodziewała. Podeszła i zatrzymała się przed nią. Wskazała na siebie i oznajmiła:

– Meneksze.

– Co?

– Ja Meneksze – powtórzyła.

– Co mówisz? Mi-nik-szi?

Służąca zachichotała i pokręciła głową.

– Meneksze. – Ponownie na siebie wskazała. – Ja Meneksze.

– Me-nik-sze.

Tym razem dziewczyna z radością klasnęła w ręce. To znaczyło, że jej się udało.

– Masz na imię Me-nik-sze?

Służąca pokiwała głową.

– Mam na imię Meneksze. – Skierowała palec na Cecilię. – Jak masz na imię?

Cecilia ucieszyła się, nawet jeśli nie chciała tego przed sobą przyznać. Na migi, ale się porozumiewały. Dziewczyna przedstawiła jej się, a teraz pytała, jak ona ma na imię. Zauważyła, że ta rozmowa sprawiła, że straciła poczucie bycia więźniem, ale uraza, cierpienie i wrogość wciąż w niej tkwiły. Nadal odczuwała też głód. Wskazała na siebie.

– Cecilia.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy i śledziła ruch jej ust.

– Cze...

– Cecilia. Mam na imię Cecilia.

– Cze-czi... – przerwała i zachichotała.

Widać było, że bardzo ją to bawi.

– Cecilia. Cecilia.

– Cze-czi... Cze-czi-la. Ha! Cze-czi-laaa.

Sama zauważyła, że jej się udało. Przyklasnęła.

Cecilia zdała sobie sprawę, że uśmiecha się do dziewczyny.

– Ja Cecilia. Ty Me-nik-sze.

Meneksze powtórzyła za nią. Najpierw wskazała na Cecilię, a później na siebie.

– Cze-czi-laaa. Meneksze.

– Nie Czecilaaa. Posłuchaj uważnie. – Wypowiedziała swoje imię, z przesadną dokładnością poruszając ustami i szybko kończąc ostatnią sylabę. – Cecilia. Lia, nie laaa.

– Cze-czi-lia!

– Si. Udało się.

Spojrzały na siebie. Cecilia po raz pierwszy zobaczyła podziw w oczach czarnoskórej dziewczyny. Patrzyła na nią jak zaczarowana. Właśnie dlatego rankiem tak jej się przyglądała. Zapewne przekonana, że Cecilia śpi, dokładnie zbadała rysy jej twarzy.

Gdy szła do drzwi, wciąż powtarzała:

– Cze-czi-la... Cze-czi-la.

Kiedy następnym razem zobaczyła Meneksze, dziewczyna trzymała wielki pakunek. Ucieszyła się, że zastała Cecilię spokojną. Położyła paczkę na sofie, powiedziała coś niezrozumiałego i wyszła.

Cecilia wstała. Podeszła do paczki i powoli zaczęła rozchylać atlasowe warstwy. No nie! Tak jak przypuszczała. Czyli oni wszyscy tak robili. Najpierw Rudobrody, a teraz sułtan przysłał jej ubrania.

Nie włoży ich. Ubranie się tak jak oni chcieli oznaczałoby przyznanie się do porażki. Nie podda się. Zwycięży Sulejmana swoim uporem, tak jak pokonała Barbarosę.

Mimo to wyciągnęła zawartość pakunku i długo jej się przyglądała.

Boże. Co to jest? Jedwabie, szyfony, kwieciste aksamity, tiule, zwiewne koszule... Wspaniały kaftan.

– Przepiękne – odezwała się cicho.

Kaftan był granatowo-amarantowy, ale mienił się też różem. Był wyszywany srebrną nicią i miał piękne wzory. W paczce znajdował się także cudowny pas z ogromną klamrą oraz para trzewików. Ale nie włoży ich.

Nie będzie jadła. Nie będzie piła. Nie będzie żyła. I już!

– Zabierajcie to! – zaczęła i złorzecząc okrutnie, rozrzuciła zawartość pakunku po podłodze.

Właściwie wszystkiego było jej bardzo szkoda.

Była przekonana, że znów nikt nie zwróci uwagi na jej krzyki. Ale tym razem stało się inaczej. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich uśmiechnięta twarz Meneksze.

– Cze-czi-lo?

„Co się stało? O co chodzi?“, mówiły jej oczy.

– Nie włożę ich. Mam ubrania. Zabierz to.

Dziewczyna patrzyła na nią, nie rozumiejąc. Podniosła więc kaftan z podłogi i rzuciła jej.

Nagle coś przyszło jej do głowy.

– Poza tym jestem brudna. Przez dwa miesiące byłam na morzu i mieszkałam w ciasnej kajucie. Chcę się umyć.

Oczywiście dziewczyna nic nie odpowiedziała. Co mogła rzec? Zrobiło jej się szkoda służącej i to uczucie ją zdziwiło. Jednak podobał jej się pomysł umycia się. Mycie oznaczało, że wyjdzie z tego pokoju. Przynajmniej idąc do miejsca, w którym się umyje, trochę się rozejrzy. Może będzie miała szansę uciec, a nawet jeśli nie, ważne było, żeby wiedziała, co jeszcze tu jest. Niewątpliwie ta wiedza przyda jej się do obmyślenia planu.

– Posłuchaj – powiedziała, pociągając Meneksze za rękę i sadzając ją obok siebie. – Umyć się... O tak. Umyć się. – Udawała, że polewa sobie głowę wodą i myje włosy. Meneksze patrzyła na nią ogłupiała, ale w końcu pojęła.

– Łaźnia.

– Łaźnia?

Dziewczyna z zapalem pokiwała głową i wyszła, chichocząc.

Meneksze była bystra, więc na pewno zrozumiała, że Cecilia chce się umyć. Jednak nie wiadomo było, czy spełni jej życzenie. Do tej pory ochlapывała się w prowizorycznej balii. Brakowało jej wody, jej dotyku na skórze. Tęskniła za tym,

żeby ją oczyściła.

Meneksze wróciła po jakimś czasie. Tym razem nie była sama. Były z nią dwie dziewczyny, jedna czarnoskóra jak ona, druga biała i jeszcze ktoś trzeci. Nie mogła rozpoznać, czy to kobieta, czy mężczyzna. Bardziej przypominała chłopaka, wielkiego, silnego chłopaka.

– Cze-czi-lo?

Meneksze, spoglądając na pozostałych, wypowiedziała jej imię w taki sposób, że było jasne, że chciała im pokazać swoją wyższość. Cecilia poczuła potrzebę wspomnienia dziewczyny i także wymówiła jej imię.

– Me-nik-sze.

W ten sposób dały im do zrozumienia, że się poznały. Przybyli z dziewczyną popatrzyli na nią z podziwem.

Drzwi były otwarte. Meneksze usunęła się i wskazała na nie.

– Cze-czi-lo?

„Boże, wychodzę stąd?”

Nie kazała na siebie czekać. Natychmiast ruszyła do drzwi. Przekroczyła próg. Teraz były w wąskim korytarzu. W korytarzu, do którego nie docierało światło. Zza drzwi, znajdujących się po obu jego stronach, dochodziły głosy kobiet i dzieci. Korytarz skręcał w prawo. Później rozdzielał się na dwa. Następnie odchodził w lewo i znów w prawo. Potem jeszcze raz się rozwidłał. Każdy kolejny zakręt czy rozwidlenie odbierały Cecilii nadzieję na to, że uda jej się opuścić te mury. „Nie ma stąd ucieczki – pomyślała. – Z tego piekła nie ma wyjścia”.

Szły jeszcze przez jakiś czas. Skręciły w prawo i nagle korytarz zrobił się szerszy. Było tam coś wielkiego, okrągłego, z pokrywą z brązu. Naprzeciwko stała dziewczyna. Cecilia spojrzała na nią. Wyglądała na przygnębioną i wyczerpaną. Włosy miała w nieładzie. Widać było, że niedawno płakała. Łzy pozostawiły na jej policzkach brudne smugi. Wyglądała jakoś znajomo... Nagle zauważyła, że dziewczyna jest w jej ubraniach.

„Wielki Jezu! To ja. Cecilia Baffo!”

Dopiero wtedy dostrzegła srebrne lustro na przeciwległej ścianie. Patrzyła na siebie z niedowierzaniem i przerażeniem. Co się z nią stało przez te dwa miesiące?

Z placu odchodziły trzy korytarze. Ten po prawej był szeroki i widny. Stało tam dwóch strażników. A raczej dwa olbrzymy! Na głowach mieli spiczaste, żelazne hełmy. W rękach trzymali wielkie, grube, śmiertelne lance. Miała ochotę odwrócić się i uciec. Ich przesywający wzrok palił ogniem. Ich wąsy były jeszcze bujniejsze i czarniejsze niż wąsy korsarzy, których widziała na okręcie Barbarossy.

Mieli na sobie dziwne zbroje – koszule z wielu warstw małych, żelaznych pierścieni. Nie mógłby ich przebić ani miecz, ani kopia. Ramiona i nogi mieli osłonięte żelaznymi osłonami, a do pasów przytwierdzone wielkie szable, jakich

Cecilia nigdy wcześniej nie widziała. „Pewnie służą do obcinania głów”, przeszło jej przez myśl. Zadrżała ze strachu.

Jeszcze raz się upewniła. Nie było stąd innego wyjścia niż śmierć.

Ci przerażający strażnicy musieli chronić kogoś ważnego. Przerazona pociągnęła Meneksze za rękę i skierowała się w tamtą stronę.

– Nie wolno!

Zrozumiała. Nie mogła tam wejść.

– Kto tam jest, Me-nik-sze? – zapytała, wskazując na korytarz; starała się wyglądać serdecznie.

Dziewczyna wypowiedziała wiele słów, ale Cecilia rozpoznała tylko jedno: „Hürrem!”.

Znalazły się w jednym z dwóch pozostałych korytarzy i szły jeszcze przez chwilę. Czarnoskóry chłopak otworzył jakieś drzwi. Meneksze przesunęła się, żeby zrobić jej przejście.

„Łaźnia!”.

XXI

Hiszpania

Pałac w Toledo

Ojciec Święty zaleca, żeby przeprowadzić tę operację wojskową na morzu!

Co? Nawet gdyby żyrandol zwisający z wysokiego, okazałego sufitu sali audiencyjnej w pałacu w Toledo urwał się z łańcucha i uderzył o podłogę, nie wywarłoby to większego wrażenia.

– Co zaleca?! Co?! – wykrzyknął.

– Wielką bitwę morską, Wasza Wysokość.

Właściwie wszyscy byli zdziwieni. Wszyscy zaczęli komentować. Niektórzy popierali ten pomysł, inni wyrażali niezadowolenie. Na czele protestujących stał Karol. Spojrzał na część przesłoniętą kotarą. Nie było najmniejszego ruchu. Dwie kobiety za zasłoną także zamarły.

– Flota krzyżowa? Tego nie brałam pod uwagę – odezwała się cicho królowa Izabela.

Ten zgrzybiały papież zepsuł wszystkie plany Karola. Nie można pokonać Sulejmana, zatapiając kilka jego okrętów. Nie uda się ocalić lauru Konstantyna!

– Stary rozpustnik – mruknęła Julia Colonna. – Oszukał mnie. A co z wyprawą krzyżową? Skąd ten pomysł z armadą?

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czowała się zawiedziona i zdradzona. Zrozumiała, że popełniła błąd, oczekując, że papież, który ma dzieci z nieprawego łoża, pozostanie wierny swojej obietnicy, ale było już za późno.

Przecież Farnese dał jej słowo. W wiadomości, którą przesłał radzie wojennej, miał wezwać wszystkich władców i każdego chrześcijanina, którzy mogą chwycić za broń, żeby dołączyli do armii krzyżowej, która podąży za Joanną Aragońską do Jerozolimy.

Gdy znak zza zasłony nie nadszedł, cesarz zrozumiał, że musi wziąć sprawy w swoje ręce.

– Co powiedzieliście, Cagliari? Ojciec Święty... chce wojny na morzu?

Ten człowiek nie chciał żadnej wojny, najwyraźniej uciekał.

– Jak mamy walczyć na morzu? – podniósł głos. – Ojciec Święty sądzi, że jedno zwycięstwo na morzu wystarczy, żeby wytępić Osmanów z Europy?

Kardynał nie odpowiedział. Admirał Andrea Doria, który do tej pory nie zabrał głosu, wstał, ściągając z głowy aksamitny kapelusz ozdobiony wielkimi czerwonymi, czarnymi i zielonymi piórami.

– Skutki zwycięstwa na morzu są poważniejsze, niż można przypuszczać.

Karol nie wytrzymał dłużej. Uderzył pięścią w stół.

– Kto to mówi? Admirał, który chował się już w każdej zatoce Morza Śródziemnego, żeby tylko nie stanąć naprzeciwko Barbarossy?

Twarz Andrei Dorii spąsowiała. Zamiast niego głos zabrał jego bratanek – Giannettino Doria.

– Wasza Wysokość – zaczął rozgniewany – czyż to nie niesprawiedliwość? W walce potrzebne są takie taktyczne odwroty. Tak naprawdę to nie odwroty, ale zaplanowane ataki. Rozumie to ten, kto zna się na taktyce wojskowej.

– Doprawdy, *señor*? – Głos cesarza był ostry jak nóż. – A my sądziliśmy, że wasz stryj nieustannie ucieka.

Giannettino Doria nie zamierzał się wycofywać.

– Tak. Jest dokładnie tak, jak powiedzieliście, Wasza Wysokość. Mój stryj wzorował się na taktyce Jego Wysokości, który robił wszystko, żeby nie zmierzyć się z Sulejmanem na niemieckich i węgierskich równinach.

Karol zrobił się czerwony jak burak. Mimo to udało mu się wybuchnąć śmiechem.

– Wygląda na to, że on również tak jak my przeprowadzał zaplanowane ataki. – Popatrzył zdradziecko. – Jednak Barbarossa nie miał o tym pojęcia. Chcecie powiedzieć, że Rudobrody nie zna się na taktyce wojskowej i morskiej?

– Mój stryj jest boha...

– Panowie, panowie... Proszę.

Król Szwecji Gustaw Waza postanowił ponownie wkroczyć na scenę.

– Nie kłóćmy się ze sobą – oznajmił. – Niech *monsignor* Cagliari skończy mówić to, co ma do powiedzenia.

– Koniec – odparł. – Dla mnie to koniec. Jeśli po wezwaniu do podniesienia krzyża przeciwko Osmanom oczekuje się operacji na morzu, oznacza to, że nie ma już o czym mówić i czego słuchać.

– Czy możemy się dowiedzieć, co wy uważacie za stosowne? – zapytał szwedzki król. – Rzym – wspierający protestantów Gustaw Waza nie mówił ani „Ojciec Święty”, ani „papież” – radzi, żeby policzyć się na morzu. Wy jesteście temu przeciwni. Co w takim razie chcecie, żebyśmy zrobili?

Przekłęta zasłona nagle poruszyła się dwa razy. Zagubionego Karola ogarnęła panika. Izabela dawała mu znak: „Mów. Nie stój tak. Opowiedz im o swoim planie. Oczaruj ich”.

Cesarz podniósł się dostojnie.

– Pytacie, czego ja chcę? – syknął. – To proste. Chcę, żebyśmy zrobili to samo co nasi świetni przodkowie. Zniszczyli półksiężyc i ruszyli na Jerozolimę. Musimy zebrać wielką armię, zaatakować jednocześnie z lądu i morza. Uderzyć w Sulejmana ze wszystkich stron. Musimy podzielić nasze siły – na równinach Węgier, w zamkach Austrii, na ziemiach Serbii, terytoriach Chorwacji, wyspach na Morzu Egejskim. Nieustannie musimy atakować. Nieustrudzenie, w dzień i w nocy. Musimy iść falami.

Kardynał Cagliari wyszczerzył zęby, jakby wybornie się bawił.

– Czcigodny cesarzu – odezwał się drwiąco – jaka armia przeprowadzi taki falowy atak?

– Armia chrześcijan, oczywiście.

– Ach tak, powinienem był o tym pomyśleć – odparł. – Armia krzyżowa... Kto wejdzie w szeregi tej armii?

– Wszyscy chrześcijanie. Każdy chrześcijanin, który może trzymać broń. Każdy mężczyzna i każda kobieta, a nawet każde dziecko. Jedni pójdą z toporami, inni z kopiami. A ci, którzy nic nie mają, będą polegać na swoich pięściach, paznokciach i zębach. Ci, którzy mają konie, popędzą konie. Ci, którzy ich nie mają, ruszą piechotą.

– Piękne słowa – skwitował cicho szwedzki król, drapiąc się po brodzie. – Jaka szkoda, że to tylko marzenie.

– To ostateczna wojna! – zagrział Karol. – Wszyscy chrześcijanie muszą wziąć w niej udział. Miliony. Nie można oczyścić honoru chrześcijaństwa, siedząc w kościołach, modląc się i lamentując. Jeśli my, wszyscy, którzy podążają za Mesjaszem, nie zmażemy tego piętna, chrześcijaństwo przepadnie. To będzie taka wojna. Dlatego od teraz każdy chrześcijanin będzie żołnierzem Jezusa. Będzie walczyć jak tysiąc lat temu.

– I umierać jak tysiąc lat temu – mruknął Gustaw Waza. Odezwał się prawie szeptem, ale wszyscy słyszeli jego słowa. Waza mówił dalej, nie dając Karolowi szansy zabrania głosu: – Jestem zmuszony przyznać, że nie wierzę, iż możemy stworzyć taką armię, Wasza Wysokość. Pomysł Rzymu, żeby zmierzyć się na morzu, jest bardziej realny.

– Oszalałeś, Gustawie! – oburzył się cesarz. – Ty to mówisz? A może zejdziesz z drogi Lutra i zwrócisz się ku Rzymowi? Podobno papież nie jest ci bliski?

Gustaw Waza głośno odchrząknął.

– Gdyby Rzym zaproponował stworzenie armii krzyżowców, sprzeciwiłbym się bez zastanowienia. Nic nie zmienia faktu, że taka propozycja wyszła od ciebie. Moje stanowisko jest jasne: sprzeciw! Poza tym, nawet jeśli poparłbym tę ideę, nie miałyby to znaczenia. Ani w Szwecji, ani w innych północnych krajach nikt nie usłucha tego wezwania i nie pospieszy, żeby dołączyć do armii krzyżowej, chwytając za widły i piki, jak to opisałeś.

Karol zamierzał właśnie posłać go do wszystkich diabłów, gdy poczuł, że ma mętlik w głowie. Coś zaczęło kołatać w jego umyśle, ale nie wiedział, co to jest.

– Mówi prawdę. Ma rację – rozległo się w sali kilka cichych głosów. – Nie mamy siły, żeby stworzyć wielką armię krzyżową.

– Gustawie Wazo – odezwał się z irytacją Karol – powiedziałeś wiele słów, jednak nic nie zrozumiałem. Słyszałem, że ludzie z północy długo rozprawiają, ale nic nie mówią, ale nie wierzyłem. My zaś używamy niewielu słów, ale mówimy

wszystko. Teraz pytam cię wprost: chcesz walczyć za chrześcijaństwo czy nie?

– Dla Jezusa zawsze, ale nigdy dla Julii Colony.

Ramiona Karola opadły. Przegrał. Źle oszacował sytuację. Wściekłym wzrokiem spojrzął na kotarę. Popełnił błąd, słuchając rad Izabeli. Głupie babsko. Chrześcijanie mieli być oburzeni zbrukaniem niewinności Joanny Aragońskiej. Cały kontynent miał powstać do walki. Tymczasem nikogo to nie obchodziło.

– A cnota dziewicy Baffo? – mruknął bez nadziei.

– Szwecja bardzo nad nią ubolewa. Jest zdania, że to właśnie ze względu na nią należałoby powziąć zemstę na korsarzach.

Cesarz omiótł salę ponurym wzrokiem. W ustach mu zaschło. Sądził, że jest o krok od zdobycia korony wschodniego Rzymu, ona zaś przeszła mu koło nosa.

– Dobrze – odparł ze złością. – Czym Ojciec Święty zamierza zwyciężyć na morzu?

Pożałował tego pytania, gdy tylko wydobyło się z jego ust. „Niech to szlag, palnąłem głupstwo – skarcił się w duchu. – Czy cesarzowi przystoi takie pytanie?”

– Okrętami, Wasza Wysokość, okrętami – wypalił Andrea Doria, nie dając szansy Cagliariemu.

Zasłużył na tę złośliwość, więc milczał. Obrzucił go tylko spojrzeniem.

– Możemy stworzyć flotę tak wspaniałą, jakiej nie widziano nigdy dotąd w historii. Możemy zaatakować z niewiarygodną siłą.

– Niewiarygodną siłą? Na kim się oprzemy? Czy Ojciec Święty o tym też mówi?

Massimo Cagliari pomyślał, że w tym miejscu warto byłoby rzucić Karolowi jakiś ochłap.

– Ojciec Święty wam ufa, czcigodny cesarzu. Waszej niezachwianej wierze, odwadze i potędze hiszpańskiej floty. Flota papieska dołączy do waszej armady. Fondi, Genua...

Doża wenecki Sebastiano Baffo zerwał się podekscytowany.

– Tak, Wasza Wysokość! Wenecja stoi w gotowości dla Cecylii Baffo. Zobowiązujemy się zapewnić flocie krzyżowej sto osiemdziesiąt ciężkich galer, galeonów i okrętów towarowych. W ciągu dwóch miesięcy zostanie ukończona budowa czterdziestu trzymasztowych galer. One także wesprą siły krzyżowców. Uratujemy moją bratanicę... – Zamilkł. Sebastiano Baffo opadł na siedzenie, a jego twarz spąsowiała. Był bliski płaczu. „Ach, Cecilio, moja śliczna, w końcu zapłonął płomień nadziei na twoje ocalenie...”, pomyślał. Jednak jego wąta pociecha nie trwała długo. „Oczywiście, jeśli dziewczyna żyje”, szatan podsunął mu nieznośną myśl. – Albo pomścimy Złotą Córę Wenecji – dodał.

Teraz nadeszła kolej na Karola. Próbował przypomnieć sobie słowa, które przed chwilą powiedział ten nędzny kardynał. Komu ufał papież? „Mnie. Mojej wierze, odwadze i potędze hiszpańskiej floty. No proszę...”. O tym nie pomyślał.

Bez niego, na łądzie czy na morzu, wszyscy byli niczym. Z nim chrześcijaństwo miało siłę, bez niego nie. Uczucie, które ogarnęło go przed chwilą, znów dało o sobie znać.

Miał przed sobą dwie drogi. Pierwsza z nich idealnie mu pasowała. Mógł powiedzieć: „Wszyscy jesteście tchórzami, a największy tchórz jest w Rzymie. Nie obchodzi was chrześcijaństwo. Jak spojrzycie w oczy swoim żonom i córkom? Nie będzie wam wstyd wejść do kościoła i modlić się, klękając przed Jezusem Chrystusem i Maryją? Wynoście się i pochowajcie po kątach. Hiszpania was nie potrzebuje. Jestem gotowy sam zostać mieczem Chrystusa” i wyjść.

Wszystko by się skończyło.

Druą z pewnością odzwierciedlała myśli Izabeli. Żona zawsze mu powtarzała: „Jeśli okoliczności nie chcą się do ciebie dopasować, ty dopasuj się do nich”. Jeśli przyjmie propozycję papieża, uzna zwycięstwo floty krzyżowej za własne dzieło. Przez chwilę wsłuchał się w swoje myśli. „Tak, Karolu. To zdecydowanie będzie twoje zwycięstwo. Wszyscy będą tak uważać, ponieważ ty jesteś najsilniejszy. Bez ciebie nikt się nie utrzyma. Nie zostanie odniesione żadne zwycięstwo. Poza tym może Doria ma rację. Druzgocąca porażka na morzu może doprowadzić Imperium Osmańskie do upadku. Triumf nad niepokonanym Sulejmanem może poderwać do walki zniewolone ludy chrześcijańskie. Ten, kto raz poniósł klęskę, może znów zostać pokonany. Później jeszcze raz i jeszcze raz... Właśnie wtedy zacznie się wielka wyprawa na Jerozolimę, a ty będziesz szedł na czele”.

Cesarz nagle zwrócił się do Andrei Dorii:

- Ile okrętów potrzebujesz, admirale?
- Wszystkie, które macie, czcigodny panie.
- Ile, Dorio? Podaj mi liczbę.
- Tysiąc! Może jeszcze więcej...

Salę ogarnęło poruszenie.

– Tysiąc? To niemożliwe.

Doria też wiedział, że to niemożliwe. Przedstawienie sytuacji jako beznadziejnej było jedynym sposobem na to, żeby nie musiał stawiać czoła Rudobrodemu.

– Z grubsza dodałem to, co zadeklarowali nasi szlachetni królowie przemawiający przed chwilą... Nie daje nam to zbyt wiele. Jeszcze dużej części...

Karol zrezygnował z czekania na ruch kotary. Jego twarz pałała. Oczami wyobraźni już widział to zwycięstwo.

– Dostaniesz tysiąc okrętów, Genuńczyku!

Po chwilowym zaskoczeniu wzniosły się oklaski zgromadzonych.

– Ty, admirale – cesarz Karol wskazał Dorię – ukarż bezbożników, którzy zadali gwałt niewinności świętej Joannie Aragońskiej. Ocal wenecką dziewicę

Cecilię Baffo.

„Właściwie żadna z nich mnie nie obchodzi, Genuńczyku – powiedział w duchu. – Niech idą do diabła. Przynieś mi głowę Sulejmana z koroną Konstantyna!”.

XXII

Nowy Pałac
Łaźnia odalisek

Cecilia z ociąganiem weszła do środka. Meneksze i pozostałe dwie kobiety szły za nią. Wszystko wykute było z marmuru. Na podłodze była woda. Nad jej głową wznosiło się kopulaste sklepienie. Dokładnie naprzeciwko niej znajdowały się wielkie drewniane drzwi.

Na podłodze przed drzwiami stały przedziwne drewniane buty. Meneksze wsunęła w nie stopy.

– Włóż – powiedziała do Cecylii, wskazując je. Jej głos odbił się echem w kopule. – To chodaki. Włóż. Włóż.

– Włóż. Włóż.

Tym razem usłyszała swój głos odbijający się od sklepienia. Nie mogła się zdecydować, co powinna zrobić. Niemożliwe było, żeby chodzić w czymś takim. Żeby ją zachęcić, Meneksze zaczęła przechadzać się w tę i z powrotem, chichocząc.

Drzwi za nimi ponownie się otworzyły. Ukazała się w nich postać czarnoskórego chłopca, który został na zewnątrz. Trzymał wiele różnych rzeczy. Biała służąca towarzysząca Meneksze podeszła do niego i odebrała je. Drzwi znów się zamknęły. Cecilia stała bez ruchu. Biała kobieta zwróciła się do niej:

– Rozbierz się, moja śliczna.

Cecilia patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Rozbierz się.

Dziewczyna spojrzała na Meneksze, oczekując pomocy.

– Roz-bierz się – powiedziała służąca.

Zaczęła wykonywać ruchy, jakby zdejmowała z siebie ubranie.

Tym razem Cecilia zrozumiała.

– Nigdy – burknęła. – Przy was? Nigdy.

– Spójrz, moja śliczna. O tak – powiedziała biała służąca, podczas gdy pozostałe chichotały.

Po chwili stanęła przed nią całkiem naga. Cecilia patrzyła na to oczami szeroko otwartymi z przerażenia i wstydu.

– Zrozumiałaś? Zdejmij to, co masz. Czego się wstydzić? Przecież wyglądamy tak samo. Wszystko jasne? No dalej, nie ociągaj się.

Cecilia nie mogła się ruszyć. Na chwilę jej wzrok przykuło ciało dziewczyny – nieskazitelne, idealne, jakby wyszło spod rąk rzeźbiarza. Zawstydzona odwróciła głowę. Nic nie rozumiała z tego, co do niej powiedziała, ale z tonu służącej wywnioskowała, że zaczyna się denerwować.

– Nigdy się nie rozbiorę! – krzyknęła. – Po co mam się rozbierać? Nawet nie

ma tu wody. Czyżbyście myślały, że umyję się w tej kałuży na podłodze?

Dziewczyna, która się przed nią rozebrała, owinęła się tkaniną o grubym poprzecznym splocie, jeden jej koniec wciskając pod pachę.

– O tak, dobrze? Nie bój się, dziewczyno. Nikt nie będzie cię za nic łapał. Mamy to samo co ty.

Trzy czarne kobiety roześmiały się na te słowa, które dla niej były niezrozumiałe.

Meneksze, wpatrując się w nią błyszczącymi oczami, delikatnie ujęła ją za rękę.

– Cze-czi-lo – powiedziała, z uwielbieniem wypowiadając każdą sylabę. – Rozbierzemy się. Najpierw się rozbierzemy, a później łaźnia.

Puściła jej dłonie. Nie odrywając wzroku od Cecylia, z uśmiechem na ustach powoli zaczęła się rozbierać. Druga czarnoskóra dziewczyna zrobiła to samo.

Cecilia zasłoniła oczy. Widząc to, służące roześmiały się w głos. Jak to robiły? Ukradkiem rozłożyła palce i zerknęła na dwie czarne dziewczyny. Teraz również i one stały przed nią gołe. Zaparło jej dech. „Boże, są takie piękne, takie małe”, pomyślała ze wstydem. Poczula ból na widok nagiego szczupłego, dzieciennego ciała Meneksze.

Dwie dziewczyny, owijając się takimi samymi płótnami, zakryły swoją nagość.

– Pora na Cze-czi-leeę... – odezwała się Meneksze, uroczo przedłużając ostatnią sylabę. – No dalej.

Zauważywszy, że trzy dziewczęta zbliżają się do niej, pojęła, co zamierzają. Próbowała uciec w stronę drzwi, ale było za późno.

– Nie ważcie się tego robić! – wrzeszczała.

Nie zrozumiały.

– Zostawcie mnie!

Po chwili szlachetna córka Wenecji Cecilia Baffo stała przed trzema służącymi taka, jaką urodziła ją Maria Baffo. Wijąc się ze wstydu, jedną ręką starała się zasłonić krocze, drugą zaś piersi.

– Popamiętacie! Wszystkie was zabiję!

Meneksze wzięła od swojej towarzyszki ostatni kawałek płótna. Wraz z drugą czarnoskórą służącą chwyciły go za końce i rozciągnęły przed Cecilią jak zasłonę.

– Przepaska – powiedziała Meneksze.

Później powtórzyła, dzieląc słowo na sylaby, jakby dzięki temu Cecilia miała je zrozumieć.

Jednak ona była zbyt zawstydzona, aby powtórzyć nowe słowo. Policzki płonęły jej ogniem. Po raz pierwszy stała nago przed kimś obcym – i to trzema dziewczynami.

Czarnoskóre służące powoli owinęły ją przepaską. Poczuła miękki dotyk tkaniny. Była taka lekka.

Meneksze wcisnęła jej wolny, obsyty frędzlami koniec pod pachę, między płótno a ciało.

– To wszystko.

Później uklękła w wodzie na podłodze. Delikatnie zsunęła ze stóp Cecilii sandały z marokańskiej skóry. Tym razem nawet nie miała zamiaru się sprzeciwić. I tak to zrobią. Włożyła jej drewniaki.

Przerażona próbowała utrzymać równowagę na wysokich drewnianych koturnach. Boże, jak ona ma w tym chodzić? „Skoro te trzy służące robią to z łatwością, tobie też się to uda”, pomyślała ze złością.

Nagle przypomniała sobie o ubraniu, które z niej ściągnięto. Gdzie się podziało? Leżało na podłodze. Rozgniewana próbowała przejść w stronę tamtego rogu, chwiejąc się na koturnach. Pochyliła się z trudem i podniosła je.

– Me-nik-sze – powiedziała rozsierzona. – To moje ubranie. Chcę je. Dobrze?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Dobrze? To moje jedyne ubranie. Nic innego nie włożę. Zrozumiałaś? Wypierzcie je, wysuszczone i przynieście mi z powrotem. Albo ubiorę się w nie, nawet jeśli będzie brudne i mokre.

– Zostaw te śmierdzące szmaty – odparła biała służąca.

Zdecydowanym ruchem wyrwała jej ubrania. Cecilia próbowała się opierać, ale przestraszyła się, że jej suknia może się podrzeć. Jeśli było coś, co nie powinno się wydarzyć, to właśnie to.

– Zrozumiałaś mnie? – zwróciła się do Meneksze resztką sił. – Chcę je z powrotem.

Twarz dziewczyny znów rozświetlił uśmiech. Czy była taka chwila, kiedy się nie uśmiechała? Pewnie nie.

Dziewczyna nagle klasnęła w rękę.

– Łażnia!

Ujęła Cecilie pod rękę i pomogła jej bezpiecznie dotrzeć do drzwi naprzeciwko.

Pozostałe dwie dziewczyny z wysiłkiem je pchnęły, ale gdy tylko trochę je uchyliły, stało się coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Wraz z kłębem bardzo gorącej pary wydobył się z wnętrza kobiecy śmiech. Radosny śmiech, plusk wody, a także towarzyszące temu dźwięki instrumentów i wesołe piosenki.

Gdy służącym wreszcie udało się je otworzyć, Cecilii wydawało się, że wkracza w świat baśni, *Baśni tysiąca i jednej nocy*.

Stała w progu, patrząc z niedowierzaniem, podziwem i ciekawością. Pośród unoszących się obłoków pary dostrzegła na środku ośmiokątne, marmurowe

podwyższenie, a na nim rozłożone kolorowe tkaniny. Na nich leżały trzy dziewczyny, najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widziała. Pośrodku znajdowała się wielka taca. Była pełna winogron, brzoskwiń i wielu innych nieznanych jej owoców. Na niewielkim stoliku stały trzy srebrne puchary. Kto wie, co było w środku...

Gdy opary nieco się przerzedziły, zobaczyła kobietę śpiewającą wesołą piosenkę, którą usłyszała przy wejściu. Siedziała przed fontanną wtopioną w marmurową ścianę. Z fontanny do znajdującego się przed nią niewielkiego basenu lała się gruba kolumna wody. Kobieta siedziała nad brzegiem wody, trzymając w ramionach instrument, jakiego Cecilia nigdy wcześniej nie widziała. Palce jej jednej ręki poruszały się po gryfie, a palce drugiej uderzały plektronem o struny. Miała piękny głos – wysoki, pełen uczucia, poruszający. Mimo że Cecilia nie rozumiała, o czym śpiewa, jej głos ją porywał.

Były też inne dziewczęta, usadowione przed wielkim kranem na przeciwnej ścianie. W dłoniach miały błyszczące naczynia, które napełniały gorącą i zimną wodą z mis wyrzeźbionych w marmurze i polewały sobie głowy. Dziewczęta obmywały się, a jednocześnie śmiały się i bawiły. Niektóre z nich wtórowały śpiewającej towarzysze.

Oczywiście wszystkie zamarły, widząc w drzwiach łaźni Cecilie w otoczeniu trzech służących. W jednej chwili spowite parą dziewczęta spojrzały na przypatrującą im się z ciekawością nowo przybyłą. Patrzyły na Cecilie z tak samo wielkim podziwem jak ona na nie. Podobnie jak ona myślały, że jest to najpiękniejsza dziewczyna, jaką widziały w życiu.

Po chwili wszystko znów ożyło. Woda lała się z misek. Słowa piosenki śpiewanej przez dziewczynę przy fontannie odbijały się echem w wielkiej kopule nad nimi.

– Chodź, Cze-czi-lo.

Meneksze ostrożnie podprowadziła ją do jednego z kranów. Były tam jeszcze dwie dziewczyny. Skóra jednej z nich była biała jak mleko. Druga nie była czarna, ale miała odcień niemal tak samo ciemny. Obie były niewiarygodnie piękne. Uśmiechając się, ale jednocześnie uważnie jej się przyglądając, zrobiły Cecilii miejsce przy kranie.

Usiadła na marmurze. Wzięła naczynie, które podała jej Meneksze, i zanurzyła w marmurowej misie. Później wylała jego zawartość na głowę. Woda z włosów spłynęła jej na twarz i ramiona.

– Gorąca!

Meneksze zrozumiała. Natychmiast odkręciła drugi kurek.

Ponownie napełniła naczynie. Westchnęła. W tym westchnieniu były wszystkie strapienia, lęki, panika, poczucie beznadziei i klęski, wyczerpanie, nawet upór, a także uczucie, że balansuje na krawędzi śmierci.

Czy woda, razem z brudem, zabierze też strach? Albo zmyje z niej piętno niewolnicy i ukáže wolną, szlachetnie urodzoną, wenecką piękność?

Jedna z leżących na podwyższeniu dziewcząt wstała. Jej przepaska nasiąknięta wodą zsunęła się i spadła na podłogę. Kilka dziewcząt roześmiało się. Wcale się tym nie przejęła. Schyliła się powoli, podniosła przepaskę i rzuciła ją na podwyższenie. Jej mokre, bujne włosy były tak długie, że ich końce prawie sięgały bioder. Dziewczyna, nie wstydząc się i nie ukrywając swojej nagości, lekkim krokiem ruszyła w stronę stolika, jakby była w balowej sukni. Do jednego ze srebrnych pucharów naląła z dzbana jakiś płyn. Cecilia odruchowo oblizła wargi. W tej samej chwili Meneksze wylała jej na głowę miskę wrzącej wody.

– Boże! – wykrzyknęła. – Wszystkie zjednoczyły się, żeby mnie torturować.

Naga dziewczyna podeszła, kołyszając biodrami, i zatrzymała się tuż przed nią. Pochyliła się delikatnie i podała jej kielich. Cecilia nie wiedziała, co zrobić. Jeśli podniesie głowę... Mój Boże, zobaczy jej najbardziej intymne miejsce. Jeśli odmówi, umrze z pragnienia.

– Weź to, moja śliczna. Pij. Wygaś swój płomień.

Nie podnosiła głowy, mimo to zobaczyła prawie wszystko. Chwyciła puchar i wypić jednym haustem. Miała wrażenie, jakby wylewała wodę na rozżarzone węgle. Poczwała, jak płyn rozlewa się po jej ciele. Poczwała wdzięczność.

Dziewczyna się wyprostowała. Kopuła wypełniła się jej perlistym śmiechem.

– Hej, dziewczęta, nawet nie mamy pojęcia, jaki w tej nowej żar. Płonie żywym ogniem.

Pozostałe dziewczyny także się roześmiały.

Wzięła od Cecylie pusty kielich i kołyszając biodrami, wróciła na podwyższenie. Spojrzała na podłogę, na brudną wodę spływającą rynną wydrążoną w marmurze. „Zabiera wszystko, co do mnie należy”, pomyślała. Poczwała, jakby coś ugrzęzło jej w gardle. Próbowwała przełknąć, ale na próżno. Była bliska łez. Zauważyła, że obraz przed oczami zaczyna się rozmazywać. Połała sobie głowę wodą z miski, żeby nie było widać, że płacze. Później jeszcze raz. I jeszcze raz.

Jednak Meneksze zrozumiała, co się dzieje.

Zza wodospadu ociekającej wody Cecilia spojrzała oczami pełnymi łez w twarz tej drobnej dziewczyny o brylantowym uśmiechu. Po raz pierwszy zobaczyła ją smutną. Co więcej, jej oczy także zasły mgłą.

Meneksze nagle się podniosła. Nie wiadomo skąd wyciągnęła suchy materiał i owinęła nim jej głowę. W ten sposób starała się, żeby pozostałe odaliski nie zauważyły, że płacze. Innym pasem tkaniny okryła jej ciało.

– Dalej – odezwała się do obecnych, wycierając włosy Cecylie w ręcznik. – Idziemy. Koniec przedstawienia. Cze-czi-la jest zmęczona. Odpocznie.

Ująwszy ją pod ramię, zaprowadziła do drzwi. Dwie pozostałe służące także pomagały, żeby Cecilia nie przewróciła się w drewniakach. Przez materiał na

głowie i łzy niewiele widziała. Po nagich nogach rozpoznała dziewczynę, która poczęstowała ją sorbetem.

– *Grazie* – szepnęła do niej, przechodząc. – Dziękuję.

Z trudem szła dalej. W każdej chwili mogła się przewrócić. Teraz powinny przechodzić dokładnie przed fontanną. Piękny głos kobiety dochodził do niej z bardzo bliska.

W tej właśnie chwili zauważyła, że kobieta przez cały czas grała to samo i śpiewała tę samą piosenkę. Odkąd weszła do środka, zaśpiewała ją cztery razy. Teraz powtarzała ją po raz piąty. Spośród niezrozumiałych dla niej słów jedno utkwiło jej w pamięci – tęsknota. Nie wiedziała, co znaczy, ale kryło w sobie jakąś tajemnicę. Piękny, przejmujący kobiecy głos, wyśpiewując je, zmieniał się w jęk.

– Tęsk-no-ta – powtarzała, żeby nie zapomnieć. – Tęsk-no-ta.

Koniecznienie musiała się dowiedzieć, co to znaczy.

Kolejnych pięć dni nie różniło się niczym od poprzednich. Cecilia krzyczała, tłukła naczynia i wylewała ich zawartość. Nikt nie powiedział jej, że już dość, że ma się uspokoić. Nikt oprócz Meneksze nie otworzył drzwi. Nikt oprócz niej nie pocieszył jej: „Nie płacz”. Nie była pewna, czy czarnoskóra dziewczyna właśnie to powiedziała, ale Meneksze przyklękła przed nią i patrzyła w milczeniu z niezrównaną cierpliwością. Kilka razy Cecilia zauważyła na hebanowej twarzy dziewczyny spływające po policzkach perłowe łzy.

Może i ona płakała nad swoją dolą. Chociaż miały skórę w innym kolorze, to dzieliły taki sam los. Obie były tu uwięzione.

– Ja jestem niewolnicą do miłości – mruknęła do siebie pewnego dnia. – Me-nik-sze niewolnicą do usługiwania. Obie jesteśmy daleko od swoich ojczyzn, domów, od tych, których kochamy. Obie jesteśmy po prostu niewolnicami.

Wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale poczuła, że pokochała tę dziewczynę. Właściwie po tym, jak Gabriella zdradziła ją na okręcie Rudobrodego, obiecała sobie, żeby nie ufać i nie współczuć żadnej służącej. Ale wielkie, błyszczące oczy Meneksze, pełne życia, ciało wyglądające jak wypolerowane, grube wargi na wiecznie uśmiechniętej twarzy, nie pozwoliły jej wytrwać w tym postanowieniu.

Nie rozumiała się, ale trudno. Przynajmniej nie była sama. Dziewczyna potrafiła zrozumieć jej zmartwienia i lęki, nawet jeśli nie pojmowała jej słów. Słuchała bez słowa, kiwając głową i wzdychając, kiedy jakieś słowo jej się spodobało – na przykład *amore* – powtarzała je. Później zaś nagradzała Cecilie wielkim, promiennym uśmiechem.

Pewnego dnia opowiedziała jej o Wenecji. O jej kanałach. Rezydencji. Matce. Dziewczyna natychmiast zrozumiała, co znaczy *mamma*. Zapewne przypomniawszy sobie swoją matkę, bo jej oczy napęłniły się łzami. Wcześniej nauczyła ją też słowa *bella*³⁵.

– *Bella* – powiedziała, wskazując na nią palcem. – Ty *bella*.

– Bel-la.

Cecilia pokiwała głową.

– Tak, *bella*.

– *Bella, bella* – powtórzyła kilka razy Meneksze. Później wskazała na Cecilie. – Ty bel-la. I to bardzo bel-la.

Właściwie nie było prawdą, że wszystko było tak samo jak pięć dni wcześniej. W jej życiu zaszły dwie istotne zmiany. Przede wszystkim nie miała już swojej sukni. Gdy wyszła z pełnego pary pomieszczenia i udała się do drugiego, w którym panował chłód, zaczęła wypytywać:

– Moje ubranie. Gdzie jest moje ubranie?

Nie było go.

Nic nie pomogły jej wrzaski i krzyki. Chciała otworzyć drzwi i wyskoczyć na korytarz w przepasce, ale nie pozwoliły jej. Ze stopy zsunął jej się drewniak i wykręciła jej się noga w kostce. Poczowała dojmujący ból. Gdyby nie któraś służąca, pewnie by upadła.

– Me-nik-sze! – wołała, zwijając się z bólu. – Chcę moje ubranie! Natychmiast!

Druga służąca trzymała dużo przeróżnych strojów.

– Nie chcę ich widzieć. Nie włożę tych przeklętych szmat. Nikt nie zmusi mnie do noszenia tych brzydkich, paskudnych łachów. Nawet Barbarossa mnie do tego nie zmusił, a wam miałyby się to udać?

Jednak im się udało.

Najpierw włożyły na jej nogi lniane, sięgające prawie do kolan, pantalone. Choć krzyczała i szarpała się, nie umknęły jej uwadze piękne hafty na zakończeniach nogawek. Później ubrały ją w zwiewną koszulę, która na wysokości piersi nieco się zwężała, pomniejszając jej piersi.

Meneksze pokazała jej dwie rzeczy przypominające spodnie. Jedne czerwone, a drugie zielone.

– Które chcesz, Cze-czi-lo?

Zrozumiała, że ma wybrać któreś z nich. Były to luźne, jedwabne spodnie, wąskie w kostkach. Przypomniała sobie zieleń Murano. Poczowała ukłucie w sercu.

Błyskawicznym ruchem wyrwała z rąk dziewczyny czerwoną tkaninę i rzuciła ją w wodę.

– Sama je sobie noś! Nie włożę tych szmat!

Tak naprawdę w chwili, gdy dotknęła szarawarów, zadrżała pod wpływem delikatności jedwabiu. Meneksze nic nie powiedziała. W każdym razie Cecilia dokonała wyboru.

– Cze-czi-li podobają się zielone. Będą pasowały do jej zielonych oczu.

Rozpoczęła się nowa walka. Jednak wiedziała, że jej opór na nic się nie zda.

Ponieważ marynarze na okręcie nie mogli jej dotknąć, to ona odniosła zwycięstwo w kwestii włożenia ubrań przysyłanych przez Barbarosę. Ale trzy dziewczyny bez wahania obejmowały ją, przytrzymały, a ich ręce sięgały jej najbardziej intymnych miejsc.

W końcu miała na sobie zielone, jedwabne szarawary.

– Bel-la – powiedziała Meneksze, przyglądając się jej.

„Należałoby tu użyć innego słowa, ale trudno”, pomyślała. Mimo wszystko zrobiło jej się miło, że Meneksze użyła słowa, którego ją nauczyła.

Cecilia postanowiła zrezygnować z uporu. Jak długo mogła się opierać? Po dwóch miesiącach jej suknia była przecież brudna i podziurawiona. Nie mogła jej wiecznie nosić. Nawet jeśli nie rozstałaby się z nią, materiał w końcu by nie wytrzymał. Co by wtedy zrobiła? Miała chodzić goła, bo jest dumna i uparta? „Tak jak chodzę głodna”, mruknęła w duchu.

W talii miała teraz wąski pas pleciony z żółtych włókien. Czyżby był złoty? Położyła dłoń na pasku, próbując wyczuć, z czego jest zrobiony. Naprawdę był ze złota. Żółte włókna były tak misternie ze sobą splecione, że nie sposób było ich nie podziwiać. Z przodu zaś znajdowała się wielka klamra.

Podczas gdy Meneksze przyglądała się jej z zachwytem, druga dziewczyna wkładała jej kaftan z tafty, sięgający kolan. Gdyby nie rzuciła na podłogę czerwonych szarawarów, bardzo by do niego pasowały. Góra była o ton ciemniejsza. Kaftan był tak bogato wyszywany brokatową nicią i koralikami, że w pierwszej chwili wydawało się, że musi być bardzo ciężki, ale gdy go włożyła, przekonała się, że wcale taki nie był. Meneksze poprawiła rozszerzające się za łokciem rękawy.

– Bardzo ci w nim do twarzy. Ty bel-la, bel-la.

Cecilia mimowolnie się uśmiechnęła. Zaraz jednak uzmysłowiła sobie, że nie powinna tego robić, i jej twarz znów spochmurniała. Ciekawe, jak wyglądała. Nawet nie mogła sobie wyobrazić siebie w tym stroju.

Meneksze zrobiła krok do tyłu i bacznie jej się przyglądała, niczym malarz podziwiający swoje dzieło. Później wzięła Cecilie za rękę i zaprowadziła do drzwi. Zatrzymała się w progu. Pochyliła się, zdjęła jej jeden z drewniaków i osuszyła rącznikiem jej maleńką stopę niknącą między jej czarnymi dłońmi. Następnie włożyła jej żółty trzewik z zadartym czubkiem. To samo zrobiła z drugą stopą.

Tym razem Meneksze nie wyraziła swojego podziwu, bo kolory wzajemnie się ze sobą gryzły.

Otworzyła drzwi i wyszły na korytarz. Czekał tam na nie czarny chłopak, który był z nimi wcześniej. Zobaczywszy Cecilie w jej nowym stroju, przez chwilę przyglądał jej się tępym wzrokiem.

– Co tak patrzysz? – mruknęła Cecilia. – Śmiesznie, prawda? Myślisz, że włożyłam to z własnej woli? Ukradły mi ubranie. Pozbyły się go w jednej chwili.

Chłopak tym razem otworzył drzwi po drugiej stronie.

Służące, pokonując zaciekły opór Cecylii, wprowadziły ją do pomieszczenia. Pewnie tu znajdowała się garderoba. Były tu dwie wąskie otomany ustawione po obu stronach oraz mały, okrągły stół przy ścianie i jedno krzesło.

Meneksze delikatnie posadziła ją na otomanie. W jej rękę nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się drewniany grzebień. Pokazała go Cecylii.

– Grze-bień – powiedziała. – Grze-bień.

– Grze-bień.

Służące zachichotały.

Meneksze, lekko ją obracając, zaczęła rozczesywać jej włosy. Powoli przesuwała grzebień, żeby nie sprawić jej bólu. Nagle Cecilia poczuła zapach róż. Nie trwało długo, zanim pojęła, że coraz silniejsza woń pochodzi z grzebienia. Był wykonany z drewna różanego.

Gdy rozczesywanie dobiegło końca, Cecilia miała wrażenie, że jej głowa zrobiła się ogromna. Jej kręcone, gęste włosy się uniosły.

Meneksze okryła jej głowę białym tiulem, który przypięła spinkami do włosów, żeby się nie zsunął.

– Dziewczyno, wyglądasz jak anioł.

Były to słowa pulchnej białej służącej.

Oczywiście Cecilia nie zrozumiała, co tamta powiedziała, ale z wyrazu jej twarzy domyśliła się, że jej się podoba.

Meneksze też to potwierdziła:

– Bel-la, bel-la.

Gdyby tylko sama mogła się zobaczyć w tych przeklętych łąkach.

W rękach drugiej czarnoskórej dziewczyny pozostało już tylko jedno – wysoki, spiczasty *hotoz*. Nie zwróciła na niego uwagi, gdyż nie przypuszczała, że może mieć cokolwiek wspólnego z jej strojem. Jednak gdy służąca ruszyła w jej stronę, wytrąciła go z jej rąk.

– Nie chcę. Tego nie chcę.

Dziewczyny coś powiedziały, ale zlekceważyła je.

– Nigdy. Prędzej umrę, niż włożę to na głowę. Co to za czapka błazna?

Służące postanowiły nie nalegać. Wyszły z pomieszczenia. Przed nimi znów pojawił się czarnoskóry chłopak. Cecilia modliła się w duchu, żeby i tym razem przechodzili obok srebrnego lustra, które widziała poprzednio.

„Muszę się zobaczyć, koniecznie muszę się zobaczyć”, ta myśl nie dawała jej spokoju. Postanowiła, że rozerwie wszystkich na strzępy, jeśli cokolwiek w tym stroju okaże się śmieszne, brzydkie czy cudaczne.

Nagle zobaczyła mały plac z wielkim mosiężnym rusztem. To właśnie tam było lustro. Co sobie pomyśla, jeśli pójdzie tam i przejrzy się w nim? Czy nie będzie to wyglądało tak, jakby bardzo ucieszyła się ze swojego nowego stroju? Czy

będzie w stanie coś dostrzec, gdy tylko w przelocie rzuci okiem?

Nie musiała się dłużej zastanawiać. Meneksze złapała ją za nadgarstek i postawiła przed wspaniałym srebrnym lustrem sięgającym od podłogi do sufitu. Cecilia przymknęła oczy, zrozumiałwszy, że w lustrze zobaczy własne odbicie.

Stała tak przez chwilę. Nie miała odwagi otworzyć oczu. Meneksze odezwała się cicho. Słyszała, że pozostali też coś mówią. Zapewne patrzyli na brzydką Cecilie w lustrze. Kto wie, jak z niej drwili.

„Nie możesz tak stać w nieskończoność, Baffo – odezwał się jej wewnętrzny głos. – Otwórz oczy”.

Ze strachem rozchyliła powieki. Najpierw ujrzała odbicie kilku postaci. Ponownie przymknęła oczy.

– Dalej, Cecilio – mruknęła. – Zobacz, jak Cecilia Wenecjanka stała się konstantynopolitańczyką.

Zebrała się w sobie i otworzyła oczy. Przez chwilę patrzyła na obcą dziewczynę stojącą u boku Meneksze. „Skąd ona się tu wzięła? – zastanawiała się. – A gdzie ja jestem?”. Zdziwiona odwróciła się przez ramię. Nie było tam nic oprócz wielkiego mosiężnego rusztu. Ponownie obróciła się do lustra.

– Najświętsza Panienko! – Cecilia zasłoniła usta, żeby stłumić okrzyk niedowierzania. – To... ja...

To ona była tą obcą dziewczyną. Dobry Boże. Podeszła jeszcze krok do lustra. Pozostali zostali z tyłu.

– Najświętsza Panienko... – westchnęła znowu. – To ja. – Tym razem w jej głosie słychać było podziw.

Cecilia z lustra przypominała dziewczyny z baśni, które opowiadała jej matka. Była czarująca, zapierająca dech w piersiach i tajemnicza. Gdyby jej twarz rozjaśnił uśmiech, wyglądałaby wspanialej. Jej włosy pod tiulem, którym przykryła je Meneksze, sprawiały wrażenie osnutych mgłą. Czerwony kaftan z tafty i jego zdobienia prezentowały się bardzo bogato. Jednak tym, co najbardziej przykuwało wzrok, były spodnie. Nigdy by się nie spodziewała, że to szerokie coś będzie się jej podobać. Dotyk jedwabiu, pieszczący jej ciało z każdym krokiem, odbierał zmysły. A do tego ten kolor... Zawsze lubiła zieleń. W Wenecji, ilekroć wychodziła na targ, miała ochotę kupić wszystko, co było wykonane z zielonego szkła Murano. Zieleń, którą mistrzowie z Murano barwili szkło, była wyjątkowa. Miała w sobie ciepłe, głębokie światło. Cecilia natychmiast sprzeciwiła się, słysząc: „Nie mów głupstw, zieleń to zieleń”. „Zieleń Murano jest inna. Niewiarygodna. Zachwycająca”. Taką właśnie barwę miały te szerokie spodnie. „Niewątpliwie oszalałam na punkcie zieleni”, przyznała przed sobą.

Obróciła się w prawo i zerknęła na smutne, ponure odbicie, a następnie w lewo.

– Bel-la, bel-la – chichotała Meneksze stojąca za nią.

– *Si* – odezwała się cicho Cecilia. – Tak, piękna.

Później uniosła głowę, wyprostowała ramiona i ruszyła naprzód.

Tego dnia, gdy wchodziła po schodach, przeżyła drugą przemianę. „Idąc do łaźni, nie szliśmy tędy”, myślała. Po chwili czarnoskóry chłopak otworzył jakieś drzwi. Weszli do miejsca przypominającego duży balkon. Wzdłuż balkonu znajdował się rząd pokoi. Po drugiej stronie była drewniana, rzeźbiona barierka. Zobaczyła kilka dziewcząt usadowionych na siedziskach tuż przy poręczy. Z niektórych pokoi niosły się głosy płaczących i śmiejących się dzieci. Jedna z dziewcząt, odwrócona plecami, karmiła piersią niemowlę.

Cecilia Baffo była teraz we właściwym haremie. To właśnie tu znajdowała się piekielna przepaść.

Z wściekłości znów zaczęła odchodzić od zmysłów. Umyły ją tylko po to, żeby wcisnąć ją do łoża sułtana. Przebrały i przystroiliły, żeby mu się spodobała. Te niewolnice były odaliskami sułtana. Wszystkie, tak jak ona, były miłosnymi niewolnicami. Dzieci, których głosy słyszała, zostały spłodzone przez sułtana.

W chwili gdy zamierzała wykrzyknąć rosnącą w niej nienawiść, Meneksze otworzyła jakieś drzwi i z nieopisaną radością wprowadziła ją do środka.

To, co Cecilia zobaczyła przez duże okno, znajdujące się dokładnie naprzeciw niej, odebrało jej zmysły.

Morze!

Podbiegła do okna. Mimo że było okratowane, przed nią rozciągał się bezkresny błękit. „Na jednym krańcu Konstantynopol, na drugim Wenecja”, przeszło jej przez myśl. Oczy zaszyły jej łzami. Ten widok był dla jej duszy niczym uzdrawiająca maść.

Godzinami, dniami, miesiącami, latami mogła siedzieć przed tym oknem i wspominać Wenecję. Mogła snuć marzenia o ocaleniu. Mógł tu przyplłynąć wenecki okręt z ogromnym żaglem i uratować ją z tego okazałego więzienia. Albo galera wypływająca z tej przystani... Może za jej sterem stał przystojny, czarnobrody marynarz, który porwie ją i zabierze do domu, ukochanej, pięknej Wenecji.

Zdawało się, że zapomniała o złości i gniewie. Ich okna także były przedziwne. Znajdowały się we wnękach, w które z łatwością można było wejść i usiąść na parapecie. Tak właśnie zrobiła. Usadowiła się na podokienniku. Utkwiła wzrok w błękitcie i tak została.

Minęła reszta dnia. Barwa morza powoli zmieniała się z błękitu w złoto. Okna kilku domów na przeciwległym zboczu płonęły w wieczornym słońcu. Słońce, jakby nie lubiło tej barwy, nagle pomalowało morze i chmury czerwienią. W tej samej chwili na wodę zeszły granat i czerń wieczoru. Pojedyncze smugi światła z drugiego brzegu unosiły się na falach. Czas mijał i w końcu zza wzgórza po przeciwnej stronie wyłonił się okrągły księżyc. Tym razem morze zaczęło się

mienić srebrnym blaskiem.

Ale Cecilia Baffo siedziała nieruchomo. Nawet na chwilę nie oderwała wzroku od fal. Teraz była w Wenecji. Przechodziła przez most Rialto ubrana w tureckie szarawary i kaftan odaliski.

Obudziły ją głosy kobiet i dzieci. Nie pamiętała nawet, kiedy Meneksze zdjęła ją z parapetu i położyła. Nie wiedziała, czy powędrowała do Wenecji we śnie, czy w marzeniach. To nie miało znaczenia. Jej ciało było tutaj, ale dusza w Wenecji.

Jedyne, co było teraz ważne, to mieć jakiś plan.

Natychmiast wstała.

– Me-nik-sze! – zawołała.

W jednej chwili drzwi się otworzyły.

– Cze-czi-lo?

– Przynieś mi coś do jedzenia.

Musiała żyć, żeby zrealizować plan. Musiała robić to, co trzeba, żeby przeżyć. Opuściła Wenecję, marząc o tym, że zostanie królową. Zamierzała spełnić to marzenie.

Zjadła wszystko, co przyniosła dziewczyna. Nie mogła jednak powiedzieć, że zaspokoila trzydniowy głód. Jej pragnienie ugasiły rozmaite sorbety i soki owocowe.

Teraz widziała wyraźniej, a krew szybciej krążyła w jej żyłach. Wygładziła fałdy zielonych szarawarów.

– Me-nik-sze.

Dziewczyna natychmiast pojawiła się przed nią.

– Cze-czi-lo.

Jasne było, że promienieje ze szczęścia.

Tym razem Cecilia chciała papier i pióro, a dokładniej zeszyt, pióro i kałamarz. Ale nie była pewna, czy dziewczyna ją zrozumiała. Tylko na migi mogła jej pokazać, że chce coś napisać. W nocy postanowiła, że każdego dnia będzie spisywać swoje wspomnienia. To umożliwi jej zachowanie rachuby czasu, a jednocześnie, przelewając uczucia na papier, oczyści duszę.

Przed wieczorem dostała to, o co poprosiła – zwój papieru, kałamarz wypełniony czarnym atramentem i czerwone jak ogień, bujne pióro z czymś nadzianym na czubek. Ze skrzydła jakiego ptaka pochodziło? Musiał być bardzo rzadki. Tak bardzo kochała tutejszą czerwień.

Rozłożyła przed sobą papier, zanurzyła pióro w kałamarzu i zapisała:

Straciłam poczucie czasu. Nie wiem, jaki to miesiąc i dzień. Szkoda, że nie mam ze sobą mojego pamiętnika jak w Fondi. Zostałam wprowadzona w sierpniu. Nie jestem pewna, ile czasu spędziliśmy na morzu. Mamy październik, a może już listopad? Jednak nie jest zimno. Albo to mnie się tak wydaje.

Zaczęła od daty według własnej rachuby:
Mój trzeci dzień w sultańskim haremie. Rok 1537. Jestem niewolnicą. Jestem nieszczęśliwa. Tęsknię. Boję się. Podjęłam decyzję.

C.B.

Wiedziała, co to za decyzja, ale nie zapisała tego. W pałacu roiło się od szpiegów. W jej zapiskach nie powinno być niczego, co mogłoby zdradzić jej plany.

Cecilia nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Nic z tego, co przeżyła, nie mogło być prawdą. Było to zbyt niezwykle, żeby mogło nią być.

Na jednej z kart, którą zatytułowała *Zwój cierpienia*, napisała to samo:

Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. To chyba sen. Obudzę się i wszystko się skończy.

Jednak ciche rozmowy w języku, w którym nie rozumiała ani słowa, barwy, zapachy, wpatrzona w nią wiecznie uśmiechnięta Meneksze... Dziwny, ale czarowny strój, który miała na sobie... Wszystko wskazywało na to, że jest inaczej. „Pogódź się z tym wreszcie, Cecilio Baffo. To żaden sen. To wszystko prawda”.

Gdy bezsenna noc dobiegała końca, Cecilia ogłosiła przed sobą podjętą decyzję.

– Prawda czy sen... Było to ze wszech miar niewiarygodne.

Na przykład to, co wydarzyło się tego dnia, było nieprawdopodobne. Tutaj nic nie odpowiadało temu, o czym marzyła, myślała i układała sobie w głowie. To, co przeżyła tego dnia, też temu nie odpowiadało.

Zanim położyła się wieczorem, rozpoczęła kolejny arkusz *Zwoju cierpienia*. Zapisała na nim pełne złości słowa:

Mój szesnasty dzień w haremie. Odchodzę od zmysłów.

Rankiem też wstała zagniewana. Wyjrzała na zewnątrz naburmuszona. Morze widoczne z jej okna było tego ranka równie mroczne co jej dusza. Słońce było za mgłą. Niebieskie niebo zasnuwały białe, szare, a nawet czarne chmury.

– Tak, to na pewno jest prawda. Z nudów odchodzę od zmysłów.

Nastał ranek, a Cecilia po raz siedemnasty obudziła się w tych samych okolicznościach. Po raz kolejny miała przeżywać to samo. Dzieci odalisek będą płakać, a ktoś będzie je niestrudzenie uciszał. Zje posiłki, które przyniesie Meneksze. Będzie patrzyła przez okno, a potem znajdzie jakąś wymówkę i zacznie krzyczeć. Znowu spróbuje dań przyniesionych przez Meneksze i będzie je odpychać, mówiąc: „Za gorące!” albo „To już wystygło!”. Gdy po południu

dziecko mieszkającej w pokoju obok odaliski zacznie zanosić się płaczem, będzie uderzać pięściami o ścianę, wołając: „Uciszcie je!”. Co dziwne, ten niespodziewany hałas przykuje uwagę dziecka i ono przestanie płakać. Oczywiście, aż do chwili, gdy znów zacznie. Cecilia zaś zachowa się tak samo jak każdego dnia.

„Niech to!”, zawoła z całych sił.

Później znów usiądzie przy oknie i będzie czekała na okręt, który przybędzie z Wenecji, żeby ją uratować. Statek odpali wszystkie działa. Najpierw zatopi Czerwoną Galerę, którą Barbarossa przywiózł ją do tego więzienia. Przypuści szturm na Konstantynopol, nie pozostanie kamień na kamieniu. Była pewna, że Najświętsza Paniienka oszczędzi tę część, w której przebywała, ponieważ odkąd została wtrącona do haremu, modliła się do Dziewicy Maryi.

Nagle drzwi jej pokoju się otworzą i wejdzie do środka bardzo przystojny, uzbrojony oficer.

– *Signorino Baffo*, przybyłem zabrać was do domu.

Po czym weźmie ją w ramiona i stąd zabierze.

Tymczasem słońce zajdzie, malując morze czerwienią. Cecilia każdego dnia o tej porze płakała przytłoczona myślą, że to marzenie nigdy się nie spełni, strachem, że ten okręt nigdy nie przyplynie. Tego dnia, gdy dzień będzie chylił się ku końcowi, zrobi to samo.

Tutaj czas się zatrzymał.

Słońce o świcie czy w nocy będzie odbijać się w tych samych wodach, Cecilia będzie spoglądać na mrugające gwiazdy, będzie lamentować nad swoim losem, rozmyślając o tym, że w tym samym czasie mieszkańcy Wenecji spacerują w blasku tego samego księżyca. Będzie wierzyć, że w haremie czas naprawdę się zatrzymał. Życie w haremie było monotonne jak martwe wody. Tymczasem Cecilia kochała wzburzone morze. Uwielbiała żyć, kochać, wzdychać, patrząc na przystojnych mężczyzn, doprowadzać ich do szaleństwa, bawić się, biegać, śmiać się, uwielbiała piękne stroje, koronki, kokardy, zapachy ziół przywożonych z Indii, taniec...

Cisza haremu doprowadzała ją do szaleństwa w równym stopniu co płacz dzieci. Wszyscy rozmawiali tu szeptem. Nawet plotkowano szeptem, siedząc wzdłuż balustrady, naprzeciwko pokojów odalisek. Dziewczęta plotkowały, a ona domyślała się, o czym mówią, obserwując ich gesty. Z pewnością to ją obgadywały.

Tylko po to, żeby zrobić coś innego niż wczoraj, zaczęła się zastanawiać, co o niej mówią.

„Ale ma wielki nos”.

„Wiedźma, zachowuje się, jakby była córką padyszacha!”.

„Nic nie mów, siostrze. Tylko się dąsa i zadziera nosa. Gdyby chociaż była

ładna”.

„I co, gdyby była ładna? Są tu jakieś, które nie są ładne?”.

„Masz rację, ale to jeszcze dziecko”.

„To jasne. Widziałam ją tamtego dnia w łaźni odalisek. Jest całkiem płaska”.

„Nawet tu do nas nie wychodzi. Wczoraj ją pozdrowiłam, ale tylko spojrziała na mnie cielejącymi oczami. Skąd ją tu przywieźli? Z gór?”.

„Pytałam Meneksze. Przyjechała z jakiegoś nadmorskiego kraju, ale nie wiadomo z jakiego”.

Pewnie tak właśnie rozmawiały, żeby zabić czas. Jeszcze przez kilka dni będą ją obmawiać, a później znajdą sobie nowy temat. Gdyby nie plotki, ta nuda i cisza byłyby nie do wytrzymania.

Tak naprawdę bardzo pragnęła dołączyć do dziewcząt i rozmawiać, śmiać się ukradkiem, zakrywając usta. Była nawet gotowa plotkować. Brakowało jej tego, ale żadna z nich nie mówiła w jej języku. Ona także nie znała ich języka. Więc jak miała to zrobić? Czy w wielkim osmańskim pałacu nie było nikogo, kto znałby jej język?

– Mam już dość rozmawiania ze sobą! – wykrzyknęła pewnego dnia. – Chcę coś komuś opowiedzieć, zwierzyć się!

Jak miała się zwierzać bez słów?

– Me-nik-sze – zaczęła tego ranka – co znaczy „tęsssk-no-taaa”?

Tęsssk-no-taaa.

Starła się gestami zadać pytanie.

Dziewczyna spojrziała na nią bystrym wzrokiem.

– Tęsssk-no-taaa?

– Si... Tęsssk-no-taaa.

– Aaa, tęsknota.

Cecilia z radością pokiwała głową.

Nagle zobaczyła, że twarz dziewczyny okrywa się smutkiem, a oczy zachodzą łzami.

Boże, co znaczyła ta „tęsknota”?

Niespodziewanie poczuła nieznośny ból. Rósł w niej jak olbrzymia fala, która z wściekłością niszczyła wszystko, co stało na jej drodze.

– Niech was szlag! – zawołała. – Zabijacie mnie!

Nie pamięta, co jeszcze wykrzykiwała. Jedynym ocaleniem było morze. Usiadła we wnęce okna.

– Zobaczycie! – znów zaczęła wrzeszczeć. – Zobaczycie wszyscy! Przypłynie tu okręt! Nie! Nie okręt, ale cała flota! Wtedy wszyscy będziecie szukać jakiejś dziury, żeby uciec. Na czele z garbatym, ohydny, starym sułtanem. Nagle otworzą się te drzwi. Wenecki bohater przybędzie, żeby mnie uratować. Zobaczycie. Wtedy wy będziecie płakać, a ja będę się śmiać.

Krzyk zmienił się w szloch. Najpierw starała się pokonać płacz, przygryzając usta. Na próżno.

Niespodziewanie drzwi się otworzyły. Do pokoju nie wszedł przystojny, wenecki marynarz, ale anioł.

Gdy postać stanęła w progu, z Cecylii wydobyło się pełne podziwu westchnienie. „Anioł” to było pierwsze słowo, które przyszło jej na myśl. Tylko anioł mógł być tak piękny. Mogła przysiąc, że nigdy nie widziała równie pięknej i pełnej cierpienia twarzy.

W dziewczynie było coś dziwnego. Coś, co przyciągało człowieka, obezwładniało go, nie pozwalało źle o niej myśleć, wręcz kazało ją lubić, ufać jej, a nawet być jej posłusznym. Wydawała jej się tysiąc razy piękniejsza niż Joanna Aragońska. Dziewczyna, która stała naprzeciwko niej, była przepięknym aniołem.

Anioł patrzył na nią smutnym wzrokiem, mimo że na jego twarzy widniał niepowtarzalny uśmiech, zupełnie jakby nie z tego świata. Zdawał się mówić, że dziewczyna za chwilę wybuchnie płaczem, ale równie dobrze mógł być zwiastunem radosnego śmiechu.

„Jest chyba w moim wieku – pomyślała. – Może trochę starsza”.

Nagle ogarnęło ją dziwne przeczucie. Miała wrażenie, że zna tę dziewczynę, jednak w żaden sposób nie mogła skojarzyć skąd.

Na włosy w kolorze złotych kłosów zarzuciła niebieski tiul. Jej oczy były tak błękitne i jasne jak słońce w objęciach morskich fal. Miała kaftan z długim rękawem w odcieniu granatu. Hafty i kamienie na tkaninie mieniły się żółcią i zielenią w promieniach światła wpadającego przez okno. Pod spodem miała koszulę, która na pierwszy rzut oka wydawała się biała, jak koszula Cecylii, ale gdy uważniej się jej przyjrzała, zauważyła, że ma odcień bardzo jasnego błękitu.

Poza tym miała szerokie spodnie w takim samym kolorze jak tiul na głowie. Meneksze nazywała je szarawarami. Spod luźnych spodni wystawały zadarte czubki butów tej samej barwy co kaftan – niebieskie w odcieniu granatu. Smukłe czubki ozdobione były kamieniami – brylantami wielkości orzechów laskowych.

Ich spojrzenia się spotkały. Cecilia nie dostrzegła w oczach anioła niczego oprócz zaskoczenia. Dlaczego była tak zdziwiona? Ona sama nie potrafiła ukryć podziwu i chyba też odrobiny zazdrości. Która dziewczyna nie byłaby zazdrosna, widząc ładniejszą od siebie?

Zauważyła, że gdy anioł przekroczył próg, Meneksze dwukrotnie oddała jej pokłon i pozostała w tej pozycji.

– Słyszałyśmy... – odezwał się anioł.

Teraz to ona osłupiała. „Mój Boże! – zabrzmiał w jej wnętrzu okrzyk radości. – Mówi w moim języku! Mówi w moim języku! Dziękuję Ci, Najświętsza Panienko!”.

– Znasz mój język!

Anioł pokiwał głową.

– Inne języki też znam.

Uśmiech na jej twarzy jakby zbladł.

– Słyszałyśmy, że od wielu dni okropnie krzyczycie i lamentujecie. Nie pozwalacie spać swoim sąsiadkom, a życie służących zamieniacie w mękę. Czy to prawda, co mówią?

Cecilia poczuła się urażona. „No proszę! Nasz anioł okazał się władczy”.

Nie zmieniając pozycji, utkwiała w niej wzrok. Miała nadzieję, że w jej spojrzeniu jest wystarczająco dużo złości. Bała się, że gniew stłumi podziw, jaki poczuła dla piękna i elegancji anioła.

– Wiesz, kim jestem?

– Nie ma tu przed nami żadnych tajemnic.

– A zatem? – obruszyła się Cecilia. – Wiesz czy nie wiesz?

– Dowiedziałyśmy się tego, kiedy tu przybyłaś.

Mówiła, że się dowiedziała, ale nie wyglądała, jakby ją to obchodziło.

Cecilia chciała jej utrzyć nosa i sama powiedzieć, kim jest.

– Jestem Cecilia Baffo. Nazywają mnie Złotą Córką Wenecji. To też wiedziałaś?

W odpowiedzi anioł okazał jej szacunek, kłaniając się delikatnie.

– A ty kim jesteś? Przełożoną służących? Czy...

Chciała powiedzieć: „Czy psem piekielnym w tych lochach?”, ale powstrzymała się. Nazywanie kogoś, kto przypominał anioła, piekielnym psem, nie było rozsądne. Co anioł mógł mieć wspólnego z piekłem? Mimo wszystko ogarnęły ją wątpliwości. Czy to Bóg sprawił, że tak pomyślała? A może był to sam szatan pod postacią anioła? „Wielki Jezu, miej mnie w swojej opiece”.

– My zaś jesteśmy Mihrimah. Nazywają nas Złotą Córką Osmańskiej Floty.

Co to za imię? Nigdy go nie wypowie.

– Mih... Mihrrr... Jak? – zapytała Cecilia.

– Mihrimah – odpowiedziała dziewczyna stojąca obok anioła.

W jej głosie słychać było złość.

Cecilia posłała jej gniewne spojrzenie.

– A to kto?

– Esmah.

– Ona mówi w twoim imieniu?

Mihrimah ciepło się uśmiechnęła.

– Same mówimy za siebie. Jednak Esmah nie jest tylko piastunką. To nasza przyjaciółka.

Cecilia zerknęła na dziewczynę. Nie zamierzała zawracać sobie nią głowy. Członek rodu Baffo – nawet w niewoli – nie będzie zadawał się ze służbą.

– Powiedziałaś, że kim jesteś?

– Mihrimah. Słońcem i księżycem mojego ojca.

Mih-ri-mah! Czyżby wcześniej słyszała to imię?

– Kto jest twoim ojcem? Ktoś, kogo znam?

Smutna twarz Mihrimah rozjaśniła się. Podczas gdy Cecilia oczekiwała, że melancholijny uśmiech zamieni się w śmiech, anioł delikatnie skinął głową.

– Nie ma na tym świecie nikogo, kto nie znałby naszego ojca.

– No proszę. W takim razie dlaczego ja go nie znam? Kim jest ten człowiek, którego tak wychwalasz? Wiedz, że jeśli nie jest tak szlachetnie urodzony jak mój szanowny ojciec, to choć mi się podobaś, nie będę z tobą rozmawiać.

„Wyszło trochę niegrzecznie, ale trudno – mruknęła Cecilia do siebie. – Jestem więźniem, ale nie zamierzam nikomu nadskakiwać”.

– Nazywają go Sulejman – powiedziała dziewczyna po chwili wahania.

O mały włos nie krzyknęła z wrażenia, ale ze zdziwienia odebrało jej głos. Otworzyła tylko usta. I wtedy ją rozpoznała. Była tą piękną dziewczyną, którą widziała u boku sułtana, kiedy okręt przepływał przed pałacem. Dziewczyna w błękicie, ta, o której myślała, że jest sułtańską odaliską!

– Świat zna go jako sułtana Sulejmana – ciągnęła dziewczyna. – Ty jesteś Złotą Córą Wenecji, my zaś córką sułtana Sulejmana. Czy teraz będziesz z nami rozmawiać?

– Nie będę. Jesteś córką mojego wroga!

Cecilia zobaczyła, jak bezkresny uśmiech na twarzy Mihrimah znika. Jej i tak jasne oblicze stało się jeszcze bledsze. Później zaś wstąpił na nie ogień.

– My uważamy się za przyjaciela. Przyszliśmy tu, żeby się z tobą zobaczyć.

Dziewczyna wyciągnęła do niej rękę. Cecilia przez chwilę patrzyła na jej drobną dłoń.

Miała ochotę skakać ze szczęścia, dowiedziawszy się, że w haremie jest ktoś, kto mówi w jej języku, ale los splątał jej figła, bo była to córka jej największego wroga.

– Czy podawanie ręki dziewczynie, którą ojciec weźmie do łóża, to u was zwyczaj?

– Nasz ojciec nie weźmie was do łóża.

Tym razem głos Mihrimah był zimny i ostry jak nóż.

Nagle przypomniała sobie, co powiedział kapitan Ajdyn, gdy opuszczała okręt: „Nie wepchną cię do łóża sułtana”.

– Ha! – wydobył się z jej ust dźwięk wyrażający niedowierzanie. – Dlaczego, córko wroga? Nie spodobałam ci się? Jestem brzydka? Dlaczego sułtan nie miałby wziąć mnie do łóża?

– Ponieważ jesteście dzieckiem. Ponieważ nasz ojciec kocha naszą matkę. Ponieważ wy...

Reszty nie słyszała. Nie wiedziała, czy powinna się rozgniewać, czy

ucieszyć? Czy to nie tego najbardziej się bała? W takim razie dlaczego się nie cieszy? Dlaczego nie rzuca się na szyję temu pięknemu aniołowi?

Znała odpowiedź. Dziewczyna powiedziała: „*Jesteś dzieckiem*”.

Tymczasem ona widziała siebie jako dojrzałą kobietę. A od dnia, kiedy ją porwano, nawet jako staruszkę!

– Phi – obruszyła się tym razem. – Nie jestem dzieckiem. Powiem ci tyle, córko wroga, w Wenecji wszyscy przystojni i dobrze urodzeni panowie stają między sobą w szranki, żeby móc ze mną zatańczyć.

Mihrimah odwróciła się do towarzyszących jej dziewcząt i zaczęła coś mówić. Dziewczęta słuchały z szacunkiem, po czym cicho zachichotały, jednak ostrożnie, żeby nie zmącić ciszy, a do tego zasłaniając usta.

Pewnie przetłumaczyła to, co powiedziała Cecilia. Czyżby z niej drwiły?

Ze złości zaczęła oddychać przez nos. Nagle poczuła, że wypełnia ją szczęście.

Rozmawiały, i to nie na migi. Wprawdzie córka wroga mówiła trochę śmiesznie, ale i tak Cecilia była zadowolona z pogawędki. Nie mogła się powstrzymać i w końcu się uśmiechnęła.

Mihrimah nagle uniosła głowę i zobaczyła, że się śmieje. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Co więcej, Cecilia mogła przysiąc, że dostrzegła w jej oczach gniew. Towarzyszące jej dziewczęta też były zdziwione.

Służące zastanawiały się, jaką karę poniesie ta bezczelna dziewczucha, która w tak impertynencki sposób odpowiadała ukochanej córce wielkiego padyszacha.

– To z nas się śmiejecie?

– Tak, z *was*.

Damy dworu córki padyszacha okazały swoje wzburzenie, mrucząc coś między sobą.

– Dlaczego?

– Ze sposobu, w jaki mówisz.

– Co jest w sposobie, w jaki mówimy?

– Widzisz, znów to zrobiłaś. Mówisz o sobie, a wyrażasz się, jakbyś była tysiącem osób. Mówiąc o sobie, nie mówi się „*my*”. Powinnaś powiedzieć „*ja*”. Naucz się tego.

Mihrimah roześmiała się. Powiedziała coś do swojej piastunki. Ona szeptem powtórzyła to pozostałym. Spojrzenia wszystkich skierowały się na nią. Teraz świta Mihrimah patrzyła na nią z wrogością.

Wyglądało to tak, jakby wrogie strony zajmowały miejsca na placu boju.

„Umarłabyś, gdybyś trzymała język za zębami? – skarciła się w duchu Cecilia. – Gdy spotkałaś kogoś, kto zna twój język – i to córkę sultana – zamiast zdobyć jej przyjaźń, zrobiłaś z niej swojego wroga. I patrz teraz, co sobie zgotowałaś. Nigdy nie zmądrzejesz, Cecilio Baffo”.

Jednak nie stało się to, czego się spodziewała.

– Masz rację – odparła Mihrimah cicho. – Wiem, to bardzo głupie. Ale nic nie poradzę, taka jest pałacowa etykieta.

– Ja też powinnam tak mówić?

Czy nie należało zapytać: „Czy my też powinnamy tak mówić?”

Tym razem Mihrimah długo się śmiała. Jej śmiech był jak potok płynący po małych kamieniach. Czy wiedziała, jak bardzo do niej pasował? Był to jasny śmiech dający radość i nadzieję. Cecilia zauważyła, że burza szalejąca w jej duszy powoli cichnie. Najpierw śmiech wydobył się z jej ust jak mimowolny szloch. Później nabrała nieco odwagi.

– My też, jeśli zechcemy, umiemy mówić jak wy – powiedziała głosem, który zdradzał, że żartuje.

Obie wybuchły śmiechem. Damy dworu przyłączyły się do nich. Meneksze też, pochylona w ukłonie, uniosła się nieco i zaczęła chichotać.

Wyglądało na to, że wojna skończyła się, zanim się zaczęła.

Cecilia poczuła, że ogarniają ją spokój i szczęście. Wieczorem wyciągnęła kolejny arkusz *Zwoju cierpienia*, zanurzyła w kałamarzu czerwone pióro. „Mój Boże”, napisała na samej górze.

*Siedemnasty dzień w niewoli. Znów jestem na niebezpiecznych wodach.
Polubiłam córkę wroga!*

C.B.

– Wyciągnij mnie stąd, córko padyszacha! – Głos Cecylii na chwilę zawisł w powietrzu. – Jeśli to, co mi powiedziałaś, jest prawdą...

– Oczywiście, że to prawda. Mihrimah nie kłamie.

– W takim razie wydaj rozkaz, żeby natychmiast wsadzili mnie na jakiś okręt i odesłali do domu.

Bardzo się starała, żeby w jej głosie i oczach nie słyhać było błagania, ale nie była pewna, czy jej się to udało. Co prawda polubiła Mihrimah, ale mimo to była córką wroga. Nie chciała jej błagać.

– Zrobisz to, prawda? – wyszeptwała, widząc, że dziewczyna nie odpowiada. Mimo wszystko w jej głosie pobrzmiwała prośba. – Zrobisz, prawda?

Mihrimah z goryczą pokręciła głową. Poczuła, że serce jej krwawi. Cecilia od wielu dni jej się zwierzała, a ona za każdym razem czuła ból. Wielokrotnie przeszło jej przez myśl, że już wcześniej słyszała te słowa. Ta opowieść przypominała jej historię uprowadzenia innej dziewczyny.

Drogi dwóch dziewcząt, wyrwanych z ich domów i uprowadzonych, skrzyżowały się w osmańskim pałacu. Jedyne, co je różniło, to to, że Cecilia została uprowadzona na statku, a mała dziewczynka, którą wiele lat temu zabrano

z jej rodzinnych stron, została wywieziona na końskim grzbiecie. Ta, która stała naprzeciwko niej, była odaliską, druga – władczynią.

Los znów bawił się nimi.

Mihrimah próbowała uciec wzrokiem.

– Dlaczego milczysz? Powiedz, zrobisz to, prawda?

– Nie mogę.

Głos Mihrimah był jak pełen cierpienia jęk.

Cecilia miała wrażenie, jakby jej serce zostało przypalone rozgrzanym żelazem.

Były same w pokoju. Mihrimah wyprosiła wszystkie damy dworu, nawet swoją piastunkę, która nie odstępowała jej na krok.

– Wystarczy, że ja będę wiedziała to, co mi powiedziałaś – zaczęła. – Niech twoje smutki, radości i sekrety będą moimi.

Ale ta złotowłosa dziewczyna, która jeszcze przed chwilą otworzyła przed nią ramiona, teraz mówiła jej, że nie może tego zrobić. Nie odeśle jej do domu. Nie uwolni jej. Była więźniem. Była tu niewolnicą!

– Podobno twój ojciec na jedno twoje słowo kazał zbudować wielką armadę, córko padyszacha.

Mihrimah kiwnęła głową.

– Podobno jesteś dla swojego ojca słońcem, księżycem i nie wiadomo czym jeszcze. – Głos Cecylii ciął jak bicz.

Mihrimah ponownie skinęła głową.

– Podobno wszystko musi być tak, jak powiesz, i nie inaczej.

Młoda sułtanka znów potwierdziła, nie unosząc głowy.

– Podobno jesteś dla ojca tak ważna jak cały świat.

Dziewczyna nie miała nawet siły przytaknąć. Jej usta zadrżały.

– To wszystko były kłamstwa? To kłamstwa, które wymyśliłaś, żeby zabawić się małą, biedną niewolnicą?

Tym razem Mihrimah zdecydowanie pokręciła głową.

– Mihrimah nie kłamie.

– Ha! To oczywiste, że kłamałaś. Nie masz nawet odwagi spojrzeć mi w oczy. Córka sułtana Sulejmana boi się spojrzeć w twarz niewolnicy, ponieważ jest kłamczuchą.

Mihrimah nagle się wyprostowała.

– Mówiłam ci, Mihrimah nie kłamie.

Tym razem to jej głos był ostry.

– Wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą. Może mniej, ale nie więcej.

– W takim razie pokaż, jakim jesteś słońcem. Niech twój okręt mnie zabierze i odwiezie do domu. Pokaż swoją władzę, córko padyszacha.

Mihrimah wstała.

Przez chwilę Cecilia myślała, że dziewczyna wyjdzie. Może już więcej jej nie zobaczy. Z powodu złości, nad którą w żaden sposób nie była w stanie zapanować, wypuści z rąk błogosławieństwo, jakim obdarzył ją Bóg.

Mihrimah nie wyszła. Zrobiła dwa kroki i odwróciła się.

Cecilia nie mogła uwierzyć.

– Ty płaczesz?

Młoda sułtanka przysiadła przy niej.

– Yhy.

Cecilia nie musiała już dłużej przygryzać warg i wbijać paznokci w rękę, żeby powstrzymać łzy. Do tego na nowo odnalazła przyjaciółkę, którą myślała, że straciła. Był przy niej ktoś, kto płakał nad jej losem. W takim razie... jej wątłe ramiona także zaczęły drżeć.

Rozległy się westchnienia i szlochy dwóch pięknych dziewcząt.

Jedna z nich była córką najpotężniejszego władcy na świecie. Druga była wenecką córką, a teraz odaliską, która trafiła do haremu najpotężniejszego władcy na świecie.

Płakały, nie bojąc się pokazać przed sobą swoich słabości i nie wstydząc się wylewać łez.

Upłynęło dużo czasu, zanim Mihrimah się odezwała.

– Czasem – zaczęła – są rzeczy, których nie mogę zrobić.

Cecilia pociągnęła nosem i otarła oczy wierzchem dłoni.

– Nie wierzę ci – powiedziała cicho. Tym razem jej głos przypominał głos niesfornego dziecka, które śmieje się, płacząc. – Możesz zrobić wszystko.

– Możesz tak myśleć.

Teraz to Mihrimah pociągnęła nosem. Wyjęła wyszywaną chusteczkę i otarła łzy.

– Wydadzą mnie za mąż.

Cecilia nagle poczuła, że dziewczyna, która siedzi obok niej, jest jej bardzo bliska.

– Eee – wydobył się z niej ten sam dziecięcy głos. – To wyjdź za mąż.

– Nie chcę.

– Dlaczego?

– Ten mężczyzna jest odrażający, stary, brzydki... A do tego – nagle wstała i przeszła kilka kroków, kulejąc – o taki.

Cecilia wybuchała śmiechem.

– Nie wierzę.

– To uwierz. Właśnie tak – powiedziała Mihrimah. – Chcą wydać córkę wielkiego sułtana Sulejmana za kulawego starca. I nikt mnie w tej sprawie nie słucha. Urządzam awantury, że nie chcę, ale słowa słońca i księżycy Sulejmana nic nie znaczą.

– Ten mężczyzna – mruknęła Cecilia – ten, za którego chcą cię wydać za mąż, jest królem którego kraju? Jest bardzo bogaty?

– Nie jest żadnym królem, a nawet gdyby był, to co?

– Nie jest królem, a do tego jest stary, brzydki i kulawy. W takim razie dlaczego chcą cię za niego za mąż?

– Bo tak chce moja matka.

Przez chwilę, wzdychając, siedziały w ciszy.

W końcu odezwała się Cecilia.

– Dlaczego? Dlaczego twoja matka chce cię wydać za tego mężczyznę?

– To długa historia. Później ci ją opowiem. Boi się. Sądzi, że ten mężczyzna może nas ocalić!

– Boi się? Przed czym ma was ocalić?

Mihrimah chciała odpowiedzieć, ale w rezultacie tylko pogłaskała dłoń dziewczyny.

– Mówiłam ci, to długa historia. Opowiem ci ją później. Nie będę obarczać cię swoimi zmartwieniami.

Cecilia ze zrozumieniem pokiwała głową.

– A zatem obie jesteśmy niewolnicami.

Nagle Mihrimah uniosła głowę.

– Niewolnicami?

– Yhy. Zobacz, żadna z nas nie może zrobić tego, czego chce.

– Masz rację. Nigdy tak o tym nie myślałam. Piękna niewolnica ojca padyszacha... Tak, tak właśnie jest.

Zamilkły. Tym razem była to gęsta, głęboka cisza.

– A ja – odezwała się po dłuższym czasie Cecilia – umrę w tym więzieniu. Nie ma dla mnie ratunku.

Mihrimah przez chwilę się nie odzywała, jakby się nad czymś usilnie zastanawiała.

– Chciałaś coś powiedzieć, córko padyszacha?

Młoda sułtanka usadowiła się wygodnie na sofie. Zaplatając nogi, potwierdziła, że zamierza długo tam siedzieć.

– Ty też tak usiądź naprzeciwko mnie.

Cecilię ogarnęła ciekawość. Co chciała jej przekazać ta dziewczyna?

– Nie tak – uśmiechnęła się Mihrimah. – Najpierw musisz się nauczyć, jak się siedzi w Imperium Osmańskim. Spójrz, o tak. Jak ja. Są też inne sposoby. Z czasem ich też się nauczysz. To bardzo wygodne. Dalej, Cecilio, nie stój tak. Usiądź naprzeciwko mnie. Opowiem ci pewną historię.

– Historię? Jaką historię?

– Historię małej dziewczynki Aleksandry Anastazji Lisowskiej.

– Kim jest ta Aleksandra Anas... czy jak jej tam?

– Najpierw posłuchaj jej historii. Później powiem ci, kim jest.

Gdy skończyła opowiadać, zaczynało świtać. Nie pozwoliły nawet wejść do środka służącym, żeby zapaliły świece. Tylko Esmā, piastunka Mihrimah, pojawiła się na chwilę, żeby zapalić lampę na stole, po czym wyszła.

Padający na ścianę cień dwóch dziewcząt w drżącym świetle lampy stworzył tajemniczą atmosferę, odpowiednią do magicznej historii, której Cecilia słuchała z zapartym tchem.

Na początku nie mogła zrozumieć, dlaczego Mihrimah opowiada jej tę historię. Nie potrafiła znaleźć związku między tym, co przeżyła, a tym, co spotkało dziewczynkę porwaną z jej wioski przez barbarzyńców. „Co to ma ze mną wspólnego?”, zastanawiała się.

Po pierwsze, dziewczynka miała tylko dziewięć lat, kiedy została uprowadzona. Była dzieckiem. Cecilia natomiast była dużą panną. Po drugie, dziewczynka mieszkała na wsi. Była wieśniaczką. Tymczasem ona była arystokratką z rodu Baffo. Mieszkała w najbogatszym, najpiękniejszym i najpotężniejszym mieście na świecie. Co mogło ją łączyć z jakąś tam Aleksandrą?

Mimo to postanowiła posłuchać. Utkwiła wzrok w niewinnej, czystej, jasnej twarzy Mihrimah. Po chwili także i ją pochłonął czar tej opowieści. Wydawało jej się, że udała się do krainy ośnieżonych szczytów, dolin poprzecinanych nieprzebytymi, szemrzącymi radośnie potokami. Bez tchu słuchała tego, co przeżyła dziewczynka, która była na krawędzi śmierci.

Cecilię ogarnął nieopisany strach, jakby to jej się to przydarzyło. Słuchając opowieści, radośnie klasnęła w ręce, jakby to ona, a nie mała Aleksandra została uratowana z rąk handlarzy niewolników. Później próbowała wyobrazić sobie tego barbarzyńcę. Mężczyznę, który porwał Aleksandrę, a potem poświęcił jej życie.

W szczęśliwych momentach opowiadania Cecilia czuła radość, jakby sama osiągnęła spokój, odparła swoje lęki. Tak bardzo pochłonęła ją ta historia, że gdy Mihrimah robiła przerwę, żeby odetchnąć, ponaglała ją: „A potem? Co było dalej? Opowiadaj”.

Córka padyszacha opowiedziała jej wszystko ze szczegółami. O matce Güldane, Aj Bali Hatun... Gdy doszła do śmierci Güldane, przybranej matki dziewczynki w pałacu na Krymie, Cecilia myślała, że serce pęknie jej z żalu. Czuła ból po śmierci starej kobiety, której nigdy nie widziała. Czy okres radości i spokoju w życiu małej Aleksandry dobiegał końca? Czy dobre chwile trwały tak krótko? Dlaczego Bóg był tak skąpy, rozdając szczęście? Natychmiast wyciągnęła krzyż. „Boże, wybac mi mój grzech – modliła się. – Ostatnią rzeczą, którą powinnam teraz zrobić, to popaść w grzech i wzbudzić gniew Boga”, myślała. Bała się, że takie myślenie także jest grzechem.

– I? – powiedziała pospiesznie, żeby jak najszybciej oddalić się od grzechu.
– Czy gdy ta kobieta umarła, wyrzucili Aleksandrę z pałacu?

– Nie – odparła Mihrimah. – Matka Güldane powierzyła małą Aleksandrę swojej synowej, Aj Bali Hatun. Ona zaś po pewnym czasie wysłała dziewczynę jako prezent do sułtańskiego harem.

– Zatem sprzeciwiła się woli swojej teściowej. – W głosie Cecylia wyraźnie słysząc było niechęć.

– Wręcz przeciwnie, Aj Bala Hatun zrobiła to dla jej dobra. Myślała, że tam Aleksandrę spotka przeznaczenie, że będzie szczęśliwsza.

– A potem?

– Właśnie to. Pewnego dnia wsadzili Aleksandrę Anastazję na statek.

– Na statek?

– Tak. Przez wiele dni brnęli przez morze, którego wody i niebo nad nim były czarne. Między Krymem a miejscem, do którego podróżowała Aleksandra, było wielkie czarne morze. Tak mówił ojciec kapitan.

– Ojciec kapitan?

– Yhy... Hajraddin Pasza. Dowódca naszej floty. Floty Mihrimah...

– Barbarossa. Herszt korsarzy, który sprowadził mnie do tego więzienia! Rudobrody!

Mihrimah mimowolnie się roześmiała. Słyszała, że gjaurzy nazywają Hajraddina Paszę Rudobrodym. Obróciła głowę, żeby Cecilia nie widziała, że się śmieje. W żaden sposób nie mogła przekonać dziewczyny, że harem to nie więzienie.

Cecilia zauważyła jej skrywany śmiech, ale to nie był czas na sprzeczki. Nie mogła się doczekać, żeby dowiedzieć się, co spotkało Aleksandrę Anastazję po tym, jak została wsadzona na statek.

– A później?

Mihrimah nie wiedziała dlaczego, ale nagle postanowiła sprawdzić, czy dziewczyna z uwagą słucha jej opowiadania.

– Na czym stanęłam?

– Wsadzili dziewczynę na statek.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Na jego pokładzie Aleksandra nie odrywała oczu od horyzontu. Myślała o tym, że albo jest na końcu, albo na początku drogi. Wtedy podjęła decyzję.

– Decyzję? Jaką decyzję?

– Postanowiła zostać żoną sułtana.

– Co?

– Tak. Wiesz, co powiedziała Aleksandra, gdy okręt ruszył przed siebie, nabierając wiatru w żagle?

– Co powiedziała?

– *Czekaj na mnie, sułtanie. Przybywam, żeby dzielić z tobą koronę i tron.* Tak właśnie powiedziała Aleksandra.

Przez chwilę Cecilia nie słyszała, co dalej mówi dziewczyna. Widziała, że porusza ustami, ale nie dochodził do niej żaden dźwięk. W jej umyśle wciąż odbijało się echem jedno zdanie: *Czekaj na mnie, sultanie. Przybywam, żeby dzielić z tobą koronę i tron.*

Bez żadnego powodu jej serce zaczęło walić jak młotem. Bała się, że córka padyszacha usłyszy, że tak mocno bije.

– I jak, podobała ci się historia?

Cecilia pokiwała tylko głową. Teraz myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się, dlaczego Mihrimah opowiadała jej tę historię.

– To wszystko? Skończyła się? Co było potem?

– Reszta niech zostanie na inny dzień. Już późno. Ta historia jest długa. Można opowiadać ją bez końca.

Cecilia spojrzała na nią nadąsana.

– Jest piękna – stwierdziła cicho. – A ty skąd znasz historię Aleksandry?

– Sama mi ją opowiedziała.

– Nie wierzę. Aleksandra? Jak to?

– Mieszka tutaj.

Ze zdumienia Cecilia szeroko otworzyła swoje zielone oczy i utkwiała wzrok w Mihrimah.

– Czyli ta historia jest prawdziwa? Słuchałam jej jak baśni. Tylko w baśniach dzieją się takie rzeczy. Ta kobieta jest tutaj? Jest odaliską?

– Tak. Aleksandra Anastazja Lisowska jest tutaj, ale nie jest odaliską.

Tym razem w oczach Cecylii pojawiła się podejrziwość.

– Skoro nie jest odaliską, to kim... Jest służącą albo damą dworu?

– Jest żoną sultana Sulejmana.

Cecilia zakryła usta dłońmi, aby stłumić krzyk. Przez chwilę w izbie panowała idealna cisza.

– Aleksandra Anastazja Lisowska to moja matka. Najpiękniejsza władczyni Imperium Osmańskiego. Teraz świat nazywa ją sultanką Hürrem.

Dziewczyna jeszcze jakiś czas nie odejmowała dłoni od ust.

– Boże – odezwała się cicho. – Dotrzymała obietnicy, którą złożyła sobie na statku.

– Tak. Dotrzymała.

Gdy córka padyszacha wyszła, w głowie Cecylii wciąż kołatało się to samo pytanie. Dlaczego Mihrimah jej o tym opowiedziała? Czyżby chciała wskazać jej pewne podobieństwo i oznajmić: „Ty też możesz być jak moja matka”?

Czy naprawdę istniało jakieś podobieństwo między dwiema historiami życia? Obie zostały uprowadzone. Tak jak matka córki padyszacha ona też została sprowadzona do haremu jako odaliska.

Aleksandra Anastazja z odaliski stworzyła Hürrem. Złożyła obietnicę:

„Przybywam, żeby dzielić z tobą koronę i tron” i udało jej się zostać żoną sułtana Sulejmana.

Ale co ona miała zrobić? Nie było już padyszacha, z którym mogła dzielić koronę i tron.

Przecież nie uwiedzie sułtana i nie odbierze go Hürrem.

To samo pytanie Cecilia zadała córce padyszacha, zanim ta wyszła.

– Dlaczego mi to opowiedziałaś?

– Nie wiem, tak po prostu.

– Dlaczego to zrobiłaś, córko padyszacha?

– Chciałam, żebyś miała nadzieję. Bez nadziei nie można żyć.

– Ty masz nadzieję?

– Ja – powiedziała Mihrimah pewnym głosem – zbiorę plony tego, co zasiała we mnie matka.

– Co to znaczy?

Nagle Mihrimah wyprostowała się radośnie.

– Nie możesz dowiedzieć się wszystkiego w jeden dzień, Wenecjanko.

Dziewczyna coś przed nią ukrywała.

– Uratuję się z tego piekła? – wyszeptła powoli. – Mogę w to wierzyć? Czy powiedziałaś mi to tylko po to, żeby dać mi nadzieję?

Mihrimah pokręciła głową. W jej błękitnych oczach pojawił się błysk.

– Żeby zasłużyć na nadzieję, trzeba walczyć.

Wstała i poprawiła kaftan.

– Poza tym – szepnęła – mój pałac nie jest piekłem. Mój ojciec nie jest diabłem. Chcę, żebyś przestała tak...

– Czy Aleksandra wie, że tu jestem?

– Nie. Wie tylko, że Hajraddin Pasza przywiózł jakiś prezent. Jednak nie ma pojęcia, co jest tym prezentem. Jeszcze jej nie powiedziałam.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że prezentem Rudobrodego jest wenecka dziewczyna?

– Moja matka jest teraz bardzo zajęta.

– Tak. Znalazła sobie padyszacha, z którym będzie dzielić koronę i tron, a córce – starego, brzydkiego kulawca... Oczywiście, jest zajęta przygotowaniami do ślubu.

Najpierw Mihrimah słuchała tych gorzkich słów, kręcąc głową, a później odezwała się cicho.

– Nie. Moja matka zajęta jest innymi sprawami.

– Innymi sprawami? Hür...

– Hürrem – dokończyła Mihrimah – próbuje ocalić przed śmiercią swoich synów, mnie i siebie.

– Przed śmiercią? Dobry Boże...

– Nie znasz jeszcze dalszego ciągu historii Aleksandry.

– W takim razie opowiedz.

Mihrimah ponownie pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia wysłuchasz go od Aleksandry. Nic nie jest takie, na jakie wygląda. Każde szczęście ma swoją cenę, każda noc ma swój świt.

– Jak miał na imię ten barbarzyńca? – zapytała nagle Cecilia.

– Kto?

– Mężczyzna, który porwał Aleksandrę, a potem poświęcił jej życie.

– Taczam Nojan. Długowłosy olbrzym. Latający jeździec gór i potoków. Tak opisuje go matka.

Poczuła, że drży. Zdaje się, że los nie miał dość powtarzania niektórych rzeczy. Było jeszcze jedno podobieństwo w losie małej wieśniaczki Aleksandry Anastazji i weneckiej arystokratki Cecilii Baffo.

Ona też miała swojego barbarzyńcę. Porwał ją, a potem zachowywał się jak ojciec. Nie miał długich włosów, ale brodę.

– Zabierz mnie do niej, córko padyszacha – powiedziała, gdy Mihrimah otwierała drzwi. – Daj Aleksandrze prezent od Barbarossy.

Coś ją trapiło.

– Co się stało? – zapytała cicho.

Gdy jej pierwsza dama dworu się nie odezwała, Hürrem odwróciła głowę i spojrzała na Tatarkę. Merzuka siedziała przed nią i haftowała. Widać było, że myślami jest gdzie indziej.

Hürrem знаła Merzuke od dnia, gdy przywieziono ją do pałacu na Krymie. Razem przybyły z Krymu do Sztambułu, razem zostały wrzucone do pomieszczeń odalisek, razem dostawały razy dereniowym kijem agi haremu Czahudara Sümbüla Agi, ale nawet na chwilę jej nie opuściła. Nigdy w niczym jej nie uchybiła. Nieustannie była przy niej w walce o władzę, w którą wdała się z Gülbahar Haseki. Gdy do łaźni podrzuciono żmiję, żeby ją zabić, podczas gdy wszyscy uciekli, to właśnie ona, bez mrugnięcia okiem, zmiażdżyła jej głowę. Od pierwszego dnia była kimś innym niż tylko służącą. Była jej starszą siostrą, nauczycielką, przyjaciółką, towarzyszką, powierniczką... Była wierna, mądra, wytrwała, szczerą...

Hürrem się zdziwiła. Nigdy wcześniej nie wyliczała przymiotów Merzuki. Mogła wymieniać je jeszcze długo. Czy jeden człowiek mógł mieć wszystkie te wspaniałe cechy? Jak widać tak.

A Merzuka teraz wbijała igłę do haftowania raz od góry, raz od dołu. Coś ją trapiło. Jakaś myśl. Jej przyjaciółka, zupełnie jak ona, dusiła w sobie zgryzoty. Wiedziała, że nie uzyska szczerzej odpowiedzi, jeśli zapyta, co się stało, dlatego tylko po to, żeby zacząć rozmowę, wyszeptwała:

– Merzuko, zdaje się, że ta dziewczyna znowu coś kombinuje.

Sądziła, że Merzuka nawet jej nie usłyszy, ale myliła się. Tatarka ukłuła się igłą w palec i odwróciła się do swojej pani skrzywiona z bólu.

– Nie oskarżaj jej. Nic się nie dzieje.

– Znam swoją córkę. Zawsze, gdy za długo jest spokojnie, coś się za tym kryje. Kiedy uparła się, że nie wyjdzie za mąż za Rüstema, też nikt jej nie widział przez ponad tydzień. I co się stało potem?

Wiedziała, ale mimo to zapytała:

– Co się stało? – Ton jej głosu zdradzał, że nie przykłada do tego większej wagi.

– Co jeszcze miało się stać, na litość boską? Rozsiała po pałacu plotkę, że mężczyzna cierpi na trąd. Przypomnij sobie, jak rozgniewał się nasz pan, jak krzyczał: „Tak starannie wybierałaś męża dla naszej córki, że padło na trędowatego?”.

Merzuka nawet nie chciała wspominać tamtego dnia. Gdyby kłamstwo, które wymyśliła sułtanka Mihrimah, żeby uratować się przed tym mężczyzną, przypadkiem okazało się prawdą, Hürrem straciłaby względy sułtana. Dzięki Bogu Hürrem uchroniła się przed gniewem padyszacha, bo na szczęście podczas badania medyk znalazł wszy u Rüstema Efendiego.

– Nie dramatyzuj. Dziewczyna ma swój świat. Jej myśli pochłaniają morze i galery. Poza tym zrozumiała, dlaczego chcesz wydać ją za mąż, i przestała się opierać. Moja sułtanka jest bardzo mądra.

– Masz rację, Merzuko, ale i tak mam wątpliwości. Czy aby znów czegoś nie obmyśla? Wydaje mi się, że wkrótce znów wybuchnie burza.

– Przestań, Aleksandro.

Zamilkła. Spojrzała na swoją panią przepraszająco. „Co mam zrobić? – myślała. – W żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić do nazywania jej Hürrem”. Poznała ją jako Aleksandrę. Jako Aleksandrę ją pokochała. Z Aleksandrą wsiadła na statek z Krymu. Z Aleksandrą przekroczyła próg tego zamku. Dla niej była Aleksandrą Anastazją.

Hürrem, siedząc na sofie naprzeciwko, uśmiechnęła się do niej promiennie. Widząc to, Merzuka też posłała jej uśmiech.

„To właśnie moja przyjaciółka”, z miłością spojrzała na nią Hürrem. Gdy Merzuka się śmiała, jej skośne oczy zmieniały się w szparki.

– Powiem jedno. Znów dramatyzujesz. Wstydz się, to grzech. Skąd przyszło ci do głowy, że Mihrimah coś robi za twoimi plecami?

Właściwie o wszystkim wiedziała. Ile razy Mihrimah ją prosiła: „Przysięgam, ciociu Merzuko, chcę zrobić niespodziankę naszej matce. Matka nie wie, że prezentem, który przywiózł Hajraddin Pasza, jest młoda Wenecjanka. Błagam, dochowaj mojego sekretu. Poza tym gdy to usłyszysz, sama nie uwierzysz. Dziewczyna dosłownie przeżywa dzieciństwo naszej matki”.

Czy możliwe było nie słyszeć o butności nowo przybyłej odaliski? W części haremu, gdzie przebywały odaliski, budynek trząsł się w posadach. Oczywiście Merzuka też słyszała awantury bezczelnej dziewczyny. „Ach, pamiętam, pamiętam – mawiała, słysząc krzyki Wenecjanki. – Swego czasu Aleksandra i ja robiłyśmy to samo. Moja Aleksandra krzyczała i płakała. Czego oczekiwali od tego maleństwa? Sądzili, że dziewczyna, którą wyrwano z domu i wtrącono tutaj, będzie tańczyła ze szczęścia, szczebiocząc: «Jak to dobrze, że zrobiliście ze mnie odaliskę?»”.

Jednak cały czas się wahała, czy nie powinna powiedzieć o tym Hürrem.

– Wiecie – odezwała się do Mihrimah – że nie potrafię ukryć niczego przed moją panią. Skoro oznajmiła wam, żebyście przynieśli prezent Hajraddina Paszy, przyprowadźcie ją czym prędzej.

– Proszę, ciociu Merzuko, daj mi jeszcze kilka dni.

– Nawet jeśli nie usłyszysz tego ode mnie, ktoś może mnie uprzedzić. Wiedźcie, że wtedy obie będziemy miały kłopoty.

– Nikt nic nie powie. Wszystkich przestrzegłam. Dopóki nie przedstawię jej matce, nikt nie wspomni o Cecylii.

– Dżafer wie. Myślisz, że nie zdradzi niczego twojej matce?

– Yhy.

– Nie wierzę w to, sułtanko.

Aga haremu Czarny Dżafer oddałby życie za Hürrem.

– Przysięgam, ciociu Merzuko. Dał mi słowo.

– Dlaczego ukrywasz dziewczynę przed matką, moja piękna sułtanko?

Mihrimah zrozumiała, że przyjaciółka matki dała za wygraną. Uradowana rzuciła się kobiecie na szyję i obsypała ją pocałunkami.

– Chcę ją trochę bliżej poznać, ciociu Merzuko. Tylko kilka dni. Później przyprowadzę ją do matki. Teraz jest tak nieszczęśliwa, zrozpaczona i samotna, że jeśli w tym stanie pokaże się matce, obawiam się, że może stać się coś złego.

– Jest przynajmniej ładna?

– Jest piękna.

– Nie wierzę. Ta niewierna nie może być ładniejsza od mojej sułtańskiej córki.

– Jest śliczna. Jak nimfa.

– Nikt nie może przewyższać urodą mojej pięknej dziewczynki – upierała się Merzuka.

– Zatem zgoda, ciociu Merzuko?

– Ech... – westchnęła kobieta. – Ale tylko kilka dni!

Merzuka po raz pierwszy zataiła coś przed Hürrem. Czuliła się, jakby zdradzała swoją panią. Wstydziła się spojrzeć jej w twarz. Odchodziła od zmysłów ze strachu, że niespodziewanie zapyta ją: „Czyżbyś coś przede mną ukrywała, Merzuko?”. To Aleksandra Anastazja. Wystarczyło, że spojrzała na kogoś,

i w jednej chwili wiedziała, o czym myśli. Nieustannie haftowała tylko po to, żeby uniknąć jej wzroku. Opuszki palców miała całe pokłute.

– Na pewno coś knuje, czuję to. Nie przychodzi do mnie, bo wie, że jeśli ją zobaczę, domyślę się.

Merzuka poczuła skurcz w sercu. „Domyśli się – jęknęła w duchu. – Jeśli ją zobaczy, domyśli się”.

– Merzuko, czy ty coś wiesz?

Serce podeszło jej do gardła.

– Co miałabym wiedzieć? – Ledwo wydusiła z siebie te słowa. – O prezencie?

Jeśli Hürrem powie „tak”, nie będzie w stanie powstrzymać łez. „Wiem, wiem. Niech będę przeklęta! Wiem!”.

Na szczęście nie stało się to, czego się obawiała.

– Nie, moja droga – odparła Hürrem. – Skąd miałabyś coś o tym wiedzieć. Mówię o Mihrimah. Czy wiesz, co może planować?

Siły starczyło jej tylko na to, żeby nieznacznie pokręcić głową.

– Tak przypuszczałam. Dżafer też nic nie wie. Dziwne. Ta cisza nie daje mi spokoju. Na pewno coś się za tym kryje. Zobacysz, Merzuko, pewnego dnia Mihrimah stanie przede mną i czymś mnie zaskoczy.

– Matko!

Hürrem obejrzała się i nagle ujrzała swoją córkę stojącą w progu.

Mihrimah od miesiący – a dokładniej od dnia, w którym powiedziała jej, że zamierza wydać ją za mąż za Rüstema – nie była tak radosna. „Co się mogło stać? – zastanawiała się. – Co tak uszczęśliwiło naszą córkę? Czyżby dowiedziała się, że Rüstem umarł?”. Tylko coś takiego mogło być przyczyną tak wielkiej radości.

– Już prawie zapomnieliśmy, jak wyglądacie, córko. Zaczęliśmy sądzić, że nas lekceważysz.

– Ależ, matko. Jak mogliście tak pomyśleć?

– Podczas waszej ostatniej wizyty miałyśmy do was prośbę.

– He?

To doprowadzało Hürrem do szaleństwa. Gdzie ta dziewczyna nauczyła się tego „he”? Co to miało znaczyć? Tak? Nie? Jakie „he”? Córce padyszacha nie wypada wydawać takich dźwięków niczym służąca.

– Widziałyście prezent od kapudana paszy?

– Widziałyśmy.

– Czy to coś ładnego?

– Yhy – odpowiedziała Mihrimah. – Ładnego, a nawet bardzo ładnego.

– To ci dopiero – westchnęła Hürrem, próbując stłumić gniew. – Nie wysłałyśmy do paszy listu z podziękowaniami. Czy to coś bardzo cennego?

– Moim zdaniem tak.

– Jeśli to coś dużego i ciężkiego, pójdziemy i...

– Nie, nie – rzuciła Mihrimah.

Hürrem się zawahała. Nastrój jej córki całkowicie się zmienił.

– Skoro to coś małego, mogłyście to przynieść, żebyśmy i my zobaczyły.

– Przyniosłyśmy – odparła Mihrimah radośnie. Podeszła do drzwi i zastukała dwa razy. – Matko, oto podarek od kapudana paszy!

Drzwi otworzyły się szeroko.

– Aaa! – Hürrem wykrzyknęła ze zdumienia.

Naprzeciwko niej stała najurodziwsza dziewczyna na świecie. „Oczywiście zaraz po mnie – pomyślała. – W jej wieku byłam jeszcze piękniejsza”.

Cecilia także, wprawdzie ukradkiem, spoglądała na Hürrem. A zatem to była Aleksandra. „Jest bardzo piękna”, przyznała przed sobą, nie mogąc oderwać wzroku od sułtanki. W jakim kolorze są jej oczy? Powiedziałyby, że niebieskie, ale nie – może miały odcień granatu. Jednak, jeśli dokładniej się przyjrzeć, mieniły się też zielenią. Jej włosy, przykryte białym tiulem, wyglądały jak języki ognia. Miała miedziane włosy. Ruda broda Barbarossy, przetykana złotymi, siwymi i czarnymi włosami, nie była aż tak intensywna. Włosy matki Mihrimah spływały jej na ramiona niczym ognisty wodospad. „Naprawdę jest czego zazdrościć. To piękna kobieta. I to bardzo piękna. Piękniejsza nawet od Julii”.

Hürrem wiedziała, że jest uważnie obserwowana. Zauważyła też, że się spodobała. „To oczywiście, że się jej podobam. Nie jestem tak świeża jak ona, ale jestem piękna”.

Prawda była taka, że dziewczyna była bardzo młoda i urodziwa. Wszystko było w niej piękne. A do tego była dzika. Wyglądała, jakby w każdej chwili gotowa była rzucić się z pazurami jak kotka. „Czuje się tak jak ja w dniu, w którym przyprowadzono mnie na dziedziniec odalisek – przeszło jej przez myśl. – Ja też się bałam i wyglądałam jak tygrys gotowy rzucić się na zwierzynę, którą zaraz rozszarpie”.

Różniły się wyglądem. Włosy dziewczyny były kruczoczarne i kręcone. Pasowały do jej matowej cery. Jej oczy były jak winogrona z Seruhanu – duże i zielone. Miała brwi jak dwa łuki, mały, zadarty nos i zaciśnięte, pełne wargi. Nawet luźny strój nie był w stanie ukryć jej cudownych kształtów zapierających dech w piersiach.

Nagle poczuła, że na usta ciśnie jej się uśmiech. Dobrze, że ta żmija Gülbahar nie była tak piękna. Gdyby tak było, nie udałoby się jej odebrać Sulejmana.

Czy można mieć tak wąską talię? Widać, że tak. Spod szarawarów wystawały jej maleńkie stopy. „Boże, jest taka mała, świeża i piękna”.

Spostrzegła, że Dżafer mocno trzyma dziewczynę za nadgarstek. „Jest jak dzika, przerażona kotka”, stwierdziła. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby udało

jej się uwolnić rękę z uścisku Dżafera.

Aga haremu, pociągając dziewczynę, zmusił ją, żeby się ukloniła. Ona zaś opierała się, próbując się wyszarpnąć.

Hürrem poczekała chwilę, żeby wyraz zdziwienia na jej twarzy zastąpił uśmiech, który zniewalał nawet samego sultana Sulejmana.

Mihrimah postanowiła usunąć się na bok i poczekać na to, co się wydarzy. Przeczowała, że coś się stanie. To Bóg przysłał tu tę dziewczynę. Z pewnością miała swoją misję. Nie wiedziała jaką, ale wierzyła, że Wenecjanka wpłynie na życie ich wszystkich. Z jednej strony myślała o tym, a z drugiej – modliła się, żeby Cecilia nie dostała jednego ze swoich ataków złości, których w ostatnim miesiącu była świadkiem aż nazbyt często.

Hürrem uśmiechnęła się słodko, uznając, że już wystarczająco dobrze się sobie przyjrzały.

– Puść rękę naszego gościa, Dżaferze Ago.

Cecilia nie rozumiała tych słów. Mihrimah ich nie przetłumaczyła. Jednak zauważyła, że palce ściskające ją niczym obcęgi rozluźniły się. Ze złością wyrwała rękę i zaczęła ją masować, nie odrywając wzroku od kobiety przed sobą. Była naprawdę bardzo piękna. Nic dziwnego, że sultan nie widział świata poza nią.

– Kim jesteś, dziecko?

Głos kobiety był niczym wiosenny wietrzyk, jednak Cecilia nie rozumiała pytania. Spojrzała na Mihrimah.

– Moja matka pyta, kim jesteście.

Przestała masować nadgarstek. Spojrzała na Hürrem wyniośle.

– Jestem córką weneckiego rodu Baffo, bratanicą potężnego doży weneckiego Sebastiana Veniera. Nazywam się Cecilia Venier-Baffo. – Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek jej głos brzmiał tak oschle. Nawet rozmawiając z korsarzami, nie była tak chłodna. – A ty kim jesteś?

Hürrem od razu rozumiała, co czuła dziewczyna. W jednej chwili przeniosła się na dziedziniec odalisek. Przypomniała sobie pytanie padyszacha, gdy po raz pierwszy spotkała się ze swoim przyszłym mężem: „Jestem sultanem Sulejmanem. A kim ty jesteś?”. Jej odpowiedź także odbiła się echem w jej uszach. Po raz kolejny przeżyła tę wspaniałą chwilę.

Ona również dumnie się wyprostowała i zmierzyła wzrokiem Cecilie Baffo.

– Jestem Aleksandra Anastazja Lisowska – odparła. – Jestem córką popa Nikoli, żoną wielkiego władcy Wielkiego Imperium Osmańskiego, wspaniałego spadkobiercy rzymskiego tronu sultana Sulejmana. Mam na imię Hürrem.

Cecilia Baffo nie zareagowała, jednak nie mogła ukryć swojego podziwu. Od dnia, gdy jej matka powiedziała: „Moja piękna córka, gdy dorośnie, zostanie królową”, zawsze była ciekawa władczyń. Teraz stała przed jedną z nich. Wszystko o tym świadczyło: królewska poza, dumne spojrzenie, dostojeństwo, cudowna

uroda, piękny głos. „Jeśli naprawdę zostaniesz królową, masz szczęście, Cecilio Baffo – powiedziała do siebie. – To jest wspaniały przykład”.

Zacisnęła usta, żeby jej twarz nie zdradziła, o czym myśli.

– Phi – prychnęła drwiąco. – Kto stracił rzymski tron, że dowódca krwawych korsarzy, którzy wyrwali mnie z mojego gniazda, miałby być jego spadkobiercą?

Hürrem nawet nie była ciekawa, co powiedziała dziewczyna. „Cóż to za przewrotność losu”, zastanawiała się. Uśmiechając się, zerknęła na Mihrimah.

– Widzicie, córko? – szepnęła. – Gdy wasza matka przybyła do tego pałacu, była taka sama. Ją także wyrwano z rodziny i jej życia, podobnie jak tę piękną dziewczynę. Była przestraszona i samotna. Jedyne, co miała – zamilkła na chwilę – to silne pragnienie. Pragnienie, żeby utrzymać się przy życiu. Wolę, żeby uciec przed śmiercią.

Ponownie nastąpiła cisza.

– Jakże wielki jest Bóg – podjęła Hürrem.

Cecilia spoglądała to na nią, to na Mihrimah, starając się zrozumieć, co mówią.

– Po latach ta piękna, młoda dziewczyna przywołała przeszłość, małą Aleksandrę tańczącą z motylami...

Nie była w stanie dokończyć.

Cecilia Baffo zdziwiła się. Oczy kobiety zasły łzami. „Czy ona płacze? Ale dlaczego? Co się takiego stało? Co takiego mówiła do córki, że tak się wzruszyła?”.

Hürrem spojrzała na dziewczynę, która wpatrywała się w Mihrimah w oczekiwaniu na przetłumaczenie.

– Piękna, mała Aleksandra. – Jej głos przypominał łkanie. – Przed chwilą miałam wrażenie, że znów przeżywam dzień, w którym stanęłam przed sułtanką Hafsą. Mała Aleksandra też była wtedy tak przestraszona i bezbronna, ale jednocześnie dumna i piękna.

Zauważywszy zdumienie w oczach Mihrimah, wzięła się w garść. Ponownie zwróciła się do dziewczyny.

– Ile masz lat, dziecko?

– Trzyście – odpowiedziała Cecilia zdecydowanie.

Nie chciała się poddać oczom tej kobiety, jej uśmiechowi i uczuciom pobrzmiewającym w głosie.

– Rozkażcie, aby natychmiast mnie wypuszczono! – zawołała nagle.

Córka nie przetłumaczyła tych słów, ale Cecilia wyczytała z jej oczu, że i tak wszystko rozumiała.

– Natychmiast! – wrzasnęła znowu. – W przeciwnym razie przybędzie tu po mnie wielka wenecka armada i zrówna wszystko z ziemią.

Mihrimah milczała.

– Powiedz jej to – syknęła dziewczyna. – No powiedz. – Przygryzła wargi, żeby stłumić płacz. Odwróciła głowę, aby ukryć łzy. – Wypuście mnie. Natychmiast – powtórzyła tym razem ciszej. – Proszę – wyszeptała. – Proszę...

Spomiędzy rzęs dojrzała, że kobieta coś mówi do córki. Mihrimah wstała i podeszła do niej. Objęła ją, mimo że próbowała się opierać.

– Uspokój się – odezwała się, głaszcząc ją po włosach. – Gdyby mogło cię tu teraz nie być, Cecilio. Zarówno ja, jak i moja matka chciałybyśmy, żebyś była teraz w swoim domu, u boku rodziców. Możesz być tego pewna. Matka chciała, abym ci to powiedziała. Jednak choć bardzo tego pragniemy, nie możemy zrobić tego, czego chcesz. Ani ja, ani moja matka nie możemy sprawić, żeby cię uwolniono.

Uniosła głowę i nic nie rozumiejąc, spojrzała na Mihrimah oczami pełnymi łez.

– Ale przecież Aleksandra... twoja matka jest bardzo potężna – załkała. – A może jej potęga, tak jak twoja, jest kłamstwem?

– Tylko Bóg może zrobić wszystko, czego chce, niemożliwe uczynić możliwym. Tak nas uczono i tak uważamy.

– Cecilio Baffo – przemówiła niespodziewanie Hürrem. Bezgranicznie błękitne oczy jej córki i zielone oczy Cecilii zaszkliły się od łez. – Jesteśmy ci coś winne, dziecko – mówiła z trudem. Wiedziała, że jej słowa nie wystarczą, żeby ugasić płomień cierpienia w tym małym sercu. – Odebrałyśmy ci życie, zatem winne jesteśmy ci życie. Daję ci moje słowo, że spłacę ten dług. Stworzę ci życie, na jakie zasługujesz.

Hürrem na chwilę spojrzała na córkę.

– Przetłumacz jej, co powiedziałam, sułtanko Mihrimah. Niech nie lekceważy naszej obietnicy. To słowo zarówno Aleksandry, jak i Hürrem.

Mihrimah zrobiła tak, jak prosiła matka.

Cecilia nie wiedziała, co powiedzieć. Była zrozpaczona. Mruknęła coś pod nosem, ale nawet Mihrimah jej nie rozumiała.

– Jeszcze jedno. – Hürrem starała się mówić radosnym głosem. – W państwie osmańskim istnieje pewien zwyczaj. Tym, które wstępują do haremu, zmienia się imiona. Nasze imię zmienił sułtan. Nasz pan nazwał nas Hürrem, co oznacza „uśmiechnięta buzia”, „piękności”.

Dziewczyna słuchała tłumaczenia, patrząc pustym wzrokiem.

– Na szczęście spodobało nam się nowe imię... – Hürrem zamilkła na chwilę. „Co by to zmieniło, gdyby mi się nie spodobało”, pomyślała. – Ale Aleksandra Anastazja cały czas tu jest. – Uniosła rękę do serca. – W każdym razie – ciągnęła – jeśli się nie pospieszymy, mogą wam nadać imię, które wam się nie spodoba. Najlepiej będzie, jeśli nowe imię nada wam moja córka. Jesteście w podobnym wieku i jestem pewna, że będziecie się dobrze rozumiały. Zna też twój język. Niech to ona nada ci imię. Zrozumiałyśmy się?

Cecilia spojrzała na rozpromienioną Mihrimah. Nic nie powiedziała. Gdyby odparła: „Wystarczy mi własne imię, innego nie potrzebuję”, to i tak nikt by jej nie posłuchał. Lekko pokiwała głową.

– Pomyślmy... – odezwała się Mihrimah, spostrzegłszy ten ruch. – Jak możemy cię nazwać... Już wiem! – wykrzyknęła radośnie. – *Nurbanu*... Będiesz się nazywała Nurbanu!

Hürrem potaknęła zadowolona.

– Nurbanu... Pięknie.

– Nur-ba-nu – próbowała powtórzyć Cecilia.

– Tak, moja droga – powiedziała Hürrem. – Z łatwością je wymówiłaś. Nie bój się, Cecilia nigdy nie zginie. Zawsze będzie żyć w tobie, ale w państwie osmańskim wszyscy będą nazywać cię Nurbanu.

– Nur-ba-nu... Co to znaczy? Czy moje imię ma równie piękne znaczenie co twoje?

– Nawet piękniejsze – zaszczebiotała Mihrimah. – Nurbanu oznacza królową roztaczającą boskie światło.

„Nurbanu! Nurbanu! Nurbanu!”, dochodziło do niej z każdej strony, jakby wszyscy chcieli, żeby wbiła to sobie do głowy.

„Nurbanu! Nurbanu! Nurbanu!”.

Najpierw nawet nie rozumiała, że zwracają się do niej.

Wtedy w głowie rozbrzmiewał jej głos Mihrimah: „Będiesz się nazywała Nurbanu”.

Czuła wewnętrzny sprzeciw. „Mam na imię Cecilia. Cecilia Baffo”.

Wprawdzie nie mogła powiedzieć, że znaczenie nowego imienia: „królowa roztaczająca boskie światło” jej się nie podobało, ale ona była Cecilią.

Im bardziej się opierała, tym bardziej inni nalegali.

Teraz wszyscy zwracali się do niej Nurbanu.

Mijały tygodnie. Nawet nie zauważyła, jak powoli zaczęła topnieć w niej chęć zachowania dawnego imienia.

Narodziła się Nurbanu, a Cecilia zapisała się gdzieś w jej wnętrzu.

Teraz była Nurbanu – królową roztaczającą boskie światło.

„Ha! Jestem odaliską roztaczającą boskie światło!”.

Jeszcze gdy wychodziła z komnaty żony padyszacha, urosło w niej przekonanie, że już nic nie będzie takie jak dawniej.

Słuchając Hürrem, zrozumiała, że jej życie gruntownie się zmieniło. Kobieta poleciła przenieść ją do części dla służby, w pobliżu komnat swojej córki, do większego pokoju z widokiem na morze.

Meneksze została jej na stałe przydzielona jako służąca. Były tam też dwie inne dziewczyny. Meneksze uwielbiała wydawać im rozkazy.

Następnego dnia Mihrimah pojawiła się w jej nowym pokoju z gromadką

kobiet.

– Dalej, Nurbanu, wybieraj.

Dobry Boże! Kobiety zaczęły rozwijać przed nią bele przeróżnych materiałów – taft, jedwabi, aksamitów, fioletowych i żółtych.

– Spójrz, chciałybyś ten żółty? – Mihrimah uniosła skrawek tkaniny i spojrzała na niego z zadowoleniem. – Pasuje do ciebie.

Następnie pokazała jej biały jedwab. A później rozmaite odcienie czerwieni, fioletu, zieleni...

Nurbanu zauważyła, że krawcowe nie przyniosły żadnych niebieskich tkanin. Nie sądziła, że wybrałaby któryś z nich, ale dlaczego nie było niebieskiego? Po chwili sama znalazła odpowiedź. Niebieski był kolorem Mihrimah. Córka padyszacha każdego dnia ubierała się w inne odcienie niebieskiego.

Przyglądała się zielonemu jedwabowi. Później ciemnozielonemu. Z ociąganiem przyłożyła je do siebie.

– Ach! – Z ust Meneksze wyrwał się krótki okrzyk. Z podziwem spojrzała w czarne oczy dziewczyny.

Mihrimah i krawcowe pokiwały głowami.

– Tak – odezwała się młoda sułtanka. – Zdecydowanie ten. Bardzo ci do twarzy.

– To mój kolor – odezwała się cicho. – Uwielbiam zieleń.

– Ja kocham niebieski. To barwa głębokich mórz i bezkresnego nieba.

– Domyśliłam się.

– Sułtanka Hürrem uwielbia purpurę. Widziałas.

– Wyglądała pięknie – potwierdziła. Zauważyła, że nagle poczuła się tak swobodnie, jakby rozmawiała z przyjaciółką. – Ja kocham zielony. W Wenecji jest takie miejsce – Murano. Barwią tam szkło na tak piękny odcień. Nazywamy go zielenią Murano. Spójrz, ten jest do niego bardzo podobny.

Aksamit, który trzymała, był w odcieniu jasnej, błyszczącej, ale nieprzechodzącej w żółty, ciepłej zieleni.

– Ach!

Nie odwróciły się, wiedząc, że to znów Meneksze wydała z siebie okrzyk zachwyty. Zachichotały z Mihrimah.

– Bardzo cię lubi – wyszeptała córka padyszacha.

– Ja ją też. I jak?

Mihrimah cofnęła się o krok i przyjrzała uważnie.

– Meneksze ma rację – powiedziała. – Wybornie. Nie mogę sobie wyobrazić innego koloru, który w równym stopniu podkreślałby twoje piękno. Dobrze, decyzja została podjęta.

– Jaka decyzja, sułtanko? – W jej głosie słychać było wesołość.

– Od teraz zieleń będzie kolorem Nurbanu.

Krawcowe pokiwały głowami.

Tego dnia Nurbanu obejrzała jeszcze wiele innych tkanin. Krawcowe przycięły materiały i zabrały się do szycia.

– Chciałabym przyjść z wizytą do waszej pani – oznajmiła dwa dni później, spotkawszy na korytarzu piastunkę Mihrimah.

Esma w końcu zrozumiała, co chciała jej powiedzieć. Pół godziny później przyniosła wiadomość, że sułtanka Mihrimah jej oczekuje.

– Ach! – Tym razem okrzyk podziwu wydała z siebie córka padyszacha.

Jeden nauczyciel wychodził, a drugi wchodził. Białowłosa kobieta z niewiarygodną cierpliwością próbowała nauczyć ją tureckiego. Niegdyś była żoną paszy. Powiedzieli jej, jak miał na imię, ale puściła to mimo uszu.

– Hajrije – odezwała się kobieta, wskazując na siebie palcem. – Mam na imię Hajrije. Pani Hajrije.

Później wskazała na nią.

– Ty masz na imię Nurbanu. Zrozumiałas? Hajrije... Nurbanu... Powtórz.

Ona także wyciągnęła rękę w stronę kobiety.

– Hej-ri-je. – Trzy razy stuknęła się palcem w pierś. – Nur-ba-nu.

Godzinami siedziała naprzeciwko pani Hajrije, próbując zrozumieć i powtórzyć to, co mówiła. Nie wiedziała, co było trudniejsze – zrozumieć czy powtórzyć. Wymówienie niektórych słów graniczyło z cudem.

– Niiieech ten pu-ra-nek zwias-tu-je wam dob-rry dzieeń, paaani.

Po kilku miesiącach pani Hajrije poleciła jej:

– Mów teraz w nowym języku. Nawet w nim śnij.

Tak trudno było jej się porozumiewać, szukając słów.

Pisania uczył ją inny nauczyciel. To był posepny mężczyzna w przedziwnym nakryciu głowy, który nigdy nie patrzył jej w oczy. Zresztą z za bujnych włosów i brody i tak nie widziała jego twarzy.

Pisanie tymi dziwnymi zawijasami wydawało jej się niemożliwe.

Kiedyś rzuciła pióro i jak burza wpadła do komnaty Mihrimah.

– Nie udaje się! Nie udaje! Nurbanu jest głupia! Nie umie pisać.

Gdy Mihrimah przetłumaczyła te słowa swojej piastunce, kobieta się roześmiała.

– Ja nie umieć pisać.

Esma polubiła Nurbanu. Jej twarz, która niedawno na jej widok stawała się ponura, z czasem zaczęła łagodnieć. Cecilia także nie traktowała piastunki Mihrimah tak oziębło jak dawniej. Była piękna i słodka. Ona z pewnością także nie chciała być służącą.

Pewnego ranka Esma delikatnie przed nią dygnęła i cicho ją pozdrowiła:

– Siostró.

Było to słowo, którego Nurbanu nauczyła się najszybciej. Nie wiedziała

dlaczego, ale zawsze, gdy Mihrimah i Esma tak się do niej zwracały, jej serce wypełniało się ciepłem.

Co powinna teraz powiedzieć? Zaniepokoiła się. Czy mogła zwrócić się do służącej „siostrze”? Czy Baffo mogła mieć siostrę piastunkę?

Nagle się uśmiechnęła. Baffo? Nie ma już żadnej Baffo. Cecilia Baffo, jak powiedziała żona padyszacha, pozostała gdzieś w niej schowana. Teraz była Nurbanu.

Ona także subtelnie się ukloniła i uśmiechnęła się, odsłaniając zęby.

– Siostrze.

Od tego dnia Esma o wszystko się troszczyła. Poleciała w kuchni przygotowywać ulubione potrawy Nurbanu.

Dziewczyźnie udzielano nawet lekcji z siedzenia i stania. Kobiety w pałacu musiały bowiem przybierać odpowiednie pozy i charakterystycznie układać ręce. Co oni sobie myśleli? Chcieli uczyć Nurbanu, która brała udział w balach w weneckich pałacach, jak ma siedzieć i stać? Później zrozumiała, że wszystko tutaj jest bardzo odmienne. Wprawdzie weneckie dziewczęta też nie mogły się zachowywać, jak im się podobało, ale były bardziej swobodne. Siadały, wstawały, śmiały się, rozglądały dookoła, a gdy spodobał im się jakiś dobrze urodzony mężczyzna, ukradkiem porozumiewały się z nim za pomocą różnych gestów i odpowiedniej mimiki. Jednak tutejsze kobiety sprawiały wrażenie, jakby okrywała je zasłona z tiulu. Ponadto poruszały się z niewiarygodną, tajemniczą gracją i jakby bezszelestnie.

Oczywiście były też lekcje muzyki. Przynosili przeróżne instrumenty i rozkładali przed nią.

– Na którym z nich umiesz grać?

Większość z nich widziała po raz pierwszy. Instrument z wielkim pudłem wydał jej się śmieszny.

– Co to jest?

– Oud.

Tego dnia rozpoczęła lekcje. Uczyla się pilnie. Nawet nauczyciel był zdziwiony, że tak szybko czyni postępy. Nikt nie wiedział, że gdy tylko Nurbanu przytulała oud do piersi niczym mandolinę, jej myśli i dusza przenosiły się nad weneckie kanały.

Ze swoim pierwszym amatorskim koncertem wystąpiła przed Mihrimah. Najpierw córka padyszacha z radością na nią spojrzała i klasnęła w ręce. Esma także z uwagą przysłuchiwała się tej obco brzmiącej melodii.

– To z Wenecji – wyszeptała. – Z naszych stron.

Były także egzaminy. Sułtanka Hürrem Haseki regularnie ją do siebie wzywała albo przychodziła sama ją sprawdzać. Zwykle były z nią także Mihrimah i skośnooka kobieta – Merzuka.

– Opowiedz nam, Nurbanu, czego się dziś nauczyłaś.

Mówiła, łamiąc sobie język. Czasem o czymś zapominała albo coś jej się myliło.

– Nie tak – upominała ją spokojnie Hürrem, ale uśmiech na jej twarzy nie zniknął nawet na chwilę.

Wieczorem, gdy tylko położyła się do łóżka, oczy zamykały jej się ze zmęczenia, ale najpierw zastanawiała się, dlaczego żona padyszacha poświęcała jej tyle uwagi.

Sen pokonywał ją, zanim zdążyła cokolwiek rozważyć. W snach widziała Helenę w koronie z wawrzynu. Uśmiechała się do niej.

XXIII

Manisa

Pałac księcia sukcesora Mustafy

W Manisie panował taki upał, jakby ogarnęły ją ognie piekielne. Nawet basen z fontanną pośrodku sali nie wystarczał, żeby schłodzić mury. W pomieszczeniu panowała cisza. Słysząc było tylko szum wody i delikatny świst wachlarza na długim drzewcu, którym dziewczyna machała jej nad głową, żeby miała czym oddychać.

Kobieta spojrzała na zieloną równinę roztaczającą się w dole za oknem. Owoce w winnicach dojrzały, a mieszkańcy wioski kończyli zbiory. Z daleka pola wyglądały jak żółte plamy na zielonej płachcie. Oprócz kilku spóźnionych chłopów nikt już nie pracował na roli. „Wszyscy zrobili, co do nich należało – przeszło jej przez myśl. – Tylko my zostaliśmy”.

Poruszyła się niespokojnie. Druga służąca, siedząca u jej stóp z robótką, natychmiast uniosła głowę, żeby sprawdzić, czy jej pani czegoś nie potrzebuje. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Twarz kobiety miała wyraz, do którego już się przyzwyczyły. Była niespokojna, zawzięta, dzika, w każdej chwili gotowa wybuchnąć. Dziewczyna pospiesznie z powrotem przeniosła wzrok na robótkę.

„Zbyt długo zwlekamy – mruknęła kobieta w duchu. – Ruda pluskwa nieustannie posuwa się naprzód. Ja stoję w miejscu. Przez bezsensowną lojalność naszego syna tron Sulejmana każdego dnia coraz bardziej się od nas oddala”.

To jeszcze bardziej ją zdenerwowało.

– Zabierz mi to z głowy! – złała dziewczynę machając wachlarzem.

Służąca nie mogła nawet ucieszyć się z tego rozkazu, mimo iż od wachlowania bolały ją ramiona. Gniew w głosie kobiety był zwiastunem surowej kary. Przy najmniejszym zawahaniu jej pani wyda kolejny rozkaz: „Przynieście dereniowy kij! Natychmiast!”. Później przyjdzie kolej na bolesne, tnące, palące, uderzające gdzie popadnie razy.

Natychmiast przestała machać. Wycofała się powoli, żeby nie spowodować choćby najmniejszego ruchu powietrza. Jednak zwlekała chwilę z ucieczką. Ponieważ tym razem jej pani mogłaby wpaść w złość i wykrzykując: „Dokąd idziesz?”, także zażądać przyniesienia kija. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko modlić się, żeby nawet jej oddech był niewyczuwalny.

– Poprawcie te poduszki. Rozbolały nas plecy.

Obie dziewczyny wyskoczyły jak z procy. Podczas gdy jedna spulchniała poduszki, klepiąc w nie, druga próbowała umieścić je po lewej stronie.

– Zamiast bezmyślnie się przyglądać, lepiej połóż też tę poduszkę.

Starły się zrobić wszystko zgodnie z rozkazem, ale na próżno. Jak miały ułożyć poduszki za jej plecami, skoro siedziała odwrócona twarzą do okna i nie

było niczego, co mogłoby je podtrzymać?

Ale to była Mahidevran Gülbahar Hatun! Miało być tak, jak powiedziała. Skoro chciała mieć poduszki za plecami, powinny tam się znaleźć. Jeśli pokryte jedwabnymi poszewkami poduszki ześlizgną się i spadną, pójdzie w ruch dereniowy kij stojący za drzwiami.

Wcisnęły poduszki najlepiej, jak potrafiły. Jednak Gülbahar nie była zadowolona.

– Nie wiem, do czego wy się nadajecie. Przydzielono was tylko po to, żebyście były dla nas ciężarem? Nawet poduszek nie potraficie ułożyć!

Zrezygnowała z oparcia i odwróciła się bokiem. Dziewczęta ułożyły poduszki odpowiednio do nowej pozycji swojej pani. Na szczęście nie stało się to, czego się obawiała. Mahidevran nie zażądała kija, tylko całkiem odwróciła głowę do okna i zatopiła się w ciszy.

„Nie bądź niesprawiedliwa, Gülbahar – mówiła do siebie. – Więcej w tym twojej winy niż twojego syna. Na co ci było stawać w zawody z ruską odaliską? A skoro już to zrobiłaś, to po co rzuciłaś się na nią, niemal ją zabijając?”

Gdyby nieco obróciła głowę, służące zauważyłyby na twarzy swojej pani wyraz ubolewania.

„I po co później skłóciłaś się z tą starą wariatką? – złościła się na siebie. – Ta kobieta to matka padyszacha. Matka twojego mężczyzny. Po co ją atakowałaś? Tak szybko zapomniałaś dni, kiedy sułtanka Hafsa cię popierała? Co wtedy sobie myślałaś? Że Sulejman nie weźmie do łóża innej? Z iloma dziewczętami spał, zanim pojawiła się Rusinka? Trzeba było pozwolić mu się z nią zabawić. Ta stara wiedźma pewnie też tak uważała. Chciała, żeby jej syn trochę pohulał, użył życia. Ale po co wciskała mu do łóżka skorpioną, pluskwę, kiedy u jego boku była matka jej wnuków? Bóg cię z tego rozliczy. Ale po co groziłaś jej ogniem piekielnym? Odplącała ci pięknym za nadobne. Zwodzi twojego syna, a córkę Rusinki kocha jak oczko w głowie”.

Dzień powoli zaczął spowijać mrok. Nagle zobaczyła kobietę patrzącą na nią z szyby, jej zawziętą, napiętą twarz i ściągnięte brwi. Dostrzegła żalną kobietę, która w kącikach oczu miała już drobne zmarszczki. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że na zewnątrz zrobiło się ciemno, a to, co widziała, było jej odbiciem. „Jednak najgorsze stało się potem – powiedziała do kobiety w szybie. – Czy matce Mustafy Chana, następcy wielkiego sułtana Sulejmana, wypadało bić odaliskę na oczach wszystkich? Czy wolno podnosić rękę na kobietę, którą padyszach bierze do swojego łóża? Kiedy podniosłaś rękę na Rusinkę, to tak, jakbyś podniosła ją na Sulejmana”.

I skutkiem tego stało się wygnanie. Tylko wygnanie? Sulejman nie tylko ją wygnał, ale też wyrzucił ze swojego życia. Złożył śluby pluskwie.

„Ach, Sulejmanie, wolałabym, żebyś wbił swój sztylet w moje serce, napoił

mnie trucizną, wrzucił w płomienie, ale nie robił tego, co zrobiłeś”.

Z oczu kobiety popłynęła łza. Gdzie się podziały te wersy z Trabzonu: „Moja różo, ma wiosno, płonę z miłości do ciebie”? Wygląda na to, że to, co nazywał miłością, było tylko kłamstwem.

Gülbahar wiedziała, że nie ma już odwrotu. Albo przeżyje, albo zginie. Nawet jeśli Rusinka się zatrzyma, pośle swoje żmije wprost do tronu, który należy się jej synowi. Tego właśnie nie rozumiał Mustafa.

Mahidevran Gülbahar usiadła na sofie na kolanach i odezwała się do służących czekających w gotowości, żeby spełnić jej rozkazy:

– Biegnijcie! Niech natychmiast prześlą wiadomość do Dżelalzade Saliha Czelebiego. Będziemy na niego czekać w dużym pawilonie.

Po modlitwie Salih Czelebi pospieszył na miejsce spotkania. Wieczorny mrok pochłonął pawilon. Jedyne, co było widać, to światło pochodni płonącej między drzewami. W tych ciemnościach Czelebi był w stanie rozpoznać tylko krążącą sylwetkę.

Zbliżył się do pawilonu. Oparł się plecami o ścianę budynku przesłoniętego trzcinami, zwisającymi gałęziami i pnączami.

– Przybiegliśmy, gdy tylko dostaliśmy wiadomość.

– Zatem już się zestarzelicie, Czelebi – syknęła z drugiej strony Gülbahar. – Wasz bieg stał się znacznie wolniejszy. Czekamy na was od godziny.

„Niech to szlag”, zaklął w duchu Czelebi.

– Byłem na wieczornej modlitwie. Natychmiast przybyłem. Jeśli się spóźniłem, wybacz...

– *Lalo*³⁶ – odezwała się Gülbahar karcąco – są pewne sprawy, które nie mogą czekać nawet chwili, a co dopiero dwóch *rekatów*³⁷. Sądziłyśmy, że nauczyciel naszego syna dobrze o tym wie.

– Wiemy, jednak stojąc przed Bogiem...

– Darujmy sobie te słowa. Chcemy was o coś zapytać.

Salih Czelebi poczuł się głęboko dotknięty tym tonem.

– Słucham – powiedział cicho.

– Czy nasz syn jest chory?

– Boże uchwaj! – „Skąd jej to przyszło do głowy?”, pomyślał. – Księżę sukcesor Mustafa cieszy się dobrym zdrowiem. Co więcej, dziś rano wybrał się z przyjaciółmi i kapykułami na polowanie.

– Nie zobaczywszy się z matką?

– Naprawdę? Nie miałem o tym pojęcia.

– Czelebi! – Nie dało się puścić mimo uszu urągającego tonu w głosie Gülbahar. – Czy nasz syn robi cokolwiek bez waszej wiedzy? Sądzicie, że uwierzemy, że nie wiecie o tym, że odkąd powrócił ze stolicy, nie przyszedł odwiedzić swojej matki, choćby tylko po to, żeby ucałować jej dłoń?

Salih Czelebi milczał przez chwilę. Wiedział, że księżę Mustafa unika spotkań ze swoją matką. Od dnia kiedy opuścili pałac, sam dyskretnie zaszczepiał w nim tę myśl.

– Ależ, księżę – napominał go często – mężczyzna, szczególnie jeśli pisane jest mu przejęcie tronu po ojcu, nie powinien działać podług rad kobiety, nawet jeśli to jego matka.

Mustafa był wtedy chłopcem, ale zrozumiał wagę tej rady. Po latach, gdy dorósł, jego wizyty u matki stały się znacznie rzadsze. Nie przychodził, jeśli Gülbahar go nie wezwała. Oprócz świąt i uroczystości w ogóle do niej nie zaglądał. Za każdym razem miał gotowe wytłumaczenie – wyjeżdżam na polowanie, muszę się przygotować, wróciliśmy z polowania, jesteście zmęczeni, przy najbliższej sposobności ucałujemy wasze dłonie.

Jednak tym razem rzeczywiście przebrał miarę. Padyszach, wyruszając na wyprawę na Korfu, pozostawił księcia sukcesora na miejscu jako kajmakama, a drugiego księcia Mehmeda i trzeciego – Selima – zabrał ze sobą. Mniejsza o Mehmeda, ale Selim miał dopiero trzynaście lat. Nawet nie potrafił porządnie utrzymać się na końskim grzbiecie.

Od tamtego czasu Mahidevran Gülbahar była jak w amoku. „Nie zostawimy naszego syna samego z ruską pluskwą. My też pojedziemy do Stambułu”, upierała się nawet. Z trudem ją zatrzymali. Jednak Mustafa, który po powrocie padyszacha z wyprawy, blisko miesiąc temu powrócił do Manisy, od tamtej pory nie odwiedził matki. „Oczywiście wie, co mu powie, o co go zapyta, jakie będzie rozsiewać trucizny i niesnaski”, pomyślał Salih Czelebi.

– Dlaczego milczysz, Czelebi? Co jest przyczyną tego, że nasz syn nie przychodzi ucałować naszych dłoni? Czyżby któryś z nauczycieli mu to poradził?

– Co mogłoby być tego przyczyną? Świętym obowiązkiem każdego człowieka jest oddanie szacunku matce, czy to następcy tronu, czy padyszacha.

– Skoro tak jest, to dlaczego nasz syn ucieka od tego obowiązku?

Musiał szybko wymyślić jakieś kłamstwo.

– Bo... – mruknął Salih Czelebi. – Nasz księżę bardzo zmęczył się w stolicy.

– Zmęczył się? Co oprócz siedzenia beczynnie robi kajmakam padyszacha, że nasz syn się zmęczył, Czelebi?

Konieczne było kolejne kłamstwo.

– Musiały być inne rzeczy, które bardziej zmęczyły młodego księcia niż sprawy państwowe – odparł Salih Czelebi, starając się, żeby w jego głosie wyraźnie było słyhać aluzję.

– Co?

Gülbahar się wyprostowała. Co oprócz spraw państwowych mogło zajmować jej syna? Natychmiast odrzuciła możliwość, która przyszła jej do głowy. „Mustafa by tego nie zrobił”.

– Jakiego rodzaju to kwestie, *lalo*? Czy w stolicy, tak jak tutaj, nasz syn biegał za sarnami i jeleniami?

– Lepiej byłoby je nazwać gazelami – wyszeptał z zawstydzeniem Czelebi.

Gülbahar zaczęła słuchać uważniej. Czyżby Mustafa odwiedził harem? Czyżby ktoś przyprowadził mu dziewczynę? Myśl, która nagle zrodziła się w jej umyśle, sprawiła, że krew uderzyła jej do głowy. To musiała być sprawka Hürrem. Pluskwa z pewnością nasłała żmiję na jej jedyne go syna.

Musiała pociągnąć Saliha Czelebiego za język.

– Często bywaliście w Nowym Pałacu?

Nowy Pałac oznaczał Hürrem. Gdy Mustafa wyruszał do stolicy, surowo go przestrzegano: „Nie wychodź ze Starego Pałacu. To dom twojego prapradziada. Urzęduj w pierwszej siedzibie, z której rządził twój dziad Mehmed Zdobywca”.

– Nie, nasz książę nie opuszczał Starego Pałacu.

– W takim razie z pewnością miewaliście gości z Nowego Pałacu.

Czelebi zachichotał w duchu. Nie sposób było nie zauważyć, że kobieta starała się coś od niego wyciągnąć i robiła to bardzo nieudolnie.

– Nic takiego także się nie wydarzyło. Książę większość czasu spędzał w domkach łowieckich. Wybraliśmy się nawet w okolice Edirne.

– Czyżby gazela aż tak daleko uciekła?

„Dalej – powiedział mężczyzna w duchu. – I co teraz wymyślisz?”.

– Raczej nie – odezwał się. – Gazele nie opuszczały ogrodów Starego Pałacu. Książę uwolnił kilka z nich. Gdy wypełnił swoje zadanie, odwrócił się i przyszedł. Nie zdarzyło się nic, co mogłoby budzić wasz niepokój.

– A zatem rana w serce...

– Nie – odparł natychmiast Czelebi. – Następca tronu to prawy dzygit, znający rangę swojej pozycji. Jednak nie wiem, czy nie pojawiła się jakaś gazela raniona spojrzeniem naszego księcia.

Mahidevran Gülbahar nic z tego nie rozumiała. Czelebi powiedział tyle słów, ale nie wynikało z tego, czy Mustafa odwiedzał harem i czy umiłał sobie czas z jakąś dziewczyną. Nagle zmieniła temat.

– Jakie wieści przywieźliście ze stolicy?

Właściwie aż się paliła, żeby zapytać o Sulejmana, ale nie mogła się na to zdobyć. Nie dlatego, że martwiła się o jego zdrowie. Dlaczego miałaby być ciekawa zdrowia mężczyzny, za którego każdego dnia, każdej nocy modliła się: „Boże, niech moje przekleństwo nie opuszcza Twojego sługi. Nie pozwól mi umrzeć, zanim nie zobaczę jego końca. Jemu zaś nie pozwól umrzeć do chwili, gdy pluskwa nie wspomni mojego imienia, gdy trucizna będzie odbierać jej życie”? W jej głowie były teraz inne plany. Po tym, jak padyszach kazał udusić wielkiego wezyra Ibrahima Paszę, Gülbahar nie miała w pałacu żadnego wsparcia. Tragiczny koniec Ibrahima oznaczał dla niej także zerwanie wszystkich związków z pałacem.

Ajas Pasza, mianowany wielkim wezyrem w miejsce Ibrahima, obojętnie potraktował posłańców, których do niego wysłała. Co więcej, niektórym z nich kazał przez wiele dni czekać pod swoimi drzwiami, nie dbając o przekazywane przez nich rady. Nawet słowa: „Życzymy wam, aby po koronacji naszego syna wasza służba trwała wiecznie”, nie wywarły na mężczyźnie spodziewanego wrażenia. Tymczasem ona potrzebowała silnego sojusznika. Koniecznie musiała kogoś znaleźć, dlatego też uważnie śledziła to, co dzieje się w Stambule.

– To stolica – mruknął Salih Czelebi. – Jest tam, jak wiecie, wiele kłopotów i trosk. Pod nieobecność naszego pana jest osierocona. Pałac także. Na szczęście nasz padyszach szybko wrócił z wyprawy i sieroctwo państwa osmańskiego nie trwało długo. Pałac odnalazł spokój. Jednak...

Gülbahar nadstawiła uszu. Wyczuła, że mężczyzna się waha. „Jednak?”

– Słyszeliśmy, że tym razem spokój pałacu został poważnie zakłócony.

Dobry Boże! Czyżby...

Wyprostowała ramiona. Rozstali się? Czy w końcu stało się to, czego tak z nadzieją wyczekiwała? Rusinka wypadła z łask? „Boże, spraw, żeby ten człowiek przekazał mi wiadomość, na którą czekam – modliła się. – Niech powie mi o klęsce Hürrem albo nieszczęściu, które przyniosło koniec im obojgu”.

– Dlaczego? Kto śmiał zburzyć spokój naszego pana, że porządek w pałacu został zakłócony?

– Pewna odaliska.

Co?

Gülbahar nie zwróciła nawet uwagi na aluzję w głosie nauczyciela swojego syna. W jej głowie odbijało się echem tylko jedno słowo: „Odaliska!”

„Dzięki Ci, Boże”, westchnęła w duchu. Zatem jej modlitwy zostały wysłuchane. To boska sprawiedliwość. Odaliska zniszczyła jej szczęście i wywróciła życie do góry nogami. A teraz jej też... Przycisnęła dłoń do piersi, żeby stłumić bicie serca. Ze szczęścia i z ekscytacji zaschło jej w ustach. „Bóg jest wielki, Rusinko – powiedziała do siebie, jakby stała naprzeciw Hürrem. – Czego się spodziewałaś? Że to tobie przypadnie panowanie?”. Jej rozdział też zakończyła odaliska. Sulejman wygna także ją i jej bękarty. Umili mu życie nowa piękność. „Zgnijesz na wygnaniu, Hürrem. A gdy ty będziesz gliwieć, ja wrócę do pałacu mojego syna jako sułtanka matka. Przekonamy się, czy mój syn będzie miał litość nad tobą i twoimi dziećmi, kiedy wstąpi na tron. Zobaczymy, czy ulituje się nad tobą, gdy padniesz mu do stóp”.

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, ale na próżno. Nawet marzenie o dniach zemsty odbierało jej zmysły. „Nastał twój dzień, Mahidevran Gülbahar. Nie żałuj już, że panowanie twojego mężczyzny i jego miłość nie przetrwały. Najwyższy Bóg przeznaczył tron twojemu synowi”.

Ocknęła się na dźwięk kasznięcia z drugiej strony pawilonu.

– Co to za odaliska? Przecież nasz pan złożył śluby tej kobiecie...

– Zdaje się, że źle się wyraziłem – rzucił Salih Czelebi. – To nie zwykła odaliska. Kapudan Hajraddin Pasza podarował Hürrem w prezencie dziewczynę. I to ona zaprowadziła chaos w haremie. Krzyki, wrzaski, łzy. Wszystko stanęło na głowie.

Zupełnie tak, jak to zrobiła Hürrem... Ona uczyniła to samo. Postawiła cały harem na nogi, żeby zwrócić uwagę padyszacha.

– Kapudan pasza nie znalazł niczego innego, co mógłby jej podarować? Co to za dziewczyna? Czy jest chociaż piękna? Ile ma lat?

– Mówią, że to Wenecjanka. Podobno jest wyjątkowo urodziwa. Jest bardzo młoda. Nie skończyła nawet piętnastu lat. Mówili też, jak ma na imię... Chwileczkę... No nic, nie mogę sobie teraz przypomnieć. Sułtanka Mihrimah zna język dziewczyny, podobno nieco stłumiła jej gniew. Dopiero wtedy udało im się przedstawić ją Hürrem.

– Pięknie – powiedziała Gülbahar głosem pełnym nienawiści. – Rusinkę wytepiła Wenecjanka.

Salih Czelebi rozejrzał się struchlały. Co za straszne słowa...

– Znów źle się wyraziłem – mruknął. – Nowa dziewczyna jest na usługach Hürrem Haseki. Sułtanka Mihrimah nadała jej imię.

– Doprawdy? Jakże?

– Nurbanu. Sułtanka Hürrem poleciła, żeby umieścić Nurbanu w komnatach jej córki. Pobiera nauki u wielu nauczycieli.

Myśl, która wpadła do głowy Gülbahar, sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. Dziewczyna była piękna, nie miała jeszcze piętnastu lat... Ogarnęły ją tysiące wątpliwości.

– Powiedziałaś, że nasz syn nie udał się do Nowego Pałacu, czyż nie, Czelebi? A może źle usłyszałyśmy?

Leciwy nauczyciel księcia Mustafy, zapomniawszy, że siedząca za ścianą z trzciny kobieta go nie widzi, z przyzwyczajenia splótł ręce na brzuchu i delikatnie się uklonił. – Dobrze słyszałyście.

– Co się wydarzyło, gdy sułtan wrócił z wyprawy? Nasz syn pojechał do Manisy, nie zobaczywszy się ze swoim ojcem?

– Ależ nie. Jak mógłby się z nim nie zobaczyć?

– W takim razie czy to nasz pan przyszedł do syna?

Nagle Salih Czelebi się zachwiał.

– Broń Boże! Czy słyszał to ktoś, żeby sułtan przychodził do księcia?

– Przecież właśnie o tym samym mówimy. To byłaby rzecz niesłychana. W takim razie skoro nasz syn nie udał się do Nowego Pałacu, gdzie spotkał się ze swoim ojcem?

– W Dywanie.

– *Lalo!*

Gülbahar wstała gwałtownie.

Ten niespodziewany ruch sprawił, że wszystkie trzciny, gałęzie i pnącza wydały z siebie dziwny szelest.

– Okłamujesz nas? Co to ma znaczyć? Czy to nie ty dopiero co twierdziłeś, że nasz syn nie udał się do Nowego Pałacu? A teraz mówisz, że spotkali się w Dywanie. Czy odkąd opuściliśmy stolicę, Rada Pałacowa zaczęła zbierać się w innym miejscu?

Umysł Saliha Czelebiego w jednej chwili przyszedł mu z pomocą.

– Nie skłamaliśmy. Pod nieobecność ojca księżę ani razu nie udał się do Nowego Pałacu. Jednak gdy padyszach wrócił, przybył do Dywanu na okoliczność uroczystości i ucałował dłoń naszego pana. Przekazał, co mu powierzyłyście. Ceremonia wypadła pięknie.

– Zapewne sułtan owej nocy gościł swojego syna. Może zjedli razem.

– Nie – uciał Salih Czelebi. – Nasz pan ucałował księcia sukcesora w czoło. Rozmawiali trochę o wyprawie i sprawach państwowych. Następnie padyszach poprosił nas, jego sługę, o wyjście. Około godziny rozmawiali w cztery oczy. Po opuszczeniu Pawilonu pod Kopułą księżę natychmiast udał się do Üsküdaru. Następnego dnia, o wschodzie słońca, wyruszyliśmy w drogę.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

Gülbahar ponownie zatopiła się w myślach. „A zatem Mustafa nie widział pluskwy. Czyżby jej bękarty też były w Pawilonie pod Kopułą? Skoro zabrał Mehmeda i Selima ze sobą na wyprawę, to usadził swoich bastardów na honorowym miejscu w Dywanie”.

Nawet wyobrażenie takiej sceny wystarczyło, żeby w jej duszy zapłonął ogień. Czy to możliwe, żeby Rusinka pokazała Mustafie Wenecjanę? Jeśli Hürrem i jej córka nie miały planów z nią związanych, to dlaczego przyjmowałyby ją z tak otwartymi ramionami? Może Wenecjanka była przynętą, pułapką? Czy gazelą, o jakiej wspomniał Salih Czelebi, mogła być dziewczyna, którą nazywają Nurbanu?

Gülbahar zadrżała. Głęboko odetchnęła, żeby opanować strach. „Ach, Gülbahar – westchnęła – ta podejrzliwość cię zabije. Gdzie Mustafa miałby zobaczyć dziewczynę? A nawet jeśli ją zobaczył, to co? Ani dziewczyna nie zna języka Mustafy, ani on jej”.

Jednak nie udało jej się całkowicie wyzbyć tej myśli. Musiała przyjrzeć się tej kwestii. Nurbanu, tak? Dziewczyna z weneckiej arystokracji! Piękna. Świeża. Dziewica.

Z pewnością była częścią nowego planu Hürrem. Przydzieliła dziewczynie jakąś rolę, ale jaką? Co szykowała, wykorzystując Wenecjanę?

– Możesz odejść, Czelebi – powiedziała cicho. – Zmęczyliśmy cię. Niedługo

będą wzywać na nocną modlitwę. Nie opuszczajcie modlitwy przez naszą sprawę.

Salih Czelebi zlekceważył jej przytyk. Gdy szykował się do wyjścia, Gülbahar odezwała się za nim:

– *Lalo*, jeśli my go nie wezwiemy, nasz syn nie wyjdzie z selamłyku, żeby zobaczyć się ze swoją matką. Kiedy wróci z polowania, przekażcie mu, żeby do nas przyszedł. Niech ucałuje naszą dłoń. Chcemy z nim porozmawiać.

Gdy Czelebi się oddalił, Gülbahar podeszła do przeciwległej ściany pawilonu.

– Słyszałeś wszystko – wyszeptwała, jakby rozmawiała z trzcinami.

– Słyszałem – odpowiedział jej przyciszony męski głos.

– W takim razie niech będzie tak, jak ustaliliśmy. Nie wracaj, dopóki nie zrobisz tego, co ci nakazałam.

– Nie wrócę. Albo umrze ona, albo twój sługa.

Pośród ciemności okrywających pawilon Gülbahar czekała, aż mężczyzna się oddali.

– Azrael wyruszył w drogę, Rusinko. Przybywa odebrać duszę.

Zadrzała. Scena, która stanęła jej przed oczami, wywołała na jej twarzy uśmiech. Zaczęła mówić do siebie:

– Wenecjanka, tak? Dlaczego pluskwa tak bardzo się nią interesuje?

– Podobno jest piękna.

– A do tego świeża.

Nagle zamarła.

– Czyżby Hürrem i Nurbanu?

Zaskoczyło ją, że coś takiego przyszło jej do głowy.

– Nie, to by było za wiele.

Na jej twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

– A dlaczego nie? – szepnęła. – Gdy Sulejman wyrusza na wojny, Hürrem miesiącami zostaje bez mężczyzny. Gdy o tym pomyśleć, nie wydaje się to takie niemożliwe.

– Nie mów głupstw! – zganiała się. – Nic podobnego. A nawet jeśli... Czule szepty do ucha nie przyniosą szkody.

Upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim opuściła altanę. Gdy zmierzała do domu, w świetle pochodni oświetlającej ścieżkę, porośniętej po obu stronach kukurydzą i słonecznikami wysokością dorównującymi człowiekowi, w jej czarnych oczach pojawił się złowieszczy błysk.

XXIV

Stambuł

Nowy Pałac

Harem

Zima się spóźniała. Jesień dobiegała końca, ale powietrze wciąż było ciepłe. Nie marzły, chociaż wszystkie okna były pootwierane. Zza krat do wnętrza wpadał świeży powiew. Piec stojący na przeciwległej ścianie rozpalano jedynie wieczorami.

Nurbanu była pochłonięta myślami. W codziennym zamieszaniu nie zdawała sobie sprawy, jak szybko mija czas. Przypominała sobie chwile, kiedy myślała, że wszystkie dni są do siebie podobne.

Mihrimah powoli odłożyła tamborek z haftem.

– Wyglądasz na zamyśloną. Coś się stało, Nurbanu?

Esma i Meneksze, która już przestała zwracać się do niej „Cze-ci-la”, nadstawiły uszu, choć nie rozumiały ich rozmowy.

Nurbanu pokręciła głową. Właściwie nie wiedziała, co było dobre, a co złe. Czy była niewolnicą, czy nie, nawet to nie było już takie oczywiste. Została tu sprowadzona jako odaliska, ale nikt nie zmuszał jej, żeby dzieliła z kimś łóżko, tak jak się tego obawiała. Wychodziła, dokąd chciała, przemierzała korytarze, wychodziła do ogrodu. Nikt się do tego nie wtrącał. Oczywiście tak długo, jak pozostawała w granicach haremu. Z haremu nie było wyjścia. Harem był ogromnym więzieniem. Ale nie tylko dla niej. Hürrem także nie opuszczała haremu, Mihrimah też.

Dziewczyna od wielu dni błagała matkę, żeby pozwoliła jej zabrać Nurbanu i w przebraniu udać się na Kryty Bazar. Hürrem za każdym razem odpowiadała jej tak samo.

– Wykluczone!

To było jedno z pierwszych tureckich słów, jakiego się nauczyła.

O drugie sama zapytała Mihrimah.

– Jak powiedzieć w waszym języku *amore*?

Mihrimah spojrzała na nią jasnoblękitnymi oczami.

– Miłość.

– Mi-łość.

Mihrimah potwierdziła, zamykając powieki.

– Masz ukochanego?

Natychmiast pożałowała tego pytania. Czy można było pytać o coś takiego dziewczynę, którą mają wydać za mąż za mężczyznę, którego się brzydzi? A jeśli jest ktoś, kogo darzy miłością? Wtedy sytuacja dziewczyny była jeszcze trudniejsza.

Mihrimah zamyśliła się. Po dłuższej chwili pokręciła głową.

– Ale cierpisz.

– Cierpię? Nic podobnego. Nie jestem smutna.

Nurbanu była przekonana, że jest inaczej. Może w jej sercu ktoś był, ale chcieli ją oddać temu, którego nie kochała. Staremu kulawcowi! Czy oni oszaleli? Skoro sułtan Sulejman był tak silnym i potężnym człowiekiem – a przecież wiedziała, że tak jest – dlaczego chciał ze swojej przepięknej córki uczynić żonę mężczyzny, który był prawie trzydzieści lat od niej starszy, a do tego kulawy?

Zapytała Mihrimah o jeszcze inne słowo, którego była bardzo ciekawa.

– Co znaczy tęsk-no-ta?

Zauważyła, że Meneksze natychmiast nadstawiła uszu.

Mihrimah długo jej się przyglądała.

– Tęsknota?

– Yhy.

– To poczucie braku czegoś. Nostalgia.

Zatem Meneksze doskwierało to samo co jej. Nostalgia!

Widząc, że dziewczyna się zamyśliła, pochyliła się i wzięła ją za rękę.

– Na niewypowiedziane strapienie nie ma lekarstwa, Nurbanu.

– Mówisz, jakbyś ty mówiła o swoich. Wiele przede mną ukrywasz. Czuję to.

Mihrimah odpowiedziała jej uśmiechem.

– Nie należy się spieszyć. Wszystko ma swój czas. Poza tym ja zapytałam pierwsza.

Nurbanu przez chwilę zmagala się z igłą.

– Smutno mi – oznajmiła w końcu. – Jestem daleko od domu, od mojej ojczyzny. Zostałam uprowadzona. Nawet jeśli się z tym nie zgadzasz, jestem tu więźniarką. Wiem, że starasz się, żebym o tym zapomniała. Wiem, że powinnam być ci za to wdzięczna, ale to uczucie nie daje człowiekowi spokoju. Nostalgia.

– Teraz tutaj jest twój dom. Tu jest twoja przeszłość.

Najpierw nic nie odpowiedziała. Po chwili odezwała się cicho.

– Nad czymś się zastanawiam.

– Tak?

– Właściwie chciałabym czegoś.

– Słucham.

– Zrobisz to?

„Ale jestem głupia”, pomyślała, widząc, jak zaciekawione spojrzenie Mihrimah pochmurnieje. Tutaj nikt oprócz sułtana nie mógł robić tego, co chciał. Może nawet on nie mógł żyć tak, jak podpowiadało mu serce.

– Najpierw to powiedz. Jeśli będę mogła...

– Tutaj, to znaczy – na zewnątrz, nie ma Wenecjan?

– Jak to nie? To stolica. Jest tu wielu kupców. Dawniej był też ambasador. Umarł nagle. Znalaziono jego ciało. Nie jestem pewna, czy przybył nowy. Pewnie tak.

Nurbanu chwyciła Mihrimah za rękę.

– Wezwij go do mnie.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Skoro to oficjalny przedstawiciel Wenecji, muszę się z nim zobaczyć.

Mihrimah wstała i w zamyśleniu zaczęła przechadzać się po komnacie.

– Chcesz tu z nami zostać?

– Ja...

– Może moja matka... – Głos Mihrimah był pełen rozczarowania. – Jeśli mój ojciec się zgodzi, ona może to zrobić.

Nurbanu chwyciła się tej nadziei.

– Więc powiedz jej. Ja też mogę ją błagać.

Cisza, która nastąpiła, wydawała się Nurbanu nie mieć końca.

– Nie rób sobie nadziei. Nawet jeśli moja matka wezwie tu weneckiego ambasadora, on nie może cię stąd wyciągnąć.

– Nawet jeśli Wenecja oficjalnie tego zażąda?

– Tak.

– Ale jak to? – W jej głosie bardziej niż zmartwienie słychać było gniew. – Jestem córką bardzo wysoko postawionego, potężnego rodu. Wenecja wypowie wojnę, żeby mnie uratować. Przez jedną dziewczynę mogą umrzeć tysiące ludzi.

Żeby nie dać do zrozumienia, że sama w to nie wierzy, każde słowo wypowiedziała z naciskiem. Nikt nie wiedział, że jest w Konstantynopolu. Została porwana przez korsarzy. Kto mógł wiedzieć, w jakiej przystani, na którym targu niewolników sprzedano ją jakiemuś dzikiemu mężczyźnie pożerającemu ją głodnym wzrokiem? Poza tym, nawet gdyby wiedzieli, że tu jest, nawet jeśli była Baffo, kto miałby odwagę zaatakować sułtana Sulejmana?

Jednak gdyby mogła spotkać się z ambasadorem Wenecji, przynajmniej przekazałaby rodzinie, że żyje i jest niewolnicą w Imperium Osmańskim. Miałaby chociaż powód, żeby mieć nadzieję. Tymczasem teraz nie mogła zrobić nic innego, jak tylko godzić się ze swoim losem.

– Naprawdę w to wierzysz?

– W co?

– Że flota wenecka zaatakuje nas, żeby cię uratować.

– Oczywiście. Jestem tego pewna.

Wcale nie była pewna. Miała tylko jeden cel – powiadomić rodzinę, że żyje i gdzie jest. Koniecznie musiała to zrobić.

Milczały przez chwilę.

Mihrimah jako pierwsza przerwała ciszę.

– Nurbanu, nawet mój ojciec padyszach nie może cię uwolnić.

Jej spojrzenie mówiło, że nigdy w to nie uwierzy.

– Podobno, jeśli zechce, może potrząsnąć światem.

– To prawda. Jednak niektórych rzeczy nie może zrobić nawet padyszach.

Mówiłam ci to już wcześniej.

– Ale dlaczego?

– Bo nie należysz do niego. Nie może podejmować decyzji o czymś, co należy do kogoś innego.

– Właśnie. – Z jej ust wyrwał się nerwowy śmiech. – Przez chwilę zapomniałam, że jestem niewolnicą.

– Nurbanu – Mihrimah, nie kryjąc rozgoryczenia, wróciła do sofy i usiadła naprzeciwko dziewczyny – nie jesteś niewolnicą. Nie dla nas.

– To kim jestem, córko padyszacha? Może ty też, jak Rudobrody, powiesz, że jestem gościem?

Przypomniała sobie słowa Barbarossy.

– Co to za gościna, córko padyszacha? Gość jest wolny. Pewnego dnia odjeżdża, a jeśli nie może odjechać, jest więźniem.

– Wiesz przecież. Rozmawialiśmy o tym. Hajraddin Pasza podarował cię w prezencie mojej matce.

– Ach, oczywiście, jestem własnością Aleksandry.

Mihrimah spuściła głowę.

– Nie jesteś własnością, ale przede wszystkim ważna jest decyzja, jaką ona podejmie wobec ciebie.

– Zatem jeśli zechce, może mnie wysłać do Wenecji.

– Tak można powiedzieć. Może dać ci wolność albo pozwolić ci odejść z haremu, ale tego nie robi.

– Dlaczego?

– Pokochała cię.

– Dlaczego?

– Myślę, że ją przypominasz. Spójrz, jak wielką wagę przykładła do twojej nauki. To nie jest coś zwyczajnego. Mniejsza o inne dziewczyny, ale mogę powiedzieć, że nawet moim wychowaniem nie interesowała się tak bardzo.

– Dlaczego?

Spojrzenia Mihrimah i Nurbanu się spotkały.

– Co dlaczego?

– Aleksandra... Ta piękna rudowłosa kobieta... Twoja matka, Hürrem... Dlaczego jestem dla niej taka ważna? Jedyńm powodem jest to, że ją w przeszłości też uprowadzono jak mnie?

Mihrimah nic nie mogła powiedzieć. Sama wielokrotnie zadawała sobie to

pytanie. Dlaczego jej matka okazywała tej dziewczynie tak wielkie zainteresowanie? Sultanka Hürrem nie zrobiłaby nawet kroku, jeśli tego nie zakładałby jej plan. W takim razie jaką rolę miała odegrać Nurbanu?

– Nie wiem – wyszeptała. – Przysięgam, że nie wiem.

Najlepiej było przerwać tę rozmowę w tym miejscu. Starła się wymuszoną wesołością zetrzeć z twarzy smutek.

– Jutro w ogrodzie różanym spotkamy się z chłopcami – zaszczebiotała.

Nurbanu nie była w stanie ukryć zdziwienia.

– Z chłopcami? Jakimi chłopcami?

– Moimi braćmi książętami.

– Nie jestem w nastroju, Mihrimah. Nie mam ochoty wychodzić do ogrodu.

– Nie ma mowy. Poza tym czy to nie ty sama zamęczałaś mnie prośbami, żebym pokazała ci moich braci?

Chłopcy? Bracia Mihrimah... Sultańscy książęta...

Nagle poczuła, że rodzi się w niej jakaś myśl.

– Ale...

– Bądź gotowa, gdy przyjdę. Nie każmy im czekać. Chłopcy nie lubią czekać. To niesprawiedliwe, ale tak jest. Dziewczeta mogą czekać, ale chłopcy nie. Wiesz, czasem mam ochotę ich rozszarpać.

– Nie kochasz swoich braci?

Mihrimah zastanowiła się przez chwilę.

– Nieee... – powiedziała obojętnym tonem. – Nie to miałam na myśli. Mehmed to mój starszy brat. Matka nauczyła mnie darzyć go szacunkiem.

– Z jakiego powodu?

– Ponieważ jest drugim księciem. Ale jeśli go zobaczysz, nie wąż się śmiać.

– Dlaczego miałabym się śmiać?

– Na widok wielkiego turbanu nie sposób się nie roześmiać. Od dzieciństwa nikt nie mógł go skłonić do tego, żeby go zdjął. Kiedy był dzieckiem, turban był większy nawet od jego głowy. Gdy szedł, wyglądał, jakby turban za chwilę miał spaść. Teraz sytuacja zbytnio się nie zmieniła. I głowa mu urosła, i turban. Żadnego śmiechu, dobrze?

Beznamiętnie pokiwała głową.

– Selim i Bajazyd są ode mnie młodszy. Nieustannie się kłócą. – Mihrimah rzuciła dziewczynie ukradkowe spojrzenie. – Owszem, nie przepadam za Selimem. Żółtogłowy w ogóle się nie odzywa. Porusza się jak we śnie. Jednak mam jeszcze najmłodszego brata – Dżihangira. Jest kochany.

Mihrimah wstała.

– Tylko żadnych humorów, dobrze? Chcę, żebyś była gotowa, kiedy przyjdę.

Nie czekając na odpowiedź, skierowała się do drzwi. Właśnie miała wyjść, kiedy zatrzymał ją szept.

– Powiedz jej.

Jeszcze nie słyszała, żeby głos Nurbanu był tak bezradny.

– Co?

– Że chcę się spotkać z ambasadorem Wenecji.

Mihrimah patrzyła na nią przez chwilę, po czym odezwała się tak, jakby w ogóle nie dotarły do niej słowa Nurbanu.

– Nie każmy jutro czekać chłopcom. Zrozumieliśmy się?

Gdy córka padyszacha wyszła, te same słowa odbijały się echem w głowie Nurbanu, jakby chciała jej to przekazać na odległość: „Powiedz jej, córko padyszacha. Powiedz swojej matce: «Moja siostra oszaleje, uratuj ją»”.

XXV

Pewien dom w Stambule

Północ

Skąd się wzięła ta mgła?”, westchnął, wchodząc pod górę.

Palcem wskazującym pchnął turban do góry, odsłaniając brwi. Mrok i mgła, która tak nagle się pojawiła, wystarczająco skrywały jego twarz.

Mężczyzna skręcił w uliczkę w prawo. Gdyby nie płomień pochodni, odbijający się od ściany budynku na rogu, nie odnalazłby miejsca, gdzie powinien skręcić. Uliczka była tak wąska, że gdyby stanąć na środku i rozłożyć ramiona, można by dotknąć murów po obu stronach. Dobrze, że konia zostawił w chanie. W przeciwnym razie zwierzę z pewnością otarłoby boki o ściany.

Im dalej był od pochodni, tym było ciemniej i bardziej mgliście. Światło w oknach domów chylących się ku ruinie ledwo wystarczało, żeby oświetlić ich wnętrza, a co dopiero ulicę. Czy blask płomienia świecy i lampy oliwnej mógł się mierzyć z tym mrokiem?

„Nie przegap ulicy, w którą masz skręcić, Samsa Ago”, przestrzegł się. Gdyby tak się stało, nie znalazłby miejsca, do którego miał pójść, nawet jeśli szukałby całą noc. Zgubiłby się, przepadłby w tych krętych, wijących się uliczkach. Przysunął się do lewej strony. Starał się poruszać naprzód, nie odrywając dłoni od muru. Prawą ręką mocno ścisnął rękojeść sztyletu, który miał ukryty za pasem.

Niech to szlag! Podążając uliczką wyłożoną kocimi łbami, zahaczył o coś nogą. Przed upadkiem mogło uratować go tylko błyskawiczne wyciągnięcie prawej ręki i złapanie równowagi. Nawet w ciągu dnia musiało być trudno przejść tędy i się nie przewrócić, a w taką pogodę i do tego w ciemnościach było to niemożliwe.

Wokół nie było żywej duszy. Nie oczekiwał też, że będzie inaczej. Kto wyszedłby na dwór w taką pogodę? „Tylko tacy, którzy mieli do wykonania takie złowrogie zadanie jak ty”, mruknął.

Mógł przypuszczać, jaki wyraz miała teraz jego twarz. Samsa Aga dobrze znał ten stan. Zawsze tak szczyrzył zęby, gdy dochodził do krawędzi śmierci.

Ręka, którą prowadził po lewej ścianie, nagle natrafiła na pustkę. Skręcił w lewo. Zatrzymał się na chwilę, żeby odetchnąć. Koszulę miał mokrą od potu. „Dlaczego się tak pocisz, chłopie? Co to dla ciebie taka górka? Czyżbyś się zestarzał?”. Nagle pojął, co było tego przyczyną. Każdy, kto niósłby na plecach śmierć, pociłby się tak samo. Modlił się, żeby czarna śmierć w sakwie, którą zarzucił sobie na plecy, nie wyslizgnęła się z ukrycia.

Na tej ulicy nie było pochodni. Przystanął, żeby jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Później ruszył do muru po przeciwnej stronie. Zrobiwszy sobie krótką przerwę, skierował swoje kroki w górę coraz bardziej stromej uliczki. Tym razem przesunął się wzdłuż prawej ściany.

Zgodnie z instrukcją powinien już być na miejscu. Zdawało mu się, że słyszy szept mężczyzny, który podawał mu adres: „Nie skręcając ani w prawo, ani w lewo, wspiniesz się na sam szczyt wzgórza. Tam stanie ci na drodze wielka morwa. Stań plecami do drzewa i spójrz w lewo. Zobacysz drzwi, w które zapukasz. Są pomalowane na błękit indygo i rozklekotane.

Ale jak miał zobaczyć drzewo w tych ciemnościach i we mgle? Wszystkie zmysły Samsy były wytężone. Cały czas był w gotowości, żeby wyczuć choćby najmniejszy ruch w sakwie. Takie drgnienie oznaczałoby śmierć. Odrobina nieuwagi wystarczyłaby, żeby stał się ofiarą niesionej przez niego śmierci. Tylko jedno uderzenie i mógłby się pożegnać z tym światem. Najpierw poczułby palący go ogień, żeby po chwili ogarnęło go niemożliwe do wytrzymania uczucie zimna. A na końcu szaleńczo drgałyby mu powieki. Wiedział to wszystko dlatego, że wiele razy był świadkiem czarnej śmierci.

Okazało się, że niepotrzebnie się niepokoił. Drzewo morwy rozłożyło swoje ramiona za zasłoną mgły i stanęło przed nim niczym zjawą. Samsa poczuł, że drży. „Przeklęty typ – przeszło mu przez myśl. – Czy to musiało się odbyć właśnie dzisiaj?”. Jednak mężczyzna upierał się, żeby to stało się tej nocy.

– Weź pieniądze i nie interesuj się resztą. Zrób, co ci powiem! Pudełko, które ci dam, zanieś pod wskazany przeze mnie adres. To wszystko. Później ciesz się zarobionymi pieniędzmi.

Samsa natychmiast chwycił rzuconą w jego stronę sakiewkę. Zważył ją w dłoni. Nie było źle jak na przymusowy krótki spacer.

Nie zapytał, co jest w pudełku. Wiedział, ponieważ wcześniej już był posłańcem śmierci.

– Drugie tyle chcę po dostarczeniu przesyłki. Tak się umawialiśmy.

Mężczyzna skinął głową.

– Umowa to umowa.

Zawahał się przez chwilę, biorąc od mężczyzny pudełko.

– Jest porządnie zamknięte?

Rozmówca spojrzał na niego uważnie.

– Jeśli nie będziesz przy nim gmerał, będzie słodko spała, dopóki nie rozpocznie się jej zadanie. Nie obawiaj się.

– Kto przekaże mi drugą sakiewkę? Ten, kto to odbierze?

– Ten, w którego kieszeni pobrzękuje.

Samsa wołał się upewnić.

– Czyli ty?

– Dobrze odgadłeś.

Już niedługo dostanie drugą sakiewkę. Gdy zbliżał się do drzewa, słowa mężczyzny odbijały się echem w jego głowie: „Jeśli nie będziesz przy nim gmerał, będzie słodko spała”. Doprawdy, czy one też spały? Wzruszył ramionami.

Wystarczy, że będzie z daleka od niego.

Kiedy wdrapał się na szczyt, oparł się plecami o pomarszczony, suchy pień morwy, jak polecił mu mężczyzna.

– Niech cię piekło pochłonie!

W wielkiej panice odskoczył od drzewa. Niech to szlag! Przez chwilę sakwa na jego plecach była wciśnięta między niego a drzewo. Czy pudełko mogło się otworzyć? Cały się spocił. Krople perliły mu się na czole. Skupił całą uwagę, żeby móc wyczuć najdrobniejszy ruch w worku.

Nic się nie stało. Mimo wszystko nie odzyskał spokoju. Delikatnie ściągnął z pleców sakwę i przewiesił ją sobie przez ramię.

Spojrzał w lewo. Jego wzrok przeniknął zasłonę z mgły i nocnych ciemności.

Drzwi pomalowane na błękit indygo! Były tam. Natychmiast skierował się w tamtą stronę. Chciał jak najszybciej wypełnić to przeklęte zadanie. Pragnął rozstać się z tym workiem. Poza tym chciał już wydać akcje pobrzękujące w sakiewce w jego kieszeni.

Zatrzymał się przed drzwiami. Wziął trzy głębokie oddechy i zapukał.

Puk, puk. Odczekał. Puk. Odczekał. Puk, puk, puk. I ostatnie puknięcie.

Tak brzmiał znak. Dwa wolne, jedno szybkie. Później trzy wolne i jedno szybkie. Razem siedem uderzeń.

Przez chwilę nic się nie wydarzyło.

Ale nie trwało długo, zanim usłyszał poruszenie za drzwiami. Jakby coś, szurając, zbliżało się do drzwi.

Samsa poczuł, że ma gęsią skórkę. Co to było?

– Kto to puka do drzwi?

Był to stary, chrapliwy głos niezdradzający płci.

– Gość Boży.

– Czy Bóg nie ma co robić w taką pogodę, że wysyła gościa do moich drzwi?

– I worek pełen jada.

To było ostatnie hasło. „Otwórz wreszcie te przeklęte drzwi!”

Odgłos szurania słyhać było bliżej drzwi. Samsa czekał napięty jak cięciwa łuku. Po szczęku żelaza za drzwiami zrozumiał, że podniesiono skobel.

Drzwi nieznacznie się uchylily. Nie mógł nikogo dostrzec. Pojawilo się jedynie wątłe światło świecy. Samsa miał właśnie popchnąć drzwi, gdy nagle serce podeszło mu do gardła. Na drzwiach zauważył suchego, wielkiego, zwiniętego, czarnego pajaka. Pajaka o czterech długich, grubych odnóżach. Gdy cofnął się przerażony, zauważył, że to, co wziął za pajaka, w rzeczywistości było obrzydliwą ręką. Później w szparze ukazała się głowa wiedźmy o ostrym, zadartym nosie i wpatrujących się w niego, wyłupiastych oczach.

– Ten, z którym masz się zobaczyć, jeszcze nie przyszedł – wychrypiła zza

drzwi. Powiedziałabym, żebyś zostawił boski worek i poszedł, ale...

– A ja bym powiedział, że na próżno strzepisz sobie język. Poczekam, aż przyjdzie. Tylko otwórz te drzwi, żeby gość Boży mógł wejść. Pogoda jest okropna.

– He, he.

Samsa nie wiedział, czy to pochrząkiwanie potraktować jak śmiech, czy jako przyzwolenie. W końcu drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Niechętnym, ostrożnym krokiem przekroczył próg. Wiedźma zamknęła za nim drzwi. Mały płomień tłący się w lampie oliwnej na chwilę oświetlił jej twarz.

„Dobry Boże – pomyślał Samsa. – A to co? Demon z piekła rodem?”

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział stworzenie brzydsze od tego. Długi, przekrwiony nos wiedźmy zwisał jej nad ustami. Dwa ostatnie zęby wychodziły na górną wargę. Jakby nie była wystarczająco brzydka, na czubku nosa miała wielką, czarną brodawkę.

– He, he!

– Zamiast się szczerzyć, wskaż mi drogę.

Wiedźma przeszła obok niego, rozsiewając odrażający odór. Idąc za nią, Samsa zrozumiał, skąd pochodziło szuranie, które przed chwilą przyprawiło go o gęsią skórę. Kobieta szła, pociągając prawą nogą. Prawą stronę ciała miała bezwładną, więc żeby się nie przewrócić, szła wygięta od pasa w górę.

– He, he, he!

Kobieta skręciła w prawo, a wraz z nią drżące światło lampy. Samsa podążył za nią. Uderzający smród sprawił, że oczy w jednej chwili zaszyły mu łzami. Pewnie był to jakiś pokój. Naprzeciwko znajdowało się niewielkie palenisko, w którym tlił się ogień. Zauważył kociołek zawieszony nad płomieniem. To z niego wydobywał się ten ohydny zapach.

– He, he, he – zarechotała znowu. – Usiądź. Niedługo przyjdzie.

Samsa przykucnął. Na podłodze z ubitych kamieni nie było ani maty, ani kilimu, ani niczego, na czym można byłoby usiąść.

Wiedźma, pociągając nogą, podeszła do paleniska. Przez chwilę mieszała zawartość kociołka.

– Jesteś głodny?

– Nie.

Już sama myśl o tym, że miałby zjeść coś, co rozpacza tak odrażającą woń, przyprawiła go o mdłości.

Kobieta skończyła mieszać i podeszła do niego.

– Dlaczego wciąż trzymasz ten worek? Daj, położę go koło paleniska.

Szybko cofnął sakwę, starając się trzymać z dala od pochylającej się nad nim odrażającej twarzy i włosów wiedźmy.

– Nie chcę. Niech zostanie u mnie.

– He, he. Co jest w środku? Złoto?

Spojrzał na nią, nic nie mówiąc. Kobieta, widząc iskry w jego oczach, wycofała się, pociągając nogą ukrytą pod długą spódnicą, którą szargała po ziemi.

– Nie denerwuj się tak od razu, gościu Boży. Nie to nie. He, he, he!

Wiedźma z trudem usiadła pod ścianą, a dokładniej zsunęła się po niej.

Odwrócił się z obrzydzeniem. „Gdzie się podział ten zatraceniec? – mruknął w duchu. – Umarłby, gdyby przyszedł przede mną? Dałbym mu, co mam dać, i zabrałbym się stąd”.

Niespokojnie poruszył się na swoim miejscu. Serce ścisnęło mu się na myśl o tym, że jeszcze długo będzie musiał czekać w tej izbie.

Zmienił pozycję, odwracając się plecami do kobiety, żeby nie musieć na nią patrzeć. Podciągnął kolano pod brodę. Teraz palenisko z kociołkiem, z którego wciąż unosił się ohydny zapach, było z tyłu. Przenosił spojrzenie to na ścianę po lewej stronie, to na ciemną pustkę, przez którą wszedł tu przed chwilą.

Nagle zauważył, że coś się poruszyło w miejscu, gdzie ściana, której koloru nie potrafił określić, łączyła się z klepiskiem. Nie mógł dostrzec, co to było, bo ukrywało się w ciemnościach, ale był pewien, że coś tam było. Całą swoją uwagę skupił na tym szczególe. Cekał. Coś znów szybko się poruszyło i nagle się zatrzymało. Co to było? Jeszcze jeden szybki ruch i znów zatrzymanie. Odsunął się.

Zza pleców doszedł do niego szorstki, zachrypnięty syk:

– Nie bój się. To Mestan!

– Mestan?

– He, he, he. Mestan. Mój szcur. Mieszkamy tu razem. Poczł zapach jedzenia. Przyszedł się pożywić.

W chwili gdy się podnosił, stwierdziwszy, że lepiej będzie, jeśli poczeka na stojąco, ktoś zapukał do drzwi.

Puk, puk... Puk... Puk, puk, puk... I ostatnie „puk”.

Przyszedł! Samsa się ucieszył. W końcu będzie mógł opuścić to parszywe miejsce.

Wiedźma też wstała. Pociągając nogą, zniknęła w ciemnościach. Samsa nadstawił uszu, żeby usłyszeć dochodzącą z zewnątrz, przyciszoną rozmowę. Cienki głos. Jak to? Czyżby przyszła kobieta? Mężczyzna tego mu nie powiedział.

Ponownie rozległo się szuranie. Idą. Odwrócił się do wejścia. Mdłe światło lampy powoli się zbliżało. Wiedźma minęła go, a za nią pojawił się cień osoby, na którą czekał. Nie widział jej. Zniknęła w mroku. Zauważył tylko, że błysnęła para oczu.

– Nareszcie – obruszył się Samsa. – Myślałem, że już nie przyjdiesz.

– Jestem trochę później. Nie miej mi tego za złe.

Był to delikatny, wysoki głos.

Niech to szlag, to była kobieta. Czy mężczyzna mógł mieć taki głos?

Głowę postaci skrywał kaptur, ale głos wskazywał, że to kobieta. „Głupia – pomyślał Samsa – nawet nie starała się zmienić głosu”.

– Przyniosłeś?

– Co miałbym tutaj robić, gdybym nie przyniósł?

Pochylił się i podniósł worek. Teraz musiał tylko włożyć rękę do środka i przekazać pudełko kobiecie. A jeśli pokrywka się otworzyła? Jeśli się obudziła? Zadrzał ze strachu. Na szczęście izbę wypełniał mrok. W przeciwnym razie kobieta zauważyłaby, jak bardzo zbladł. Postanowił spróbować szczęścia.

– Masz. Jest w sakwie.

Kobieta nie zamierzała wyciągnąć ręki. Najwyraźniej była ostrożna.

– Wyciągnij. Chcę to zobaczyć.

Samsa przełknął przekleństwo. Ostrożnie położył worek na ziemi. Powoli rozchylił wargi.

– He, he.

Gdy podniósł głowę, zauważył, że wiedźma o pajęczych rękach pochyła się nad nim, żeby zobaczyć, co wyciągnie z sakwy.

– Wynoś się stąd! – warknął ze złością.

Przez chwilę zastanawiał się, jak to się stało, że nie usłyszał, jak kobieta podchodzi. Przecież szurała. Najwyraźniej tak bardzo pochłonęło go zadanie, podczas którego miał włożyć rękę do środka i dotknąć śmierci.

Zawahał się przez chwilę. Słyszał przyspieszone bicie swojego serca.

– No dalej – odezwała się niecierpliwie kobieta. – Nie będę czekać na ciebie całą noc. Muszę jeszcze wrócić do miejsca, z którego przybywam.

„Dziwka”, przeklął w duchu. Jeszcze raz rozchylił lewą przegrodę sakwy. Spojrzał, pochylając głowę, jakby chciał zobaczyć, co jest w środku. Jeśli wieko pudełka się otworzyło, czekała go śmierć. Może nawet przesunęła się w górę sakwy. Ale nie mógł porzucić wszystkiego i uciec.

Przymknął powieki. Bardzo powoli wsunął rękę do środka tak, żeby nie poruszyć wełnianym workiem. Zatrzymał się. Jednak teraz nie było odwrotu. Znów oblał go zimny pot. Ostrożnie otworzył palce. Próbował dotknąć pudełka.

Niech to szlag! Gdzie się podziało?! Sięgnął trochę głębiej. Przesunął ręką w lewo. Jeszcze raz spróbował je odnaleźć. Na próżno. Czoło zaczęło go swędzieć od skraplającego się na nim potu. Ogarnęło go przerażenie. Owładnęła nim szaleńcza potrzeba podrapania się. Wiedział, że nie będzie w stanie się jej oprzeć. Tym razem skierował dłoń w prawą stronę. Rozłożył palce. Pomacał. Znalazł! Końcem palca wskazującego dotknął krawędzi pudełka. „Pokrywka? – w jego głowie krążyła przerażająca myśl. – Czy wieczko było otwarte?”. Przesunął palcem wzdłuż brzegu.

Zamknięte! Dzięki Bogu! Odetchnął głęboko, żeby powstrzymać okrzyk

radości. Chwycił pudełko palcami. Gdy starał się powoli wyciągnąć je z worka, ogarnął go nowy lęk. Skąd wiedział, że miejsce, którego dotknął, było wiekiem pudełka? A jeśli szkatuła obróciła się w sakwie i otworzyła?

Poczuł, że zalewa go kolejna fala potu. Błyskawicznie wyciągnął rękę. Jednocześnie szybko uniósł do czoła drugą rękę i w końcu się podrapał.

– Masz.

Pomiędzy rzęsami zauważył, że pudełko jest zamknięte.

Udało się!

Kobieta powoli sięgnęła po szkatułę.

Samsę ogarnął niewypowiedziany spokój. „Czy ja mdleję?”. Żeby pozbyć się tego uczucia, głęboko wciągnął ciężki odór pokoju.

– To to?

– A co to niby miało być? Skrzynia skarbów?

– Jest w środku?

Spojrzał na nią złowrogo.

– Jeśli chcesz, to otwórz i sprawdź.

Uniosła pudełko i przysunęła do niego głowę.

„Słucha”, pomyślał Samsa.

– Rusza się.

W cienkim głosie po raz pierwszy pojawił się strach.

– Pełza po pudełku. Słyszę, jak się przemieszcza.

W jednej chwili ręka z pudełkiem zniknęła pod czarną peleryną.

– Najpierw wyjdę ja. Zostań tu jeszcze przez jakiś czas.

Gdy cień ponownie zniknął w ciemnościach, Samsa z uczuciem ulgi osunął się na ziemię. Z radości, że już po wszystkim, zapomniał o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Teraz myślał tylko o jednym – o tym, że niedługo odbierze drugą sakiewkę.

Samsa wyszedł przez drzwi pomalowane na błękit indygo. Miał wrażenie, że mrok i mgła stały się gęstsze. Teraz jeszcze trudniej było dostrzec widmowe drzewo. Napawało większym lękiem, ale starał się tym nie przejmować. Śmierć zmierzała teraz do celu w innych rękach. Nie obchodziło go nawet to, kogo zastanie, kiedy wieko się otworzy. Wzruszył ramionami. Zatrzymał się na chwilę i wciągnął czyste powietrze głęboko w płuca. Był pewien, że bez wody nie pozbędzie się tej paskudnej woni, którą przesiąkł.

Pewnie był to ktoś ważny. Musiało tak być, skoro mężczyzna zapłacił tyle pieniędzy, żeby zatrudnić dwóch posłańców. Ktokolwiek był celem, śmierć zbliżała się teraz do niego bezgłośnie. Przebiegle pełzła w jego stronę.

Gdy doszedł do morwy, poczuł pragnienie, żeby zbiec na dół. Ale zaraz porzucił ten pomysł, bo nie miał zamiaru się przewrócić. Żeby zasmakować akcze znajdujących się w dwóch sakiewkach, musiał być w pełni sił.

Pojedyncze świece i lampy płonące w oknach już zgasły, teraz zdawał się zatapiać w nicość. Jednak ponieważ pozbył się ciężaru i strachu, poruszał się jakby szybciej. Róg, za którym miał skręcić, powinien być już niedaleko. Skierował się w lewo. Odetchnął z ulgą, gdy poczuł pod ramieniem mur. Szedł naprzód, rozmyślając o tym, jak wyda pieniądze.

Gdy natrafił ręką na pustkę, zamierzał skręcić, ale coś zagrodziło mu drogę. Nagle go zobaczył.

– Dostarczyłeś przesyłkę, Samszo Ago?

– Ty! – zdziwił się. – Co tutaj robisz?

Chwilę później pożałował tego pytania. „Jak to co tu robi, głupcze? – zbeształ się. – To oczywiste, że przyszedł, żeby dać ci kolejną sakiewkę pełną akcze”.

– Nie odpowiedziałeś, Samszo. Dostarczyłeś przesyłkę?

– Dostarczyłem.

– Była nienaruszona?

– Była taka, jaką dostałem. Co więcej, odbiorca przyłożył ją do ucha i słuchał. Podobno się poruszała. Wysłałeś kobietę, żeby odebrała przesyłkę?

– Kobietę?

– Kobietę. Teraz już nawet kobiety się tym zajmują? To znak, że świat zmierza ku końcowi.

Głos Samsy brzmiał radośnie. Nie tylko wyzbył się strachu, ale był o krok od dostania drugiej sakiewki.

Mężczyzna się roześmiał.

– Kobieta, ha?! Sądziłeś, że to kobieta?

– Nie pokazała twarzy, jednak nie pomyślała o tym, żeby zmienić głos. Tępa, i tyle. Tylko kobieta może mieć taki cienki głos.

– Jesteś głupcem.

Samsa się zawahał.

– Co ty mówisz? – wydusił z siebie; nie spodobały mu się te słowa.

„Zadanie wykonane, towar dostarczony, więc temu niegodziwcowi wydaje się, że może teraz mówić, co chce”, pomyślał rozgoryczony, ale nie będzie się tym przejmował. Gdy tylko odbierze sakiewkę, ruszy w drogę i zapomni o wszystkim.

– Nie wysłałem do ciebie kobiety, Samszo. To ani kobieta, ani mężczyzna. To eunuch. Jeden z niewolników, któremu w pałacu uknęli jądra.

Samsa zdziwił się jeszcze bardziej. „Co wygadywał ten nędznik?”.

– Zatem pudełko zmierza do pałacu? Ale...

Mężczyzna skinął głową. Samsa zauważył w jego oczach dziwny błysk.

– Tak. Śmierć zmierza prosto do haremu. To ty ją tam wysłałeś.

Nagle poczuł, że ogarnia go lęk. Dlaczego mężczyzna mu o tym mówił? W jego wnętrzu rozległ się krzyk. Dlaczego chciał, żeby poznał ten sekret?

I przypomniał sobie, o czym przed chwilą pomyślał. „Moje zadanie się skończyło. To dlatego. Mój Boże! W takim razie...”.

Nie starczyło mu czasu, żeby dokończyć tę myśl ani żeby rzucić się w ciemność i uciec.

Nagle pośród ciemności i mgły, w miejscu, w którym ich drogi się zeszły, jakby strzelił piorun. W powietrzu błysnęła stal i znów nastąpiła ciemność. W tej samej chwili zakrzywiony sztylet rozplątał mu gardło...

Samsa utrzymał się na nogach tylko tak długo, żeby zobaczyć tryskającą na ścianę krew. Osunął się w kałużę własnej posoki. Jedna noga utknęła pod nim. Przez chwilę jego ciałem zawładnęły drgawki, a potem znieruchomiał. Całe jego ciało zeszytniało.

Mężczyzna pochylił się i wytarł sztylet o kamizelkę Samsy. Sięgnął ręką za jego pas i znalazł to, czego szukał. Na dźwięk brzęczących w sakiewce monet na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– A ty, głupcze – powiedział, patrząc w martwe oczy Samsy, szeroko otwarte z przerażenia. – Nikomu nie będziesz mógł zdradzić tej tajemnicy.

Wyprostował się i zniknął w mroku.

Trzy kwadranse później wszedł do chanu w Galacie, w którym się zatrzymał. Mężczyzna, który go wynajął, siedział przy stole. Podeszedł do niego. Po brzegi wypełnił gliniany kielich winem z flaszki i wypił je jednym haustem.

– Idź – odezwał się, ocierając wargi wierzchem dłoni. – Powiedz, że przesyłka dotarła na miejsce.

Mężczyzna się podniósł. Rzucił na stół kilka złotych monet i skierował się prosto do stajni.

Do świtu zostały jakieś trzy godziny.

– Przybywam, Mahidevran Gülbahar – szepnął, sadowiąc się na końskim grzbiecie. – Szykuj moją nagrodę. Posłałem śmierć do łóżka tego, kto jest najdroższy Hürrem. Teraz nikt nie stanie Mustafie na drodze.

XXVI

Nowy Pałac

Harem

Ogród różany

To Bajazyd. Przedostatni książę.

Znajdowały się w zadaszanej kopułą altanie osłoniętej z czterech stron pnącymi krzewami róż, obsypanymi otwierającymi się kwiatami. Pośrodku stały dwie wielkie otomany przykryte drogocennymi kobiercami, na których rozłożono atlasowe poduszki.

Nurbanu ukradkiem zerknęła w stronę, którą wskazała dziewczyna. Wcześniej wiele razy przestrzegano ją, że nie może dać im do zrozumienia, że na nich patrzy. Między gałęziami zobaczyła chłopaka stojącego pośród gromady ludzi. Poły jego kaftana ciągnęły się po ziemi. Ręce miał splecione za plecami. Nurbanu nie rozumiała, co mówił, ale nieustannie krzyczał, służący zaś robili wszystko, żeby go uspokoić.

Bajazyd na chwilę odwrócił się w ich stronę. Wprawdzie cień altany przesłaniał dziewczęta, ale mimo to chłopak wykrzyczał coś rozgniewany.

– Zobaczył nas – odezwała się Mihrimah głosem niesfornego dziecka.

– Co mówi?

– Mówi, że jestem bezwstydną. Uważa, że kiedy mężczyzna przechodzi, dziewczyna powinna się odwrócić.

– Naprawdę dziewczyny tak robią?

– Niektóre może tak. Ja nie. Ale nie przejmuj się. Jeśli Bajazyd nie znalazłby nikogo, na kim mógłby się wyżyć, pokłóciłby się z własnym cieniem. Ale tak naprawdę chodzi o coś innego.

– A o co?

– Sądzi, że łuk, który ojciec podarował Selimowi, jest piękniejszy od tego, który sam dostał.

Zachichotała.

– Jest o niego zazdrosny?

– Yhy. I to jak.

Służące, widząc wesołość swoich pań, także się roześmiały. Pochwyciwszy karcące spojrzenie Esmy, wszystkie natychmiast zamilkły.

– Gdzie jest See-liiim?

Mihrimah odwróciła się do Nurbanu z udawanym gniewem.

– Co ja mam z tobą zrobić? See-liiim. Nie przedłużaj tak i nie zatrzymuj się między sylabami. Masz to mówić w całości. Selim... Selim.

Nurbanu starała się śledzić ruch jej warg.

– See-lim... See... Nieważne. Gdzie on jest?

Mihrimah wzruszyła ramionami.

– Pewnie w swojej komnacie, zatopiony w marzeniach i wierszach.

A może...

Nagle zamilkła, jakby w ostatniej chwili pojęła, że popełni błąd, jeśli powie chociaż jedno słowo więcej.

– Może co?

Pochyliła się do jej ucha.

– Umiesz dochować sekretu?

– Sekretu?

– Tak. Sekretu Selima.

– Oczywiście, że umiem.

Jednak ponieważ nie była pewna, czy jej się to uda, ukrywszy ręce za plecami, skrzyżowała palce.

– Żółtogłowy potajemnie pije wino.

Nurbanu nie potrafiła pojąć, dlaczego to taki sekret.

– Iii?

Patrząc z zaciekawieniem, czekała na prawdziwą tajemnicę.

– Nie zrozumiałaś? Mówię, że pije wino. Upija się.

– I co w tym złego?

Mihrimah szeroko otworzyła oczy.

– Co w tym złego? Nurbanu, to jeszcze dziecko. Jest dwa lata młodszy ode mnie.

Widząc, że dziewczyna wciąż patrzy nierozumnym wzrokiem, dodała:

– Picie wina to grzech.

– Nie wierzę. Grzech?

– Tak, wielki grzech.

– W Wenecji wszyscy piją wino. Dają je nawet dzieciom.

– Hiii!

Damy dworu uniosły głowy znad haftów, słysząc okrzyk Mihrimah. Młoda sułtanka przetłumaczyła im słowa dziewczyny. Wszystkie odwróciły się do niej z przerażeniem i niedowierzaniem.

Esmą powiedziała coś do Mihrimah, zerkając na Nurbanu.

– Co mówi?

– Pyta, czy ty też piłaś wino.

Pokiwała głową, żeby wszystkie zrozumiały.

– *Si*. Oczywiście, że piłam.

Wszystkie, oprócz Mihrimah, spojrzały na nią, jakby uważały, że ta grzeszna Wenecjanka powinna smażyć się w piekle, ale Nurbanu się tym nie przejęła.

– Nie ma nic lepszego od dobrego wina, córko padyszacha. Wszystkie weneckie wina są wyborne. Ty nigdy nie piłaś?

Mihrimah pokręciła głową.

– W tym wielkim pałacu nie ma wina? Nikt go nie pije? Na przykład sułtan, on też nie pije?

– Podobno pijał w młodości. Razem z moją matką. Później przestał. Teraz nie pije, ale jeśli to robi, to może w tajemnicy. Nic o tym nie wiem. Nikt nie ma pojęcia, co się dzieje w komnacie padyszacha.

– Nawet jego córka?

– Nawet jego córka.

Milczały przez chwilę. Jedna z dam dworu coś powiedziała. Mihrimah odwróciła się w stronę, którą wskazała dziewczyna.

– Ha! – odezwała się z radością. – Idzie nasz najmłodszy. Mój najukochańszy.

Najpierw Nurbanu dostrzegła śmieszny biały turban. Głowa chłopca zniknęła pod nakryciem, a wątle ciało w kaftanie. Szybkim krokiem kierował się w ich stronę i krzychał coś, machając ręką. Za nim zaś podążali służący obawiający się, żeby się nie przewrócił.

– Chyba czegoś chce.

– Woła mnie.

– Co mówi?

– „Moja siostra o słonecznym obliczu”.

Nurbanu poczuła wzruszenie, słysząc, że ledwie odrośnięty od ziemi chłopiec pozdrawia swoją siostrę takimi pięknymi słowami. „Moja siostra o słonecznym obliczu”. Ukradkiem spojrzała na Mihrimah. Dziewczyna naprawdę tak wyglądała. Szczególnie gdy była radosna i uśmiechała się ze szczęścia, jej twarz promieniała. Obie z matką takie były. Także gdy Hürrem się uśmiechała, jej oblicze rozkwitało jak róża.

Mały książę z wielkim zgiełkiem wszedł do altany. Od razu podbiegł do Mihrimah i ją objął. Nurbanu zauważyła, że czarne oczy chłopca skierowane są na nią. Boże, jak piękna i czysta była jego twarz. Nagle pomiędzy jego drobnymi ramionami zauważyła wzgórek. Poczula, że serce jej krwawi. Nagrodziła chłopca, który wciąż nie odrywał od niej oczu, serdecznym uśmiechem.

– Przedstawię was sobie – oznajmiła Mihrimah. – Będzie trochę trudno, ale poradzisz sobie.

Później odwróciła brata w jej stronę i coś mu przekazała.

– Powiedziałam: „To moja nowa siostra. Ma na imię Nurbanu”.

Mały książę wyciągnął rękę, nie odrywając wzroku od jej oczu.

– Książę Dżihangir – przedstawiła chłopca Mihrimah.

Nurbanu podniosła się i pozdrowiła go dygnięciem. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Poczula słabość do tego dziecka. Poruszyło ją piękno jego oblicza czy może nieopisany wyraz jego oczu? A może z powodu garbu zrobiło jej się go żal?

Coś ją uderzyło. Obiema rękami ujęła jego dłoń. To zachowanie nie pasowało do pełnego szacunku przywitania, ale trudno. Zachowała się tak, jak czuła. Właściwie miała ochotę wziąć chłopca w ramiona i obsypać pocałunkami, ale obawiała się, że to może się spotkać ze złym przyjęciem. To było dziwne miejsce. Tutaj ludzie nie mogli okazywać sobie miłości.

– Bardzo mi miło, czcigodny królewiczu.

Mihrimah, wciąż patrząc na Nurbanu, pochyliła się i przetłumaczyła Dżihangirovi jej słowa.

– Nazwała cię królewiczem.

– Co to znaczy „królewicz”?

Pytanie zadał siostrze, ale jego wzrok spoczywał na niej. Nurbanu zrozumiała pytanie chłopca i nie dając sposobności córce padyszacha, wyjaśniła:

– Synów króla nazywa się królewiczami.

Mihrimah przetłumaczyła, uśmiechając się, a chłopiec pokręcił głową ze zrozumieniem.

– Przecież nie jesteśmy synem króla – powiedział powoli. – Nazywają nas „książę”.

„Mój Boże – westchnęła Nurbanu – on też, jak jego matka i siostra, mówi o sobie «my»”.

Jednak ani w jego zachowaniu, ani w głosie nie było cienia wyniosłości. Jeszcze bardziej polubiła chłopca. Wysłuchawszy tłumaczenia, pozdrowiła Dżihangira i głęboko się ukloniła.

– Czcigodny książę jest bardzo mądry.

Dżihangir przysunął się do siostry i szepnął jej coś do ucha. Jego słowa usłyszały także Esmā i pozostałe damy dworu. W jednej chwili altanę wypełnił śmiech.

– Co mówi Dżihan-gir?

Zarówno ona, jak i Mihrimah zdziwiły się, że za pierwszym razem udało jej się poprawnie wymówić imię chłopca.

– Ogromnie mu się spodobałaś. Mówi, że jesteś bardzo piękna.

– Książę także jest bardzo przystojny.

Gdy Mihrimah przetłumaczyła mu te słowa, jego uśmiechnięta, ale blada buzia oblała się rumieńcem.

– Pyta, jak masz na imię.

– Tutaj mówią na mnie Nurbanu, ale tam, skąd przybyłam, nazywali mnie Cecilią. Jestem Cecilia Baffo.

– Cze-czi... Cze-czi... Cze-czi... – zaświergotał radośnie chłopiec.

Później opuścił altanę i zniknął między drzewami, a za nim ponownie podążyła cała armia służących, paziów i opiekunek.

Mihrimah z zamyśleniem spoglądała na oddalającego się brata.

– Mój kochany... – wyszeptała. – Mój nieszczęsny, mały księżę...

– Ile ma lat?

– Sześć.

– Jest chory?

Dziewczyna przełknęła z trudem ślinę.

– Jak widziałaś, zajmują się nim wszyscy medycy. Nie cierpi na jakąś konkretną chorobę. To znaczy... – dyskretnie dotknęła ramienia – oprócz tego. Ale jest bardzo słaby i bardzo wrażliwy. Jest nieszczęśliwy. To coś na plecach go przygniata. Jest także samotny. Jestem jego jedyną przyjaciółką.

Altana pogrążyła się w ciszy.

– Czy w twoich stronach dziewczęta swobodnie rozmawiają z kawalerami? – zaczęła nagle Mihrimah, żeby zmienić temat.

– Oczywiście – zaszcebiotała Nurbanu. – Rozmawiają.

Zauważyła, że wspomnianie życia, jakie wiodła w Wenecji, nie bolało jej już tak bardzo jak kiedyś.

– Oczywiście nie tylko rozmawiają – dodała wymownie.

– A co jeszcze robią?

Odezwała się cicho, jakby nie chciała tego mówić.

– No wiesz.

– Nie wiem. Co robią?

– Trzymają się za ręce, spacerują... Patrzą na siebie... Całują się...

– Dobry Boże!

Tym razem Mihrimah nie umiała się powstrzymać. Wszystkie służące spojrzały na nią z niepokojem. Zawstydzona Mihrimah z ociąganiem przetłumaczyła.

– Podobno się całują.

Esma i pozostałe damy dworu wzniosły potępieńcze okrzyki. Meneksze też otworzyła usta ze zdumienia.

Nurbanu była zadowolona z wrażenia, jakie wywarła.

– Nie rozumiem, co w tym takiego dziwnego.

– Wstyd. To grzech...

– Nic podobnego. – Wyprostowała się. – Czy to nie Bóg chciał, żeby mężczyzna i kobieta byli razem?

Czekała, aż jej słowa zostaną przetłumaczone. Gdy na żadnej z twarzy nie dostrzegła wyrazu uznania, zrozumiała, że nie będzie w stanie ich przekonać. Te dziewczęta, które oglądały mężczyzn tylko przez kratę, nawet nie potrafiły wyobrazić sobie życia w Wenecji.

– Tańczą też z mężczyznami na balach i bankietach.

– Tańczą?

Nagle Nurbanu zerwała się z miejsca. Gdy pociągnęła za rękę Meneksze

siedzącą w wejściu, dziewczyna nie wiedziała, co się dzieje. Jej ręce oparły się na talii służącej. Meneksze, której zdziwienie przerodziło się w panikę, próbowała się wydostać, ale jej nie pozwoliła. Następnie jedną ręką położyła sobie ręce dziewczyny na biodrach.

– Taniec, taniec! – zawołała. – Spójrz, o tak.

Zacząła śpiewać radośnie:

– *Amore mio, gialla rosa mia, canto una canzone per te...*³⁸

Jednocześnie w rytm wykonywanej piosenki biegała, obracała się, podskakiwała, pochylała i wyginała, starając się skłonić Meneksze do odwzorowania tych samych ruchów.

Nie minęło dużo czasu, a Meneksze zaczęła jej towarzyszyć. O ile taniec Nurbanu wyglądał zachwycająco, o tyle niewprawne ruchy Meneksze były śmieszne i niezgrabne.

Przez chwilę Mihrimah i jej damy dworu obserwowały je z rozbawieniem i niedowierzaniem. Gdy sułtanka Mihrimah zaczęła nucić piosenkę Nurbanu, klaszcząc w ręce, one także poszły jej śladem.

– Dalej, córko padyszacha – podbiegła do niej Nurbanu, otwierając ramiona – ty też zatańcz. Rozłóż skrzydła! Leć!

Podczas gdy oszołomiona Mihrimah zastanawiała się, jak wybrnąć z tej sytuacji, głos Esmy zagłuszył piosenkę Nurbanu.

– Książę Selim!

W jednej chwili wszystkie odwróciły się w stronę, którą wskazała Esma. Klaskanie natychmiast ustało. Radosna atmosfera panująca w altanie nagle zgęstniała. Nurbanu znieruchomiała.

– *Amore... pe...*

Odwróciwszy się w stronę, w którą patrzyły dziewczęta, dostrzegła chłopaka w otoczeniu służących, ze zdumieniem wpatrującego się w altanę wypełnioną szalonym śmiechem.

– Żółtogłowy.

Zdawało się, że światło, które jeszcze przed chwilą gościło na twarzy Mihrimah, zgasło. Znow stała się córką padyszacha, smutną, zamyśloną i piękną.

– Nasz trzeci – powiedziała i wyliczyła na palcach. – Mehmed – pierwszy, Mihrimah – druga, Żółtogłowy – trzeci.

– To Seee-lim?

Mihrimah kiwnęła głową.

Chłopak wciąż nie odrywał wzroku od altany.

– Patrzy tutaj. Nie do wiary. Zwykle chodzi z głową w chmurach.

– Nasze harce musiały mu przeszkodzić. Kto wie, jakie rymy mu umknęły przez nasze swawole.

Nurbanu starała się zobaczyć go pomiędzy różami. Przypomniała sobie, jak

Mihrimah mówiła, że jest dwa lata młodszy od niej. „Zatem jest w moim wieku”, przeszło jej przez myśl. Przez gałęzie i mur otaczających go służących nie mogła dostrzec jego twarzy. Jedyne, co widziała, to jego żółta głowa. Rozgniewała się. „Głupcy, rozejdźcie się, żebym mogła zobaczyć numer trzy”.

– Powiedz jeszcze raz jego imię.

– Selim.

– Se-lym.

– Już lepiej. Selim.

Ponownie spojrzała w stronę, gdzie znajdował się książę.

– Zdjął to dziwne nakrycie głowy?

– Selim nie nosi go, jeśli nie jest to konieczne. Według mnie dobrze robi.

– Jego włosy są takie jak twoje.

– Nic podobnego – sprzeciwiła się Mihrimah. – Moje są jak łany zboża.

Spójrz. Jego są po prostu żółte. Nie wiem, po kim je ma.

Książę Selim podniesionym głosem odezwał się do nich, ale niczego nie zrozumiała. Mihrimah odpowiedziała, nawet nie odwracając głowy. Jej twarz stężała.

– Co powiedział?

– Tak jak mówiłam, Żółtogłowy się rozgniewał. Nasz hałas odebrał mu ciszę i spokój. Gdybyśmy były trochę ciszej, nie przegoniłybyśmy wersów powstających w jego umyśle.

– Co mu odparłaś?

– Dla księcia stosowniejszym miejscem niż ogród różany jest polowanie. Może nasz brat Selim łatwiej odnajdzie właściwe rymy, goniąc za lisem.

– Czyli zadrwiłaś z niego?

– Yhy. Chociaż nie jesteśmy księciem, ale jesteśmy sułtanką Mihrimah.

Nurbanu zauważyła, że chłopak, odchodząc w stronę bardziej oddalonego pawilonu, kilka razy odwrócił się, spoglądając przez ramię.

– Pewnie znów jest pijany – mruknęła jego siostra.

Nurbanu milczała. Przez głowę przemykały jej rozmaite myśli. Były chaotyczne i niekompletne. Udało jej się tylko rozpoznać dwa słowa: „Żółty Selim!”. Jej umysłem zawładnęły marzenia, które snuła pośród gąszczy gałęzi ogromnej magnolii w ogrodzie ich posiadłości. W snach Cecilii o zostaniu królową królowie mieli zawsze jasne włosy. Nie wiedziała dlaczego, zupełnie jakby warunkiem zostania królem było posiadanie włosów w takim kolorze. Na przykład Marcello, chociaż był niezmiernie przystojny, nie był blondynem. Dlatego nie mogła go sobie wyobrazić jako króla. Nieszczęsny młodzieniec z Fondi – przystojny Sebastiano... Mogła przysiąc, że nie spotkała bardziej urodziwego mężczyzny, ale jego włosy były kruczoczarne. Też nie nadawał się na króla. „Po raz pierwszy moją drogę przeciął książę o jasnych włosach, ale i on jest jeszcze

dzieckiem”.

Nurbanu się zaniepokoiła. Ten stan ją zdziwił. „Poczekaj – upomniała się. – Co to za myśli? Dlaczego tak bardzo interesowali ją bracia Mihrimah? Co ty tworzysz w tej swojej głowie, wenecka odalisko?”. Co by zrobiła, gdyby Żółtogłowy nie był dzieckiem?

„Ciekawe, czy mnie widział”, zastanawiała się.

Była to druga rzecz, którą udało jej się wyciągnąć spośród natłoku myśli. „Czy widział mnie, kiedy tańczyłam?”. Mimo że altanę obrastały pnące róże, musiał ją widzieć. Czy mu się spodobała? Czy mógł dostrzec jej twarz? „Skoro ja widziałam tylko jego głowę, on także nie mógł mnie zobaczyć”. W takim razie dlaczego odwracał się i patrzył w jej stronę?

Próbowała przez chwilę o niczym nie myśleć. Położyła ręce na kolanach i starała się skupić na haftach Mihrimah i pozostałych dziewcząt. Na próżno. Coś nie dawało jej spokoju.

Wyciągnęła się i wzięła tamborek z rąk Esmi. Z podziwem spojrzała na robótkę dziewczyny. Była piękna – czerwone tulipany, fioletowe fiołki, piękne rumianki wyhaftowane jedwabną nicią na cieniutkiej tkaninie, a do tego żółciutki kanarek... Ptak wyglądał tak prawdziwie, jakby w każdej chwili mógł zacząć śpiewać.

– Piękne – powiedziała cicho, oddając Esmie tamborek.

Na wypadek gdyby nie zrozumiała, wykonała odpowiedni gest.

Niespodziewanie rozległ się przerażający krzyk. Wszyscy odwrócili wzrok i spojrzeli na pawilon zadaszony złotą kopułą, w którym znajdowali się książę Selim i jego świta. Było tam teraz bardziej tłoczno. Ktoś nieustannie krzyczał. Bezradni służący przenosili zdumione spojrzenia to na jedną, to na drugą stronę.

„Oni narobili większego hałasu niż my”.

– Kto to krzyczy?

– Bajazyd – odezwała się Mihrimah. – Czwarto.

– Krzyczy tak na Se-lyma?

– On krzyczy tylko na Selima.

– Czego chce?

– Mówi: „To, co mi się należy, powinno być moje”.

– O co chodzi?

Mihrimah westchnęła znudzona.

– O łuk, który mój ojciec podarował Selimowi.

– Jemu sułtan nie dał łuku?

Nurbanu zdziwiła się, że w jej głosie pobrzmiwa sympatia do Selima.

– Jak mógłby to zrobić? Nawet Dżihangirowi podarował mały łuk.

– W takim razie dlaczego chce łuk Se-lyma?

– Podobno mój ojciec to jemu dał najpiękniejszy. Mówi, że Selim nie bierze

udziału w wyścigach konnych, że od dwóch lat nikt nie widział go na polowaniu i dlatego łuk Selima należy się jemu.

Nurbanu uznała, że cała sprawa to głupstwo.

– A Se-lym oczywiście nie chce mu go dać.

Mihrimah, chichocząc, kiwnęła głową.

– Nawet gdyby chciał, nie może mu go dać. Jeśli ojciec zabierze Selima na polowanie albo wyprawę, chce widzieć łuk, który mu podarował. Właściwie nie dlatego mu go nie da, że obawia się ojca. Żółtogłowy też ma w sobie niemało upor. Mówi: „Skoro nasz ojciec padyszach tak zdecydował, tak ma być”.

– Mały księżę też szaleje.

– Zgadza się.

Kłótnia trwała jeszcze chwilę. Później Bajazyd wynurzył się z tłumu i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku pałacu. Nurbanu dostrzegła z daleka, że twarz chłopaka była purpurowa ze złości. Tak mocno stąpał, że chwiały mu się turban.

W altanie przez jakiś czas panowała cisza. Słyszać było tylko ciche puknięcia, gdy igły przebijały materiał rozpięty na tamborku. Nurbanu zerknęła na Mihrimah. Spojrzenie dziewczyny skierowane było na cyprysową aleję ciągnącą się do basenu z fontanną.

– W końcu – mruknięła Mihrimah i złapała Nurbanu za rękę. – A oto i mój starszy brat! Księżę Mehmed. Drugi księżę!

Zdziwiła się, słysząc dziwną melancholię w głosie dziewczyny. Miała zamiar zapytać, dlaczego drugi, ale zrezygnowała.

Z powodu żywopłotu rosnącego po obu stronach alei znów nie widziała dokładnie. Po chwili ponad krzewami ukazał się wielki biały turban.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam – wyrzuciła z siebie Mihrimah. – Nie wolno ci się śmiać. Przejdzie bardzo blisko nas. Na pewno to zauważy.

W końcu go zobaczyła. Wcale nie miała ochoty się śmiać. Wprawdzie jego nakrycie głowy było duże i wyglądało zabawnie, ale jej to nie śmieszyło. A zatem to był starszy brat Mihrimah? Wyglądał, jakby nie miał czoła. Biały turban opierał mu się na brwiach. Brwi miał czarne, grube i z jakiegoś powodu ściągnięte. Zapewne miał pszeniczną cerę. Nie widziała dokładnie jego twarzy z powodu brody. Nos miał chyba trochę przyduży i nieco garbaty. Jego usta były prawie niewidoczne, ale nie wiedziała, czy dlatego, że były mocno zaciśnięte, czy z powodu zasłaniających je wąsów.

Był ubrany w czarny kaftan rozpięty na przedzie, z kołnierzem pokrytym dwoma rzędami sobolowych futer, sięgającymi aż do ziemi. Spod czerwonego pasa wystawała rękojeść szabli ozdobiona wielkimi kamieniami, na której opierał rękę.

Gdyby zbliżył się jeszcze kilka kroków, lepiej widziałaby jego oczy. Były piękne i ciemnozielone. Z pewnością był wyższy od Żółtogłowego. A może to

przez ten turban? Zastanawiała się, czy ma szerokie ramiona.

„Nie wygląda najgorzej”, przeszło jej przez myśl.

Nagle przed jej oczami pojawiły się przystojne sylwetki Marcella i Sebastiana. Patrzyli na nią drwiąco. „Nie wygląda źle – uparcie myślała Nurbanu. – Zgoda, może nie jest tak przystojny jak wy, ale cechuje go coś ważniejszego. Jest starszym synem sułtana Sulejmana. Lada dzień ten mężczyzna zostanie królem! Kiedy sułtan umrze, to on zajmie jego miejsce, a jego żona zostanie królową! Gdyby na przykład ożenił się ze mną... Ja...”

„Nie mów głupstw – roześmiali się młodzieńcy. – Nie słyszałaś? Wielki Turban jest drugi w kolejce. Jeśli sułtan umrze, na tronie zasiądzie inny”.

– Ile ma lat?

Chociaż Mihrimah frapowało to, dlaczego dziewczynę tak bardzo interesuje wiek jej braci, odpowiedziała:

– Jest o rok starszy ode mnie.

„A więc szesnaście. Trzy lata więcej niż ja”, pomyślała.

– Oczywiście, ty o niczym nie wiesz – zaszczebiotała nagle Mihrimah. – Skąd miałabyś wiedzieć? – Nachyliła się do ucha Nurbanu. – Podobno Mehmed oddał serce pewnej dziewczynie. Powiedział matce, że chce się z nią pobrać. Matka wpadła we wściekłość. Miała powiedzieć, że prędzej umrze, niż weźmie tę dziewczynę na synową.

Nurbanu poczuła ukłucie w sercu. Poczuła się zdradzona. „Co się dzieje, głupia?”, skarciła się. Przed chwilą Selim, teraz Mehmed. Co przychodziło jej do głowy? Jeśli był zakochany, to był. Co jej do tego?

Mihrimah zachichotała.

– Przez wiele dni nie odzywała się do Mehmeda.

– A to dlaczego? Dlaczego Aleksandra nie chce dziewczyny, którą kocha jej syn?

– Nie wiem. Mówi tylko, że to wykluczone. Mehmed ma wstąpić na tron, a dziewczynie brakuje tego czegoś, żeby zostać żoną padyszacha.

Nurbanu dokładnie przemyślała słowa Mihrimah. Oczywiście, kiedy Wielki Turban zasiądzie na tronie, jego żona zostanie królową. „A tą królową zostanę ja”, rozmarzyła się.

W jej wnętrzu walczyły ze sobą dwa głosy. „Przyznaj, że Wielki Turban przeszedł ci koło nosa”, odezwał się pierwszy. „Nie będziesz żadną królową, dziewczyno. Porzuć te marzenia. Spójrz, Bóg zostawił dla ciebie Żółtogłowego i Dżihangira. Obaj są jeszcze dziećmi”, stwierdził drugi i razem z tym pierwszym zaśmiali się do rozpuku.

– Matka wciąż powtarza, że Mehmedowi potrzebna jest dziewczyna, która zostanie królową. – W głosie Mihrimah słychać było drwinę.

Nagle uśmiech na jej ustach zamarł. „Dobry Boże – pomyślała. –

Rozwiązałam zagadkę! Już wiem, dlaczego matka tak bardzo interesuje się Nurbanu”. Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej?

Nurbanu zaś ogarniało coraz większe przygnębienie. „Co ci do tego?”, ponownie się zbesztła. Dlaczego obchodziło ją to, komu Wielki Turban oddał swoje serce? Na chwilę oderwała wzrok od Mehmeda. „Wielki Jezu, miej mnie w swojej opiece!”.

Za starszym bratem Mihrimah kroczył olbrzym. To musiał być potwór. Na głowie miał spiczasty hełm. Ponad jego ramionami widać było rękojeść szabli i kołczan zawieszony na plecach. Tułów olbrzyma był tak szeroki, że idący przed nim książę Mehmed dwa razy zmieściłby się w jego kolczudze. Nogi i ramiona miał osłonięte stalowymi ochraniaczami. Jego przerażające wąsy były zakręcone na końcach, a z jego oczu sypały się iskry.

– Kto to? – westchnęła z przerażeniem.

– Ochrona mojego brata.

– Ochrona? Przed czym ma go chronić?

– Przed śmiercią.

– Nie wierzę ci! – pisnęła Nurbanu.

Nawet służące drgnęły na dźwięk jej wystraszonego głosu, chociaż rozmawiały w niezrozumiałym dla nich języku.

– Kto mógłby chcieć zabić syna padyszacha?

Po raz pierwszy w oczach Mihrimah zobaczyła mrok. Teraz przybrały barwę wzburzonego morza pod niebem zasnutym czarnymi chmurami. Nagle przypomniała sobie, że przed chwilą ten sam wyraz widziała na twarzy Mehmeda. Wówczas nie potrafiła go nazwać, ale teraz już wiedziała, co się za tym kryje. To były strach i niepokój!

Zarówno Mihrimah, jak i jej brat czegoś się bali!

– Kto miałby odwagę zabić syna padyszacha?

Na ustach Mihrimah pojawił się pełen gorzkości uśmiech.

– Inny syn padyszacha.

– Nic z tego nie rozumiem. Czyli oni... – Wskazała drogę, którą przed chwilą przechodzili Selim, Bajazyd i Dżihangir. – Oni? Najświętsza Panienko!

– Nie oni – odparła, widząc, że dziewczyna patrzy na nią osłupiała. – Przyrodni brat. Syn kobiety, która była faworytą mojego ojca przed matką.

– Inna kobieta...

– Yhy.

– Ona też jest matką księcia?

– Tak. Jej syn jest pierwszym następcą tronu.

Teraz zrozumiała zawód w głosie Mihrimah, gdy mówiła, że Mehmed jest drugim księciem.

– Jak ma na imię?

- Mustafa.
- Jak ma na imię kobieta?
- Mahidevran Gülbahar.
- Co? Nigdy w życiu nie uda mi się wypowiedzieć tego imienia.
- Wystarczy, że zapamiętasz „Gülbahar”.
- Gul-be-hyr, tak? Dobrze?

Wymówiła to tak źle, że wszystkie dziewczęta znajdujące się w altanie wybuchły śmiechem.

– Ech... – westchnęła Mihrimah. – Z czasem się nauczysz. Bardzo często będziesz słyszała jej imię. Przynajmniej od mojej matki.

Nurbanu długo milczała. W głowie miała mętlik. Kiedy jego ojciec umrze, na tron nie wstąpi Wielki Turban, którego widziała przed chwilą. Zatem pospieszyła się zbyt, widząc siebie jako jego królową. Do tego chłopak był zakochany w innej. A teraz pojawił się jeszcze jeden książę i wywrócił wszystko do góry nogami.

Niespodziewanie przyłapała się na tym, że zastanawia się, jaki on jest. Czy przyrodni brat Mihrimah jest przystojniejszy od tych, których dopiero widziała? Jak on miał na imię? Mus... Mus-te... Nie wypadało jej pytać o to jeszcze raz. Skoro jest najstarszy ze wszystkich, powinien być przynajmniej dziesięć lat starszy od kobiety, którą weźmie za żonę, tak jak mówiła jej kiedyś matka.

- Ile ma lat?
- Oho! Jest dużo starszy od nas. Ma dwadzieścia dwa lata.

Nurbanu uśmiechnęła się w duchu. Dokładnie tak, jak życzyłyby sobie Maria Baffo.

- Twój przyrodni brat także wychodzi do ogrodu?
- Nie ma go tu. Nie mieszka z nami.
- No i proszę. Więc jak mu się teraz pokaże? Jak zostanie królową?

– A gdzie jest? – Starła się, żeby w jej głosie z jednej strony zabrzmiała obojętność, a z drugiej – świeżo rodząca się wrogość do niego.

Mihrimah się zawahała. Zastanawiała się, czy powinna być tak otwarta w kwestiach rodzinnych wobec obcej dziewczyny.

– Mój przyrodni brat wraz ze swoją matką mieszkają w Manisie. Mój ojciec padyszach po tym, jak wybrał moją matkę, uznał, że właściwiej będzie, jeśli Gülbahar i jej syn opuszczą pałac.

Wygnanie!

- Gdzie są? Gdzieś blisko?
- Daleko. Mustafa uczy się tam, jak być dobrym padyszachem.

„Słyszałaś?”, uzalała się nad sobą. Prawdziwy książę szykował się do wstąpienia na tron, a ona użerała się tutaj z turbanami jego przyrodnych braci.

Zamyśliła się. Oparła dłonie o barierkę i zatopiła się w bezkresnym błękicie,

który zaczynał się w miejscu, gdzie kończyła się balustrada, i ciągnął się do samej Wenecji. Nie było stąd powrotu. W końcu zrozumiała, że już więcej nie zobaczy swojej ojczyzny. Tutaj było jej dziś i jutro. Postanowiła, że jej jutro będzie takie, jak sobie wymarzyła. Sama podyktuje swoją historię i zostanie królową sułtana. Ale jak? „Ja jestem tutaj, a księżę, który ma zostać padyszachem, gdzieś daleko. I nie mogę do niego dotrzeć”.

Nurbanu ze zdziwieniem zauważyła, że wzbiera w niej gniew.

– Ale to niesprawiedliwe!

– Słucham?

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Mihrimah wpatruje się w nią pytającym wzrokiem.

– Co jest niesprawiedliwe?

– Niesprawiedliwe?

– Tak. Chyba tak właśnie przed chwilą powiedziałaś.

Próbowała się uśmiechnąć, żeby ukryć to, co czuje.

– Oczywiście, że niesprawiedliwe.

Mihrimah bezradnie rozłożyła ręce.

– Co można zrobić? Taka jest tradycja. Pierwszy w kolejności jest zawsze najstarszy syn.

– Dobrze – mruknęła Nurbanu. – Niech sobie będzie pierwszy. Ale skoro tak jest, twój brat boi się, że go zabije?

Mihrimah zdała sobie sprawę, że rozmowa zaczynała zbaczać w nieodpowiednią stronę. Taka była ta Wenecjanka. Jeśli już coś drążyła, chciała wiedzieć wszystko ze szczegółami. Nieustannie zadawała pytania.

– To nie Mehmed się boi, tylko moja matka.

– Aleksandra?

– Tak. Uważa, że jeśli mój przyrodni brat zostanie padyszachem, zabije nie tylko Mehmeda, ale i nas wszystkich.

– Co?! – wykrzyknęła Nurbanu.

„W takim razie Mustafa nigdy nie powinien zostać królem”, pomyślała.

Spojrzała jeszcze raz na Mehmeda. Tak, to on powinien być księciem, który zostanie królem. Była zdecydowana. Mehmed zostanie królem, a ona jego królową.

Nie wiedziała, jak to robi, ale dopnie swego. „Wiedz, Osmanie – zwróciła się w duchu do Mehmeda – że nie zostawię ciebie tej dziewczynie, a tronu – Mustafie”.

Nie dało się żyć w tym pałacu, nie wydając okrzyków zdumienia. Jak można było nie wykrzyknąć: „Co?!”, gdy ktoś jak gdyby nigdy nic mówił: „Mój przyrodni brat wszystkich nas zabije”?

– Mój Boże! To... to okropne. Czy to możliwe?

Mihrimah wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Prawo pozwala przelać krew ojca, matki i rodzeństwa, jeśli tylko tego wymaga państwo.

Przypomniało jej się, co słyszała o pałacowych zbrodniach. Ten pałac niczym nie różnił się od innych.

– Ale to głupie i przerażające.

Gdy córka padyszacha pochyliła głowę zrezygnowana, jakby była pogodzona z losem, Nurbanu zrozumiała, że to niemądre, co przed chwilą powiedziała. Stan Mihrimah sprawiał jej ból. Nie spodziewała się zobaczyć tej dumnej, pewnej siebie dziewczyny tak bezradnej. Kiedy uniosła głowę, znów zobaczyła w jej oczach ciemny odcień morza pod zachmurzonym niebem.

– Tak u nas jest. Jeśli państwo tego wymaga, można za nie poświęcić czyjeś życie. Śmierć może stworzyć państwo.

W jej wnętrzu narastał taki gniew, że nawet nie starała się zrozumieć słów Mihrimah.

– Więc jeśli syn tej kobiety wstąpi na tron, może was wszystkich zabić, tak?

– Tak.

– A ty wierzysz, że twój przyrodni brat zrobi coś takiego?

Mihrimah rozejrzała się strapiona. Ponownie wzruszyła ramionami.

– Najważniejsze jest to, że moja matka w to wierzy.

Zamilkły, gdy jedna ze służących podbiegła do nich. Czarnoskóra kobieta wyszeptwała coś do piastunki Mihrimah. Esmā zaś nachyliła się do ucha młodej sułtanki. Na twarzy Mihrimah pojawił się radosny uśmiech. Powiedziała coś cicho do opiekunki, jakby dawała jej wskazówki, po czym odwróciła się do Nurbanu.

– Masz gościa.

– Co mam?

– Masz gościa.

W głosie córki padyszacha była wesołość, a jednocześnie tkliwość.

Gościa? Ktoś przyszedł się z nią zobaczyć? Była bliska utraty zmysłów. Ze zdumienia i szczęścia poderwała się z miejsca i objęła dłonie Mihrimah.

– Kto to?

„Głupia – zbeształa się. – Co to za pytanie? Kto miałby to być? Oczywiście Wenecja. Przybyła Wenecja. Przybyła zabrać Złotą Córę”.

Mihrimah tak bardzo ucieszyła jej ekscytacja, że zapomniała nawet o bólu, jaki sprawiła jej wcześniejsza rozmowa.

– *Donna Ludovisi*. Żona ambasadora Daniela Ludovisi.

Nurbanu tak się spieszyła, że Meneksze z trudem udało się za nią nadążyć. Wszystko uleciało jej z głowy. Nie myślała ani o pałacu, ani o haremie, ani o niewoli. Owładnęły ją marzenia o przyszłości. Niech się zabijają, co jej do tego. Ona wraca. Wenecja po nią przybyła. Nie zostanie królową sułtańskiego syna w wielkim turbanie, ale na przykład germańskiego księcia, tak jak wyobrażała to

sobie w dzieciństwie. Wielki Jezu, Najświętsza Panienko, wysłuchano jej modlitw, zostanie uratowana.

Gdy znalazła się na korytarzu, w którym znajdowała się zielona komnata, jakby uderzył ją zapach Wenecji. Odetchnęła nim głęboko jak zapachem matki.

Niemal wtoczyła się do środka.

– *Donno Ludovisi?*

Sądziła, że kobieta siedząca na krawędzi sofy na jej widok zerwie się z miejsca i weźmie ją w ramiona. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Kiedy weszła, kobieta o czarnych kręconych włosach, która patrzyła przez okratowane okno, słysząc nagły zgielk, ledwo odwróciła głowę.

– *Signorino Baffo.*

Chłodne powitanie nieco zbiło ją z tropu, ale nie przejęła się tym. Kobieta była gruba. Miała chyba ze trzy podbródki. „Takiej osobie z pewnością trudno jest wstać”, pocieszała się. Poza tym ona była Baffo, a ta kobieta Ludovisi. Chociaż pochodziły z równie znakomitych rodów, była w końcu żoną weneckiego dyplomaty. Nieważne, sama mogła podbiec i ją objąć.

Tak też zrobiła. Podbiegła i próbowała wziąć ją w ramiona, jednak nie była w stanie jej objąć ze względu na ogromną tuszę.

– *Donno Ludovisi*, nie wyobrażacie sobie, jaka jestem szczęśliwa. Tak bardzo, bardzo dziękuję.

Kobieta poruszyła się, dając dziewczynie do zrozumienia, że próbuje wydostać się z tego krępującego uścisku.

Oczywiście, posunęła się trochę za daleko. Ze szczęścia nie wiedziała, co robi. Była nawet gotowa ucałować ją w policzki. Cofnęła się delikatnie. Patrzyły na siebie przez chwilę. Nie omieszkała spostrzec zawiści w oczach kobiety. Było jasne, że myśli: „A więc to jest ta Złota Córa Wenecji. Co w niej takiego złotego?”.

Tymczasem Cecilia z miłością patrzyła w jej czarne, załzawione oczy. *Donna Ludovisi* była gruba i brzydka, ale stała się jej wybawicielką. Jak inaczej miałyby na nią patrzeć?

– Więc? – odezwała się, ujmując dłonie kobiety. – Kiedy jedziemy?

Kobieta spojrzała na nią z nieskrywanym zdumieniem.

– Jedziemy, *signorina?* Dokąd?

Tym razem to ona była zaskoczona.

– Oczywiście do Wenecji. Do domu. Galera jest w porcie?

Kobieta uwolniła ręce i z trudem wstała. Podeszła do okna.

Nurbanu utkwiała wzrok w jej szerokich biodrach.

– Nie przyplłynął żaden statek.

– Nic nie szkodzi. Mogę też poczekać w waszym domu. Wystarczy, że czym prędzej mnie stąd zabierzecie.

Nastała cisza, która zdawała się nie mieć końca. Nurbanu ogarnęło dziwne

uczucie.

– Przykro mi, moja słodka, ale nie wyjedziecie stąd. To harem sułtana Sulejmana. Mówią, że to miejsce, w które nie mieszczą się nawet Bóg.

– Ale jak to? Nie przybyłyście, żeby mnie zabrać?

– Neeee... Pewien urzędnik z pałacu powiadomił Daniela – mojego męża – że haremowi podarowano wenecką niewolnicę, która twierdzi, że jest Cecilią Baffo.

– Kiedy?

– Nie pamiętam dokładnie. Zdaje się, że jakieś *trzy miesiące* temu.

Krew ją zalała.

– Trzy miesiące? I przez cały ten czas nie próbowaliście się ze mną spotkać?

Kobieta wymownie milczała. Wpatrywała się w okno.

W końcu się odwróciła. Zbliżyła się do Nurbanu, szeleszcząc spódnicą.

– Tutaj sprawy nie toczą się tak, jak my tego chcemy, *signorina* Baffo. Toczą się tak, jak oni chcą. Poza tym później...

– Poza tym później co? Podczas gdy ja płakałam i odchodziłam od zmysłów, przez wiele dni nic nie jadłam i nie piłam, czekając na pomocną dłoń Wenecji, wy nawet nie kiwnęliście palcem, żeby wyciągnąć mnie z tego piekła?

– Tak. Ach... Przepraszam. Nie. Daniello natychmiast przekazał tę wiadomość Wenecji. Wysłał też posłańca do Ojca Świętego. Teraz wszyscy w Europie wiedzą, że przebywacie w *haremie* sułtana Sulejmana. Oczywiście, wasza rodzina również.

Jej gniew jakby na chwilę ustał. Nie zauważyła nawet, jak kobieta zaakcentowała słowo „harem”. „Ojciec z pewnością podjął jakieś działania – pomyślała. – Wenecja została zaalarmowana. Na pewno mnie uratują”.

– Czy w takim razie są jakieś wieści z Wenecji? Kiedy przyślą okręt, żeby mnie stąd zabrać?

Kobieta ponownie przysiadła na sofie. Nurbanu zauważyła, że materac ugiął się pod jej ciężarem. Przez chwilę patrzyła na drzwi. Przysunęła się do niej.

– Żaden okręt nie przyplynie.

Nie czułaby się tak, nawet gdyby cały pałac sułtana Sulejmana zwałił się na jej głowę. Albo cały świat.

Spojrzała na ambasadorową z wściekłością.

– Dobrze, ale dlaczego? Nie rozumiem. Wenecja porzuca swoją Złotą Córę? Chyba wiecie, że mój stryj jest weneckim dożą? On nie zrobiłby czegoś takiego! Mój ojciec i pozostała arystokracja nie zgodziliby się na to! Poza tym... – Jej głos niósł się falami.

Kobieta zakryła jej usta.

– Milcz. Nie krzycz. Wenecja postanowiła, że tu *zostaniesz*.

Co?! Nurbanu sądziła, że się przesłyszała.

– Co postanowiła?

Kobieta tylko pokiwała głową.

– Wenecja musiała oszaleć! Przemyka oko na to, że dziewczyna z rodu Baffo została odaliską?!

Tym razem wargi żony ambasadora rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– To nie tylko decyzja Wenecji, moje dziecko. Chcą tego Jego Świątobliwość i wszystkie dwory Europy. Uważają, że tak będzie lepiej.

Patrzyła na kobietę pustym wzrokiem. Mogła zacząć płakać. Tyle jeszcze mogła. Mogła zalewać się łzami jak szalona.

Co to miało znaczyć? Powiedzmy, że nie chcieli ryzykować wojny z Imperium Osmańskim, żeby ją ratować, ale co znaczyło, że sądzą, iż lepiej będzie, jeśli tu zostanie? Lepiej dla kogo? Poza tym co miał do tego Ojciec Święty? Dlaczego mieszały się do tego europejskie dwory? Dlaczego życie młodej Wenecjanki stało się nagle kwestią omawianą na forum Europy?

Donna Ludovisi przez chwilę przyglądała się dziewczynie.

– Powiedziano nam, że członkowie rodu Baffo to bardzo odważni i godni zaufania ludzie – oznajmiła.

– Zgadza się. Tacy jesteśmy.

Kobieta pochyliła się do jej ucha.

– To cud, Cecilio Baffo. Nie rozumiesz tego? Bóg zesłał nam dobrodziejstwo, którego nigdy byśmy nie doświadczyli.

– Jakie?

„Gdzie ta mała latawica ma głowę?”, pomyślała kobieta. Dziewczyna nic nie rozumiała. Jak mieli coś osiągnąć, polegając na niej.

– Wenecjanka w pałacu wroga – wyszeptwała. – Bądź oczami i uszami chrześcijaństwa.

Teraz Nurbanu czuła się bardziej nieszczęśliwa i bezradna niż tej nieszczęsnej nocy, której została uprowadzona.

Nagle ambasadorowa wstała. Przemówiła radosnym głosem, jakby rozmawiały o czymś wesołym.

– Bardzo się cieszę, że jesteś taka szczęśliwa – zaszczebiotała. – Wyglądasz wspaniale w tych zielonych jedwabiach i taftach. Tak między nami, do twarzy ci w tych osmańskich strojach. Wstań i pokaż się.

Podniosła się osłupiała.

– Tak, naprawdę ci do twarzy. Gdybym nie wiedziała, że jesteś Wenecjanką, pomyślałabym, że jesteś osmańską dziewczyną. Podobno bardzo zżyłyście się z córką czcigodnego padyszacha?

W oczach kobiety pojawił się dziwny błysk. Jakby spojrzeniem chciała dać jej jakiś znak.

– Tak – mruknęła.

– Bardzo się cieszę – niemal wykrzyknęła kobieta. – Pojęłam, że jesteście blisko, kiedy zostałam zaproszona do pałacu przez sułtankę Hürrem, piękną żonę naszego czcigodnego sułtana, żeby móc się z wami zobaczyć.

A więc to Hürrem ją wezwała.

– To sułtanka Hürrem was zaprosiła? – odezwała się cicho. – Kiedy?

– Trzy dni temu.

– Ale o tym, że tu jestem, wiedziałyście od trzech miesięcy?

Kobieta uciszyła ją, przykładając palec do ust.

– Gdy tylko dostałyśmy zaproszenie, pospieszyłyśmy na spotkanie z wami.

„Nie po to, żeby się ze mną zobaczyć, ale żeby powiedzieć mi o tym, że zostałam zdradzona”, przeszło jej przez myśl. Przez chwilę rozmawiały o nic nieznających sprawach. Jej rodzina miała się dobrze. Oczywiście, przeżyli ogromny szok, ale ucieszyli się na wieść o tym, że ich ukochana córka żyje i przebywa w pałacu sułtana Sulejmana.

Nie mogło istnieć większe kłamstwo niż to.

W Republice Weneckiej i całym świecie chrześcijańskim sądzono, że obecność Wenecjanki z wysokiego rodu na dworze sułtańskim przyczyni się do pokoju.

„Wierutne kłamstwo”, burknęła w duchu ambasadorowa.

Zamilkły, gdy do środka weszła Meneksze w towarzystwie dwóch służących. Meneksze poczęstowała gościa swojej pani różnymi słodyczami o przeróżnych barwach, które podała jej na tacy. Kobieta zerknęła na specjały rozłożone na małych salaterkach. W każdym naczyniu znajdowała się niewielka złota łyżeczka. Ambasadorowa spróbowała po jednym kęsie każdego smakołyku. Łyżeczki włożyła do szklanki pełnej wody. Później przyszła kolej na sorbet posypyany prażonymi pistacjami. Trzecia służąca podniosła srebrną pokrywę jakiegoś naczynia. *Donna Ludovisi* wyjęła z niego mały, gorący ręcznik i otarła usta.

Podczas gdy Meneksze wraz ze służącymi podawały poczęstunek, kobieta postanowiła przekazać *Cecili* radosne wieści z Wenecji o pewnym ślubie.

– Słyszałaś, moja słodka? Ach, jakaż jestem głupia. Skąd miałabyś o tym wiedzieć? Znasz rodzinę Mancini, prawda? Z pewnością widziałaś także ich przystojnego syna Marcella.

Serce dziewczyny o mały włos nie wyskoczyło z piersi. „Marcello!”, miała ochotę krzyknąć.

– Ożenił się ostatnio. Odbyło się wspaniałe wesele. Nad Wielkim Kanałem przez całą noc trwały zabawy, pływały gondole i łodzie...

Meneksze i dwie służące wyszły. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, ambasadorowa tak blisko przysunęła się do dziewczyny, że prawie usiadła jej na kolanach.

– Od tej pory Wenecja chce wiedzieć o wszystkim, co się tutaj dzieje, nawet

jeśli przeleci mucha, Cecilio Baffo.

– Mylicie się – syknęła kobiecie prosto w twarz. – Nie jestem Cecilia, jestem Nurbanu. Cecilie Baffo zabiłyście przed chwilą.

Kobieta spojrzała na nią z przerażeniem.

– Od tego zależy los chrześcijaństwa – wyszeptała. – Rozumiesz mnie?

Nie rozumiała. Nie chciała! Imperium Osmańskie zrobiło z niej odaliskę, a Wenecja – szpiega! Nie chciała odgrywać żadnej z tych ról.

Pragnęła zostać królową.

Wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Obrzuciła kobietę pogardliwym spojrzeniem i ruszyła do drzwi.

– Meneksze – odezwała się – *donna Ludovisi* wychodzi.

Myślała, że zamknie się w swojej komnacie i będzie płakać godzinami po tym, jak kobieta minęła ją, rzucając jej zmijowaty grymas, i wyszła. Nie do wiary! Nie mogła tego zrobić. Nie była w stanie się rozplakać. Czowała tylko, że coś w niej pękło. To wszystko. Serce jej krwawiło, ale nie mogła płakać.

Rozłożyła pustą kartę *Zwoju cierpienia*.

„Zdrada!”, zapisała najpierw.

Odłożyła pióro. Godzinami wpatrywała się w to słowo, dopóki wnętrze pokoju nie utonęło w mroku i to, co napisała, stało się niewidoczne. Później wyciągnęła rękę, po omacku odnalazła świecę i zapaliła ją. Ponownie wzięła pióro i zamazała to słowo. W jego miejsce zapisała trzy inne, które paliły jej serce niczym rozgrzana stal:

Wenecja mnie zdradziła!

Na papier spadła łza.

Gdy usłyszała krzyk, zerwała się z łóżka, myśląc: „Zupełnie jak tamtej nocy”. Harem drżał od wrzasków podobnych do tych, które rozlegały się w pałacu w Fondi wtedy, gdy została wprowadzona.

Przycisnęła ręce do serca, które ze strachu zaczęło uderzać jak szalone. W pałacu sułtana Sulejmana, gdzie zwykle panowała cisza, rozpętało się piekło. Przed jej drzwiami biegali ludzie i krzyczeli. Nie знаła jeszcze wystarczająco ich języka, ale nie potrzebowała tego, żeby zrozumieć, co mówili. Były to pełne przerażenia wołania. W większości wysokie, rozdzierające serce kobiece wrzaski.

– Wiedziałam – odezwała się, starając się odnaleźć w ciemnościach narzutkę.

Czowała, że ten spokój i szczęście nie mogą trwać wiecznie.

A może... „Czyżby tym razem to nasi zaatakowali?”. Było to ostatnie drgnienie próżnej nadziei pozostałej w jej sercu. Wiedziała, że o niej zapomnieli. Tego ranka usłyszała to na własne uszy od pękatej żony ambasadora. W ich oczach była weneckim szpiegiem w pałacu sułtańskim. To była rola, którą jej przydzielili.

W końcu znalazła coś do okrycia. Pobiegła do drzwi. Otworzyła je.

– Jednak się mylą – mruknęła pod nosem. – Nie odegram roli, którą dla mnie napisali, ale tę, którą sama wybrałam.

Przez chwilę miała wrażenie, że pośród wrzasków i krzyków słyszy głos Rudobrodego: „Dobrze wyrób ciasto, córo rodu Baffo. Niech drożdże wyrosną”.

Gdy Mihrimah z daleka pokazywała jej swoich braci, w żaden sposób nie mogła umiejscowić myśli, które przychodziły jej do głowy. Jednak po zimnych jak lód słowach, które wylały się z ust ambasadorowej, jej porozumiewawczych spojrzeniach, wszystko odnalazło swoje miejsce. Nie miała już powodu oglądać się za siebie. Wyrobi ciasto. Tak jak Aleksandra stworzyła królową z odaliski, tak i ona osiągnie swój cel. Zostanie władczynią Imperium Osmańskiego. Znalazła już nawet swojego króla – noszącego wielki turban Mehmeda. Teraz musiała tylko zagnieździć się w myślach Mehmeda i ukraść mu serce. A nikt nie potrafił robić tego lepiej niż ona.

Gdy Nurbanu otworzyła drzwi, przemknęła przed nią złocista smuga. Mihrimah! Biegła razem z damami dworu i służącymi, zamiatając podłogi szerokimi spódnicami białej nocnej koszuli. Była boso. Esmā wyglądała tak samo.

– Co się dzieje?! – wykrzyknęła Nurbanu i także rzuciła się w powódź ludzi płynącą wąskim korytarzem. – Mihrimah! Co się dzieje?

Jej głos znikł pośród okrzyków tłumu, wypełniających długi, ciasny korytarz. Gdy próbowała dogonić Mihrimah, czyjaś mała dłoń chwyciła ją za nadgarstek.

– Me-nek-sze!

Nurbanu wydawało się, że czarne oczy dziewczyny ze strachu i z przerażenia stały się jeszcze większe. Służąca ledwo łapała oddech.

– Co się dzieje?! – krzyknęła, nie zatrzymując się. – Pali się?

Dobry Boże! Pożar w miejscu tak wąskim i pełnym zakrętów był największą możliwą tragedią. Zapewne ci ludzie próbowali jak najszybciej wydostać się na dziedziniec, żeby ocalić życie.

Dziewczyna ani nie była w stanie niczego powiedzieć, ani nie miała ku temu sposobności. Nurbanu była przekonana, że przyczyną tego chaosu jest ogień. Wszyscy biegli w lewo, w stronę miejsca, w którym po raz pierwszy obejrzała się w lustrze po tym, jak umyła ją w łaźni i przebrano. W stronę, gdzie w drzwiach stało dwóch olbrzymów.

– Siedziba sułtana – powiedziała pewnego dnia Mihrimah. – Tam znajdują się komnaty sułtana.

Zbiorowisko w korytarzu stale się powiększało. Nigdzie nie było strażników. Być może zniknęli w tłumie. Wokół panował ogromny zamęt. Każdy coś mówił.

– Zróbcie przejście!

– Przepuście sułtankę Mihrimah!

Służące, odaliski, damy dworu, paziowie, przepychając się wzajemnie, próbowali zrobić przejście dla Mihrimah.

Nurbanu zaś torowała sobie drogę, wykorzystując w tym celu ręce, łokcie i nogi. Gdy zbliżyła się do wysokich, szerokich drzwi po lewej stronie, ponownie rozległy się pełne przerażenia okrzyki.

Gdy Nurbanu uniosła głowę, chcąc sprawdzić, co się dzieje tym razem, zobaczyła olbrzyma, który wołał: „Zrobić przejście!” i próbował dostać się do wyjścia.

Czyja to była komnata? Padyszacha?

Stając na palcach, spojrzała ponad głowami i ramionami tłumu.

Natychmiast go rozpoznała. Był to Dżafer, aga haremu, o którym Mihrimah mówiła, że bez mrugnięcia okiem oddałby życie za jej matkę. Mężczyzna podniósł rękę i posuwał się naprzód, robiąc przejście. Pomiędzy jego palcami dyndało coś wielkiego, czarnego i odrażającego. Gdy haremowy aga przechodził przed nimi, kobiety krzyczały zatrwożone, a mężczyźni odskakiwali do tyłu.

Nagle Nurbanu zrozumiała, co trzymał Dżafer.

Skorpion! Atramentowoczarny, wielki, obrzydliwy skorpion.

Albo śmierć!

Drzwi były otwarte na oścież. Podążając za Mihrimah, Nurbanu przechodziła przez kolejne komnaty. W ostatniej z nich przez szparę w drzwiach zauważyła szerokie łóże stojące przed oknem. Boże, czyja to była sypialnia? Z czyjego łóżka wyszła czarna śmierć?

Przed drzwiami przeszła Aleksandra – z jakiegoś powodu nie mogła się przyzwyczaić do nazywania matki Mihrimah Hürrem. Poznała ją po rudych włosach. Widać było, że i ona wyskoczyła z łóżka w koszuli nocnej. Damy dworu zdołały tylko zarzucić jej na ramiona jakiś kaftan. Była blada jak ściana. Obejmowała czyjąś głowę.

– Wielki Jezu! – jęknęła Nurbanu. – Czyżby kogoś ukąsił? Kogo?

Usta kobiety nieustannie się poruszały, ale przez hałas Nurbanu nie mogła dosłyszeć jej słów. A nawet jeśli by je usłyszała, to i tak nic by nie zrozumiała. Pewnie się modliła. Zauważyła, że głowa w jej ramionach poruszyła się. Dobry Boże, żyje! Ktokolwiek to był, nie umarł! Aleksandra głaskała teraz włosy kogoś spoczywającego w jej objęciach.

W tej samej chwili ujrzała mężczyznę o bujnej brodzie, stojącego obok Aleksandry. Z jego postawy i spojrzenia biła taka dostojność, że nie musiała pytać, kim jest. Poczula, że mężczyzna jest jej tak bliski, jakby znała go od lat.

Sułtan Sulejman!

Ojciec Mihrimah!

Mężczyzna, przed którym drżał cały świat!

Władca, którego jak sądziła, miała zostać odaliską. Sułtan Sulejman, którego

wyobrażała sobie jako obślinionego, brzydkiego, odpychającego starca i wylewała łzy ze strachu, że wpełchnął ją do jego łóżka, wcale taki nie był.

Sułtan Sulejman miał krótkie włosy. Z jego czarnych oczu tryskały iskry złości i cierpienia. Brwi były ściągnięte i tak bujne, że prawie zachodziły mu na oczy. Miał największy nos, jaki kiedykolwiek widziała. Brodę zaczęła przyprószać siwizna. Mówił coś do Aleksandry.

Kobieta otworzyła ramiona i człowiek w jej objęciach się wyprostował.

Mehmed! Starszy brat Mihrimah! Księżę, którego żoną chciała zostać!

Twarz Mehmeda była kredowobiała. Nurbanu była pewna, że nigdy nie widziała tak bladego oblicza. Bez turbanu był przestraszonym, wątłym i smukłym młodzieńcem. Jego wargi były wyschnięte i drżały.

W jednej chwili przypomniała sobie, co Mihrimah powiedziała jej w ogrodzie różanym: „Matka uważa, że jeśli mój przyrodni brat zostanie padyszachem, zabije nie tylko Mehmeda, ale i nas wszystkich”.

Zatem Aleksandra miała rację! Śmierć wyciągnęła swoje paskudne łapsko.

Nagle poczuła, że obudził się w niej wielki gniew wobec Gülbahar i jej syna Mustafy, chociaż oprócz ich imion i tego, że przebywają na wygnaniu, nic o nich nie wiedziała.

Przepchnęła dziewczynę przed sobą, później następną, i precisnęła się między dwoma mężczyznami. Potrąciła ramieniem pulchną, czarnoskórą kobietę.

Nurbanu nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Czowała się jak we śnie. Nie zauważyła, że oczy wszystkich – Aleksandry, siedzącej na krawędzi łóżka, sułtana Sulejmana i pozostałych – skierowane są na nią. Po prostu szła.

Nalała do szklanki sorbet z karafki znajdującej się na stoliku, przy wezłowiu łóżka, w którym przed chwilą czaiła się śmierć. Powoli się odwróciła i ruszyła w stronę łóżka. Księżę Mehmed siedział tam, obok swojej matki. Zatrzymała się przed nimi, trzymając szklankę. Zerknęła na Aleksandrę. Przeraziły ją pasja i cierpienie w jej oczach.

Pochylony, drżący Mehmed dopiero po chwili zauważył parę maleńkich nagich stóp. Ciężko uniósł głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

„Piękna Heleno – powiedziała w duchu – czy to mój Parys?”

Patrzyli na siebie bezsilnym, słabym, przestraszonym, pozbawionym blasku wzrokiem.

„Czy to mój król?”

Bojąc się poruszyć, spróbowała jeszcze raz odczytać spojrzenie Aleksandry. Obawiała się, że kobieta zrozumie jej rozczarowanie. Powinna patrzeć w to blade oblicze z miłością. Starła się przybrać na usta delikatny uśmiech, który odbierał zmysły Marcellowi Manciniemu, Sebastianowi i jeszcze wielu innym. Czekwała, dopóki na jej policzkach nie ukażą się dołeczki. Wątpiła w to, czy wyrze wrazenie na chłopaku, ale Aleksandra z pewnością już dawno rozszyfrowała

malujący się na jej twarzy wyraz. Teraz potrzebna była pieczęć. Nie odrywając swoich zielonych oczu od złęknionych, czarnych oczu księcia Mehmeda, upiła jeden łyk z kryształowej szklanki, którą wciąż miała w dłoniach.

Wokół rozległy się pełne przejęcia pomruki. Nie zważała na nie. Kątem oka dostrzegła, że jedna brew Aleksandry się napięła. Znów była na niebezpiecznych wodach. Upiła jeszcze jeden łyk. Możliwe, że aby pozbawić życia księcia Mehmeda, śmierć znajdowała się także w sorbecie, którym zwilżyła usta. Kilka kropel z maleńkiego flakonu... albo szczypta proszku... Jeżeli tak było, śmierć zapuka teraz do jej drzwi, a nie starszego brata Mihrimah. *W takim razie niech zapuka.* Nie miała innego wyjścia. Życia nie warto było przeżyć bez ryzyka. Nie można było wyjść na ląd, nie przepłynąwszy niebezpiecznych wód.

Nie spuszczać oczu z Mehmeda, przez chwilę czekała na ból, który wypełni jej wnętrze, grom, który uderzy w serce, ogień, który strawi jej umysł. Chłopak także na nią patrzył. Nie wiedziała, czy zastanawiał się, kim jest, czy czekał, żeby przekonać się, czy ona umrze. Wiedziała, że obecni w komnacie myśleli o tym samym. Zapewne Meneksze też obserwowała ją z przerażeniem. Poczula na ramieniu rękę Mihrimah. Na chwilę, tylko na krótką chwilę oderwała wzrok od oczu Mehmeda i spojrzała na córkę padyszacha. Nie miała wątpliwości. Ta dziewczyna ją kochała. Sułtanka Hürrem także patrzyła na nią z upodobaniem, ale w oczach Mihrimah nie było śladu wyrachowania.

Ponownie odwróciła się do Mehmeda i podała mu szklankę. Obawiała się, że ktoś jej przeszkodzi, ale nikt nawet nie drgnął, żeby chwycić za naczynie.

Aleksandra spoglądała to na szklankę, to na twarz Nurbanu. Przez chwilę, która wydawała jej się wiecznością, jej ręka zawisała w powietrzu. W końcu Aleksandra delikatnie trąciła syna ramieniem.

– Wypij, synu. W rękach Nurbanu nawet trucizna zmienia się w wodę życia.

Chłopak wziął szklankę. Podczas gdy drżącą ręką podnosił ją do ust, Nurbanu, modląc się do Najświętszej Pani, żeby na jej twarzy pojawił się wyraz, któremu nie można się oprzeć, pozdrowiła księcia dyskretnym dygnięciem. Później się odwróciła. Na nikogo nie spojrzała i do nikogo nic nie powiedziała. Tak samo jak wcześniej, jakby poruszając się we śnie, odeszła sprzed oblicza sułtana Sulejmana i jego pięknej żony Hürrem. Usłyszała jedynie głos Aleksandry.

– Życzę ci, żeby Azrael, który nie dotknął mojego Mehmeda, zabrał duszę twojego syna, Gülbahar. Oby Mustafa zginął z rąk kata i zamiast na tronie znalazł się w grobie. Oby twoją duszę trawił płomień cierpienia po stracie syna, Gülbahar. I obyś żyła długo.

– Najświętsza Pani – błagała Nurbanu – usłysz głos tej kobiety!

Tego dnia nikt się nie uśmiechał. Nurbanu także nie opuszczała swojego pokoju. Skubnęła tylko posiłek, który przyniosła jej Meneksze.

Przypominała sobie to, co przeżyła. To, jak weszła do komnaty, a także

wzrok Aleksandry, wyraz twarzy sułtana Sulejmana, którego zobaczyła pierwszy raz, kredowobiałe oblicze Mehmeda, przekleństwo, które usłyszała, gdy wychodziła.

Mehmed, przechodząc przed altaną w ogrodzie różanym, nawet raz się nie odwrócił, żeby na nią spojrzeć. Jednak Bóg postawił ją na jego drodze. Podał jej sorbet, który wypija dla niego, ryzykując życie. Wtedy ich oczy się spotkały.

Czy był przystojny? Ech, może nie tak ładny jak Marcello czy Sebastiano, ale był księciem.

Gdy wieczorem drzwi powoli się uchyliły, Nurbanu wciąż siedziała zamysłona.

– Dziecko.

Boże, to ona? Odwróciła się podekscytowana.

To nie była ona.

W jednej chwili odrzuciła rozczarowanie. To nic, Aleksandra nie przyszła, ale przysłała swoją powierniczkę.

Natychmiast wstała i przyjęła Merzuke.

– Pani Hürrem – odezwała się cicho Tatarka – chce, żebyście tego wieczoru zjadły razem kolację. Ty i moja pani.

I oczywiście Mihrimah.

Nurbanu właśnie tej nocy poznała dalszą część historii Aleksandry Anastazji Lisowskiej: ciężkie dni spędzone pośród odalisek, razy, które musiała przyjąć, jej walkę z faworytą sułtana Sulejmana, Gülbahar, i to, jak z ruskiej odaliski Aleksandry zrodziła się Hürrem. Poza tym zwierzyła jej się ze swoich obaw.

Aleksandra opowiadała, Mihrimah tłumaczyła, a Nurbanu słuchała, nie uрониwszy ani słowa.

Hürrem pokazała Nurbanu nawet teatr cieni, którego nauczyła matkę Güldane.

– Spójrz, o tak – mówiła, formując z dłoni motyle, potwory i wilki.

Czasem wszystkie trzy miały łzy w oczach, czasem ich śmiech odbijał się echem niczym plusk wody uderzającej o kamienie.

– Tak to było, dziecko – westchnęła matka Mihrimah, gdy noc witała dzień.

– Zawsze uciekałyśmy przed śmiercią. Jednak ona nigdy nas nie opuściła. Wczoraj podążała tylko za nami, dziś, jak sama widziałas, czyha na nasze dzieci. Wczoraj, żeby przeżyć, wbijałyśmy paznokcie w pierś życia, dziś boimy się o dusze naszego potomstwa. Zrozumialiśmy, że aby przeżyć, trzeba nauczyć się odbierać życie. Złożyłyśmy przysięgę. Niech zamiast naszych dusz śmierć wyrwie je komuś innemu.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją Hürrem.

– Od początku wyznaczysz swoją drogę. Na nowo dokonasz wyboru. Albo nie dopuścisz do siebie pragnień, albo podążysz za każdym wezwaniem swojego

serca, umysłu i duszy. My wybrałyśmy to drugie.

Ujęła rękę dziewczyny i wzięła między swoje dłonie.

– Wiedz, dziecko, że pierwsza droga jest drogą ciszy i spokoju. Przemierzasz ją, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu. Sama nie wiesz, czy żyłaś, czy nie. Nikt cię nie zapamięta. Jednak jeśli wybierzesz drugą drogę, nie będzie odwrotu. Ta droga jest stroma i pełna cierni. Im wyżej się wspinasz, tym jest trudniej. Na każdym kroku czyha pułapka, za każdym zakrętem – niebezpieczeństwo. Gdy sądzisz, że już się skończyło, zaczyna się od nowa. Gdy powiesz, że ci się udało, zrozumiesz, że nie przebyłaś nawet połowy drogi. W końcu wdrapujesz się tak wysoko, że aby nie spaść, musisz spychać. Ja wybrałam urwistą drogę. – Zamilkła i westchnęła. – Teraz jestem w miejscu, o którym ci mówiłam, dziecko. W miejscu, w którym trzeba spychać, żeby nie spaść.

Ponownie przerwała. „W takim razie *dla nas życie, a dla Gülbahar i jej bękartów – śmierć*”. Utkwiła wzrok w Nurbanu, próbując odczytać z jej twarzy, czy zrozumiała.

Nurbanu poczuła, że jej policzki płoną. W końcu na twarzy rozkwitło zadowolenie, a w oczach jakby światło wiosennego poranka.

– A teraz powiedz, czy Cecilia dokonała wyboru?

Zrobiła to dawno temu. Już wtedy, gdy słuchała baśni swojej matki. Może nie był to wybór, ale dziecięce marzenie. Jednak gdy na okręcie, na którym przyплыła jako niewolnica, ponownie wysłuchała od Barbarossy historii pięknej Heleny, z tego marzenia stworzyła dla siebie cel. Tak właśnie było. „Jest w tobie zacyzn na królową”, powiedział Rudobrody. Zrobi tak, jak powiedział – niestrudzenie będzie wyrabiać ciasto, dopóki z odaliski nie stworzy królowej. Tak jak Aleksandra Anastazja Lisowska. Jeśli ktoś stanie na jej drodze, zniszczy go. Cecilia stała się Nurbanu, a Nurbanu zostanie władczynią Imperium Osmańskiego. To była przysięga Baffo.

Przymknęła oczy na znak, że już postanowiła.

– Czy żeby podążać drogą, którą wybrałaś, spojrzysz śmierci w oczy, jeśli będzie trzeba?

Skinęła głową.

Na policzkach czuła palący wzrok kobiety. Teraz na jej twarzy pojawił się tajemniczy, a nawet radosny uśmiech.

– Nurbanu... – odezwała się cicho. – Wiedziałam.

Zrozumiała to wtedy, gdy dziewczyna napiła się sorbetu, zanim podała go Mehmedowi.

Nurbanu próbowała odczytać myśli matki Mihrimah. Jakże dziwna była ta kobieta. Przed chwilą nazwała ją Cecilią, a teraz znów Nurbanu.

Oblicze Hürrem nagle pojaśniało, a tajemniczość ustąpiła miejsca zdecydowaniu.

– Mihrimah.

Córka padyszacha знаła sens każdego słowa, które matka powiedziała Nurbanu. Hürrem starała się wywołać iskrę. Jasne było, że iskrą rozpali pochodnię, a pochodnię wznieci olbrzymi pożar. Słuchała jej z zaskoczeniem połączonym z podziwem, a jednocześnie bała się. A co, jeśli płomień skieruje się w inną stronę, niż chciała tego matka?

– Córko, teraz dokładnie przetłumacz Nurbanu to, co powiem, żeby nie pozostało żadnych niedomówień i wątpliwości. – Po czym zwróciła się do Nurbanu: – To spadek po mojej matce Güldane. Powierzę go też tobie. *Nigdy nie oglądaj się za siebie. Nie czekaj, aż ktoś da ci to, czego pragniesz. Sięgaj po to, wydzieraj, choćby siłą. Trzymaj i nie puszczaj.* Taka jest moja rada dla ciebie.

Gdy opuściwszy komnatę sułtani Hürrem, Nurbanu wracała do swojego pokoju, ułożyła sobie w głowie wszystkie swoje przemyślenia.

Aleksandra nie pozostawiła syna Osmana, z którym miała dzielić koronę i tron. Ona też stworzy swojego padyszacha. To było takie proste. Najpierw stworzy padyszacha, a później zostanie królową.

– Przygotuj się, Wielki Turbanie – odezwała się cicho, a przed oczami pojawiła jej się przestraszona, blada twarz księcia Mehmeda. – Dam ci tron twojego ojca. Nie obchodzą mnie plany Sulejmana.

Nie obchodzili jej też Gülbahar i Mustafa. Od teraz wrogowie Aleksandry stali się też jej wrogami.

Kiedy weszła do swojej komnaty, wyciągnęła *Zwój cierpienia*.

„Zmieniam ci imię – napisała – od teraz będę cię nazywać F.M.S.³⁹”.

Tylko ona wiedziała, że to skrót od słów *Le mie speranze hanno fiorito*. Nie mogła przecież otwarcie napisać: „Moja nadzieja zakwitła”.

Później wielkimi literami dodała: „Jakże błyszczące jest słońce tego ranka!”. Zatrzymała się dokładnie w chwili, gdy miała podpisać się „C.B.”. W prawym dolnym rogu nakreśliła zdobne „N”. Z trudem powstrzymała się, żeby nie napisać pod spodem „Królowa Imperium Osmańskiego”.

Sułtan Sulejman wiedział, że jego żona nie śpi. Hürrem leżała bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Oby to nie był zły znak. Hürrem zawsze tak robiła, gdy wbiła sobie coś do głowy. Kto wie, co właśnie kreśliła na suficie.

Jeśli zapyta: „O czym myślisz, moja piękności?”, odpowiedź będzie oczywista: „O czym może myśleć wasza poddana, jeśli nie o zdrowiu i pomyślności naszego czcigodnego sułtana, panie?”.

Sulejman nie odezwałby się, nawet gdyby wiedział, że to kłamstwo. Zgoda, Hürrem drżała o niego, bardzo dbała o jego zdrowie, spokój i szczęście, ale ona też była człowiekiem. Miała swoje zmartwienia. Na przykład bardzo się smuciła, że Mihrimah nie podobał się przyszły mąż, którego dla niej wybrała. Szczególnie gdy rozniosła się plotka, że mężczyzna ma trąd. Na szczęście szybko wyszło na jaw, że

to nieprawda i że to Mihrimah rozpuściła te pogłoski. On także nie rozumiał, co Hürrem widziała w Rüstemie, ale z pewnością coś musiało w nim być. Mężczyzna był dużo starszy od Mihrimah, do tego utykał z powodu krótszej nogi. Ale za to miał głowę na karku. Wszyscy uważali, że jest sprytny. Jedyłą jego wadą była żądza pieniędzy.

Padyszach zaśmiał się w duchu. Czy istniał ktoś, kto nie pragnął pieniędzy? Na przykład Ibrahim, którego traktował jak brata, zabrał z winnic Manisy i mianował urzędnikiem w pałacu, oddał mu swoją pieczęć i uczynił wielkim wezyrem. Poza tym zdjął płaszcz seraskera, który od czasów jego dziada, Osmana Gaziego, nosili sułtanowie, odział go w niego i zrobił dowódcą wojsk... I co? Nawet jemu ciągle było mało. Nie nasycił się nawet skarbami Belgradu, Rodos, węgierskich równin, Budy. W końcu chciwość odebrała mu głowę.

Wspomnienie o tym, że rozkazał udusić Ibrahima, już go nie dręczyło. Nie żałował tego, co się stało. W końcu wielki wezyr dostał to, na co zasłużył. Tylko jednego nie potrafił zapomnieć – odgłosu rżenia, jakie wydobyło się z gardła Ibrahima, gdy kaci wykonali swoje zadanie w sąsiedniej komnacie. Ale cały czas sobie tłumaczył, że Ibrahim poniósł karę z własnej winy.

Rüstem różnił się od Ibrahima. Był dojrzalszy, rozumiał, że dostał dar od losu. Jeśli postara się być dobrym mężem dla jego córki, będzie żył w dostatku. Jeżeli zawiedzie, zapłaci za to życiem. Tutaj tak się miały sprawy.

Rozmyślenia odebrały mu ochotę na sen. Lepiej było wstać, niż przewracać się z boku na bok. Powoli podniósł się z łóżka.

Hürrem lekko rozchyliła powieki, jakby obudziła się, kiedy się poruszył.

– Niech mój czcigodny sułtan wybaczy, przysnęłam – mruknęła zaspanym głosem. – Życzycie sobie czegoś?

Ach, ten głos Hürrem, ten jej głos... Piękny głos, który odebrał mu zmysły, zanim ją zobaczył. Oczarowywał go, gdy tylko zaczynała śpiewać. Zamiast odpowiedzieć, spojrzął na żonę, uśmiechając się nieznacznie, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, że nie spałaś”.

– Mój pan nie wierzy swojej słudze? Jeśli mój sułtan życzy sobie czegoś, natychmiast wstanę.

– Ach, moja Hürrem o pięknym głosie i cudownym uśmiechu, kogo chcesz oszukać? Wiem, że nie zmrużyłaś oka.

– Wcale nie. Czy poddana miałaby nie zasnąć w ramionach swojego pana?

„Dawniej nie mogła”, pomyślał Sulejman. Wiedział, że płonący w nim ogień zaczął popieścić. Wprawdzie Hürrem potrafiła mistrzowsko rozniecić iskrę w jego sercu, ale te wybuchające każdej nocy burze namiętności należały do przeszłości, dalekiej przeszłości.

Gdy padyszach zbliżał się do konsoli, jego żona, odgadłszy jego zamiar, natychmiast się zerwała. Z karafki naląła sorbetu do kielicha. Posypała napój

prazonymi pistacjami i skropiła wodą różaną.

– Napijcie się, sułtanie mojego serca. Niech wasze serce znajdzie ukojenie.

Sulejman nie wziął kielicha. Wypił sorbet z rąk żony.

– Nasze wnętrze płonie, Hürrem – wyszeptał. – Znajdę tego, kto dopuścił się tej zdrady wobec naszego syna Mehmeda. Zapłaci za to swoim nędznym życiem.

„Wiadomo, kto jest zdrajcą, nie wiadomo tylko, czy wymierzysz mu karę”, pomyślała Hürrem, ale nic nie dała po sobie poznać. Spojrzała Sulejmanowi w oczy.

– Na pewno nasz pan znajdzie tego niegodziwca, który wpuścił śmierć do łoża jego syna. Nie mam żadnych wątpliwości.

Zamilkła. Przez chwilę patrzyła na kielich, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– Ja... – zawahała się, jakby nie mogła się zdecydować, czy to powiedzieć.

– Mów, mów... O czym myślisz? Czyżby Mihrimah wymyśliła nową wymówkę, żeby uciec przed małżeństwem z Rüstemem?

Jego głos brzmiał jak u niesfornego chłopca. W głębi serca Sulejmana cieszył opór córki. To pasowało do jego Mihrimah. Nie mogła tak od razu na wszystko się zgadzać.

– Boże, uchowaj – rzuciła pospiesznie Hürrem. – W ostatnim czasie jest zajęta tą Wenecjanką.

Sulejman się zdziwił. Matka i córka, dwa dni po próbie zamachu na księcia Mehmeda, były zajęte jakąś odaliską?

– Wenecjanką?

– Czcigodny sułtan zapomniął? Mówiłam naszemu panu o dziewczynie, którą podarował nam Hajraddin Pasza, gdy wrócił z wyprawy.

To było bardzo dziwne. Hürrem, która od dwóch dni tyranizowała wszystkich, grzmiała: „Gülbahar!” i rzucała klątwy, teraz zajęta była odaliskami i damami dworu? Oczywiście, tak było lepiej.

– Ach, tak, wspominałaś. Pochodzi z rodu Baffo, prawda? Zdaje się, że mówiłaś, iż Mihrimah zmieniła jej imię.

– Cecilia Baffo. Mówią, że pochodzi z arystokracji.

Padyszach pokiwał głową.

– Jej stryj jest przywódcą weneckich giaurów – zachichotał. – Nasz kapudan pasza nie ma sobie równych, Hürrem. W całym tym chaosie sprowadził do stolicy córę z rodu Baffo. Mówiłaś, że jak nazwała ją Mihrimah?

– Nurbanu.

– Królowa roztaczająca boskie światło! Brawo dla mojej córki. Znalazła równie piękne imię co własne.

Spojrzał na żonę. Dobrze znał jej oczy, które tak uwielbiał. Były niebieskozielone i zawsze pełne niezwykłego światła. Hürrem miała jakiś plan.

– I co z tą dziewczyną?

Hürrem wzruszyła ramionami.

– Nic – powiedziała wolno. – A co ma być?

Jednak swoją postawą dała mu do zrozumienia, że dziewczyna zajmuje jej myśli.

Sułtan Sulejman uśmiechnął się.

– Śmiało, Hürrem, powiedz. Skoro nie pozwoliło ci to spać, musi coś być.

Zamyślonym wzrokiem spojrzała mężowi w oczy. Robiła tak zawsze, kiedy chciała przekonać do czegoś Sulejmana. Wiedziała, że padyszach jest więźniem jej oczu. Sulejman od lat układał o nich wiersze.

– Przypomniało mi się... – zamilkła, jakby się wahała.

– Co ci się przypomniało, Hürrem?

– Tamtej nocy... Nocy, której Bóg ocalił naszego syna... – Sulejman bez słowa wpatrywał się w żonę. – Ta dziewczyna, Cecilia... – ciągnęła Hürrem. – Nurbanu... Nagle pojawiła mi się przed oczami. Czy czcigodny sułtan pamięta, jak wyszła z tłumu i stanęła przed Mehmedem Chanem? Wargi mojego dżygita były suche. Z gniewu i niepokoju żadnemu z nas nie przyszło do głowy, żeby dać mu kroplę wody. Przypomniało mi się, jak Nurbanu przeszła przed nami i nalała sorbet do szklanki, jak uniosła go do ust, żeby sprawdzić, czy jest zatruty, po czym podała Mehmedowi... To spędziło mi sen z powiek.

Tamtej nocy Sulejman po raz pierwszy zobaczył dziewczynę. „A zatem to jest ta Wenecjanka Baffo, którą Mihrimah tak nieustannie wychwala”, przeszło mu przez myśl. Pokiwał głową.

– Masz rację, Hürrem – odezwał się. – Nurbanu jest jeszcze bardzo młoda, ale widać, że jej rozum jest wielki. Zrobiła to, o czym nie pomyślało żadne z nas. I to zgodnie z obyczajem.

– Wcale nie – zachichotała Hürrem, przysuwając się do męża.

Sulejman zdziwił się.

– Co nie?

– Nurbanu, kochanie... Wcale nie jest młoda. Jest już gotowa do zamążpójścia.

„W samą porę”, odetchnął sułtan Sulejman. Ileż to razy zamierzał powiedzieć o tym Hürrem, ale nie mógł się na to zdobyć. Był pewien, że niełatwo mu będzie przekonać żonę do połączenia Mehmeda z tą dziewczyną. W końcu chłopak skarżył się, że matka jest przeciwna temu małżeństwu.

Hürrem od razu zauważyła, że mąż ucieka od niej wzrokiem.

– Czy jest coś, co was trapi, czcigodny sułtanie?

– Nie, moja uśmiechnięta buzio.

– Wasza poddana zna swojego pana. Coś was gnębi albo...

– Albo?

– Jest coś, co chcielibyście nam powiedzieć, ale wahacie się, nie chcąc nas zasmucać.

Przed tą kobietą niczego nie można było ukryć. Czytała w duszy i znała każdy zamiar. Nagle przypomniał sobie plotkę o tym, że Hürrem jest czarownicą, którą ukradkiem rozsiewał kiedyś nieszczęsny Ibrahim. „Ach, Ibrahimie – westchnął – na co ci było robić sobie wroga z sułtanki Hürrem. I co na siebie ściągnąłeś?”. Nawet przez chwilę nie wierzył w te wymysły, ale był pewien, że jego żona jest wyjątkowa.

Hürrem skupiła wzrok na czarnych oczach padyszacha.

– Powiedźcie. Skoro smuci się nasz pan, niech wraz z nim smuci się jego poddana – wymruczała.

– Przypomniało mi się to, gdy oznajmiłyście, że ta Wenecjanka jest gotowa do zamążpójścia.

Hürrem była zaskoczona. Czyżby Sulejman myślał o tym samym, co jej chodziło po głowie?

Ujęła rękę męża.

– Tak?

– Czy myślisz, że nadszedł już czas, żeby Mehmed się ożenił? Co o tym sądzisz?

W jednej chwili wszystkie zmysły Hürrem się wyteżyły. Padyszach chciał jej coś powiedzieć. Poruszyła się niespokojnie. Bąknęła coś niezrozumiale.

– Posłuchaj – ciągnął sułtan Sulejman. Jego twarz przybrała najłagodniejszy, najczulszy wyraz. Jego głos odbijał się echem, jakby rozbrzmiewał wśród gór. – Jego starszy brat Mustafa ożenił się. To tylko kwestia czasu, kiedy weźmiemy w ramiona wnuka. Czy nie czas na Mehmeda? Co ty na to?

„Niech to szlag! – Hürrem mruknęła gniewnie. – Oczywiście, że kolej na Mehmeda. Niewątpliwie wolę, żebyś wziął w ramiona dziecko Mehmeda niż potomka bękarta tej przeklętej żmii. Jednak dziewczyna jest jeszcze na to za młoda”.

Jej myśli zasnuły chmury. Potrzeba było przynajmniej dwóch lat. W ciągu tych dwóch lat z pewnością rzuci w ramiona Sulejmana dwoje wnuków zrodzonych z dziewczyny, z którą ożeniła go Gülbahar. Myślała o tym od wielu miesięcy. Nie było czasu. Mehmed musiał czym prędzej się ożenić i spłodzić potomstwo, ale... dziewczyna, którą dla niego wybrała, nie była jeszcze gotowa.

W zamyśleniu usadowiła się obok męża, na skraju łoża. Zauważyła, że przez chwilę jego wzrok zatrzymał się na jej nagich piersiach, a w jego czarnych oczach pojawił się błysk pożądania. Co więcej, padyszach uniósł dłoń i zamierzał nawet ich dotknąć, ale się powstrzymał. To także nie umknęło Hürrem. „Sulejmanie, najpierw powiedz to, co masz do powiedzenia. Później ja oznajmię, co o tym myślę. Albo będzie to mój prezent dla ciebie, albo gład, który stanie na drodze

twojego pomysłu”.

– Czcigodny sułtan jak zawsze ma rację – stwierdziła potulnie.

Jednak wcale nie była tego pewna. Mąż nie mógł się domyślić, co zamierzała. Niczym się nie zdradziła. Skąd zatem wziął się ten pomysł z ożenkiem syna?

W jednej chwili jej umysł przeszła pałaca myśl. Gdyby Sulejman myślał o tym samym co ona, powiedzenie tego nie sprawiałoby mu tyle trudu. „Boże, oby to nie było to, czego się obawiam”. Surowo przykazała Mehmedowi, żeby nie wyjawiał Sulejmanowi swojego pragnienia ożenienia się. Nie omieszkała go także nastraszyć. „Nie zapomnij o Mustafie. Bękart Gülbahar wziął sprawy w swoje ręce i co? Nasz pan nie przyjechał nawet na ślub. Dobrze się stało. Widać, że wypadł z łask sułtana. Gdy wyruszał na wojnę, też nie zabrał go ze sobą. Rusz głową, Mehmedzie. Niepotrzebna ci żona, tylko tron. Zarówno żonę, jak i tron da ci twoja matka. Wystarczy, że będziesz robił to, co mówię”.

– Mehmed także chce się ożenić.

Słowa padyszacha były jak uderzenie w twarz. Spojrzała zdumiona.

– Łatwo wspiąć się na górę, którą się widzi – mruknęła, próbując zyskać na czasie. – Jeszcze wczoraj był niemowlęciem. Kiedy nasz książę wyrósł i zamarzył o małżeństwie?

Rzuciła Sulejmanowi ukradkowe spojrzenie.

– Jeśli wy także uważacie to za właściwe, znajdziemy dla niego odpowiednią partię.

Naprawdę to powiedziała, a może chciała rzec, ale się nie odważyła? Przez chwilę nie wiedziała. Bała się odpowiedzi męża. Bardzo się bała. Przez głupią miłość syna wszystkie jej plany mogły spełznąć na niczym.

Słowa żony zaskoczyły Sulejmana. Podobno Hürrem była przeciwna temu małżeństwu. Czyżby Mehmed źle zrozumiał słowa matki? Nie było takiej możliwości. Próbował się uśmiechnąć.

– Nie obarczył nas tym obowiązkiem. Sam już kogoś znalazł.

Stało się to, czego się obawiała!

– Od roku Mehmed wysyła list za listem, prośbę za prośbą. Jeszcze wczoraj znów padł nam do stóp. Prosił i błagał.

Hürrem nie pamiętała, kiedy wpadła w taką panikę. Jej syn z jakąś Czerkieską... Jej ród z rodem jej największego wroga. To niemożliwe. Nie chodziło tylko o to, że dziewczyna była krajanką Gülbahar. Kazała swoim ludziom spytać dyskretnie o ukochaną syna, ale nie przynieśli żadnych dobrych wiadomości. Była pospolitą dziewczyną. Tymczasem Mehmed musiał brać pod uwagę walkę, którą być może będzie musiał stoczyć, żeby odebrać tron Mustafie. Jego wybranka nie miała niczego, co mogłoby przybliżyć Mehmeda do władzy, zmienić iskrę w jego wnętrzu w płomień.

– Ładna dziewczyna – mówili jej szpiedzy. – Naprawdę ładna. Jednak obawiamy się, że nie jest odpowiednia dla księcia Mehmeda.

Oczywiście, że nie była odpowiednia. Była piękna, ale głupia. To wszystko. Mehmed będzie siedział u jej stóp, patrzył jej w oczy i pisał wiersze. „Tak długo, dopóki bękart Gülbahar nie wstąpi na tron i nie zabije mojego głupiego syna i nas wszystkich”.

Hürrem koniecznie musiała temu przeszkodzić. Władza wymykała jej się z rąk. Ale co miała zrobić? Mężczyzna naprzeciwko niej był padyszachem. Nie mogła po prostu uciąć: „Wykluczone, nie oddam mojego syna tej Gruzince”. Sprzeciwianie się jego woli doprowadzało Sulejmana do szaleństwa, a gdy tak się działo, był zdolny do wszystkiego. To on był ojcem i padyszachem. Do niego należały pieczęć i słowo. Jeśli powie, że coś da, to tak robi, jeśli powie, że to niemożliwe, nic się nie wydarzy. Jej rady, nalegania i plany nie miały znaczenia. Musiała bardzo mądrze rozegrać tę grę. Tak jak to czyniła do tej pory.

– Jednak... – zaczęła cicho, zamiast od razu się sprzeciwiać.

Sułtan Sulejman albo jej nie usłyszał, albo udał, że nie słyszy.

– Powinnaś była to widzieć, Hürrem. Gdybym pozwolił, Mehmed zaraz by się rozpląkał. Czy synowi wielkiego sułtana Sulejmana wypada płakać jak kobiecie? „Wstań – powiedzieliśmy. – Wstań, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Skoro strzała miłości przebiła twoją pierś, złóż śluby ukochanej i niech to będzie lekarstwo na twoją ranę”.

Zamilkł na chwilę.

– Dobrze zrobiłem? – Ponieważ nie był pewien odpowiedzi, jaką otrzyma, wykonał jeszcze jeden ruch. – Poza tym wyrażenie zgody, żeby kochankowie się połączyli, to dobry uczynek, moja Hürrem.

Odebrało jej dech.

To była decyzja! Wszystko skończone. Słowo się rzekło.

Starła się wyglądać na bardzo szczęśliwą, ale oszołomioną.

– Tego chciał Bóg, a czcigodny sułtan uznał za właściwe. Co jeszcze ma powiedzieć poddana?

Nagimi ramionami objęła szyję Sulejmana.

– Czy prawo do miłości mają tylko młodzi? – szepnęła mężowi do ucha. – A co z prawem waszej Hürrem? Od dawna nie płonęliśmy w waszym ogniu.

Padyszach zrobił to, o czym myślał przed chwilą. Dotknął nagich piersi Hürrem, które niewiele straciły ze swojej młodzieńczej jędrności. Jego dłonie zapłonęły.

– Mój czcigodny sułtan jak zawsze ma rację – jęknęła Hürrem.

– W której sprawie? – mruknął padyszach, nie unosząc głowy znad piersi żony.

– Może nadszedł czas, żeby Mehmed wyfrunął z rodzinnego gniazda.

Sułtan, którego dłonie błędziły teraz po udach Hürrem, myślał o tym, jak łatwo mu poszło.

Gdyby zobaczył iskry w oczach żony, nie spieszyłby się tak z tą radością.

Mihrimah była przerażona.

– Nie mogę w to uwierzyć, matko...

Hürrem przerwała córce.

– Od kiedy to musimy przysięgać, żeby sprawić, by nasza córka nam uwierzyła?

– Ale to niedorzeczne.

– Co powiedziałyście, córko? Niedorzeczne? Nigdy więcej nie wypowiadajcie przy nas tego słowa.

– Ale... Ale mój brat kocha Fülane Hatun.

– Skończ z tym. Jak to kocha? Twój brat nawet nie wie, co powinien kochać. Jest synem sułtana Sulejmana. Moim synem. Powinien kochać władzę, Wielkie Imperium Osmańskie. – Ściszyła głos. – Skoro jutro ma zasiąść na tronie...

– Jeśli na nim zasiądzie.

– Oczywiście, że tak. Ja ci to mówię. To my przedłużymy dynastię Osmanów. Wbij to sobie wreszcie do głowy.

Mihrimah nie zamierzała dać za wygraną.

– Nawet jeśli tak będzie, Fülane nie stanowi ku temu przeszkody.

– Stanowi. I to większą niż ta druga. – Było jasne, że mówiąc o drugiej przeszkodzie, ma na myśli Mustafę. Teraz jej głos przypominał szept. – Sułtan wydał zgodę. Wkrótce Mehmed poślubi tę dziewczynę z gór. Ta dziewczucha zgasi ogień, który w nim jest. Popatrz, już teraz twój brat przestał myśleć o życiu i państwie. Obchodzą go tylko miłość i uczucia, a czasu jest coraz mniej. Wczoraj był skorpion. Kto wie, co będzie jutro? Gülbahar zakasała rękawy, żeby pozbyć się konkurentów Mustafy. Mehmed już teraz ma być gotowy do przejęcia władzy. Zamiast spędzać czas z tą kobietą, powinien rozmawiać z agami, wezyrami, bejami i paszami. Powinien znaleźć sobie sojuszników. Potrzebuje kobiety, która rozdmucha tłącą się w nim iskrę i zmieni ją w płomień.

– I tą kobietą jest Nurbanu?

– Tak. Ona.

– Nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę nie mogę. Dla nas znalazłyście kulawego starca, a dla Mehmeda – małą Wenecjankę, której nie kocha.

Rozgniewana Hürrem zaczęła krążyć po komnacie.

– Przestańcie nazywać ją małą, i ty, i sułtan. Nurbanu nic nie brakuje. Sądzę, że zna życie i mężczyzn znacznie lepiej, niż nam się wydaje. Jestem pewna, że przynajmniej lepiej od was, córko.

– Matko!

– Może kłamię, Mihrimah? Jedyne, o czym myślisz, to morze i flota.

- Mój brat kocha tę dziewczynę.
- Naszemu panu też wydawało się, że kocha tę zmiję Gülbahar.
- Dobry Boże, jesteście zdecydowane.
- Tak. Mehmed koniecznie musi jechać do Manisy.
- A Mustafa?

W oczach Hürrem zapłonął ogień. „Niech idzie na dno piekieł”, pomyślała. Jednak pytanie córki pominęła milczeniem.

– Jeśli zmija i jej bękart pozostaną w Manisie, będzie to dla nas oznaczało, że śmierć jest blisko. Musimy sprawić, żeby Mustafa oddalił się od Seruhanu, Mihrimah. I to natychmiast. Musimy zaszczepić tę myśl naszemu panu. – Spojrzała córce w oczy. – To zadanie przypada tobie. Przekonaj swojego ojca, żeby przesiedlił Mustafę z Manisy, a na jego miejsce wysłał Mehmeda.

– Ja? – Oczy Mihrimah otworzyły się szeroko. – Czy ojciec wysłucha mojej rady w sprawie państwowej?

– Jeśli użyjesz głowy, to tak. Zapomniałaś? Wysłuchał cię i wzmocnił flotę nowymi galerami.

– Nie sądzę. Z pewnością sam o tym myślał.

– I właśnie o to chodzi. Trzeba pokazać to tak, jakby sam o tym myślał. Sulejman nienawidzi, jak mu się radzi. Z przekory postępuje odwrotnie. Musisz tak mu to przedstawić, żeby sądził, że to jego pomysł.

Przez chwilę matka i córka mierzyły się wzrokiem.

– Zrozumiałaś, Mihrimah?

Pokiwała głową.

– Matko, czy naprawdę uważacie, że gdy Mehmed zobaczy Nurbanu, zapomni o Fülane? Wierzycie w to?

– Miłość oślepia głupców. Bóg jeden wie. Pewnie nawet nie zauważy dziewczyny.

– Więc?

– Nurbanu postara się, żeby ją zauważył. Tak jak ja to zrobiłam.

– A jeśli ona też nie kocha mojego brata?

– Nie musi go kochać. Niech go rozpali. Wystarczy, że zaszczepi mu w sercu żądzę władzy. W przeciwnym razie nie przeżyje ani mój Mehmed, ani ta głupia dziewczyna, w której się zakochał. Bóg zesłał tu tę Wenecjankę, żeby nas ocaliła.

Mihrimah zaczęła się śmiać.

– Chcecie powiedzieć, matko, że życie potomków Sulejmana i Hürrem zależy od kulawca i Wenecjanki?

– Nie ma w tym nic śmiesznego, córko. Idź po rozum do głowy. Jesteś już dorosła. Oczekujemy, że zajmiesz miejsce u boku swojej matki. Albo my zginiemy, albo oni. Ja mówię, że oni. A ty?

– Oni.

– W takim razie idź i zrób to, co ci powiedziałam.

XXVII

Nowy Pałac

Komnaty sułtańskie

Jeśli mają rację, zwłoka przyniesie nieszczęście” – sułtan Sulejman od tygodnia nieustannie powtarzał te słowa. Jeśli źródło tej nikczemności sięgało aż do Seruhanu, jak twierdziły Hürrem i Mihrimah, należało podjąć pewne działania.

Nie mógł w to uwierzyć, ale znaki były niepomyślne. Dopóki nie zyska pewności, musi być ostrożny, zarówno ze względu na siebie, jak i na państwo.

Być może Hürrem ze strachu o życie syna przesadzała, być może doszukiwała się związku Gülbahar z tą sprawą, ale sułtanka Mihrimah? „Trzeba podjąć jakieś działania”, powiedziała młoda dziewczyna. Dobrze, ale jakie? Według Mihrimah należało mianować Mehmeda sandżakbejem, a Mustafę wysłać do jakiejś większej prowincji, na przykład do Amasyi.

W rzeczywistości Mehmed był już dorosły. Na tyle dorosły, że nawet prosił go o pozwolenie na ślub i jego błogosławieństwo. Jak długo jeszcze będzie siedział u stóp Hürrem? „Przydzielę mu sandżak. Niech jedzie tam ze swoją wybranką. Nie tylko będzie służył państwu, ale też założy swoją rodzinę”.

To była właściwa droga. Mihrimah od razu pojęła, co chodzi mu po głowie. Mustafa powinien przebywać dalej od stolicy, a Mehmed od matki. Jednak odesłanie Mustafy z Seruhanu do innego miejsca oznaczało uznanie jego winy. A jeśli nie jest winny? To posunięcie mogło okazać się niebezpieczne.

„Wojsko bardziej kocha mojego syna niż padyszacha”, myślał. Nie wiedział, czy powinien się z tego cieszyć, czy wręcz przeciwnie. Jeśli janczarzy zbuntują się, że wysyła Mustafę do innej prowincji, sprawy się skomplikują.

– W takim razie – postanowił – najpierw wyślę Mehmeda do Konyi. Niech tam jedzie, a jeśli chce, niech się żeni. Jednak moje oczy i uszy muszą być w Manisie. Niech bacznie przygląda się Mustafie i jego matce. Jeśli okaże się, że mają coś wspólnego z tą niegodziwością, wówczas pomyślimy nad rozwiązaniem.

Było to trudne, ale odetchnął z ulgą, kiedy w końcu podjął decyzję. Wszedł przez ciężkie drzwi, które otworzyli przed nim gwardziści. Podeszedł prosto do sofy i usiadł. Klasnął w dłonie.

– Pokojowiec!

Mężczyzna natychmiast pojawił się przed nim, pochylony w głębokim ukłonie.

– Panie.

– Oto mój firman: Nasz syn, książę Mehmed, czym prędzej uda się do Konyi. W pałacu w Karaman⁴⁰ będzie służył Wielkiemu Imperium Osmańskiemu i swojemu ojcu. Niech dowiedzą się o tym wszyscy w naszych posiadłościach i niech każdy nasz sługa postępuje zgodnie z tym porządkiem.

Pokojowiec wycofał się, kłaniając się nisko i pozdrawiając padyszacha.

– Wezwij wielkiego wezyra. Niech natychmiast się przed nami stawi.

Pokojowiec wyszedł pospiesznie. Zastał wielkiego wezyra Hadyma Sulejmana Paszę na nadzorowaniu zadań w Enderunie. Mimo że pasza miał już ponad osiemdziesiąt lat, przybył zwawym krokiem. Stał przed padyszachem i pokłonił się, modląc się, żeby jego spiczasta czapka się nie zsunęła.

Padyszach ruchem zdradzającym, że nie czuje się dobrze, gdy osoba w takim wieku tak nisko się przed nim kłania, dał mu znak, żeby się wyprostował.

– Przed chwilą wydaliśmy firman, paszo – odezwał się surowym głosem. – Książę Mehmed uda się do Konyi. Niech poczynione zostaną przygotowania w sandzaku Karaman. Książę weźmie tam ślub. Nie chcę, żeby czegokolwiek mu brakowało. Niech zostanie zrobione wszystko, co konieczne. Ponadto niech do księcia sukcesora Mustafy sandzakbeja Seruhanu zostanie wysłanych trzech wezyrów.

Wielki wezyr czuł, że brakuje mu powietrza, ale był na tyle doświadczony, żeby tego nie okazać. „O nie! – przeszło mu przez myśl. – Czyja wola, czyja dola. Skorpion nie ukąsi Mehmeda, ale księcia sukcesora Mustafę. W głowie padyszacha zasiano niepewność. To nie przyniesie nic dobrego. Albo on zje wilka, albo wilk jego”.

– Niech mają oczy i uszy otwarte. Niech się dowiedzą, co nasz syn, książę sukcesor, od tak dawna robi w dalekich krainach, kto mu towarzyszy, kto radzi. Niech dla ich wizyty zostanie zainscenizowana odpowiednia okazja, żeby matka naszego syna nie zaczęła snuć podejrzeń. Takie domysły skłaniają do fałszywych kroków, paszo.

Nie zapytał starego paszy, czy dobrze odczytał jego intencje. Był pewien, że doskonale go zrozumiał.

– Niech książę Mehmed wyruszy w drogę do Karamanu w eskorcie trzech wezyrów. Niech chorąży zgodnie z protokołem dostanie trzy kity. Niech naszemu księciu towarzyszy jeden pułk wojska. Niech jadą z nim jego hodźowie i *lalowie*. Nie chcę żadnych uchybień. Niech wszyscy podejmą odpowiednie działania.

Po każdym zdaniu padyszacha Sulejman Pasza kiwał głową. Kiedy sułtan dał mu znak, że może odejść, wielki wezyr ucałował swoją dłoń i przyłożył ją do czoła, wyrażając poszanowanie firmanu władcy.

Padyszach przez chwilę wpatrywał się w oczy starego wezyra, próbując odczytać jego myśli. Wiedział, że to próżny trud. Ile osób, których wzrok zdradzał poglądy, zachowało głowę na karku? Skoro głowa Sulejmana Paszy utrzymała się na swoim miejscu osiemdziesiąt lat, oznaczało to, że już dawno zamknął oczy na sądy.

– Czy są jakieś wieści w sprawie dochodzenia, Sulejmanie Paszo? – zapytał, zmieniając temat. – Znalazłeś tego, kto nastawał na życie naszego syna?

Wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni w pałacu od wielu dni byli przesłuchiwani. Codziennie informowano padyszacha o wynikach śledztwa.

– Ten, który zrobił to naszemu synowi, zostanie odnaleziony – powiedział Sulejman. – Albo tak się zadzieje, albo nie zostanie kamień na kamieniu ani głowa na karku.

Oznaczało to, że albo naprawdę musieli go znaleźć, albo pchnąć kogoś w ogień, zrzucając na niego winę.

Tym razem wielki wezyr nie pokłonił się.

– Wszyscy to wierni słudzy naszego pana. Większość od dzieciństwa jest przy księciu Mehmedzie. Jednak...

– Jednak co? Dokończ swoją myśl. Znalazłeś głowę spisku?

Jak miał to zrobić?

– Nawet jeśli nie głowę, to znaleźliśmy rękę, panie. To człowiek pracujący w pałacowej stadninie.

– Przyznał się? Kto skłonił go do tej niegodziwości?

– Nie mógł nic powiedzieć, sułtanie. Mężczyzna jest niemową.

Sułtan Sulejman ze złością zerwał się z miejsca. „Niemowa! Ten, który wpuścił do łaźni żmiję, żeby zabić Hürrem, też był niemową”. Z rękami założonymi z tyłu zaczął krążyć po komnacie. W końcu zatrzymał się naprzeciwko wielkiego wezyra.

– Posłuchaj, paszo – odezwał się głosem ostrym jak miecz – twoje zasługi są wielkie. Nasz szacunek do twojego wieku i zasług także. Jednak mój gniew jest większy od tego wszystkiego. Chcę głowy. Niech spadnie tyle głów, ile trzeba. – Zamilkł na chwilę, a z jego oczu sypały się iskry. – Ten, kto uchybił w swoich obowiązkach, niech wie, że chcę jego głowy.

Padyszach, purpurowy z wściekłości, uniósł palec wskazujący i próbował się uspokoić.

Kiedy sułtan Sulejman wrócił na swoje miejsce, Sulejman Pasza wycofał się z komnaty. Nie było już nic do dodania. „Jeśli ty popełniłeś jakiś błąd, chcę też twoją głowę”, miał na myśli padyszach.

XXVIII

Nowy Pałac

Harem

Nurbanu planowała, jak zbliży się do księcia Mehmeda i zdobędzie jego serce. „Pluj na swój los, dziewczyno – mówiła w duchu do tej, w której podobno zakochał się Mehmed. – Nie zamierzam ci go zostawić”.

Przypominała sobie rady dotyczące uwodzenia, o których wspominała Julia Colonna w pałacu w Fondi. Były to spojrzenie, wstydlive zerknięcie, później odwrócenie wzroku, jakby nie mogła znieść patrzenia na wybranka, następnie uśmiech, poprzedzony ukradkowym spojrzeniem, i westchnienie. Poza tym odgarnięcie włosów i wygięcie ukazujące okazałość piersi i krągłość bioder oraz jedno słowo, które wylewa się z ust jak pieśń: „Panie...”. To wszystko.

Siostra Mehmeda surowo ją przestrzegła, żeby pod żadnym pozorem nie śmiała się z jego wielkiego turbanu. Nurbanu nie wiedziała, jak wykona te wszystkie miłosne ruchy, kiedy chłopak stanie przed nią w nim na głowie.

Setki razy przypominała sobie chwilę, gdy Mehmed, siedząc na krawędzi łóżka z kredowobiałą twarzą i trzęsąc się ze strachu, wziął od niej sorbet, który mu podała. A dokładniej chwilę, gdy ich oczy się spotkały, kiedy wyciągał rękę. Pamiętała wszystkie szczegóły, ale w jej pamięci nie pozostał nawet ślad spojrzenia księcia. Tylko czarne oczy bez wyrazu, z których nie mogła wyczytać, czy zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie. Nie była nawet pewna, czy Wielki Turban ją zauważył. Gdyby Aleksandra nie trąciła go w ramię, może nie zobaczyłby, że próbuje mu coś podać.

Postanowiła wymazać z pamięci tę chwilę, bo była wielkim rozczarowaniem. Czy wówczas wspominał tamtą dziewczynę? Czy myślał: „Bóg wybaczył mi moją miłość”?

„Nie mów głupstw”, skarciła się Nurbanu. W końcu w jego łóżku był skorpion. Chłopak był o włos od śmierci. Miał wtedy myśleć o miłości? Przecież spojrzał na Nurbanu. Widział ją. Może właśnie teraz przymknął oczy i starał się przypomnieć sobie tę dziewczynę, która przed podaniem mu sorbetu upiła z niego łyk, jakby chciała powiedzieć: „Niech śmierć, która na ciebie czyha, przyjdzie do mnie”. Może wypytywał dookoła, kim jest ta dziewczyna. Może spytał o to Mihrimah albo swoją matkę... „Matko, kim była ta dziewczyna, która podała mi sorbet?”, tak z pewnością powiedział.

Pewnie dlatego, że jeszcze tej samej nocy długo z nią rozmawiał. Hürrem miała co do niej jakiś plan. Nie była tego pewna, ale tak czuła. W przeciwnym razie, po co całą noc opowiadałaby jej o tylu rzeczach, do tego niebezpiecznych. I co miałyby znaczyć ta rada: „Nigdy nie oglądaj się za siebie. Nie czekaj, aż ktoś da ci to, czego pragniesz. Sięgaj po to, wydzieraj, choćby siłą. Trzymaj i nie

puszczaj”. To była bardzo wyraźna wiadomość.

Wszystko zależało od spędzenia z chłopakiem chwili na osobności. Ale jak miała to zrobić? Do haremu poza sułtanem Sulejmanem nie miał prawa wejść żaden mężczyzna, oczywiście poza czarnoskórymi służącymi. Nawet synowie padyszacha mieszkali w komnatach, w części pałacu, w której znajdowały się apartamenty ich ojca. Także Dżihangir. Jakie to wszystko było głupie. To jawne szaleństwo. Mruknęła gniewnie. W haremie nawet nie było kota samca. Jak w takich warunkach Nurbanu miała skraść serce Mehmeda? Jak miała sprawić, żeby zapomniał o tamtej dziewczynie? Kto mógł zapewnić jej spotkanie z Mehmedem?

„Głupia”, skarciła się. Oczywiście mogły jej to zagwarantować jego matka i siostra. Postanowiła, że gdy zobaczy Mihrimah, przedstawi jej tę kwestię w odpowiedni sposób.

Meneksze pospiesznie weszła do jej komnaty.

– Idzie sułtanka Mihrimah – oznajmiła.

– I proszę.

Nurbanu wyprostowała się z radością. Po dwóch dniach planowania i obmyślania los sprowadzał do niej osobę, która zabierze ją do Mehmeda. „Najświętsza Panienko – natychmiast wyciągnęła krzyż – dopomóż mi”.

Kiedy Mihrimah weszła do komnaty, wyglądała na wypoczętą. Sądziła, że będzie zmęczona po incydencie ze skorpionem i całej nocy występowania w charakterze tłumacza między swoją matką a Nurbanu. Wprawdzie od tego czasu minęły dwa dni, ale zapewne znalezienie skorpiona w łóżu jej starszego brata bardzo nią wstrząsnęło. Jednak wcale tak nie wyglądała. Przekroczyła próg uśmiechnięta. Najwyraźniej była przyzwyczajona do życia na granicy śmierci.

– Dzień dobry. Udało ci się odpocząć po wywodzie mojej matki?

Nurbanu, odwzajemniając uśmiech, czekała, aż jej gość usiądzie. Dowiedziała się, że przy członku rodziny padyszacha nie należy siadać, dopóki nie dostanie się pozwolenia. Gdy Mihrimah wygodnie usadowiła się na sofie, wskazała jej miejsce obok siebie.

– Sądziłam, że przez tydzień nie będziesz mogła dojść do siebie po tym, jak moja matka opowiadała ci o sobie przez całą noc. Szybko się pozbierałaś.

– Nie mów tak. Historia Aleksandry bardzo mnie poruszyła.

Mihrimah spojrzała na nią uważnie.

– Byłoby dobrze, gdybyś przestała mówić o naszej matce Aleksandra.

– W żaden sposób nie mogę się odzwycząić, ale masz rację. Powinnam tego unikać.

Nurbanu zamilkła. Gryzły ją myśli o księciu Mehmedzie. W końcu nie wytrzymała i zapytała niby od niechcienia, jakby nagle przyszło jej to do głowy.

– Mam nadzieję, że czcigodny królewicz ma się dobrze.

– Mój starszy brat? Jego też nie powinnaś nazywać królewiczem. On jest księciem. Zrozumiałaś?

Co to za różnica? Wiadomo było, o kim mówi. A czy królewicz, czy książę... Mimo to uśmiechnęła się.

– Zrozumiałam.

– Czuje się dobrze. Wyjeżdża. Został sandzakbejem. Wylatuje z gniazda. Wyzwała się od dominacji matki. Jedzie do Konyi. Mój ojciec wyraził zgodę na jego ślub. Niedługo połączy się z ukochaną.

W pierwszej chwili nie zrozumiała. Mruknęła coś niewyraźnie.

– Jak to wyjeżdża?

– Tak. Rzucił się w wir przygotowań.

Zakręciło jej się w głowie. Na drodze, którą wybrała, szybko pojawiły się przeszkody. Jej plan nie pokrywał się z planami sułtana Sulejmana i Hürrem. Sądziła, że po próbie zamachu książę Mehmed pozostanie w pałacu i będzie miała okazję się z nim spotkać.

– Powinnaś go zobaczyć, Nurbanu. Wyleci stąd jak na skrzydłach. Nie wyobrażasz sobie, jak się zerwał, kiedy ojciec polecił mu jak najprędzej udać się do prowincji. Co miłość robi z ludźmi... Człowiek zamierza się na rzeczy, których nie ma w księgach i które nie mieszczą się w głowie. Mehmed w dwa dni ukończył przygotowania. Jutro wyrusza w drogę.

Nie pamiętała dokładnie, o czym jeszcze rozmawiały.

Słowa Mihrimah odbijały się echem w jej głowie: „Wyjeżdża... Niedługo połączy się z ukochaną... Powinnaś go zobaczyć. Wyleci stąd jak na skrzydłach... Co miłość robi z ludźmi...”.

– A dziewczyna? – szepnęła. – A tamta dziewczyna?

– Fülane? Oczywiście, ona też jedzie. Pobiorą się tam. Matka nabrała wody w usta. Powiedziała ojcu: „Nie pojechaliśmy na ślub Mustafy. Jeśli udamy się na zaślubiny Mehmeda, zaczną się plotki. Wojsko też tego dobrze nie przyjmie”. Wyobrażasz to sobie?

Czuła się tak, jakby świat tysiąc razy zwalił jej się na głowę.

Zdjęta bólem Nurbanu myślała jak oszalała. Mężczyzna, którego postanowiła poślubić i uczynić królem, wyjeżdżał. Do tego wpadł w ramiona jakiejś brzydkiej i na tyle głupiej dziewczyny, że będzie spokojnie czekała na dzień, w którym książę sukcesor zabije jej ukochanego.

„I co teraz, Wielki Turbanie? – złorzeczyła w duchu. – Miałam ci dać tron!”.

Gdy dzień dobiegł końca, a barwy nocy okryły morze czarnym tiulem, usiadła na parapecie okna. Wpatrywała się w światła padające na ciemne fale. Nawet jeśli o czymś myślała, to nie zdawała sobie z tego sprawy. Jakby jej dusza i umysł opustoszały. Patrzyła pustym wzrokiem przed siebie. Wszystkie przysięgi, marzenia, plany poszły na marne. Pokonała je miłość dziewczyny, której nawet nie

widziała.

„Pospieszyłam się – żaliła się w duchu. – Zbyt wcześnie rozbudziłam nadzieję. Pospieszyłam się, sądząc, że góry przed moim szczęściem wyrównały się”.

Życie nie było takie jak w marzeniach. Nie wystarczyło upić łyk sorbetu i patrząc w tępe oczy wybranego mężczyzny, pomyśleć: „Bądź gotów, zostanę twoją królową”. Gdy padające na wodę czerwone światło latarni okrętu kołyszącego się na falach zaszło mgłą, zdała sobie sprawę, że to jej oczy wypełniły się łzami. Nawet nie zauważyła, że płacze. Nagle serce ścisnął jej ogromny ból. Ten żal był głębszy niż rozpacz, jaką przeżyła na pirackim galeonie, na który trafiła tej nocy, kiedy została uprowadzona. Wiła się ze złości, z bezradności i powodu goryczy porażki. Łkała żałośnie, utkwivszy wzrok w mroku.

„Dobrze wyrób ciasto, dziecko. Niech drożdże wyrosną”, przypomniała sobie.

– I co teraz będzie, rudobrody koniu trojański? – westchnęła. – A przecież Helena Trojańska miała pomóc Cecilii z Wenecji.

Nagle przestała płakać.

Piękna Helena!

Przypomniała sobie noc, podczas której Hürrem opowiadała jej o radzie, jaką dała jej matka Güldane na łożu śmierci: „Nigdy nie oglądaj się za siebie. Nie czekaj, aż ktoś da ci to, czego pragniesz. Sięgaj po to, wydzieraj, choćby siłą. Trzymaj i nie puszczaj”.

Zeskoczyła z parapetu.

– Me-nek-sze! – zawołała.

Dziewczyna, śpiąca na materacu tuż przy progu, zerwała się na równe nogi. W ciemnościach Nurbanu zobaczyła światło odbijające się w jej oczach.

– Nigdy nie będę patrzeć za siebie. Nie będę czekała, aż ktoś da mi to, czego pragnę. Będę po to sięgać, wydierać, choćby siłą. Trzymać i nie puszczać. – A po chwili dodała: – Idź – powiedziała, widząc tępy wzrok Meneksze. – Idź i przynieś mi coś do jedzenia. Miałam koszmar, ale już minął.

Nie była pewna, czy naprawdę minął, ale przynajmniej wiedziała, że się obudziła. Co powiedziała Hürrem? „Ta droga jest stroma i pełna cierni. Im wyżej się wspinasz, tym jest trudniej. Na każdym kroku czeka pułapka, za każdym zakrętem – niebezpieczeństwo. Kiedy sądzisz, że już się skończyło, zaczyna się od nowa. Gdy powiesz, że ci się udało, zrozumiesz, że nie przebyłaś nawet połowy. W końcu wdrapujesz się tak wysoko, że aby nie spaść, musisz spychać. Ja wybrałam urwistą drogę”.

Ona też tak zrobiła. Wybrała urwistą drogę. Nie było odwrotu. Nieustannie będzie się wspinać. „Matko Mehmeda – odezwała się w duchu – nie martw się. Skoro aby nie spaść, trzeba spychać, tak właśnie będąc robić. Ktokolwiek stanie mi

na drodze”.

Zaczynało świtać.

Mijały miesiące. Rana się zabiłżniła, ale ból i gorycz w jej sercu były coraz większe. „Nie oszukuj się, dziewczyno – powiedziała do siebie pewnego ranka. – Ta sprawa jest skończona. Twój Wielki Turban ożenił się. Nie został ci nikt, z kim mogłabyś dzielić koronę i tron. Przecież nie będziesz spoglądać w stronę ledwo dorosłych od ziemi, młodszych braci Mihrimah. Skończyło się”.

Nie wiedziała, jak i kiedy to się stało. Nie zorganizowano nawet uroczystości weselnych. Może tutaj taki był zwyczaj. Nikogo nie mogła o to zapytać.

– Wiesz – zagadnęła ją pewnego dnia Mihrimah – nasz Wielki Turban ożenił się w Konyi.

I to wszystko. „Wielki Turban się ożenił”.

Rozum zrozumiał, że to koniec, ale serce nie chciało słuchać. Czyli została pokonana? Miała uznać przegraną? A gdzie podziała się jej duma Baffo?! Jaka duma Baffo?! Została jej jakaś duma? Istniała jeszcze Baffo?

Teraz była Nurbanu. Zerwała z przeszłością. Wymazała z serca Wenecję, która miała ją stąd wyciągnąć. Nawet w snach już jej nie widziała. Jej marzeniami sennymi zawiadnęła ciemność. Tylko czasami pośród niej widziała piękną dziewczynę w wianku z rumianków. Biegła po zielonych łąkach, rozświetlając mrok.

– Kim jesteś? – wołała za nią.

Na twarzy dziewczyny pojawiał się uśmiech.

– Nie poznałaś mnie, Nurbanu? Nie wierzę! Jestem Helena. Piękna Helena. Nieszczęsna dziewczyna z Troi!

– Co mi do tego? – buntowała się. – I co z tego? Ja jestem nieszczęsną dziewczyną z Konstantynopola.

Utknęła tutaj. Nie było stąd ucieczki.

Dobrze, ale co zamierzali z nią zrobić? Latami będzie tak siedziała, recytowała przed nauczycielami i nieustannie haftowała?

„Tak – mówił głos w jej wnętrzu, śmiejąc się chytrze. – Tak właśnie będzie. Wielki Turban Mehmed, którego zamierzałaś uczynić królem i zostać jego królową, nieważne, do jakiego piekła się udał, stworzy tam raj razem z ukochaną dziewczyną. A ty zestarzejesz się tu jako przyjaciółka córki żony padyszacha, która będzie ci opowiadać o swoich sekretach”.

Dlaczego Hürrem jej nie wzywała?

– Nie ma nastroju – powiedziała pewnego dnia Mihrimah. – Mój brat Mehmed wyjechał. Oddalił się od stolicy. Matka też chciała, żeby wyjechał, ale nie do Karamanu, tylko do Manisy. Bardzo się boi, Nurbanu. Moja matka bardzo się boi. Syn Gülbahar wciąż jest na swoim miejscu. A gdy jeszcze Mehmed ożenił się z tą dziewczyną...

Coś się działo, a ona o niczym nie miała pojęcia. W ciągu ostatnich dni to właśnie były słowa, które powtarzała najczęściej: „Nie wiem”.

„Głupcze – mówiła jeszcze. – Głupi Wielki Turbanie, miałam włożyć ci na głowę koronę”.

Była samotna, bardzo samotna. A do tego gdzieś w jej wnętrzu czaił się lęk. Nie wiedziała, co się stało, ale bała się. Przeczuwała jakieś powoli zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dnie i noce znów niczym się od siebie nie różniły. Lekcje, lekcje, lekcje. Nieustannie powtarzała słowa, których nie potrafiła wymówić. Opuszki palców miała popękane. Bolały ją od przyciskania strun kanunu i oudu, na którym uczyli ją grać.

Nurbanu miała wrażenie, że lekcje stały się częstsze. Jakby wcześniej nie przykładali tak wielkiej wagi do tego, żeby nauczyła się języka. Pewnego dnia zapytała nauczycielkę, co jest tego przyczyną.

– Tak polecono – odpowiedziała.

– Polecono? Co to oznacza?

– To oznacza rozkaz. Naucz się obu tych słów, dziecko. „Polecenie” to... jak by to powiedzieć...

Reszty nawet nie słyszała. Ktoś rozkazał, żeby dobrze nauczyła się tego języka.

– Kto?

Kobieta dała jej do zrozumienia, że nieładnie tak przerywać. Zmarszczyła czoło, a potem uniosła brwi i oczy.

– Ktoś z góry?

Nauczycielka pokiwała głową.

– Jak bardzo z góry? Kto?

Kobieta nie odpowiedziała.

– Sułtanka Mihrimah?

Pokręciła głową.

– Powiedzcie kto. Chyba nie sułtan?

Nauczycielka znów zaprzeczyła bezgłośnie.

W takim razie pozostała tylko jedna osoba, która mogła wydać ten rozkaz. Ogarnęło ją podniecenie.

– Aleksandr... – Zrozumiawszy swój błąd, natychmiast zamilkła. – Sułtanka Hürrem?

Nauczycielka bez słowa sięgnęła po leżącą przed nią książkę. To oznaczało „tak”. A zatem to Hürrem chciała, żeby lepiej nauczyła się ich języka. Tylko dlaczego?

– Co wam powiedziała?

Kobieta przez chwilę patrzyła na Nurbanu. Widać było, że nie może się

zdecydować, czy jej to zdradzić. W końcu postanowiła to zrobić. Pragnienie żony padyszacha być może zainspiruje dziewczynę do nauki.

– Sułtanka Hürrem poleciła, abym w możliwie *najkrótszym czasie* jak najlepiej nauczyła was naszego języka.

Zdziwiła się. W możliwie najkrótszym czasie? Co to za pośpiech? Po co odaliska, która usycha w tych murach, miałyby się spieszyć? W końcu się nauczy.

– Dlaczego tak powiedziała? Macie jakiś pomysł?

Nauczycielka wzruszyła ramionami.

– Jaki my możemy mieć pomysł, dziecko? – wyszeptała. – My robimy tylko to, czego się od nas oczekuje. Dobrze będzie, jeśli się do tego przyłożycie.

Od tego nieszczęsnego dnia – tak nazywała dzień, w którym dowiedziała się od Mihrimah, że księżę Mehmed spieszy do Konyi w ramiona swojej ukochanej – widziała żonę padyszacha tylko dwa razy. Raz podczas spaceru po ogrodzie różanym, a drugi raz podczas koncertu na wewnętrznym dziedzińcu. Za każdym razem, choć była przy niej Mihrimah, kobieta nie prosiła jej o tłumaczenie. Córka padyszacha też tego nie proponowała.

– Niech ten poranek zwiastuje wam dobry dzień, dziecko.

Boże, co za trudne słowa. Ale знаła ich znaczenie. Może odpowie *buongiorno*? Nie, wysili się.

– Wam też niech zwiastuje doobry dzień.

Na razie tyle umiała. Mimo to twarz Hürrem rozjaśnił uśmiech. Wtedy Nurbanu zauważyła, że mimo że kobieta rozdaje wokół uśmiechy, jest bardzo nieszczęśliwa.

– Dobrze – odezwała się do Mihrimah. – Szybko robi postępy.

Po koncercie zaś Hürrem powiedziała do niej:

– Pewnego dnia będziemy chciały posłuchać ciebie, dziecko.

– *Inszal-lah*.

Ale dlaczego chciała, żeby wszystkiego tak szybko się nauczyła?

To pytanie zadała też Mihrimah. Córka padyszacha wydeła usta.

– Nie wiem. Nikt nie nadaży za matką. Mnie także przestrzegła, żebym nie rozmawiała z tobą po włosku. „Konieczność zapewnia powodzenie”, powiedziała.

Nurbanu, kładąc się spać, myślała o tym, że Hürrem ma rację. Ponieważ była zmuszona, starała się wszystko powiedzieć i zrozumieć w tym nowym języku. Więcej uczyła się od Meneksze niż od swojej nauczycielki. Dziewczyna przez trzy dni niestrudzenie próbowała ją nauczyć wymowy głosek ş i ğ.

– *Beşik*⁴¹.

– *Be-siiik*.

– Nie. *Beşik!*

– Dobrze, przecież tak właśnie mówię. *Bee-zik*.

Po trzech dniach nareszcie jej się udało. Umiała już powiedzieć *beşik*

i şirret⁴².

Jednak w żaden sposób nie mogła wymówić *doğum*⁴³. Co najwyżej wychodziło jej *dookum*... W końcu Meneksze się poddała.

– W porządku. *Dookum*. Pewnie ktoś to zrozumie.

Nawet zapamiętanie tych słów nie wystarczyło, żeby się ucieszyła. Odwróciła głowę do okna. Oglądała taniec cieni, jaki stworzyły na murze liście kołyszące się na wietrze. Przypomniała sobie zabawę w teatr cieni, jakiej nauczyła ją Aleksandra. Ułożyła palce tak, jak jej pokazywała sułtanka, i ustawiła naprzeciwko ściany. Motyl. Gdy poruszyła palcami, motyl poleciał. Później na ścianę padł cień głowy głodnego wilka. Potem...

Jej ramiona opadły na łóżko, a powieki się zamknęły. Być może we śnie znów zobaczy Helenę. Oznajmiłaby jej, że jest zawiedziona. „Przecież miałaś mi pomóc?”. Może zobaczy Rudobrodego. Jemu też miała coś do powiedzenia. „Przecież drożdże miały wyrosnąć?”. Nieustannie wyrabiała ciasto, ale nic nie wyrastało. Co więcej, nie było już nawet ciasta.

Nurbanu stoczyła się w ciemność.

– Posłuchaj uważnie, co ci powiem, dziecko.

Drgnęła pod wpływem tego szeptu. Głos dobiegał znad jej głowy. Czowała nawet oddech na twarzy. Było to takie samo uczucie jak wtedy, gdy nachylała się nad nią Meneksze w pierwszych dniach po tym, jak trafiła do haremu. Jednak to... Dobry Boże, ten głos... Czy to naprawdę mówiła ona? A może to był tylko sen? Lekko rozchyliła powieki. Nie spała. Cienie liści wciąż tańczyły na ścianie naprzeciwko.

– Nie musisz widzieć. Tylko słuchaj.

Natychmiast przymknęła oczy. Naprawdę nie musiała patrzeć. I tak wiedziała kto to. Mój Boże, wiedziała. To ona! Ona!

– Słuchasz mnie, prawda? – zapytała.

Delikatnie pokiwała głową.

– Musisz mi pomóc, dziecko.

Czekała nieruchoma.

– Bez twojej pomocy nie uda mi się. Nie będę mogła ani włożyć sukni, jaką dla ciebie uszyłam, ani korony na miejsce turbanu.

Co miały znaczyć te słowa?

– Sukni, jaką dla mnie uszyłyście?

Dokładnie w chwili, gdy miała wypowiedzieć jej imię, delikatna dłoń zakryła jej usta... Palce były gorące jak płomienie.

– Tak – odetchnęła. – Suknia, jaką dla ciebie uszyłam... Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

Nie zrozumiała, ale pokiwała głową.

– Brawo. Już pierwszego dnia wiedziałam, że jesteś dziewczyną

wystarczająco bystrą, żeby pojąć to, co ci powiem i co chcę zrobić.

Pogłaskała ją po włosach.

– Pomożesz mi, Nurbanu?

– W czym? – Nie mogła uspokoić głosu drżącego ze strachu i z przejęcia.

– We włożeniu korony na turban.

Odebrało jej dech. To z pewnością nie był sen. Słyszała jej głos, czuła na twarzy jej oddech, jej dłoń gładka włosy.

Skinęła głową.

– Jestem gotowa.

Jej głos, jeszcze przed chwilą przypominający jęk, teraz wydawał się jak krzyk.

– Zrozumiałaś, o kim mówię, dziecko?

Oczywiście, że tak.

– Ale co mogę zrobić? Turban nie jest już sam.

Na chwilę przestała czuć oddech na swojej twarzy.

– Co zrobisz? – wyszeptała tym razem. Jej głos był zdecydowany. – Zrezygnujesz z sukni, którą dla ciebie uszyłam? Pozwolisz, żeby włożył ją ktoś inny? Bez ciebie nie będę w stanie włożyć korony na turban. Nie rozumiesz tego?

To dobre pytanie. Czy zgodzi się na to? Przecież miała sięgać po to, czego pragnie. Wydierać, trzymać i nie puszczać.

– Ale co mogę zrobić?

Teraz czuła oddech na czole.

– Bardzo dużo. Wystarczy, że nie pozwolisz komuś innemu włożyć sukni, którą dla ciebie uszyłam.

– Ale ktoś już ją włożył – stwierdziła rozgoryczona Nurbanu.

Szept stał się nagle ostry jak nóż.

– W takim razie spraw, żeby ją zdjął. Weź to, co należy do ciebie. Jak ja, Nurbanu, tak jak ja. Zrozumiałaś?

Pokiwała głową.

– Zrobisz to?

Tym razem potwierdziła bardziej zdecydowanie. „Zrobię!”, wykrzyknęła w duchu. Zrobi to. Nie pozwoli, żeby ktoś inny włożył suknię uszytą dla niej. Zdejmie ją z niego i zabierze.

– Brawo dla mojej dziewczynki.

Na łóżku coś się poruszyło.

Idzie? Nurbanu mimo to nie otworzyła oczu. Usłyszała szelest pościeli.

– Nie zapominaj – wyszeptał głos nad jej głową. – Jesteś boskim, błogosławionym światłem.

– Tym jestem, Hü...

O mały włos, przez nieuwagę, znów wypowiedziałyby jej imię. Na szczęście

gorąca jak ogień dłoń znów zakryła jej usta, a później pogłaskała po policzku i cofnęła się.

Szelest spódnic oddalił się.

– Liczę na ciebie, dziecko – odezwał się głos gdzieś spod drzwi. – Zrzuć turban. Zrzuć go, żeby jego miejsce zajęła korona. Daj potomka z twojego rodu rodowi Osmanów.

Nurbanu się zaniepokoiła. Nie wystarczyło, że ściągnie z dziewczyny suknię uszytą dla niej.

– A tamten?

Z podekscytowania jej głos zabrzmiał ostro. Szelest materiału w jednej chwili ucichł. „Zadałam kluczowe pytanie”, pochwaliła się w duchu. Odkasznęła.

– Ten pierwszy – szepnęła tym razem. – Co z nim będzie?

Usłyszała stłumiony śmiech.

– Życie jest krótkie. Nigdy nie wiadomo, co nas jutro spotka. Bądź cierpliwa!

Nurbanu poczuła, że jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Zrozumiała, co jest przeznaczone Mustafie.

Kobieta znów zaszeleściła spódnicami. Nie było już o czym rozmawiać. Powiedziano i usłyszano wszystko. Drzwi otworzyły się powoli. Sułtanka Hürrem oddaliła się równie cicho, jak się pojawiła. Nurbanu została sama z głośno bijącym w ciemnościach sercem. Poczowała w nim ledwo wyczuwalny ścisk.

Ze strachem otworzyła oczy. Mój Boże! Zatrzęsa się przerażona. „Drzwi zamknęły się same”, pomyślała w panice. Zamknęły się po tym, jak odeszła.

O nie! To znaczy, że ktoś jeszcze tam był. W pokoju albo za drzwiami.

Czyżby to słyszał? Rozmawiały tak cicho, że nawet ona z trudem słyszała słowa kobiety. Jej głos także był zdławiony z zaskoczenia. Gdy nieco podniosła głos, kobieta natychmiast zamknęła jej usta.

Wielki Jezu! Hürrem miała rację. W tym pałacu ściany miały uszy. Czy miały też oczy? Czy Aleksandra słyszała, że ktoś zamknął za nią drzwi? I co z tego, jeśli słyszała? Może myślała, że to ona wstała i je zamknęła.

Dopiero teraz była na niebezpiecznych wodach. O co chodziło temu, kto to słyszał? Pobiegnie i doniesie na nią sułtanowi. I przyjdzie kat!

Przerażona skuliła się w łóżku. Nadstawiła uszu. Usłyszała, że ktoś wielki, starając się, żeby jego zwaliste kroki nie wydały dźwięku, chyłkiem porusza się naprzód.

Czyżby się zbliżał? Za chwilę drzwi się otworzą i wielki jak olbrzym mężczyzna ściśnie ogromnymi palcami jej szyję. A może skończy wszystko, zatapiając w jej sercu sztylet. A może odbiorą jej życie grubym, tłustym powrozem, jak opowiadała jej Mihrimah?

Nagle pojęła. Odchodzi! Tym razem serce zabiło jej z radości. Odgłosy lisich

kroków oddalały się. Gdy wyteńczyła wzrok, dostrzegła, do kogo należały. To był Dżafer. Obrońca Hürrem. Musiał podążać za swoją panią.

Czekała, aż lęk minie, a jej oddech się uspokoi. Pełne napięcia chwile sprawiły, że na czoło wystąpił jej pot. „Boże, wielki Jezu, Najświętsza Panienko”, po kolei wezwała wszystkich. Obróciła głowę do drzwi. Imię kobiety, którego nie pozwoliła jej wymówić, rozbrzmiewało w jej sercu.

„*Zrobię to, Hürrem. Zrzucę turban i założę na głowę twojego syna koronę. Włożę suknię, którą mi uszyłaś. Dam Osmanom potomka z twojego rodu. A ty dotrzymaj słowa, pokaż mi, jakie krótkie dla niektórych potrafi być życie*”.

Była bliska obłędu. I co się stało? Co zmieniło się po tej sekretnej wizycie? Odpowiedź Nurbanu była wciąż taka sama. Nic! Nic się nie stało. Ani nie założyła korony na turban, ani Nurbanu nie odebrała uszytej dla niej sukni.

Dla nikogo życie nie okazało się krótkie. Wszyscy zajmowali się sobą. Przynajmniej jej się tak wydawało. Nikt nie zamierzał opowiadać odalisce, co dzieje się w Konyi i Amasyi. Jednak gdyby ktoś umarł, z pewnością wywołałoby to zamieszanie. Nawet Mihrimah nie wiedziała, ile głów spadło po tym, gdy w łóżku Mehmeda znaleziono skorpiona. Meneksze przejechała ręką po szyi jak nożem.

– Kszyyyt – wydała z siebie dźwięk. – Oho! – Pokiwała głową.

W ten sposób Meneksze mówiła, że spadło ich bardzo wiele.

Czy tamta dziewczyna urodziła Mehmedowi dziecko? Gdyby tak było, Mihrimah pewnie by jej powiedziała. Wprawdzie dziewczyna wyglądała w ostatnich tygodniach na nieobecna myślami, ale mimo wszystko raczej nie ukryłaby przed nią tego, że starszy brat został ojcem.

Niespodziewanie przy Mihrimah pojawił się białobrody mężczyzna. Był stary. On też miał na głowie wysoki, biały turban. Długo rozmawiał z Mihrimah w altance. Rozkładał przed nią różne arkusze i coś jej pokazywał, a córka padyszacha zadawała mu pytania.

– To naczelnny architekt Sinaneddin Aga – wyjaśniła dziewczyna. – Zawiesi dla mnie na niebie kopułę!

Co miało znaczyć „zawiesić na niebie kopułę”? Nic z tego nie zrozumiała. Jednak jedno pojęła. Chociaż mężczyzna bardzo się starał, żeby tego nie pokazywać, ona to zauważyła. W końcu wyrosła ze szkoły miłości Julii Colony.

– Ten mężczyzna cię ko-cha.

Gdy Mihrimah to usłyszała, ze zdziwienia upuściła kryształowy kielich.

– Co? Oszalałaś, Nurbanu? Sinan Aga jest starszy nawet od mojego ojca.

Starszy czy nie, mężczyzna patrzył na nią z miłością. Chyba tylko osmańska dziewczyna, która nie wystawiała nosa z haremu, mogła tego nie dostrzec. Każda dziewczyna w Wenecji potrafiłaby odczytać miłość wypisaną w tych migdałowych, zamyślonych, spoglądających na nią ukradkiem oczach.

To było jedyne, co wydarzyło się od tamtej nocy.

Zrozumiała, że mężczyzna starszy od ojca Mihrimah oddał jej swoje serce. I co z tego?

Z trudem przetrwała poranek po nocy, podczas której odwiedziła ją Hürrem. Spodziewała się, że po tej wizycie z pewnością wydarzy się coś ważnego. Ale nic się nie stało.

Następnego dnia... Następnego tygodnia... Miesiąc później... Cały czas czekała, ale nic się nie działo.

Przestała już powtarzać: „Coś się stanie. Z pewnością coś musi się wydarzyć”.

Zupełnie jakby Hürrem wcale nie przyszła do niej tamtej nocy i jakby tamta rozmowa w ogóle nie miała miejsca. Tymczasem zawarła z sułtanką Hürrem, piękną żoną sułtana Sulejmana, sekretną umowę. Aleksandra miała pozbyć się przeszkód i uczynić swojego syna padyszachem, Nurbanu zaś miała wyrwać Wielki Turban z rąk tamtej dziewczyny.

Ale dlaczego? Gdy się nad tym zastanawiała, zniecierpliwienie zamieniało się w wątpliwość. Przecież kiedy Hürrem pozbędzie się przeszkód – wiedziała, że to oznaczało śmierć, chociaż nawet w myślach nie wymawiała tego słowa – jej syn i tak zostanie padyszachem. Do czego potrzebna jej była pomoc Nurbanu? Dlaczego chciała, żeby to Nurbanu, a nie dziewczyna, którą poślubił, została królową? Czy to nie głupie?

Długo się nad tym zastanawiała, ale w żaden sposób nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. W końcu stwierdziła: „Skąd mam wiedzieć?! Nie lubi tej dziewczyny. Może jest brzydka albo zezowata. Poza tym lubi mnie. Mihrimah sama to powiedziała, widzi we mnie swoją przeszłość. Do tego dawniej ona też wierzyła w Jezusa Chrystusa”.

– Dlaczego? – zapytała Hürrem któregoś dnia.

Gdyby tego nie zrobiła, oszalałaby. Oczekiwała, że zrozumie każde jej ukryte słowo, każdą aluzję. Niech teraz wyjaśni, co miała na myśli, gdy rozmawiała z nią podczas tej tajemniczej nocy.

Hürrem nie oderwała wzroku od swojego zajęcia. Jedynie jej palce zastygły. Nikt tego nie widział, ale Nurbanu zauważyła, że kobieta na krótką chwilę zerknęła na nią spod brwi.

– My – odezwała się, patrząc na siedzącą u jej stóp Merzukę – nie wysłałyśmy nic kobiecie, która miała zostać żoną naszego syna, prawda?

Nie dało się nie dostrzec zdziwienia Tatarki. Jasne było, że kobieta pomyślała: „Skąd nagle wzięło się to pytanie?”.

– Poleciłyście, żeby pod żadnym pozorem nic jej nie wysłać – mruknęła, starając się nie poruszać ustami. – Powiedziałyście, moja sułtanko, że nie macie w zwyczaju posyłać prezentów komuś, kogo nie lubicie.

No właśnie. Nie lubiła swojej synowej.

Hürrem znów wróciła do robótki. Nurbanu była pod wrażeniem inteligencji żony padyszacha. Sama nie udzieliła odpowiedzi, sprawiła, że zrobiła to jej służąca. To właśnie ten umysł pozbędzie się przeszkód stojących przed Turbanem.

Właściwie wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Po tej sekretnej wizycie zmieniło się bardzo wiele.

Przed wszystkim mimo ekscytacji, niepokoju, zniecierpliwienia, żeby wreszcie wydarzyło się to, co ma się stać, odzyskała dawną radość. Na nowo narodziła się w niej nadzieja, która jak sądziła, już umarła.

To była sprawka pięknej Heleny. Musiała dalej wyrabiać ciasto.

Zatem to właśnie robiła.

Dosłownie wychodziła z siebie, żeby przypodobać się Hürrem i Mihrimah. „To takie proste? – mówiła do siebie nocami, chichocząc. – Jedna to moja przyszła teściowa, a druga szwagierka”.

Teraz już każdy dzień spędzały razem. Sułtanka Hürrem znów sprawdzała Nurbanu. Sama również dodawała coś do tego, czego się nauczyła.

Na wieczorne koncerty także ją zapraszano. Nurbanu śpiewała pieśni w swoim języku.

Pewnego wieczoru Nurbanu zrobiła jej niespodziankę. Od miesiąca przygotowywała ją z Mihrimah. Kiedy Hürrem powiedziała: „Śmiało, dziecko, teraz ty coś zaśpiewaj”, wzięła oud od jednego z muzyków i oparła na kolanach. Delikatnie szarpała struny piórkiem. Z początku jej palce ociężale poruszały się na gryfie, ale szybko odzyskała lekkość. Powoli zaczęła grać jedną z ulubionych pieśni. Po chwili rozległ się jej głos.

Cóż to, że splonę w ogniu miłości,

Za cień twego uśmiechu oddam życie.

Cóż to, że twe rzęsy przebiją mi serce,

Żeby imię twe wspomnieć,

odchodząc, oddam życie.

Na chwilę spotkała się wzrokiem z Hürrem. Widać było, że przepełniają ją radość i szczęście. Z pewnością miała przed oczami małą Aleksandrę Anastazję śpiewającą sułtanowi Sulejmanowi. A teraz śpiewała królowa, wybrana dla jej syna, którego uczyni królem.

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta, a głos Nurbanu powoli cichł, podniosła się z miejsca i długo klaskała.

– Dziękuję. Dziękuję, dziecko. Trochę czasu minęło, odkąd tu przybyłaś, ale

zostawiłaś w tyle wszystkie panny w pałacu. Nasze pieśni pasują do twoich ust.

„A teraz ukłoń się, jak należy, i pozdrów żonę padyszacha – powiedziała sobie w duchu Nurbanu. Natychmiast się jednak poprawiła: – Ach, przepraszam, przyszłą teściową”.

– Wam też dziękuję, Mihrimah – odezwała się Hürrem. – Nadałaś Nurbanu piękne imię. Przybliżcie się, żebym mogła was obie ucałować.

Najpierw pocałowała Mihrimah, a później jej wargi dotknęły czoła Nurbanu. Odsuwając się, szepnęła do niej:

– Bądź cierpliwa!

Łatwo powiedzieć „bądź cierpliwa”. Cierpliwość oznaczała siłę. Serce podchodziło jej do gardła, ilekroć docierały jakieś wieści z Konyi. A jeśli przybędzie posłaniec z dobrą wiadomością i przekaże Hürrem, że jej synowa jest brzemienna, to co wtedy zrobi?

Minął już prawie rok, odkąd jej król wyjechał. Wciąż nie było wieści o dziecku. Czyżby któreś z nich było bezpłodne? Czy to Mehmed nie mógł mieć dzieci? To nie pasowało do jej planu. Koniecznie musiała urodzić Wielkiemu Turbanowi syna. Na pewno ta dziewczyna była jałowa. W przeciwnym razie już dawno zaszłaby w ciążę. „Niech tak zostanie, Boże – mówiła w duchu. – Niech tak zostanie. Nie dawaj jej potomstwa”.

Tego ranka córka padyszacha wyszła z nią do ogrodu. Mihrimah szła krok przed nią. Drzewa przywdziały biało-różowe suknie. W ogrodzie powiewał ciepły wiosenny wiatr.

Z jakiegoś powodu Mihrimah nie usiadła w altanie w ogrodzie różanym, którą tak lubiła. Zostawiła tam swoje damy dworu.

– Chodź – zwróciła się do Nurbanu – przejdziemy się.

Teraz pod drzewami wpatrywały się w rozciągające się przed nimi bezkresne niebo.

Mihrimah się zamyśliła.

– O czym myślisz? Odpłynęłaś.

– O morzu – odparła cicho Mihrimah. – Morze zawsze przypomina mi o rozstaniach.

Nagle głos i wyraz twarzy dziewczyny zaniepokoiły Nurbanu. Rozstanie? Skąd przyszło jej to do głowy?

– Rozstanie?

– Tak.

Nurbanu stanęła przed młodą sułtanką, która próbowała uciec od niej spojrzeniem.

– Co się dzieje, Mihrimah? Co to za mina? Dlaczego właśnie teraz wspomniłaś o rozstaniu? Wyjeżdżasz? Ty też bierzesz ślub? I to z tamtym mężczyzną?

Mihrimah uśmiechnęła się sztucznie.

– Nie ja, moja droga. To ty wyjeżdżasz.

Nurbanu nagle nie była w stanie określić, co czuje. Nie wiedziała, co powiedzieć. Co to miało znaczyć? Oddawali ją komuś? Wyrzucali ją z pałacu? Czyżby ten drzemiący w niej lęk zamieniał się w rzeczywistość? Co powiedziała Mihrimah? Czyż nie mówiła, że wydają odaliski za mąż? Działo się coś takiego? Ale jak to? Przecież zawarły z Hürrem sekretne porozumienie. Miała założyć Turbanowi koronę i odebrać suknię, którą Hürrem uszyła dla niej, a którą włożyła tamta dziewczyna.

– Hej, co się dzieje? – zapytała Mihrimah, widząc niepokój na twarzy Nurbanu. – Bardzo pobladłaś.

Co się działo? Umierała. Robiła się to blada jak ściana, to purpurowa.

– Dokąd?! – wykrzyknęła. – Dokąd mnie wysyłacie?

– Do Konyi. Moja matka podarowała cię Fülane Hatun, żonie mojego brata Mehmeda. Jesteś prezentem ślubnym! Jedziesz do Karaman!

Gdyby Mihrimah nie trzymała jej za ręce, z radości uniosłaby się w powietrze. Była tego pewna.

XXIX

Konya

Pałac sandżakbeja w Karaman

Mimo że odpoczywała już prawie tydzień, bolały ją wszystkie kości. Właściwie zamierzała natychmiast przejść do działania, ale wielce zatroskana o nią tęga kobieta poleciła jej odpocząć. Tak naprawdę nie wiedziała, co zrobić, od czego zacząć. Jedyne, co знаła, to sztuka uwodzenia, której nauczyła się od Julii i którą sama doskonaliła w salach balowych. Rozmarzone spojrzenia, westchnienia, wyduęcia ust, język prześlizgujący się po dolnej wardze... Te zabiegi z pewnością działały na mężczyzn w Wenecji, ale nie wiedziała, jakie skutki mogą wywołać tutaj. Szczególnie na głupcu, który zaślepiony miłością, nie zważał ani na matkę, ani na ojca, ani na tron czy koronę. Było jej na rękę, gdy powiedziano: „Odpocznij. Damy ci znać, kiedy twoja pani cię wezwie”. W tym czasie obmyśli plan.

Droga ciągnęła się bez końca. Szczególnie gdy wjechali na te bezkresne stepy. Nie ominęli żadnej muldy i żadnego dołka. Razem z Meneksze nieustannie podskakiwały w środku powozu. Poza tym się bały. Dziewczyna starała się wyglądać radośnie, ale Nurbanu wiedziała, że wcale tak się nie czuje. Najbardziej przestraszyły się, gdy wieczorem, na szczycie opustoszałego wzgórza złamało się koło powozu. Jechały niewielkim konwojem składającym się z dwóch pojazdów. Jednym powozem podróżowała razem z Meneksze. Z Meneksze, która na jej słowa: „Jedziemy do Konyi”, zalała się łzami. Niemądra. Oczywiście, nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ta droga. Skąd miała wiedzieć, że uczyni z niej damę dworu królowej?

Drugi powóz pełen był rzeczy pospiesznie przygotowanych z rozkazu sułtanki Hürrem. Podarowała jej atlasową kołdrę i gruby, wełniany materac. Odkąd tej nieszczęsnej nocy, gdy w łóżu Mehmeda znaleziono skorpioną, napoiła go sorbetem, była zasypywana prezentami. Następnego ranka przyszła broszka wielkości dłoni od sułtana Sulejmana. Nie wiedziała nawet, jak nazywają się klejnoty, które ją zdobiły. Ale sądząc po blasku, które każdy z nich roztaczał w słońcu, były bardzo cenne. Diamenty, brylanty, szmaragdy... „Skoro lubisz zieleń”, powiedziała jej Hürrem, ofiarowując naszyjnik z trzech rzędów szmaragdów. Mihrimah zaś podarowała jej swoją rubinową igłę.

Dla Meneksze też były przewidziane wszelkie wygody. W powozie znajdowały się kołdra i łóżko dla niej. Dziewczyna jednocześnie cieszyła się i powtarzała: „To nie jest dobry znak”.

Nurbanu spakowała do skrzyń wszystkie uszyte dla niej suknie, bluzki, szarawary i kaftany i załadowała je do powozu. W jednej z nich znajdował się też kaftan na całej długości obszyty lisimi futrami, który ostatniego dnia podarowała jej Hürrem, wysyłając do niej Merzukę. Widząc zaskoczenie dziewczyny, Merzuka

odezwała się do niej ze śmiechem:

– A czego się spodziewałaś? Jako prezent wielkiej sułtanki Hürrem nie możesz stanąć przed jej synową ubrana jak pospolita odaliska.

Kiedy pękło koło, utknęli.

– Tutaj spędzimy noc – powiadomił je przystojny mężczyzna dowodzący towarzyszącym im oddziałem kapykułów⁴⁴. – Naprawimy to dopiero jutro.

Siedziały zamknięte w powozie, wsłuchując się w wycie wiatru. Żołnierze rozpalili wielkie ognisko i zebrali się wokół niego. Szykowali dla nich posiłek. Dochodził do nich oszałamiający zapach pieczonego mięsa. Dzięki temu Meneksze choć na chwilę mogła zapomnieć o strachu i przestać powtarzać:

– A co będzie, jeśli napadną nas zbójcy?

W końcu oznajmiła:

– Jestem taka głodna, że mogłabym nawet zjeść te wilki i szakale.

– Wilki? Jakie wilki, jakie szakale?

Meneksze spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Nie słyszysz ich? Wsłuchaj się, jak wyją. Bestie na pewno zwietrzyły zapach mięsa.

Dopiero wtedy Nurbanu usłyszała odbijające się echem pośród nocy złowróżbne wycia przyprawiające o gęsią skórę.

– Te wilki tu nie podejda, prawda? – zwróciła się do żołnierza, który przyniósł im jedzenie, uchylając zasłaniającą okno skórzaną kotarę.

Gdy Meneksze odbierała posiłek, przez szparę Nurbanu dojrzała parę kruczcoczarnych oczu, duży nos i gęste, zadarte do góry wąsy.

– A od czego my tu jesteśmy? Gdy tylko poczują zapach żołnierzy, szukają dziury, w której mogą się schować.

Nocą Meneksze i Nurbanu przylgnęły do siebie, próbując wzajemnie się ogrzać. Do świtu żadna z nich nie zmrużyła oka. Siedziały tak, wsłuchując się w symfonię wilków.

– Ale to wielki kraj – mówiła Nurbanu podczas ciągnącej się w nieskończoność podróży. – Jesteśmy w drodze już pięć dni, a wciąż nie dotarliśmy do celu.

Wenecję można było przemierzyć w dwa, trzy dni.

Sama myśl o tym sprawiała, że Nurbanu była podekscytowana. „I tak, dziewczyno, zostaniesz królową kraju, który nie ma początku ani końca – mówiła do siebie. – Gdy na jednym jego krańcu słońce wschodzi, na drugim dzień chyli się ku zachodowi”.

Dopiero siódmego dnia przed wieczorem oficer jadący konno przy powozie wykrzyknął:

– Konya! Przybyliśmy do sandzaku księcia Mehmeda Chana.

Teraz tu była. W miejscu, gdzie założy koronę na turban. W miejscu,

w którym odbierze uszytą dla niej królewską suknię dziewczynie, która próbowała ją ukraść.

Była dokładnie tam, gdzie powinna się znaleźć.

Tu przebywał Wielki Turban. Może był tuż za tymi murami. Oczywiście jego żona też. Pewnie gdy Nurbanu leżała tu owinięta atlasową kołdrą od sułtanki Hürrem, jego żona spała, obejmując Mehmeda. A jeśli była w ciąży?

Wiadomość nadeszła szóstego dnia. Prawie straciła cierpliwość.

– Przygotuj się, staniesz przed Fülane Hatun.

Na szczęście była przy niej Meneksze. Gdyby dziewczyna, zrozumiałwszy, co jej chodzi po głowie, nie powstrzymała jej, mogłaby od razu udusić służącą, która przyniosła wiadomość. Albo wykrzyknąć: „Kim ona jest, że mamy przed nią stawać?”.

Przede wszystkim Fülane była niechcianą synową, ona zaś synową upodobaną przez Hürrem. Była przyszlą królową Imperium Osmańskiego!

Spokojnie czekała, aż Meneksze ją przygotuje i wystroi. Nie odezwała się nawet wtedy, gdy dziewczyna rozczesywała jej włosy, co chwila pociągając za jakiś kosmyk. Pozwoliła, żeby wszystko zrobiła tak, jak należy. Na koniec Meneksze okryła ją przepięknym tiulem obszytym pasami czarnego aksamitu ozdobionymi zielono-czarnymi świecidełkami. Włosy upięła jej szpilką z wielkim szmaragdem, którą podarowała jej Hürrem. Zrobiła krok w tył i podziwiała swoje dzieło.

– Tfu, tfu, tfu, niech Bóg chroni cię przed złym spojrzeniem. Niech oślepie ten, kto źle na ciebie spojrzę.

Kiedy znów otwarto drzwi, była gotowa. Tęga kobieta, która pierwszego dnia poleciła jej, żeby odpoczęła i czekała na wezwanie swojej pani, szła przodem, ona zaś ruszyła za nią.

Ciekawe, jaką dziewczyną jest Fülane.

Na pewno jest brzydka. Powinna być kulawa, zezowata i jednoręka.

„Nie mów głupstw – skarciła się. – Gdyby była brzydka, książę by się w niej nie zakochał”.

Może Wielki Turban nie widział wyraźnie, gdy miłość przesłoniła mu oczy.

Przeszły przez ogród pełen róż w najrozmaitszych kolorach, które roztaczały wokół wspaniałą woń. Później weszły na dziedziniec. Choć z jednej strony pochłaniały ją te przemyślenia, z drugiej – uważnie obserwowała wszystko wokół siebie. Osoba, którą przede wszystkim chciała zobaczyć, mogła pojawić się w każdej chwili. Powinna być na to gotowa. Musi nim wstrząsnąć od pierwszego wejrzenia, odebrać mu zmysły, oszołomić go.

„Gdzie jesteś? Pokaż się. Przybyła twoja królowa, która osadzi cię na tronie twojego ojca!”.

Ale książę się nie pokazał. Jedyne, co widziała, to toczące się przed nią jak

koło młyńskie biodra kobiety idącej przodem. Weszły do jakiegoś budynku. Gdy dotarły na piętro, kobieta z trudem oddychała. Jej pierś podnosiła się i opadała.

A jak się czuła Nurbanu? Czekala na nią jej rywalka. Być może powinna być podekscytowana, tymczasem była bardzo spokojna.

– Poczekaj tutaj – wydyszała kobieta. – Przyjdą po ciebie.

Na co ma czekać? Co za nadęte stworzenie z tej Fülane!

Mimo to czekała, myśląc: „Już niedługo nadejdą dni, kiedy to ty będziesz czekać, żeby paść mi do stóp”.

– Tędy.

Ruszyła za czarnoskórym służącym, który pojawił się znienacka. Przemierzali korytarz, który nie miał końca. Teraz Nurbanu chodziła w sposób, który wielokrotnie wpajały jej Hürrem i Mihrimah. Szła na palcach, jakby płynęła, jak młoda dziewczyna z historii Aleksandry.

Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami.

– Poczekaj.

Paź odwrócił się, nie zważając na iskry sypiące się z oczu Nurbanu. Powoli uchylił drzwi. Powiedział coś do kogoś w środku, po czym nieco bardziej pchnął drzwi i zrobił jej przejście.

Nie spieszyła się. Czekala. Kiedy będzie zwlekać, wszystkie głowy zdążą się odwrócić. Wszyscy powinni być jej ciekawi. Dopiero potem z królewską manierą powinna wślizgnąć się do środka i usłyszeć pełne podziwu westchnienia.

Zlekceważyła ponaglący gest pałacowego pazia. Opanowała oddech. Na twarzy przybrała maskę Cecylia Baffo. Teraz była gotowa. „Dalej – powiedziała do siebie. – Idź. Zobacz tę biedaczkę, której odbierzesz męża. Przytłocz ją swoją urodą. Niech zrozumie, jak brzydka i bezradna jest przy tobie”.

Uniosła głowę, odrzuciła do tyłu włosy okryte zielonym woalem, wyprostowała ramiona i ruszyła wyniośle.

Paź zdziwił się na ten widok. Jakby nie przechodziła przed nim dama dworu, podarowana w prezencie jego pani, ale królowa. Odruchowo się uklonił.

Znajdowała się dokładnie naprzeciwko niej. Siedziała ze splecionymi nogami na rozłożonym na podłodze materacu. Niestety była pochylona, więc Nurbanu nie mogła dostrzec jej brzucha. Odziana była w biel. Miała na głowie ten głupi, spiczasty *hotoz*. Boże, co w niej podobało się księciu? Ruszyła w jej stronę.

Fülane patrzyła na nią. Uważnie przyglądała się prezentowi ślubnemu, jaki wysłała jej teściowa po prawie dwóch latach małżeństwa.

„Jest bardzo piękna”. W jednej chwili obie dziewczyny pomyślały to samo.

Nurbanu zrozumiała, że gdy tylko zobaczyła dziewczynę, niesłusznie zastanawiała się, co spodobało się w niej księciu. Wyobrażała sobie Fülane jako brzydką, kulawą, zezowatą, jednoręką, a nawet łysą, więc była wstrząśnięta, gdy zobaczyła, że nie jest szkaradna tak, jak sobie tego życzyła.

Fülane natomiast przez chwilę poczuła, że zapało jej dech na widok urody dziewczyny przesłanej jej przez teściową. Była zbyt piękna. Nie wyglądała jak dama dworu, ale jak królowa. Jej jako pani domu wypadało odezwać się pierwszej.

– Wypoczęłyście?

– Nie czułyśmy się zmęczone, gdyż chcieliśmy jak najszybciej się z wami zobaczyć.

Te wypowiedziane z wyższością słowa zaniepokoiły żonę księcia Mehmeda.

– Tak bardzo chcieliście rozstać się z naszą teściową?

Proszę, otwarty atak.

– Ależ nie – zaszcebiotała Nurbanu. – Wręcz przeciwnie, nie mogliśmy się doczekać, żeby wypełnić obowiązek, który powierzyła nam sułtanka matka.

Znajdowały się w dziwnej sytuacji. Żona księcia Mehmeda siedziała na podłodze, a Nurbanu stała. Dziewczyna, rozmawiając z nią, unosiła głowę, Nurbanu zaś odpowiadała jej, patrząc z góry. W końcu Fülane zauważyła, że to nie jest dla niej korzystne. Podniosła się pospiesznie i skierowała do stojącej w rogu sofy. Nurbanu wyteżyła uwagę. Po brzuchu żony Mehmeda nic nie było widać. Poczła radość. Kobieta nie była brzemienna. Może nawet nie mogła mieć dzieci. Wtedy Mehmed się od niej odwrócił. Co miał zrobić z kobietą, która nie obdarzy go potomstwem?

Fülane, usadowiwszy się na sofie, zwróciła się do niej:

– Wy także usiądźcie.

Wskazała w stronę, gdzie siedziały w rzędzie damy dworu.

„Ty świnió!”. Pokłoniwszy się delikatnie, popłynęła z gracją w tamtą stronę i usiadła na samym przedzie. Wiedziała, że wszystkie damy dworu i oczywiście żona Mehmeda śledziły każdy jej ruch. Dziewczęta już teraz zaczęły trącać się łokciami i szeptać coś między sobą.

– Ładna ta dziewczucha.

– Nie umywa się do Fülane Hatun.

– Co z tego, że jest ładna?

– Pewnie, co wziął, to wziął, co umknęło, to umknęło.

– Patrzcie ją, jaka pewna siebie.

Fülane, jako dobrze wychowana panna, wiedziała, że to do niej należy poprowadzenie rozmowy.

– Tak. Co ja takiego mówiłam?

– Poleciliście, żebym i ja usiadła.

To była jawna drwina. Wśród dam dworu rozległy się pomruki. Wiedziała też, nawet na nią nie patrząc, że twarz Fülane zrobiła się cała czerwona.

– Oczywiście nie to miałam na myśli. Powiedzieliście, że nie mogliście się doczekać, żeby wypełnić obowiązek, który powierzyła wam moja teściowa, czyż nie?

– Dobrze pamiętasz, pani. Tak powiedziałam.

Kobieta starała się uśmiechnąć i wyglądać radośnie.

– Cóż to za obowiązek, który powierzyła wam nasza matka Hürrem?

„Gdybyś to wiedziała, oszalałabyś ze strachu”.

– Zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić synowej mojej pani spokój i szczęście.

Ta odpowiedź rozproszyła chłodną atmosferę panującą w komnacie.

– Dziękuję. Natychmiast napiszemy do naszej teściowej list, wyrażając naszą radość z prezentu i jej życzeń.

Nurbanu delikatnie pochyliła głowę.

– Z tego, co słyszałyśmy, pochodzicie z weneckiego rodu.

– Od ponad dwóch lat należymy do Imperium Osmańskiego.

– Macie na imię...

– Nurbanu.

– Ach, tak. Tak mówili. Zdaje się, że moja bratowa nadała wam imię. Słyszałam, że Mehmed o tym wspominał.

Wspominał o niej żonie? Nagle ogarnęło ją poruszenie. Co takiego jej mówił? Jak o niej opowiedział? Z pewnością Wielki Turban nie powiedział: „Jest tysiąc razy piękniejsza od ciebie”.

– Szybko nauczyłyście się naszego języka. Wprawdzie trochę... Jak to powiedzieć...

– Natychmiast zauważyłyście, pani. Oczywiście, język trochę nam się płacze. Sułtanka Mihrimah bardzo się śmiała z naszych błędów.

– Popełniacie błędy?

Z tonu głosu kobiety i wyrazu jej twarzy zrozumiała, że nie mówi o niepoprawnej wymowie, ale nie dała się zbić z tropu.

– Ależ oczywiście – odpowiedziała spokojnie, uśmiechając się. – I to ile. Wciąż jest wiele słów, których nie potrafimy wymówić. Sądzę, że gdybyście wy, pani, nauczyły się mojego języka, robiłybyście równie dużo błędów.

„Ha! Masz za swoje”, odcięła się.

Fülane spojrzała na nią, mrużąc oczy. Ani trochę nie polubiła tej dziewczyny. Czego innego mogła spodziewać się od swojej teściowej? Prezent Hürrem, która od dwóch lat miała ją za nic i zrobiła wszystko, żeby zapobiec ich małżeństwu, nie był wenecką różą. Przesłała jej kolce. Kto wie, co wyszeptwała dziewczynie do ucha. Jednak nie mogła też wyrzucić prezentu matki Mehmeda. Ponieważ była podarkiem od sułtanki, musiała umieścić ją na honorowym miejscu. Zresztą dziewczyna od razu usiadła na samym przedzie.

– Mniejsza o to – ucięła. – Mianowałyśmy was pierwszą damą dworu. W Konyi panują nieco inne obyczaje. Musi minąć trochę czasu, zanim się ich nauczysz.

– Możecie być pewne, że nie zajmie mi to długo.

Fülane się wyprostowała.

– Tak, ale – odezwała się cicho – macie poważne utrudnienie.

– Doprawdy? Czy mogę zapytać jakie?

– Konya to miasto Mevlany⁴⁵. Oświeśla je światło islamu, oczyszcza go wiara muzułmanów. Wy przecież jesteście...

Nie dokończyła. Wszyscy wiedzieli, co miała na myśli. Podniosła się i zniknęła za bocznymi drzwiami.

Nurbanu przez chwilę siedziała nieruchomo. „Wy przecież jesteście giaurem”, dokończyła za Fülane. O tym nie pomyślała. „Miej się na baczności, dziewczyno – powiedziała do siebie. – Twój wróg nie jest tak głupi, jak myślałaś”.

Sekretna wojna trwała z całą swoją mocą. Fülane była zimna jak lód wobec Nurbanu, prezentu od teściowej. Wenecjanka zaś czuła się jak napięty łuk gotowy do wypuszczenia strzały.

Fülane podjęła stosowne środki, żeby nie spotkała się z jej mężem. Nurbanu natomiast usilnie wypatrywała księcia. Minęły cztery miesiące, odkąd przybyła do pałacu w Konyi, a tymczasem nie tylko nie widziała twarzy Mehmeda, ale nawet jego turbanu.

Wciąż myślała o słowach, jakie usłyszała pierwszego dnia: „Macie poważne utrudnienie. Wy przecież jesteście...”. Była giaurem.

Jak miała zostać królową? Jak widać, Hürrem i Mihrimah też o tym nie pomyślały. W przeciwnym razie na pewno poruszyłyby tę kwestię. Przecież Mihrimah, chichocząc, opowiedziała jej kiedyś o tym, jak jej matka, zmieniając religię, zmusiła ojca do ślubu...

„Głupia! Głupia!”. Jak mogła nie zrozumieć znaczenia tych słów? Tymczasem Mihrimah otwarcie jej o tym powiedziała. Jednak Nurbanu myślami była gdzie indziej. Była tak zajęta szukaniem księcia, z którego uczyni dla siebie króla, że w ogóle nie przywiązała do tego wagi.

Co teraz zrobi? Kogo się poradzi? W tym pałacu każdy widział w niej wroga. To wszystko za sprawą Fülane. Ale ona jeszcze nie zdawała sobie sprawy, co to znaczy mieć wroga. „Przekonamy się, Fülane, co zbierzesz z pola, na którym zasiałaś wrogość”.

Była niespokojna, niecierpliwa i głodna zwycięstwa. Jeśli Hürrem prześle jej wiadomość, pytając: „Co się dzieje? Czy założysz koronę na turban?”, nie będzie wiedziała, co jej odpowiedzieć.

Był jeszcze ten dziwny, pałacy jej wewnątrz dźwięk. Gdy nadchodził wieczór, gdzieś z zakamarków pałacu niósł się cienki, przyprawiający o drżenie dźwięk.

– Ney⁴⁶ – nazywała to Meneksze. – Ktoś gra na flecie.

Niech sobie gra, ale jej serce płonęło.

Jak ma się zbliżyć do Mehmeda? Jak ma się pokazać?

– Widziałyście kiedyś *sema*⁴⁷? – zapytała pewnego dnia niespodziewanie Fülane, a zaraz potem pchnęła ją sztyletem. – Ach, co ja mówię. Gdzie miałybyście to zobaczyć, prawda? Przecież jesteście...

„Jestem giaurem. Tak, jestem giaurem!”

– *Sema*? Co to takiego? Nie widziałam.

– Dalej, dziewczęta. – Fülane klasnęła w ręce z udawaną radością. – Niech któraś z was pobiegnie i przekaże wiadomość mewlewitom. Niech się przygotują. Wieczorem chcę pokazać *sema* podarkowi naszej teściowej. Przecież jest...

Słuchająca rozkazu dama dworu pokiwała głową.

A Nurbanu dokończyła zdanie wroga:

– Przecież jestem giaurem.

Fülane zamarła w bezruchu. Spojrzała na nią z niedowierzaniem. Później znów klasnęła w ręce.

– Ach tak. Jesteście takie bezpośrednie.

Zdawała sobie sprawę, że w jej życiu otworzyła się nowa karta.

Taniec, który nazywano *sema*, oczarował ją. Nieustanne obracanie się w rytm tej niewiarygodnej muzyki trzech mężczyzn odzianych w biel...

– Zupełnie jakby z ziemi wznosili się do nieba – odezwała się cicho do siedzącej obok niej Fülane.

Kobieta nie omieszkała wtrącić przemądrzałej uwagi.

– Tak właśnie jest. Spójrzcie, jedną ręką wskazują ziemię, druga otwiera się ku górze. Czego to znak?

– Czego to znak?

– To znaczy, że przybyliśmy z ziemi i zmierzamy do Boga. Przybyliśmy z ziemi, jesteśmy gośćmi na tym świecie, a nasza dusza wzniesie się do nieba, do Boga.

Nie potrzebowała tłumaczeń żony Mehmeda. Była jak zaklęta. To była magia. Rytuał. Nie pamiętała, żeby coś tak bardzo wzruszyło ją w kościele. Nagle przed oczami ukazała jej się *çektiri* Rudobrodego. Przypomniała sobie, jak korsarze, skierowani twarzą do słońca, oddawali pokłony podczas ceremonii pożegnalnej swoich poległych towarzyszy. Nie było tam nikogo grającego na flecie, ale miała wrażenie, że słyszy hymn śpiewany urzekającym głosem przez siedzącego na przedzie czarnobrodego mężczyznę w czarnym stroju. Teraz była tak samo poruszona jak tamtego ranka, kiedy zdumiona i oczarowana postanowiła, że więcej nie będzie nazywała ich niewiernymi.

– Kobiety też mogą to robić?

Fülane z trudem powstrzymała się od śmiechu.

– Nie sądzę, żeby było to dozwolone. Nigdy nie słyszałam o kobiecie wykonującej *sema*.

– To zabronione?

– Nie wiem. Należałoby zapytać hodżę efendiego. Może Mehmed też to wie. On też wykonuje *sema*.

Głupia dziewczucha. Właśnie udzieliła jej podpowiedzi, której szukała od miesięcy. Nurbanu już wiedziała, jak dotrze do Mehmeda. Wymyśliła też, jak pozbędzie się największej przeszkody i jak odbierze tę broń z rąk Fülane drwiącej z niej: „Przecież jesteście...”.

Tej nocy uklękła i oparła łokcie na brzegu łóżka, jak to robiła w dzieciństwie.

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie – zaczęła – znasz moje myśli. Jeśli nie wybaczysz mi tego, co zamierzam, nie pozwól mi tego zrobić, lecz jeśli jestem na dobrej drodze, pomóż mi.

Meneksze weszła do środka cała w skowronkach, wymachując torbą.

– Przyniósł to posłaniec ze stolicy. Powiedział, że to dla pani Nurbanu.

Wyjęła ze środka list i purpurową sakiewkę.

Sakiewka Aleksandry. „Jeśli prześlę ci sakiewkę, wiedz, że niebezpieczeństwo czyha w pobliżu. Nie tracąc czasu, stań przed księciem Mehmedem i przekaz mu moją sakiewkę. On będzie wiedział, co z tym zrobić”.

A więc znów była na niebezpiecznych wodach. Wcisnęła sakiewkę pod poduszkę. Tym razem była w niebezpieczeństwie z kimś jeszcze – z Mehmedem.

Natychmiast musi przekazać mu sakiewkę. Ale jak to zrobić? Do tej pory nie widziała jeszcze nawet czubka nosa Wielkiego Turbanu.

Co mogło być w sakiewce? Przez chwilę chciała ją otworzyć i sprawdzić, ale w końcu się powstrzymała. Sułtanka Hürrem z pewnością nie wysłałaby przez posłańca listu, w którym jasno określiłaby, co jest niebezpieczeństwem. Cokolwiek napisała, z pewnością było zaszyfrowane, a szyfr znał tylko Mehmed.

Zamyśliła się. Starła się zrozumieć, jakie niebezpieczeństwo się zbliża. Nie mogła tego pojąć. Jedyne, co musiała zrobić, to sprawić, żeby sakiewka trafiła do adresata, nikomu nie zdradzając, że to podarek od matki Mehmeda.

Ale jak?

Nagle przypomniała sobie o liście, który znajdował się w torbie posłańca. Był od Mihrimah. Zapomniała o nim przez przesyłkę Hürrem. Pospiesznie złamała pieczęć, mając nadzieję, że w liście Mihrimah znajdzie jakąś wskazówkę, ale nie tam takiego nie było.

Nie udało mi się. Stało się. Wyszłam za mąż.

Na chwilę zapało jej dech w piersiach. Zatem Hürrem dla władzy w końcu poświęciła córkę. Jej serce wypełnił ból.

Ojciec nie jest szczęśliwy. Nie uwierzysz, ale matka też nie wygląda na wesolą. Jednak oboje prześcigają się w tym, żeby sprawiać wrażenie pogodnych. Nawet nie pytaj o mnie. Tylko mój mąż unosi się pod niebo z radości. Rüstem jest

teraz trzecim wezyrem. Nie zdziw się, jeśli niedługo usłyszysz, że został wielkim wezyrem. Bardzo za Tobą tęsknię. Szkoda, że Cię tu nie ma.

Wiele razy czytała ten list. W każdym słowie próbowała znaleźć jakieś ukryte znaczenie. Wiele godzin później mruknęła ze złością:

– Nie ma tu żadnego szyfru. Szyfr jest w sakiewce!

Teraz musiała dotrzeć do Mehmeda.

– Muszę porozmawiać z sandżakbejem.

Fülane oniemiała na dźwięk głosu Nurbanu.

– Powiedziałyście, że musicie z nim porozmawiać?

– Dobrze słyszałyście, pani. Musimy porozmawiać z naszym księciem.

„Jeśli coś ci prześlę, idź do Nigar – poradziła Hürrem. – Powiedz jej o swoim zmartwieniu, a Nigar znajdzie na nie lekarstwo”.

Dlatego Nurbanu najpierw poszła do niej. Nigar była żoną Ibrahima, jednego z książęcych koniuszych.

– Muszę spotkać się z księciem. Jednak jego żona tego nie chce. Księżę też nie patrzy mi w twarz.

– Idź i powiedz swojej pani, że musisz porozmawiać z Mehmedem Chanem.

– Sprzeciwi się.

– Nie może. Komu poddani mają mówić o swoich potrzebach? Takie jest prawo. Nawet sułtan Mehmed Zdobywca wysłuchiwał swoich poddanych. Miałyby to zmienić synowa sułtana Sulejmana?

Dzięki tej radzie Nurbanu zapędziła Fülane Hatun w kozi róg.

Tej nocy zmuszona była powiedzieć mężowi zatroskanym głosem:

– Podarek twojej matki chce się z tobą widzieć.

Mehmed zdziwił się, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Kto?

– Wiesz, o kim mówię. Ma ci coś do powiedzenia.

– Co takiego?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nalegała, żeby się z tobą spotkać.

Fülane przysunęła się do męża.

– Miałaś rację. Ta dziewczyna jest niebezpieczna.

– Niebezpieczna?

– Mam takie przeczucie. Dlaczego twoja matka po dwóch latach przysłała ją nam jako prezent ślubny?

Właściwie księżę Mehmed też nie mógł tego zrozumieć.

– Być może matka pojęła swój błąd. W końcu pogodziła się z tym, że nie rozdzieli zakochanych. Bardzo lubiła tę dziewczynę. Może to, że ci ją przysłała, to jakaś forma przeprosin.

Czoło jej męża zmarszczyło się. Siedział strapiony. Czuł się rozdarty między słowami żony a poleceniem matki. Odmówienie poddanemu prośbą o audiencję oznaczało sprzeciwienie się prawu.

Fülane zalotnie błędziła palcami po brodzie młodego mężczyzny.

– Nie chmurzcie się tak, mój kochany książę – starała się osłodzić ich dyskusję. – Może jestem zbyt podejrzliwa. Wysłuchajcie, co ma do powiedzenia. Jednak mimo wszystko miejcie na względzie słowa ukochanej kobiety. Ta dziewczyna jest niebezpieczna.

– Jak mogłaby być niebezpieczna, moja piękna Fülane? To Nurbanu. Tej nocy, gdy podłożono do naszego łoża skorpiona, wzięła łyk sorbetu, nie przejmując się, czy jest zatruty, czy nie...

– Wiem, opowiadałeś mi.

– Niech przyjdzie jutro.

Strażnik otworzył drzwi. Nurbanu weszła do komnaty. Na samym środku znajdował się parawan, a przed nim stało krzesło. Gdzie był Wielki Turban?

– Podobno chciałyście ze mną porozmawiać.

Głos dobiegł zza parawanu.

Przez chwilę Nurbanu nie wiedziała, co zrobić. O tym nie pomyślała. Tutaj kobiety nie stawały przed mężczyznami. Uważano to za grzech. To dlatego kobiety patrzyły na życie zza krat. Tak było w pałacu i tutaj też. Jeśli nie było to konieczne, mężczyźni i kobiety nie spotykali się wzrokiem z tymi, którzy nie byli *helal*. Żeby kobieta była dla mężczyzny *helal*, musiała mieć z nim ślub. Nurbanu była dla Mehmeda *haram*.

Znała swój charakter. Nie potrafiła długo opierać się rosnącej w niej złości. Sakiewka, szyfry, niebezpieczeństwo – wszystko w jednej chwili uleciało jej z głowy. Co ją obchodziło ich *helal* i *haram*. Poza tym czy nie była *giaurem*?

Pospiesznie uszczypnęła się w policzki, starając się, żeby były nieco bardziej zaróżowione. Przygryzła dolną wargę i zwilżyła ją czubkiem języka. Delikatnie przechyliła głowę. Sprawdziła, jak włosy spływają jej na piersi spod okrywającego je tiulu. Jej twarz przybrała najbardziej zboląły wyraz, a w oczach odmalowała się cała jej żarliwość. Odrzuciła ramiona do tyłu i wypięła pierś. Dobrze. Teraz była gotowa.

Nie zważając na to, jak mocno wali jej serce, przeszła za parawan.

Był tam. Mężczyzna, którego królową zamierzała zostać. Syn sułtanki Hürrem, którego wybrała na męża dla Nurbanu.

Książę Mehmed siedział za parawanem na grubym, wypchanym siedzisku na podłodze przed oknem. Przed nim znajdował się ten dziwny stojak przypominający liczbę dziesięć, na którym kładli książki. Wyglądało na to, że małżeństwo zawsze siadało na podłodze. Natychmiast odrzuciła od siebie tę myśl. Musi teraz bez reszty oddać się swojemu zadaniu, skupić się na tym, co mu powie. Twarz Mehmeda

nabrała koloru. Najwyraźniej miłość mu służyła. Zniknął przestraszony, blady, chory i drżący chłopiec, którego widziała za pierwszym razem, a jego miejsce zajął mężczyzna o bujnych brwiach, którego mogłaby nawet uznać za przystojnego. Jedną nogę miał podwiniętą, a drugą podsuniętą pod brodę. Jedną rękę trzymał na podniesionym kolanie, drugą na udzie. Pomiędzy palcami dłoni, opartej na kolanie, wisiał długi perłowy naszyjnik. Na głowie miał oczywiście turban – wielki, biały, zakrecony niczym *kol böreği*⁴⁸. W miejscu, gdzie powinny znajdować się niewidoczne pod ogromnym turbanem brwi, zwisał wielki rubin. Za kamieniem umieszczona była wiązka rzadkich ptasich piór.

Bardzo się zdziwił, gdy Nurbanu, nie przestrzegając zasad i tradycji, przeszła za parawan. Nagle w jego oczach pojawił się niepokój. Było jasne, że nie wie, co czynić. Dobrze, tak było lepiej. Dzięki temu Nurbanu zrobi na nim wrażenie.

Mehmed próbował odwrócić głowę w inną stronę. Ale po chwili zrezygnował. Przecież Nurbanu nie była muzułmanką. Dlaczego miałby od niej uciekać wzrokiem?

– Podobno chciałyście z nami porozmawiać.

Jego głos był chłodny. Mógł się przynajmniej przywitać. Gdy zeszłej nocy Nurbanu wyobrażała sobie tę chwilę, miała nadzieję, że nawet jeśli się nie uśmiechnie, jego twarz przybierze serdeczny wyraz. Nawet nie powiedział: „Usiądź”. Z pewnością to Fülane coś mu naopowiadała. Może nawet ich obserwowała.

Teraz Nurbanu nie wiedziała, jak się zachować. Mehmed siedział na podłodze, a ona stała. Zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkała się z Fülane. Patrzyła na księcia z góry. Mehmed obrzucił ją spojrzeniem, a później jego wzrok przeniósł się na stojak. W jednej chwili wstał. Najwyraźniej przeszkadzało mu, że jakaś dama dworu spogląda na niego z góry.

– Widzę, że zdrowie wam dopisuje.

Nurbanu była pewna, że jej głos był wystarczająco odurzający i zapraszający, żeby z pragnienia pozbawić zmysłów każdego mężczyznę.

Księżę stojący naprzeciwko niej założył ręce do tyłu, uniósł głowę i spojrzał jej w twarz.

„Leć, strzało – powiedziała w duchu Nurbanu. – Już najwyższy czas. Uderz go prosto w serce”.

Głęboko westchnęła i zamilkła. Wiedziała, że słowa są zbędne. Jej postawa, wzrok, ukradkowe spojrzenie, mlecznobiałe piersi unoszące się i opadające pod wpływem oddechu, lekko rozchylone, wilgotne wargi wywierały większe wrażenie niż jakiegokolwiek słowa. Mimo wszystko niby niepostrzeżenie, ale tak, żeby Mehmed mógł to zobaczyć, przeciągnęła czubkiem języka po ustach. Teraz nawet gład by stopniał. A ponieważ Mehmed nie był z kamienia, z pewnością także się temu nie oparł.

Rzuciła w jego stronę zawstydzone spojrzenie.

– Bardzo się cieszę, że widzę was w tak dobrym stanie.

„Ona też to ma?! – krzyczała w duchu. – Czy ta dziewczyna z gór, którą wzięłaś sobie za żonę, też ma taki wdzięk, ciało i urodę?”

– Chciałyście się z nami spotkać, żeby nam to powiedzieć?

Bardzo się zdziwiła. Nie, rozgniewała się. W tonie głosu Mehmeda i wyrazie jego twarzy nie zaszła nawet najdrobniejsza zmiana. „Głupiec w wielkim turbanie!”. Mimo to roześmiała się, szczebiocząc.

– Czy to taki zwyczaj, że z sandżakbejem rozmawia się na stojąco?

– Nie sędzę, żeby nasze spotkanie potrwało dłu... – Mehmed nagle zamilkł.

– Nieważne, usiądźmy. Przejdźcie na tamtą stronę. – Wskazał jej miejsce za parawanem, w ten sposób ustanawiając dystans między nimi.

Podczas gdy Mehmed zajmował miejsce na siedzisku, Nurbanu złorzeczyła w duchu: „Głupiec! Patrzcie na intelekt matki i na tę głupotę. Myśli, że rzucę mu się w ramiona? Poczekaj, na to jeszcze przyjdzie czas”.

Zerknęła na wskazane przez Mehmeda miejsce. Nie zamierzała siadać na twardym drewnie. Bez pośpiechu przeszła za parawan. Wzięła leżące tam siedzisko i wróciła. Położyła je tuż przed Mehmedem. Nie odrywając wzroku od księcia, usiadła, spływając uwodzicielsko i wijąc się niczym jedwabna szarfa. Z królewską wyniosłością wyprostowała ramiona. Podziękowała w duchu Mihrimah. Dziewczyna niemało się napracowała, żeby nauczyć ją tak siadać na rozłożonym na podłodze siedzisku. Ona osuwała się ciężko na poduszkę, Mihrimah zaś opadała delikatnie niczym gęsie pióro unoszone lekkim wiatrem.

„Nie wiedziałem, że jest taka piękna”, przeszło przez myśl Mehmedowi. Tamtej nocy, gdy podała mu sorbet, nawet jej się nie przyjrzał. Jedyne matka godzinami wychwalała jej urodę. Mehmeda to nie obchodziło, bo dla niego nie było piękniejszej od Fülane, jednak musiał przyznać, że Nurbanu była bardzo ładna. W jednej chwili zawstydziła go ta myśl.

– Więć? – odezwał się nieprzyjemnym tonem, mając przed oczami twarz żony i czując się tak, jakby został przyłapany na gorącym uczynku. – Usiedliśmy. Co chciałyście mi przekazać? Czym się podzielić? W kolejce czekają inni, którzy przyszli opowiedzieć o swoich strapieniach.

Nurbanu pochyliła się do przodu. Czekala, dopóki nie zyskała pewności, że Mehmed poczuł zapach jej ciała. Wyszepiała do ucha próbującego się odsunąć księcia:

– To, co powiem, jest tajemnicą.

– Dobrze. Jesteśmy tu sami.

– A ściany, które mają oczy i uszy?

– Słucham?

– Wasza matka zawsze tak mówi. Ściany mają uszy i wielkie oczy. Podłogi

też.

Mehmed poruszył się niespokojnie, dając jej do zrozumienia, że traci cierpliwość. Nurbanu zauważyła, że zaczął szybko przesuwac między palcami perłowy naszyjnik.

– W naszym domu zarówno ściany, jak i podłogi są głuche i ślepe. Możesz być tego pewna... Na imię ci Nurbanu, prawda?

Ucieszyła się. „Uwielbiam, kiedy nazywają mnie Nurbanu”. Nie ukrywała swojego szczęścia.

– Czcigodny książę nie zapomniał mojego imienia. Świat stał się mój.

– Słucham waszej sekretnej potrzeby.

Jeszcze trochę bardziej przysunęła się do księcia. Jej głowa prawie dotykała jego turbanu. Mehmed nie wiedział, co zrobić. Nie miał dokąd uciec. Próbował odsunąć głowę. Nurbanu czuła jego męski zapach. Nie spodobał jej się, ale nie dała tego po sobie poznać. Kiedy już zostanie królem, nieczęsto będzie musiała go wachać. Jej usta zbliżyły się do jego ucha.

– Mam przesyłkę, która musi pozostać tajemnicą. – Jej wargi delikatnie dotknęły brody księcia. – Od waszej matki.

Cofnęła się. Wśród zdumionych spojrzeń Mehmeda wsunęła rękę pod suknię, wyciągnęła coś spomiędzy piersi i położyła przed mężczyzną.

Mehmed natychmiast rozpoznał sakiewkę matki. Przez chwilę patrzył na purpurowy jedwab jak zaczarowany.

– Nie otworzycie?

Książę podniósł sakiewkę, rozwiązał sznurek i otworzył ją. Sprawiał wrażenie, że boi się włożyć rękę do środka, jakby znajdował się tam skorpion. W końcu powoli wyciągnął zawartość woreczka.

To była biała chustka z supłem na jednym końcu.

Niebezpieczeństwo!

To szyfr, który ustalili z matką. Wewnątrz węzła powinno znajdować się jedno słowo. Jeśli ktoś go rozwiąże i przeczyta, i tak nic nie zrozumie.

Prawdziwą wiadomością była chustka. Kiedy po mianowaniu go sandżakbejem opuszczał stolicę, Hürrem zwróciła się do niego: „Pamiętaj, mój dżygicie. Jeśli prześlę ci białą chustkę, będziesz wiedział, że jesteś w niebezpieczeństwie. Jeżeli zawiążę węzeł na jednym rogu, będzie to oznaczało, że niebezpieczeństwo jest blisko. Zwiększ środki ostrożności i bądź gotowy. Jeśli zaś dostaniesz ode mnie chustę z węzłami na dwóch rogach, będzie to symbolizowało śmierć, synu. Uciekaj! Natychmiast uciekaj! Ratuj życie!”.

Jego matka nieustannie podejrzewała, że jego przyrodni brat Mustafa knuje coś ze swoją matką. Zbywał to uśmiechem, ale od wydarzenia ze skorpionem też zaczął mieć wątpliwości. Hürrem twierdziła, że to oni podłożyli śmierć do łóża jej syna. Teraz z pewnością jej szpiegdy przekazywali wieści z Seruhanu. „Zmija się

obudziła”, mówiła mu matka w sekrecie.

Dobrze, ale dlaczego? Dlaczego Mustafa miałby próbować go zabić? Ilekroć o tym pomyślał, mówił to samo. Nie patrzył chciwym okiem na tron i władzę ojca. Skoro to Mustafa miał do nich prawo, niech będą jego. Jemu wystarczały miłosne wyznania Fülane.

Miał wrażenie, że słyszy karcący głos matki obwiniającej go o głupotę: „Sądziś, że obchodzi ich, co chcesz, a czego nie? Twoje istnienie to dla nich niebezpieczeństwo. Nieważne, czy zerkasz w stronę tronu, czy w stronę kobiety”.

Chusta, którą przyniosła mu dziewczyna, miała jeden węzeł. Zatem musiał zwiększyć środki ostrożności. Tylko jak? Co jeszcze mógł zrobić? Miał strażę, które nawet nie pozwalały, żeby ptak przeleciał nad pałacem. Gdy zobaczyli gołębia, zabijali go, bo mógł przenosić wiadomość.

Jego oddech zwolnił, a twarz pobladła.

Nurbanu zobaczyła czający się w jego oczach strach.

Chociaż księżę Mehmed wiedział, co jest napisane w środku, rozwiązał węzeł, próbując powstrzymać drżenie dłoni.

„Tęsknię!”.

Matka mówiła, że jest w niebezpieczeństwie, że musi być gotowy do ucieczki.

Uniósł głowę i spojrzał na dziewczynę siedzącą naprzeciwko niego z bezgranicznym uśmiechem na ustach. Nurbanu dosłownie obejmowała go spojrzeniem, a Mehmed po raz pierwszy nie uciekał od niej wzrokiem.

– Jak długo to masz? – syknął. Po raz pierwszy jego głos nie był zimny, ale nieznacznie drżał. – Oby nie odkąd przybyłaś do Konyi.

Nurbanu zerknęła na Mehmeda tajemniczo.

– Ależ skąd. Sakiewka przyszła wczoraj rano. Dlatego natychmiast powiedziałam jej, że muszę z wami porozmawiać.

Celowo nie powiedziała „twojej żonie” ani nie nazwała kobiety po imieniu. Od teraz w życiu Mehmeda będzie tylko jedna kobieta – ona. Będzie tylko jedno imię – Nurbanu. Tak musi być.

– Czy popełniłam jakiś błąd? – odezwała się zaniepokojona. – Spóźniłam się?

– Nie – odparł krótko Mehmed.

Wziął białą chustę i nie zawiązując węzła, włożył ją do sakiewki Hürrem. Mocno ją ścisnął i zawiązał.

– Skoro wypełniłaś to zadanie, doprowadź je do końca. Wyślij to naszej matce tą samą drogą. Niech wie, że dostałem sakiewkę.

Wzięła sakiewkę. Patrząc Mehmedowi w oczy, ucałowała ją, a potem wcisnęła między piersi.

Księżę poruszył się niespokojnie i zamierzał wstać.

– Przekazałam, co miałam przekazać, ale nie powiedziałam tego, co mam do powiedzenia.

Mehmed usiadł z niezadowoleniem.

– Nie to miałaś mi powiedzieć?

Nurbanu pokręciła głową.

– To chciała wam powiedzieć wasza matka.

– W takim razie mów. Muszę iść. Mam dużo pracy.

Wbiła wzrok w chłopaka.

– Jestem giaurem!

Mehmed z niedowierzaniem spojrział jej w oczy. Co mówiła ta dziewczyna? W jej spojrzeniu starał się znaleźć jakiś sens. Zrezygnował, gdy poczuł, że zieleń jej oczu go urzeka. Natychmiast przywiódł na myśl duże, czarne oczy Fülane.

– Tak?

– Czy droga islamu jest zamknięta dla giaurów?

– Słucham?

– Czy droga islamu jest zamknięta dla giaurów? Czy jeśli jakiś giaur tego zapragnie, może zostać muzułmaninem tak jak ty?

Przez chwilę Mehmed nie mógł dobrać słów.

– Może – odezwał się z ociąganiem. – Jednak dla pewności należy zapytać o to hodzę.

– Dobrze – odparła Nurbanu.

Podniosła się z siedziska zalotnie i z wdziękiem.

– Ja już powiedziałam. Teraz ty zapytaj, o co trzeba.

Mijały dni, ale nic się nie działo. Rankiem, dokładnie w chwili, gdy już miała zapytać, co oznacza ta cisza, usłyszała, jak Fülane z szelestem spódnicy przemierza korytarz, wydając rozkazy na prawo i lewo. Głos kobiety odbijał się echem wśród ścian.

– Wy też tak nie stójcie, dziecko. Sprawdź, jak tam przygotowania do drogi. *Mój bagaż* zrobił się ciężki. Nie mogę za wami nadążyć.

Oślupiała. Nic z tego nie rozumiała. Fülane oddaliła się wśród okrzyków. Jaka podróż? Jaki bagaż?

Podbiegła do sofy, z której miała widok na dziedziniec, gdzie wołania kobiety zlewały się z grubymi męskimi głosami. Na dole panowało olbrzymie zamieszanie. Konie rżały jak oszalałe przez krzyki i wrzaski. Wszystko wyglądało tak, jakby nadszedł koniec świata.

– Przesuń się, przesuń – skarcił ją jakiś głos dobiegający z tyłu. – Skoro nie ma z ciebie żadnego pożytku, to przynajmniej pozwól nam przejść.

Była to tęga służąca, która zaprowadziła ją do Fülane. Kobieta wcisnęła pod pachy cztery długie poduszki wykończone atłasem i mimo potężnego ciała próbowała biec. Przepuściła ją. Kobieta, mijając ją, odwróciła do niej zlaną potem

twarz i spojrzała srogo. Nurbanu zastanawiała się przez chwilę, jak bujające się biodra kobiety mogą ją unieść. Dopiero później przyszło jej do głowy, żeby zapytać:

– Hej, co się dzieje? Co to za zamieszanie?

Kobieta nawet się nie odwróciła.

– Nasz ksiązę został sandżakbejem Seruhanu. Jedziemy do Manisy! – krzyknęła. – Wieczorem przybyło ze stolicy trzech wezyrów i przekazało naszemu panu rozkaz sułtana. Jutro wyruszamy w drogę.

– Czy w tym miejscu, o którym mówisz, nie ma przypadkiem księcia sukcesora Mustafy?

Kobieta nie zatrzymała się, tylko wtoczyła na schody.

– Och, on już od dawna jest w Amasyi.

– To miejsce zostanie puste?

– Ach, masz mózdek jak ciecierzycyca. Czy prowincja państwa może pozostać bezpańska? Tutaj przyjeżdża ksiązę Selim.

Żółtogłowy!

Myślała teraz bardzo szybko. Hürrem dotrzymała słowa. Przeszła do działania, żeby pozbyć się przeszkód. Przejmowała władzę. Przegnała Mustafę, Mehmeda przenosiła bliżej stolicy, a Selima wysłała w jego miejsce.

Ona także wypełni obietnicę. Dla Hürrem włoży koronę na turban jej syna. Wyrwie z ramion Mehmeda tę dziewczuchę z wielkim nosem. „Nie rób sobie nadziei – odezwała się w duchu, mierząc pogardliwym wzrokiem Fülane rzucającą rozkaz za rozkazem. – Nie zostawię ci mojego króla”.

XXX

Stambuł

Nowy Pałac

Harem

Mihrimah dostała wiadomość od swojej piastunki Esmy.

– Moja piękna sułtanko. – Podeszła do niej Esmā. – Przed chwilą widziałam na dziedzińcu Merzukę. Wczoraj wieczorem wasza matka dostała wiadomość z Seruhanu.

Wcześniej, gdy ktoś tylko wspomniał o Manisie, serce podchodziło jej do gardła. Teraz sytuacja się zmieniła. Padyszach w końcu zaakceptował prawdę. Pewnego dnia powiedział do Mihrimah:

– Mustafa jest niewinny, ale żądza zemsty Gülbahar ściągnęła ją na niebezpieczną drogę. Właściwie powinna ponieść sroższą karę, Mihrimah, ale nie mogliśmy się zdobyć na to, żeby wydać wyrok śmierci na kobietę, z którą niegdyś kładliśmy głowę na jednej poduszce, którą całowaliśmy i trzymaliśmy w ramionach i która dała nam księcia. Matka nic nie mówi, ale wiem, że też tak uważa i ty również. My zaś uważamy, że naszym obowiązkiem jest przenieść Mustafę dalej od stolicy. Może teraz Gülbahar się opamięta.

Mihrimah była z matką, gdy dowiedziały się, że wielki wezyr udał się do Seruhanu, żeby przekazać rozkaz padyszacha. Nic nie powiedziały. Wymieniły jedynie pospieszne spojrzenia. Zasiały ziarno i czekały, aż wszędzie. Teraz zaś naszedł czas zbiorów.

– Jak szybko nasz starszy brat przeniósł się z Konyi do Seruhanu. Osiedlił się tam i zaprowadził swój porządek. Posłańcy przybywają jeden za drugim. Co to za wieści tym razem?

– Jeśli ci powiem, nigdy w to nie uwierzycie.

– Mimo wszystko powiedz. Może uwiere.

Esmā zachichotała.

– Nie, nie uwierzycie.

– Esmo. – Sułtanka Mihrimah udała zagniewaną.

Na to Esmā opadła na kolana i pokłoniła się przed nią.

– Nurbanu...

Mihrimah ogarnął niepokój.

– Co się stało Nurbanu?

– Została muzułmanką.

– Co?!

Mihrimah wykrzyknęła to tak głośno, że pozostałe damy dworu, które nie słyszały wiadomości wyszeptanej jej do ucha przez piastunkę, ogarnął strach.

– Co się stało? Co się stało?

Esma znów przysunęła się do niej.

– Nurbanu, jeszcze będąc w Konyi, stanęła przed księciem Mehmedem i powiedziała o swoim pragnieniu. Księżę poradził się hodźów. W końcu nasza piękna Cecilia, usiadłszy naprzeciw hodży efendiego, wyrecytowała szahadę.

Tym razem wszystkie damy dworu słyszały jej słowa. A te, do których one dotarły, powtarzały je szeptem tym, które nie słyszały.

– Nurbanu została muzulmanką!

Mihrimah szeroko otworzyła oczy. Esma ujęła swoją panią za rękę i posadziła na sofie.

– Zostałaby nią wcześniej, ale wszystko się opóźniło, gdy nasz pan wysłał księcia sukcesora Mustafę z Seruhanu do Amasyi, a na jego miejsce przeniósł z Konyi księcia Mehmeda. Dopiero gdy ten zadomowił się w Manisie, wydał na to zgodę. Nurbanu, stanąwszy przed hodżą efendim, dostąpiła boskiej światłości.

Zdyszana Esma zamilkła na chwilę, żeby złapać oddech. Jednak jasne było, że to nie wszystko, co ma do powiedzenia w tej sprawie.

– Kiedy wam zdradzę, co było dalej, tym razem już na pewno nie uwierzycie.

– Posłuchaj, Esmo. Tylko nie mów, że wyszła za kogoś za męża. Serce naszej matki tego nie wytrzyma.

Piastunka uśmiechnęła się ze spokojem.

– Gdy tylko wstała, czym prędzej pobiegła do haremu waszego brata i stanęła twarzą w twarz z jego żoną...

Mihrimah nie mogła już wysiedzieć z podniecenia.

– I? Nie przerywaj, Esmo.

– Spojrzała kobiecie w oczy i co powiedziała?

– Aj, zaraz oszaleję. Co?

– Kobieta wiele razy w rozmowach z Nurbanu mawiała: „Przecież jesteście...” i milkła, wypominając jej w ten sposób, że jest giurem. Na to nasza dziewczyna powiedziała tego dnia: „Pani, nie będziecie już musiały przerywać nam, wtrącając: «Przecież jesteście...». Ponieważ kobieta giur została muzulmanką”. Wyobrażacie sobie, sułtanko? Właśnie tak powiedziała.

„Szalona dziewczyna”, stwierdziła w duchu Mihrimah. Oczywiście, że mogła to sobie wyobrazić. Czy kiedykolwiek Nurbanu zważała na słowa, że miałyby krygować się przed żoną Mehmeda? „Dlaczego miałabym się dziwić, że została muzulmanką?”, uśmiechnęła się do siebie. Jeśli chodziło o Nurbanu, nic, co robiła, nie powinno jej zaskoczyć.

Nie minęło dużo czasu, gdy pośród szelestu spódnic do komnaty weszła jej matka. Widząc wyraz twarzy Mihrimah, powiedziała, zerkając na Esmę:

– Zdaje się, że ktoś przekazał naszej córce wieści przed nami. Słyszałaś, co zrobiła?

Mihrimah pokiwała głową.

– Brawo dla mojej zielonookiej Nurbanu! – zaszczębiotała Hürrem radośnie.

Mihrimah nie widziała swojej matki tak szczęśliwej od czasu, gdy okazało się, że Rüstem, kandydat, jakiego wybrała na swojego zięcia, nie cierpi na trąd. Nie była tak szczęśliwa nawet w dniu ślubu swojej córki i Rüstema.

Tak samo wesoła jak przysła, skierowała się do drzwi. Nagle zatrzymała się, jakby coś ważnego sobie przypomniała.

– A! – odezwała się, podając sakiewkę Mihrimah. – Nurbanu coś do ciebie napisała.

Po wyjściu matki Mihrimah otworzyła list od Nurbanu. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Chociaż brzydko i niewyraźnie, na początku napisała: „W imię Boga miłosiernego, litościwego”⁴⁹.

Moja piękna sultanko, siostró, matko mojego imienia, słońce rozjaśniające moją ciemność, nic nas już nie różni. Wierzymy w tego samego Boga.

Gdy Mihrimah skończyła czytać list, powoli otarła wilgotne oczy. „Szalona dziewczyna – pomyślała. – Naprawdę wierzy, że pewnego dnia zostanie królową”.

Radość spowodowana wieścią o tym, że Nurbanu przeszła na islam, nie trwała długo.

Miesiąc później z Seruhanu przybył do pałacu inny posłaniec. Gdy tylko Mihrimah zobaczyła twarz matki, zdała sobie sprawę, że dzieje się coś złego.

– Co się stało, matko? – Wyprostowała się zaniepokojona.

– Nie wiem, dziecko. Przysła wiadomość z Manisy. Nie wiem, czy dobra, czy zła.

Mihrimah przycisnęła ręce do serca.

– Nurbanu?! – wykrzyknęła. – Czyżby coś jej się stało?

Hürrem rzuciła córce spojrzenie wyrażające zdziwienie i złość. Dziwna dziewczyna z tej Mihrimah. Nie martwi się o brata, ale o Nurbanu.

– Nie – mruknęła. – Nic jej się nie stało. – Jej twarz jeszcze bardziej spochmurniała. – Zdaje się, że i tak nie robi zbyt wiele poza trzymaniem postu i modleniem się.

Pełne niepokoju spojrzenie Mihrimah przeskakiwało z matki na Merzuke. Wydawało jej się, że w oczach Tatarki, które teraz wyglądały jak małe szparki, widzi skrywaną radość.

Hürrem minęła ją i usiadła na sofie. Spojrzała przez okno na zewnątrz. Przez chwilę się nie odzywała, Mihrimah zaś o nic nie pytała. Znała charakter matki. Milczała, dopóki nie uznała, że będzie mówić. Skoro przybyła do niej biegiem, prędzej czy później i tak jej powie.

I tak się stało.

– Jest w ciąży – szepnęła w końcu Hürrem.

– Co? Nurbanu?

Dobry Boże, jak ta szalona dziewczyna mogła zrobić coś takiego? Weszła do łoża Mehmeda? A może innego?

Merzuka wtrącała się do rozmowy, widząc, że Hürrem gniewnie patrzy na Mihrimah.

– Żona księcia Mehmeda.

W haremie nie wolno było nawet wspominać imienia tej kobiety. Mówiono o niej jedynie: „żona Mehmeda”.

Mihrimah nie wiedziała, czy powinna się cieszyć, czy dziwić. Zostanie ciocią? Wiedziała, że jeśli okaże swoją radość, matka urządzi awanturę. Mruknęła coś niezrozumiale pod nosem.

– Brakowało mi jeszcze tego, żeby urodziła – burknęła Hürrem.

Mihrimah powoli zwróciła się do Merzuki.

– Który to miesiąc?

– Czwarty.

– To mój brat wysłał wiadomość?

Jej matka odwróciła się jak błyskawica.

– Sądzisz, że miałyby czelność? O tym, że nasz syn zostanie ojcem dziecka tej kobiety, dowiedziałyśmy się od naszej kalfy Nigar.

– A jej z pewnością powiedziała o tym Nurbanu.

Hürrem spojrzała na nią ze złością. Nie była o tym przekonana. Usta dziewczyny powinny milczeć jak grób. Hürrem postanowiła natychmiast przesłać wiadomość. Z pewnością, gdy Nurbanu dowiedziała się, że kobieta jest brzemienna, wszystkie jej nadzieje legły w gruzach. Teraz najbardziej potrzebowała wsparcia. „Nie smuć się, dziecko. To niczego nie zmienia. Choćby urodziła nie jedno, a tysiąc dzieci, nie oddam jej mojego księcia”.

„To ci dopiero”, pokręciła głową Merzuka. Teraz dopiero Hürrem urządzi im piekło. Im i księciu Mehmedowi. A przede wszystkim kobiecie, która urodzi to dziecko.

– Ale matko...

– Przestań jęczeć, Mihrimah. Los tej kobiety jest przeciwieństwem tego, co pisane jest Mehmedowi. Mój syn, biorąc tę dziewczynę do łoża, zbuntował się wobec tego, co przeznaczył dla niego Bóg. Występowanie przeciwko woli Bożej nie przynosi nic dobrego. Ta kobieta to nieszczęście. Boję się, że ściągnie na mojego syna jakąś tragedię.

– Dobrze, ale – odezwała się niepewnie Merzuka – najwyraźniej był mu pisany ślub z tą kobietą.

– Merzuko!

Głos Hürrem był ostry jak nóż. Jej przyjaciółka natychmiast zamilkła.

– Los Mehmeda jest losem naszego władcy. Wiesz, ile razy stawiałam

wróżby, odczytywałam sny. Nad głową Mehmeda widać słońce władzy. Ta kobieta... Ta Czerkieska...

Nie dokończyła. Zadrżała pod wpływem myśli, która przysła jej do głowy: „Oby przynajmniej nie urodziła chłopca”.

XXXI

Manisa – Seruhan
Pałac sandżakbeja

Kiedy szczęście raz się odwróciło, nieszczęścia następowały jedno po drugim. Nurbanu nie wiedziała, co robić, kogo błagać, przed kim rozłożyć ręce. Jak miała się modlić? Powinna mówić: „Allahu, pomóż mi”? A może: „Nasz Ojciec w niebie, uratuj mnie”?

Nawet jeśli nie chciała tego przed sobą przyznać, zaczęła myśleć, że to kara boska. Wszystkie nieszczęścia zaczęły się po tym, jak powiedziała księciu Mehmedowi: „Jestem giaurem”, a dokładniej po tym, jak zapytała: „Czy jeśli jakiś giaur tego zapragnie, może zostać muzułmaninem?”.

Gdy dowiedziała się, że Wielki Turban został przeniesiony z Konyi do miejsca zwanego Manisą, początkowo nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Co to oznaczało? Później zaczęła się przysłuchiwać plotkom służących.

– Decyzja naszego pana o wysłaniu księcia Mustafy do Amasyi to nic innego jak wygnanie – szeptał jeden z mężczyzn do drugiego stojącego przed nim. – Przeniósł go daleko od stolicy. Jednocześnie wyróżnił Mehmeda, przysyłając go tutaj. Stambuł jest o krok stąd. Sądzę, że nasz padyszach chciał, żeby nasz książę był bliżej stolicy niż Mustafa. Żeby Mehmed szybciej dotarł do stolicy, gdyby coś się stało.

– Czyżby książę Mustafa wypadł z jego łask?

– Tego nie wiem. Ale burza wisi w powietrzu. W kościach mi strzyka. Wiedz, że gdy strzyka w tych kościach, zwiastuje to burzę w Imperium Osmańskim. – Później zbliżył się do towarzysza. – Tak długo, jak jest tam ta kobieta, nie pozwoli, żeby tron przypadł Mustafie. Próbowала wszystkiego, aż w końcu udało jej się sprawić, że nasz pan go wygnał.

Usłyszawszy to, Nurbanu poczuła, że przepełnia ją radość. Dokładnie tak, jak myślała, Hürrem wzięła sprawy w swoje ręce i teraz Mehmed był bliżej stolicy niż Mustafa. W takim razie mogła się cieszyć, że przybyli do Seruhanu. Książę Mehmed był o krok od zostania królem. A ona królową, oczywiście.

Cztery miesiące po tym, jak przyjechali do Manisy, przyszła wiadomość od Wielkiego Turbanu. Jeden z książęcych hodźów zwrócił się do niej:

– Nasz pan pyta, czy jesteście zdecydowane.

Była zdecydowana. Nie pozwoli, żeby ta kobieta o głowie żmii powtarzała to swoje: „Przecież jesteś...”. Nikt nie będzie obgadywał jej za plecami, że jest giaurem.

– Jesteśmy zdecydowane.

– A zatem chwała Bogu. Nadszedł czas. Jutro jest piątek. Piątek to dzień pełen dobrodziejstwa. Niech zgodnie z Bożą wolą i tobie przyniesie pomyślność.

Przygotuj się, dziecko.

Gdy mężczyzna, skłoniwszy się lekko, zaczął się wycofywać, Nurbanu odezwała się do niego:

– Wie o tym ktoś jeszcze?

Książęcy hodża odwrócił się. Długo na nią patrzył.

– Nie. To niezgodne z prawem. Hodża nie może rozgłaszać o tym, dopóki nie wyszeptawszy ci do ucha twojego imienia, nie przyjmie cię do społeczności muzułmańskiej.

Ucieszyła się. Sama zajmie się tą sprawą.

Gdy następnego dnia krążyła po holu, zastanawiając się, co się wydarzy, jak to będzie i gdzie się wszyscy podzieli, ujęła ją pod rękę białowłosa kobieta o pięknym obliczu, której nigdy wcześniej nie widziała.

– Już czas, dziecko. Jesteś gotowa?

Kiwnęła głową z mocno bijącym sercem. Nie starczyło jej oddechu, żeby potwierdzić.

Kobieta podprowadziła ją do kranu.

– Powtarzaj za mną.

Patrząc na staruszkę, umyła ręce do łokci, dłonie, później stopy i twarz. Wciągnęła wodę do nosa. Wyplukała usta. Zmoczyła skórę za uszami i na karku.

– Dobrze – powiedziała kobieta, uśmiechając się ciepło.

To wszystko? Spojrzała na nią szczęśliwa i jednocześnie zawstydzona.

– Już się stało? Jestem teraz jedną z was? Nie jestem już giaurem?

Kobieta uśmiechnęła się, głaszcząc ją po policzku.

– Chodź, chodź.

Zabrała ją do siwobrodego starca. Było tam jeszcze trzech innych leciwych mężczyzn. Starzec przed nią długo mamrotał coś niewyraźnie, później dmuchnął w prawo i w lewo i zwrócił się do niej:

– Czy jesteś gotowa dostąpić światłości islamu, dziecko?

– Jestem gotowa.

– Czy twoje serce i dusza też są gotowe?

– Są gotowe.

– Czy trapią cię jakiegokolwiek wątpliwości?

Przygryzła usta, żeby nie powiedzieć: „Oj, taaak!”.

– Nie.

– Dobrze. Zatem niech cię Bóg błogosławi. A teraz powtarzaj za mną. Nie spiesz się. Słowo po słowie. Nie smuć się, jeśli ci się nie uda. Spróbujemy jeszcze raz.

Hodża mówił, a ona powtarzała. Nawet się nie zająknęła, co w równym stopniu zdziwiło mężczyznę i ją samą.

– Teraz wyszeptaj ci do ucha twoje imię. Czy chcesz nowe imię, dziecko?

– Mam już imię. Nurbanu.

Hodża wyszeptał jej do ucha:

– Nurbanuuu...

Mężczyzna chciał, żeby jeszcze raz powtórzyła słowa szahady.

– Słyszeliście? – zwrócił się do pozostałych. – Czy w dniu Sądu Ostatecznego będziecie świadkami, że ta dziewczyna stała się muzułmanką, wyznając z serca, że Bóg jest jedyny, a Mahomet jest jego Prorokiem?

– Będziemy – odpowiedzieli wszyscy trzej.

Potem jednocześnie wzniesli dłonie i zaczęli recytować modlitwę, najpierw cicho, a później coraz donośniej. Dali Nurbanu dłonie do ucałowania i odeszli.

Zeszła z drogi Jezusa Chrystusa i weszła na drogę Mahometa. Jednak miała wrażenie, jakby jej serce przycisnął kamień. Czowała się winna. „I tak wszyscy idą do tego samego miejsca”, próbowała stłumić to uczucie. Bóg czy Allah byli tym samym świętym bytem. Czy Bóg chrześcijan był inny niż Bóg muzułmanów? Czy to nie on stworzył nas wszystkich: mnie, Hürrem, sułtaną, Mehmeda w wielkim turbanie, ród Baffo, a nawet zasiadającego w Rzymie Ojca Świętego?

Ale okazało się, że tak nie jest!

Nieszczęścia zaczęły spadać na nią jak gromy.

Zobaczyła brzuch tej kobiety i dopiero wtedy zrozumiała, co Fülane miała na myśli, gdy jeszcze w Konyi mówiła: „Mój bagaż zrobił się ciężki”. Każdego dnia jej brzuch stawał się coraz większy. Fülane celowo krążyła po korytarzach, jakby chciała pokazać wszystkim: „Patrzcie! Patrzcie na mnie! Jestem w ciąży. Noszę w sobie dziecko Mehmeda”. Przeklęta!

Jakby tego było mało, Mehmed całkiem przekreślił Nurbanu. Nawet ten cień zainteresowania, który zobaczyła w jego oczach, zniknął, kiedy jego żona zaszła w ciążę.

Zupełnie jakby Nurbanu, która wychodziła z siebie, żeby stanąć mu na drodze, zwrócić jego uwagę, zdobyć względy, w ogóle nie istniała. Kiedy ją mijał, nawet nie odwracał głowy, żeby na nią spojrzeć. Pewnie nawet gdyby stanęła przed nim naga i rozłożywszy ramiona, błagałaby, żeby przyszedł, on odwróciłby się i odszedł. Dla niego liczyła się tylko Fülane.

Poleciała przygotować dla siebie osłoniętą moskitierą sofę pośród krzewów różanych.

– Mój ciężar zaczyna mi doskwierać. Chyba będzie chłopiec. Nieustannie nas kopie, powodując mdłości. Może jeśli położymy się w ogrodzie, pocujemy się lepiej – stwierdziła.

Oczywiście to do niej, jako pierwszej damy dworu, należało przygotowanie posłania. Chociaż na wieść o tym, że kobieta jest w ciąży, w jej wnętrzu rozpętał się huragan, Nurbanu, udając uradowaną, pospieszyła do ogrodu, żeby wśród róż rozłożyć łóżko dla swojej pani.

Jakby tego było mało, kobieta co chwila wciągała Mehmeda za moskitierę i zarzucała mu ręce na szyję.

„Nic z tego nie będzie – powtarzała sobie nocami Nurbanu. – Nie będę w stanie ściągnąć z tej zmił sukni, którą uszyła dla mnie Hürrem. A teraz jeszcze urodzi Wielkiemu Turbanowi syna”.

Im bliżej było do narodzin, tym żona Mehmeda stawiała się coraz bardziej zuchwała, marudna i w ogóle nie do zniesienia.

– Nurbanu, podłóż mi poduszkę pod plecy. Nie tę, tę grubą. Nie, nie. Jest za duża. Spróbuj tamtą. Mam ochotę na kompot z winogron. Nie, zmieniłam zdanie, chcę pomarańcze.

Przeklęta! Skąd miała wziąć pomarańcze w sierpniowy upał? A ten głupi Mehmed wysyłał jeźdźców na wszystkie strony świata.

– Jedźcie, agowie. Nasza Fülane ma ochotę na pomarańcze. Przywieźcie je. Kto przybędzie z nimi pierwszy, pozna naszą wdzięczność.

Głupiec! Głupiec!

Gdy późnym wieczorem wracała do komnaty, czytała zaszyfrowany list, który przesłała jej sułtanka Hürrem.

Suknia, którą uszyliśmy, okazała się za szczupła. Nie martw się. Uszyjemy nową. Jutro znowu wszędzie słońce. Nie zapomnij o Aleksandrze.

Nie zapomniała. Ani o Aleksandrze, ani o radzie Barbarossy. Nieustannie wyrabiała ciasto. Ale nie wyglądało na to, że drożdże wyrosną.

Później wybuchła jeszcze jedna burza. Właściwie Nurbanu nie była pewna, czy to, co się wydarzyło, oznaczało dla niej nieszczęście. Pałac ogarnęła radość.

Wiadomość przekazała jej żona Mehmeda, która przybrała już pokaźne rozmiary. Fülane spojrzała na nią, głaszcząc się dłońmi po wznoszącym się niczym góra brzuchu, jakby mściła się na niej.

– Spotkało nas wielkie szczęście. Bóg pobłogosławił nas wieścią o nowym zwycięstwie naszego sułtana. Dziecko w naszym brzuchu, zanim się urodziło, przyniosło pomyślność Imperium Osmańskiemu.

– Zwycięstwo?

– Tak, zwycięstwo. I to jakie zwycięstwo. – Oczy Fülane płonęły jak ogień.
– Admirał Hajraddin Pasza...

Rudobrody.

– Pokonał flotę krzyżowców.

Co?! Flotę krzyżowców?! Czyżby Wenecja przybywała, żeby ją ocalić? Po tylu latach?

– Flotę krzyżowców?

– Wygląda na to, że wszystkie kraje gajurów zjednoczyły się. Zgodnie z tym, co mówią, morze dosłownie zniknęło wśród wrogich okrętów. Hiszpanie,

Genueńscy, flota papieska, Wenec... – Zamilkła, jakby wymusnęło jej się to z ust i nie chciała zasmucać Nurbanu. Żmija.

– Byli wśród nich też Wenecjanie? – Miała nadzieję, że w jej głosie nie było słycać niepokoju.

– Tak. Posłuchaj... Przykro mi. W końcu przybyłaś z Wenecji, prawda?

Nurbanu puściła to mimo uszu.

– Jak udało się odnieść zwycięstwo?

– Na czele giaurów stał podobno niejaki Andrea Doria. Mężczyzna zaatakował kilka naszych twierdz hiszpańską armadą. Kapudan pasza rozgniewał się, przycisnął ich w miejscu zwanym Prevezą i podpalił wszystkie okręty⁵⁰.

– I?

– Właśnie to. Mówią o pięciuset okrętach. Nasi spalili je wszystkie. Tysiące giaur... Ach, teraz już mogę mówić „giaurów”, prawda? Nie będzie ci przykro. Przecież teraz jesteś jedną z nas. Co ja mówiłam, ach, wszystkich nadziali na szable. Wielu wzięto do niewoli.

– Co się stało z admirałem Dorią?

„Oby zginął – zlorzeczyła w duchu Nurbanu. – Uciekł, zamiast walczyć i mnie uratować. Oby teraz za to zapłacił”.

– Uciekł. Pod osłoną nocy zgasił pochodnię na swoim okręcie i udało mu się zbiec.

– To w jego stylu.

– Co powiedziałaś?

– To w jego stylu, pani – powtórzyła Nurbanu. – Wiem, bo przecież przybyłam z Wenecji. Dobrze go znam. To, na czym admirał najlepiej się zna, to ucieczka.

Przez cały dzień i całą noc uderzano w kotły, dęto w klarnety i dzwoniono dzwonekami. Pieśni zwycięstwa niosły się pod niebo. Na ulice posłano heroldów.

– Nie mówicie, że nie słyszeliście. Niech ci, którzy nie słyszeli, pytają tych, którzy wiedzą. Niech wszyscy usłyszą radosną wiadomość. Nasza flota zmiażdżyła giaurów na wodach Prewezy. Hajraddin Pasza odniósł zwycięstwo!

Nurbanu miała mętlik w głowie. Tylko przed Meneksze nie ukryła smutku. Dziewczyna przysiadła u jej stóp i utkwiała w niej swoje wielkie oczy. Patrzyła na nią, jakby chciała powiedzieć: „Nie smuć się. Nie jesteś już jedną z nich!”.

Co teraz miała zrobić Nurbanu? Pytała siebie, gdy nocą została sama, czy powinna rozpaczać po klęsce, czy cieszyć się ze zwycięstwa. Jeśli wciąż należała do przeszłości, powinna zapłakać po płonących weneckich okrętach i poległych żołnierzach. Jeśli, jak lata temu powiedział jej Rudobrody, Wenecja była przeszłością, a tutaj była jej przyszłość, ona także powinna dołączyć do ludzi sławiących zwycięstwo.

Do rana słuchała niosących się dźwięków. Jakże była głupia. Miała płakać

po zwycięstwie państwa, którego królową chciała zostać? Oczywiście, że nie będzie płakać. Nie wolno jej płakać. Ale co to za piekący ból? Jej serce krwawiło.

Największe nieszczęście przyszło później. Skąd miała wiedzieć, że pospieszyła się, uznając to za niedolę.

Pewnej nocy Nurbanu zbudził odgłos pospiesznych kroków. Zanim zdążyła zapytać, co się dzieje, drzwi się otworzyły.

– Wstawaj! – krzyknęła jedna z dam dworu. – Nasz pan jest chory.

Nasz pan? Który? Sultan czy Wielki Turban?

Natychmiast wyskoczyła z łóżka. Zauważywszy, że wszyscy biegną w stronę komnaty sandzakbeja, domyśliła się, że to książę Mehmed zachorował.

W komnacie panował ogromny zgiełk. Każdy coś mówił, tak jak tamtej nocy, kiedy do łóżka Mehmeda podrzuciono skorpiona.

Jego żona, chwytając się za brzuch, wyszła podtrzymywana przez dwie starsze kobiety.

– Płonie – wyszeptwała, zalewając się łzami. – Mój Mehmed płonie.

Później Fülane zemdląca. Z trudem utrzymali ją, żeby nie upadła na podłogę. Kobieta lekko rozchyliła powieki. Jedna z kobiet ocierała jej twarz wilgotnym gałgankiem.

– Uspokój się, dziecko. Jeśli nie myślisz o sobie, pomyśl o niewinnym dziecku, które w sobie nosisz.

Rzęsy Fülane zadrżały.

– Mój pan umiera.

„Co?! Boże, nie pozwól na to! Mój książę umiera? To niemożliwe! Przecież ma zostać królem!”.

Recytowała modlitwy, których nauczył ją hodża. Najpierw jedną. Później jeszcze jedną. Być może myśląc, że to nie wystarczy, wyobraziła sobie krzyż.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie – zaczęła bezgłośnie. – Nie zabieraj go. Nie karz za moje grzechy!

Nikogo nie wpuszczono do środka. Przyszło dwóch białobrodych medyków i zamknęli się w komnacie Mehmeda. Po wielu godzinach przywołano jeszcze jednego. Ten, który pojawił się jako ostatni, uchylił drzwi i krzyknął:

– Kamień oczny⁵¹! Pospieszcie się, przynieście kamień oczny!

Czym był kamień oczny?

Znaleziono go i przyniesiono. Był to mały niebieski kamień. Uchylili drzwi i podali.

– Gotowanej wody! – krzyknął ktoś ze środka.

To także przyniesiono i drzwi ponownie zamknięto.

Zaczynało świtać.

Słońce stanęło w zenicie.

Później zapadł zmrok.

Nikt nie otwierał drzwi. Wszyscy padli na ziemię i modlili się. Fülane siedziała omdlała w rogu, błagała Boga, żeby darował życie jej mężowi dla jej nienarodzonego syna.

„Skąd wiesz, że to chłopiec? Dostałaś wiadomość z góry?“, obruszyła się Nurbanu, lecz zaraz zawstydziała ją ta myśl. Z oczu kobiety płynęły krwawe łzy.

Kiedy dzień ustąpił nocy, drzwi powoli się uchyliły. Wszyscy podbiegli pełni nadziei.

– Rozejdźcie się! – krzyczał medyk, który przyszedł jako ostatni. – Natychmiast stąd odejdźcie! Ospa! Nasz księżę zapadł na czarną ospę!

Gdy tylko słowo „ospa” wydobyło się z ust mężczyzny, komnata zaczęła pustoszeć wśród pełnych przerażenia okrzyków. Krzyk Fülane rozdarł nawet serce Nurbanu.

– Robimy, co w naszej mocy – odezwał się medyk, nie uchylając drzwi szerzej. – Módlcie się za naszego księcia. Pokładajcie nadzieję w Bogu. Niech ktoś sprowadzi hodzę.

Okrzyki rozległy się na nowo. To była wiadomość śmierci. Skoro wzywano hodzę, znaczyło to, że nie ma już nadziei.

Nie minęło wiele czasu, gdy przyszło trzech hodźów. Dwóch pozostało na zewnątrz. Najstarszy wszedł do środka. Pozostali opadli na kolana przed drzwiami i zaczęli recytować Koran.

Nagle Nurbanu zdała sobie sprawę, że stoi na dziedzińcu. Nawet nie zauważyła, kiedy wyszła. Uniosła głowę i spojrzała w niebo. Gwiazdy mrugały, jakby próbowały dostrzec rozgrywające się na dole nieszczęście. Zakręciło jej się w głowie. Powoli opadła na kolana. Uwolniła wstrzymywany płacz.

– To – odezwała się, buntowniczo unosząc głowę – to kara, jaką mi wymierzyłeś?

Została tak zwinięta na ziemi.

– Pani! Nurbanu! – To była Meneksze.

Nurbanu wyprostowała się, słysząc swoje imię. Ciało miała zdrętwiałe od leżenia na wilgotnej trawie.

– Co się stało? Czyżby...?

Dziewczyna natychmiast zasłoniła jej usta.

– Wzywa cię.

– Kto?

– Jego żona.

Nurbanu pobiegła do środka. Fülane ułożono na materacu na początku korytarza, w którym znajdowała się komnata Mehmeda. Pomimo błagań nie pozwolono jej wejść do środka. Dłonie znów trzymała na brzuchu. Widać było, że nasłuchuje dziecka.

– Nie smuć się, dziecko – mówiła do niego. – Twój tata wyzdrowieje.

Boże, oby tak się stało.

– Pani.

Fülane rozchyliła powieki. Jej dumne, zazdrosne spojrzenie zniknęło.

– Wzywa cię – jęknęła Fülane. – Pójdziesz?

Reszty nie słuchała.

– Ale pamiętaj – usłyszała, jak kobieta woła za nią – ospa jest zaraźliwa. To bardzo niebezpieczne.

Niebezpieczne? Nurbanu była przyzwyczajona do niebezpieczeństw. Znów była na niebezpiecznych wodach.

Zatrzymała się przed drzwiami książęcej komnaty. Zauważyła, że dwóch duchownych, którzy nie weszli do środka, odeszło. Nie można było ich za to winić. Za drzwiami czyhała przeraźliwa śmierć. Wzięła głęboki oddech. Trzykrotnie zapukała do drzwi.

Nic się nie wydarzyło. Zapukała jeszcze dwa razy.

Zdawało jej się, że słyszy odgłos kroków. Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem na szerokość palca.

– Wzywał mnie.

– Wiesz, co jest w środku?

Kiwnęła głową.

– Nie zbliżaj się zbyt blisko. Niczego nie dotykaj. Módl się, żebyś się nie zarażała. Jak wszystko się skończy, pozostaniesz w odosobnieniu. Jeśli nie umrzesz, a nas nie będzie, gdy nadejdzie czas, zdejmiesz z siebie ubranie i wszystko spalisz. Dokładnie obmyjesz oczy i twarz wodą z lekarstwem, które stoi przy drzwiach, i włożysz czyste ubranie. Zrozumiałaś?

Skinęła głową.

– Wejdz.

Tak musiało wyglądać piekło. Weszła do środka, przeciskając się między drzwiami a ościeżnicą. Miała wrażenie, że komnata księcia płonie. Wnętrze rozpałał płomień unoszący się z dwóch gotujących się kotłów. Z powodu gorąca natychmiast oblał ją pot.

– Zbliź się, dziecko – odezwał się hodża czuwający przy łóżku.

Nurbanu rozpoznała go. Był to stary nauczyciel, który otworzył przed nią drzwi islamu. Medycy mieszały coś w kotłach.

Podeszła do łóżka.

Boże! Twarz Mehmeda... Dobry Boże... Jego twarz pokrywały okropne rany.

– Nie nachylaj się – przestrzegł ją hodża. – Całe ciało naszego księcia jest w takim stanie. Wszystko ropieje. Każdy pęcherz wypełnia śmierć.

Oczy miał zamknięte. Nawet powieki były pokryte pęcherzami. Gdy Nurbanu patrzyła na niego w milczeniu, jeden z pęcherzy na policzku pękł. Wylała

się z niego żółta ciecz pomieszana z krwią. Musiał mieć bardzo wysoką gorączkę, bo w krótkim czasie ropa zaschła.

– Cały czas tak jest... Nieustannie obmywamy go roztworem z kamienia ocznego i modlimy się. Bóg...

Nurbanu nie słuchała dalej.

– Mehmedzie!

„Po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu. Los sprawił, że stało się to wtedy, gdy śmierć spoczywała na jego poduszce”, pomyślała gorzko.

Nie odpowiedział.

– To ja. Nurbanu. Wzywaliście mnie.

Pokryte ranami powieki zadrżały. Rzęsy, sklezione zaschniętą ropą, nieznacznie się rozchyliły. Poruszył wargami. Zrozumiała, że chciał coś powiedzieć, ale nie słyszała jego głosu. Nie wahała się. Nie przejmowała się też słowami hodży, który pojął jej intencje.

– Nie rób tego, dziecko. Nie rób tego.

Pochyliła się i zbliżyła ucho do jego ust.

– Słucham.

– Nur-ba-nuuu?

– To ja.

– Niech odejdzie. Nieech odejdzieeee.

– Kto ma odejść?

Oczy Mehmeda prześlizgnęły się w prawo. Chciał, żeby starzec ich opuścił. Pojęła, że chce jej powiedzieć coś sekretnego.

– Hodzo efendi – odezwała się z szacunkiem. – Nasz pan życzy sobie, żebyście zostawili nas samych.

Mężczyzna też to zrozumiał. Właściwie, gdyby to zależało od niego, nie pozostałby tam ani chwili dłużej, czym prędzej by uciekł, ale nie miał wyjścia. Jeśli odejdzie stąd, nie wypełniwszy do końca swojego obowiązku, będzie czekała na niego inna śmierć – tłusty powróż kata. Pochylił głowę z pokorą i powoli odszedł w stronę medyków.

– Nur-baa-nuuu.

Znów się nachyliła.

– Książę.

– Słyyyszysz?

– Tak.

– Nur-ba-nuu... Jeś-li przeżyjesz...

Nie mógł dokończyć. Jego pierś zaczęła się unosić i gwałtownie opadać.

– Tak, książę. Jeśli przeżyję?

Mehmed zbierał resztki sił, żeby przemówić.

– Nasz ojcieeeec jest na wypraawiee... Powiedz mojej matceee...

Znów ucichł. Nurbanu ogarnęła panika.

– Co mam jej powiedzieć, panie? Co chcecie, żebym przekazała sultance Hürrem?

Jego głos zmienił się w rżenie. Śmierć w każdej chwili mogła zawładnąć jego ciałem.

– Ona – wyrzucił z siebie chrypliwie – onaaa miałaaa... rację. Zabi-li mnie...

– Kto?

Z pęcherza, który pękł mu w ustach, wylała się ropa połączona z krwią.

– Gül... – jęknął książę. – ...ba...har. Mahi...

Nie dokończył.

Gülbahar! Mahidevran Gülbahar!

Mehmed nie powiedział już nic więcej. Jego oddech stał się ledwo wyczuwalny. Mężczyźni podeszli do jego łóżka. Stary hodża stanął przy wezgielciu i zaczął odczytywać Koran.

Nurbanu usunęła się na bok. Nie była nawet w stanie się modlić.

Minęło dużo czasu, zanim mrok za oknem zaczął się czerwienić, a później pokrywać złotem. Wstawał dzień.

– Panie! – odezwał się jeden z medyków. – Książę Mehmedzie!

Książę nie wydał z siebie nawet jednego oddechu.

Podbiegła. „Nie odchodź, mój książę...”. Ale było już za późno. Na jego pozbawionym duszy ciele wciąż pękały okropne pęcherze. „Ach, Wielki Turbanie – rozpaczala w duchu – dlaczego zostawiłeś swoją królową i odszedłeś?!”.

Podczas gdy hodża wciąż się modlił, medyk, który wpuścił ją do środka, podszedł do drzwi. Uchylił je delikatnie. Nurbanu usłyszała, jak zwraca się do czekających w końcu korytarza.

– Niech spoczywa w pokoju. Niech jego dusza trafi do raj.

Na zewnątrz rozległ się krzyk.

Nurbanu nie płakała. Z jej oczu nie popłynęła nawet jedna łza. Podniosła się, oddaliła od pozbawionego życia ciała Mehmeda i podeszła do okna. Spojrzała na jaśniejące na zewnątrz niebo. Książę Mehmed był jeszcze bardzo młody. Nie widział nawet dwudziestu trzech zim. Poczula, że coś utknęło jej w gardle.

– Przynajmniej mnie pozwól żyć. Przynajmniej dopóki nie przekażę tego, co powiedział, jego matce.

XXXII

Stambuł

Nowy Pałac

Harem

Nie spodziewała się, że tak się stanie. Uniosła grubą zasłonę w oknie powozu. Szybko przymknęła oczy rażone światłem dnia. Po chwili zaczęła je otwierać ociężale. Pierwsze, co zobaczyła przez rozchylone powieki, to bezkresny błękit. Morze. A na przeciwnym brzegu, obok kopuły Hagii Sophii, witał ją Nowy Pałac. Poczowała niewiarygodne szczęście. Dom. Widziała swój dom. Nurbanu zauważyła, że to uczucie nie wydało jej się dziwne. Czy nie powinno tak być? Miejsce, które nazywała piekłem, kiedy po raz pierwszy zobaczyła je z pokładu galery Rudobrodego, teraz stało się jej domem. Nie mogła się doczekać, żeby jak najszybciej dotrzeć do światła opromieniającego ten raj, który wynurzył się z mroku.

Bóg w końcu usłyszał jej głos. Krążąca wokół śmierć oszczędziła Nurbanu. Przynajmniej tak jej się wydawało. Po Mehmedzie w wielkich bólach oddali ducha trzej z czterech mężczyzn znajdujących się razem z nią w komnacie. Azrael nie dotknął tylko jej i najmłodszego z medyków. Ale to ocalenie było dla Nurbanu jak tysiąc śmierci. Miała koszmary, od których drżała ze strachu i które nie wypuszczały jej ze swoich szponów nawet po przebudzeniu. Tak wyglądał każdy z czterech czarnych dni, które przeżyła w komnacie śmierci.

Patrzyła, jak ospa pokazuje innym swoje krwawe oblicze. Ropiejące pęcherze zaatakowały najpierw twarz dwóch medyków i starego hodźy, w kilka godzin pokryły ich całe ciała. Jęczeli, zwijali się i krzyczeli z bólu, ale do ostatniej chwili pełnili swoje obowiązki. Najpierw posypali zaropiałe ciało Mehmeda wapnem. Później owinęli je w prześcieradła i włożyli do skrzyni wypełnionej zaprawą wapienną. Skrzynię włożyli do innej skrzyni, a ją umieścili w wielkiej czarnej trumnie z metalowym wiekiem.

Widząc, że wszystko zostało wykonane zgodnie z zasadami, wszyscy zawlekli się pod ścianę i czekali, aż przyjdzie śmierć. Nurbanu z daleka słyszała cichy głos starego hodźy. Recytowana przez mężczyznę modlitwa paliła jej duszę. „Złota Córa Wenecji, ha! – śmiała się w duchu. – Wybacz, nie mogłam dać ci sali tronowej. Pogódź się z tym. Zresztą długo tu nie pozostaniesz. Twoim ciałem też zawładną ropiejące burchle. Może twoja dusza przecisnie się przez to okno i wzniesie do nieba”.

Wiedziała, że jej dusza nie zostanie na tych stepach, tylko polecą do morza. Będzie chciała, żeby pochłonął ją bezkresny błękit. Kiedy spojrzy w dół, musi widzieć morze i słyszeć szum fal.

Najpierw odszedł stary hodźa. Jego głos stopniowo milkł. Stał się

niestłyszalny. Za nim podążyło pozostałych dwóch.

Młody medyk posypał ciała wszystkich trzech wapnem. Łopatą rozsmarował na nich pozostałą zaprawę. Później przeszedł do pomieszczenia gospodarczego i osunął się na podłogę.

– Nie zapomnij o tym, co ci powiedziałem – odezwał się z daleka. – Jeśli przeżyjesz, mnie też zasyp wapnem. Później zrób tak, jak ci mówię. Policz cztery dni. Jeśli czwartego dnia wieczorem wciąż będziesz żyła, nie bój się. Wołaj, krzycz, poproś o ubranie. Spal to, co masz na sobie, ubierz się i wyjdź.

Jeśli przeżyjesz. Przeżyje? Spojrzała na swoje dłonie. Palcami szukała na swojej twarzy śladów śmierci.

– Nie dotykaj – odezwał się mężczyzna.

Czwartego dnia wieczorem wciąż żyła. A on? Wyglądał tak młodo, kiedy przyniósł jej wodę i pozostawił przy drzwiach.

– Dziewczyno?

Boże. To był młody medyk. On też żył.

– Jestem tutaj. – Nie poznała własnego głosu.

– Bóg oszczędził mnie, żebym ci pomógł – odezwał się cicho mężczyzna.

Naprawdę tak było? Śmierć nie zabrała duszy medyka, żeby mógł ją chronić? A może to jej nie dotknęła dzięki temu dobremu, pełnemu poświęcenia, wiernemu mężczyźnie?

– Przygotujmy się. Wyjdziemy, kiedy zabrmi wezwanie na wieczorną modlitwę. Przejdź do składziku. Zdejmij z siebie ubranie i rzuć mi je. Tam też włożysz jakieś ubranie, które dla ciebie przyniosą.

A teraz była tutaj. Jechała w rozpadającym się powozie w korowodzie wiozącym ciało Mehmeda z Seruhanu do stolicy.

Podczas drogi nie rozmawiały ze sobą z Meneksze. Co miały mówić? „To cud, że żyję”, powtarzała nieustannie. Ale dlaczego? Dlaczego Bóg nie pozwolił śmierci się do niej zbliżyć? Żeby przeżyła jeszcze większy ból i nieszczęścia? Czego jeszcze miała doświadczyć? Nie starczyło to, że została porwana, dostała się do niewoli korsarzy, stała się odaliską w haremie osmańskiego sułtana, została zdradzona przez swoją ojczyznę, trafiła w ręce ludzi, których uważała za wrogów, przeżyła śmierć Mehmeda, którego wybrała sobie na króla, marząc o zostaniu królową?

Siedziała w powozie z zamkniętymi oczami. Nie było wiadomo, czy śpi. Gdy poczuła na twarzy delikatny podmuch, zdała sobie sprawę, że Meneksze wsłuchuje się w jej oddech, chcąc sprawdzić, czy jeszcze żyje. „Nie martw się, nie umarłam. Mam jeszcze wiele do zobaczenia”.

Jednocześnie sporządzała sobie w duchu listę grzechów, które popełniła. Czyżby Bóg rozgniewał się za to, że podczas niedzielnych mszy, modląc się w kościele, próbowała uwieść młodego diakona? Za to, że pozwoliła, żeby dłonie

Marcella błdziły po jej udach i ramionach? Co mogła zrobić? Był taki silny...

Natychmiast odrzuciła od siebie te myśli. „To nic z tego – powiedziała do siebie. – Z pewnością nasz Ojciec w niebie rozgniewał się na nią za to, że wystąpiła z religii”. Ale dlaczego? Wciąż nazywała Go „naszym Ojcem w niebie”. Wciąż z przyzwyczajenia sięgała po krzyż. Nieustannie zwracała się do Najświętszej Pani. Czy inny Bóg był w Wenecji, a inny w Imperium Osmańskim? To dlatego prześladowały ją nieszczęścia? Ale przecież gdy została uprowadzona, była na drodze Jezusa. Czy każdej nocy spędzonej na pirackim okręcie nie modliła się do Jezusa i Najświętszej Pani? Dlaczego wtedy Bóg pozwolił, żeby ją porwano? Czy Bóg myślał, że go zdradziła? Zadrżała pod wpływem krzyku, który rozległ się w jej wnętrzu: „Nie zdradziłam! Nie zdradziłam! Nie zdradziłam!”.

– Słucham, pani?

Gdy Nurbanu otworzyła powieki, napotkała spojrzenie czarnych jak koraliki oczu Meneksze.

– Co się stało?

– Krzyczałyście we śnie. Podać trochę wody?

– Nie.

Ponownie przymknęła powieki. Tylko wtedy mogła ukryć złość, uczucie zawodu, bunt i chęć zemsty.

Nie, nie zdradziła Boga. Znów była na jego drodze. Ale na tej czy na innej drodze w jakiś sposób próbowała dotrzeć do Niego.

Głos w jej wnętrzu zbuntował się. „To kłamstwo. Nie oszukuj się. Zmieniłaś religię tylko po to, żeby im się przypodobać, żeby ułatwić sobie osiągnięcie celu”.

Naprawdę tak postąpiła? Poczwała, że policzki jej wilgotnieją. To uczucie nie dawało jej spokoju.

„Wcale nie”, zbesztala obwiniający ją głos. A może Azrael nie zabrał jej duszy, bo Bóg pozwolił, żeby została królową? To niemożliwe?

Postanowiła, że nie będzie się więcej nad tym zastanawiać. Cokolwiek było, już się stało. Będzie dalej wyrabiać ciasto.

Powóz zatrzymał się, skrzypnąwszy na ostatniej nierówności. Wysiadła z pomocą Meneksze. Morze otoczyło ją ramionami. Spojrzała na wzgórze na przeciwnym brzegu.

– Dom – odezwała się cicho. – Wróciłyśmy do domu, Meneksze.

Wojskowi wyciągnęli z powozu trumnę z ciałem księcia Mehmeda. W miejscu, gdzie powinna znajdować się głowa, położono wielki turban. Mężczyźni oparli trumnę na ramionach i zanieśli ją do stojącej na nabrzeżu łodzi. Nurbanu, trzymając Meneksze za rękę, szła za powozem. Za nią żołnierze nieśli nienależące teraz do nikogo kity Mehmeda. Za nimi podążał tłum kobiet i mężczyzn. Kiedy mijała ich czarna trumna, żołnierze stojący w rzędach po obu stronach opadali na kolana i oddawali pokłon.

Kiedy wszystko zostało odpowiednio załadowane, wsiadły, a łódź zaczęła się ślizgać po błękitnych, spienionych falach.

Hürrem, którą od wielu dni nieustannie miała przed oczami, przyglądała się Nurbanu z morskiej toni. Co miała jej powiedzieć? Jak miała to zrobić?

Z pewnością wiadomość już dawno dotarła do Hürrem.

Miała ją przywitać kobieta umierająca wraz z jej marzeniami.

Nic podobnego się nie stało. Mihrimah razem z damami dworu czekała na haremowym dziedzińcu. Gdy Nurbanu wysiadła z powozu, ich oczy się spotkały. Nie padły sobie w ramiona. Nie odezwały się do siebie. Były w miejscu, w którym słowa się kończą. W tej krótkiej chwili, gdy spojrzały na siebie, wszystko sobie powiedziały.

Mihrimah się zdziwiła, gdy Nurbanu przed nią przeszła. Odwróciła się do Esmi, jakby chciała zapytać: „Co się stało tej dziewczynie?”. Jej piastunka była równie zdumiona. To prawda, już pierwszego dnia, gdy zobaczyła Nurbanu, zrozumiała, jak bardzo jest silna i dumna, ale dziewczyna, która przepłynęła przed nimi, wydawała się zupełnie kimś innym. Wysłały do Konyi zalęknioną, opryskliwą, ale bystrą dziewczynę. Teraz wróciła młoda kobieta – doświadczona przez życie, dojrzała, dumna, wyprostowana tak, że mogłaby dotknąć głową chmur. Była rozgoryczona, ale jeszcze piękniejsza niż dawniej. Nie przechodziła przed nimi dama dworu, ale królowa.

Nurbanu nie zatrzymywała się, nie spojrzała na nikogo, kto wyszedł jej na spotkanie, i nie odpowiadała na wyrazy współczucia. Nikogo o nic nie pytała. Nie uważała za konieczne, żeby czekać na pozwolenie. Wiedziała, dokąd idzie. Mihrimah szła po jej prawej stronie, nieco z tyłu. Właściwie powinno być odwrotnie. Kim była, że szła przed córką padyszacha? Takie panowały zasady, ale jej to nie obchodziło. Widziała śmierć. Najbardziej bolesną, najbardziej przekłętą ze śmierci. Widziała, jak młody, niewinny książę oddaje życie w okrutnych bólach. Nie miała ochoty myśleć o zwyczajach. Mihrimah także nie wyglądała na urażoną. Damy dworu, paziowie, służące i pozostali też nie widzieli w tym nic dziwnego. Nawet oni nie myśleli o tym źle w tej przygnębiającej chwili.

Skręciła w prawo. Wspięła się po dwustopniowych schodach, przeszła jeszcze kawałek, a później skierowała się w lewo. Przemierzyła dziedziniec, pośrodku którego stał wielki piec, a na ścianie wisiało wielkie srebrne lustro, w którym po raz pierwszy się przeglądała, kiedy wyszła z łaźni dla odalisek.

Ponownie skręciła w lewo i ruszyła prosto do dużych, dwuskrzydłowych drzwi. Nic do nikogo nie mówiąc, nie czekając na niczyją pomoc, jednocześnie otworzyła oba skrzydła drzwi. Sułtanka Hürrem siedziała na sofie, dokładnie naprzeciwko niej.

– Matko Hürrem.

Po raz pierwszy nazwała ją matką, ale nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Na

pewno bez wyrachowania. Po prostu z niej to wypłynęło.

– Nurbanu, dziecko.

Zbolała matka księcia Mehmeda siedziała niczym pomnik. Nurbanu – żywy świadek jej cierpienia, stała jak statua bogini.

Sułtanka ponad ramieniem Nurbanu spojrzała na stojących z tyłu. Wszyscy, włącznie z Mihrimah, zaczęli się wycofywać.

– Mihrimah.

Dziewczyna się zatrzymała.

– Chcemy mieć przy sobie obie nasze córki – odezwała się Hürrem. – Są rzeczy, o których musimy porozmawiać i których musimy wysłuchać.

Wszyscy wyszli.

Hürrem posadziła Nurbanu obok siebie. Pogładziła ją po włosach.

– Wybacz mi – wyszeptała. – Nie potrafiłam go dla ciebie ochronić. Nie zdołałam.

Ucałowała dłoń, którą kobieta uniosła do jej twarzy. Poczowała, że ręka Hürrem drży.

– To ty wybacz swojej córce Nurbanu, Aleksandro Anastazjo – westchnęła. – Nie potrafiłam założyć korony na turban. Nie potrafiłam ściągnąć z tej kobiety sukni, którą dla mnie uszyłaś.

Później wyszeptała tajemnicę, którą powierzył jej Mehmed, wydając ostatnie tchnienie.

– To nie Bóg go wezwał, to było morderstwo, sułtanko. Twojego syna zabiła Gülbahar.

Czas krzyków Hürrem, klątw i przekleństw minął. Ale w jej oczach płonął ogień, który był gorszy od tysiąca buntów i tysiąca przekleństw. W oczach sułtanki Hürrem płonął nakaz śmierci syna Gülbahar, księcia sukcesora Mustafy.

Dopiero tego wieczoru, kiedy Mihrimah powiedziała: „Idę do domu”, przypomniała sobie, że córka padyszacha jest już zamężna.

– Jak tam?

– Co „jak tam”?

– Małżeństwo.

Mihrimah machnęła ręką.

– Jak on się czuje?

– Rüstem? Dobrze. Wyczekuje dnia, kiedy zostanie wielkim wezyrem.

– Nie on. Ten drugi.

– Na litość boską, o kim ty mówisz, Nurbanu?

– Ten, którego nazywałaś mężczyzną wieszającym na niebie kopuły. Jak miał na imię?

Sułtanka Mihrimah odruchowo się uśmiechnęła.

– Sinaneddin. Wiesz na niebie kopuły.

– On cię kocha. Nie zapomnij o tym.

Na te słowa Mihrimah śmiała się długo.

– Szalona dziewczyna. Milcz. Zostaw go i powiedz lepiej, kogo kocha Nurbanu.

Odpowiedziała bez zastanowienia:

– *Swojego króla.*

– Swojego króla? A kto jest twoim królem?

– Jeszcze go nie wybrałam.

Skoro ten, którego wybrała, nie żył, potrzebowała teraz nowego króla, który uczyni ją królową.

¹ Wenecki Arsenał (wł. *Arsenale di Venezia*) – kompleks stoczniowo-zbrojeniowy, usytuowany w weneckiej dzielnicy Castello, w swojej pierwotnej formie powstał na początku XIII wieku. Budowano w nim okręty wojenne i handlowe tworzące potęgę morską Republiki Weneckiej. W XVI wieku Arsenał stał się najpotężniejszą i najefektywniejszą stocznia na świecie. Wykorzystywano w nim innowacyjne techniki konstrukcyjne, a jednym z doradców tamtejszych inżynierów był sam Galileusz. Arsenał był wielokrotnie przebudowywany i odbudowywany, jako częsty cel wrogich ataków. Nie jest prawdą, że kompleks został doszczętnie zniszczony przez Turków. Budowla zachowała się do czasów współczesnych i chociaż jest zamknięta dla turystów, okresowo odbywają się tam wystawy i targi. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Pijał Pasza (tur. *Piyale Paşa*) (1515–1578) to osmański admirał floty, chorwackiego pochodzenia. W nagrodę za rozgromienie, wraz z kapitanem Turgutem, chrześcijańskiej floty pod wodzą Giovanniego Andrei Dorii w bitwie pod Dżerbą w 1560 roku, sultan Selim II dał mu za żonę swoją córkę Gevher Han. (Zgodnie ze źródłami historycznymi w tym czasie Pijał Pasza brał udział w podboju Cypru należącego wówczas do Wenecji).

³ Yasef Nassi (Józef Nassi) – żydowski dyplomata i urzędnik na dworze osmańskim w czasach panowania Sulejmana Wspaniałego i Selima II. Poparł Selima w walce o tron między nim a Bajazydem. W uznaniu za jego liczne zasługi i osiągnięcia (m.in. podczas wojny turecko-weneckiej) Selim mianował go księciem w Księstwie Naksos (Księstwie Egejskim), utworzonym przez Wenecjan na archipelagu Cyklad, które zostało podbite przez Osmanów w XVI wieku.

⁴ Dżabbar – imię pochodzenia arabskiego, oznaczające tyrana, człowieka porywczego, używającego siły i przymusu.

⁵ Safian – miękka i cienka skóra kozła lub barania, odpowiednio wyprawiona garbnikami roślinnymi i barwiona, używana do produkcji obuwia, obić mebli oraz oprawy książek.

⁶ Murano to grupa wysp, niegdyś należąca do Wenecji, a obecnie do Włoch, słynna na całym świecie z produkcji szkła, które wytwarzano tam od VIII wieku. Największy rozwój tego rzemiosła miał miejsce w XIII wieku za sprawą rzemieślników bizantyjskich, którzy zbiegli do Wenecji w czasach IV krucjaty. Tamtejsze wyroby, nazywane „szkłem weneckim”, charakteryzują się niezwykle wysokim nasyceniem szkła kolorem, przejrzystością oraz wymyślnymi technikami dekoracyjnymi.

⁷ Wielki Kanał (wł. *Canal Grande*) – wybudowany w XV wieku kanał przepływający przez całą Wenecję i dzielący ją na dwie części.

⁸ Od 1488 roku Cypr stanowił bazę wojenną Republiki Weneckiej. Piraci cypryjscy często atakowali jednostki tureckie, co w rezultacie stało się przyczyną

tureckiego ataku na wyspę w 1570 roku, który był początkiem V wojny turecko-weneckiej o dominację na Cyprze, zakończonej zwycięstwem Turków.

⁹ Julia Gonzaga po mężu Wespazjanie przyjęła nazwisko Colonna.

¹⁰ Juan de Valdés (1509–1541) – hiszpański pisarz i reformator religijny, pionier ruchów reformatorskich w Hiszpanii i we Włoszech. W 1530 roku, po wydaniu swojej pierwszej książki, w której krytykował zepsucie Kościoła rzymskokatolickiego, z obawy przed inkwizycją uciekł z Hiszpanii do Neapolu, gdzie osiedlił się na stałe. Obracał się w intelektualnych kręgach, do których należały także Vittoria Colonna – renesansowa poetka włoska i cioteczna siostra Bony Sforzy, żony Zygmunta I Starego i królowej Polski – oraz jej przyrodnia siostra Julia Gonzaga.

¹¹ Akwilon (łac. *Aquilo*) – rzymski bóg północy i wiatru północnego: gwałtownego, mroźnego, niebezpiecznego dla żeglarzy. W mitologii greckiej jego odpowiednikiem był Boreasz.

¹² „Bóg jest wielki!” (z arab.) – takbir, muzułmańskie wyznanie wiary, a także pierwszy wers ezanu, wezwania przez muezzina do modlitwy.

¹³ „Chodźcie na modlitwę” (z arab.) – fragment ezanu.

¹⁴ Łaciński tekst chrześcijańskiej modlitwy *Pozdrowienie Anielskie*, znanej szerzej jako *Zdrowaś Maryjo* (łac. *Ave Maria*).

¹⁵ Troja, rozslawiona dzięki starogreckiemu poematowi *Iliada* Homera, położona jest w dzisiejszej Turcji (niegdyś na ziemiach Imperium Osmańskiego), u zachodnich wybrzeży Azji Mniejszej nad Morzem Egejskim.

¹⁶ Indygo, niegdyś pozyskiwane z urzetu barwierskiego, obecnie głównie syntetyzowane, to naturalny barwnik o niebieskim kolorze, wykorzystywany dawniej do prania odzieży w celu uniknięcia żółknięcia tkanin.

¹⁷ Izabela Portugalska – księżniczka portugalska; dzięki małżeństwu z Karolem V cesarzowa rzymska i królowa Hiszpanii.

¹⁸ Nieformalna nazwa Świętego Cesarstwa Rzymskiego stanowiącego kontynuację cesarstwa zachodniorzymskiego, nawiązująca ideologicznie i politycznie do kształtu średniowiecznej i wczesnonowożytnej Europy. Miała ona symbolizować przynależność godności cesarskiej do monarchów wybieranych przez kraje niemieckie.

¹⁹ Andaluzja to arabska nazwa Półwyspu Iberyjskiego, terytorium średniowiecznej Hiszpanii. Muzułmanie zostali wyparci ze środkowej Hiszpanii do połowy XIII wieku; pod ich rządami, jeszcze przez kolejne trzysta lat, pozostała jedynie Grenada, która w 1492 roku poddała się armiom katolickiej Hiszpanii, znajdującej się wówczas pod panowaniem Ferdynanda II Aragońskiego – dziada ze strony matki królowej Izabeli – i jego małżonki Izabeli I Kastylijskiej.

²⁰ Mowa tu o cesarstwie wschodnio- i zachodniorzymskim. Cesarstwo wschodniorzymskie, później Cesarstwo Bizantyjskie, miało swoją stolicę

w Konstantynopolu, za jego upadek uważa się zdobycie Konstantynopola przez Turków w 1453 roku. Cesarstwo zachodniorzymskie upadło w V wieku, jednak formalnie ciągłość cesarstwa zachodniorzymskiego nigdy nie została przerwana. W 800 roku tytuł cesarza rzymskiego przyjął Karol Wielki, w 962 roku Otton I, a godność cesarza rzymskiego została połączona z tronem niemieckim.

²¹ Konstantyn I Wielki – cesarz rzymski w latach 306–337, przekształcił Byzantion (Bizancjum) w nową siedzibę cesarską. Od jego imienia miasto przyjęło nazwę Konstantynopol.

²² Marcin Luter (1483–1546) – niemiecki reformator religijny, inicjator reformacji – ruchu odnowienia chrześcijaństwa, ostro krytykujący katolicką hierarchię kościelną i zwierzchnictwo papieskie. W 1521 roku został dożywotnio ekskomunikowany (wykluczony z Kościoła) przez papieża Leona X.

²³ Alessandro Farnese – Paweł III.

²⁴ Meram Bağları to miasto prowincji konijskiej w centralnej Anatolii, znane ze znajdujących się tam ogrodów i winnic (tur. *bağ* – winnica).

²⁵ *Inszallah* (tur. *inşallah*, arab. *in shā'allāh*) – z Bożą pomocą; jak Bóg pozwoli.

²⁶ Strzałę, która zabiła Achillesa, raniąc go w piętę, wypuścił Parys w zemście za śmierć swojego brata, Hektora.

²⁷ Kalif (arab. *ḫalīfa*) – tytuł następców Mahometa w islamie sunnickim. Kalifowie byli przywódcami muzułmańskich społeczności, zwanych kalifatami.

²⁸ Pałac Alkazar.

²⁹ Mowa o Franciszku I Walezjuszu i Henryku VIII Tudorze.

³⁰ Matka króla Franciszka – Ludwika Sabaudzka – napisała do sułtana Sulejmana list z prośbą o uratowanie jej syna, gdy Karol V go uwięził.

³¹ Król Henryk miał sześć żon, dwie z nich – Annę Boleyn i Katarzynę Howard – skazał na ścięcie. „Nową królową”, trzecią żoną Henryka była Jane Seymour, którą poślubił zaledwie jedenaście dni po egzekucji Anny.

³² Ryszard Lwie Serce – król Anglii w latach 1189–1199, jeden z dowódców trzeciej wyprawy krzyżowej.

³³ Wzgórze Czaszki (gr. Golgota, łac. *Calvaria*) – wzgórze nieopodal Jerozolimy, na którym odbywały się egzekucje skazańców. Według Nowego Testamentu tam wraz z dwoma złoczyńcami ukrzyżowano Jezusa Chrystusa.

³⁴ Gustaw I Waza – król Szwecji w latach 1523–1560, dziad Zygmunta III Wazy, króla Polski.

³⁵ *Bella* – (wł.) piękna.

³⁶ *Lala* – tytuł, którym zwracano się do wysokich urzędników, możnych i zajmujących ważne stanowiska w Imperium Osmańskim, np. wielkich wezyrów czy opiekunów książąt.

³⁷ *Rekat* (arab. *rukû*) – sekwencja w muzułmańskiej modlitwie, która

obejmuje powstanie, ukłonienie i dwukrotny pokłon. Modlitwa składa się zwykle z dwóch lub czterech *rekatów*.

³⁸ *Amore mio...* (z wł.) – Kochanie moje, moja żółta różo, śpiewam dla ciebie piosenkę.

³⁹ *Il fiore delle mie speranze* (z wł.) – kwiat moich nadziei.

⁴⁰ Karaman i Konya to dwie różne prowincje Imperium Osmańskiego, a także dzisiejszej Turcji. Centralne miasta obu dystryktów (Karaman i Konya) są oddalone od siebie o mniej więcej sto kilometrów.

⁴¹ *Beşik* (tur.) – kołyska (wym. *beszik*).

⁴² *Şirret* (tur.) – intrygantka, wichrzycielka (wym. *şirret*).

⁴³ *Doğum* (tur.) – narodziny (wym. *doum*).

⁴⁴ Kapykułowie (tur. *kapıkulu*) – określenie odnoszące się do wszystkich rodzajów wojsk, zarówno pieszych, jak i jezdnych, w służbie Imperium Osmańskiego.

⁴⁵ Mevlana Dżalal ad-Din ar-Rumi (1207–1273) – najwybitniejszy poeta suficki, mistyk i teolog, założyciel bractwa mewlewitów („wirujących derwiszy”). Wywarł ogromny wpływ na literaturę i duchowość na ziemiach islamskich. Uznawany jest za mistrza sufickiej poezji mistycznej. Chociaż podróżował po Środkowym Wschodzie, Konya była jego główną siedzibą oraz siedzibą założonego przez niego bractwa. W Konyi znajduje się też jego mauzoleum, które współcześnie, wraz z kompleksem zakonnym, stanowi atrakcję turystyczną miasta.

⁴⁶ *Ney* – rodzaj fletu popularnego w muzyce Środkowego Wschodu.

⁴⁷ *Sema* – mistyczny taniec „wirujących derwiszy”.

⁴⁸ *Kol böreği* – potrawa kuchni tureckiej, rodzaj burka, skręcony spiralnie, nadziewany rulon z ciasta.

⁴⁹ „W imię Boga miłosiernego, litościwego” (arab. *bi-ismi Allāhi ar-rah-māni ar-rah-īm*) – basmala, formuła rozpoczynająca prawie każdą (oprócz dziewiątej) surę Koranu, prawowierny muzułmanin powinien zaczynać tą formułą każdą nową czynność. Można ją uznać za odpowiednik chrześcijańskiego znaku krzyża. Według tradycji islamskiej basmalę miał wyrysowaną na skrzydłach archanioł Gabriel i prorok Isa (Jezus) na języku.

⁵⁰ Bitwa morska pod Prevezą miała miejsce 28 września 1538 roku i zakończyła się wygraną floty tureckiej, mimo ponadtrzykrotnej przewagi liczebnej Ligi Świętej, w skład której wchodziły Wenecja, Hiszpania, flota papieska, Genua, Zakon Maltański. Brały w niej udział 122 galery tureckie pod dowództwem Hajraddina Paszy oraz 162 galery i 140 barek krzyżowców, którym przewodził admirał Andrea Doria. Turcy zatopili i zniszczyli 13 okrętów, a 36 zdobyli, biorąc blisko trzy tysiące jeńców.

⁵¹ Kamień oczny (łac. *Cuprum aluminatum, lapis divinus*) – siarczan miedzi, używany w dawnej medycynie w leczeniu stanów zapalnych i infekcji oczu oraz na

wypryski i stany zapalne skóry w postaci zasypki.

Przekład: Agnieszka Erdoğan

Redakcja: Anita Rejch

Korekta: Agnieszka Trzeszkowska-Bereza, Beata Wójcik

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Małgorzata Maj/Arcangel Images

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4334-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, blue sans-serif font. The letter "v" is significantly larger and more prominent than the other letters.

